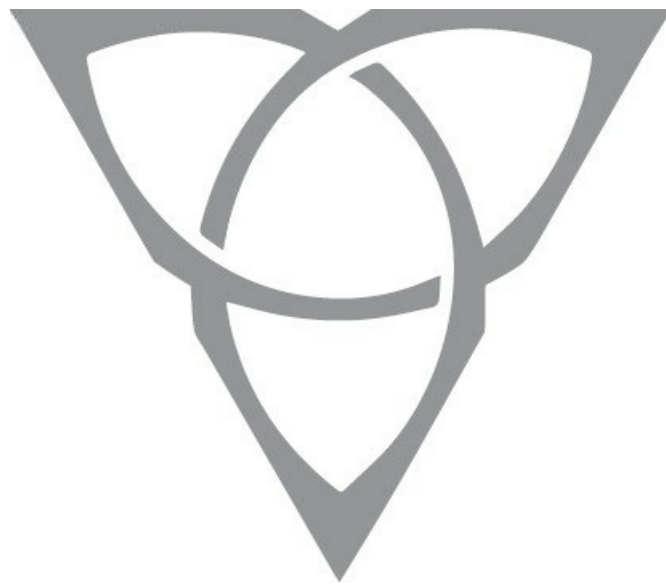


NANNA FOSS



SPEKTRUM
LEONIDY

Driada



NANNA FOSS

SPEKTRUM



LEONIDY

Przekład z języka duńskiego
Bogusława Sochańska

Tellerup

Tytuł oryginału
SPEKTRUM #1: Leoniderne



Copyright © for the Spektrum series by Tellerup A/S, 2014
Copyright © for this edition by Driada, 2016
Copyright © for the Polish translation by Bogusława Sochańska, 2016

Tłumaczenie z języka duńskiego
Bogusława Sochańska

Projekt okładki
Danielle Finster

Redakcja i korekta
Marianna Świętek

ISBN: 978-83-945990-2-7

Str. 137 i 138, fragmenty wiersza Michaela Strungego Tid og rum z tomu Livets hastighed, Borgen 1978

Tellerup A/S
www.tellerup.dk
DK-4180 Sorø

Wydawnictwo Driada
ul. Ogrodowa 6
62-030 Luboń
www.driada.pl
ms@driada.pl

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości lub fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Koniec](#)

[Przypisy](#)

EMI

ROZDZIAŁ 1

– No, Emi, i jak wyglądam? – Alban odciąga na bok zasłonę w kabinie przebieralni i rozkłada ramiona. Ma na sobie niebieski T-shirt w odcieniu gołęmbim, który dla niego wybrałam.

– Miałam rację co do koloru. Podkreśla twoje oczy.

– Korzystnie, mam nadzieję. – Alban lekko się uśmiecha. – Dobrze leży? – Obraca się, żebym mogła zobaczyć całość. Materiał przylega do jego wytrenowanego ciała, ale nie na tyle ściśle, żeby nadawał mu wygląd półmózgowca, który wyrwał się z najbliższej siłowni.

– Idealnie. Wycięcie w literę V jest dla ciebie super. – Z czasem nabrałam wprawy w tych „shoppingach”, chociaż rzadko kupuję coś dla siebie. Odwiedziny kilka razy w roku w tym samym co zawsze ciuchlandzie właściwie się nie liczą.

Alban wyprostowuje ramiona, żeby sprawdzić elastyczność materiału.

– Jest przyjemny, dobrze się w nim czuję. Sto procent bawełny?

– Tak mi się wydaje.

– Wydaje ci się? – Przesuwa palcem wskazującym wzdłuż szwu na rękawie i między brwiami pojawia się mała zmarszczka. – Dziewięćdziesiąt pięć bawełny i pięć elastanu. Kto przegra, stawia lody.

– Lody? W listopadzie? Odmrożenie mózgu ci się marzy!

– Boisz się przegranej? – Alban unosi jedną brew.

– Co?! Już możesz zacząć odliczać kasę. Obróć się!

Alban obraca się posłusznie, a ja wywijam wszywkę z przepisem prania z lewej strony niebieskiego T-shirtu. Przez chwilę zastanawiam się, czy od czasu, gdy ostatni raz bawiliśmy się w tę zabawę, nauczyłam się lepiej kłamać.

– No? – pyta Alban.

– Dziewięćdziesiąt pięć procent bawełny, pięć elastanu i pięćdziesiąt kryptonitu. Maniak składu tkanin!

– Coś mi się zdaje, że maniak składu tkanin ma dzisiaj ochotę na lody czekoladowe. – Alban cofa się do kabiny i zaciąga zasłonę. – Gdzie powiesiłaś ten szary T-shirt?

– Wieszak po lewej. Lody czekoladowe jedzą tylko starzy ludzie!

Dochodzi mnie odgłos skrobania wieszakiem o ścianę.

– Mojej małej przyjaciółce nie smakuje przegrana, co?

– Też coś! Ty, koleś, masz siedemnaście lat i nie jesteś pełnoletni! Jeszcze przez rok nie wolno ci kupować papierosów i prowadzić samochodu!

– No to chyba najwyższy czas, żebym zaczął palić! I przekonał matkę, żeby pozwoliła mi zrobić to prawko. Kiedyś wreszcie musi się poddać.

Alban odsuwa zasłonę. Stoi przede mną w fioletowym T-shircie, kurtce i szalu, w objęciach trzyma stos ciuchów. Fiolet dobrze pasuje do jego ciemnokasztanowych włosów i stalowoniebieskich oczu. Za sprawą szerokich ramion jest na tyle męski, że może sobie pozwolić na ten kolor. Nie chodzi o to, że jestem ekspertką od mody, ale trochę się znam na zestawianiu kolorów. To przychodzi samo, jeśli człowiek codziennie rysuje. Między innymi

dzięki temu stałam się drugim pilotem wypraw na ciuchowe zakupy Albana, bo choć zna się na materiałach, to kolory nie są jego mocną stroną.

Chwytam jego wyciągniętą rękę.

– Może ci pomogę? – Spoglądam na stos ciuchów piętrzący się na drugiej.

– Miałożby pospolite odzienie plebejusza zbrukać te śliczne rączki? – Alban udaje oburzenie.

– Ciii! Ludzie pomyślą, że jesteś moim ojcem! – syczę i wyciągam go z przebieralni. – Albo jakimś reliktem minionej epoki!

– Plebejusz to w języku duńskim słowo zapomniane – mówi Alban.

– Podobnie jak wałkoń, warchoń, nędznik i trzpiot – dodaje. – Dawniej dużo fajniej można było zwymyślać ludzi.

– Przypomnij mi, żebyśmy skombinowali dla ciebie maszynę czasu, będziesz mogła odreagowywać w odpowiedniej epoce.

– Spoko, już jest na liście życzeń.

Dochodzimy do kasy. Ekspedientka o tlenionych włosach uśmiecha się do nas porozumiewawczo. Na pewno z powodu rąk. Gdy trzymamy się za ręce, ludzie zazwyczaj myślą, że ze sobą chodzimy. Kilka razy wzięli też Albana za mojego przyjaciela-geja.

– Te wszystkie poproszę. – Alban wyciąga ramię, a ja zsuwam ubrania na ladę.

Oczy sprzedawczyni w mocnym makijażu próbują pochwycić jego spojrzenie skierowane w punkt na lewo od niej. Dziewczyna przenosi wzrok na mnie i jej uśmiech gaśnie.

– Ach... tak, oczywiście. – Kąciki ust znów się podnoszą, niepewnie. Patrzy teraz na mnie. – Czy to prezenty? – pyta.

Wzruszam ramionami, choć doskonale znam odpowiedź, i wymownie spoglądam na Albana.

– Nie mam pojęcia. To nie ja kupuję.

Sprzedawczyni głęboko wciąga powietrze i pochyla się lekko nad ladą, a potem powtarza pytanie.

– Czy to pre-zen-ty? – mówi powoli, wyraźnie i na tyle głośno, że kilka osób obraca się w naszą stronę.

Podnoszę oczy do nieba. Zawsze się wkurzam, gdy mamy do czynienia z kimś takim jak ona.

– Nie, są dla mnie – mówi Alban spokojnie.

Ekspedientka męczy się z klipsem zabezpieczającym ubrania przed kradzieżą. Jej paznokcie z francuskim manicurem połyskują w ostrym, błękitnobiałym oświetleniu sklepu. Skanuje kody i znowu spogląda na Albana.

A on już wsunął do terminala kartę i położył opuszki palców na pierwszych cyfrach swojego pinu.

– Pobrać na kwotę zakupu? – Sprzedawczyni niemal krzyczy.

– Tak, proszę. – Palce Albana poruszają się po małej klawiaturze. – A przy okazji, nie mam problemów ze słuchem – dodaje z uśmiechem.

Dziewczyna gapi się na niego z rozdziawionymi ustami.

Mam ochotę wyrwać jej torbę z ręki i spadać, ale opanowuję się i pozwalam jej przez kilka sekund trawić ripostę Albana. Wreszcie, zamrugawszy oczami, dziewczyna podaje mu torbę.

– Dziękuję – mówi Alban – miłego dnia.

– Www... wzajemnie – wyjąkuje sprzedawczyni.

Prycham i biorę Albana za rękę.

– Cholera, co za młotek! – wybucham na chodniku.

– Nie przesadzaj, była miła – mówi Alban. – Nie miałem przecież ze sobą Frostmourne'a. To

zwykle ludzi ostrzega.

Frostmourne, wierny giermek Albana, dostał to imię po gigantycznym mieczu z gry komputerowej World of War Craft. Brzmi bardziej kozacko niż „laska niewidomego”. A nawiasem mówiąc, kto wpadł na ten kretyński pomysł, żeby nazwać to „laską”? Jak gdyby niewidomi przy okazji kuleli albo byli zniedołężniałymi staruszkami.

– No nie, naprawdę! Jacy głupi mogą być ludzie? – pytam. – To tak, jakby wszyscy oczekiwali, że ktoś z fizyczną niepełnosprawnością automatycznie jest też lekko opóźniony w rozwoju. Jak tylko zobaczą wózek albo aparat słuchowy, odzywają się jak do trzylatka! Co oni sobie, do cholery, wyobrażają? Że skoro masz ze sobą tego swojego przyjaciela, to to oznacza: „Hej, jestem idiotą”, czy co? – Stukam palcem w mały kwadrat przymocowany z przodu kurtki Albana. Jest miękki, przedstawia białego człowieka z białą laską. W sklepie pewnie zasłonił go szal.

– Widzę, że masz dzisiaj Dzień Rycerza. Pełna gotowość do obrony mojego honoru. – Alban ściska mi rękę.

– No bo to wciąż w kółko się powtarza! Nie pojmuję, że się z tym godzisz!

– Nie da się wiele na to poradzić. Ludzie nie wiedzą, jak się zachować. Uśmiechnij się do świata, a świat uśmiechnie się do ciebie.

– Łatwo powiedzieć! Nie tak wielu się uśmiecha, jak myślisz. Większość to ponure zgredy!

– Całe szczęście, że ty potrafisz przeganiać te chmury ponuractwa swoim zaraźliwym dobrym nastrojem. – Alban przybiera poważną minę.

Klepię go lekko po ramieniu.

– Hej! Zachowuj się! Bo cię zaparkuję przy najbliższej latarni. I sobie postoisz, aż wróci Linus!

Rozglądam się po wypełnionym ludźmi deptaku. Jest sam środek popołudnia, ale zmierzch już zaczyna pogłębiać cienie między domami. Ludzie kulą się na lodowatym listopadowym wietrze i spieszą przed siebie z opuszczonymi oczami i czerwonymi nosami. Para z ust płynie za nimi falami jak małe, białe chorągwie.

– Czuć, że sypnie śniegiem – mówi Alban.

Spoglądam na szare jak kamień niebo.

– Możesz mieć rację. Jest przecież paskudnie zimno! – zacieram dłonie w rękawicach i jeszcze raz ogarniam wzrokiem tłum.

– Gdzie też się podziewa...

Jeszcze nie skończyłam zdania, a moje oczy już znalazły odpowiedź. Ludzkie morze przed nami rozdziela się na dwoje i pośród mrowia zimowych botków pojawia się czubek białej laski zakończony gumową kulką. Laska huśta się rytmicznie na boki niczym metronom, rysując na bruku niewidoczne półkola.

Wielu ludzi idzie dalej, demonstracyjnie wbijając wzrok w swoje stopy, jakby nie zyczyli sobie, aby im przeszkadzano. Spojrzenia innych pną się po cienkim kiju, prześlizgują po czerwonych oznakowaniach i czarnej taśmie na nadgarstek, by na koniec wbić się w osobę trzymającą laskę.

Linus jest o głowę niższy i dwa lata młodszy od swojego brata. Jest też szczuplejszy i emanuje powściąganą energią. Przy spokojnych, wyważonych ruchach Albana jest jak żywe srebro. Linus chodzi do ósmej klasy, ja do dziewiątej, Alban do dziesiątej. Ale choć jesteśmy rozrzućeni na trzech różnych poziomach, obaj są dla mnie jak moi rówieśnicy. A może prawda jest taka, że wszyscy troje jesteśmy starymi duszami w młodych ciałach. To określenie mojej mamy, bardzo

ładne. Za to Jonatan i jego kumple nazywają nas nerdami, cieniasami i świrami. Gdy mają dobry dzień.

Spod włóczkowej czapki Linusa wystają kosmyki włosów i wielkie przeciwsłoneczne okulary, niezakryta jest tylko dolna część twarzy. Usta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

– Czemu zawsze musisz się upodabniać do Stevie Wondera? – Kręcę głową i zrywam mu okulary.

Linus mruga powiekami. Jego oczy mają nieokreślony kolor, między przykurzoną szarością a jasną zielenią, w zależności od światła.

– Nie demaskuj mnie, Emi! Tak dobrze mi szło! – Linus wyjmuję mi z rąk okulary i szybko wkłada je z powrotem. – Tak jest dużo łatwiej. Nie muszę się koncentrować na tym, żeby utrzymać puste i nieruchome spojrzenie.

– Puste i nieruchome? Dzięki, brachu. Miło słyszeć, że wyglądam jak statysta z *The Walking Dead*. – Alban szeroko otwiera oczy i usta. A potem unosi przed sobą ramiona z opuszczonymi dłońmi. – Grrrraaahhh!

– Przestań, Alban! Ludzie patrzą! – chichoczę chwytając go za ramię.

– Spokojnie, Zombie-Bent – dodaje Linus. – Na śmierć przestraszyłeś starsze panie po drugiej stronie ulicy.

Podaje laskę Albanowi, a on wypróbówuje ją, kołysząc w przód i w tył.

– Frostmourne jest łatwiejszy do nawigowania, nie sądzisz? – Alban waży w ręku białą laskę.

– Jasne, bo włókno węglowe jest lżejsze od aluminium – odpowiada Linus. – No i łatwiej ją składać niż tę starą. To tak jakby Excalibur miał zeszywniałe stawy.

– Właśnie – potakuje Alban. – Doskonale rozumiem, dlaczego centrala zaopatrzenia i usług medycznych poleca te nowe składane laski z włókna węglowego. – Ostrożnie stuka gumowym czubkiem w bruk. – Może to szczęście w nieszczęściu, że pośliznąłem się na tym chodniku i pogiąłem Excalibura?

– Chwała jego pamięci – dodaje Linus uroczyście. Zawsze zależy mu na tym, żeby inaugurować nowe laski Albana. I, oczywiście, nadawać im nazwy. Jak dotąd, wszystkie były nazywane imionami słynnych mieczy. Linus już cieszy się na następną, choć jeszcze nie całkiem zdecydował, czy nazwie ją Orcrist czy Gram. To będzie zależało od tego, czy Tolkien albo bohaterowie nordyckich podań będą wtedy jeszcze w modzie. Z czasem Linus rozwinął rytuał inauguracyjny tak, że przybrał on formę pełnego *field study*¹. „Prawdziwy naukowiec niczego nie zastosuje, zanim nie przetestuje”, mawia. Co oznacza, że zanim przekaże nową laskę Albanowi, chodzi po omacku po chodnikach w słonecznych okularach, z zamkniętymi oczami. Kosztowało to już jego samego i innych sporo siniaków.

Choć bawi mnie jego przejęcie się rolą odgrywaną w słonecznych okularach, zawsze gdy je w końcu zdejmuję i pozwala starszemu bratu przejść laskę, czuję ukłucie w sercu.

Dla Linusa to tylko rola. Dla Albana – rzeczywistość. Każdego dnia.

Czasami chciałabym, żeby Alban nie potrzebował tej przekłętej laski. Żeby nie musiał wciąż na nowo ustosunkowywać się do tego niezręcznego milczenia ze strony sprzedawczyń czy ludzi na ulicy, którzy najpierw patrzą na jego biało-czerwonego pomocnika, a dopiero potem na niego. I przyklejają mu łatkę nieszczęśliwca, jeszcze zanim w ogóle zaczną z nim rozmawiać.

Nigdy nie wstydziłam się towarzyszyć Albanowi, ale czasem wstydzę się za bezmyślność ludzi. Gdy go pytają, czy da radę sam pójść do toalety, mam ochotę zapytać ich o to samo.

Nieważne, że Alban jest niewidomy, i tak jest najsprawniejszy ze wszystkich znanych mi ludzi. Mam ochotę mówić to tym, którzy dziwnie się za nim oglądają.

Tylko nie dziewczynom. Bo ich gapienie się ma źródło w innego rodzaju głupocie.

Alban jest moim najlepszym przyjacielem od zerówki, ale nie jestem ślepa na to, co sprawia, że ogląda się za nim większość przedstawicielek żeńskiego gatunku w moim wieku.

Gdyby nie zapalenie opon mózgowych, które zniszczyło jego nerw wzrokowy dwanaście lat temu, na pewno nie miałabym go dla siebie. Potwierdzają to ukradkowe spojrzenia i przyciszone chichoty dochodzące od mijających nas grup psiapsiółek. Nie chodzą do naszej szkoły. Gdyby tak było, nie szukałyby z nim kontaktu wzrokowego, żeby uruchamiać zestawy dziewczyńskich tricków z piekła rodem, składające się z różnych wariantów: uwodzącej buzi w ciup, rzucanych z boku spojrzeń czy seksownego odrzucania długich włosów.

– Zombi są najwyraźniej w cenie – mówi Linus, uśmiechając się szeroko do dwóch panienek, które właśnie rozbiegają oczami Albana. Dziewczyny spoglądają z ukosa na jego ogromne okulary i szybko się oddalają.

Prycham za nimi ze wzdargą. A potem spostrzegam torbę, którą trzyma Linus. Jest w niej coś dużego i prostokątnego, między uchwytami widać niebieską wstążkę do pakowania prezentów.

– Czy to...? – szepczę.

Linus potakuje, kładąc palec na usta. Do niego należało kupienie naszego wspólnego prezentu urodzinowego dla Albana, w czasie gdy ja odciągnęłam jubilatę na *power-shopping*².

– Co to? – Czuję zimne ukłucie na policzku i odchyłam w tył głowę. Szare niebo jeszcze bardziej pociemniało i gdzieś tam odrywają się od niego białe płatki. – Śnieg. Idziemy do domu? Zaraz odpadną mi palce u nóg!

– Nie zapomniłaś o czymś? – pyta Alban.

– No... jasne, nie możesz obyć się w swoje urodziny bez zasłużonego *brainfreeze*³ – odpowiadam.

Linus podnosi jedną brew, która teraz wystaje znad okularów.

– Twój brat wygrał danie, które ma mu zamrozić rdzeń mózgowy, bo podczas gdy my, normalni śmiertelnicy śpimy, on zakuwa typy mieszanek z bawełną – wyjaśniam. – Spoko – kwituje Linus, jak gdyby miało to jakiś sens.

– Możemy kupić lody w Brugsenie⁴ po drodze do waszego domu, to nie zdążą się roztopić. – Podaję Albanowi ramię i ruszam w kierunku przystanku autobusowego, trochę dalej na tej samej ulicy.

– Roztopić się? Przy dziesięciu stopniach mrozu? – Linus podciąga zamek kurtki aż po samą brodę.

– Właśnie, co się dzieje z tą pogodą? – Zimny wiatr sprawia, że boli mnie skóra i łzawią oczy. Zaciągam mój gigantyczny szal na usta i policzki i zsuwam na brwi czapkę. Pewnie przypominam mumię, która ześwirowała na wyprzedaży wełny, ale nienawidzę zimna prawie tak samo jak pełnych uprzedzeń idiotów.

– Brr, jak musi być zimno, tak tam siedzieć. – Linus wskazuje głową na zwiniętą w kłębek postać, która kuli się do fasady sklepu.

– Ktoś siedzi na chodniku – wyjaśniam Albanowi. – Pewnie bezdomny – dodaję na widok umieszczonego przed postacią paska brązowego kartonu. Jestem za daleko, żeby odcyfrować litery.

– Poczekajcie... – Alban przystaje i zaczyna przeszukiwać kieszeń. Znajduje pięćdziesiąt koron i kilka monet. – Niestety, nie mam więcej. – Wręcza mi pieniądze.

Podchodzimy bliżej.

Kłębek okazuje się kobietą o rozczochranych siwych włosach.

Jej pokryte ciemnymi plamami pończochy być może były kiedyś białe albo pastelowe. Ma na sobie zdeптane męskie buty i znoszoną spódnicę w kwiaty. Kurtka jest o kilka rozmiarów za duża, podobnie jak jej pomarszczona skóra.

Żaden z przechodniów nie zatrzymuje się ani nie patrzy w jej stronę.

Kobieta wydaje się nas nie zauważać, choć stoimy niecałe dwa metry od niej. Kiwa się manotonnie, jak robot, zanurzona we własnym świecie.

Waham się, patrzę na kartonowy szyld.

„KONIEC JEST ŚLISKO!”, głosi nabazgrany wąskimi literami napis.

Zatkało mnie. Myślałam, że typy wieszczące o sędzie ostatecznym istnieją tylko w filmach! Oby nie zaczęła wygłaszać wykładu o końcu świata.

Robię niezdecydowany krok w jej stronę. Kobieta nadal nie reaguje. Z bliższej odległości słyszę, że coś mamrocze. Mam po prostu położyć pieniądze i odejść? Kucam przy kartonowym szyldzie.

Mój ruch sprawia, że kobieta podnosi głowę, i nagle patrzę w załamane oczy o pokrytych szarobiałą błoną źrenicach. Pewnie jest ślepa.

A jednak usta wypełnione pieńkami zepsutych zębów otwierają się w bezgłośnym krzyku, jak gdybym ją przestraszyła.

Jak gdyby mnie widziała.

A potem kieruje mlecznobiałe spojrzenie na stojących za mną Albana i Linusa. Na jej twarzy pojawia się strach, potem niedowierzanie i wreszcie coś, co mogę opisać tylko jako śmiertelne przerażenie.

– To wy! – piszczy.

Czy już ją kiedyś widziałam?

– Chcę tylko... – zaczynam.

– To wy! – woła skrzekliwym głosem. – Wy!

Nie, jestem prawie pewna, że nigdy przedtem jej nie widziałam.

Oglądam się. Alban i Linus stoją nieruchomo, przygwożdżeni jej wybuchem.

– To stanie się teraz! – Jej krzyk przyciąga ciekawskie spojrzenia. – Nadchodzi! Teraz to się stanie!

Kobieta wyciąga w moją stronę zakrzywiony palec i ścisza głos do teatralnego szeptu: – To wasza wina!

– Co się stanie? – pytam, zirytowana tym, że niechcący stałam się statystką w jej kazaniu o dniu sądu. Już mam się podnieść, gdy kobieta chwyta mnie za ramię. Mocno. Pieniądze wypadają mi z ręki i niemal tracę równowagę.

Kobieta trzyma mnie mocno i przybliża się tak, że czuję zapach starego potu.

– Nadchodzi *horror vacui*. I znajdzie was. Nic nie możecie zrobić. ZNAJDZIE WAS! – Jej kościste palce wpijają się w moje ramię z zadziwiającą siłą.

– Au, proszę przestać!

– Hej, niech ją pani puści! – woła Linus. Kładzie jej rękę na ramieniu i odpycha ode mnie. Nie popycha mocno, ale kobieta przewraca się na ścianę, a ja siadam z impetem na ziemi.

Wstaję z trudem, kość ogonowa boli po ostrym spotkaniu z brukiem.

Linus kładzie pieniądze na przewrócony kartonowy szyld, nie spuszczaając kobiety z oka.

A ona z powrotem skuliła się w sobie, siedzi i mamrocze. Kościste ciało kiwa się na boki gwałtowniej niż przedtem.

– Położyliśmy pani na kartonie trochę pieniędzy – mówi Linus, ale kobieta nie odpowiada.

Linus spogląda na mnie i wzrusza ramionami. W głębi za jego plecami spostrzegam w mroku dobrze znany żółty kształt.

– Autobus! – wołam.

Linus obraca się na pięcie i rusza biegiem w kierunku przystanku, machając ramionami, żeby zwrócić uwagę kierowcy.

Rozlega się pisk hamulców, odwracam się od dziwnej starej kobiety, żeby wspierać Albana, i ostrożnie biegniemy do autobusu.

ROZDZIAŁ 2

– Ta bezdomna chyba nie jest całkiem zdrowa, co? – pyta Linus, gdy stoimy w wąskim przedpokoju i tupiemy w podłogę, żeby strząsnąć śnieg.

– Co masz na myśli? – pytam kwaśno. – To przecież zupełnie normalne, napadać na ludzi na ulicy i wciskać im bzdury o końcu świata.

– Co ona mówiła? – Alban wieszka rękawice do wysuszenia na kaloryferze i pochyla się, żeby rozsznurować buty.

– „To stanie się teraz! Nadchodzi!” – powtarzam głosem jak z dreszczowca.

– I najwyraźniej to nasza wina – dodaje Linus.

– Co jest naszą winą? To, że nadejdzie koniec świata, czy co? – Alban ściąga buty.

– Nie, *horror vacui* – wyjaśniam. – Coś co najmniej tak strasznego jak dzień sądu, jeśli wierzyć tej starej wariatce... kobiecie.

– Tak strasznego jak koniec świata? No to lepiej pospieszę się z tymi lodami – mówi Alban.

– O nie, zapomnieliśmy o lodach! – jęczę.

– Nieważne. – Alban wyprostowuje się machnąwszy ręką. – Mama zrobiła tort. Na razie nie grozi nam omdlenie z powodu niedoboru cukru.

– Ktoś mnie wołał? – Z kuchni wychyla głowę Sandra, mama Linusa i Albana, drobna kobieta o srebrnych nitkach w ciemnobrązowych włosach i – jak na swój wiek – trochę zbyt wielu zmarszczkach, nabawiła się ich od zamartwiania się. Kolor jej łagodnych oczu łączy w sobie szarzielony odcień tęczówek Linusa z chłodnym błękitem oczu Albana.

– Hej, chłopcy. Hej, Emilko. – Uśmiecha się do mnie ciepło. Spędzam w ich małym mieszkanku tyle czasu, że uważa mnie niemal za swoje trzecie dziecko. Gdyby jej mąż nie umarł na raka krótko po przyjeździe na świat Linusa, miałyby może własną córkę. Tak ubóstwia swoich synów, że na pewno starczyłoby jej miłości dla dużej gromadki dzieci.

– Dzień dobry. – Odwzajemniam uśmiech i zdejmuję z grzejnika szmatę od podłogi, żeby wytrzeć plamy po śniegu.

– Zaraz przyniosę prezent Albana. Za chwilę będziemy jeść, możecie zacząć nakrywać stół. – Sandra znika w swojej małej sypialni.

Wchodzimy do kuchni, gdzie prawie gotowy jest urodzinowy obiad. Obok zmywaka leży poklejona ryżem mata do sushi i otwarta paczka prasowanych wodorostów. Na ekspresie do kawy niepewnie stoi duży talerz z kawałkami sushi. Błat stołu pokrywają brudne noże, deski do krojenia i miski, a pośród nich puste plastikowe worki i łupiny od awokado. Stołu pod nimi w ogóle nie widać.

– Tu w domu najwyraźniej też panuje *horror vacui* – stwierdzam.

– A czy to faktycznie coś znaczy? – pyta Linus. – Myślałem, że to jakieś bzdury.

– *Horror vacui* to wyrażenie używane w malarstwie, gdy się próbuje wypełnić całą powierzchnię papieru czy innego materiału – wyjaśniam. – Oznacza „lęk przed pustką”.

– Czy ci wieszczący nadejście końca świata nie grożą zwykle potopami, zarazą i ogniem piekielnym? Lęk przed pustką... to się wydaje trochę słabe, no nie?

– W jej ustach brzmiało wystarczająco paskudnie. – Potrząsam głową z irytacją, żeby pozbyć się z siatkówki wspomnienia rozszerzonych przez strach oczu kobiety.

Dziwnych, białych oczu.

– Myślisz, że była niewidoma, Linus? – pytam.

– Mmm... *pas*⁵. – Linus wyjmuję ze zmywarki czyste talerze.

– Źrenice i tęczęwki miała całkiem zamglone – otwieram szufladę ze sztućcami i wyjmuję wiązkę pałeczek do jedzenia – a jednak zdawało mi się, że mnie widzi. Wyglądała na dziko przestraszona, chociaż nie powiedziałam ani słowa.

– Może słyszała twój oddech i dlatego odwróciła do ciebie głowę – mówi Alban. – Nie zawsze trzeba ludzi widzieć, żeby wiedzieć, gdzie są. – Mruga w moją stronę. Otwiera lodówkę, żeby wyjąć butelkę zimnej wody.

Wyłuskuję z wiązki pałeczek cztery komplety, resztę wkładam z powrotem do szuflady.

– Ale... cały czas mówiła „wy”, jakby zwracała się nie tylko do mnie. I wskazała też na ciebie i na Linusa.

– Chyba słyszała nasze kroki, gdy się zbliżaliśmy – zauważa Alban. – Albo to po prostu paranoiczka. Nie wyglądało na to, żeby znajdowała się w tej samej rzeczywistości co my.

Alban ma rację. Na pewno jest stuknięta. Ale wobec tego czemu wciąż dostaję gęsiej skórki, gdy o niej myślę?

Sandra wraca do kuchni z wielkim prezentem w rękach.

Zamykam z hukiem szufladę i strząsam z siebie nieprzyjemne wspomnienie.

– No, Alban, sztywniaku – mówię głośno – chcesz prezenty przed jedzeniem czy po?

Gdy krótko po północy czyszczę zęby w mikroskopijnej łazience Albana i Linusa, mam kompletnie zamulony mózg. Takie rzeczy robią ze mną trzy godziny gry w „Bezzerrwizzera”⁶ z hardcorowymi nerdami.

Linus i ja kupiliśmy wydanie z ksylofonem i Alban stoczył dzielną, ale próżną walkę z naszym wybitnym brakiem słuchu. Sandra na szczęście pojechała na nocny dyżur w domu starców, zanim na dobre zaczęliśmy grać.

Chociaż Linus zniszczył nas w kategorii „Logika i Liczby”, a ja brylowałam w kategorii „Język i gry słowne”, to jednak po szarpiącym nerwy finale zwycięzcą został Alban. Linus i ja postawiliśmy wszystko na to, że nie wie, kto wygrał mistrzostwa świata w piłce nożnej w 1994. Oczywiście udało mu się zgadnąć, że Brazylia.

Płuczę usta i wkładam szczoteczkę na stałe miejsce w kubku. Często śpię u Albana i Linusa. Oficjalnie dlatego, że to praktyczne, skoro mieszkają naprzeciwko szkoły. Ale nieoficjalnie dlatego, że w porównaniu z moim domem u nich jest cudowny spokój. Kocham moją rodzinę, ale spokój, który znajduję u Linusa i Albana, po prostu nie istnieje w rodzinie z piątką dzieci i zwierzyńcem o zmiennym składzie pod jednym dachem.

Moje piwne oczy wyglądają w słabym świetle jak szare. Rozplatom warkocz, najbardziej splątane pasma rozczesuję palcami i z powrotem zaplatam włosy. Są koloru błota i sięgają mi tuż pod łopatki. Noszę je zawsze splecione, bo nie mam pojęcia, co innego miałabym z nimi zrobić, skoro są takie proste.

Ściągam sweter i zamieniam go na koszulę nocną w kształcie nieforemnego T-shirtu, ale zostawiam stanik. Spanie w nim pewnie hamuje przepływ krwi i piekielnie deformuje piersi, ale najlepiej się czuję, gdy moje małe, sterczące wzgórki jak od ukąszeniu komara są skutecznie ukryte. Spóźnione dojrzewanie rzuca się w oczy, gdy wszystkie dziewczyny w klasie już

umawiają się z chłopakami.

Staram się zapomnieć, że mam ciało. Opakowuję się dużą ilością ciuchów jak larwa kokonem i mam nadzieję, że pewnego pięknego dnia wyfrunę na światło w postaci pięknego motyla. Ale każdego wieczoru przeżywam takie samo rozczarowanie, gdy ciuchowy kokon pęka i okazuje się, że wciąż mam kościste kolana i fałdę tłuszczu na brzuchu.

Robię krzywą minę w kierunku larwy w lustrze, a potem zbieram z klinkierowej posadzki dzinsy i sweter.

Alban siedzi w swoim pokoju na łóżku i stroi gitarę. Ma na sobie T-shirt i spodnie od piżamy i, skoncentrowany, marszczy czoło pod sięgającą do połowy czoła grzywką. On nie musi czekać pod postacią poczwarki na stanie się doskonałym. Widok Albana z wysłużoną gitarą w kolorze ochry to stały element mojego życia, odkąd się poznaliśmy dziesięć lat temu. Narzuta na łóżko, na której siedzi, wyblakła, a jego palce urosły i łatwiej sobie radzą ze skomplikowanymi chwytami, ale postawa ciała jest taka sama. Oparty o ścianę przy wezglowiu łóżka, z jedną nogą wyciągniętą, drugą podkurczoną.

Gaszę światło i wsuwam się pod kołdrę. Alban przemieszcza się trochę dalej do ściany, żeby mi zrobić miejsce w wąskim łóżku na półtora człowieka.

– Zaśpiewasz mi kołysankę, jeśli ładnie poproszę? – pytam, zduszając ziewanie.

– To musisz naprawdę, naprawdę ładnie poprosić – odpowiada. W poświacie od lampy ulicznej za oknem widzę, jak dokręca strunę, a potem w nią uderza.

– Kochany, mądry, fantastyczny Albanie... zaśpiewasz swojej biednej, małoletniej przyjaciółce króciutką kołysankę? – Próbuję przeformatować moje psie oczy na fale dźwiękowe i kącik ust Albana się unosi.

– No dobra, niech będzie. Jeśli w zamian małoletnia przyjaciółka obieca, że potem się położy i będzie spać.

– Myślę, że niestety nie ma wyjścia. – Tym razem ziewanie zwycięża w połowie zdania i rozciąga słowa w nieładne gardłowe dźwięki.

– Czego chcesz posłuchać?

– Ty decyduj. – Przytulam się do niego i zamykam oczy.

Alban przez chwilę siedzi w milczeniu. Potem poprzez cienie między nami płynie sześć charakterystycznych tonów z początku *Nothing Else Matters*. Uśmiecham się, gdy powolnej melodii płynącej z gitary zaczyna towarzyszyć jego głos i oddziela nas od reszty świata.

*So close, no matter how far
Couldn't be much more from the heart
Forever trusting who we are
And nothing else matters.*

Nie muszę na niego patrzeć, żeby wiedzieć, że śpiewając, zamyka oczy. Sandra mówiła, że robił tak też, kiedy był mały. Wtedy, gdy miało znaczenie to, czy ma oczy otwarte czy zamknięte. Ale on sam mówi, że wciąż pomaga mu to czuć muzykę.

*Never cared for things they say
Never cared for games they play
I never cared for what they do
I never cared for what they know.*

Alban śpiewa miękko, przyciszonym głosem, jak kołysankę, bez surowej, stłumionej *heavy* energii Metallici. Rejestruję przyjemne uczucie rozluźnienia w karku, które po chwili rozlewa się na ramiona, i zapadam w sen.

ROZDZIAŁ 3

*Uczucie strachu jest obezwładniające, jeszcze zanim otworzyłam oczy.
Świetlówka w górze zalewa wszystko neonową bielą, przyprawiając mnie o ból głowy.
Leżę. Podłoga jest zimna i wilgotna. Serce wali pod żebrami, jest jak istota z tamtego świata,
która próbuje się wyrwać.*

*Na białym, lśniącym tle szybuje nad moją twarzą wygięta w łuk metalowa rura.
Powinnam wiedzieć, co to jest. Już to widziałam. Ale narastająca panika rozbija myśli.*

Ściany odbijają neonowe światło. Białe płytki są pomalowane w litery.

Na podłodze obok mnie stoi czarny pojemnik wypełniony pogniecionym papierem.

Syfon. To tak nazywa się ta metalowa rura. Leżę pod umywalką.

Jak ja się tu znalazłam?

*Próbuję się poruszyć, próbuję sobie przypomnieć, ale nie mogę. I ciało, i mózg są poza moim
zasięgiem, zapuszkowane w obezwładniającym przerażeniu.*

*Wiem, że stało się coś strasznego. I że zbliża się coś jeszcze straszniejszego. Ale nie mam
pojęcia, co.*

*Moje ciało jest pozbawione woli, wpatruję się od dołu w umywalkę, w klatce piersiowej walczą
o życie istota z tamtego świata.*

*Pod syfonem wisi kropla. Po chwili urywa się i leci w zwolnionym tempie na moją twarz.
Czekam na cichy odgłos, gdy trafi mnie między oczy, ale ona nie spada. Zmienia kierunek i leci
w dół wzdłuż ciała.*

*Na skraju mojego pola widzenia coś się porusza. Błądzą spojrzeniem dokoła w świetle, które
boli. Ale nikogo nie widać. Jestem całkiem sama.*

*Odkrywam, że to światło się porusza. Coś powoli wysysa je z pomieszczenia. A może to
chmury pełzają po ścianie i pożerają po drodze sufit, podłogę i umywalkę?*

*Między białymi płytkami ożywają fugi. Zaczynają falować mi przed oczami w słabnącym
świecie, jakbym była pijana, i jakaś siła ciągnie punkt, w którym znikają, w tę samą stronę, co
kroplę.*

Spływa na mnie mrok.

Strach jest teraz tak intensywny, że odczuwam go jak fizyczny ból.

A właściwie ból był przez cały czas.

Może umieram.

Nie potrafię myśleć.

*Mam szeroko otwarte oczy, ale nic nie widzę. Moje usta otwierają się, żeby z tym walczyć.
Krzyk rozrywa mi struny głosowe, boli gardło, boli głowa, ale nie słyszę siebie i nie mogę
przekrzyczeć mroku.*

*Gdy cienie zlewają się nade mną i zamazują ostatnie powykręcane linie, niczego już nie czuję.
Znikł nawet ból.*

Nicość niczym próżnia wysysa ze mnie wspomnienia, uczucia, życie.

Być może już umarłam.

Gwałtownie budzę się ze snu i eksploduje we mnie krzyk. Bezimienny strach nadal tkwi w środku, jakby wdrukowany w mózg.

Rozglądam się zdeorientowana. Bładozielone palce światła z ulicznej latarni głaszczą kontury mebli w pokoju Albana.

Pod mokrym od potu T-shirtem wali mi serce.

Przyciągam kolana do brody i obejmuję je ramionami. Niepokój przekłada się na delikatne kołysanie ciała. Opieram czoło na kolanach, zamykam oczy i próbuję spokojnie oddychać.

Dopiero koncentrując się na własnym oddechu, zwracam uwagę na oddech Albana. Wdechy i wydechy następują po sobie o wiele za szybko, sprawiają wrażenie hiperwentylacji.

Odwracam się do niego.

Alban leży na plecach. Promień światła padający na jego twarz ujawnia gałki oczne gwałtownie się poruszające za zamkniętymi powiekami. Oddycha z trudem, głośno, i wydaje z siebie pełne cierpienia dźwięki. Jedną ręką ściska poduszkę, drugą nagle wyrzuca w powietrze, głośno uderzając w ścianę.

Czy to jakiś atak? Ta myśl przywołuje strach z mojego snu, ukłucie lodu w sercu.

– Alban! – Potrząsam nim za ramię i Alban z cichym okrzykiem otwiera oczy.

Przez moment mam wrażenie, jakby się we mnie wpatrywał, ale po chwili przykrywa twarz ramieniem i wydaje z siebie głębokie, wibrujące westchnienie. W zagłębieniu między obojczykami lśni pot.

– Koszmar ci się śnił? – Kładę mu dłoń na ramieniu.

Potakuje, wciąż z twarzą skrytą pod ramieniem, gwałtownie oddycha.

– Tak.

– Mnie też. Pewnie zjedliśmy za dużo tortu. – Próbuję się zaśmiać.

– Uff... – Alban wyciera czoło rogiem kołdry. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio śnił mi się koszmar.

Chciałabym móc powiedzieć to samo. Ale to chyba za wiele, żądać, żeby człowieka nie prześladowały we śnie jego problemy.

Z powrotem przytulam się do Albana, a on unosi ramię, żeby mi to ułatwić. Bezpieczny, uchwytny zapach świeżego potu i dezodorantu uwalnia z mojego ciała klaustrofobiczne uczucie. Kładę rękę na klatce piersiowej Albana i wtulam głowę w miękkie miejsce tuż pod lewym obojczykiem. Gdy zapadam w sen, moje ucho i czubeczki palców rejestrują jego puls, głuchy, rytmiczny.

Znowu mrok. Serce zaczyna galopować i głęboko w krtani rodzi się krzyk.

Ale tym razem mrok ma inną konsystencję, jest mniej gęsty. Pojawiają się trójwymiarowe formy, przepędzają je kolejne fale paniki, nim poprzednie zdążą zapuścić korzenie.

Krzesło przy biurku z otworem w oparciu. Nierówny stos książek. Statyw z ogromnym białym cylindrem.

Inaczej niż w poprzednim śnie, wstaję i mogę się poruszać. Moje kroki odbijają się echem w ciemnym pomieszczeniu, jak gdyby było wysoko do sufitu i daleko od ściany do ściany.

Wzdłuż kręgosłupa przechodzą mi ciarki. Tkwi we mnie strach przed powrotem nicości, ale trzęsę się nie tylko z tego powodu. Moje oddechy zamieniają się w białe obłoki.

Zwracam uwagę na słabą strugę światła promieniejącą z dołu. Spoglądam w tę stronę i odkrywam, że światło nie pochodzi z ziemi, tylko ode mnie samej.

Wnętrza moich dłoni wydzielają fioletowe światło. Unoszę je do twarzy. Wydobywa się z nich

odgłos przypominający oddychanie śpiącego, czuję, że są gorące, rozpalone.

Wraz z fioletowym światłem pojawił się buczący dźwięk o niskiej frekwencji. Czuję mrowienie w zębach.

Odwracam od siebie świecące wnętrza dłoni, chcę znaleźć źródło dźwięku.

Podłogę z szerokich belek niemal całkowicie pokrywa dziwny pejzaż, który tworzą skrzynki, książki, luźne kartki papieru i plansze przypominające wielkie mapy.

Spoglądam w górę, ale zamiast ciemnego sklepienia sufitu widzę migoczące gwiazdami niebo. Sufit tworzą czworokątne tafle szkła, jak w cieplarni.

Po niebie mknie spadająca gwiazda, tuż za nią jeszcze jedna. I nagle ten haftowany w gwiazdy dywan zalewają rozpruwające mrok miriady rozbłysków.

Ręce wibrują gwałtowniej niż przedtem, a fiolet intensywniej, jakbym zanurzyła palce w benzynie. Moje pulsujące dłonie i spadające gwiazdy są jedynymi źródłami światła w pomieszczeniu. Gdy zamykam oczy, gwiazdy rysują rozżarzone ślady na wewnętrznej stronie moich powiek.

Znowu otwieram oczy.

I wydaję z siebie krzyk.

Wywołany zaskoczeniem i przestraszeniem, nie przerażeniem.

Z cieni zmaterializowała się tuż przede mną patykowata postać.

To chłopak w moim wieku, trochę wyższy ode mnie. W dolnej wardze ma dwie srebrne kulki, w uszach kolczyki, i czarne, rozwichrzone, opadające na oczy włosy.

Jego oczy są takiego samego koloru jak woda nad rafami koralowymi, jaką widuje się na pocztówkach. Coś pomiędzy turkusem a czystą, jasną zielenią. Intensywność spojrzenia sprawia, że pod gęsią skórą zalewa mnie ciepło.

Na szyi chłopaka wisi na sznurku trójkątna zawieszka, obramowany giętym metalem kryształ górski albo szkło.

Chłopak unosi rękę i wskazuje na coś kilka metrów dalej. Wnętrze jego dłoni promienieje silnym zielonym światłem niemal takiego samego koloru jak jego oczy.

Patrzę w kierunku, który wskazuje zielony palec, i spostrzegam duży karton przewodzkowy z symbolami na bocznej ścianie. To gwiazda i litery MT.

Uzmysławiam sobie, że to z tego kartonu dochodzi buczący dźwięk.

Znowu spoglądam na chłopaka. Zdjął z szyi wisiorek. Szklana zawieszka huśta się na sznurku pomiędzy nami. Pulsuje jasnym, białym światłem.

Nagle ze szkła wystrzeliwuje promień i trafia w karton. Światło nie jest już białe, tylko kolorowe, jak tęcza.

Buczenie narasta. Intensywniej ciepło w dłoniach i fioletowy kolor.

Chłopak patrzy na mnie z lekko przekrzywioną głową. A potem się uśmiecha. Krzywym, złośliwym uśmiechem, który trafia mnie w przeponę jak impuls elektryczny.

Otwieram oczy i czuję łaskotanie pod splotem słonecznym po nieoczekiwanym ciosie w przeponę.

Alban wciąż śpi. Jego serce bije spokojnie pod moją głową, oddycha powoli, w równym rytmie.

Unoszę głowę, kark zesztyniał mi od niewygodnej pozycji, przewracam się na plecy.

Przed oczami wciąż mam twarz chłopaka ze snu i świerzbią mnie palce, żeby ją utrwalić, zanim wspomnienie się rozplynie.

Odsuwam się ostrożnie od Albana i spuszczam nogi z łóżka. Skradam się na bosaka do mojej torby wiszącej na swoim miejscu obok jego hantli. Wyjmuję piórnik i szkicownik, nieskończenie wolno, żeby nie hałasować, i zapalam światło.

Ciche kliknięcie przełącznika brzmi w ciszy nocnej jak wystrzał pistoletu.

Wstrzymuję oddech i spoglądam na Albana. Światło nie jest problemem, lecz dźwięki to co innego. Ale nie, rytm wznoszenia się i opadania jego klatki piersiowej się nie zmienił.

Siadam przy ścianie, otwieram szkicownik na ostatniej stronie. Wsuwam dłoń do zamalowanego piórnika i znajduję ołówek.

Żeby nie spłoszyć kruchego wspomnienia, powolutku rysuję na białej kartce koła. Koncentruję się na przypominaniu sobie twarzy chłopaka, a ołówek odtwarza kontur z mojego wewnętrznego monitora. Nieraz zdarza się, że śni mi się coś, co po prostu muszę narysować, ale często zanim zdążę wyjść z łóżka, jaskrawo wyraźne obrazy redukują się do bezkształtnej masy.

Tym razem jest inaczej. Kreski zdają się płynąć po papierze i ciągną za sobą czarny czubek ołówka w tańcu o precyzyjnie przygotowanej choreografii, tańcu, którego kroki są mi znane, choć wcześniej o tym nie wiedziałam. Przygryzam górną wargę, pochłonięta własnym życiem rysunku.

– Co rysujesz?

Podrywam się, ołówek spada miękko na wykładzinę.

– Alban, do diabła! – Z trudem łapię powietrze. – Na śmierć mnie przestraszyłeś!

– Przepraszam – mówi cicho. Słyszę, że się uśmiecha.

Podnoszę ołówek i głośno wydycham powietrze. Moje ciało nie radzi sobie z taką ilością adrenaliny w ciągu jednej nocy.

– Nie rysuję niczego konkretnego – mówię. – Tylko... tylko luźne szkice, no wiesz.

To niewinne kłamstwo, tak niewinne, że może zniknąć w lekkości zdania, ale pozostawia we mnie słabe ukłucie wyrzutów sumienia. Zwłaszcza że nie wiem, dlaczego miałabym na ten temat kłamać. Przecież chodzi tylko o sen, tylko o rysunek.

Może dlatego, że Alban nie zrozumie. On przecież nie rysuje, żeby coś zapamiętać. A może dlatego, że akurat ten sen chciałabym zachować dla siebie.

– Nie mogłam już spać – mówię.

– Niespokojna artystka, jak zawsze?

– Geniusze nie śpią.

– No już dobrze, Picasso. – Alben śmieje się.

– Dlaczego właśnie Picasso? – Marszczę nos. – Kubizm to w ogóle nie mój styl. Punkty zbiegu w perspektywie linearnej w kubistycznych obrazach mnie stresują.

– Picasso był nie tylko kubistą. O ile dobrze pamiętam, czytałem gdzieś, że już na początku XX wieku...

– Okey, ty nerdzie, już nie gramy w „Bezzerrwizzera”! – Znowu pochylam się nad moim szkicem. Czarny czubek ołówka coraz wyraźniej wyczarowuje twarz ze snu.

– Węgiel? – zgaduje Alban.

– Trudno mieć przed tobą tajemnice. – Nie pojmuję, że Alban zawsze potrafi trafnie ocenić sytuację.

– Węgiel wydaje specyficzny dźwięk. Bardziej suchy niż grafit, ale nie taki miękki jak kredki.

– W twoich ustach brzmi to jak cała nauka.

– Przyrzędy do rysowania to przecież obszerny temat. – Alban przybrał ton afektowanego snoba.

Pozwalam węglowemu ołówkowi kontynuować intuicyjną wędrówkę i tym razem bardziej zwracam uwagę na trzeszczący dźwięk, który powstaje przy jego spotkaniu z papierem.

Alban sprawia, że zwracam uwagę na rzeczy, o których nie wiedziałam, że pozostają poza moją percepcją. Niesamowita uwaga, z jaką rejestruje otaczający go świat, nieuchronnie zaraża.

Zazwyczaj lubię nasze rysunkowe zgadywanki, ale teraz pierwszy raz w życiu wyczuwam mikroskopijną igłę irytacji, że nie mogę spokojnie oddać się mojemu hobby.

To pewnie ten głupi sen wywołuje we mnie drażliwość.

Rysuję dalej w ciszy.

Wydaje się, że minęła wieczność, nim Alban znów zaczął równomiernie oddychać i zostawił mnie sam na sam z tajemniczym chłopcem.

ROZDZIAŁ 4

Listopadowy poranek przenika przez grubą zimową kurtkę, obleka moją twarz w nieczułość. Ulicą oddzielającą dom Albana i Linusa od szkoły ślimaczą się samochody, jezdnia jest zabrudzona przesyconym solą, topniejącym śniegiem.

Zęby zaczęły mi szczekać, jeszcze zanim Linus zamknął za nami drzwi. Przejście do szkoły zajmuje mniej niż dwie minuty, uznałam więc, że rękawiczki mogą zostać w torbie, ale gryzący wiatr sprawia, że zmieniam zdanie i gdy przechodzimy przez śliską jezdnię, czerwonymi, sztywnymi palcami szukam suwaka.

Nagle, już na przeciwnym chodniku, głowa eksploduje mi rozżarzonym do białości bólem. Upuszczam torbę, ręce sięgają do twarzy, którą oblepił twardy, zmieszany z piaskiem śnieg.

Kłękam, wciąż przyciskam jedną rękę do oczu i po omacku szukam swoich rzeczy. I wtedy rozbrzmiewa głośny śmiech.

Drugą ręką znajduję torbę i z przerażeniem odkrywam, że książki i papier leżą rozrzucone w śniegu.

Słyszę, że Linusa też dosięga śnieżna kula.

– Jonatan, ty kretynie! – rzuca wściekły.

Alban podnosi ramię i na wszelki wypadek ochrania twarz łokciem, choć kule zazwyczaj go omijają. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek był jawnie dręczony. Nawet przez Jonatana. Może dlatego, że jest niewidomy, a może po prostu dlatego, że jest Albanem.

Jego usta tworzą twardą, białą linię, ale nic nie mówi. Na szczęście. Z czasem zrozumiał, że to tylko pogarsza sytuację.

Linus kłęka i żeby mi pomóc, chwyta moją torbę.

Mrugam powiekami, strząsając z siebie śnieg i tańczące przed oczami migotliwe plamki. Wyszarpuję ze śniegu przemoczone podręczniki i ładuję je do torby. Z bólu i wściekłości wzbierają mi w oczach łzy.

Na widok szkicownika pływającego w brudnej kałuży wody zmieszanej z kaszkowatym śniegiem coś ściska mi żołądek.

Linus, czerwony na twarzy z wściekłości, podnosi szkicownik i mi go podaje.

Szybko wycieram rękawem okładkę, żeby nie dopuścić do przesiąknięcia papieru wodą, i wciskam blok do plecaka.

Śmiech się nasila, wyróżnia się zwłaszcza jeden głos. Pozostałe to tylko jego nerwowe echa.

Podnoszę oczy i patrzę w twarz, która mnie prześladowuje w większości koszmarów sennych. Wykrzywia ją radość z naszego nieszczęścia.

Jonatan nigdy nie marnuje szansy upokorzenia mnie, a ja byłam zbyt zajęta snami i rysowaniem, żeby martwić się śniegiem, który sypał wieczorem i w nocy. Byłam głupia, naprawdę głupia.

Rękawice mojego prześladowcy są mokre od na wpół roztopionych kryształków lodu.

Szare oczy patrzą przez zwężone powieki, ostrzyżony na jeża Jonatan rechocze tak, że aż mu się trzęsą ramiona.

– Nie potrafisz utrzymać równowagi, Debilio? – rechocze, a w zbitej grupce widzów, którzy stanęli półokręgiem wokół nas, tu i tam wrywa się chichot. Zęby tak mi szczękają ze złości, że latające przed oczami migotliwe plamy wracają z podwójną siłą. Zbieram ostatnią kartkę papieru i podnoszę się. Przebijam się przez śmiech, ze wzrokiem skierowanym ku ziemi, mocno trzymając za ramię Albana.

Wchodzę do pustej klasy zdyszana, z płonącymi policzkami, i od razu kieruję się do mojego miejsca. Ostatnia ławka najbliższej okna.

Rzucam kurtkę na oparcie krzesła i ściągam czapkę. Gdy ostrożnie przykładam ją do twarzy, czuję szczypanie na grzbiecie nosa i na policzku, a na włócznie pojawiają się plamy z ziemi i kropelki krwi. Ciskam czapkę na kurtkę i ciężko opadam na krzesło. Gotuję się w środku.

Szkicownik leży na ławce, wybrzuszony, poplamiony. Biorę go do ręki i rękawem osuszam z wilgoci okładkę, a potem zaglądam do środka. Wiele rysunków jest do wyrzucenia. Na pierwszych stronach zostały rozpływające się plamy, barwne albo w różnych odcieniach szarości i czerni, i nie da się ich porozdzielać, nie niszcząc papieru.

Za piekącymi powiekami palą mnie łyzy wściekłości, ale gryzę się w policzek, nie chcę ujawnić mojej słabości.

Tak właśnie jest od pierwszego dnia szkoły, gdy Jonatan ukradł mi śniadanie i urwał sznurek od kaptura mojej letniej kurtki. Z upływem lat przybierało to nowe formy: codzienne bluzganie, wlewanie mi do torby skisłego mleka, łamanie kredek akwarelowych i wieczna ścieżka dźwiękowa wzgardliwego śmiechu, który towarzyszy wszystkiemu, cokolwiek robię.

Kilka lat temu przestałam jeździć do szkoły rowerem, bo nie miałam już sił tłumaczyć się z kolejnych przebitych opon. I niemal od początku mam zastrzeżony numer komórki. Przestałam też sprawdzać wiadomości na Facebooku. Zbyt często czerwona liczba nad ikonką wiadomości sygnalizowała, że Jonatan zachował się wrednie. Zablokowanie konta nie wystarcza, łatwo jest stworzyć fałszywe profile.

Nie udało mi się wydedukować, co takiego mu zrobiłam.

Jeszcze się pogorszyło, gdy szkołę ukończyli jego trzej starsi bracia. Jak dotąd stara się jak może dorosnąć do ich opinii psychopatycznych kretynów. Może jeśli przed osiągnięciem pełnoletności zaliczy się wyrok więzienia i eksperymenty z twardymi dragami, to dostaje się ekstra bonus na koncie kretyńskich osiągnięć? Jeśli tak, to bracia Jonatana wygrywają na punkty. Nic dziwnego, że najmłodszy dupek z całych sił stara się ich dogonić.

Linus mówi, że tak naprawdę Jonatan tylko cierpi z zazdrości, bo jestem mądrzejsza od niego. „Naczelne pokazują zęby i ruszają do ataku, jeśli czują się zagrożone. On z twojego powodu czuje się słaby przed resztą stada. Ergo, należy cię tępić. Prosta zasada behawioryzmu”.

Ale to, że Jonatan jest klasycznym przykładem mały o niskiej samoocenie, żadna pociecha.

Siłą wypycham go ze swojego mózgu i znów koncentruję uwagę na szkicowniku. W środku kolorowej kaszki na jednej z kartek przy odrobinie dobrej woli da się jeszcze rozróżnić słowa *carpe diem*. To znaczy po łacinie „chwytaj dzień”. Czyli chodzi o to, żeby żyć chwilą, YOLO (*You Only Live Once*) w wersji starożytnych Rzymian.

No tak, zbieranie przysłów i łacińskich cytatów nie jest typowym zajęciem nastolatki. Ale jest w każdym razie fajniejsze od studiowania kretyńskich popowych tekstów i SMS-owego u2–języka, co robi większość moich rówieśników.

Przysłowia walczą o miejsce w mokrym szkicowniku, otoczone kolorami i postaciami. Zielone i niebieskie paski płyną jak krew z wilgotnych liter *carpe diem* i mieszają się

z czerwonymi i żółtymi barwami motyli, które trzepoczą rozbryzgane wokół tych dwóch wyrazów.

Na przeciwległej kartce napisałam ozdobnymi literami *gutta cavat lapidem*, to znaczy „kropla drąży kamień”. Przypominają mi o tym, że coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się słabe i uległe, może mieć w sobie dość siły, by zwyciężyć nawet najtwardszy opór.

Stwierdzam ze smutkiem, że topniejący śnieg wchłonął wiele przysłów z ostatniego miesiąca. Jeśli nie chcę, żeby mokre rysunki zniszczyły pozostałe, muszę je wyrwać. Usuвам jedną po drugiej posklejane kartki, aż obok szkicownika zebrała się kupka kolorowego błotka.

Tajemniczy chłopak na szczęście pozostał nieuszkodzony. Zdążyłam tylko narysować go ołówkiem węglowym i patrzy teraz na mnie z krzywym uśmiechem na bezbarwnych ustach. Grzywkę ma tak długą, że niemal zasłania brwi i jedno oko, i jest chaotyczna w ten świadomie przypadkowy, emo-punkowy sposób, który przypomina styl manga.

Ale poza rozwichrzoną czupryną nie ma w nim nic z wielkookich postaci z japońskich kreskówek. W dolnej wardze, na wysokości trójek, tkwią dwa kolczyki, do tego w każdym uchu czarne kółko. Mają przynajmniej centymetr średnicy.

Jasna sprawa, że to *bad boy*⁷. Niepokojąco inny niż słodkie zwierzęta i urocze księżniczki-elfki, które zwykle rysuję.

Nauczycielka sztuki kręci głową na te moje motywy. „Za dużo motyli, Emilko... życie to co innego niż motyle”. Chciałaby więcej „kantów”, jak to określa. Ale jeśli czyjaś rzeczywistość i tak jest wypełniona kantami, to nie ma się potrzeby odtwarzania ich na papierze. W każdym razie nie świadomie. Ciekawa jestem, jaka część mojej podświadomości wyczarowała chłopca z kolczykami?

Ponowne spotkanie z uśmiechem ze snu powoli unosi także kąciki moich ust. Jedną ręką sięgam do torby i wydaję wilgotny piórniki. Wybieram turkusową kredkę o dobrze wyważonej proporcji zieleni i błękitu i zaczynam cieniować tęczę jednego oka.

Oczy to pierwsza rzecz, którą zawsze rysuję, i pierwsza, którą koloruję. Dusza rysunku zależy od oczu. Jeśli oczy nie mają odpowiednio żywego żaru, rysunek nigdy nie będzie dobry. Chodzi o to, żeby *highlights*, cienie i niuanse barw grały razem w idealnym połączeniu. Rzęsy mają być podwinięte w całkiem konkretny sposób, tak żeby nie przypominały sztywnych szczotek, a obszar tuż pod brwią zawsze musi być jaśniejszy, niż się wydaje, że jest.

Do klasy powoli napływają pozostali uczniowie. Odgłosy ich kroków i pogawędki pozostają tylko słabym szumem, który nie rozbija mojej koncentracji.

Wzdrygam się na głośny śmiech Jonatana. Automatycznie pochylam się niżej nad rysunkiem i mocno ściskam turkusową kredkę. Wstrzymuję oddech i czekam, aż Jonatan podejdzie do mojej ławki, ale jest zbyt zajęty śmianiem się z własnego dowcipu, żeby nadal zajmować się moją osobą.

Razem z nim śmieją się Casper i Mathias. Jak zawsze. Debilni giermkowie Rycerza Dupka.

Wyprostowuję plecy, ale nie na tyle, żeby robić wrażenie nadmiernie pewnej siebie. Nie ma powodu się dopraszać.

Choć nie jestem bynajmniej jedyną ofiarą Jonatana, to jasne jest, że należę do jego faworytów. Może zrezygnuje w dniu, w którym doprowadzi mnie do płaczu w obecności innych. Może prowokuje go to, że nie jestem taka jak wielu spośród tych, których mobbuje. Że nie płaczę ani nie histeryzuję, ani nie skarżę dorosłym.

Przysłowie *ēloquium est argentum, silentium est aurum* leży niestety w kupce błotka razem z martwymi, rozmazanymi rysunkami, ale nie deprecjonuje to jego znaczenia. „Mowa jest

srebrem, a milczenie złotem”. To jedno z niewielu przysłów, które się powtarzają w moich szkicownikach. Milczenie to jedyna broń kropli przeciw kamieniowi.

Do klasy wchodzi nauczycielka duńskiego, Mette. Zaczyna pisać na tablicy i opowiadać o pochodzeniu gatunku science fiction.

Wyciągam z torby zeszyt, żeby sprawić wrażenie, jakbym miała zamiar uczestniczyć w lekcji. Nadal robię notatki ręcznie, bo mogę wtedy równocześnie rysować. Poza tym lepiej zapamiętuję słowa, jeśli uformuję ich kształt ołówkiem, zamiast po prostu tłuc je w klawiaturę.

Białe kredowe litery na tablicy niewyraźnie widać z mojego miejsca w ostatnim rzędzie. Muszę mrużyć oczy, żeby zmusić je do odcyfrowania słów. Właściwie powinnam nosić okulary, które mama kupiła dla mnie w Netto, ale to dałoby tylko Jonatanowi jeszcze jeden powód do nękania mnie. Szósta i siódma klasa z aparatem na zębach były wystarczającym koszmarem.

Mette mówi dalej, ale ja nie słucham. Czas i przestrzeń się rozmywają, na twarzy chłopca powoli wyłaniają się barwy.

ROZDZIAŁ 5

Pod koniec lekcji duńskiego twarz w szkicowniku ma zupełnie inny wyraz. Płaski i bezbarwny szkic zamienił się w żywy i niemal trójwymiarowy portret.

Czerń dziwnej fryzury jest intensywniejsza, spod grzywki niebieskozielono połyskują oczy. Jeden kącik ust opada w dół, choć chłopak się uśmiecha, a drugi unosi się ku górze ostrym łukiem tworzącym w policzku głęboką zmarszczkę.

Trójkątna szklana zawieszka na piersi ma cienkie, wijące się obramowanie. Żeby przypominało metal, trzeba było wielu tonów szarości i punkcików światła. Zawieszka rzuca w kierunku brzegu kartki spektrum światła o kolorach tęczy. We śnie zdawało się, że szkło rozszczepia białe światło w jej centrum na masę różnych barw.

Rozszczepianie... coś mi to mówi.

Mam przed oczami stronę tytułową naszego podręcznika do chemii i fizyki. Jestem prawie pewna, że taki kawałek szkła nazywa się pryzmatem.

W jakim stopniu jest się nerdem – w skali od jeden do dziesięciu – jeśli lekcje fizyki wkradają się człowiekowi do snów?

Widzę za oknem szary, zimowy pejzaż w ostrym kontraście z feerią barw na moim rysunku. W czasie lekcji z nieba niepostrzeżenie syknęło śniegiem. Byłoby pięknie, gdyby mi nie przypominał, co mnie czeka, gdy znowu wyjdę za dwór.

Mija przerwa, a ja nie ruszam się z miejsca. W miarę jak salę wypełniają uczniowie dziewiątej klasy, rośnie wokół mnie intensywność hałasu. Nie podnosząc głowy, wyciągam podręcznik do matematyki. Nie chcę mieć przyjemności kontaktu wzrokowego z Jonatanem i dolewać oliwy do ognia.

To całkiem normalne, że jeśli nie spotykam się z Albanem i Linusem, spędzam przerwę w towarzystwie mojego szkicownika. Właściwie nie mam kontaktu z resztą klasy. Tylko gdy jestem do tego zmuszona, kiedy mamy przygotować prezentację czy coś takiego. Miejsce obok mnie jest zawsze puste. Nikt nie chce zarazić się tajemniczą chorobą Emi, która przyciąga wredne zachowania Jonatana.

Nie żeby mi to przeszkadzało. Spośród moich rówieśników tylko z Albanem i Linusem wytrzymuję dłużej niż dwie minuty bez ciągłotek do zatkania sobie ołówkami przewodów słuchowych.

Siedzę całkowicie pochłonięta cieniowaniem kości policzkowej chłopca ze snu, gdy otwierają się drzwi klasy. Kroki w kierunku tablicy i towarzyszące im skrzypienie skóry butów wygaszają szum stłumionych głosów.

Podnoszę wzrok znad cieniowanego rysunku, żeby zlokalizować tajemnicze źródło ciszy.

Przed katedrą stoi wysoki żylasty mężczyzna.

Moje spojrzenie wędruje od brązowych skórzanych kozaków z indiańskimi frędzlami i sztruksów o wytartych do połysku kolanach, do pstrokatego swetra, srebrnosiwiej brody i długich, związanych na karku włosów.

Ale to nie zaskakujący hippisowsko-Gandalfowy styl przyciąga mój wzrok.

To twarz tego mężczyzny.

Skóra na lewym policzku połyskuje od nierównych blizn, a grzbiet nosa, część czoła i lewe oko zakrywa skórzana klapka. Może to sprawiać komiczne wrażenie, ale mnie nie do śmiechu.

Tylko Jonatan odważa się na przytłumiony chichot.

Odkąd miesiąc temu Svenning poszedł na zwolnienie, mieliśmy wiele różnych zastępstw na matematyce, ale żadna z tych osób nie była... taka.

– Cześć, dzieciaki. – Głos jest melodyjny i dużo niższy, niżby się można spodziewać, sądząc po długich, cienkich kończynach. Blizna i wielka broda utrudniają ocenę wieku mężczyzny. Może mieć od czterdziestu do nawet siedemdziesięciu lat.

Nikt nie odpowiada.

– Mam na imię Janus – mówi dalej nauczyciel. – Przykro mi, że pan Svenning zachorował. Jak już wiecie, stwierdzono u niego rzadką i nieuleczalną chorobę, co oznacza, że niestety nie wróci do uczenia. Oznacza to też, że ja przejąłem jego etat. Innymi słowy, będziemy przez resztę roku szkolnego cieszyć się swoim towarzystwem zarówno na angielskim, matematyce, jak i fizyce/chemii. – Siwy wąs rozdziela się pod nosem, ustępując miejsca uśmiechowi, w którym jest powaga. Jasnoróżowa tkanka blizny pod klapką marszczy się, wywołując w moim żołądku lekkie mdłości.

Mimo to nie mogę oderwać od niego wzroku.

Ciekawe, czy wobec tego zastąpi też Svenninga jako nauczyciel wspierający Albana?

Choć Alban jest super bystry, na niektórych lekcjach musi być przy nim widzący pomocnik. Nauczyciele wspierający uczniów w najstarszych klasach zmieniają się, żeby mu pomagać w przedmiotach wymagających aktywności fizycznej jak sztuka i sport, i tych, w których najbardziej potrzebne jest widzenie, jak na przykład matematyka, gdzie nauczanie w dużym stopniu przebiega przy użyciu tablicy.

Ze względu na chorobę Svenninga w ciągu ostatnich kilku tygodni niektórzy nauczyciele musieli przejąć jego lekcje wspierające. I choć Alban nie narzekał, wiem, że pojawienie się w środku roku szkolnego nowego porządku, jest wyczerpujące.

Uderza mnie niezamierzony komizm tej sytuacji, w której jednooki mężczyzna będzie pomagał niewidomemu.

Zdrowe oko Janusa skanuje oniemiałe zgromadzenie i zatrzymuje się na mnie, jak gdybym głośno myślała.

– Chyba jest ktoś, kto pali się do nauki. – Janus wskazuje głową na mój blok, a świeżo zabliźniona skóra wokół klapki marszczy się od uśmiechu.

Oblewam się ognistym rumieńcem i nagły przypływ krwi sprawia, że zaczynam czuć pulsowanie w zadrapanym naskórku na nosie.

Inni nauczyciele na dobrą sprawę nigdy nie zwracają się do mnie w czasie lekcji. Mamy coś w rodzaju niepisanej umowy. Tak długo jak długo dostaję wysokie oceny z prac pisemnych, mam względny spokój.

– Eee... tak. – Wsuwam mokry szkicownik pod zeszyt, kłopotliwie pusty po lekcji duńskiego.

Śmiech Jonatana sprawia, że rumieniec wsiąka mi pod skórę.

Na szczęście Janus znów odwraca uwagę ku całej klasie.

– Dobrze. Ponieważ dość nagle dowiedziałem się, że będę uczył różnych przedmiotów, pomyślałem, że do gwiazdki popracujecie z zadaniami międzyprzedmiotowymi. Napiszecie w parach projekty, których temat łączy matematykę, fizykę, chemię i angielski. Zaprezentujecie je tuż przed feriami.

Kilka osób cicho wzdycha, demonstrując niezadowolenie, a ja bezwiednie wciskam się głębiej w krzesło.

O, nie. Wszystko, tylko nie praca grupowa! Janus mówi dalej, jakby nie słyszał pełnych dezaprobaty reakcji.

– Przygotowałem już główny temat, który pozwoli wam włączyć do pracy różne przedmioty. Ponieważ jestem zdania, że młodzi ludzie zdecydowanie za słabo dziś zdają sobie sprawę ze swojego znikomego znaczenia w szerokiej perspektywie... – piwne oczy na moment wpijają się w Jonatana – ... postanowiłem, że będziecie pisać na tematy odnoszące się do wszechświata.

– Wszechświata? – W stronę Janusa wystrzeliwuje z pierwszego rzędu piskliwy, cienki głos. To Adriana, klasowy superdziobak, jak zwykle jako pierwsza zgłasza uwagi. – Co ma pan na myśli z tym „wszechświatem”? To przecież bardzo szeroki temat! – Kręci poirytowana głową, aż na oparciu krzesła tańczą wężowe blond loki.

– Właśnie o to chodzi. Takie wyzwanie dobrze wam zrobi – odpowiada Janus spokojnie. Mówi z lekkim obcym akcentem, ale nie potrafię go zidentyfikować.

– Tematy mogą dotyczyć wszystkiego, co wiąże się ze wszechświatem. Jeśli tylko zawrzenie elementy z wszystkich czterech przedmiotów, możecie pisać, o czym wam się podoba. O badaniu przestrzeni kosmicznej, mgławicach, pierwszym locie na Księżyc czy teorii względności Einsteina, zależnie od tego, co wam się wyda najciekawsze.

Teoria względności... gdybym tak mogła pisać z Linusem! Zajmowanie się czymś takim kompletnie by go elektryzowało.

– Pracę należy oddać za cztery tygodnie, a potem będziecie mieli tydzień na przygotowanie prezentacji. Będę oceniał zarówno współpracę, sam projekt, jak i prezentację.

Zezuję na Adrianę. Biedny ten, kto będzie z nią pracował. Powstanie z tego przepis na powolną i bolesną śmierć.

Adriana nienawidzi pracy grupowej co najmniej tak samo jak ja. Chociaż w przerwach otacza ją stała klika kłótliwych psiapsiółek, na lekcjach zazwyczaj biegnie swój zajadły rajd solo. Każdego z IQ poniżej poziomu Mensy uważa za kulę u swoich zgrabnych nóg.

– Jak się zazwyczaj dzielcie w grupy? – pyta Janus.

– Svenning pozwalał nam samym wybierać – odpowiada Adriana szybko. Nikt nie zaprzecza, chociaż to kłamstwo.

– Okey – mówi Janus – a więc najwyższy czas, żeby was trochę przemieszać. Tym razem ja was podzielę.

Przez klasę przechodzi szmer niedowierzania, ale Janus dusi w zarodku przymiarki do narzekania i idąc wzdłuż rzędów, zaczyna przypadkowo wskazywać ludzi.

– Ty, w ostatnim rzędzie – patrzy na mnie – będziesz razem z nią – robi półobrót i wskazuje Adrianę.

Co? Nie!

Gapię się na moją nową partnerkę, skamieniała z szoku, a głos Janusa stopniowo coraz bardziej przypomina szemranie młynka gdzieś w tle.

Nauczyciele oczywiście uwielbiają Adrianę. Jej pełne pychy monologi ratują ich przed wysiłkiem wyciągania odpowiedzi od nas pozostałych.

Ale ja nie należę do jej fanklubu. Ludzie tacy jak ja są niewidzialni w świetle Adriany, w którym chodzi o to, żeby najgłośniej krzyknąć, zgłaszać się jako pierwsza i być najlepszą, w którym mowa jest złotem, a milczenie charakteryzuje tępaków.

Niestety, nie jestem już niewidzialna. Zwężone oczy Adriany miotają w moim kierunku

lodowato-błękitne błyskawice, a usta zaciskają się w pomarszczony, lśniący od błyszczyku pasek.

Zapadam w krzesło, chcę się pozbyć rosnącej w gardle guli.

Janus wraca do tablicy, skończył dzielenie nas na grupy. Rzut oka na klasę pokazuje, że wszyscy są niezadowoleni z rezultatu.

Benjamin, który też siedzi w ostatnim rzędzie, niedaleko mnie, wygląda, jakby wyciągnął Czarnego Piotrusia. Jego oczy za grubymi szklami okularów są wielkie i przerażone, patrzą na Jonatana, który pokazuje zęby w oślinionym uśmiechu i skierowany w górę kciuk.

Adriana zaszczyca mnie ostatnim wściekłym spojrzeniem i podnosi rękę.

Janus daje jej głową znak.

– Słucham?

– Ile stron mamy napisać? Robić przypisy od razu, czy stworzyć załącznik z przypisami? Ile minut ma trwać prezentacja? Czy część ustna liczy się tak samo jak pisemna? I czy absolutnie musimy robić wszystko razem? – kończy serię pytań-strzałów nadgorliwej prymuski, zerkając w moją stronę. „Współpraca” to w jej świecie prawdopodobnie coś bliskiego wyzwisku, wstrętny posmak wymiocin na języku.

– Dostaniecie pisemny opis praktycznych wymogów dotyczących liczby stron, struktury i tak dalej – mówi Janus. – Prezentacja ma trwać około dwudziestu minut i ma być podzielona równo między poszczególne osoby. A współpraca to ważny element całości. Jeśli nie będziecie umieli współpracować z innymi, daleko nie zajdziecie. I dotyczy to nie tylko tego projektu.

Adriana notuje ze zgorzkniałą miną, a mój barometr dobrego humoru spada poniżej zera. To będzie pięć bardzo długich tygodni.

– Oczekuję propozycji tematów od każdej pary przed końcem jutrzejszych lekcji – kontynuuje Janus. – Możecie od razu iść do biblioteki robić burze mózgów.

Spoglądam na kupkę błotka zawierającą martwe *carpe diem* i nie jestem w stanie wykonać jakiegokolwiek ruchu. Adriana na pewno zrobi ze mnie miazgę swoim trującym spojrzeniem, jeśli się choćby przymierzę do zagadania do niej.

Dokoła rozlega się szuranie krzesłami o linoleum i po cichu wymieniając uwagi, ludzie powoli opuszczają w grupkach salę.

Jestem tak bardzo zajęta swoją beznadziejną sytuacją, że spostrzegam Adrianę dopiero, gdy głośno chrząka tuż obok mnie.

– Schodzę do biblioteki – informuje.

– Ale... przecież w ogóle jeszcze nie wiemy, o czym będziemy chciały pisać!

– Możemy wybrać temat w bibliotece. Nie mam ochoty znaleźć się na liście oczekujących na najlepsze książki tylko dlatego, że ty jesteś niemrawa – rzuca i odwraca się na pięcie. Długie włosy załopotwały w powietrzu, zostawiając po sobie ostry, syntetyczny zapach kwiatów. Adriana wymaszerowuje z klasy i szybko zostaje zredukowana do echa rytmicznych kroków na korytarzu.

Powiedziała „możemy”. Więc chyba nie mam wyboru.

Podnoszę wzrok.

Janus stoi ze skrzyżowanymi ramionami oparty o tablicę i mi się przygląda. Wyczekująco. Jak gdyby właśnie odgwiżdżał początek walki gladiatorów i tylko czeka, że zostanie roztarta na miazgę.

Wstaję, chwytam torbę i wychodzę z klasy za Adrianą. Mam uczucie, jak gdybym zostawiła na krześle żołądek.

ROZDZIAŁ 6

– A gdyby tak o Marsie? – pytam. – Na pewno da się znaleźć ciekawe artykuły o lądowaniu na Marsie, co? – Moje usta speedują w panice. Bliskość Adriany niesie z sobą fizyczny dyskomfort, uczucie ciężaru na klatce piersiowej.

Chodzimy wzdłuż szeregów półek w bibliotece, moje palce ślizgają się po grzbietach książek w poszukiwaniu wsparcia w ich okładkach o grudkowatej powierzchni, za którymi kryją się dające poczucie bezpieczeństwa, bezsporne fakty.

– O lądowaniu na Marsie? Chcesz powiedzieć na Księżycu? Bo na Marsie ludzi jeszcze nie było – triumfuje Adriana. Przelatuje wzrokiem grzbiety książek, nie dotykając ich. – To niesamowite, jaki tu jest fatalny wybór! – Ze złością rzuca głową, żeby pozbyć się włosów z twarzy.

Tylko my przyszyliśmy prosto do biblioteki. Pozostali z klasy siedzą po korytarzach i udają, że robią burzę mózgow, ale fragmenty rozmów, które słyszałyśmy, dotyczyły jak dotąd raczej kabrioletów, wzmocnionych motorowerów i tego, kto się z kim lizał w sobotę na imprezie u Daniela.

– Dobrze wiem, że na Marsie nie było jeszcze ludzi – mówię, wkurzona, że wyszłam na idiotkę – ale już mnóstwo napisano o robotach, które...

Dopiero teraz spostrzegam dziewczynę siedzącą kilka regałów dalej przy jednym z dwóch bibliotecznych komputerów.

Energicznie żuje gumę, od czasu do czasu spoglądając na drzwi, jak gdyby na kogoś czekała. Jej twarz wydaje mi się znana, ale jestem pewna, że nigdy jej nie widziałam w szkole.

Dredy w odcieniach czerwieni i pomarańcza są zwinięte na głowie w duży pęk. Gdy się porusza, jej fryzura wygląda niemal jak ognisko. Na nogach ma wojskowe buty, jest ubrana w dziurawe džinsy i ciasny T-shirt w słonecznym kolorze z nadrukiem trupiej głowy w kształcie serca. Przez dziury w spodniach widać rajstopy koloru jazgotliwej zieleni.

Dziewczyna walnęła myszką w podkładkę i wstaje tak gwałtownie, że krzesło przewraca się do tyłu. Rozgląda się dokoła i zdecydowanym krokiem rusza w stronę regału, przy którym stoimy ja i Adriana.

– Możecie użyczyć mi loginu do internetu? Jeszcze nie dostałam swojego – mówi ze zniecierpliwieniem.

Musimy wyglądać na zaskoczone, bo wybuchają śmiechem i uderza się w czoło.

– Aj, przepraszam, od początku! – Wyciąga w moją stronę prawą rękę. Na środkowym palcu wije się wielki srebrny wąż, a na przegubie huśta się zawieszona na skórzanej bransolecie zawieszka w kształcie ptaka. – Mam na imię Pi. Zaczynam dzisiaj w dziewiątej B.

– To nasza klasa. – Podaję jej rękę. Srebrny wąż jest zaskakująco ciepły. Uścisk mojej dłoni jest o wiele za słaby, ale Pi zdaje się tego nie zauważać. – Emi.

– Pi? Jak liczba pi? – Adriana zwięża powieki, jak gdyby stojąca przed nami dziewczyna twierdziła, że ma na imię Tangens albo Prostokąt.

– Tak. Ale starzy nie dali mi tego imienia na cześć 3,14. Po prostu uważali, że Pi brzmi

odlotowo – śmieje się dziewczyna.

Smakuję ten dźwięk. Śmieszne, pełne kontrastów słówko, jednocześnie twarde i miękkie. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś miał takie imię. Ale nigdy też nie spotkałam nikogo, kto by wyglądał tak jak ona.

Z bliska widzę, że ma błyszczące, turkusowozielone oczy obwiedzone dookoła grubą kreską eyelinera. Grzbiet nosa pokrywają drobne piegi. Kropki na prawym skrzydełku nosa mają towarzystwo srebrnego kółka, a uszy zdobią kolczyki różnych rozmiarów. Jeden z nich jest w kształcie motyla.

Pi ma też piercing w każdym policzku, dwa małe błyszczące kamyki.

Wyciąga rękę do Adriany.

– Jak masz na imię? – pyta. Gdy się uśmiecha, kamyki przypominają krople rosy na dnie głębokich dołeczków. Przydaje jej to gracji, sprawia, że wygląda trochę jak nimfa leśna, choć to tylko kawałki metalu przepchnięte przez skórę i tkankę mięśniową.

– Adriana – przedstawia się Adriana sztywno i szybko puszcza rękę ze srebrnym wężem. Na pewno już zdecydowała, że nie lubi naszej nowej koleżanki.

– Do jakiej szkoły chodziłaś? – Próbuję trochę ocieplić napiętą atmosferę.

– Eastern High w Queensland.

– W Australii? – pytam głupio.

Pi przytakuje.

– Chodziłam do szkoły w Australii przez ostatni rok. Dużo podróżujemy ze względu na pracę mamy. Pochodzi z Danii, ale od lat już tu nie mieszkaliśmy. Wróciliśmy dopiero kilka dni temu. Chodziłam do szkół na czterech różnych kontynentach.

Gdy się uśmiecha, kąciki ust unoszą się w sposób, który wzmagają uczucie, że już ją kiedyś widziałam.

– Wydaje mi się... jestem prawie pewna, że już cię widziałam – mówię.

Pi bada moją twarz.

– Hmm. Ja ciebie nie poznaję. Też dużo podróżujesz?

Kręcę przecząco głową. Dwie wycieczki z rodzicami do Szwecji to niemal wstydlive w porównaniu z czterema kontynentami.

– Jestem wprawdzie z bliźniąt, ale nie było nas w Danii od piątych urodzin – mówi Pi.

Przed oczami stają mi bliźniaczki o płomiennych włosach.

Trudno sobie wyobrazić, że były na pustyniach, w lasach deszczowych i w wielkich miastach na całym świecie. Pi wydaje się zbyt egzotyczna dla naszej małej małomiasteczkowej szkoły.

Spogląda na komputery i niecierpliwie przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Czy mogłabym skorzystać z waszego hasła? Muszę tylko...

Nagle w środku mojego pola widzenia spostrzegam jakąś zamazaną plamę, która niemal w tej samej chwili trafia mnie w twarz w postaci śnieżnej kuli.

Krzyczę z bólu, pochylam się do przodu i przyciskam ręce do rozkwaszonych oczu.

– Jonatan! – Wściekły falset Adriany miesza się z rechotem Jonatana.

– Myślałaś, że jesteś bezpieczna w budynku, co, Debilio?! Ale ja mogę... Aaa! – Głos Jonatana nagle zamienia się w wycie, wycie wywołane bólem.

Próbuję zetrzeć śnieg z twarzy, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale oczy swędzą i cały czas napływają do nich łzy.

Mikroskopijne urazy od ostatniej kuli śnieżowej ozywają na śluzówce oczu i znów powraca drażniący, ostry ból z rana.

– Co do cholery robisz, idioto?! – wrzeszczy Jonatan.

– Co j a robię? – Zachrypnięty głos jakiegoś chłopaka brzmi niebezpiecznie spokojnie.

Jeszcze raz próbuję otworzyć oczy, ale mam uczucie, jakby wewnętrzną stronę powiek pokrywały odłamki szkła.

Po policzkach spływają mi łzy i roztopiony śnieg, a mój prześladowca jęczy gdzieś w pobliżu.

– Puść mnie, do diabła! To boooli, *fuck!* – piszczy Jonatan.

– Najpierw przeproś – mówi ochrypły głos.

– Nie będziesz, kurna, decydował, co... Aau! Aau!

Słychać trzaśnięcie, jak gdyby jakiś staw przekroczył swój graniczny punkt zginania.

– Przepraszam! Przepraszam!

Przez chwilę jest cicho, ale zaraz potem słychać ogłuszający, metaliczny łoskot, za sprawą którego aż się w sobie kurczę.

– Zabiję cię, kurna! – warczy Jonatan. Odgłosy jego szybkich kroków zlewają się z groźbami, które z siebie wyrzuca. Drzwi biblioteki zatraskują się, zostawiając między nami dudniącą ciszę.

– Możesz otworzyć oczy? – Głos chłopaka jest tuż przy mnie. Lekko drży, jak gdyby trudno mu było strząsnąć z siebie wściekłość.

– Nie mogę... szczypią... – W tej samej chwili żałuję, że brzmię jak beksa.

– Chodź, pójdziemy je przepłukać – proponuje Pi.

Czuję rękę pod łokciem i pozwalam, żeby mnie prowadziła, zbyt sparaliżowana szokiem, żeby się sprzeciwić.

W łazience obserwuję swoją spuchniętą, czerwoną twarz.

Patrzę na mnie nabiegłe krwią oczy.

– W ogóle nie podziękowałam – mówię. – Nie widziałam, kto to był.

– Ten, który wykręcił rękę neandertalczykowi? To mój brat, Noa. – Pi wzdycha z rezygnacją. Usuwa resztki mokrego papieru toaletowego z umywalki, nad którą udzielała pierwszej pomocy moim oczom.

Wyobrażenie dwóch dziewczyn w ekstrawaganckich ubraniach z ogniskami na głowach natychmiast się rozmywa.

– Zawsze musi się stawiać wszystkim idiotom, zupełnie nie potrafi kontrolować swojego temperamentu. – Pi ciska do kosza resztki mokrego papieru. – Zawsze ładuje się w jakieś gówno od razu pierwszego dnia w szkole. Typowe! – Wścieka się dalej, zwracając się właściwie do siebie. – Muszę go znaleźć, zanim zacznie się bić z tym młotem.

Gdy wychodzimy z toalety, Pi rusza prosto do chłopaka, który siedzi w kucki przed drzwiami biblioteki i, nieobecny, kartkuje jakiś komiks. Ma na sobie podarte czarne dżinsy, czarny T-shirt z długimi rękawami i wojskowe buty, takie same jak Pi. Wygląda, jakby na nas czekał.

Adriana znikła.

– Noa, ty idioto! Koniecznie musisz za każdym razem to robić? – Pi wyrywa mu komiks z rąk.

– To musi być rekord, narobić sobie wrogów, jeszcze zanim zaczęliśmy szkołę! Wyobraź sobie, że mam inne rzeczy do roboty niż ratowanie twojego tyłka! Miałeś przyjść do biblioteki, a nie zaczynać trzecią wojnę światową! – Pi trzepie brata po głowie *Spidermanem*.

Noa chwyta komiks, nie podnosząc głowy. Gwałtownym ruchem otwiera go na przypadkowej stronie i żeby nie patrzeć na siostrę, udaje, że jest bardzo zainteresowany kolorowymi prostokącikami. Obgryzione paznokcie częściowo pokrywa czarny lakier.

– Strzelił jej z bliska prosto w twarz. Dobrze wiesz, że nienawidzę takich psychopatycznych półmózgowców.

– Tylko dlatego, że mają tak samo wybujałe ego, jak ty! Ty po prostu zawsze musisz się wtrącać, co? Czy to za duże wymagania, żebyśmy zaczęli naukę w szkole i choć raz od pierwszego dnia nie byli uznani za *The Crazy Twins*? – Na twarzy Pi pod piegami i migoczącymi piercingami pojawiły się ogniste, czerwone plamy.

– Ty przecież wcale nie jesteś lepsza! – Noa spogląda na siostrę. – Zawsze musisz... – Dopiero teraz zauważa, że nie jest sam z Pi.

Chrząka zawstydzony i spogląda na mnie.

– Jak oczy?

Chwytam ustami powietrze. Mam wrażenie, jakby mnie ktoś dzisiaj trzeci raz walnął w twarz twardą bryłą lodu.

Oczy Noa mają czysty, niebieskozielony kolor. W dolnej wardze tkwią dwie srebrne kulki, w każdym uchu czarne kółko.

Próbuję coś powiedzieć, ale język odmawia mi posłuszeństwa, usta pozostają otwarte. I mogę tylko gapić się na niego okrągłymi, czerwonymi oczami, z rozdziawionymi ustami.

To on.

Chłopak z mojego szkicownika.

Inna jest tylko fryzura. Włosy nie opadają na brwi, tylko sterczą na wszystkie strony jak kupa siana w kolorze głębokiej czerni, w połowie poderwana do góry przez tornado.

I nie ma na szyi szklanego pryzmatu.

– Nic ci nie jest? – pyta.

Przez kilka długich zenujących sekund raz po raz kręcę kretyńsko głową, aż wreszcie odnajduję przycisk włączający w mózgu ośrodek mowy.

– Nie, nie, to przecież tylko śnieg, no nie? Nie dostałam ślepoty śnieżnej, jeśli o to ci chodzi. Zaraz, ślepotą śnieżną to coś innego. W każdym razie nadal widzę, wszystko w porządku – płacząc się.

Przestań gędzić, ty młotku, myślę błagalnie.

– Muszę już iść. Muszę poszukać książek na projekt – bąkam, przepycham się między zdumionymi bliźniętami i szybko oddalam się korytarzem. Czuję, że palą mnie policzki. Minęłam drzwi biblioteki, ale moje nogi nie potrafią zawrócić.

Słyszę, że Pi mówi coś do brata, chwytam tylko „wstrząs mózgu” i nerwowy śmiech.

Skręcam w korytarz i niemal wpadam na Adrianę, która nadbiega z naprzeciwka.

– Gdzie są ci nowi? – Patrzy na mnie podejrzliwie, jakbym ich zjadła. – Próbowałam znaleźć Janusa, ale nie ma go w klasie ani w pokoju nauczycielskim. A teraz Jonatan i tak już poszedł, więc... – Wzrusza ramionami i zawraca w kierunku korytarza prowadzącego do biblioteki. – Idziesz? – pyta, nie odwracając się.

– Dziękuję, nic mi nie jest, skoro pytasz – mruczę pod nosem i ruszam za nią.

Pięć tygodni.

Dzięki za to jajo, Janus.

Gdy dochodzimy do biblioteki, Noa i Pi już nie ma, ale zdążyłam zauważyć zamykające się w końcu korytarza drzwi biura dyrektora.

Obok regału, przy którym niedawno stałyśmy, leży przewrócony wózek na książki. Na podłodze rozrzucone książki. To wyjaśnia hałas, jaki usłyszałam tuż przed zniknięciem Jonatana.

Podnoszę wózek i zaczynam zbierać książki. Niektóre strony są pogniecione, ucierpiały od gwałtownego lądowania na podłodze. Gdy ostrożnie układam je na wózku, boli mnie serce z żalu nad nimi.

Adriana zachowuje się, jak gdyby nic się nie stało. Siada przy stole z komputerem i otwiera pokrywę swojego iPada, którego przyniosła z klasy. Chaotycznie dotyka lśniącego monitora, ale po kilku sekundach rozgląda się, jakby czegoś szukała. Jej wzrok zatrzymuje się na mojej torbie, która stoi oparta o nogę stolika z komputerem. Spod otwartego suwaka wystaje czarny róg szkicownika. Bez chwili wahania wyciąga go z torby i rzuca na stół.

– Wezmę kartkę, żeby zapisać tytuły – mówi, otwierając szkicownik na ostatniej stronie.

Na samym końcu.

Serce skacze mi jak na gumce do żołądka, a potem utyka w gardle.

Adriana sięga głębiej do torby w poszukiwaniu piórnika, ale raptownie zastyga w bezruchu. Spozrzała portret, który narysowałam w nocy. Kładzie piórnik obok klawiatury komputera, mruży powieki i pochyla się nad krzywym uśmiechem chłopaka na portrecie.

– Skąd ty go znasz?

– Dlaczego myślisz, że to on? – opieram się. Jak dziecko.

Adriana wybucha szyderczym śmiechem.

– No tak, niby dlaczego?

Odwraca blok w moją stronę. Spojrzenie chłopaka na rysunku wywołuje mi w żołądku ssanie. Choć włosy wyglądają inaczej i choć Noa nie uśmiecha się tak jak jego sobowtór, podobieństwo jest porażające.

– No więc, skąd go znasz? – Adriana opiera się na krześle i krzyżuje ramiona na piersi.

– Ja... ja naprawdę go nie znam. – Czuję się jak mucha pod szkłem powiększającym w ostrym świetle. Po co ja wzięłam z sobą tę głupią torbę?

– To może po prostu śledziłaś go z daleka? – Przez twarz Adriany przemyka lekceważący uśmiech.

Co mam powiedzieć? W każdym razie nie to, że narysowałam ten portret, bo śnił mi się chłopak podobny do Noa. Brzmiałoby to jak absurd, tak samo jak to odczuwam. Poza tym to nie może być on. To nie ma sensu.

Chyba że już go kiedyś widziałam i nie pamiętam. Nie żebym na serio myślała, że mogłam kiedyś spotkać Noa albo jego siostrę i nie zwrócić na nich uwagi, ale to jedyne logiczne wytłumaczenie.

– Może widziałam go w Brugsenie albo gdzieś – bąkam.

Chyba mieszkają gdzieś w pobliżu?

– I zawsze rysujesz zupełnie obcych ludzi, których spotykasz w Brugsenie? – Do ust Adriany przykleił się nachalny uśmiech.

– Nie, nie rysuję! – Czuję się głupio i jestem wściekła, policzki pulsują od gorąca. – Nie mam zielonego pojęcia, gdzie go widziałam! Mogło to być gdziekolwiek. Rysuję różnych ludzi i nie podają mi swojego nazwiska ani adresu i nie informują o planach przeniesienia się do innej szkoły.

Zatrząskuję szkicownik i niemal ciskam nim do torby. A potem rzucając obok iPada Adriany mój zeszyt w linie do notatek i siadam przy drugim komputerze, naprzeciwko.

Adriana prychnęła i bierze zeszyt.

– Okey, okey, paparazzi – mruczy pod nosem wystarczająco głośno, żebym usłyszała.

We wściekłym rytmie trząskam w klawiaturę. Otwieram przeglądarkę i wpisuję bibliotek.dk.

Wpatruję się w pulsujący kursor, jestem w stanie myśleć tylko o tym, żeby rozkwasić perfekcyjną gębę Adriany o stół.

Wewnętrzna strona powiek wciąż boli, jest ziarnista. Dochodzę do wniosku, że nienawidzę śniegu tak samo, jak pracy grupowej.

Strzałka porusza się i otwiera jeszcze jedną zakładkę. Nim się zorientowałam, moje palce znalazły drogę do Facebooka.

Okno wyszukiwania jest wielkie, puste i nęcące. Wklepuję pierwsze cztery litery i zatrzymuję się.

Jak on się nazywa? Tysiące ludzi mają na imię Noa. Czytałam, że znalazło się w pierwszej dziesiątce imion w Danii.

Ale przecież nie ma chyba wielu dziewczyn o imieniu Pi?

Wklepuję imię, w polu wyszukiwania pojawia się mnóstwo opcji wyglądających na spam. Ludzie o imionach Pia i Pietro, i Pihlgard. Ale jest wśród nich kilka prawdziwych Pi. Zawężam wyszukiwanie do ludzi mieszkających w Danii i przewijam w dół w poszukiwaniu płomiennych włosów.

Na trzeciej stronie sukces. Choć włosy mają kolor krzykliwego fioletu, rozpoznaję charakterystyczne piercingi w dołeczkach i krzywy uśmiech, który Pi dzieli z chłopcem na moim rysunku.

Najwyraźniej nazywają się Levin.

Klikam na jej profil. Wiele informacji jest ukrytych, ale widać listę przyjaciół. Nie mamy wspólnych przyjaciół. Gdy obok zdjęcia chłopaka o ciemnych kosmykach włosów sterczących spod czarnej czapki spostrzegam nazwisko Noa Levin, zaczyna mi walić serce.

Klikam na niebieskie nazwisko. Łomotanie w klatce piersiowej wzmacnia się, gdy oczy o zielononiebieskim spojrzeniu spod czapki stają się większe. Noa ma tylko trzy zdjęcia profilowe i na żadnym się nie uśmiecha. Za to dominuje czerń.

Świadomie trzymam myszkę z dala od przycisku „Dodaj przyjaciela”, ogarnięta panicznym strachem, że zrobię coś głupiego.

Adriana kaszle, więc szybko zamykam zakładkę i próbuję wygasić zielononiebieski trans, który na chwilę zamulił mi mózg.

*Stalker-woman*⁸. Debilia. *Freak*⁹. Na dziwadła jest wiele określeń.

Zmuszam się do myślenia o wszechświecie. Czy rzeczywiście mam siły na to, by przez pięć tygodni zanurzać się w lądowaniu na Marsie?

Nie całkiem. Ale w każdym razie mogę mieć wpływ na decyzję o wyborze tematu.

Wzdycham i biorę się za wyszukiwanie literatury.

– Hej! – Chrapliwe brzmienie głosu sprawia, że wzdrygam się i robię o wiele za dużo liter „a” w słowie Mars. Tuż obok mnie stoi Noa. Na serio zaczyna mnie denerwować sposób, w jaki wkrada się do mojego życia.

– Hej – bąkam. Na ułamek sekundy całkiem zanika mój zasób słów.

– Mogłybyście pokazać nam, gdzie jest wasza klasa? – pyta.

– N a s z a klasa – odzywa się stojąca w drzwiach biblioteki Pi. Uśmiecha się z za wielkiego stosu książek.

Kiwam głową i szybko zaciągam nad czarnym szkicownikiem suwak torby. Jeśli Adriana powie coś o rysunku, umrę.

– I tak za chwilę zaczyna się angielski. – Brzmi to, jakbym się tłumaczyła. Irytujące. Jak gdybym musiała mieć jej pozwolenie na wyjście z biblioteki. Ruszam pospiesznie, żeby

uprzedzić jej komentarz.

ROZDZIAŁ 7

– Ten idiota też chodzi do dziewiątej? – pyta Noa, gdy idziemy korytarzem.

– Niestety – odpowiadam. – Do mojej... mmm... naszej klasy.

– Super. To znamy już trójkę koleżeństwa z naszej nowej klasy.

Spoglądam na niego z ukosa, żeby sprawdzić, czy ma ironiczny wyraz twarzy, ale rozprasza mnie to, że znalazłam się tak blisko. Na chwilę wstrzymuję oddech i szybko spuszczam oczy.

Żeby dostać się do budynku, w którym jest nasza klasa, musimy przejść przez podwórze. W ciągu kilku sekund zimno wywołuje na moich ramionach dywan gęsiej skórki, a gdy znowu jesteśmy pod dachem, jeszcze wciąż szcękają mi zęby.

Noa nie ma żadnych śladów po przeprawie przez biegun północny. Dźwiga tak samo wielki stos książek jak Pi, aż jeden z czarnych rękawów podjechał mu prawie do łokcia.

Moje spojrzenie przyciąga cień czegoś, co widać tuż nad nadgarstkiem.

– Czy nie trzeba mieć ukończonych osiemnastu lat, żeby sobie zrobić tatuaż? – pytam.

– Pewnie tak – odpowiada zagadkowo.

– Nakłamałeś, ile masz lat? – Uderza mnie pewna myśl: – A może ty już masz osiemnastkę?

– Nie, piętnaście. Ale jeśli człowieka nie pytają, ile ma lat, to nie ma powodu, żeby samemu mówić.

– Ale... twoi rodzice przecież chyba to odkryli? – pytam i natychmiast tego żałuję. Na pewno już o mnie myśli, że jestem najnudniejszą osobą, jaką spotkał.

– Powiedzmy, że nie był to wielki temat do rozmów.

Gdy wypowiada to zdanie, jego głos ma dziwne brzmienie.

– Pewnie sami mają dużo tatuaży?

– Ani jednego. – Noa inaczej chwyta książki i czarna dzianina znowu zakrywa tatuaż. – Jak ty właściwie masz na imię?

Wstrzymuję oddech i zmuszam się, żeby na niego spojrzeć.

Na szyi widzę cienki skórzany rzemyk, który znika pod wycięciem T-shirtu.

Coś we mnie ma ochotę dowiedzieć się, co jest na końcu tego rzemyka. Druga część mnie ma ochotę zamordować motyle, które nagle zaczynają szaleć w moim brzuchu, i z krzykiem uciec.

Doszliśmy do drzwi naszej klasy, a ja zatrzymuję się, nie całkiem mogę sobie przypomnieć, jaki ruch trzeba teraz wykonać. Intensywnie wpatruję się w skórzany rzemyk i dopiero po długiej chwili dociera do mnie, że Noa pewnie oczekuje odpowiedzi na swoje pytanie.

– ...Emilia. Mam na imię Emilia. Ta druga dziewczyna z biblioteki to Adriana, a ten od śniegowej kuli to Jonatan. Ale to może już wiesz – mówię tak szybko, że potykam się o własne słowa.

Za nami rozlega się skrzywienie butów i całą trójką się odwracamy.

– Hej! – Piwne oczy Janusa od razu przyciąga Pi, która na mrocznym korytarzu jest jak prawdziwa eksplozja barw. Janus zamyka usta i jeden z kącików się unosi, ale nie do uśmiechu. Nie mogę odcyfrować, czy to odraza czy irytacja.

Może Janus jest akurat na tyle stary, żeby prowokowały go nowomodne wariactwa jak

piercingi, szalone fryzury i dziurawe ubrania. Ale z wszystkich ludzi przecież właśnie on powinien być ostatnim, który by marszczył nos na widok kogoś, kto wyróżnia się wyglądem!

– Hej! – Pi uśmiecha się błyszczącymi dołeczkami. Nawet jeśli przestraszyła ją pokryta bliznami półmaska albo dotknęło chłodne powitanie, to w każdym razie tego po niej nie widać.

Jej brat nie odbiera wrogości Janusa z takim samym luzem. Ma zaciśnięte szczęki, sprawia wrażenie, jakby Janus obraził bezpośrednio jego albo próbował zarwać jego siostrę.

Ciekawe, czy Noa kiedykolwiek miewa inny wyraz twarzy czy zawsze taki odpychający? Jeśli ma zmarszczkę śmiechową, tak jak chłopak z mojego rysunku, to naprawdę dobrze ją ukrywa.

– Mam na imię Pi. – Pi wyciąga rękę. Janus patrzy na nią, jakby wąż na jej palcu był żywy.

– Wiem. – Szybko podaje jej rękę i chwyta za klamkę, zanim Noa zdążył się przedstawić. – Dyrektor mnie poinformował – mówi takim tonem, jak gdyby było to coś negatywnego. – Mam na imię Janus. Wejdźcie do jaskini lwa. – Otwiera drzwi i nie czekając na nas, wchodzi do klasy.

Ciekawe, co dyrektor powiedział o bliźniętach, skoro Janus tak się zachowuje?

Drugi raz dzisiaj widzę, jak cała dziewiąta klasa zamienia się w mur milczenia. Nawet z mojego miejsca na końcu sali wyczuwam, że wszyscy gapią się na bliźnięta.

Moi koledzy nie wiedzą, co mają myśleć o pomalowanych na czarno paznokciach Noa, płonącej wspaniałości fryzury jego siostry i całym tym metalem w ich twarzach. Zmasowanej rezerwy nie zmniejsza fakt, że Pi uśmiecha się do mnie porozumiewawczo, jakbyśmy należały do tej samej tajnej sekty.

– Poznajcie Pi i Noa – mówi Janus. – Zaczynają dziś naukę w szkole, choć szkoła została uprzedzona dość późno. Mam nadzieję, że dobrze ich przyjmiecie.

Jonatan rzuca sztylety spojrzeń w skroń Noa, gdy ten z kamienną twarzą idzie między ławkami.

Siada obok mnie, a ja, żeby przypadkiem na niego nie spojrzeć, zagłębiam się w studiowaniu błędów sztucznego sęku w laminacie ławki.

Pi już zajęła miejsce obok Adriany. Jest puste, bo przyjaciółka z jej dworu, Frederika, ma grypę.

Adriana marszczy nos na widok nowej sąsiadki, ale Pi nie zwraca na to uwagi.

– *Hello, my people!* – Janus najwyraźniej pozbierał się po pierwszym spotkaniu z bliźniętami, bo ostro zaczyna lekcję. Mówi z rozkołysanym akcentem, jak gdyby słuchał reggae, co sprawia sztuczne wrażenie po jego oschłym zachowaniu na korytarzu. W podniesionej ręce trzyma pomięte wydanie *Brave New World*¹⁰. Mieliśmy na dziś przeczytać ostatni rozdział. – *What do you think the main themes of this book are?*¹¹

Rozgląda się dokoła. Spojrzenia moich kolegów i koleżanek koncentrują się na suficie, oknach, ławkach.

Wszyscy z wyjątkiem jednej osoby starają się sprawiać wrażenie, że nie dosłyszeli albo nie zrozumieli pytania.

Rękę podnosi oczywiście Adriana.

– *Yes, love. What's your name?*¹² – pyta Janus.

– Adriana – pada odpowiedź i zaczyna się malowniczy opis „*the beastiality of mankind*”¹³.

– *Thank you, Adriana. Very good.*

Adriana uśmiecha się. Inni nauczyciele z czasem uodpornili się na jej bezbłądność i chyba nie mają już siły jej chwalić. Kontakt z kimś nowym, komu może zaimponować, musi być dla niej odświeżający.

– *Well. Other interpretations?*¹⁴ – Janus znowu skanuje klasę. – *Come on, peeps!*¹⁵

Entuzjazm w jego głosie brzmi w moich uszach głucho. Jeśli ma choć trochę doświadczenia w uczeniu nastolatków, to powinien wiedzieć, że prawie nikt poza Adrianą nie otworzył książki. I poza mną, oczywiście. Ale ja nie mam zwyczaju tak po prostu się z tym reklamować.

– *No? No other themes?*¹⁶

Zaciskam usta, nie chcę, żeby mi się wyrwało kilka oczywistych odpowiedzi. Mój pisany angielski jest dużo powyżej przeciętnego poziomu, ale ustny mocno szwankuje. O wiele za mocno koncentruję się na tym, żeby wypowiedź dobrze zabrzmiała, i pozbawiam słowa formy. Ostatnie czego mi potrzeba, to żałośnie się jąkać na poziomie angielskiego z czwartej klasy, mając obok siebie Noa. On na pewno biegle mówi kilkoma językami.

Moje spojrzenie z uporem uczepliło się rogu tablicy, w którym napisano nierównymi białymi literami „PAMIĘTAJCIE O USTAWIENIU KRZESEŁ NA ŁAWKACH”.

Chyba Janus kiedyś się podda?

– *How about you in the green sweater?*¹⁷ – pyta.

Nikt nie odpowiada.

Zezuję na rękaw mojego swetra i przerażona pojmuję, że kolor wojskowy to też odcień zieleni. Moje spojrzenie spotyka spojrzenie Janusa i gdy on kiwa głową, ja z konfuzji oblewam się rumieńcem.

Naprawdę ma na myśli mnie!

– *What's your name?*¹⁸

– *Eee... my name is Emilia* – wymawiam moje imię po duńsku i Adriana dusi w sobie prychnięcie.

– *What do you think the themes are, Emilia?*¹⁹ – pyta Janus, nie zwracając uwagi na Adrianę.

Wzruszam ramionami i przygryzam górną wargę.

– *Loneliness*²⁰ – wyduszam z siebie wreszcie.

– *A bit louder*²¹, Emilia. – Głos Janusa brzmi przyjaźnie, ale odbieram go, jakby mi ktoś przystawił do pleców pistolet.

Chrząkam.

– *I think one theme could be loneliness in the modern society* – mówię odrobinę głośniejsze. – *And the...* – słowa uwięzły mi w gardle, surowe i kanciaste – *and the pain of not fitting in*²².

– *Excellent*²³, Emilia. – Janus sprawia wrażenie, jakby nie zwracał uwagi na moje stękanie, nieelegancką angielszczyznę i uśmiecha się do mnie pod wąsem.

Zachowuję neutralny wyraz twarzy. Nie jestem merdającym ogonem pieskiem, który wpada w ekstazę z powodu łakocia albo pochwały.

Adriana opiera się na krześle i ciasno krzyżuje ramiona na piersiach. Chyba nie odpowiada jej to, że ktoś łamie jej monopol prymuski.

Janus nadal zadaje pytania wszystkim, ignorując Adrianę wymachującą prawą ręką. Pozostali w klasie skręcają się pod jego nieustępliwym spojrzeniem i zgadują na ślepo. Jonatan celowo odpowiada niewłaściwie i śmieje się do nas prowokująco.

Noa i Pi czytali *Brave New World* w Australii, więc dość szybko zostają włączeni do dyskusji. Są oczywiście masakrycznie dobrzy w angielskim. Ich perfekcyjna wymowa i bogate słownictwo użyźniają mój strach przed publicznymi wystąpieniami, ale gdy ktoś upuści piłkę, Janus wciąż na nowo posyła ją do mnie. Wydaje się, że irytuje się za każdym razem, gdy usta otwiera Pi. Na dźwięk jej głosu lekko napina się jego twarz.

Na koniec pocę się tak bardzo, że czuję pod pachami mokre plamy. Nie mam pojęcia, co

mówiłam w czasie lekcji, ale zachęcające potakiwania Janusa wskazują, że trafiałam nie całkiem obok.

Gdy nareszcie dzwonek dzwoni na długą przerwę, Adriana pokazuje mi najbardziej jak dotąd jadowitą minę i jako pierwsza wychodzi z klasy. Mimo to czuję lekki powiew triumfu – wreszcie ma konkurencję.

Możliwe, że krople nie zawsze muszą milczeć, żeby drążyć kamień.

ROZDZIAŁ 8

Gdy idę w ariergardzie strumienia zdążających do stołówki, automatycznie przyłączają się do mnie bliźnięta. Noa pyta o drogę do toalety i przebija się przez tłum w kierunku, który mi wskazałam.

Alban i Linus rozpakowują drugie śniadanie przy naszym stałym stoliku. Odwracam się do Pi, wokół której powstała bańka ciszy. Gapi się na nią wiele oczu. Chyba najgrzeczniej będzie spytać, czy chce usiąść z nami, skoro najwyraźniej zostałam nieoficjalnym przewodnikiem jej i jej brata.

Ale nim zdążyłam otworzyć usta, Pi wyciągnęła krzesło obok Linusa i rzuciła się na nie.

– Heja!

Linus podnosi oczy i uderzony widokiem Pi jak falą szoku, przez krótką chwilę nie potrafi zamknąć otwartych ust.

Pi wyciąga rękę.

– Mam na imię Pi. Właśnie zaczęłam chodzić do klasy Emi. – Mruga do mnie, jakbyśmy już był przyjaciółkami nierozłączkami.

Linus połyka kęs parówki, który trzymał w ustach i podaje jej rękę.

– Eee... cześć.

Alban odwraca twarz w kierunku Pi. Jej głos to nowy ton w symfonii dźwięków w szkole.

Żałuję, że nie powiedziałam bliźniętom, że Alban nie jest zwyczajnym uczniem dziesiątej klasy.

– To Linus i Alban – mówię, wskazując głową na braci.

Frostmourne stoi oparty o stół obok Albana, ale wydaje mi się, że Pi nie zwróciła na niego uwagi.

Czy mam to po prostu powiedzieć?

„To mój najlepszy przyjaciel Alban, jest niewidomy”.

Jak gdyby to była profesja albo odłam jakiejś religii. Jak gdyby to była esencja Albana.

Uświadamiam sobie, że nie przedstawiałam moich przyjaciół od czasu, gdy poznali moją rodzinę. I wtedy nikt nie robił z tego wielkiego halo. Już tak dużo zdążyłam opowiedzieć o tym fantastycznym, mądrym chłopaku z pierwszej klasy i jego zabawnym braciszku, że gdy pierwszy raz przekroczyli próg naszego domu, rodzice jakby już ich znali.

– Hej, Alban. – Pi wyciąga rękę nad Linusem, żeby ją podać Albanowi.

– Hej, Pi. – Alban uśmiecha się.

Ręka wisi nietknięta w powietrzu, a Pi błądzi spojrzeniem między nami.

– Alban jest niewidomy – wyjaśniam.

No to bomba wybuchła.

Wciągam powietrze i czekam na reakcję. Zazwyczaj jest to niezręczna cisza, a potem przewidywalne, głupie pytania.

Alban nie przestaje się uśmiechać, ale w jego twarzy rysuje się napięcie. Pewnie miał nadzieję, że ją przygotowałam.

Pi marszczy czoło i cofa rękę.

Na dno mojego żołądka opada coś ciężkiego i szczypiącego.

Linus patrzy w stół. Nikt z nas nic nie mówi.

Pi wstaje z krzesła i siada na stole obok miejsca Albana.

– Miło cię poznać. – Kładzie rękę na jego dłoni i lekko ją ściska.

Alban się wzdyga. Nie jest przyzwyczajony do tego, żeby ludzie tak po prostu go dotykali. Nawet ja, choć znam go od wieków, zwykle nie robię tego bez jakiejś formy ostrzeżenia.

– Wzajemnie, Pi – odpowiada. W jego uśmiechu i głosie jest teraz coś ciepłego. Najwyraźniej szybko przeszedł do porządku dziennego nad jej brawurą.

Pi puszcza jego rękę i wyprostowuje plecy.

– Jesteś bardzo podobny do brata – mówi.

– Ciekawe. Ty pierwsza to mówisz.

– Naprawdę?

– Linus jest podobny do naszego ojca, a ja do rodziny naszej mamy. Geny kobiece podobno u mnie dominują.

– Nie uważam tak. – Pi pochyla się do niego ze śmiechem.

W brzuchu dziwnie mi burczy, gdy oczy Pi powoli przesuwają się po jego rysach w sposób na co dzień zarezerwowany dla mnie. Jej spojrzenie kawałek po kawałku zdobywa twarz Albana. Prosty nos, miękkie linie warg, długie, ciemne rzęsy. Szaroniebieskie oczy o odcieniu stali i morza w bezruchu.

Alban musi wyczuwać, że mu się przygląda, ale się nie rusza.

– Macie inne oczy i trochę inne nosy – mówi Pi, gdy przyjrzała się też oczom Linusa. – Ale jest coś w kształcie waszych twarzy i ust, co jest podobne. I sposób, w jaki marszczycie brwi.

Odbieram jej analizę twarzy moich przyjaciół niemal jak napaść. Jak gdyby ktoś obcy czytał mój pamiętnik.

Linus wpatruje się w pognieciony papier, w który owinięte było jedzenie, czerwony na twarzy od nagłego znalezienia się w centrum uwagi.

– Okey, przepraszam! – Pi nagle się wyprostowuje i śmieje się z zakłopotaniem. – Sama czuję się fatalnie, gdy ludzie porównują mnie i Noa, ale nie mogę się powstrzymać od zwracania uwagi na takie rzeczy.

– Noa to twój brat? – pyta Alban.

– Bliźniak. – Pi prycha. – Gdy byliśmy mali, wszyscy uważali, że jesteśmy siostrami. Bardzo byliśmy do siebie podobni, a mama zawsze ubierała nas w czerwone, fioletowe i zabójczo żółte ubranka, ma słabość do mocnych kolorów. A ja wciąż się z Noa na ten temat drażnię. – Pi spogląda na coś za moimi plecami. – O wilku mowa...

Odwracam się i spostrzegam Noa. Idzie w naszą stronę, omijając stoły i uczniów.

– Noa, to Alban i Linus – mówi Pi, gdy jej brat już do nas dotarł. – Dwóch spośród przyjaciół Emi.

”Spośród przyjaciół”. Nieźle brzmi. Jak gdybym rzeczywiście miała ich więcej.

Linus odwraca się na krzesło i spogląda na Noa. Ściąga usta w szpic w taki sam sposób jak wtedy, gdy próbuje zrozumieć coś bardzo skomplikowanego. Na przykład, jak te dwie obco wyglądające istoty mogły tak bardzo oddalić się od swojej planety, że były zmuszone wylądować w naszej szkole.

– Hej – mówi.

– Hej. – Noa kiwa głową i prześlizguje się wzrokiem na Albana.

– Hej, Noa – mówi Alban z twarzą zwróconą w jego stronę i się uśmiecha.

– Alban jest niewidomy – mówię. Chyba najlepiej mieć to za sobą, żeby uniknąć jeszcze jednej kłopotliwej sytuacji z ręką wiszącą w powietrzu.

Noa chce coś powiedzieć, ale jego usta na powrót się zamykają.

Tykają sekundy. Mam wielką nadzieję, że zareaguje tak jak siostra, może jedynie z wyjątkiem głaskania ręki Albana.

Oczy Noa robią się wielkie pod sterczącymi, czarnymi włosami. Jego usta otwierają się i zamykają, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Wreszcie mocno zaciska powieki i kręci głową.

– Nie, nie daję rady – mówi, a potem odwraca się i bez słowa odchodzi.

Gdy idę na następną lekcję, boli mnie brzuch.

Pi przepraszała w kółko za Noa, zanim wybiegła, żeby go szukać. Ja, Alban i Linus wymieniliśmy niewiele słów.

No bo co można powiedzieć? Idioci to idioci. A uprzedzenia mogą się pojawić w najdziwniejszych miejscach.

Tyle że z jakiegoś powodu nie sądziłam, żeby Noa mógł mieć uprzedzenia. Temperament, może, ale żeby był tak idiotycznie ograniczony? Nie.

Rzadko się myślę co do ludzi, lecz ból brzucha nie wziął się ze zranionej dumy, tylko z nieskrywanego obrzydzenia, jakie pojawiło się w oczach Noa, tuż zanim sobie poszedł. I z szoku, jaki zobaczyłam w twarzy Albana.

Przez te wszystkie lata ludzie różnie reagowali na jego ślepotę. Bezmyślnie, niezdarnie i żenująco. Ale nigdy nie wprost uwłaczająco.

Moje ciało przemieszcza się ze stołówki do klasy, a mój mózg właściwie tego nie zauważa.

Noa i Pi nie ma. Siadam na swoim miejscu i sięgam ręką do torby, żeby wyjąć piórnika.

Ale piórnika nie ma. Wciąż ma go Adriana, a jeszcze nie wróciła z przerwy. Na pewno jadła śniadanie w bibliotece, żeby na maksa podkreślić swoje prymusostwo.

Mogłabym pożyczyć od kogoś coś do pisania, ale wtedy zostawiłabym wszystkie moje ukochane ołówki węglowe, kredki i markery na pastwę losu aż do następnej przerwy. Nigdy w życiu!

Rzut oka na zegar mówi mi, że zanim się zacznie lekcja, mam na uratowanie ich dwie minuty. Może wystarczy, jeśli pobiegnę.

Biorę ze sobą torbę, chociaż będę przez nią wolniejsza. Nie mam odwagi stracić z oka rysunku klona Noa. Co by było, gdyby Adriana wróciła przede mną i zaczęła go pokazywać, bo jest sfrustrowana z powodu lekcji angielskiego? Co by było, gdyby zobaczył go Noa?!

Na tę myśl robi mi się słabo.

Dostałam zadyszki, jeszcze zanim wbiegłam na podwórze. To żenada, jaką mam masakryczną formę. Biegając po zamrzniętym śniegu, spostrzegam Adrianę, która idzie w przeciwnym kierunku.

– Wzięłaś mój piórnika? – pytam.

– Nie. Przez całą przerwę drukowałam bibliografię – rzuca i idzie dalej bez słowa przepraszam.

Spoglądam na komórkę. Została jeszcze minuta.

Gdy zbliżam się do biblioteki, słyszę w korytarzu dudnienie podniesionych głosów.

Waham się, nie wiem, co gorsze, spóźnić się na lekcję, stracić piórnika czy być świadkiem

czyjejs kłótni?

Wszystkie opcje są tak samo nieciekawe.

Powoli podchodzę bliżej i próbuję zapanować nad moim rwanym oddechem, który wywołał w głębi przełyku posmak krwi.

– Dlaczego ty zawsze jesteś taki megauparty? – To głos Pi.

– Bo jest do niego podobny! – Noa jest wściekły, jego głos brzmi teraz mniej chrapliwie. – Ciarki mnie przechodzą, gdy na niego patrzę!

Widzę bliźnięta, słowa uderzają we mnie przez otwarte drzwi jak latające główne. Zatrzymuję się i robię kilka kroków w tył. Nie mam ochoty dłużej słuchać, a jednak nadal stoję.

– Gównu mnie to obchodzi, Noa! To nie jest on! To przecież nie on, do cholery! Sam dobrze o tym wiesz!

Przyklejam się do ściany. Jeśli teraz wyjdą, zobaczą mnie. I zorientują się, że się tu chowałam. Ich głosy słychać aż na końcu korytarza.

– Czemu się w to mieszasz? – warczy Noa. – Nie było cię tam! Nie wiesz, o czym mówisz!

– Ale cholernie dobrze wiem, jak to jest musieć cały czas bronić swojego idioty brata bliźniaka, który robi wszystko, żeby zrażać do siebie ludzi!

– Nie prosiłem cię, żebyś mnie broniła!

– A ja nie pojmuję, dlaczego wciąż to robisz! – krzyczy Pi. – Bo wiesz co, Noa? To wcale nie jest zabawne, bronić cię, gdy bez powodu zaczynasz walczyć z chłopakiem mojej koleżanki!

– Był powód! Sama słyszałaś, co tamten facet powiedział o tacie!

– Tak, słyszałam. I nie było to nawet w połowie takie okropne jak sposób, w jaki ty sam go nazwałaś!

– Ja pitole, jaka ty jesteś święta! – eksploduje Noa.

– Przestań już... – Pi wydaje się zmęczona. – Nie mam ochoty się z tobą kłócić. Tylko... tylko byłoby miło chociaż raz móc zacząć wszystko od nowa. Całkiem od nowa. Dla dobra nas obojga.

– Głos Pi załamuje się.

Oboje długo milczą.

– Okey. – Noa głęboko wzdycha.

– Okey co?

– Będę próbował panować nad sobą. Wobec tego jej przyjaciela też.

– Przyjaciela Emi. I ma na imię Alban.

– *Whatever*²⁴.

– Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś spróbował zainteresować się trochę innymi ludźmi, Noa. Zapamiętać ich imiona i takie rzeczy. To w taki sposób zdobywa się przyjaciół, wiesz?

Noa prychnęła.

– Nie potrzebuję przyjaciół. Zwłaszcza nerdów, którzy nawet nie mają odwagi odezwać się na lekcjach.

Jego słowa są jak cios w przepoń.

– W ogóle jej nie znasz – mówi Pi. – A ja uważam, że jest bardzo fajna.

– Moje życie jest za krótkie, żebym je marnował na słabych ludzi – mówi Noa zimno.

Robię kilka kroków w tył, a potem puszczam się biegiem przez korytarz.

ROZDZIAŁ 9

Po raz pierwszy w życiu wagaruję. To nawet nie była świadoma decyzja. Właściwie myślałam, że idę na lekcje, ale zamiast zapukać do zamkniętych drzwi klasy, wzięłam z szatni kurtkę i wyszłam. Nim się zorientowałam, siedziałam już w autobusie.

Gdy wysiadłam na końcu naszej żwirowej drogi, nie mogłam się zmusić, żeby wejść do domu. Mama zapytałaby, czemu nie jestem w szkole. Jak na matkę piątki dzieci ma nieprzyjemnie precyzyjną orientację w moim planie lekcji.

Idę przez pole w kierunku lasu, choć śnieg jest głęboki i ciężko mi się przez niego przedzierać. Gdybym poszła drogą, mama mogłaby mnie zobaczyć przez okno w kuchni.

Sylwetki drzew wciągają mnie w swoje objęcia, pocieszają, wkrótce oplatają mnie nagie gałęzie i biel.

Słowa Noa wżarły się we mnie i siedzą jak szum w uszach. Nie wiem, dlaczego zupełnie mnie zmiażdżyły.

Czy przez to, że nazwał mnie nerdem? Jestem przyzwyczajona do tego, że tak o mnie mówią. To wcale nie najgorsze z wyzwisk, jakie wymyśla na mnie Jonatan.

A poza tym ja j e s t e m nerdem. Alban i Linus są nerdami. I nigdy nie było to dla mnie problemem. W moim świecie nerd to nie jest wyzwisko.

Zimno szarpie płuca, gdy zmagam się z zaspami. Najwyższa część krtani boli od powstrzymanego płaczu.

Noa to tylko jeszcze jeden idiota, który myśli, że mnie rozgryzł, bo siedzę na końcu klasy i rysuję. Bo się nie palę, jak różni bezmózgowcy, do prostytuowania się na lekcjach.

Wściekłość napina mięśnie żuchwy, jak gdybym marzła, ale policzki palą.

Nogi zaniosły mnie aż do dębu. Mojego dębu. Stoi na polanie z dala od drogi, otoczony bezlistnymi bukami. Jest ogromny, ma być może kilkaset lat. Buki spieszyły się, żeby urosnąć w wiecznej walce o światło słoneczne, więc ich pnie są wysokie, smukłe i proste. Za to dąb jest rozłożysty, zwietrzały, gałęzie wiją się jak trolle w tańcu i sięgają do rozciągającego się wokół polany lasu.

Gdy byłam młodsza, wyobrażałam sobie, że dąb to przedwieczny staruszek, który zebrał wokół siebie krąg pełnych szacunku słuchaczy jego opowieści o minionych czasach. Buki trzymały się na dystans z szacunku dla dębu, starannie uważając, by ich gałęzie nie wyrastały za daleko w polanę. W miarę upływu czasu, gdy buki i ja urosliśmy, ich dystansowanie się przybrało raczej wrogi charakter. To, co przedtem było łagodnym poszumem ich koron, przeszło w złośliwe pomrukiwanie, i cienie bukowych gałęzi zmniejszyły przestrzeń wokół dębu.

Ale wciąż stał. Pomrukiwanie buków jest jak brunatne błotko pod śniegiem, a on stoi dostojnie, w milczeniu, i mnie wita.

Siadam na korzeniu, opieram się o pień, tak żeby nie było mnie widać od drogi. Ze złością otwieram suwak torby i wydaję mały pojemnik na węgiel. Jest gruby i twardy, żeby chronić delikatne wkłady węglowe. Mały piórnik jest lepszy niż żaden. Palce szybko sztywnieją mi z zimna, ale mam potrzebę myślenia o czymś innym, nie o Noa.

Spoglądam na szkicownik, który wystaje nad podręcznikami. Skończyły się w nim czyste kartki. Portret Noa... to znaczy jego wersja uśmiechnięta, co do której jestem coraz bardziej pewna, że była tylko marzeniem sennym... wypełnił ostatnią.

„Moje życie jest za krótkie, żebym je marnował na słabych ludzi”.

Zawsze uważałam, że jestem silna. Nie odważna, w ogóle nie odważna, ale silna. Cichą siłą, jak dąb, który przeciwstawia się szaleństwu żywiołów i z każdym rokiem ma coraz grubszą i piękniejszą korę.

Dla Noa cisza jest równoznaczna ze słabością.

Parskam, wyjmuję gruby ołówek węglowy, z torby wyciągam zeszyt do notatek. Mocnymi, zdecydowanymi ruchami zaczynam wyczarowywać na liniowanym papierze moje wewnętrzne pochmurne niebo.

W biel wżerają się wielkie, ciemne chmury. Nierówne plamy czerni i szarości o morderczych kształtach, grożące rozwaleniem świata.

Rysowanie burzowych chmur, gdy się jest wściekłym, to śmieszna klisza. Ale pomaga.

Zwłaszcza, jeśli się ma wystarczająco dużo węgla.

W samym środku szalejących żywiołów wyrasta dąb, większy i bardziej wyprostowany niż ten, który stanowi dla mnie oparcie w tej rysunkowej terapii. Hardy kolos, który może stawić czoło błyskawicom, potopom i najgorszym dupkom.

Eloquium est argentum, silentium est aurum.

Nie jest się słabym, jeśli się samemu ustanawia reguły. Gdy się zna odpowiedzi, ale samemu decyduje, kiedy je wypowiedzieć. Nie jest się słabym, gdy się człowiek kontroluje.

Czubek ołówka węglowego jest zbyt wąski jak na bezmiar wściekłości, która w nim buzuje.

Zanurzam rękę w torbie w poszukiwaniu pudełka z kredą węglową.

Sylwetka dębu staje się wyrazistsza. Czarne kreski są tak nasycone węglowym pyłem, że stają się niemal trójwymiarowe. Kreska za kreską biel papieru pożera przykurzony, czarny jak smoła mrok. Cienie chmur rosną, a polana wokół dębu stopniowo niknie i zamienia się w zamazaną, białoszarą aurę wokół pnia i poskręcanych konarów.

To вина tego snu. Trudno mi pozbyć się myśli, że Noa wyrósł z mojej wyobraźni. I może właśnie dlatego trudno mi go znienawidzić. Bo jeśli znienawidzę jego, to znienawidzę też chyba siebie?

Ściskam kredę węglową, rozwścieczona tym, że wciąż wracam do tego głupiego snu. Ja nie stworzyłam Noa! To przypadek, idiotyczna ironia losu, że jest podobny do chłopaka, który przyśnił mi się w nocy. I nie ma w nim nic, co mogłoby się kojarzyć z marzeniami sennymi czy z marzeniami w ogóle. Noa jest dokładnie taki sam jak Jonatan i wszyscy inni półmózgowcy, którzy przez całe życie w drzazgi rozbijają moją pewność siebie.

Mocno zagryzam górną wargę i węgiel unicestwia ostatnie przebłyski bieli. Patrzę na czarny papier, lekko zdyszana od kłócenia się z samą sobą.

Palce mam umazane czarnym pyłem, jakby mrok zaczął wykradać się z liniowanego bloku i wnikać we mnie.

Nagle senna mara z nocy wraca z taką siłą, że z trudem chwytam powietrze.

Znów znajduję się w pustce na chwilę, która trwa w nieskończoność, i obezwładnia mnie zasysający, czarny lęk.

Wreszcie wyrywam kartkę z bloku, zgniatam ją i ciskam przed siebie. Ląduje żalosne dwa metry ode mnie, ale zmuszam się, żeby na nią nie patrzeć i wycieram palce w śnieg, by usunąć węgiel.

W kieszeni odzywa się komórka. Z trudem ją wydobywam i w ostatniej chwili naciskam sztywnym kciukiem na zieloną słuchawkę.

– Zachorowałaś? – Alban wydaje się zmartwiony.

– Nie, mam, nie jestem chora. – W moim głosie jest irytacja, do której Alban nie dał mi powodu swoim oczywistym pytaniem.

– Coś się stało?

– Nie – odpowiadam szybko. I wzdycham. – A właściwie, może... nie wiem. – Niemal słyszę, jak między brwiami Albana pogłębia się zmarszczka.

– Gdzie jesteś? – pyta. – Linus mówił, że pojechałaś do domu autobusem zupełnie sama po lunchu. Widział cię z okna swojej klasy.

– Jestem koło dębu.

Alban wie, że to jest miejsce, gdzie lubię myśleć. Był tu już ze mną. Mówi, że dęby brzmią inaczej niż inne drzewa, gdy przez ich liście wieje wiatr, ale ja nie dostrzegam różnicy, choć od lat próbuję ją usłyszeć.

– Stało się coś? Znowu Jonatan?

– Tak, ale chodzi o coś innego... trudno to wytłumaczyć, Alban.

– Chyba nie ma to nic wspólnego z tym Noa?

Czuję nieprzyjemne łaskotanie w brzuchu.

– Dlaczego tak myślisz? – pytam. Trochę za szybko.

– Emi, jeśli to przez to, co stało się dziś w stołówce...

– To nie przez to. W każdym razie nie tylko przez to. Po prostu mam zły dzień.

– W jakim sensie zły? – pyta tym swoim typowym „ja–mam–mnóstwo–czasu” głosem.

Ciężko wydycham powietrze.

– W takim sensie, że mam robić projekt razem z Adrianą, przez pięć tygodni, i szczypią mnie powieki, jak gdybym miała szkła kontaktowe z papieru ściernego, a śnieg poleży pewnie do marca i Jonatan będzie codziennie mógł mi robić łomot. Do tego ten nowy nauczyciel przepytuje mnie na angielskim, a Noa to tak w ogóle pieprzony idiota.

– Dlaczego Noa jest pieprzonym idiotą?

Oczywiście, musi sobie z tego żartować!

– Dlatego, że jest z nim dokładnie tak trudno, jak było w stołówce – mówię podniesionym głosem.

– Ty go przecież nie znasz, Emi. Może być tysiąc przyczyn, dla których tak zareagował. On też może ma zły dzień.

Zazwyczaj podziwiam dyplomatyczne wyczucie Albana, ale akurat teraz jest jak benzyna wylana na ognisko.

– O, już w to wierzę! Chociaż właściwie, kto wie, skoro zmarnował swój czas na zrobienie łomotu Jonatanowi, żeby pomóc takiej fajłapie jak ja, co?

– O czym ty mówisz? Dołożył Jonatanowi? – Alban jest zszokowany.

– Nie wiem, co mu zrobił, miałam w oczach śnieg, ale w każdym razie coś, przez co Jonatan pisał jak dzieciak. – Wspomnienie Jonatana wołającego o litość wywołuje u mnie sadystyczny uśmiezek, choć jestem wściekła.

– Dlaczego?

– Dlatego że Jonatan walnął mnie kulką śniegu prosto w twarz na środku biblioteki. Nie mam pojęcia, czemu Noa się w to wmieszał, ale pewnie miał potrzebę wystąpienia w roli bohatera. Mimo że najwyraźniej nie jestem tego warta.

– Co masz na myśli?

– Bo... bo przez przypadek usłyszałam, co o mnie mówił, gdy kłócił się z siostrą, po tym, co się stało w stołówce. Nieważne.

– Twój głos nie brzmi tak, jak gdyby to było nieważne – zauważa Alban. – Co on takiego powiedział?

– Pi mówiła coś o... o tym, jak się zdobywa przyjaciół. Bo on chyba łatwo robi sobie wrogów. I wtedy powiedział, że... że ...

Milczenie Albana brzmi jak statyczny szum wyciągający ze mnie słowa.

– Powiedział, że jestem nerdem – szepczę. – I że jestem słaba. I że on nie ma ochoty na to, żebym była jego przyjaciółką.

– Co? Przecież cię nie zna!

– A od kiedy to ludzie muszą mnie z n a ć, żeby uważać, że jestem nerdem? – Płacz łamie mi głos, choć obiecałam sobie, że nie będę beczeć.

– Emi, ty nie jesteś nerdem.

– Czy ty nigdy nie będziesz miał dosyć udawania, że nic się nie stało, gdy ludzie źle cię traktują? – pytam twardym głosem.

Alban przez chwilę milczy.

– Złość ani smutek nic nie pomogą. Człowiek sam decyduje o tym, czy będzie na niego miało wpływ to, co mówią czy robią inni.

– Łatwo ci powiedzieć! – wyładowuję na Albanie złość i żal nad samą sobą, ale nie potrafię nad tym zapanować. Wyjątkowo nie potrzebuję jego umoralniających kazań. Chcę, żeby przyznał mi rację w tym, że Noa jest wredny, potrzebuję tego. – Ty masz cholerny talent do wzruszania ramionami i olewania takich spraw, ale jeśli ktoś jest tak jak ja s ł a b y, to nie może bez przerwy być cały w skowronkach, nie jest mu łatwo, wiesz?!

– Emi, co się dzieje? – W głosie Albana jest powaga. – Dlaczego tak bardzo się przejmujesz tym, co on mówi?

Od czego mam zacząć? Nie powiedziałam mu ani o śnie, ani o rysunku.

– Nie wiem – odpowiadam cicho. Po tym, jak dałam upust złości, moje ciało jest jak przekłuty balon. Nie pomogło tak, jak miałam nadzieję. – Dobra... źle dzisiaj spałam, okey?

Nagle komórka zaczyna pikać. Odsuwam ją od ucha i patrzę na wyświetlacz.

Jest czarny.

Naciskam na jakiś przycisk, ale nic się nie dzieje. Komórka siadła. Przytrzymuję przycisk C. Nic.

Bateria wytrzymała już tylko kilka godzin. Alban pomyśli, że się rozłączyłam, bo jestem zła.

– Stare szajs! – Ciskam telefon na ziemię, ale moja potrzeba wywołania neutralizującego stres łoskotu nie zostaje zaspokojona. Komórka bezszelestnie tonie w świeżym śniegu, nonszalancko pozostawiając po sobie niewielkie zagłębienie w śnieżnej pokrywie.

Stawiam czoło trudnej do opanowania potrzebie podeptania jej.

ROZDZIAŁ 10

– To ty, Emilko? – W drzwiach do przedpokoju pojawia się głowa mamy. Jej radar wychwyił niecierpliwie trzaśnięcie drzwiami. – Coś się stało?

Czasem fantastycznie jest mieć mamę, która nie pracuje, ale są sytuacje, gdy tęsknię za tym, żeby móc przyjść do domu, w którym nikogo nie ma i nikt nie zadaje pytań.

Ściągam z siebie kurtkę i wieszam ją na górze ubrań stłoczonych na wieszakach za drzwiami.

– Znowu zdechła mi komórka – warknęłam. Przedzieram się przez stopy kozaków, kapci i drewniaków, żeby wyminąć mamę. Za moimi plecami kurtka zsuwa się z góry zimowych ubrań, ale udaję, że tego nie zauważam.

– Znowu?

– Tak, bateria jest już do niczego. Siadła w środku rozmowy, chociaż przez całą noc się ładowała.

Dopiero teraz uderza mnie, że gdy weszłam do domu, nie napadł mnie Filur, nasz labrador.

– Tata poszedł z nim na spacer – mówi mama w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie. – Ma dzisiaj pierwszy dyżur nocny, więc chciał go przewietrzyć, zanim pojedzie.

Tata jest policjantem i przenieśli go, bo zlikwidowali jego stary posterunek. Twierdzi, że nie przeszkadza mu to, że znów musi dojeżdżać i brać nocne dyżury, ale jestem prawie pewna, że niedługo pojawią mu się cienie pod oczami i będzie zasypiał przed wiadomościami, jak wtedy, kiedy byłam młodsza.

W kuchni otwieram szufladę z zapasowymi ładowarkami i wyplątuję jedną z nich z gordyjskiego węzła kabli.

Moja komórka odzywa się radosnym „bip, bip”, gdy podłączam ją do kontaktu obok opiekacza.

– A gdybym zrezygnowała z prezentów pod choinkę, czy nie mogłabym dostać teraz trochę pieniędzy, żeby sobie kupić nową? Już naprawdę mam jej dosyć! – Wyciągam szufladę z pieczywem i zaczynam przeglądać torebki z chlebem razowym i bułeczkami.

– Pamiętaj, żeby najpierw zjeść stary – mówi mama automatycznie. – Przecież umówiliśmy się, że sama masz zarobić na nową komórkę.

Krzywię się na widok w połowie pustego opakowania razowego chleba z ziarnami, które wyłowiałam z szuflady.

– Wiem, mamo. I zarabiam. Ale ta stara najwyraźniej postanowiła zdechnąć, zanim dostanę wypłatę. – Uważnie przyglądam się przez plastik chlebowi, żeby się upewnić, że nie ma na nim pleśni, a potem wyjmuję kromkę. Jest tak sucha, że żeby była coś warta, trzeba z niej zrobić grzankę. Wrzucam do opiekacza dwie kromki i w oczekiwaniu na grzanki próbuję uruchomić komórkę. Telefon budzi się do życia i nie wydając ostatniego tchnienia, pozwala mi wklepać pin. Imponujące!

– No to może mogę pożyczyć? Tylko do pierwszego!

Mama starannie owija ostatnie kromki chleba plastikiem, a potem wkłada je z powrotem do szuflady.

– Nie mam pieniędzy, kochanie. Kupiłam wam prezenty pod choinkę w ubiegłym tygodniu, a wiesz, że ostatni rachunek za naprawę samochodu był trochę... większy, niż się spodziewaliśmy.

Wzdycham. Minibus moich rodziców to wielka, czerwona od rdzy dziura w naszym napiętym budżecie. A prezenty? Nawet jeszcze nie napisałam listy życzeń. Ale mama stawia raczej na kupowanie na wyprzedażach niż na możliwość zamiany zakupów.

– Nie możesz po prostu wziąć więcej dyżurów w pubie, skoro brakuje ci pieniędzy? – pyta.

– Mamo, wszystkim brakuje pieniędzy. Nie mogę dostać w tym miesiącu więcej dyżurów. Niedługo gwiazdka, a najwyraźniej świat się wali, jeśli się nie ma iPhone'a albo tych samych spodni od Hummela, co wszyscy. Albo jeśli się nie ma kasy na zapijanie mózgu w każdy weekend.

Nie pojmuję zafiksowania moich rówieśników na gadżetach, markowych ciuchach i upijaniu się na umór. Moją szafę zasilają przede wszystkim lokalny ciuchland i maszyna do szycia. Większość pensji zużywam na przybory do rysowania, chętniej wydam tysiąc osiemset koron na zestaw markerów niż na podarte džinsy. A picie? Nawet gdybym nie nienawidziła smaku piwa i wódki, nie przyszłoby mi do głowy, żeby się upijać razem z ludźmi z klasy. Jeśli przez alkohol miałabym choć w jednej dziesiątej zachowywać się tak kretyńsko i wyglądać tak okropnie jak oni, to wolę niczego nie pić. Mam kaca na samą myśl o traceniu w taki sposób kontroli nad sobą.

– Możesz pożyczyć moją starą komórkę – proponuje mama.

Jęczę w duszy na myśl o motoroli z antenką w kolorze wymiocin.

– Nie, dziękuję. Wyświetlacz ma prawie całkiem czarny po tym, jak się nią bawił Markus. Nie da się na nim odczytać esemesów.

Mama wzdycha.

– Dobrze rozumiem, że cię to denerwuje, Emilko, ale nie mamy teraz pieniędzy, żeby ci kupić nową komórkę.

– Okey. – Otwieram lodówkę, chcę znaleźć coś na chleb. Co można więcej powiedzieć? Poza tym ludzie przeżywali gorsze rzeczy niż niedziałające komórki. Słyszę, że przychodzą esemesy, zastanawiam się, czy je zignorować. Nie bardzo mam siłę na tłumaczenie się teraz Albanowi.

Mogę napisać do niego później, gdy nie będę już taka wściekła. Mimo że moje esemesy odczytuje w telefonie Albana kliniczny, przypominający robota kobiecy głos stworzony przez program syntezy mowy, to jednak zawsze zdradza mój nastrój, niezależnie od tego, jak bardzo próbuję oszukać Albana. Nie powinien tracić czasu na moje kretyńskie problemy.

Ale przecież wiadomości mogę przeczytać...

Przygotowując sobie kanapkę z parówką, wklukuję się w odebrane esemesy.

Są trzy od Albana i jeden od automatycznej sekretarki. Otwieram ten ostatni. Informuje mnie, że mam nieodsłuchane wiadomości.

Alban na pewno próbował dzwonić po tym, jak nasza rozmowa została przerwana.

Wzdycham i wybieram numer automatycznej sekretarki. Chyba lepiej mieć to już z głowy. Poza tym nie muszę przecież natychmiast oddzwaniać.

Mama zaczyna opróżniać zmywarkę, a ja pomagam jej lewą ręką, prawą przyciskając do ucha komórkę.

„Masz trzy nowe wiadomości. Otrzymano godzina 13.35”.

Są zakłócenia w połączeniu. Przez moment myślę, że to typowe połączenie z kieszeni Linusa, który jeszcze nie zainstalował w swojej komórce automatycznej blokady klawiszy, ale po chwili ciszy pojawiają się słowa.

Głos jest zniekształcony przez ciągłe trzaski, ale fragment wiadomości brzmi jak: „mama”.

Wciskam jedynekę, żeby jeszcze raz odsłuchać nagranie, ale to już najwyraźniej za wiele dla komórki w stanie śmierci klinicznej, i za chwilę gaśnie.

– Dzwoniłaś do mnie, gdy byłam w lesie? – Odkładam komórkę na bok, żeby nie zrobić czegoś głupiego, na przykład żeby nie wcisnąć jej do opiekacza.

Mama odwraca się do mnie z na wpół opróżnionym pojemnikiem na sztucce.

– W lesie? Myślałam, że przyszedłaś prosto ze szkoły!

– Mmm... odwołali niemiecki. Tove jest chora – mówię i szybko wracam na bardziej neutralny grunt: – Ale czy dzwoniłaś? Mam na komórce nagrany wiadomość, jest bardzo niewyraźna.

– Tak, dzwoniłam pół godziny temu, chciałam, żebyś po drodze kupiła mleko. Ale nie nagrywałam się.

Aha. Zagadka rozwiązana. Mama nie wierzy, że jest odpowiedzialna za dwie trzecie nagranych wiadomości w mojej komórce.

– Mamo, ile razy mam ci powtarzać, że żeby zakończyć połączenie, trzeba nacisnąć czerwoną słuchawkę?

– Ale przecież nie odebrałaś! To chyba nie muszę jej naciskać?

Za każdym razem to samo niezrozumienie. Poddaję się.

Tego wieczoru rzucam się na nowy szkicownik. Próbuję wyrysować z mojego świata Noa i czarną, pochłaniającą wszystko próżnię.

Po odrobieniu lekcji otwieram szufladę z przyborami do rysowania. Na myśl o zagadkowym portrecie i przeżyciach, które towarzyszyły rysowaniu w lesie, dostaję dreszczy. Zmuszam się do odkręcenia nakrętki tuszu i przyłożenia czerwonej końcówki do papieru.

Moje papużki Galadriel i Elrond latają po pokoju i zapamiętałym „pip, pip” komentują powstający rysunek. Galadriel ląduje mi na ramieniu i przyciska dziób do mojego ucha, a ja, podczas gdy tubka porusza się po papierze, gmeram mu od niechcienia lewą ręką w piórach na szyi.

Świadomie unikam nadmiernego pogłębiania cieni, poza tym żadna z moich elfek, amazonek i syren nie ma niebieskozielonych oczu. Nie rysuję istot płci męskiej. Tylko długowłose kobiety o dużych biustach i mrocznych bruzdach wokół ust, trzymające błyszczącą broń.

Szkicownik z rysunkiem chłopca przypominającego Noa chowam głęboko w najniższej szufladzie biurka. Mam wielką ochotę go wyrzucić, ale nie chcę poddawać się chorym teoriom spiskowym, które tworzy mój mózg.

Zwłaszcza jeśli dotyczą Noa.

ROZDZIAŁ 11

Przygotowując się nazajutrz do wyjścia do szkoły, próbuję nie myśleć o Noa.

Na szczęście życie mojej rodziny jest na tyle burzliwe, że zagłusza moje myśli.

– Emilko! – woła mama z łazienki. – Widziałas gdzieś szampon?

Dwugłosowy pisk i głośne pluskanie mówią mi, że mama kąpie moich młodszych braci, Oliviera i Markusa, czterolatka i pięciolatka.

Chwytam z framugi okna nad kuchennym zmywakiem szampon w rozmiarze XL i zanoszę jej go.

– Myłaś nim wczoraj naczynia. – Robię duże kroki nad rozciągającą się na podłodze krainą tysiąca jezior, żeby postawić butelkę na wannie.

– Aa, racja – mówi mama, nie podnosząc wzroku, zajęta zaganianiem dwóch małych mokrych ciałek z powrotem do wanny. – Wpiszesz mi płyn do zmywania naczyń na listę zakupów? Siedźcie spokojnie, wy dwa pawianki! Już zaraz kończymy! – Mama wsadza Oliviera do wanny z plaśnięciem, aż woda moczy jej rajstopy.

Odkręcam butelkę i podaję jej. Mama uśmiecha się z wdzięcznością i wyciąga rękę, żebym naląła jej kleks szamponu. Rutynowymi ruchami szybko rozprowadza go na włosach Oliviera, a potem wyciąga rękę po drugi kleks, potrzebny do włosów Markusa, który zaplątał się w wąż od prysznicza.

– Neeee! Szczypie! Szczypie w oczy! – piszczy, choć pokryte pianą ręce mamy ledwie musnęły czubek jego głowy.

– Patrz w sufit, to szampon nie dostanie ci się do oczu, kochanie. – Mama wmasowuje mu we włosy białą pianę. Markus mocno zaciska powieki i usta i tak bardzo odchyła głowę do tyłu, że na plecach pojawiają się kleks piany.

Mama uwalnia go od węża i zaczyna spłukiwać włosy, ale wtedy Olivier mówi coś, co sprawia, że Markus wyprostowuje głowę. Mydlana piana spływa mu po twarzy, i pełną parą rozbrzmiewa pierwszy tego dnia koncert.

– Ubierzesz Emmę? – Mama przekrzykuje wrzaski.

– Już. – Odstawiam szampon i uciekam w bezpieczne miejsce za drzwi łazienki.

Radio w kuchni jak zwykle ryczy na pełną parę. Suchy głos spikera zaczyna odtrąbiać poranne wiadomości. Zdaje się, że coś związanego z unijnymi dopłatami dla rolników.

Zieeeeewam.

Moja najmłodsza siostra, dziewięciomiesięczna Emma, siedzi w swoim wysokim krzeselku z Ikei na końcu naszego długiego stołu. Biały plastikowy stolik jest tak dokładnie wysmarowany owsianką, że wygląda niemal jak dzieło sztuki, i co najmniej tyle samo owsianki Emma ma we włosach, na rękach i na pyzatych policzkach.

– Czy ty w ogóle coś z tego zjadłaś? – wzdycham i z rezygnacją patrzę na owsiankowy pejzaż.

– Da-da! – cieszy się Emma i ciska we mnie łyżką pełną owsianki. Łyżka ląduje u moich stóp, a Emma uśmiecha się tak szeroko, że jej oczy znikają za wałeczkami tłuszczu. – Adaa! – woła z triumfem i klaszcze w małe, oklejone owsianką rączki, które wydają charakterystyczny lepki

odgłos.

Moczę w wodzie dwie ściereczki i wycieram uśmiechniętą buzię, która w ciągu kilku sekund zamienia się w buzię głośno płaczącą. Emma wierci się, gwałtownie protestując, a wokół nas fruują grudki owsianki i lądują na stole, podłodze i na mojej bluzce.

Zdejmuję Emmie ciężki od owsianki śliniak i sadzam ją na podłodze z książeczką pixi, a potem ścieram plamy.

Spiker w radiu głądzi dalej o dużej firmie medycznej, która jest podejrzana o jakieś machlojki w badaniach nad lekami przeciw demencji. Mama zawsze nastawia radio zabójczo głośno, żeby słyszeć wiadomości, gdy jest poza kuchnią. Ale ja wątpię, czy spiker jest w stanie zagłuszyć bitwę morską, którą moi braciszkuwie toczą w łazience. Poranek taki jak ten utwierdza mnie w przekonaniu, że będę miała tylko jedno dziecko. Jeśli w ogóle będę miała dzieci. Moja mantra o milczeniu, które jest złotem, niespecjalnie idzie w parze z liczną rodziną.

– O, matko! Popatrz na moje rajstopy! – W kuchennych drzwiach stoi moja siostra Sofie z uniesioną stopą i wyrazem zranienia i obrazy na twarzy, jakie może prezentować tylko dwunastolatka. Pod rajstopami w czarno-różowe prążki przykleił się kleks owsianki.

– To była ostatnia czysta para!

– Możesz pożyczyć jakieś moje. – Wycofuję się z cienia za wysokim krzesłem Emmy i starannie stawiam kroki, omijając leżące na podłodze klocki i szyny kolejowe.

– Nie, dziękuję! – Sofie opuszcza kuchnię, skacząc na jednej nodze, wraca do swojego pokoju.

Jedyną dobrą stroną posiadania siostry, modowej snobki, jest to, że nie dotyka moich „ochtych-okropnych” ubrań, choć w zasadzie nosimy teraz ten sam rozmiar. W nielicznych sytuacjach gdy któreś z moich ubrań dostanie się przez przypadek do stosu jej czystych ciuchów, zawsze przynosi mi je w dwóch palcach i ze zmarszczonym nosem.

Czasem chciałabym, żeby więcej mnie łączyło z rodzeństwem. Może to z powodu różnicy wieku albo dlatego, że interesują nas inne rzeczy, tak czy owak nigdy nie byliśmy z Sofie szczególnie blisko. A Markus, Olivier i Emma są tak mali, że pewnie zawsze będę dla nich tylko kimś w rodzaju trzeciego rodzica. Zdolna córeczka mamusi i tatusia.

Alban i Linus mają tylko siebie, a są bardziej przyjaciółmi niż braćmi. To właśnie tego brakuje mi w moich relacjach z rodzeństwem.

Ubieram Emmę i puszczam ją do zabawek w dużym pokoju, gdzie Olivier i Markus już szaleją z mokrymi włosami i wykańczają na śmierć wóz strażacki.

Mama stoi przy stole kuchennym, przygotowuje paczki z drugim śniadaniem.

Biorę kulkę winogrona z tacki stojącej obok deski do krojenia i sięgam za stos czekających na zapakowanie kanapek, żeby wziąć listę zakupów i długopis.

– Czego jeszcze brakuje oprócz płynu do zmywania naczyń?! – Muszę wołać, żeby przebić się przez radio.

– Papier toaletowy, puszka makreli, drożdże... – wylicza mama.

– Zaraz, zaraz, nie tak szybko! – Wyłączam lewą ręką radio i szybko notuję.

Trzasnęły drzwi i do kuchni wpada wielkie tornado radości.

Filur podskakuje przy mnie, jakby nie widział mnie kilka tygodni. Trzymam go na dystans wysuniętą nogą i dalej notuję na liście zakupów.

W normalnej sytuacji rzuciłabym się na podłogę i bawiła z nim, ale później idę do Albana i Linusa, a Sandra jest megauzulona na sierść zwierząt. Za to Linus to, o ironio, wielki fan wszystkiego, co ma futro, łuski i pióra, więc uwielbia przychodzić do mojego domu. Od czasu do czasu kapituluję i wpuszczam moich dwóch przyjaciół do *casa del caos*²⁵, który aktualnie

zamieszkują pies, dwie papużki, królik, trzy chomiki i sporo ryb w dużym akwariium. Ptaki są moje, reszta to własność wspólna.

Nikt nie potrafi tak zdobywać sobie miłości jak Linus u Filura. Choć nasz stary pies bezkrytycznie obdarza miłością wszystkich, którzy mają ochotę podrapać go za uchem, jego oddanie mojemu lubiącemu zwierzęta przyjacielowi nie ma granic. Nie bez powodu tata nazywa Linusa „zaklinaczem psów”.

Markus, Olivier i wóz strażacki wyruszają na akcję w kuchni, więc Filur traci zainteresowanie moją nieprzystępną osobą i zaczyna lizać piszczące dziecięce buzie.

Z holu zagląda tata.

– Odpaliłem samochód. Jest diabelnie zimno! – Uwalnia się od kozaków i idzie pocałować mamę.

– Świetnie. – Mama uśmiecha się i gdy ich usta się spotykają, nie przerywa smarowania margaryną kromki chleba.

Tata spogląda na mnie.

– Jeśli będziecie z Sofie gotowe za dwie minuty, to zdążę podrzucić was do szkoły przed zawiezieniem chłopców do przedszkola. Nie będziecie musiały przymarzać do przystanku.

– To miło z twojej strony, tato, ale umówiłam się z ludźmi z klasy, że pojedę z nimi autobusem. – Unikam jego spojrzenia, żeby ukryć kłamstwo. Gdy tata podwoził mnie ostatnim razem, nasz minibus rozkraczył się akurat przed szkołą i moi bracia lizali szyby na oczach większości ludzi z klasy.

Moje życie i tak jest już dość żałosne.

ROZDZIAŁ 12

Srebrzystosiwe włosy naszego nowego nauczyciela są związane w kitkę. Tańczy mu na łopatkach, gdy otoczony obłokiem kredowego pyłu, zapisuje na tablicy liczby i litery.

Trudno jest utrzymać koncentrację na fizyce, chemii i równaniach.

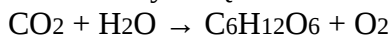
Wciąż mam przed oczami lekko zraniony wyraz twarzy Albana.

Zbyłam go rano, gdy w szkole powitały mnie zmarszczki zatroskania na jego czole, bo wczoraj wieczorem zupełnie zapomniałam do niego oddzwonić. Przysięgłam, że nie jestem na niego zła, i że oczywiście rozumiem, że miał rację.

Musiał odpuścić, choć zna mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że to nie całkiem prawda.

Mogę mu kłamać, ale zawsze rozszyfruje mnie po głosie albo po sposobie, w jaki oddycham czy pstrykam długopisem. Przyjaźnienie się z hiperwrażliwcem jest czasami dość uciążliwe.

Janus ostatni raz pociąga kredą, aż słychać pisk. Spod jego tańczącej w powietrzu ręki wyrósł wzór na fotosyntezę.



Przed wzorami na dwutlenek węgla, wodę, glukozę i tlen nie ma liczb, mój żołądek nerwowo podskoczył, gdy pomyślałam, co będzie dalej.

– No dobrze. – Janus odwraca się do klasy. – Kto z was ma ochotę zbilansować to równanie?

Wstrzymuję oddech, a on daje sobie czas i ściągając usta w szpic, omiata wzrokiem salę.

– Co ty na to, Noa?

Noa podnosi wzrok znad komiksu, który ukrył między kartkami podręcznika do fizyki i chemii. Choć w gabinecie fizyczno-chemicznym dzieli nas kilka rzędów, widzę, że to Batman zajął miejsce tablicy Mendelejewa.

– Co ja na co? – Nie mówi tego jednoznacznie nonszalancko, ale sposób, w jaki wytrzymuje spojrzenie Janusa, jest milczącą próbą sił.

– Przerabiałeś fotosyntezę *down under*²⁶? – pyta Janus.

– Tak.

– Bajecznie. Więc możesz na chwilę tu podejść i pokazać koleżankom i kolegom, jak się bilansuje takie cacko. – Przez naznaczony bliznami policzek Janusa przemyka coś na kształt uśmiechu, nie więcej niż lekki skurcz.

Noa patrzy na niego z kamienną twarzą. A potem powoli zamyka książkę i komiks i wstaje. Gdy idzie do tablicy, jego ruchy są leniwe i wyrażają pewność siebie.

Janus podaje mu kredę, ale Noa go ignoruje i bierze inną, z listwy pod tablicą.

Patrzy na wzór, lecz niczego nie zapisuje.

Sekundy wloką się, a ja rumienię się na jego konto. Stoi wyprostowany, bez ruchu, obraca tylko kredę w palcach i sprawia wrażenie obojętnego na parskanie w kącik, gdzie siedzi Jonatan.

A potem odwraca się do Janusa.

– Nie pamiętam, jak to się robi – mówi obojętnym tonem. Jak gdyby to nie był szczyt upokorzenia, tak stać przed nami wszystkimi i przyznać, że nie potrafi sobie poradzić.

– Wydaje mi się, że sobie przypomnisz, Noa, jeśli naprawdę się postarasz – nalega Janus.

– Ale naprawdę nie pamiętam – mówi Noa spokojnie i wraca na swoje miejsce.

Jestem nazbyt oszołomiona jego wyniosłą obojętnością, żeby mu spojrzeć w oczy.

– No? – Janus spogląda na mnie. Dziwny skurcz mięśni przy uśmiechu znowu sprawia, że zarost porusza się wokół kącika ust.

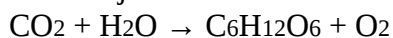
O, nie!

– Emilko, może ty? Bądź tak dobra i pokaż nam wszystkim, jak się to robi.

Wstaję na drżących nogach, przygwożdżona potężnym naciskiem otaczającej mnie uwagi.

Jak we mgłę wyciągam rękę po kredę, którą trzyma Janus.

Zapach kredowego pyłu łaskocze mnie w nosie. Równanie fotosyntezy jest jak biały jazgot na tle matowej zieleni.



Z łatwością bilansuję równania chemiczne. Robiłam to wcześniej bez problemów. Ale akurat teraz nie mam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. Te wszystkie spojrzenia kłujące mnie w kark, głowę i plecy są jak mata z gwoździami, zbyt natarczywe, żebym mogła spójnie myśleć.

Chichot Jonatana brzmi tym razem niemal jak głośnie parsknięcie.

Unoszę rękę, a w głowie kompletna pustka. Czuję mrowienie pod pachami.

Mam wrażenie, jakby spojrzenie Noa barwy rafy koralowej wżerało mi się między łopatki. Ale to pewnie tylko wmówienie. Na pewno siedzi i gapi się w swój kretyński komiks, wznesiony wysoko ponad światem i wszystkimi jego słabościami.

Zagryzam zęby tak mocno, że aż zgrzytają.

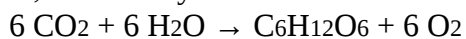
On nic a nic o mnie nie wie!

Przystawiam kredę do tablicy. I nagle słyszę w głowie głos Linusa.

„Musisz po prostu myśleć o tym, jakby to były szale wagi, które mają się równoważyć. Jeśli po jednej stronie jest pięć molekuł tlenu, to musi też być pięć po drugiej. To tak naprawdę bardzo łatwe”.

Gdy skoncentrowałam się na tych słowach, główny rachunek przyszedł mi zaskakująco szybko.

Po prawej stronie jest sześć razy C, więc po lewej też musi być sześć. Stawiam szóstkę przed CO₂, a reszta wychodzi sama. Szóstka przed H₂O i O₂, i nic przed długim łańcuchem glukozy.



To faktycznie dość łatwe.

– No i kasa się zgadza! – Janus wydaje się zachwycony. – Świetnie, Emilko.

Gdy wracam na swoje miejsce, uczucie ulgi sprawia, że mam miękkie kolana.

Mijając Noa, spoglądam na niego bezwiednie. Wyraz zdumienia na jego twarzy wart jest plam potu pod pachami.

Janus stawia pozostałym uczniom różne pytania, żeby się zorientować, jak daleko zaszliśmy z programem. Oczywiście odpowiedź brzmi: nie dość daleko, skoro tylko ja i Adriana odpowiadamy poprawnie.

Potem Janus dzieli nas na grupy. Jako nauczycielowi fizyki i chemii najwyraźniej daje mi kopa eksperymentowanie z mieszankami wybuchowymi. W każdym razie bez zmrużenia oka sadza Pi razem z Adrianą.

Ale to nie zaspokaja jego skłonności do chorych eksperymentów.

Bo oczywiście do wykonania eksperymentu z testem kwasowo-zasadowym ja losuję trefny los. Cały w czerni i zatopiony w Batmanie.

Mocno przyciskam do ciała ramiona, żeby ukryć wilgotne plamy pod pachami, które

spowodował zalew potu przy tablicy. Niestety, mam podejrzenie, że teraz jeszcze się powiększą. Nerwowość przenosi się na moje ruchy i gdy przez przypadek upuszczam na stół palnik Bunsena, Noa na moment podnosi wzrok.

Weź się w garść, Emi!

Odsuwam się od niego na tyle, na ile tylko się da, i rozkładam sprzęt.

– O, już – mówię demonstracyjnie głośno, gdy już ustawiłam puste naczynie na stojącym między nami małym metalowym statywie.

Obrzucam Noa spojrzeniem, które mam nadzieję sprawia wrażenie wyniosłego.

Ale gdy odkryłam, że stoi oparty łokciami o stół i z jedną ręką pod brodą już mnie obserwuje, jakbym była jakimś dziwnym zwierzęciem za szybą z plexi w zoo, zapominam o oddychaniu.

– O, już – powtarza jak echo.

I się uśmiecha. Tym swoim krzywym, zapierającym dech w piersiach uśmiechem, z jednym kącikiem ust opuszczonym w dół i towarzyszącą uśmiechowi bruzdą, tak dominującą, że odmienia całą jego twarz.

Jestem tak zszokowana tym, że posiada mięsień śmiechowy, że chcąc nie chcąc, odwzajemniam się i pokazuję zęby w słabym, głupkowskim uśmiechu, który odczuwam jako skurcz policzków.

Na tyle, żeby wyglądać na chłodną, opanowaną antyfajtką.

– Masz tę fizykę i chemię pod kontrolą, co? – mówi Noa.

Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to to, jak bardzo przypomina chłopaka z mojego rysunku, gdy się uśmiecha. A ja już niemal przekonałam samą siebie, że po prostu mam zwidy.

Wzruszam ramionami i spoglądam na dwie butelki, jedną z rozcieńczonym wodorotlenkiem sodu i drugą z kwasem solnym.

– Po prostu przygotowuję się do lekcji. – Mówiąc, już słyszę, jak zarozumiale to brzmi. Szybko odkręcam nakrętki butelek i do każdej wkładam pipetę.

– Dlaczego? – pyta Noa.

Spoglądam na niego.

– Co dlaczego?

– Dlaczego przygotowujesz się do lekcji?

– Bo... bo trzeba – odpowiadam bez przekonania. Chwytam pipetkę i zaczynam wpuszczać do naczynia na statywie krople wodorotlenku sodu. – W przeciwnym razie chodzenie do szkoły nie miałoby sensu, nie?

Super, ale dziobak.

Noa patrzy na spływające po pipecie przezroczyste krople. Docierają na dno pustego naczynia, w którym mamy mieszać wodorotlenek sodu z kwasem solnym. Dwa trujące, żrące płyny, które dobrze wymieszane, przestają być niebezpieczne.

– Hm.

– Co? – pytam poirytowana. – Może w Australii odrabianie lekcji nie jest czymś normalnym?

– Jest – odpowiada.

– No to czemu ty tego nie robisz?

– Robię. Kiedy uważam, że jest sens.

– Chcesz powiedzieć, kiedy ci się chce?

Noa uśmiecha się prowokująco i zdrapuje czarny lakier z paznokcia na kciuku.

– Dlaczego poszedłeś do tablicy, skoro nie umiałeś zbilansować równania? – pytam. Jego postawa zaczyna działać mi na nerwy. – Czemu po prostu nie powiedziałeś, że nie potrafisz?

– Bo nie chciałem wyjść na słabeusza.

Jak ja mam dość tego słowa!

– A poza tym myślałem, że gdy już tam będę, zmuszę się i sobie przypomnę. – Noa bawi się, zamyślony, rogiem swojego komiksu, który już zaczął się strzępić. – Przecież warto było spróbować. Ale równania reakcji chemicznych najwyraźniej nie są moją mocną stroną.

Myśl o tym, żeby rzucać się w coś, czego się nie kontroluje w stu dziesięciu procentach, sprawia, że robi mi się mdło. I to przed tylu ludźmi, których w ogóle nie zna!

– Jestem dużo lepszy w przedmiotach językowych – mówi. – *Hablo muy bien español*²⁷.

– Tak, niezłe dawałeś wczoraj gazu po angielsku. – Ignoruję szpanowanie hiszpańskim. – Ale już czytałeś *Brave New World*. Łatwiej ci było o tym mówić.

– Czytałem pierwszy i ostatni rozdział.

– To jak mogłeś...

– Nie trzeba czytać książki osiem razy od początku i od końca, żeby móc coś o niej powiedzieć. Zwłaszcza odkąd wynaleziono internet.

– Ale to przecież oszustwo!

– Przychodzę na lekcje. Dostaję dobre stopnie. Nauczyciele są zadowoleni, ja jestem zadowolony. *Win-win*²⁸.

– A jeśli cię zapytają o coś, czego nie czytałeś... albo o czym nie czytałeś?

– Staram się mówić tylko to, czego jestem pewny. Jeśli się człowiek odezwie na początku lekcji, do końca ma spokój.

Zaniemówiłam. Nie całkiem wiedziałam, czy z pogardy, czy z podziwu. W jego wydaniu zwyczajna lekcja angielskiego urasta do rangi gry „Stratego”.

– Ale ty wszystko czytałaś, co? – Noa patrzy na mnie dziwnym, badawczym wzrokiem.

Potakuję. I nagle tak się trzęsę z nerwów, że kropla wodorotlenku sodu spada na stół między nami.

– To dlaczego się nie odezwałaś? – pyta.

– Przecież się odezwałam!

– Bo Janus cię do tego zmusił. Ale inni nauczyciele nie zmuszają.

– Jeśli masz jakiś superwniosek, to dawaj! – warczę, choć najbardziej z wszystkiego pragnę, żeby się zamknął. Tak cirka na zawsze.

Skoro to on nie przygotowuje się do lekcji, dlaczego ja mam uczucie, jakbym właśnie miała oblać egzamin?

Noa pochyla się nad stołem, jest teraz bliżej mnie i od razu dostaję na karku gęsiej skórki. Nie mogę patrzeć mu w oczy, koncentruję się tylko na jego ręce leżącej na stole kilka centymetrów od kropli, którą właśnie upuściłam.

– Tylko się dziwię – mówi powoli. Lakier na paznokciach ma ten sam czarny kolor, co farba pod nimi, którą zdrapał ze stołu. – Dziwię się, że mnóstwo wiesz, a tego nie pokazujesz. Że nauczyciele muszą wyciągać od ciebie odpowiedzi. To chyba uczenie się w domu jest stratą czasu, nie?

Czuję się jak w tych snach, gdy człowiek odkrywa, że jest nagi. Rumienię się tak intensywnie, że niemal słyszę, jak od ciśnienia krwi w policzkach pulsują mi naczynka.

– Nie mam potrzeby zgrywania się na mądralę! – Kieruję wzrok na niego i usiłuję sprawiać nonszalanckie wrażenie, choć palą mnie uszy.

– Okey? – Noa unosi brwi, w jego głosie pobrzmiwa rozbawienie. – Tylko czy zgrywanie się na głupią to dobra alternatywa?

– Ja się nie zgrywam... – zaczynam się plątać, ale Noa mi przerywa.

– Dobrze, tylko jeśli się nie odzywasz, to sprawiasz wrażenie głupiej. Albo aroganckiej. Nie wiem, co gorsze.

Co on sobie do diabła wyobraża?!

– Skoro jesteś taki dobry w prawieniu komplementów, to pewnie masz cholernie dużo przyjaciół.

– Przyjaciół nie zdobywa się, prawiąc komplementy.

– A jak? – Słowa wymykają mi się z ust, nim zdążyłam ugryźć się w język. Czy on jest jakimś fantastycznym guru od przyjaźni, który może uratować moje „och–jak–żałosne” życie?

Noa patrzy na mnie, wżera się we mnie jak turkusowy ogień.

– Przyjaciół się zdobywa, będąc sobą. Wtedy ludzie mogą cię polubić albo spadać.

– Jasne. – Odrywam z pojemnika na ścianie kilka papierowych chusteczek. – Wystarczy być sobą i wszystko będzie super. Bo ludziom jest zupełnie obojętne, jak człowiek wygląda i co robi. Albo czego n i e robi. – Ścieram kroplę ze stołu. Noa nie wycofuje ręki, ale olewam to. Trę i trę, choć papier już wchłonął kroplę.

– Nie da się zadowolić wszystkich. – Noa wzrusza ramionami. – Poza tym mieć przyjaciół to nie to samo co być popularnym.

Ej, naprawdę, panie Przemądrzalski?

Postanawiam zignorować jego oczywiste próby wkurzenia mnie i skoncentrować się na eksperymencie.

Zgniatam papierowe chusteczki w kulkę i wyrzucam je do kosza tuż obok. A potem głośno wsadzam pipetę z powrotem do naczynia z wodorotlenkiem sodu i zabieram się do wzięcia drugiej, żeby wlać za jej pomocą kwas.

Ale zmieniam zdanie. Nie, do diabła, nie mam ochoty odwalać całej roboty, podczas gdy on sobie tylko stoi i obraża wszystko, czym jestem i co robię.

– Ty wlewasz kwas – mówię zdecydowanym tonem, podsuwam mu naczynie z oznaczeniem HCl i włączam pH-metr. – Skończ, gdy pH osiągnie wartość 7,0.

Noa spogląda na mnie zdezorientowany, a ja usiłuję patrzeć na niego z góry odpowiednio morderczym wzrokiem.

Wreszcie chwyta pipetę czubeczkami palców, jakby zawierała nierozcieńczoną, bolesną śmierć.

– Nie denerwuj się, to tylko roztwór 0,1 molowy – parskam.

– Co? – Noa ma minę, jakbym mówiła po rosyjsku.

– Wiesz, co to jest mol, no nie?

Noa potrząsa przecząco głową.

– *No idea*²⁹. Brzmi jak choroba weneryczna. Albo jak nazwa pewnego zwierzątka. – Żadnego tłumaczenia się, żadnej próby ominięcia tematu. Tylko gołe przyznanie, że nie wie i że zero go to obchodzi.

– Mol to jednostka miary roztworów chemicznych – tłumaczę niecierpliwie. – A 0,1 molowy roztwór kwasu solnego zawiera tyle wody, że w zasadzie jest nieszkodliwy. Ale możemy zrobić tak, żeby był jeszcze mniej szkodliwy, mieszając go z roztworem zasadowym, aż zamieni się w zwyczajną, słoną wodę.

Noa żuje swój piercing na wardze i spogląda na mnie przez zmrużone powieki.

– Hm.

– Nie masz pojęcia, o czym mówię, co? – wzdycham.

– Nope³⁰. Ale brzmi ciekawie. Ile, mówisz, mam wlać? – Dokładniej chwyta pipetę i zasysa do szklanej rurki kwas solny.

– Aż powiem stop.

Milczymy, podczas gdy HCl powoli neutralizuje mieszanekę w stojącym między nami naczyniu. Udaje nam się uzyskać wartość pH 7,0, co do joty.

– I co teraz? – pyta Noa.

– Teraz to podgrzejemy.

– Serio?

– Odparujemy wodę, tak żeby została tylko sól. – Zapalam palnik Bunsena pod metalowym statywem.

– O co w tym chodzi?

Wpatruję się w błękitny płomień i wzdycham w duszy.

Dlaczego on w każdej sprawie musi stawiać znak zapytania?

– O to, że kwasy i zasady, choć tak się różnią, mogą znaleźć wspólny mianownik.

Nagle nieomalże strąciłam na podłogę naczynie z wodorotlenkiem sodu, tak się wzdrygnęłam na brzmienie głębokiego głosu Janusa.

– Jak wam idzie? – pyta.

– Czekamy na sól – odpowiada Noa.

– Szybcy jesteście. Jakie pH wam wyszło?

– 7,0. D o k ł a d n i e. – Noa sprawia wrażenie, jakby rzeczywiście wiedział, o czym mówi.

– Świetnie. Zawołajcie, gdy odparujecie wodę.

Janus idzie do następnej pary, która ma o wiele za dużo płynu w zlewce i nadal walczy z pH około 9.

W drugim kącie gabinetu widzę przez moment rozeźloną gębę Adriany. Jeśli Janus nadal tak będzie mnie wychwalał, to nim doczekamy grudnia, Adriana skończy jako kupka złości koloru sraczkowatej zieleni na podłodze, jak wymiociny.

– Dziwna ta chemia. – Noa przygląda się naszemu naczyniu. Na ścianie od wewnątrz zaczęły pojawiać się małe bąbelki, co oznacza, że woda się podgrzewa.

– Jest dziwna tylko wtedy, jeśli nie próbuje się jej zrozumieć. – Lekko się uśmiecham.

Noa lekko opuszcza kącik ust, jak gdyby chciał odwzajemnić uśmiech. Odwraca się i opiera o stół ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Jego oczy mają kolor turkusowego tropikalnego morza oblewającego wysepkę, która kiedyś była moim rozsądkiem.

– T y jesteś dziwna, Emi. – Nie mówi tego złośliwie.

Dziwne, brzmi to prawie jak komplement. I nieoczekiwanie zapala we mnie iskierkę pewności siebie.

– Hm, taka jestem – mówię od niechcienia. – Dziwny, słabeuszowaty nerd, który nawet nie ma odwagi odezwać się na lekcjach.

Noa spogląda na mnie zaskoczony, rozpoznał słowa, które wypowiedział przed biblioteką. Czuję się super. O dziwo.

– I moi przyjaciele też są dziwni – mówię dalej. – Naprawdę rozumiem, że można ich nienawidzić, nie znając ich.

Noa spuszcza wzrok. Jeden z piercingów na ustach okręca się, jakby gmerał przy nim językiem.

Płyn osiąga punkt wrzenia, między nami wyrasta wąski, biały słup pary.

– Zrobiłem chyba trochę... złe wrażenie na początek.

Nadal na mnie nie patrzy.

– Co się stało wczoraj w stołówce, dlaczego wyszedłeś?

– Ten z ciemnymi włosami...

– Alban. On ma na imię Alban.

– Alban. – Noa patrzy w podłogę. – On po prostu przypomina mi kogoś, kto... kogo nie lubię.

– Łagodnie powiedziane, sądząc po napięciu mięśni na szyi.

– Dlaczego? – pytam.

Noa milczy.

Długo.

Tak długo, że w wysuszonym teraz naczyniu zaczynają się krystalizować pierwsze grudki soli.

Wyciągam rękę, żeby wyłączyć palnik Bunsena, gdy Noa otwiera usta. Ale to, co chciał powiedzieć, zastępują słowa Janusa.

– Wygląda doskonale. – Kiwa głową z uznaniem, patrząc na nasze perkoczące naczynie okryte wewnątrz delikatną błonką soli. – Dobry z was *team*³¹. – Smakuje czubkiem języka kryształek. – Sól kuchenna pierwszej klasy. Prosto do młynka w domu.

Zbieram się na odwagę i posyłam Noa w miarę zwyczajny uśmiech.

A on robi ręką znak heavymetalowy i odsłania zęby w grymasie typu *hell-yeah*³².

No i okazuje się, że motyle, które szalały mi w brzuchu wczoraj rano, a potem zdawało się, że umarły, udały się tylko na drzemkę i teraz budzą się i wołają o posiłki.

Krok do przodu, dwa do tyłu.

Czy ja nigdy nie zmądrzeję?

ROZDZIAŁ 13

Gdy wchodzę do stołówki, motyle nadal trzepoczą pod moimi żebrami jak szumiące tornado. Dopóki Noa idzie obok mnie, nie chcą wylądować.

Alban i Linus siedzą na swoich miejscach, odwrócenii plecami do nas.

Nim zdążyłam się zastanowić, jak to wszystko ogarnąć, Noa wyminął mnie i zdecydowanym krokiem podchodzi do stołu. Wyciąga krzesło obok Albana i siada frontem do niego.

Na odgłos szurania krzesłem Alban zwraca głowę w jego stronę.

Linus patrzy szeroko otwartymi oczami na Noa, potem na Albana, wreszcie na mnie i znów na Noa.

– Hej, Linus – mówi Noa.

Linus z wahaniem kiwa głową. Wyraźnie ma wątpliwości co do tego, co się właśnie odbywa.

Gdy Noa chce, najwyraźniej nie ma problemu z zapamiętaniem imion.

– Hej – mruczy Linus i przenosi wzrok na kanapkę z pasztetem.

– Hej, Alban – mówi Noa. Na dźwięk jego głosu usta Albana zaciskają się, tworząc poziomą kreskę.

– Hej – odpowiada chłodno.

– Mam na imię Noa i właśnie zacząłem chodzić do klasy Emi.

– Wiem.

– Wczoraj chyba nie przywitałem się z tobą jak należy.

– No, chyba nie. – Alban zgniata papier, w który opakowane było jego śniadanie, wyciąga rękę po Frostmourne’a i wstaje. A potem bez słowa rusza w kierunku wyjścia.

Linus i ja patrzymy na siebie sparaliżowani.

Alban zwykle jest pierwszy do wybaczenia ludziom, jeśli zrobią coś głupiego.

Unikam spojrzenia Noa i wybiegam ze stołówki.

– Alban, poczekaj. – Doganiam go na korytarzu. – Noa właśnie próbował...

Alban zatrzymuje się, a ja kładę mu rękę na ramieniu.

– Dlaczego tak po prostu wyszedłeś? – pytam.

Alban kręci głową.

– Nie wiem... nie chciałem zostać.

– O co chodzi?

Wszystko, co robi Alban, jest zawsze megaprzemysłane.

– Ja... tylko jestem na niego wściekły o to, co o mówił o tobie. Myślałem o tym wczoraj, gdy nie mogłem się z tobą skontaktować. Że naprawdę musiał ci sprawić przykrość.

– Alban, przecież mówiłam, że siadła mi komórka. To dlatego nie oddzwoniłam.

– Ale było ci przykro. Słyszałem to rano w twoim głosie. Z powodu Jonatana nigdy nie było ci aż tak przykro. – Alban przesuwa kciuk tam i z powrotem po czarnym uchwycie Frostmourne’a.

– Przepraszam, że wydawałem się obojętny. Że nie słuchałem tego, co mówiłaś.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc puszczam jego ramię i przytulam się do niego.

Alban przyciąga mnie do siebie.

– Jesteś jednak trochę niemądry – mruczę w jego szary T-shirt.

– Nigdy nie nienawidziłem Jonatana – mówi Alban cicho. Jego słowa przemykają po moich włosach jak bryza. – Nie lubię go, to jasne, ale nie zrobił jeszcze niczego, co mogłoby sprawić, żebym go znienawidził. Jonatan jest po prostu zwyczajnym dupkiem. Za to ten Noa... – Alban nie kończy zdania, a ja z jakiegoś powodu czuję ulgę.

Wypowiedzenie czegoś na głos nadaje temu czemuś definitywny kształt.

Uwalniam się z jego objęć i patrzę na niego.

– A czy przypadkiem to nie ty powtarzasz, że nie należy zwracać uwagi na to, co mówią inni?

Alban wzdycha i zakłopotany szczypie się w kark.

– Tak. I nie zwracam. O mnie ludzie mogą sobie myśleć, co chcą. Ale co innego, jeśli chodzi o ciebie.

Teraz, gdy w polu widzenia nie ma Noa, motyle w moim brzuchu zrobiły sobie przerwę, ale słowa Albana sprawiają, że jeden z nich zaczyna trzepotać skrzydłami. Cieszę się, że Alban nie widzi, że się rumienię.

– Dzień Rycerza masz dzisiaj, jak słyszę. Pełna gotowość do obrony mojego honoru – usiłuję brzmieć rezolutnie.

– Trochę nadgorliwy ten rycerz, jak się okazuje. – Alban krzywi się.

– Noa nie jest chyba taki zły, jak mówiłam – szepczę.

Alban unosi jedną brew.

– To znaczy... nadal jest wkurzający i wszystko wie lepiej, jest wkurzający i megazarozumiały, i stara się być tajemniczy i... naprawdę jest wkurzający. Ale przetrwałam z nim dzisiaj eksperyment na chemii.

– Więc rozmawialiście?

– Tak. I przeprosił za wczoraj.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdzam. Przyznanie się Noa na ostatniej lekcji było chyba czymś w rodzaju przeprosin?

– I myślę, że próbował też przeprosić ciebie, zanim wyszedł.

Alban masuje sobie czoło opuszkami dwóch palców, jak gdyby był bardzo zmęczony.

– No to załatwiłem to superancko.

Rzucam okiem na drzwi prowadzące do stołówki.

– Mógłbyś przecież... to znaczy, mógłbyś wrócić i jeszcze raz się z nim przywitać, no nie?

Alban ciężko wzdycha i potakuje.

– Spoko.

Staję przy nim tak, że nasze ręce dotykają się zewnętrzną stroną, Alban przesuwając dłoń wzdłuż mojej ręki, by uchwycić ją w tym samym co zawsze miejscu nad łokciem. To w ten sposób zazwyczaj prowadzi się niewidomą osobę. Sandra nauczyła mnie tego wiele lat temu.

Mocno podkreślała, że nie powinnam po prostu chwycić go za ramię i ciągnąć za sobą, tylko pozwolić jemu chwycić się mnie. Jeśli jest się parą albo, jak my, bardzo dobrymi przyjaciółmi, można trzymać się za ręce. Ale za ręce trzymamy się głównie poza szkołą, żeby nie szeptali po kątach, że jesteśmy zakochani.

Rzadko myślę o tym, jak się zachowuję, będąc z Albanem, a Noa i Pi sprawili, że na niektóre z naszych głęboko zakorzenionych zwyczajów spojrzalam z zewnątrz.

Gdy zaczynamy iść, jestem dziwnie świadoma ruchów, które całkiem automatycznie wykonują nasze ręce i stopy. Alban idzie pół kroku za mną. Otwieram drzwi do stołówki, on je

zamyka. Jest tak, jakbym rysowała na papierze węglem, zwracając jednocześnie uwagę na ten szczególny dźwięk, jaki przy tym powstaje.

Wracamy do stołówki. Linusa nie ma, ale Noa i Pi siedzą przy stole jedno naprzeciwko drugiego i nie patrząc na siebie, jedzą śniadanie.

– Jeszcze tu są – szepczę do Albana i zachęcająco ściskam jego ramię.

Pi zauważa nas za plecami Noa i jej twarz rozjaśnia pełen nadziei uśmiech, który sprawia, że Noa się odwraca.

Wydaje się, jakby widok Albana wywołał u niego fizyczny ból.

Na moment zamyka oczy, ale potem zmusza się, by na niego spojrzeć.

– Cześć – mówi. Nie sposób nie zauważyć chłodu w jego głosie.

– Cześć. – Alban próbuje się uśmiechnąć. – Przepraszam, że wyszedłem. Chyba trochę nadepnęliśmy sobie na odciski. Przykro mi. – Jest na tyle pewien miejsca, w którym siedzi Noa, że wyciąga do niego rękę.

Noa spogląda na nią. Wystarczająco długo, żeby w mojej głowie pojawiła się myśl, czy aby nie spędzą reszty roku na naprzemiennym obrażaniu się i przeproszaniu.

Wreszcie Noa ściska dłoń Albana krótkim, mocnym uściskiem.

Puszczają swoje ręce tak szybko, jak gdyby poraził ich prąd.

– Mi też jest przykro – mówi Noa. – Przepraszam – dodaje.

Dopiero teraz orientuję się, że przez cały ten czas nie oddychałam.

Pi uśmiecha się tak szeroko, że piercingi w jej policzkach niemal znikają.

– Troje przyjaciół przez półtora dnia. To chyba nowy rekord, brachu!

– Yes. Mówią na mnie Magnes – odzywa się Noa obojętnym tonem i wraca do jedzenia.

ROZDZIAŁ 14

– O czym piszecie? – pyta Pi.

Siedzimy na sofach w bibliotece, Adriana, bliźnięta i ja. Janus przeznaczył jeszcze jedną lekcję matematyki na *brainstorming* i szukanie literatury do naszych projektów, bo dziś po południu mamy podać tematy.

Adriana spogląda znad sporego stosu wydrukowanych artykułów i pokwitowań zamówień z innych bibliotek, które zrobiła przez internet, i właśnie sortuje je alfabetycznie według nazwisk autorów.

– O teorii względności – odpowiada.

Czuję się trochę głupio, trzymając na kolanach książkę o Marsie. Nie miałam pojęcia, że już podjęliśmy decyzję, ale teoria względności to temat, w którym Adriana będzie uwielbiała brylować.

– A wy? – zwracam się do Pi, nie komentując dyktatorskich zapędów Adriany. Czuję taką ulgę z powodu piórnika, który w nieuszkodzonym stanie znalazłam przy komputerze, że nie chce mi się z nią kłócić.

– O SETI – odpowiada Noa. Wyjątkowo nie siedzi nad komiksem, tylko przegląda spis treści książki, na której okładce widać jakieś wielkie cosie przypominające anteny satelitarne.

– *Search for Extra-Terrestrial Intelligence*³³ – wyjaśnia Pi. Ona i Noa przygotowują projekt razem, bo przyszli do klasy, gdy już zostaliśmy podzieleni.

– Czyli ufo, różne istoty w przestrzeni kosmicznej i takie rzeczy? – Adriana ma kwaśną minę.
– Jesteście pewni, że możecie pisać o takich sprawach? Czy to jest poważny temat?

Noa spogląda na nią.

– Skoro zajmuje się nim NASA, to chyba dość poważny?

Adriana coś bąka i szybko zaczyna przeglądać swoje papiery. Najwyraźniej nie jestem jedyną osobą, której trudno sobie poradzić ze zdolnością Noa do wwiercania się rozmówcy spojrzeniem w sam środek zwojów mózgowych.

– No, ale teoria względności też brzmi ciekawie – mówi Pi.

Kiwam głową bez przekonania.

– Jasne, kto mógłby odmówić zajmowania się przez miesiąc Einsteinem?

– Ktoś tu mówi o Einsteinie? – Zza regału pojawia się Linus z książką od fizyki w ręce. Uśmiecha się i przysiada obok mnie na oparciu sofy. – Hej! Wy przecież zwinęliście całą najlepszą literaturę! – woła na widok piętrzącego się na stole stosu książek.

– Myślałam, że już je wszystkie znasz na pamięć – drażnię się z nim.

– Nie na tyle, żeby zrobić projekt o bozonie Higgsa.

Adriana wyprostowuje plecy i obrzuca go spojrzeniem od góry do dołu.

– Ile ty właściwie masz lat?

– ... czternaście. – Linus jest zmieszany. – Czemu pytasz?

– Czternaście? I chcesz pisać o bozonie Higgsa?

– A co? O ile wiem, nie ma granicy wieku dla zajmowania się cząstkami elementarnymi?

Muszę zagryźć w policzek, żeby nie parsknąć.

– O, czyli was też ten nowy zmusił do współpracy przy projektach o kosmosie? – pytam. Klase Linusa też uczył Svenning.

– O kosmosie tak, ale nie do współpracy. My musimy pisać indywidualnie. Ten Janus coś bredził o samodzielności i kielkującym pokwitaniu i w ogóle o takich tam hippisowskich bzdurach.

– A nie mógłbyś tak napisać o teorii względności i wyświadczyć trochę koleżeńskiej pomocy?
– Dźgam go łokciem w bok.

– Już o tym pisałem. Możecie pożyczyć moją pracę.

– Wydaje mi się, że jakoś damy sobie radę bez raportu siedmioklasisty na temat Einsteina – mówi Adriana.

– Linus jest w ósmej! – odpalam. – I żebyś wiedziała, że jest dużo powyżej poziomu swojej klasy!

– Na pewno – mówi Adriana, nie przerywając układania kartek.

Chcę powiedzieć coś jeszcze, ale Linus pokazuje mi zza książki do fizyki znak *timeout*³⁴ i lekko kręci głową.

– No to spędzajcie mile czas z waszymi książkami. – Zeskakuje z oparcia sofy. – Zobaczę, czy da się znaleźć jakieś żałosne resztki na najdalszych regałach. A jeśli nie, to w internecie i tak jest mnóstwo artykułów, mogę sobie...

– Brakuje wam materiałów?

Drugi raz dzisiaj wzdrygam się na dźwięk głosu Janusa.

Gdy idzie, nie słycać skrzypienia, tak jak wczoraj. Zostawił długie skórzane buty w domu i zamiast nich ma na nogach wysłużone *moon boots*, których nie słycać, co irytuje.

– Właśnie, nie ma tu wielkiego wyboru – mówi Adriana, jak gdyby Janus był osobiście odpowiedzialny za to, że wybór książek w szkolnej bibliotece nie spełnia jej astronomicznych oczekiwań.

– No to musicie szukać materiałów gdzie indziej – mówi Janus.

– Zrobione. – Adriana wykonuje nonszalancki gest w kierunku leżącego przed nią stosu wydruków.

– Nie tylko pisanych – dodaje Janus. – Czasem lepiej skorzystać z materiałów dźwiękowych. Jeden z moich nowych kolegów, tu w szkole, wspomniiał, że w okolicy mieszka jakiś astrofizyk, który regularnie wykłada. To mógłby być jakiś pomysł, gdybyście szukali inspiracji.

Linusowi już zapaliły się w oczach iskiereki.

– Jak on się nazywa? – pyta z zapalem.

Janus marszczy dwukolorowe czoło.

– Karsten czy Karl, jakoś tak. Nazwiska nie pamiętam.

– Wielka pomoc! – odzywa się Adriana.

– Tak znów wielu nerdów astronomii to chyba w tej miejscinie nie mieszka. – Noa wyjmuję z kieszeni smukłego czarnego smartfona. – Zaraz go wygoogluję.

Obserwuję, jak jego palce tańczą na dotykowym wyświetlaczu taniec pająka.

– Jest jeden – mówi. – Karl Christensen. Ma doktorat z astrofizyki, według Google Maps mieszka niedaleko za miastem. Jest strona internetowa.

Widzę przez niski stół, jak wklkuje się na typową „zrób-to-sam” stronę.

Na stronie głównej widać zdjęcie śniadego mężczyzny o okrągłej głowie, kędzierzawych włosach i uśmiechu, który sprawia wrażenie wymuszonego.

– Jest zakładka o wykładach. – Noa roluje w dół listy z podanymi datami. – Dziś wieczorem jest wykład pod tytułem „Tajemnice kosmosu”. Podwójny, z jakimś facetem, fizykiem, Józefem Christensenem.

– Dwóch Christensenów? Ciekawe, czy to bracia? – Linusa chyba zachwyca wyobrażenie brata, z którym można nerdować na temat astrofizyki.

– No, dacie radę – mówi Janus. – Dwa wykłady w jeden wieczór. Mnie się to w każdym razie wydaje obiecujące. Zaraz powiem o tym waszym kolegom, żeby oni też mieli możliwość tam pojechać. – Janus opuszcza bibliotekę długimi, bezszelestnymi krokami.

– Żeby oni t e ż mieli możliwość? – Adriana robi wielkie oczy.

– Ja w każdym razie mam ochotę iść – mówię przekornie.

– I ja! – woła Linus. – Alban też na pewno będzie chciał jechać, pisze o sondzie Voyager 1. Pewnie wiecie... to ta wysłana w 1977 z połączoną płytą gramofonową, teraz opuszcza układ słoneczny.

– Powiedzcie mi, czy ten Janus zainfekował chorobą kosmiczną wszystkie starsze klasy? – pytam.

– Na to wygląda. Ja już jestem jego fanem – śmieje się Linus.

– A wy? Jedziecie z nami? – Patrzę na Pi.

– Oczywiście! Mamy masę artykułów, ale właściwie żadnych książek. Może będziemy mogli coś od niego pożyczyć?

– Na pewno jest na bieżąco z najnowszymi badaniami kosmosu – mówi Linus. – Chciałbym zobaczyć jego bibliotekę!

Adriana nagle wydaje się zainteresowana.

– Gdybyśmy mogli pożyczyć od niego książki, nie musielibyśmy czekać na zwroty tych, które zamówiliśmy. Moglibyśmy zacząć już jutro rano! – Patrzy przed siebie z namysłem. – Dobrze, tak zrobimy – decyduje.

– Ja mam niestety dziś wieczorem bardzo ważne spotkanie – oznajmia Noa.

– Jakie spotkanie? – pyta Pi nieufnie.

– Obiecałem Kazuy’emu, że dostanie solidnie w japę. Będzie wściekły, jeśli go zawiodę.

Twarz Linusa rozjaśnia się w szerokim uśmiechu.

– Też grasz w *Tekken*?

– Yes. Głównie Devil Jinem.

Wznoszę oczy do nieba. Oczywiście, Noa wybrał sobie wielkiego wrednego *goth-enge*³⁵ z czerwonym okiem, który potrafi strzelać do przeciwników promieniami laserowymi.

Noa rozciąga się leniwie na sofie.

– A ty?

– Ja trzymam się Kinga – odpowiada Linus. – Zawsze lubiłem leopardy. Zwłaszcza te, które znają kung-fu. – Linus spogląda na mnie. – Emi gra Lili – dodaje.

Dlaczego o tym gada?

Gdy Noa odwraca się do mnie, rumienię się.

– Naprawdę? – Kącik jego ust wygina się prowokująco.

Tak, ha, ha. Klasowy nerd gra blond seksówę w mini! Bardzo zabawne.

– Skoro nie wolno lać ludzi w realu, to trzeba kanalizować swoje skłonności do przemocy w inny sposób. – Staram się, jak mogę, nadać głosowi ton pewności siebie. Ale mój głos brzmi trochę zbyt piskliwie i sytuacji nie poprawia nieudolne prychnięcie na końcu zdania.

– Pi też gra – mówi Noa. – Ale kiedy przegrywa, to tak histeryzuje, że aż ciska padem.

Noa pochyla się, by uniknąć trafienia ołówkiem, którym rzuciła w niego Pi.

– Alban w ogóle nie chce grać w *Tekken*. Nudny jest – mówi Linus z żalem w głosie. Miał to być żart, ale Pi i Noa wyglądają na zakłopotanych, jakby nie bardzo mieli odwagę śmiać się z Albana.

Adriana zupełnie ignoruje Linusa.

Czasem łatwo zapomnieć, że mamy swoje kody i że nasze poczucie humoru może być niezrozumiałe dla innych.

Linus chrząka.

– No dobra, o której się spotykamy?

– Zaczyna się o dziewiętnastą – mówi Noa. – Będzie, kurczę, zajebicie! Dwóch starych nerdów w cenie jednego biletu wstępu! Będę o was myślał, osiągając nowy *high score*³⁶. – Noa uśmiecha się ironicznie, z nosem w książce o SETI.

– Możemy się tam spotkać za dziesięć siódma – mówi Pi i odwraca się do brata. – A ty jedziesz z nami! A jeśli nie, to powiem mamie, że stłukłeś ucho wazy Ming, bo grałeś w piłkę w pokoju, gdy się rozpakowywaliśmy.

Noa patrzy na nią z ukosa.

– Mama wraca dopiero w przyszłym tygodniu. Zdążę je przykleić.

– Czy ty naprawdę wierzysz, że sześćsetletnia waza ma taką samą wartość z przyklejonym uchem?

– Przecież mama sama mówi, że nie jest na sprzedaż, bo ma zbyt dużą wartość emocjonalną!

– Wartość emocjonalna nie uratuje ci tyłka, jeśli mama odkryje, że waza jest stłuczona!

Patrzę to na Pi, to na Noa, jak gdybym była na rozgrywkach tenisa z użyciem granatów ręcznych zamiast piłek tenisowych.

– Okey. – Noa znów spuszcza oczy na książkę poświęconą SETI, choć wygląda, jak gdyby najbardziej miał ochotę cisnąć nią o ziemię.

– Wasza mama gdzieś wyjechała? – Za wszelką cenę próbuję rozbroić zelektryzowaną atmosferę między bliźniętami.

Pi potakuje.

– Handluje sztuką, więc jeździ po całym świecie, kupuje i sprzedaje dzieła sztuki. Miała galerie w różnych wielkich miastach.

– To dlaczego wróciliście do Danii? – Moje pytanie jest oczywiste, ale wyraz twarzy Pi zezującej na Noa mówi mi, że wkroczyłam na sam środek pola minowego.

– Bo... bo mama chce, żebyśmy mieli duńską maturę. – Nie patrząc na mnie, Pi owija wielkiego srebrnego węża wokół środkowego palca. – Próbuje założyć tu jakiś interes. W tej chwili jest w Queensland, żeby ogarnąć sprawy swojej ostatniej galerii.

Noa nadal siedzi pochylony nad książką, ale oczy nie poruszają się tak, jakby czytał. Dlaczego przeprowadzili się w środku roku szkolnego? Może w Australii semestry układają się inaczej? Chciałabym dowiedzieć się więcej, ale bliźnięta najwyraźniej nie palą się do rozmowy na ten temat.

– To... brzmi całkiem nieźle, dobry pomysł. Czyli chodzi o to, żebyście zdawali maturę w języku ojczystym – mówię.

Ani Pi, ani Noa nie potwierdzają mojej obserwacji.

Sekundy mijają i cisza staje się tak ciężka, że niemal wyciska wgłębienia w poduchach sofy.

– No dobra... – Linus błędzi wzrokiem – ... to spotykamy się za dziesięć siódma u tego Karla. Widzimy się później, Emi. – Uśmiecha się szybko do mnie i znika między regałami.

Jego słowa przypominają mi, że umówiłam się z Albanem na czytelnicze rendez-vous po szkole.

Bezpieczna wyspa normalności w morzu udręk i zielononiebieskiego trzepotania serca.

Kilka godzin później leżę na plecach w fotelu-pufie i absorbuje wiersz Strungego, który czyta na głos Alban.

*Wiedzieliśmy że czas nie istnieje
tylko ruch
więc znieruchomieliśmy w pocałunku
żeby pozostał na wieczność.*

Znam już ten wiersz, ale głos Albana nadaje zdaniom nowe niuanse znaczeniowe. Słowa przeżywa się całkiem inaczej, gdy są wymawiane, niż gdy się je widzi napisane. Chodzi o wczuwanie się. O rytm i ton, i odpowiednie pauzy. Czytanie na głos może zmienić znaczenie słów, ich odczuwanie.

Palce Albana poruszają się na wąskim monitorze brajlowskim, który leży przed komputerem. Przetwarza on elektroniczny tekst na pismo Braille'a, które pojawia się w formie wzniesionych punktów, linia po linii, w miarę jak Alban roluje wiersz na monitorze.

Opuszki jego palców potrafią absorbować trójwymiarowe słowa niemal tak szybko, jak moje oczy odczytują je w książce. Zwykle niewidomi czytają trochę wolniej niż widzący, bo nie ogarniają całości tekstu, tylko muszą wyczuć każdą pojedynczą literę.

Ale Alban czyta dużo książek, a poza tym grając na gitarze, też używa nut w brajlu, więc należy do szybkich czytelników. Gdy czyta, jego głos brzmi pewnie, nie ma w nim wahania.

*Wiedzieliśmy że przestrzeń nie istnieje
tylko myśl o niej
dlatego nasza miłość przetrwała
pośród gwiazd.*

Wiersz się skończył, żadne z nas nic nie mówi. Wyciągam się wygodniej w pufie, która reaguje skrzypieniem, a palce Albana wędrują po monitorze, może po to, żeby jeszcze raz poczuć ostatni wers.

Siedzenie z nim w milczeniu nie jest krępujące. To jeden z wielu powodów, dla których jesteśmy przyjaciółmi od pierwszego dnia szkoły w podstawówce.

Wciąż widzę siedmioletniego chłopca siedzącego na schodkach w szkolnej auli.

Ciemne włosy niemal całkiem zakrywały mu oczy, ale nie zwracał na to uwagi. Na kolanach trzymał gruby notes kołowy i przesuwał palcami po powierzchni stron. Spojrzenie miał wbite w punkt na przeciwległej ścianie, ale poruszał ustami, jak gdyby czytał sam sobie na głos.

Zatrzymałam się kilka metrów od niego, zafascynowana tym dziwnym widokiem. Zdawało się, że nie zwraca na mnie uwagi, bo nie spojrzał w moim kierunku. Wspięłam się na palce, chciałam dostrzec coś ze strony, na której była otwarta książka. Papier lśnił, na powierzchni widniały szeregi maleńkich wzniesień.

Zerknęłam na twarz chłopca, żeby sprawdzić, czy wciąż porusza ustami. Moje spojrzenie napotkało stalowoniebieskie oczy, które zdawały się patrzeć przeze mnie.

Uśmiechnął się.

– Ćwiczę poranne pieśni³⁷ – powiedział, jak gdyby to coś wyjaśniało.

Potem dowiedziałam się, że te maleńkie wzgórki nazywają się pismem Braille’a albo pismem punktowym i że jest to pismo dla niewidomych.

A on nauczył się wszystkich naszych porannych pieśni na pamięć, plus kilkuset innych.

– Przeczytasz jeszcze jeden? – pytam. Alban odwraca się w krzesło i uśmiecha.

– Czytałem pół godziny dłużej niż zwykle. Naprawdę polubiłaś Strungego, co?

– Tak, dobry jest – przyznaję. – Ale jeszcze lepszy, gdy ma alternatywę w postaci zadań z równaniami.

Zagłębiam się jeszcze bardziej w moim skrzypiącym siedzisku i zamykam oczy.

– Aha, zgadłem, że chodzi o coś więcej. Ale rozczaruję cię, ja też muszę robić zadania z matmy. I napisać wypracowanie z niemieckiego i agendę następnego spotkania rady uczniów.

Otwieram oczy.

– Brrr... – Wstaję po torbę.

– Będę pamiętał, żeby na następne czytanie znaleźć więcej wierszy z lat osiemdziesiątych. Albo zbiór nowel z dziewięćdziesiątych, jeśli będziesz miała szczęście.

– Łaski! – jęczę. – Nie chcę już nowel z lat dziewięćdziesiątych! Te, które czytałeś, były takie dziwaczne!

– Ale trzeba mieć otwarty umysł, no nie?

– I to mówisz ty, który zawsze twierdzisz, że literatura z tego okresu to osiągnięcie topu popu.

– Szkoda, że nie byłem młody w tych czasach. Nie ma co, pisali wtedy lepsze książki. I muzykę. I robili lepsze filmy. – Alban wzrusza ramionami.

– Ty staruszkule! – Z powrotem wskakuję na pufę, z torbą na kolanach.

Alban się śmieje.

Jego ulubieni pisarze, kapele i filmy były modne dwadzieścia lat temu. Generalnie jest jeszcze mniej na bieżąco ze współczesnością niż ja i Linus. I nosi zegarek brajlowski na rękę, chociaż z łatwością mógłby odczytywać godziny na swojej komórce. Mówi, że lubi wyczuwać czas jako coś fizycznego.

– A teraz staruszek odrobi lekcje. – Alban odkręca się na krzesło z powrotem do biurka i komputera. Widzę ze swojego miejsca, że loguje się w szkolnym intranecie. Wszystkie zadania domowe i dokumenty uczniowskie dostaje elektronicznie, tak żeby syntezytor mowy w komputerze mógł odczytać mu teksty. Brajlowskiego wyświetlacza używa tylko, jeśli ma przeczytać coś szczególnie dokładnie albo jeśli chce sprawdzić pisownię jakiegoś słowa. I do czytania wierszy oczywiście. Brzmiący jak głos robota syntezytor mowy totalnie je rozwala.

Siedzę z torbą na kolanach, nie otwieram jej. Naprawdę nie mam ochoty robić zadań z matmy. Ale muszę się wziąć do roboty, jeśli mam zdążyć pojechać razem z wszystkimi.

– A ty właściwie jedziesz z nami na ten wykład? – pytam.

– Tak, zapowiada się ciekawie. Linus aż świruje.

– Ten nowy nauczyciel też. Prawie biegł, żeby powiedzieć o tym reszcie klasy. – Kręcę głową, a pufa lekko skrzypi.

– Janus?

– Tak.

– Podoba mi się ten facet. – Alban znów odwraca się o pół obrotu. – Został moim pomocniczym zamiast Svenninga. Audiodeskrybował mi dzisiaj film na niemieckim. Absolutnie biegle, jak gdyby nigdy nic innego nie robił.

– Tak? – Jeszcze nie całkiem zdecydowałam, czy lubię Janusa. Ale mojego sceptycyzmu nie

zmieni fakt, że jest zdolny. Wiem, jak trudna potrafi być audiodeskrypcja. Trzeba zdążyć opisać, co dzieje się na ekranie, ale tak, żeby nie zagłuszać dialogów.

– Tajemnice kosmosu. Będzie ciekawie – mówi Alban i koncentruje się na lekcjach.

„Ciekawie” brzmi ciut zbyt optymistycznie. Na pewno będzie grzecznie i nudno.

A jednak jakaś mała część mnie faktycznie... cieszy się na dzisiejszy wieczór. Próbuję powiedzieć motylom w brzuchu, że nie ma to nic wspólnego z Noa.

Ale one tylko prychają i dalej machają skrzydłami.

ROZDZIAŁ 15

Gdy wysiadam z autobusu na pustej szosie razem z Adrianą, Albanem i Linusem, jest za dziesięć siódma. Jesteśmy tak daleko za miastem, że poza przystankiem i światłami jakiegoś domu kilka kilometrów dalej, nie widać innych oznak cywilizacji, ale według iPhone'a Adriany jesteśmy we właściwym miejscu.

Noa i Pi już są, stoją przy swoich rowerach górskich, zdyszani po jeździe na lodowatym zimnie. Pi ma na sobie puchową kurtkę neonowej zieleni, która, gdy natrafia na nią lampa roweru Noa, zdaje się sama świecić.

Noa jest oczywiście w swojej czarnej skórzanej kurtce. Ciekawa jestem, czy świadomie usiłuje być kliszą *bad boy*, czy też to prawo naturalne, że krnąbrni, ubierający się w czerni ludzie mają słabość do skóry?

Tak czy siak, wkurzająco dobrze w niej wygląda. Motyle, które imprezują pod moimi żebrami od kolacji, szaleją.

– Nikt więcej tym autobusem nie jechał? – pyta Pi. – Myślałam, że będzie tu większość ludzi ze starszych klas!

– Może rodzice ich przywiozą? – Rozglądam się dokoła. Ale poza lampami rowerów bliźniąt mrok rozświetlają tylko czerwone oczy autobusu, który szybko znika za zakrętem.

A może nikt poza nami nie jest na tyle pilny, żeby jechać za miasto w jesiennym mroku i siarczystym mrozie dla jakiegoś tam projektu?

– To ma być o siódmej, prawda? – pyta Adriana.

Noa wyciąga komórkę.

– Tak – potwierdza i na dowód pokazuje nam wyświetlacz z informacją. – Adres jest chyba zły.

– Czyli że ten klaun źle go podał na stronie – warczy Adriana. – Ja w każdym razie źle go nie wprowadziłam!

Księżyc skrył się za zębatym pejzażem chmur, ale śnieg trochę odbija światło i jest go akurat tyle, że można się zorientować w terenie.

W zaspie na skrzyżowaniu dróg dostrzegam tablicę.

– Chyba tu jest numer domu. Poświećcie.

Pi kieruje światło lampy roweru na tablicę, a ja ścieram z niej śnieg. Numer 3.

– Więc to musi być tu – stwierdza Pi.

– Następnym autobusem przyjeżdża dopiero za godzinę. Spróbujmy. – Linus mija mnie i mocno chwyta Albana za rękaw. – Uwważaj, śnieg jest dość głęboki.

Światła rowerów Pi i Noa prowadzą nas, gdy brniemy wijącą się od szosy, niemal niewidoczną boczną drogą. Nie ma kolein po kołach, ale sterczące spod śniegu kępki trawy wyznaczają jej granice.

Po kilku długich minutach docieramy do żywopłotu. Widzę za nim budynek, którego rozmiary kryje mrok.

Podjazdu nie oczyszczono ze śniegu, cały dom jest pogrążony w ciemności i ciszy, niczym

olbrzym śpiący w białej otulinie. Przed domem stoi samochód pokryty wysokimi poduchami śniegu, jakby nie opuszczał tego miejsca przez kilka dni.

Wchodzimy na podwórze, niepewni co robić dalej.

– Nawet jeśli to nie tu, to w każdym razie możemy zapytać o drogę – mówi Noa zdecydowanie. – Jest już po siódmej.

Robi krok w kierunku kamiennych schodków przed drzwiami wejściowymi.

– Nie możemy tak po prostu zapukać! – protestuję. – Przecież nigdzie się nie świeci! A jeśli śpią?

– No to co? Chcecie siedzieć tu przez godzinę i zamrozić sobie tyłki, zanim następny autobus odwiezie was do domu?

Waham się, przychodzi mi do głowy, żeby może jeszcze raz sprawdził adres, ale raptem drzwi otwierają się tak gwałtownie, że odruchowo się cofam i nadeptuję komuś na nogi.

– Co wy tu robicie? – ostro pyta męski głos. – Czego chcecie? – Za plecami mężczyzny nie pali się ani jedna lampa.

Cały dom wydaje się pogrążony w mroku.

Noa prowadzi snop światła od schodków do drzwi, gdzie natrafia na twarz.

– Wyłącz to! – Mężczyzna zaciska powieki i zasłania się ręką przed niespodziewanym światłem. Choć jego skóra jest w tym świetle jasna, to kręcone włosy, nieco szeroki nos i pełne usta zdradzają, że ma w drzewie genealogicznym jakiś afrykański trop.

To bez wątpienia właściciel strony internetowej, brakuje tylko szerokiego uśmiechu ze zdjęcia. Jest niższy od Noa, ma na sobie gruby sweter o postrzępionych brzegach i wypchane na kolanach spodnie dresowe.

Noa kieruje światło na drzwi.

– Czy pan Karl Christensen?

– Tak. Dlaczego? – Głos mężczyzny podszyty jest agresją.

– Czy pan jest astrofizykiem? – pyta dalej niezrażony Noa.

– Tak! A co to ma wspólnego z wami?

– Wygłasza pan dziś wykład?

Mężczyzna głośno prychnął.

– Nie, na Ganimedesa, nie!

– A czy Józef Christensen wygłasza wykład? – Noa zaczyna tracić cierpliwość.

– Powiedz mi, o co tu chodzi? – pieni się mężczyzna. – Kpisz sobie ze mnie?

– Nie. I gdyby pan lepiej kontrolował swoje zasrane informacje, wcale by nas tu nie było! – Noa odwraca się, żeby odejść.

– Informacje? O czym ty bredzisz?

– Informacje na pana stronie internetowej o wykładzie – rzuca Noa przez ramię.

– O wykładzie? Ja w ogóle nie wygłaszam wykładów! Ani dziś wieczorem, ani w żadne inne wieczory! Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?

Noa gwałtownie odwraca się na pięcie i dwoma susami pokonuje kamienne schodki.

Przestraszony mężczyzna odskakuje do tyłu i próbuje zatrzasnąć mu drzwi przed nosem, ale Noa blokuje je stopą.

– Czy to nie pana strona internetowa? – Pokazuje swoją komórkę.

Widzę przez otwór w drzwiach, jak mężczyzna mruży oczy i patrzy przez dwie wąskie szparki, jak gdyby się bał, żeby mu nie zrobiło krzywdy światło z wyświetlacza.

– Ja nie mam żadnej strony internetowej! – Patrzy z ukosa na nas skupionych w grupce przed

schodkami.

– No to... skąd się wzięła? – pytam. – Jeśli nie pan zrobił tę stronę, to kto?

– Interesujące pytanie. Może jacyś impertynency nastolatkwie, którzy nie mają nic innego do roboty, tylko zabierać mi czas!

– Myśli pan, że to my ją zrobiliśmy?! – oburza się Adriana.

– Nie wiem, kim jesteście, ale nie wydaje się to przypadkowe, że zjawiacie się nie wiadomo skąd i pytacie o mojego ojca!

– Pana ojciec nazywa się Józef Christensen? – pyta Noa.

– Nazywał się Józef Christensen. Nie żyje!

Linus i ja wymieniamy spojrzenia ze zmarszczonymi czołami.

Karl ponownie próbuje zamknąć drzwi. Spogląda na stopę Noa, która wciąż tkwi w szparze.

– A teraz idźcie już sobie! – mówi. – Nie mam czasu na wasze niesmaczne żarty! Leonidy same nie będą się obserwowały!

Noa cofa stopę ze szpary.

– Gwiazdny Gryf! – woła Linus. – To przecież dzisiaj! – Odchyła głowę do tyłu i patrzy w nocne niebo, gdzie z wełnianych palców chmur właśnie wydobywa się księżyc jak naleśnik.

Jego słowa zelektryzowały Karla Christensena.

– Coś ty powiedział? – Znowu szeroko otwiera drzwi i patrzy na Linusa, jak gdyby ten właśnie wyłonił się z UFO, które miało przymusowe lądowanie.

Linus dopiero teraz zorientował się, że niechcący wypowiedział swoją myśl na głos.

– Ja... ja tylko tak... nazywam Leonidy. To nie jest...

– Coś ty powiedział? – powtórzył Karl Christensen i wyszedł na schodki. Nie ma na nogach butów, a tam gdzie stanął, leży co najmniej piętnaście centymetrów śniegu. Ale on nie patrzy na swoje stopy w skarpetach. Patrzy tylko na Linusa, który kaszle z zakłopotania.

– Leonidy? Co to jest? – pyta Pi.

– Leonidy to burza meteorytów – wyjaśnia Linus, nie patrząc na Karla. – Mnóstwo spadających gwiazd podczas kilku wieczorów w listopadzie. Wyglądają, jakby pochodziły ze znaku Lwa, po łacinie Leo, dlatego tę burzę nazywa się Leonidami. I dlatego... eee... dlatego ja nazywam ją Gwiazdnym Gryfem. Bo gdy te meteoryty świecą, to wydaje się, jakby lew dostał skrzydeł. A lew ze skrzydłami to gryf. Więc ten gwiazdny znak lwa ze skrzydłami...

– ... to gwiazdny gryf. Ach, jak ślicznie – cedzi z sarkazmem Adriana.

Po raz drugi w ciągu dwóch dni mam ochotę stuknąć jej głową w coś twardego.

– Mój ojciec też je tak nazywał – mówi cicho Karl. Nie może oderwać wzroku od Linusa. – Mój ojciec też nazywał Leonidy Gwiazdnym Gryfem.

– Naprawdę? – Linus odważył się na ostrożny uśmiech. – Dziwne.

Karl odwzajemnia jego uśmiech lekkim skurczem policzka.

Patrzy na nas po kolei, z wahaniem. A potem spogląda w górę na wyłaniające się zza płynącej pokrywy chmur niewielkie, ale coraz rozleglejsze fragmenty rozgwieżdżonego nieba. Po chwili wzdycha i znów spuszcza wzrok.

– Przepraszam, że się przed chwilą zdenerwowałem. Nie byłem... przygotowany na wizytę. – Spogląda na swój strój i wygląda nadgryziony przez mole sweter. A potem cofa się za próg, do środka. – Nie chcielibyście... może macie ochotę wejść i zobaczyć je z obserwatorium? – Gestem wskazuje na chmury. – To znaczy Leonidy. Właśnie dostałem nowy teleskop.

Zmiana jego nastroju o sto osiemdziesiąt stopni jest tak szokująca, że nie wiem, co mam powiedzieć.

– Ale... nie da się przecież obserwować burzy meteorytów przez teleskop – mówi Linus.

– Eee... nie, nie – jęka się Karl. – Ale mimo to możecie przecież... to znaczy możecie go wypróbować. Popatrzeć na inne rzeczy.

Zastanawiam się, czy ten cicho jękający się mężczyzna nie zaglądał przypadkiem do szklanki z płynem czyszczącym teleskop?

Albo czy nie ogarnęła go euforia, bo ktoś wykazuje zainteresowanie jego hobby.

Myśl o pójściu za nim w głąb mroku nie pociąga mnie. Z drugiej strony jest nas sześcioro, a on tylko jeden.

Co mógłby nam zrobić? Nie wygląda na seryjnego mordercę.

A jednak coś jest w tej sytuacji... nie tak. Tylko nie mogę wykombinować, co.

– Naprawdę ma pan obserwatorium? – Linus wydaje się skuszony.

– Tak, sam je zbudowałem.

Linus gwizdnął z wrażenia.

– Wejdźcie. – Karl robi nam przejście.

Desperacko szukam wymówki, żeby nie wchodzić z wszystkimi do środka. Noa odwraca się do nas. Chmury, które przedtem otaczały księżyc w pełni, rozwiął wiatr. W świetle odbitym przez śnieg wyraźnie widzę jego twarz. Uśmiecha się tym swoim krzywym uśmiechem i patrzy mi prosto w oczy.

Motyle w moim brzuchu zamieniają się w małe ćmy o skrzydłach ze stalowej waty, w poruszającą się z szelestem niespokojną chmarę.

– Idziecie? – W jego głosie brzmi wyzwanie.

Przełykam swoje tchórzostwo i już mam na języku odważne „tak”, ale uprzedza mnie Alban.

– Tak – mówi głośno i chwyta za łokieć stojącego obok Linusa.

Linus patrzy zdziwiony na brata, ale zachęcony, prowadzi go do drzwi.

– Cztery stopnie, dużo śniegu – mówi, gdy ich stopy zbliżają się do pierwszego kamiennego stopnia.

Noa odwraca się i wchodzi do domu. Za nim Linus i Alban.

Pi rozkłada ramiona.

– *Whatever* – mówi ze śmiechem i daje nura w mrok za chłopakami.

Biorę głęboki wdech, wchodzę po pokrytych śniegiem stopniach.

Słyszę za sobą kroki Adriany. Jak łopotanie ostatniej białej flagi.

– Ja wchodzę tylko po to, żeby go spytać o książki – warczy i przepycha się w drzwiach przede mną.

Przemilczam cisnącą się do ust ostrą replikę i przeklinam Noa.

ROZDZIAŁ 16

– Burza meteorytów jest najlepiej widoczna w zupełnej ciemności – mówi Karl, gdy zamknęły się za nami drzwi. – Zgaście lampy i nie świećcie telefonami. Pozostawałem w ciemnościach od zachodu słońca, żeby przyzwyczaić oczy.

Noa i Pi wyłączają lampy od rowerów i to, co właśnie zdążyłam zidentyfikować jako długi, wąski korytarz, znika. W drzwiach wejściowych nie ma szyb, więc światło księżyca zostało po drugiej stronie.

– Chodźcie. – Karl rusza przed siebie. Odgłos jego kroków wkrótce zamienia się w rytmiczny stukot, co oznacza, że na końcu korytarza są schody.

Ruszamy niepewnie.

Próbuję zignorować dobijające klaustrofobiczne uczucie, które wywołuje we mnie gęsty mrok. Zawsze gdy muszę sobie radzić po ciemku, nabieram pokory wobec Albana. Uderzyłam paluchem w najniższy stopień schodów, ale powściągam przekleństwa, które cisną mi się na usta.

– Oczy szybko wam się przyzwyczajają do obywania się bez światła elektrycznego – mówi Karl gdzieś nad nami. – I wtedy gwiazdy będą znacznie wyraźniejsze.

Docieramy na półpięterko i słyszymy, że Karl otwiera drzwi.

Gdy dotknęłam ich, wchodząc do pomieszczenia, moje palce wyczuły łuszczącą się farbę. W środku nie jest aż tak ciemno, jak było w czarnym jak noc korytarzu, i moje oczy zachłannie korzystają ze słabego światła księżyca.

Znajdujemy się w miejscu, gdzie panuje chłód, dźwięki informują o tym, że jest wysoko do sufitu.

Nagle ogarnia mnie uczucie, że już tu byłam. Moje wnętrze zwija się w ciasny węzeł, z trudem chwytam powietrze.

Alban odwraca się.

– Emi? – mówi cicho.

Chwytam się jego ramienia, żeby podłoga nie usunęła mi się spod stóp.

Jego ręka zamyka się wokół mojej, w półmroku widzę, że przysuwa bliżej twarz.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, tak. – Głośno wydycham powietrze. – Tylko... zmęczyłam się wchodzeniem po schodach.

Oczekuję, że w ułamku sekundy przejrzy moje żalosne kłamstwo, ale w tej samej chwili Linus kładzie mu na ramieniu dłoń z drugiej strony i pociąga go za sobą. Jak nakręcony nadaje o burzach meteorytów.

Moja ręka wydaje się chłodniejsza, odkąd Alban ją puścił.

Weź się w garść, Emi!

Lekko mrużę oczy, żeby rozszyfrować szare sylwetki w pomieszczeniu.

Deski pod moimi stopami są szerokie, pokrywają je rozrzucone pośród luźnych kartek papieru książki i mapy, układając się we wzór, który wydaje mi się znajomy.

Przede mną, lekko na skos, stoi fotel na kółkach. Z dziury w pogryzionym przez mole obiciu oparcia wyziera żółta pianka.

Obok fotela pnie się wysoki stos książek, a kilka metrów dalej stoi wielki biały cylinder na statywie.

Teleskop. Linus już zaczął badać liczne przyciski, zatopiony w rozmowie z Karlem.

Moje serce wywija koziółka.

Zatrzymuję oddech i przenoszę wzrok na sufit.

Gdy spostrzegłam, że rozgwieżdżone niebo podzielone jest na kwadraty, czuję ssanie w żołądku. Dach jest ze szkła, jak w cieplarni.

Ja już tu kiedyś byłam! W tym śnie, w którym spotkałam chłopaka podobnego do Noa!

Kręcę głową.

Nie, to jest po prostu niemożliwe.

Nigdy wcześniej nie spotkałam Karla. I nie pamiętam jego domu ani drzwi wejściowych, ani niczego innego z tego miejsca. Na pewno nigdy nie byłam w tym domu. A mój mózg nie może przecież odtworzyć wyglądu pomieszczenia, którego nigdy wcześniej nie widziałam?

Ale nagle przychodzi mi do głowy, że kilka lat temu oglądałam w telewizji program o reinkarnacji. Biorący w nim udział ludzie rozpoznawali miejsca, których nigdy przedtem nie odwiedzili, bo ich dusze najwyraźniej miały wspomnienia z poprzednich wcieleń.

O, nie! Może to *déjà vu*³⁸? Może byłam tu w innym życiu?

Zamykam oczy i próbuję się skoncentrować.

Nie. To przypadek, że to miejsce przypomina mi przedwczorajszy sen. Zupełny przypadek. To nic nie znaczy.

Mój rozsądek walczy, stara się zagłuszyć kłębowisko myśli. Otwieram oczy i wstrzymując oddech, przelatuję wzrokiem po pomieszczeniu. Serce wali mi o żebra, sprawia, że zaczynam się pocić, chociaż panuje tu chłód.

Spoglądam kątem oka na Noa, który patrzy w górę na listopadową noc. Jego profil jest ostro zarysowany na tle wielkiej, białej płaszczyzny. To *whiteboard*³⁹, na którym widnieje coś jakby skomplikowane wyliczenia.

Noa zdaje się wyczuwać moje spojrzenie, bo po kilku sekundach odwraca twarz od gwiazd i patrzy na mnie. Robi krok w moją stronę, ale zahacza stopą o statyw *whiteboardu*, który przewraca się z rozrywającym uszy hukiem.

– Co się dzieje? – Głos zszokowanego Albana dobiega z drugiej strony teleskopu, ale Linus już go uspokaja.

Spieszę pomóc Noa, który zbiera na czworakach turlające się po podłodze mazaki.

– Ale numer! – Jego głos uśmiecha się do mnie.

Łapię jeden mazak pod teleskopem i wyprostowuję się, zadowolona, że mrok skrywa zdradzające mnie rumieńce.

Noa chwyta statyw, żeby ustawić go na miejscu.

Ja chwytam drugi koniec i powoli się cofam.

Moja pięta uderza w coś twardego, więc robię półobrót, żeby zobaczyć, co to było.

Whiteboard stał przed stosem kartonów.

Kartonów przewodzkowych.

Na największym spostrzegam gwiazdę i litery MT. Poznają je i w mojej pamięci odzywa się jazgotliwy pisk, taki sam, jaki towarzyszy przeciąganiu paznokciem po tablicy.

Odruchowo rzucam okiem na ręce Noa i moje, ale nadal są koloru skóry. Żadnych fioletowych

ani zielonych błysków światła. Żadnego mrowiącego ciepła.

Gdy podniosłam wzrok, napotkałam spojrzenie Noa. Słabe światło księżyca przemieniło tropikalne morza jego oczu w jeziora rtęci. Oczy zwięzają się, gdy Noa dostrzega moje przerażenie.

Puszczam *whiteboard* i kucam przed tajemniczym kartonem. Jest zamknięty, nie mogę zobaczyć, co jest w środku.

Korci mnie, żeby go otworzyć. Mam w i e l k ą ochotę go otworzyć.

A zarazem chciałabym wycofać się do drzwi i zbiec po schodach, wrócić do przedwczoraj, zanim przyśnił mi się ten kretyński sen.

W moje niezdecydowanie wcina się pełen zapachu głos Karla.

– Już się zaczęło! Patrzcie! – Wskazuje na szklany sufit. Zdezorientowana, dopiero po kilku sekundach zrozumiałam, że nic się nie stało, że mówi o Leonidach.

Jak robot sterowany głosem podnoszę wzrok na nocne niebo.

Najpierw widzę tylko gwiazdy. Setki gwiazd, które tkwią w miejscu.

A potem nad naszymi głowami przemyka samotny rozbłysk światła.

Spadła gwiazda. Jak w moim śnie.

Nie daję już rady.

Gwałtownie pochylam się do przodu, odrzucam na boki kłapy kartonu, a potem podrywam się na równe nogi w strachu, że zaatakuję mnie jego wnętrze.

Nie całkiem wiem, czego oczekiwałam.

Czegoś szokującego. Czegoś znaczącego. Czegoś podnoszącego włosy na głowie, zapierającego dech w piersiach, szarpiącego serce... niesamowitego.

W każdym razie nie stosu czarno-białych fotografii, pękniętej obroży psa, sparciałej damskiej torebki i jakichś pogniecionych kartek papieru zapisanych koślawym pismem. Starych rupieci przypominających żalosne resztki dobytku po zmarłym, których nikomu nie chciało się do końca przejrzeć.

Antyklmaks wywołuje ciężkość w nogach, są jak ołów.

Rozglądam się szybko, żeby się upewnić, że nikt nie zwrócił uwagi na mój paranoiczny show.

Niestety, wpatruje się we mnie pięć par oczu. Nawet Alban wyczuł, że coś się dzieje i zwrócił twarz w moją stronę.

– Co ty robisz z rzeczami moich rodziców? – pyta Karl.

– Eee... – Mózg pracuje na pełnych obrotach, żeby coś wymyślić.

Karl zagląda do kartonu. Wdycha powietrze głęboko i trochę nierówno, jak gdyby miał trudności w panowaniu nad uczuciami. A potem kuca i powoli wyciąga jakąś fotografię. Przedstawia mężczyznę w średnim wieku z mniej więcej ośmioletnim chłopcem i wielkim psem o jasnej maści. Siedzą na trawniku przed domem z cegły. Mężczyzna jest podobny do Karla, z tą różnicą, że się uśmiecha i jest odrobinę szczuplejszy.

– To mój ojciec i nasz pies – mówi Karl zdławionym głosem. Wciąga powietrze, jak gdyby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamiast tego odkłada zdjęcie z powrotem do kartonu i wyjmuje damską torebkę. Pewnie jego mamy.

Uderza mnie, że „MT” musi oznaczać Mama i Tata.

Adriana demonstracyjnie prychna za plecami Karla. Nawet w słabym świetle widzę, że podnosi oczy do nieba znad książki, którą wygrzebała z regału.

Noa i Pi stają obok mnie, a Karl sprawia wrażenie, jakby zapomniał, że w obserwatorium oprócz niego są jeszcze jacyś ludzie. Przesuwa kciukiem po skórze. Jest gruba, jasnobrązowa,

upstrzona nieforemnymi plamami. Torebka jest zamykana na klamrę i ma długi, wyświecony ze starości pasek.

Linus i Alban też podeszli bliżej i teraz razem z bliźniętami tworzymy krąg wokół kartonu.

Karl przez moment się waha, a potem odpina klamrę. Nie widzi nas. Wsuwa dłoń do brązowej torebki i wyciąga dziwnie wyglądający instrument z połyskującego złotawo metalu.

Na pierwszy rzut oka przypomina on skrzyżowanie staromodnego zegara z kompasem. Pod wypukłą szklaną szybką widać biało-czarną mapę świata, a dokoła wzdłuż brzegu dziesięć małych, okrągłych tarcz z jakimiś symbolami. Przypominają liczby, ale jest zbyt ciemno, żebyśmy mogła być tego pewna.

– Wow – odzywa się Linus. – Do czego to jest?

Podekscytowanie słyszalne w jego głosie sprawia, że Adriana znowu odwraca się w naszą stronę, wciąż z książką w ręce.

– Nie wiem. Należał do mojego ojca – mówi Karl. – Myślałem, że gdzieś znikł, ale znalazłem go między jego rzeczami kilka lat temu w czasie porządkowania.

– Wygląda jak jakiś przyrząd ze statku. Coś do nawigowania – mówi Linus.

– Ojciec zawsze powtarzał, żeby przy nim nie grzebał. – Karl z trudem podnosi się z przyrządem w dłoni. – Ale gdy pytałem, do czego służy, odpowiadał wymijająco. Myślę, że nie potrafił go rozpracować.

Karl patrzy intensywnie na Linusa, niemal jak gdyby oczekiwał, że on rozpracuje przyrząd.

Adriana odłożyła książkę i podeszła do nas.

Stara się jak może wyglądać na znudzoną, ale wyciąga szyję, żeby zobaczyć przedmiot, który Karl trzyma w dłoni.

– Mogę obejrzeć? – Linus wyciąga rękę.

Jego ręka opadła kilka centymetrów, gdy Karl puścił ten dziwny przyrząd.

Na jego bocznej stronie, pod tarczkami, widać jakieś metalowe taśmy z rowkami, jak na kłódkach z kodem.

Gdy Linus zaczyna przekreślać taśmy, symbole na dziesięciu tarczkach przesuują się z metalicznym zgrzytem.

– Wygląda na to, że można coś... ustawić. Może jakiś kod?

– Może. – Karl z uwagą śledzi ruchy Linusa, gdy ten przesuwając palcem wskazującym po zagłębieniu o wyraźnych brzegach na powierzchni instrumentu. Zagłębienie zaczyna się przy metalowym kancie i ciągnie się do połowy wypukłego szkła.

– Czy czegoś tu brakuje? – pyta Linus.

Karl wzrusza ramionami.

– O ile mi wiadomo, nie. Ale może ojciec nie miał wszystkich części.

Przyglądam się dokładniej zagłębieniu. Ma kształt trójkąta o łukowatych bokach.

Taki sam jak pryzmat na moim rysunku.

Poczucie paranoi zaburza rytm bicia mojego serca, z ust wyrывa mi się cichy okrzyk przerażenia.

Zwraca to uwagę Noa.

Na zmianę patrzę na zagłębienie w przyrządzie i na jego klatkę piersiową. Nie dostrzegam skórzanego rzemyka ukrytego pod wielkim szalem i skórzaną kurtką, ale jestem pewna, że tam jest.

Noa podąża wzrokiem za moim spojrzeniem.

W jednej chwili turkusowe oczy szeroko się otwierają. Jego ręka wślizguje się pod kurtkę

i sięga wyżej, za wycięcie czarnego T-shirtu, skąd wyławia trójkątną zawieszkę w łukowatym obramowaniu z metalu.

Mój oddech redukuje się do suchego odgłosu w krtani przypominającego klikanie, nie wdycham powietrza ani go nie wydycham.

Noa zdejmuje przez głowę rzemyk i rozluźnia węzełek, żeby zdjąć zawieszkę.

– Czy to pasuje rozmiarem? – pyta.

Linus studiuje niewielką bryłkę szkła w jego dłoni i trójkątny kontur na metalowej powierzchni instrumentu.

– Faktycznie na to wygląda – mówi. – Niesamowite. Daj, spróbuję.

Oczy Karla nieledwie wyskakują z orbit, Pi patrzy na brata z otwartymi ustami.

Noa podaje zawieszkę Linusowi. Linus wciska ją w zagłębienie i szklana bryłka zamocowuje się z odgłosem kliknięcia.

I nagle obserwatorium zaczyna wypełniać ciche buczenie.

Zęby mi dzwonią, włoski na ramionach i na karku stają dęba, jak gdyby otoczyła mnie aura statycznej elektryczności.

Nagle jakaś siła odrywa mi od ciała ramiona i coś ciężkiego uderza w wewnętrzne strony obu dłoni.

Wzdłuż kości ramion galopują palące fale bólu i zderzają się na kręgosłupie, tworząc słup białego ognia. Przed oczami tańczą mi iskry w kolorach tęczy i nagle zdaję sobie sprawę, że krzyczę.

A potem nikt nie widzi kolorów i zalega cisza.

ROZDZIAŁ 17

Podnoszę wzrok na podzielone na prostokąty, rozgwieżdżone niebo.

Przez moment nie jestem pewna, czy śnię, ale gdy uświadamiam sobie ból, wiem, że nie śpię.

Bolą mnie dłonie. Koszmarne. Jak gdyby wbito w nie nity z rozpalonego do czerwoności metalu.

Leżę na plecach, nogi i ramiona mam rozrzucone na boki pod dziwaczными kątami. Kręci mi się w głowie, w uszach brzmi słaby, zawodzący ton.

Powoli unoszę jedną rękę na wysokość twarzy i próbuję skoncentrować na niej wzrok. Skóra po wewnętrznej stronie dłoni jest ciemniejsza niż na palcach, w słabym świetle wydaje się niemal czarna. Lewym palcem wskazującym muskam wewnętrzną stronę prawej dłoni. Odczuwam to jak dotknięcie ułamkiem szkła.

Czubek palca ciemnieje. Nie muszę widzieć czerwieni, żeby rozpoznać widok krwi. Wewnętrzne powierzchnie dłoni to wielkie, otwarte rany. Z gardła wyrывa mi się cichy jęk i pociąga za sobą uczucie mdłości. Nigdy nie byłam specjalnie twarda, jeśli chodzi o krew.

Ktoś łka.

Dźwigam się z trudem, najpierw na łokciach, potem do pozycji siedzącej. Obserwatorium wiruje wokół mnie, kilka razy głęboko wdycham i wydycham przez nos powietrze, żeby przestało mi się kręcić w głowie.

Obok mnie siedzi Adriana i płacze, przyciskając do piersi zwinięte pięści. Na jej białej kurtce widać ciemne plamy.

Co tu się stało?!

Noa i Pi siedzą po mojej drugiej stronie, ich twarze wykrzywia ból. Noa patrzy na swoje krwawiące dłonie, a potem na siostrę. Jak na sygnał równocześnie wstają z zaciśniętymi ustami.

Pi kuca przy Adrianie, mówi coś do niej łagodnym głosem.

Adriana szlocha tylko jeszcze głośniejsze i kiwa się z boku na bok.

Karl stoi obok kartonu, patrzy na nas przerażony. On jeden nadal stoi. Z tyłu leży metalowy przyrząd i pryzmat, jedno około metra od drugiego.

Po drugiej stronie kartonu widzę czubek buta Albana i kontur kurtki Linusa.

– Dajesz sobie radę, Emi? – pyta Noa.

Odwracam dłonie, tak żeby mógł zobaczyć moje rany.

Gdybym się odezwała, na pewno zaczęłabym beczeć.

– Ja pieprzę, ale sajgon – mówi Noa. – Musiał nas porazić prąd czy coś takiego. – Spogląda na Karla. – Co to się, do jasnej cholery, stało?

Karl mruga, jak gdyby Noa go spoliczkował.

– Ja... ja... nie mam pojęcia! Przysięgam! To nigdy niczego takiego nie spowodowało! – Karl unosi ramiona w pełnym rezygnacji geście, a ja spostrzegam, że jego dłonie nie są uszkodzone.

Noa chwyta mnie pod ramię i pomaga wstać, nie zwracając uwagi na własne rany.

– Gdzie jest toaleta i kuchnia? – pyta. – To są chyba oparzenia, trzeba jak najszybciej pod wodę.

Karl nie rusza się z miejsca, stoi tylko i porusza nozdrzami, jak gdyby jego mózg nie nadążał za wydarzeniami.

– Potrzebujemy wody, j u ź! Są gdzieś na dole umywalki albo prysznic? – Noa walczy o zachowanie spokoju w głosie.

Karl skinął głową i ten ruch najprawdopodobniej rozwiązał mu język.

– Kuchnia, pierwsze drzwi po prawej, toaleta po lewej.

Pi i Adriana już schodzą po schodach. Adriana chwieje się i siąka nosem, Pi ją wspiera.

– Emi, zejdź z dziewczynami na dół i polej ręce zimną wodą. Lej bez przerwy. Pi ci pomoże – mówi Noa. – Karl, niech pan dzwoni po karetkę. Albo kilka. Musimy jechać na pogotowie.

Twarz Karla przecina nerwowy skurcz. A potem rusza nieporadnym truchtem za Pi i Adrianą.

– Jest nas sześcioro! – woła za nim Noa i zdecydowanym krokiem idzie do Linusa i Albana.

Linus siedzi pochylony nad bratem, który leży z zamkniętymi oczami i pobladłą twarzą. Obaj mają na dłoniach duże rany, Alban dodatkowo na twarzy ślady krwi od palców Linusa.

Noa klęka przy nich.

– On jest wciąż... nie mogę go ocucić!

Natychmiast udziela mi się panika, którą usłyszałam w głosie Linusa. Noa przykłada ucho do ust Albana i przez kilka długich sekund w skupieniu przygląda się kieszeni na piersi jego kurtki.

– Oddycha. – Unosi głowę, wciąż pochylony nad nieruchomym ciałem Albana. – Alban? – mówi głośno.

Żadnej reakcji.

Noa kładzie rękę na jego piersi i otwiera usta, żeby znów coś powiedzieć, gdy nagle Alban głośno chwyta powietrze i siada tak gwałtownie, że niemal zderzają się głowami.

– Hej, hej, hej, spokojnie! – Noa kładzie mu rękę na ramieniu.

Alban dyszy, bez przerwy zaciska i otwiera powieki. Podnosi do oczu drżącą rękę i jęczy z bólu, gdy poparzona skóra dotyka twarzy.

– Co się stało?

– Masz rany na rękach – odpowiada Noa. – Wszyscy mamy. Ten pieprzony dynks to zrobił. Wysłał jakiś prąd, który nas poparzył.

– Nikomu nic się nie stało? – pyta Alban.

– W każdym razie nikt nie umarł – mówi Noa szorstko. – Prąd najwyraźniej poraził nam tylko ręce. Ale rany są chyba głębokie. – Pomaga Albanowi wstać, jak się wydaje wciąż nie zwracając uwagi na to, że jego własne ręce są krwawą masą surowego mięsa. – Chodźcie – zwraca się do naszej trójki – musimy jak najszybciej schłodzić te rany!

ROZDZIAŁ 18

Spojrzenie pielęgniarka wędruje wzdłuż brzegu szkielec jego okularów i pochwycił nas jedno po drugim.

– No dobrze, niech najpierw dobrze zrozumieć – mówi. – Nie bawiliście się fajerwerkami. Poraził was kompas okrętowy. Wszystkich. Równocześnie.

– Coś, co przypomina kompas – niecierpliwi się Noa. – Nie mamy pojęcia, co to było, ale w każdym razie nas poraziło!

Niektórzy z nas siedzą, inni stoją w niewielkim pokoju zabiegowym, do którego wprowadził nas pielęgniarka. Najwidoczniej w przypadku oparzeń przeskakuje się kolejkę w poczekalni.

– I macie świadomość, że prąd, który daje tak ogromne zewnętrzne uszkodzenia ciała, zwykle ludzi zabija, tak?

Brwi pielęgniarka szybują wysoko na przyszczatym czole jak dwa wyrażające sceptycyzm, otoczone czerwonymi plamkami półokręgi. Wypakowuje na stolik obok kozetki strzykawki jednorazowe i opatrunki.

– Niech pan posłucha, my nie wiemy, co się stało! – Noa jest wściekły. – Po prostu, ocknęliśmy się na podłodze z tymi ranami na rękach!

Stojący obok mnie Karl niespokojnie się kręci.

Pielęgniarka nic nie mówi. Ale w jego twarzy wielkimi, niewidzialnymi literami jest wypisane *riiiiiight*⁴⁰.

Dobrze rozumiem jego sceptycyzm. Nasze wyjaśnienia nie mają sensu.

Dokładnie tak samo, jak nie ma sensu to, że śnił mi się ten beznadziejny karton. I Noa z tą jego zawieszka, która przypadkiem pasowała do jednego z przedmiotów odziedziczonych przez Karla po ojcu.

Spoglądam na Linusa, który zawsze na wszystko ma logiczne wyjaśnienie. Tylko nie tym razem. Bez przerwy co jakiś czas zerka na brata.

Alban opiera głowę o ścianę. Ma zamknięte oczy, między brwiami bruzdę. Jego skóra wciąż zdaje się mieć szarawą aurę księżycowego światła z obserwatorium.

Adriana ma zaczerwienione oczy i nos. Dolna warga drży, gdy jej wzrok pada na ręce zanurzone w należącej do Karla, napełnionej wodą plastikowej misce.

Noa i Pi szybko przejrzyli jego kuchnię w poszukiwaniu pojemników, w których moglibyśmy w drodze na pogotowie chłodzić ręce w zimnej wodzie.

Pi siedzi w milczeniu ze swoją miseczką i patrzy w podłogę, oddychając głęboko i spokojnie, jak gdyby medytowała.

Jest niemal tak dobra w zaciskaniu zębów, jak Noa. Mówiła mi w karetce, że ta umiejętność ma swoje źródło w tym, że często biega.

Czuje, że ból jest teraz mniej ostry. Zmienił się w nieustające pulsowanie pod lustrem wody w rondlu, który trzymam na kolanach.

– Pójdę tylko po lekarza, żebyśmy już mogli zacząć.

Pielęgniarka znika za drzwiami.

– Jest mi naprawdę bardzo, bardzo przykro – mówi Karl sto siedemnasty raz. – Gdybym wiedział...

– Ale nie wiedział pan – przerywam. – I niezależnie od wszystkiego nic już nie można na to poradzić! – Brzmi to bardziej nieuprzejmie, niżbym chciała, ale wszystko mi jedno.

On nie powinien mieć wyrzutów sumienia. To ja otworzyłam karton.

Karl szarpie nitkę sterczącą ze szwu jego spodni dresowych. Kątem oka spogląda na Noa. Szarpie i szarpie, cały czas zerkając na niego, aż szew zaczyna się rozłazić, a on już nie może się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Skąd masz tę ozdobę?

– Z Australii – mówi Noa. – Kupiłem ją od jakiegoś człowieka na jarmarku w pewnym miasteczku na wschodnim wybrzeżu krótko przed naszym wyjazdem. Nie pamiętam, jak się nazywało.

– Dlaczego kupiłeś właśnie tę zawieszkę? Dlaczego nie inną? – pytam.

– Bo miałem o c h o t ę ją kupić. Właśnie ją – odpowiada Noa. Czupurnie, jak gdyby musiał się bronić.

Kręci mi się w głowie od myśli, że pryzmat przyjechał z drugiej strony globu, żeby trafić do domu Karla.

Co się właściwie wydarzyło w tym obserwatorium? Co zraniło moje ręce?

To nie mógł być ten przyrząd, bo moje ramiona były rozpostarte. Musiałam uderzyć kogoś z pozostałych. Staliśmy w okręgu dokoła kartonu, tak blisko siebie, że bez trudności mogliśmy wyciągnąć ramiona i chwycić się za ręce.

Nie myśląc, co robię, odwracam dłonie wewnętrzną stroną do góry.

Opuchnięte, różowe powierzchnie rany przyprowadzają mnie o mdłości, więc szybko odwracam dłonie.

Wszyscy mamy rany w tym samym miejscu.

Prąd, energia, czy cokolwiek innego wywołał ten przyrząd, musiała zostać wprowadzona przez nasze dłonie. Gdy Linus umieścił w nim pryzmat, jakimś sposobem zostaliśmy ku sobie popchnięci, jak gigantyczne mięsne magnesy.

Karl w napięciu zuje dolną wargę. Wyciągnął nitkę ze spodni i jeszcze bardziej powiększył pęknięcie szwu. Na szarym materiale na kolanie jest kilka ciemnych plam, ale nie są tak ciemne, żeby mogły pochodzić od krwi. Tylko on nie trzyma rąk w wodzie.

I tylko on jeden nadal stał wyprostowany, gdy się ocknęłam.

– Dlaczego pan nie ma ran? Nie został pan porażony tak jak my? – pytam.

Potrząsa głową.

– Nie – mówi niemal przepaszająco.

– Może dlatego, że stał pan w środku? – zastanawia się Linus.

Karl bezradnie rozkłada ramiona.

– Nie wiem.

– Widział pan, co się stało? – pyta Pi. Przerwała przypominający trans kontakt z podłogą, żeby na niego spojrzeć.

– Nie. Usłyszałem buczenie. A potem było... mnóstwo światła. Niczego nie mogłem dostrzec.

– Jakiego koloru było to światło? – W jednej chwili stają mi przed oczami turkusowofioletowe fajerwerki.

– Białe. Bardzo, bardzo silne białe światło. Ale chyba tylko przez krótką chwilę. Gdy znów mogłem widzieć, leżeliście wszyscy na podłodze.

– Ja pieprzę, ale numer – mruczy pod nosem Noa. Zaciska powieki i wyjmuje dłoń z należącego do Karla garnka, żeby dwoma palcami pomasaować górną część nosa. U mnie ból związany z takim samym ruchem wywołałby teraz bek. Czy ten chłopak w ogóle ma normalnie działające zwoje nerwowe?

Drzwi znowu się otwierają i do pokoju wchodzi gnębiony przez trądzik pielęgniarz, a za nim przysadzista kobieta z siwym koczkiem na karku, ubrana tak jak on, w kitel.

Szacuje nas, ściągając usta w szpic, kręci głową i ciężko wzdycha. Pewnie o tej porze roku widuje wielu młodych ludzi z idiotycznymi ranami od oparzeń.

W szkole już krążą nielegalne sztuczne ognie na Sylwestra, choć jest dopiero połowa listopada.

– Dobrze – mówi – wy troje zostanieie tutaj. – Wskazuje na Noa, Adrianę i na mnie. – Pozostali pójdą z moim kolegą do gabinetu obok.

Karl mruczy coś o poczekalni i szybko wychodzi. Linus pomaga Albanowi wstać, żeby razem z Pi pójść za Pryszczatym.

– Mam na imię Majken, jestem lekarką. – Kobieta wyczarowuje swój zawodowy uśmiech. – Chętnie podałabym wam rękę, ale zakładam, że wolicie, żebym tego nie robiła. – Bierze ze stołu małe opakowanie przygotowane przez pielęgniarza i je otwiera.

Igła do zastrzyków. Mała, ostra igła sprawia, że czuję nieprzyjemne mrowienie pod skórą wszędzie tam, gdzie, jak sobie wyobrażam, wnika ten cienki kawałek metalu.

– Kiedy ostatnio byliście szczepieni przeciw tężcowi? – Doktor Majken spryskuje ręce i zakłada sterylne rękawiczki z pojemnika obok umywalki.

Nikt z nas tego nie pamięta, więc wciąga do strzykawki przezroczysty płyn z buteleczki stojącej na stole.

– Okey. Teraz was zaszczepię, a potem oczyszczę wam dłonie. Kto pierwszy?

Nikt się nie zgłasza. A mnie się zdawało, że świadome decydowanie się na ból to wyzwanie jak znalazł dla Noa.

Majken spogląda na Adrianę.

– Ty, moja droga, chyba nie najlepiej się czujesz. Chodź, będziesz to miała za sobą, dobrze?

Adriana nie odpowiada, ale wyschłe już ślady po strumieniach łez na jej policzkach znowu wilgotnieją.

Doktor Majken gestem obleczonej w rękawiczkę ręki przywołuje ją na kozetkę. Kozetka wydaje się twarda, jest przykryta grubym papierem, który wygląda, jakby pochodził z gigantycznej rolki papieru toaletowego.

Adriana siada sztywno na kozetce, jej oddech przerywa szloch.

Majken szybko ściąga jej bluzkę, odsłaniając miejsce między karkiem a lewym ramieniem. Rutynowym ruchem spryskuje mały fragment skóry i chwytając strzykawkę.

Adriana bezgłośnie szlocha.

– Rozluźnij ramię, kochana, to nie będzie boleć. – Majken chwytając kciukiem i palcem wskazującym fałd skóry. – Będzie małe ukłucie.

Szlochanie Adriany się nasila, ale nadal jest bezgłośnie.

Majken nalepia plaster na mikroskopijną kroplę krwi, która się wysączyła przez skórę, a potem otwiera nowe opakowanie z małą, płaską gąbką.

– To jest gąbka do oczyszczania ran – wyjaśnia. – Jest w niej zwyczajne mydło, ale trochę może szczypać. Obiecuję, że szybko będziemy mieć to za sobą. – Majken siada na krześle naprzeciwko Adriany i zaczyna oczyszczać rany, przez cały czas uspokajająco przemawiając do

niej.

Noa i ja siadamy tymczasem obok drzwi.

Nie mam ochoty widzieć, co mnie czeka, więc nie patrzę na Adrianę, nie sprawia mi też przyjemności odglądanie moich własnych rąk, więc gapię się na stopę Noa. Na czarnej skórze wojskowego buta widać plamy z wyschniętej soli.

W dzinsach tuż nad kolanem jest dziura. Widok nagiej skóry wywołuje w moim brzuchu łaskotanie, więc zwracam spojrzenie na skórzaną kurtkę ozdobioną masą zamków i nitów, które nie wydają się mieć żadnych funkcji.

Tak, pełną gębą klisza *bad boya*.

Moje spojrzenie zatrzymuje się na chwilę w miejscu, gdzie pod ubraniem musiał wisieć przyzmat. Kurtka porusza się, a ja zdaję sobie sprawę, że o wiele za długo gapiłam się w na wpeł rozpięty suwak pod brodą Noa.

Gdy odkrywam, że turkusowozielone spojrzenie wwierca się w moją twarz, natychmiast zaczyna mi brakować tchu.

– Skąd wiedziałaś o mojej zawieszce?

– Nie... nie wiedziałam. Ja... no... a czemu tak myślisz?

– Przestań! Wiedziałaś. Tak intensywnie wpatrywałaś się w obserwatorium u Karla w moją kurtkę, że byłem pewien, że ubabrałem ją co najmniej połową kolacji.

Czy mam mu powiedzieć o śnie?

Zerkam na Majken. Owija cienkim białym bandażem dłoń Adriany. To miejsce nie jest najlepsze do dyskusowania na temat moich paranoidalnych halucynacji ani o tym, że Karl posiada śmiertelnie niebezpieczne urządzenia.

– Widziałam tylko trójkątny zarys pod twoim T-shirtem – kłamię słabym głosem. – Wydawało mi się, że pasuje rozmiarem. Ale nie miałam pojęcia, że twoja zawieszka... może coś zrobić... – Śmieję się nerwowo. – Skąd miałabym to wiedzieć?

– Jasne. Skąd miałabyś to wiedzieć? – Noa opiera się w krześle. Wciąż ma sceptyczny wyraz twarzy, ale nie zadaje więcej pytań.

Gdy nadchodzi moja kolej, szczepionka przeciw tężcowi rozsnuwa mi na oczach przesłone wilgoci. Wściekła patrzę w sufit i mrugam powiekami, żeby ją siłą odpędzić, nim wypłynie z brzegów.

Mogłam jednak równie dobrze zaoszczędzić sobie sił, bo oczyszczanie dłoni boli tak, że łzy płyną po policzkach strumieniami. Gryzę się w wargę, żeby skoncentrować uwagę na czymś innym i mam nadzieję, że moja twarz pod całym tym potopem wygląda na jako tako niewzruszoną.

– Rany od oparzeń to okropna rzecz – mówi Majken współczująco i rozdziera kolejne opakowanie z gąbką.

– Musiała już ich pani trochę oglądać – mówię.

*Smalltalk*⁴¹. Moje koło ratunkowe w morzu bólu.

– Sporo – przyznaje Majken. – Przykłada gąbkę do wewnętrznej strony mojej lewej dłoni, a ja zagłębiam przednie zęby w dolnej wardze, aż zaczynam czuć smak krwi.

Podczas gdy doktor Majken pracuje, ja koncentruję się na górnej części jej okrytego fartuchem ciała i starannie unikam patrzenia w dół. Majken ma dziwne przebarwienie z boku szyi. Pofałdowany pasek skóry o nierównej powierzchni jest bardziej różowy niż reszta i ciągnie się w kierunku ramienia, gdzie niknie pod białą tkaniną.

Majken zauważa, że się na nią gapię i poprawia fartuch tak, że tkanina zakrywa teraz obszar

skóry o innym zabarwieniu, a ja szybko przenoszę wzrok na ścianę za jej plecami.

Czyżby sama doświadczyła oparzenia? Ale nic o tym nie mówi, a ja nie wiem, czy wypada pytać.

Wreszcie oczyściła już moje rany i przykłada do każdej mały płatek waty z lśniącym, przypominającym plastik, spodem. Starannymi ruchami obwiązuje białym bandażem dłonie razem z płatkami.

– Zazwyczaj nie opatruje się ran oparzeniowych tej wielkości – wyjaśnia, wskazując głową na moją rękę. – Szybciej się goją, gdy mają dostęp powietrza. Ale trudno by wam było odrabiać lekcje, gdybyście przez kilka dni nie mieli zabandażowanych rąk. A na to nie możemy sobie pozwolić, prawda? – Mruga do mnie, a ja staram się uśmiechnąć. Próbuję udawać, że odrabianie lekcji jest teraz moim największym problemem.

Noa siedzi na krześle nienaturalnie wyprostowany, podczas gdy Majken napełnia strzykawką ostatnią strzykawkę. Odsunęła mu przy szyi jego trykotową bluzę z długimi rękawami i uniosła strzykawkę, ale Noa nagle podnosi rękę i gwałtownie pochyla się do przodu, wymykając się jej uchwytowi.

– Ja tylko muszę... czy mogę prosić o jeszcze chwilkę? – Głos ma bardziej chrapliwy niż zwykle.

Doktor Majken opuszcza strzykawkę, a Noa opiera na kilka sekund czoło o nasadę dłoni i mocno zaciska powieki. A potem bierze głęboki wdech i opiera się o oparcie krzesła.

Majken szczypie go w ramię, a żyły na jego szyi i dłoni napinają się jak stalowe druty. Noa zaciska pięści i gdy igła przekłuwa mu skórę, jęczy z zamkniętymi ustami.

Za to prawie nie robi na nim wrażenia oczyszczanie i opatrywanie ran na dłoniach. Mydło wywołuje zaledwie lekki skurcz policzka, a do tego Noa bez problemu i z zainteresowaniem przygląda się pracy Majken.

Więc próg odczuwania bólu ma wysoki jak most nad Wielkim Bełtem, ale boi się... igieł?

Choć zdawało mi się, że go rozpracowałam, moje teorie okazują się nic nie warte. On jest jak te babuszki, których nowa wersja pojawia się po odkręceniu kolejnej górnej części.

Ciekawa jestem, czy pod tą twardą zewnętrzną powłoką kryją się kolory inne niż czerni.

ROZDZIAŁ 19

Gdy po kwadransie Noa i ja siadamy w poczekalni, jest tam już kilkoro nowych pacjentów. Noa na szczęście nie mówi już więcej o pryzmacie.

Adriana wyszła na zewnątrz, żeby czekać na matkę, Karl znikł, a pozostała trójka jeszcze nie opuściła zabiegowego.

– Nie znam nikogo innego z fobią igłową, kto miałby tatuaż i cztery piercingi. – Coś podobnego... czy ja to właśnie powiedziałam głośno?

– Na fobie jest tylko jedna rada – mówi Noa bezbarwnie. – Przewycięzać je. Jak na razie nie idzie mi jakoś super.

– Ale... czy ty tej swojej fobii już nie przewyciężyłeś? Musiałeś przecież dość długo znosić nakłucia, żeby mieć tatuaż? – Usiłuję sprawiać wrażenie, że świadomie rozpocząłem tę rozmowę.

– Przewycięzę ją dopiero, gdy będę ją kontrolował. Kiedy będę kontrolował się w stu procentach.

– Jak to?

Noa podciąga rękaw.

Kilka krzeseł dalej siedzi matka z synem w wieku przedszkolnym, zerka na nas, natomiast starsza pani naprzeciwko demonstracyjnie wbija wzrok w tygodnik.

Tatuaż jest większy, niż sądziłam. Gotyckie litery zaczynają się przy łokciu i ciągną się na wewnętrznej stronie przedramienia aż do nadgarstka.

Courage is resistance to fear, mastery of fear

– *not absence of fear*⁴²

– Mark Twain był mądrym człowiekiem – mówi Noa. – Nie da się uniknąć odczuwania strachu, ale można uniknąć poddawania się jego rządóm.

– Ty naprawdę masz problem z tym, żeby nie wyglądać na słabego w oczach innych ludzi, co?

– Generalnie wszystko mi jedno, co ludzie o mnie myślą. Mogą mnie nazywać, jak sobie chcą. No, jeśli się odważą. – Na ustach Noa pojawia się na moment niepokojący uśmiech. – Ale nikt nie będzie mówił, że jestem babą.

Przyglądam się kurtce w stylu *bad boy*, ciemnym włosom zmierzwionym przez tornado, czarnym ubranióm, wojskowym butóm, dolnej wardze z dwoma piercingami, przebitym uszóm i nielegalnemu tatuazowi. Cały jego wygląd to wołanie o uwagę, o to, żeby ludzie wyrobili sobie zdanie na jego temat.

– Dlaczego to, co myślą inni, jest takie ważne? – pytam. – No bo albo jest człowiekowi wszystko jedno, albo nie.

– Jeśli inni myślą, że się boisz, to cię wykorzystują. Chodzi o zwyczajne przetrwanie. *Survival of the fittest*⁴³. – Noa zakrywa rękawem czarne litery i opiera się na krześle. Białe opatrunki na dłoniach to obce ciała w jego mrocznym świecie. Dziwne pęknięcie w twardej fasadzie.

– Ale ty jesteś prawie... fanatyczny, jeśli o to chodzi – mówię. – Ilu piętnastolatków każe sobie wyryć na skórze swoje motto? Większość pewnie by je po prostu napisała na piórniku albo

na Facebooku.

Nie ciągnie mnie, żeby wspomnieć o moim zbiorze przysłów w szkicownikach, które leżą w domu, pełne kieszonkowej filozofii typu *carpe diem*, która błędnie przy bardzo dosłownym stosowaniu złotych myśli przez Noa.

– Lubię się zmuszać. – Noa patrzy przed siebie z ponurą miną. – Ten, kto się boi, że będzie cierpiał, już cierpi, bo się boi.

– To brzmi jak coś, co powinienes dać sobie wytatuować na drugim ramieniu – mówię sucho.

– Nawet się nad tym zastanawiałem. – Noa wzrusza ramionami. – To cytat z pewnego francuskiego pisarza, też uważałem, że jest super, ale Mark Twain wygrał, poza tym na więcej nie miałem kasy. Znalezienie gościa gotowego nie pytać o wiek trochę kosztowało. – Noa pociera się po karku, gdzie spod T-shirtu wyziera plaster po szczepieniu. – I całkiem uczciwie mówiąc... to gdybym miał siedzieć na tym krześle choćby minutę dłużej, chyba bym, kurczę, poleciał na podłogę.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Kiedy przyznaje, że nie jest z hartowanej stali, nie sprawia wrażenia tak bardzo przejętego sobą. Poza tym dziwnie przyjemnie się czuję, wiedząc, że w czymś jestem od niego silniejsza. Chociaż chodzi tylko o igły.

Na korytarzu słysząc kroki i zza załomu ściany wyłania się Karl.

– Ciężko było? – Patrzy na nasze bandaże.

– Dało się wytrzymać. Lekarka uważa, że się zagoi – mówię.

Dobrze mi znany stukot przyciągnął mój wzrok do oddzielających poczekalnię od izby przyjęć drzwi z matowym szkłem, które sekundę później się otworzyły i pojawił się w nich Frostmourne, a za nim Alban, Linus i Pi. Oni też mają zabandażowane dłonie, więc teraz przypominamy stadko wypuszczanych pod eskortą *cutters*⁴⁴.

– Gdzie Adriana? – pyta Pi.

– Wyszła na zewnątrz. Mama po nią jedzie – odpowiadam.

– Podwieźć kogoś z was do domu? – pyta Karl. Przyjechał za karetką swoim samochodem.

Już mam odrzucić jego ofertę, ale zmieniam zdanie. Nie wiem, jak wytłumaczyć rodzicom, dlaczego mieliby mnie odebrać z pogotowia, skoro myślą, że jestem na wykładzie. Jeśli będę miała szczęście, może uda mi się ukrywać bandaże na tyle długo, żeby wymyślić jakąś mniej dramatyczną przyczynę oparzeń.

– Byłoby super, gdyby mnie pan mógł wysadzić na końcu Skovvej – mówię.

– Nasza mama jest na nocce, więc też chętnie się zabierzemy – odzywa się Alban. – Mieszkamy naprzeciwko szkoły.

Karl kiwa głową.

– Oczywiście. A wy? – Patrzy na bliźnięta.

– Ale przecież... nie ma pan chyba w aucie miejsca dla sześciu osób? – pyta Pi.

– No... nie – Karl śmieje się nerwowo – ale gdy zawiozę ich troje, mogę po was wrócić.

– Nie, nie ma problemu. – Noa macha ręką w obronnym geście. – Weźmiemy taksówkę.

– Mama płaci, nikt nie traci – śmieje się Pi.

– Jedźmy już – mówi Linus. – Robi się późno.

Wstaję i spoglądam na wiszący w poczekalni zegar. Jest kilka minut przed dziesiątą. Niedługo rodzice zaczną się denerwować, a nie mam ze sobą komórki. Nadal ładuje się na stole w kuchni.

Linus podaje Albanowi ramię i ruszamy w kierunku automatycznych szklanych drzwi prowadzących do holu. Gdy jesteśmy już blisko, moją uwagę zwraca energicznie i władczo

maszerująca w naszą stronę po drugiej stronie drzwi kobieta o długich, złotych włosach. Jej czarne szpilki głośno wystukują na podłodze nerwowy rytm, a usta ułożyła w odpychającą linię krzyczącej czerwieni.

O, nie. Matka Adriany.

Kilka kroków za nią drepcze Adriana, na jej twarzy maluje się przerażenie.

Linus i Alban idą przodem, ale Linus mówi coś do brata i nic nie zauważył. Matka Adriany sięga po sznur przy drzwiach w chwili, gdy Linus i Alban przekraczają namalowaną na podłodze żółtą linię wyznaczającą odstęp bezpieczeństwa przed otwierającym się skrzydłem. Matka Adriany spostrzega Karla i szarpie za sznur, nie zwracając uwagi na nas.

– Linus! – wołam, ale to Alban reaguje. W tej samej chwili gdy drzwi zaczęły szumieć i się otwierać, zrobił krok w tył, pociągając za sobą Linusa. Otwierające się drzwi znalazły się kilka centymetrów od gumowej kulki na czubku Frostmourne’a.

Matka Adriany przemaszerowała, a sama Adriana ledwie zdążyła się prześliznąć, i drzwi się zamknęły.

– Proszę mi zaraz powiedzieć, co się tu na Boga dzieje?! – Matka Adriany podchodzi do Karla i przekraczając strefę jego terytorialnej intymności, oskarżycielsko wskazuje na niego palcem zakończonym polakierowanym na czerwono paznokciem. – Moja córka mówi, że pozwala pan dzieciom eksperymentować z wysokim napięciem! – Jej głos jest piskliwy, na jednej z trójek widać szminkę. Przypomina mi wampira w gotowości do wysysania krwi ze swojej ofiary.

– Ja... ja... – Karl robi krok w tył, ale matka Adriany napiera na niego. – Żądam wyjaśnień! – Skrzydełka nosa drżą w ten sam sposób jak u Adriany, gdy ktoś się jej sprzeciwia.

O dziwo, po Adrianie widać, że czuje się w tej sytuacji niezręcznie. Stoi pod ścianą z ramionami skrzyżowanymi na piersi i wbija wzrok w podłogę, gdy jej matka gestykuje tak gwałtownie, że aż napinają się szwy w dopasowanym do figury żakiecie.

– Co ma pan na swoją obronę? – syczy do Karla, który zaniemówił w obliczu tej niespodziewanej napaści.

– Przepraszam, jakiś problem?

Matka Adriany zastyga na dźwięk głosu doktor Majken, który dobiega z drugiego końca korytarza.

– Tak, może być pani pewna, że jest problem! Chciałabym wiedzieć, czy zgłoszono tego człowieka na policję, po tym jak wyrządził krzywdę mojej córce!

Majken daje sobie czas na pokonanie ostatnich metrów do drzwi.

– O ile mi wiadomo, nie – mówi spokojnie. – I nie sądzę, żeby to było konieczne.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – pieni się matka Adriany. – Oczywiście, że jest to konieczne! Moja córka za miesiąc gra na koncercie bożonarodzeniowym, a to, że tak okaleczono jej ręce, całkowicie niweluje jej szansę na przygotowanie się do niego!

Uderza mnie, że nie mówi o Adrianie po imieniu, tylko wypowiada się o niej jak o drogim żakiecie, na którym ktoś zrobił plamę.

Majken patrzy na nią bez najmniejszego mrugnienia, choć jest co najmniej o głowę niższa od tej furii z włosami blond w miodowym odcieniu.

– Dzieci powiedziały, że to był wypadek. Włączyły maszynę, której nie powinny były włączać. Nikt nie wiedział, że tak się to skończy. Jak mówiłam, wypadek. Nie przestępstwo. Nie ma powodu, żeby zawiadamić policję – mówi.

Dziwi mnie, skąd wie o wydarzeniu w domu Karla, skoro jej o tym nie opowiadaliśmy, ale pewnie briefował ją Pyszczytaty, zanim przyszła do zabiegowego. Musiał jej przekazać nasze

pierwsze wyjaśnienie, choć wyraźnie bardziej się skłaniał do wersji z fajerwerkami. Niezależnie od tego, czy Majken nam wierzy czy nie, jestem jej wdzięczna za to, że nie pogarsza sytuacji i nie wspomina o fajerwerkach.

– Niech pani nie będzie tego taka pewna! – Matka Adriany spogląda z ukosa to na Majken, to na Karla, ale wydaje się, że z histerycznego balonu uszło trochę gazu.

– Może pani oczywiście spróbować zgłosić sprawę policji. Jestem pewna, że będą gotowi odłożyć na bok kradzieże bankowe i przestępstwa narkomanów, żeby dogłębnie zbadać tę sprawę. – Majken uśmiecha się słodko do matki Adriany, która tak ciasno sznuruje usta koloru krwi, że skóra wokół nich staje się biała.

– Zobaczymy! – rzuca i robi w tył zwrot na szpiczastych jak szydła szpilkach. Pociąga za sznur przy drzwiach i gdy drzwi zatrzymują się przy ścianie, jest już kilka metrów dalej na korytarzu. Jasne włosy są jak strumień stopionego złota połyskującego na jej plecach w silnym oświetleniu korytarza.

– Adriana, chodź! – warczy, nie oglądając się.

Kurczę się w sobie. Gdy wreszcie wymówiła imię Adriany, zabrzmiało to, jakby mówiła do psa.

Adriana rusza za matką szybkimi krokami. Jej spięte ramiona i opuchnięte czerwone powieki neutralizują moją irytację jej osobą.

– Widzimy się jutro – mówię, ale Adriana jest już za daleko, żeby mnie usłyszeć.

ROZDZIAŁ 20

Gdy Karl mnie wysadził i stanęłam przed wejściem do domu, zawahałam się. Jak mam, idąc do swojego pokoju, przejść obok rodziców tak, żeby nie zapytali o bandaż?

Kieszenie moich spodni nie są na tyle głębokie, żebym mogła je ukryć, a paradowanie po domu w zimowych rękawicach nie byłoby specjalnie dyskretne.

Filur szczeka i popiskuje w przedpokoju, nakręcony na maksa odgłosem obcego silnika samochodowego. Popycham drzwi i unoszę ręce wysoko nad głowę, żeby mi ich nie trącał w swoim szaleńczym tańcu powitalnym.

– To ty, Emilko? – Głos mamy zbliża się do przedpokoju, więc błyskawicznie podejmuję decyzję. Gdy ściągam przez głowę sweter, czuję jakby cięcie w ranach, a nagłe uczucie zimna sprawia, że pod T-shirtem ścina mnie gęsia skórka. Gdy mama ukazała się przede mną, ledwie zdążyłam ukryć dłonie w swetrze.

– Hej, skarbie. No i jak wykład?

– W porządku. – Wymijam ją, a za mną w podskokach Filur. Nie wyobrażam sobie rutynowego przesłuchania typu „kto-jeszcze-był-i-czy-było-fajnie”, więc robię cierpiętniczą minę. – Okropnie boli mnie głowa, chyba od razu położę się spać.

– Chcesz pastylkę? – Na pytanie mamy odpowiadam skinieniem głową. Lekarstwo, które dostałam na pogotowiu, prawdopodobnie nie będzie działać przez całą noc.

Mama przyniosła słoiczek z panadolem i wyjęła dwie pastylki, a potem napełnia szklanek wodą i podaje mi ją razem z pastylkami. Ale ja nie mogę ich przyjąć, nie odsłaniając dłoni.

– Ja... eee... może jednak poradzę sobie bez nich. Jest już lepiej, odkąd wysiadłam z autobusu – kłamię. – Dobranoc, mamo. – Pocałowałam ją lekko w policzek i szybko wyszłam z kuchni.

U siebie skierowałam się prosto do biurka. Gdy wyciągnęłam szufladę, z klatki z papugami dobiegło senne piśnięcie.

Im dłużej obcuję z Noa w rzeczywistości, tym mocniejsze czuję ciarki na plecach, gdy patrzę na niego na swoim rysunku.

Bo to j e s t o n.

Wszystko tak bardzo go przypomina, że moje dłonie, gdyby miały skórę, zaczęłyby się pocić.

Łuki brwi. Dziwnie niesforny lok na czole wyłaniający się z gęstwiny włosów.

Wąski nos z linią grzbietową zgiętą w lekkim łuku. I uśmiech, ten przeklęty uśmiech, za sprawą którego tracę nad sobą kontrolę, gdy najmniej się tego spodziewam.

Siedzę na łóżku i długo wpatruję się w rysunek, aż moje nogi zasypiają, a w dłoniach zaczyna pulsować ból.

To moja wina, że wszyscy jesteście poparzeni.

M o j a wina. Bo chwyciła mnie ta spontaniczna paranoja i absolutnie musiałam grzebać w rzeczach Karla.

Bo poszłam za głupim impulsem i chciałam... no właśnie, czego? Udowodnić samej sobie, że to przypadek, że śnił mi się Noa i obserwatorium, zanim zobaczyłam jego i to miejsce w rzeczywistości?

Czy też dlatego, że przez moment uwierzyłam, że to nie był taki sobie zwyczajny sen?

Ale wobec tego co to było?

Wizja? Znak? Ostrzeżenie?

Przed czym?

I od kogo?

Nie mogę pojąć, dlaczego w tym wszystkim wciąż przewija się Noa.

Nagle przychodzi mi do głowy szalony pomysł. A gdyby pokazać mu rysunek?

Prycham histerycznie na samą myśl. I co miałabym mu powiedzieć?

”Hej, narysowałam to na kilka godzin przed naszym spotkaniem. *Stalker*⁴⁵? Nie, absolutnie nie. Tylko śniłeś mi się w nocy. I śniło mi się pudło, w którym było to coś, co niemal nas wszystkich zabiło. Oszalałam, mówisz? Hmm... a opowiadałam ci o tym, że świeciliśmy?”

Gdy ból dłoni wzmógł się na tyle, że zagłuszył moje kombinowanie, wśliznęłam się do ciemnej kuchni i wzięłam dwie pastylki panadolu. Nalewając przy zmywaku wody do szklanki, spostrzegłam na horyzoncie błysk.

Nie wierzę w wypowiedanie życzeń, gdy spada gwiazda, a jednak zamknęłam oczy i poprosiłam, żeby wkrótce wszystko znów stało się normalne. A potem połknęłam pigułki i poszłam spać.

We śnie stoi przede mną chłopak. Jest odwrócony do mnie plecami, ale mam poczucie, że już go kiedyś widziałam.

Jest prawie całkiem ciemno. Widzę przed nim biurko, na ścianie duży czerwony czworobok. Może obraz.

Próbuję zrobić krok w jego kierunku, ale nogi mam ciężkie, jak gdybym brnęła w wodzie. Jest coś w jego karku i konturach ramion, co wydaje mi się znajome.

Unoszę rękę, nieskończenie wolno, i wyciągam ją w jego kierunku. Wysięk jest tak wielki, że mam ochotę położyć się i zasnąć w moim własnym śnie.

Ktoś coś mówi. Męski głos. Ale słowa są tylko dalekim szumem, nie przebijają się przez otaczającą mnie niewidzialną galarete.

Chłopak odpowiada. Mimo galarety słyszę, że jest ode mnie starszy. Jego głos nie ma tego metalicznego brzmienia, jakie mają głosy nastolatków w czasie mutacji.

Znowu ten sam męski głos. Tym razem bliżej. Proszący.

Chłopak cofa się o krok. Chcę się odezwać, żeby nie podeptał mnie po nogach, ale nie udaje mi się sformować słów, język stawia opór. Wtedy słychać głośny hałas, jak od drzwi otwartych z impetem i uderzających w ścianę.

Chłopak kurczy się i odwraca w kierunku źródła hałasu.

W naszą stronę idzie ubrana na czarno postać, szybkie kroki, aura wściekłości.

– Co ty, u diabła, robisz? – Chrapliwość głosu włącza do mojego spowolnionego mózgu imię, zanim dostrzegłam piercingi i ciemne włosy. – Co, u diabła, robisz? – Tyle nienawiści w tak krótkim zdaniu. Noa popycha osobę stojącą przed chłopakiem. – Spadaj. S-p-a-d-a-j – mów przez zaciśnięte zęby i z każdym słowem pcha mocniej.

Męski głos zostaje wypchnięty w obszar cieni pod czerwonym prostokątem. Protestuje, próbuje się bronić.

Tajemniczy chłopak kładzie rękę na ramieniu Noa, ale Noa odwraca się, jakby to dotknięcie było jak porażenie prądem.

– A ty – celuje w niego ostrzegawczo palcem wskazującym – ty trzymaj się lepiej z daleka!

Wtedy spostrzega mnie.

Mój mózg jest zagrzebany w galarecie, a myśli jak bąbelki w gęstej masie walczą o wydobycie się na powierzchnię.

Nie jestem w stanie się ruszyć.

Nie powinno mnie tutaj być. Czuję, że to jest nie w porządku. To wszystko jest jak w marach nocnych, w których się biegnie i biegnie i nie można uciec potworowi.

Ale tu chodzi o potwora, który zagraża komuś innemu.

Noa mruży oczy.

– Co się tak na mnie patrzysz?

Nie pamiętam, jak się wypowiada słowa.

Chłopiec odwraca się do mnie.

Dobrze mi znane, stalowoszare oczy wywiercają dziurki w bąbelkach galarety, a ja z trudem łapię powietrze, jak gdybym długo była pod wodą i tego nie zauważyła.

Alban patrzy na mnie badawczo.

Mija chwila, nim zrozumiałam, że rzeczywiście na mnie... patrzy. Że nie jest już niewidomy. Oczy szybko się poruszają, skanują moją twarz. Zmartwione. Zagubione.

– Spadajcie, no już! – wrzeszczy Noa. – Wszyscy!

Zerwałam się ze snu i odkryłam, że leżę na podłodze obok łóżka. Kołdra jest skłębiona w jednym rogu poszwy, reszta owinęła moje ciało jak przynosząca śmierć poczwarka motyla.

W uszach wciąż dzwoni mi pełen wściekłości głos Noa.

Wyplątuje się z wilgotnej od potu pościeli i wdrapuje na łóżko.

Śni mi się, że patrzę, co Noa robi Jonatanowi w bibliotece. Jak szybkim ruchem wykręca mu rękę na plecy w taki sposób, że Jonatan nie może się poruszać. Nad skręconym ciałem Jonatana spojrzenie Noa napotyka moje. Gdy podkręca rękę Jonatana jeszcze trochę w górę, aż chrzęści staw barkowy i w bibliotece rozlega się krzyk bólu, jego twarz jest pozbawiona wyrazu.

Kolejne sny.

Noa serfujący wzdłuż pustej plaży. Morze i niebo zlewają się i w odbitym świetle tego błękitnego świata jego skóra jarzy się turkusem w sposób, który rozpoznaję.

Noa jadący na małym czerwonym rowerze górskim przez świerkowy las, na plecach plecak Spidermana. Nie ma jednego zęba, jedyńki, i żadnego piercingu. Przyklejone do czoła włosy nie są czarne, tylko ciemnoblonde z przebłyskami miedzi.

Noa staczający wodną bitwę z Pi w wielkim ogrodzie z pomarańczowymi drzewami wzdłuż żywopłotu. Dziwnie jest słyszeć jego śmiech.

Noa stojący naprzeciwko mnie w obserwatorium Karla, po drugiej stronie otwartego kartonu przeprowadzkowego. Nie ma nikogo więcej, jesteśmy sami w szarym mroku.

– Nie opowiadaj bajek. Wiedziałas o tym. – Wyciąga do mnie rękę. Na jego dłoni leży lśniąca, bezbarwna szklana zawieszka.

Patrzę na swoje ręce i odkrywam, że trzymam matowozłoty przyrząd. Moje stopy zaczynają się cofać.

Nie mogę dopuścić do tego, żeby Noa włożył zawieszkę do przyrzędu. Jestem pewna, że jeśli to zrobi, wydarzy się coś przerażającego. Coś znacznie gorszego od oparzeń na rękach.

Noa robi krok w moją stronę.

Odwracam się na pięcie i zaczynam biec. W miarę jak biegnę przez mrok, mrok staje się głębszy. Drogi nie wskazują świecące dłonie ani tęczowy pryzmat.

Noa coś za mną woła, może moje imię, ale nie oglądam się.

Przyrząd buczy coraz mocniej, a ja nie potrafię wypuścić go z rąk i nie mogę przestać biec. Wibracje przenoszą się na moje ciało i myśli, aż wszystko zaczyna drżeć, czarny jak węgiel mrok.

ROZDZIAŁ 21

Rano obudziłam się dramatycznie zmęczona... i dramatycznie zmęczył mnie Noa.

Dlatego dopiero wchodząc pod prysznic, odkryłam, że mam nowy problem. Sięgnęłam ręką za zasłonę, żeby puścić wodę i mój wzrok natrafił na biały bandaż owinięty na ręce.

Opatrunek i prysznic. Kiepska kombinacja.

Nie starczyło mi odwagi na zdjęcie bandaża. Co robić? Dokładnie za dwadzieścia minut Sofie będzie łomotać do drzwi łazienki i marudzić, że się ślamazarzę.

Plastikowe torebki! Biegnę do kuchni.

Mama gotuje już owsiankę, radio jak zwykle nastawione na poziom generowania szumów usznych. Wiadomości nadal miały temat skorumpowanej firmy medycznej, a mnie nadal guzik to obchodzi.

Przekradam się za plecami mamy i zaczynam otwierać i zamykać szuflady w poszukiwaniu rolki torebek i taśmy klejącej. Ustawiam się cały czas tak, żeby zasłaniać sobą dłonie.

– Głowa już lepiej, skarbie? – Mama przycisza trochę radio, wciąż odwrócona do mnie plecami. Oczy z tyłu głowy to automatyczny *upgrading*⁴⁶, gdy się zostaje matką.

– Uhm, w porządku. – Przed otwarciem kolejnej szuflady wydobywam z ładowarki komórkę i wciskam ją pod pachę. – Nie ma już torebek do mrożenia?

– Nie, zużyłam wczoraj ostatnie do zamrożenia sosu.

Klnę w duszy. Perspektywa kąpieli z ramionami zanurzonymi w torbach Netto nie jest zachęcająca, ale nie mogę pójść do szkoły bez prysznica. Tak bardzo się wczoraj w chwilach paniki pociałam, że teraz śmierdzieć jak dorosły facet. Już sama myśl o tym, że siedzę obok Noa i cuchnę, sprawia, że pocę się jeszcze bardziej.

Nagle mignęło mi w szufladzie coś żółtego.

Rękawice do zmywania! Teraz brakuje mi już tylko sposobu na obwiązanie ich wokół nadgarstków.

– Coś ty zrobiła z rękami? – Głos Sofie wszystko psuje właśnie w chwili, gdy dotknęłam leżącej w szufladzie taśmy klejącej. Sofie obserwuje mnie z miseczką cornflaków w ręce.

– Nic – bąkam, ale mama już zobaczyła bandaże.

– Ależ Emilko! Co się stało? – Puszczą łyżkę, którą mieszała owsiankę, żeby chwycić moje dłonie, ale ja zrobiłam już krok w kierunku drzwi do przedpokoju.

– Oparzyłam się tylko wczoraj u Albana i Linusa. Nie jest tak źle, jak wygląda. Sandra mnie opatrzyła.

Kombinowanie jest ryzykowne, ale opowiadanie o Karlu, przyrządzie przewodzącym prąd, który nas wszystkich poraził, i o pogotowiu za bardzo uszczupliłoby mój czas na kąpiel.

– Oparzyłaś się? Ale czym? – pyta mama. Z garnka z owsianką dobiega kleiste pyrknięcie i na powierzchnię wydostaje się bąbelek powietrza.

– Eee... garnkiem.

– W obie ręce?

– Mmm... tak. Był naprawdę gorący – odpowiadam głupio. – Ale... wiesz, tak naprawdę to za

bardzo nie boli. – Skoro już i tak skłamałam, to jedno kłamstwo mniej czy więcej nie sprawi różnicy.

Podnoszę do góry gumowe rękawice i taśmę.

– Nie bardzo mam czas na rozmowę, mam. Muszę je sobie założyć, zanim wejdę pod prysznic.

– O, ty biedactwo – uzala się nade mną mama. – Mam ci pomóc z tą taśmą?

– Nie, dziękuję – rzucam i uciekam do łazienki.

Pożałowałam, bo zmarnowałam pół rolki taśmy i prawie pięć minut na obwiązywanie rękawic wokół nadgarstków. Pociłam się, wewnętrzne powierzchnie dłoni bolały i dopiero wtedy dotarło do mnie, jak trudne będzie przez długi czas rysowanie.

Myłam głowę tak zamasyście, jak tylko pozwalał na to ból. Choć robiłam to szybko, czułam, że wzdłuż jednego nadgarstka sączy się woda. Zrolowałam rękawice i odwiesiłam je do wyschnięcia.

Trudno mi owinąć ręcznikiem mokrą głowę, niewiele brakowało, a cisnęłabym nim o podłogę. Wreszcie biorę głęboki oddech i uchylam okno.

Ciepłe, wilgotne powietrze snuje się przez szparę i w zetknięciu z mrozem zamienia się w małe obłoczki pary.

Przecieram przedramieniem zamgloną taflę lustra, żeby stworzyć wyspę z miejscem na moją twarz. W miarę jak do łazienki napływa chłód, coraz wyraźniej ujawniają się jej rysy. Zmuszam się do uśmiechnięcia się do dziewczyny w gigantycznym włochatym turbanie.

Obrzucam spojrzeniem jej wilgotne ciało. Z czasem przyzwyczaiłam się do tego, że mam piersi, ale ładne to one nie są. Ciekawe, czy postanowiły nigdy nie przekroczyć rozmiaru miseczki A, którą z trudem mogę wypełnić? I to wypinając pierś i wciągając powietrze!

Adriana ma ładne piersi. Największe w klasie. Zaczęły jej rosnąć już w czwartej klasie. To niesprawiedliwe, że niektóre dziewczyny nic nie robią i po prostu mają ładne ciała.

Adriana ma też niebieskie oczy o odcieniu, który w katalogach kolorów nazywa się „bławatem” albo „błękitem śródziemnomorskim”, i które normalnie widuje się tylko u modelek na zdjęciach solidnie przetworzonych w Photoshopie.

Uwalniam włosy od ręcznika i pozwalam im opaść na ramiona. Mają ciemobrazowy kolor dlatego, że są mokre, ale gdy wysychają, kolor zmienia się na półszary, półbrazowy. W porównaniu z głębokim kasztanowym odcieniem włosów Albana czy złocistobrazowym Linusa moje sprawiają wrażenie szarych.

Ciekawe, jak bym wyglądała z niebieskimi oczami? Patrzą w oczy dziewczyny w lustrze. Pochyliłam się trochę do przodu, tak że twarz zalewa światło lampy znad umywalki i próbuję sobie wyobrazić jasne, niebieskie zamiast moich piwnych.

Czy to przez światło, czy przez moją bujną wyobraźnię, nagle wydało mi się, że moje oczy wyglądają inaczej. Przybliżam twarz do lustra tak bardzo, że nos dotyka zimnego szkła.

I jestem pewna, że wśród brązu widzę smugę błękitu. W gruncie rzeczy przechodzi w fiolet na tle czerwonych odcieni brązu wzdłuż brzegów tęczówki. W ostrym świetle moje źrenice to wyrażające strach, czarne jak węgiel kropki.

– Skoończ nareeeszcie! – To Sofie wali w drzwi. Przywraca mnie to do rzeczywistości i szybko owijam się ręcznikiem.

Niesamowite, jaki mózg może zrobić kawał, jeśli człowiek sobie coś wmawia.

– Hej, Debilia! Chyba wiesz, że *cutting* robi się trochę wyżej, co? – Głos Jonatana przerywa

zzymanie się na sobie, że nie połknęłam przed wyjściem do szkoły kilku panadoli. Bolał mnie wewnętrzne strony dłoni po ostrej jeździe pod prysznicem, a na dodatek rany pod opatrunkami zaczęły swędzić.

Nie mam sił, żeby się odwrócić i mu odpowiedzieć. Zamiast tego ściągam rękawy na dłonie i zaczynam szukać w torbie piórnika.

– Następnym razem spróbuj ciąć trochę głębiej, siroto. To na pewno pomoże. – Jonatan śmieje się z własnego dowcipu.

– Zamknij mordę. To na pewno pomoże. – Słyszę z tyłu głos Noa. Poczułam ukłucie złości, że zawsze gdy jest w pobliżu, kończę jako potrzebująca obrony panienka.

Noa usiadł na krześle obok i kiwnął mi głową, jakbyśmy byli starymi kolegami, którzy od lat siedzą w jednej ławce. Ma na dłoniach skrywające bandaże czarne rękawiczki bez palców.

Sprytnie. Nie przyszło mi to do głowy.

Spojrzałam na jego siostrę obok Adriany. Pi ma na sobie ten sam rodzaj rękawiczek, ale w kolorze krzyczącej żółci. Adriana skrzyżowała ramiona na piersi i wcisnęła dłonie pod pachy. Wygląda na to, że zdjęła bandaże.

Do klasy weszła Mette. Dziś dzień dyktanda, więc zaczęła rozdzielać zeszyty do pisania dyktand. Zazwyczaj w takich sytuacjach jestem w stu procentach skoncentrowana, ale dziś moje myśli są dalekie od zasad interpunkcji i złożań.

Mette czyta słowa, wyraźnie akcentując każdą sylabę, żeby wszyscy skupili uwagę, ale ja nadal myślę o buczeniu, które poprzedziło eksplozowanie tego wszystkiego. Mój długopis porusza się po liniach zeszytu jak lunatyk i parę razy umknęły mi słowa, bo nie słuchałam.

Noa zrobił kilka błędów, może dlatego, że też nie może się skupić.

Adriana siedzi pochylona nad dyktandem ze zmarszczonym czołem, blada, ale skoncentrowana. Kurczowo trzyma długopis, właściwie tylko kciukiem i płacem wskazującym, pozostałe palce zaciska na wnętrzu dłoni, żeby je zakryć.

Mette zebrała zeszyty, a ja znowu odpływam.

Chyba jestem bliska obłądu. Inne wytłumaczenia odpadają. Pytanie tylko, czy Noa jest przyczyną czy przejawem tego, że mój mózg przestał działać?

A może w rzeczywistości jest tylko halucynacją?

Zerkam na niego. Rysuje coś w zeszycie od duńskiego. No i co? Wymyśliłam też papier, na którym rysuje, czy tylko zawijasy, które tworzy jego pełen fantazji ołówek? Gdzie przebiega granica mojego chorego świata?

Noa zmienił pozycję, wysyłając w moim kierunku słabą falę woni dezodorantu. Poczułam ją jako szczególnie rzeczywistą, bo działa na receptory węchu w moim nosie i przekazuje wiadomość do moich pach, dając im dodatkowego kopa do produkcji potu.

Dość już, Emi...

Oczywiście, że go nie wymyśliłam. Inni też z nim rozmawiają. I o nim. Alban już ma z nim napięte relacje, więc gdyby Noa nie istniał, byłby bardzo interesującym wytworem zbiorowej halucynacji.

Przyciskam do skroni palce wskazujące, żeby wycisnąć z głowy szaleństwo, tak jakbym wyciskała wielką krostę.

A może posiadam zdolność jasnowidzenia?

Albo jestem nastolatką, która wprawdzie nie ma przyjaciół, ale z dnia na dzień otrzymuje nadprzyrodzone moce, ratuje świat i zarywa tego tajemniczego nowego, bo nie odkryła, że sama jest niezłą laską i w ogóle supercool?

Ha. Chciałoby się!

Cicho prychnęłam i Noa spojrział na mnie znad swoich bazgrołów, więc szybko zaczynam udawać, że szukam czegoś w piórniku.

Dlaczego nie śniła mi się Pi? Dlaczego nie Karl? Albo Linus, Alban i Adriana, którzy też byli w obserwatorium?

”Bo Noa miał pryzmat, mówi jakiś cichy głos z tyłu mojej głowy. Bo on jest ważniejszy od pozostałych. Bo to coś znaczy”.

Ale... Karl miał przyrząd. Czy on też nie jest ważny?

Szach-mat.

Głos nie odpowiada.

Na razie jeden sen się spełnił. No, mniej więcej. Tylko bez świecenia rąk.

A pozostałe sny?

Widzę oczami wyobraźni spojrzenie Albana. Czuję, jak studiuje moją twarz.

Jeśli spełnią się sny, w których był Noa... czy to będzie oznaczało, że Alban odzyska wzrok?

ROZDZIAŁ 22

Gdy skończyła się lekcja i wszyscy wysypali się na korytarz, podchodzę do Adriany.

Noa i Pi poszli do sekretariatu wypełnić jakieś papiery, więc jesteśmy w klasie same razem z Mette, która zmazuje z tablicy zapiski.

Stałe przyjaciółki Adriany, jej paczka, wyparowały, po tym jak bez przekonania próbowały ją namówić, żeby poszła z nimi do stołówki. Siedziała przez większość czasu zastygła jak kamień, tak samo apatyczna jak ja.

– Jak tam ręce? – pytam.

Adriana niemal automatycznie zaciska dłonie i znów wtyka je pod pachy, ale na jednej zdążyłam dostrzec skrawek plastra w kolorze skóry.

– Spoko – odpowiada nieobecna duchem. Wpatruje się w leżący na rogu katedry stos zeszytów z dyktandami.

– Ale wieczór, co? – Próbuję lekko się roześmiać, ale to na nią nie działa.

Intensywnie żuje dolną wargę.

– W ostatnim zdaniu Mette powiedziała „ignoruje” czy „integruje”? – pyta, jak gdyby mnie nie słyszała.

Zdziwiłam się, że nadal myśli o dyktandzie, ale próbuję cofnąć taśmę.

– Eee... chyba „ignoruje”.

Spojrzenie Adriany błądzi między mną a katedrą.

– Jesteś pewna?

Przypominam sobie ostatnie zdanie, które przeczytała Mette.

– To chyba było... „Premier rządu nie ignoruje polityków głównych partii”.

– O, nie! Faktycznie! – Adriana odruchowo plasnęła otwartą dłonią w czoło. Twarz kurczy jej się z bólu.

– Adriana, spokojnie. Będiesz miała jeden błąd, kiedyś musi być pierwszy raz. – Uśmiecham się do niej, ale ona wpatruje się w stos zeszytów, który przypieczętował jej los.

Mette stoi zwrócona do nas plecami, pisze w rogu tablicy nazwiska dyżurnych w tym tygodniu.

– Gdybym tylko mogła... – Adriana potrząsa głową i zamyka oczy. Reszta zdania ginie w jej zaciśniętych ustach.

Gdyby tylko mogła dostać do ręki swoje dyktando i poprawić błąd! Kilka maleńkich literek.

Wciąż pamiętam sytuację, gdy dostała dostateczny z rozprawki i przez cały następny tydzień chorowała. Nagle moją uwagę przyciąga jakiś ruch na katedrze.

Zdawało mi się, jakby stos dyktand lekko drgnął.

Rozglądam się po klasie. Drzwi stoją otworem, ale wszystkie okna są zamknięte, więc nie powinno być przeciągu.

Wracam spojrzeniem do dyktand.

I widzę, jak przez krótką chwilę leżące najwyżej unoszą się o centymetr nad pozostałe. Następuje to tak szybko, że natychmiast zaczynam wątpić, czy na pewno dobrze widziałam.

Mette wciąż stoi odwrócona do nas plecami, więc spoglądam na Adrianę, żeby sprawdzić, czy coś zauważyła.

Oczy nadal ma zamknięte, między brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka, jak gdyby Adriana usiłowała się skoncentrować. Zmarszczka pogłębia się, a dyktanda znów podskakują. Tym razem ciśnienie powietrza sprawiło, że kartki zatrzepotały.

Zszokowana, głośno wciągam powietrze i zatrzymuję je w płucach. Adriana otwiera oczy.

– Co znowu? – pyta poirytowana.

– Nic... nic takiego. – Nadal wbijam wzrok w stos zeszytów, który teraz leży krzywo.

– Dziewczynki, nie wyjdziecie przewietrzyć mózgow przed następną lekcją? – Mette odwraca się z uśmiechem i wkłada dyktanda do torby.

Gdy ostatnia szansa na poprawienie błędu ginie w czeluści torby, Adriana się kurczy.

– Tak – bąkam – już idziemy.

Po przerwie mamy wuef.

Wpadłam z tego powodu w panikę dopiero w szatni, gdy wyjęłam mój wielki pomarańczowy T-shirt i szare dresowe spodnie taty. Dlaczego nie wzięłam czegoś ładniejszego?

Ale to nawet nie ubrania są moim największym problemem. Problemem jest to, co pod spodem. Aktywność fizyczna nigdy nie była moją silną stroną, a teraz na dodatek pojawiło się dwoje nowych widzów cotygodniowych pokazów braku koordynacji ruchowej Emi. Mój wewnętrzny motyli wdzięk nigdy jeszcze nie wydawał się tak nierzeczywisty.

Patrzę na jaskrawy T-shirt, który trzymam w rękach. Mogłabym udać, że jestem chora. Może nawet pójść do toalety i wsadzić palce do gardła, tak żeby inni słyszeli, że to prawda.

– Masz pożyczyć dezodorant? – pyta obok mnie Pi. – Zapomniałam swojego, a jeśli nie użyję dezodorantu, śmierdzą jak zgniły ser. – Pi uśmiecha się do mnie, ubrana tylko w czerwony stanik i majtki z Hello Kitty.

– Eee... tak, jasne – bąkam, skrępowana bliskością jej półnagięgo ciała. Wydobyłam z torby mój roll-on i podałam jej.

– Dzięki. – Pi odkręca nakrętkę i kilka razy zwilża kulka pachy.

Mam nadzieję, że kulka nie pachnie zbyt mocno moim potem.

Pi wyjęła ze swojej torby sportowy stanik i odpina ten zwyczajny, a ja pospiesznie odwracam się do niej plecami i ściągam przez głowę sweter.

Teraz nie mam już właściwie odwrotu. Muszę tylko nałożyć grubą warstwę dezodorantu i spróbować nie pocić się na tyle intensywnie, żeby musieć potem brać prysznic.

Rozplotłam warkocz i sznurując adidas, obserwuję Pi przez firankę luźno zwisających włosów. Moje krytyczne spojrzenie artystki analizuje jej ciało, wędruje po smukłych udach, gładkiej skórze brzucha i dobrze wytrenowanych mięśniach pleców.

Piersi pod sportowym stanikiem są idealne, ani za duże, ani za małe.

Inne dziewczyny patrzą na nią z zaciśniętymi ustami i zmarszczkami goryczy na czole. Zazdrość jest wyraźna w sposobie, w jaki wciągają swoje sflaczałe brzuchy i usiłują ukryć za rącznikami uda ze skórka pomarańczową. Nawet Adriana, która niczego nie musi ukrywać, nie może powstrzymać się od przyglądania się Pi.

Pi wkłada krótkie szorty koloru lila z lśniącego materiału i ciasny, zielony top. A potem ujarzmia swoje płomienne dredy gumką i uśmiecha się do mnie.

– No, jesteś gotowa? – pyta.

Nigdy jeszcze nie byłam mniej gotowa. Mimo to kiwam głową i idę za nią do sali

gimnastycznej.

Chłopcy już tam są. Noa gra w piłkę nożną z garstką chłopaków, typowe kółko „próbuj-tak-mocno-jak-potrafisz”, w czym tylko chłopcy widzą coś fajnego. Rzucając się na piłkę, Noa się nie hamuje. Skronie ma wilgotne od potu, ale nie jest zdyszany.

Choć widziałam już jego tatuaż, ukradkiem mu się przyglądam. Podobnie jak reszta klasy. Ale chyba tylko mnie rozpraszają poruszające się pod tatuażem mięśnie ramion.

Noa ma tak samo smukłe nogi i zwinne ruchy jak Pi, ale moje artystyczne spojrzenie ma problem z analizowaniem jego ciała na chłodno, tak jak to było w przypadku jego siostry. Czarne treningowe spodnie są luźne, a mimo to ukazują więcej niż codzienne dzinsy, a T-shirt bez rękawów pozostawia niestety zdecydowanie mało miejsca wyobraźni. Ciało ma bardziej umięśnione, niż myślałam.

Jego twarz nie jest klasycznie piękna, jak twarz Albana.

Nos dość spiczasty, jeden kącik ust wzniesiony nieco wyżej od drugiego, nawet gdy się uśmiecha. Dwa piercingi w wardze nadają mu wygląd dzikiego zwierza.

Noa nie jest też typowym... przystojniakiem. Wiem, jacy są przystojni ludzie. Jak się poruszają, gdy sami wiedzą, że są przystojni. Pewność siebie przejawia się w szczegółach. W sposobie, w jaki odrzucają zasłaniające oczy włosy albo odchylają głowę do tyłu, śmiejąc się. To, że nie boją się spotkać spojrzenia innych ludzi. Wiedza, że można osiągnąć niemal wszystko za pomocą uśmiechu, daje poczucie pewności siebie.

Ale Noa nie próbuje niczego osiągać za pomocą uśmiechu, bo prawie nigdy się nie uśmiecha. A jego prowokująca pewność siebie nie ma źródła w wyglądzie. To jego wygląd ma swoje źródło w pewności siebie. On ma odwagę być inny. I w jakiś sposób to właśnie czyni go pociągającym.

Obserwuję, jak przeczesuje palcami wilgotne włosy, całkowicie pochłonięty grą w piłkę. Nie rejestruje licznych spojrzeń dziewcząt przyklejonych do ruchu jego ręki.

Może tylko mnie tak dziwnie zaczarował. Może one gapią się tylko dlatego, że jest tak bardzo inny. Czarny w czarnym, nieprzewidywalny.

Chyba rzeczywiście powinnam po prostu wziąć się teraz w garść.

Odwracam wzrok od Noa i patrzę na Pi. Zanim weszliśmy do sali gimnastycznej, pobiegła do toalety zamienić swoje robione na drutach rękawiczki bez palców na podobne zamszowe, takie jakich używają żeglarze i rowerzyści, identyczne z tymi, które ma na rękach Noa.

Ich dłonie wydają się trochę grubsze pod jasnym zamszem, ale tylko jeśli się przypatrzeć. Moje własne, całkowicie widoczne bandaże zdają się przy nich ogromne.

Nasz nauczyciel gimnastyki, Torben, ostrzyżony na jeża mężczyzna z wąsem, po czterdziestce, o nienaturalnie napiętych pośladkach, zagwizdał w gwizdek, który ma zawieszony na szyi.

– Okey, dziewiąta! – ryczy jak jakiś sierżant. – Czas na koszykówkę!

Z mojej twarzy odpływa krew. Dla ludzi o poranionych dłoniach koszykówka to zaraz po piłce ręcznej absolutnie najgorszy sport.

– A może piłka nożna? – odzywa się Pi.

Torben patrzy na nią zdumiony.

– ... piłka nożna?

– Tak, człowiek więcej się rusza. A skoro mamy tylko dwie godziny gimnastyki w tygodniu, to powinniśmy trochę się spocić. Mam rację? – Pi patrzy na niego z niewinnym uśmiechem.

– Mmm... no tak, masz rację. Faktycznie od dawna nie graliśmy futbolu – mówi Torben bez

przekonania.

Pi mruga do mnie, idąc z nim po bramki.

Uff... ratunek w ostatniej chwili.

Uczucie ulgi utrzymuje się jednak tylko przez kilka sekund pierwszej połowy. Zapomniałam, że sporty kontaktowe są śmiertelnie niebezpieczne, gdy ma się w klasie takiego Jonatana.

Jestem w jednej drużynie z Noa i Jonatan wykorzystuje każdą szansę, żeby spróbować nas zniszczyć ostrymi dryblami i silnymi strzałami, których całkiem świadomie nie kieruje do bramki.

To znaczy, próbuje m n i e zniszczyć, bo Noa dzięki swojej giętkości nindzy i błyskawicznemu refleksowi robi uniki przed jego wypadami, o jakich ja, Bóg wie który raz padając niezdarnie na podłogę, mogę tylko pomarzyć.

Adriana stoi z boku i ma grać rolę sędziego, ale częściej niż na piłkę, patrzy w swój iPhone. Jej matka najwyraźniej pociągnęła za sznurki i udało jej się częściowo zwolnić Adrianę z wuefu, żeby uratować gwiazdkowy koncert.

– Emi, uważaj! – woła Noa tuż obok mnie, dzięki czemu odwracam się na tyle szybko, żeby zobaczyć Jonatana przymierzającego się do jeszcze jednego śmiertelnie niebezpiecznego strzału w moim kierunku. Pochyliłam się i słyszę przerażony pisk Adriany, gdy piłka przemknęła nad moją głową i poleciała w jej kierunku.

Zaciskam powieki w oczekiwaniu na silne uderzenie, ale zamiast tego rozlega się tylko delikatny odgłos, jak przy muśnięciu czubkami palców białej skóry piłki.

Gdy się prostuję, piłka natychmiast trafia mnie w kark. Ciemnieje mi w oczach i turlam się do przodu, pod powiekami migocze mi połowa Leonidów.

Trafiam czołem w coś twardego, w muskuły i kości za błoną tkaniny. Lądując na podłodze, poczułam pod sobą parę obcych nóg.

Nagle zaświdrował mi w nosie zapach dezodorantu, którego używa Noa, i desperacko chwytam powietrze, chcę się podnieść, ale w czasie upadku jego kolano trafiło mnie w brzuch, więc łatwiej pomyśleć o wstaniu, niż wstać.

Noga znika, a ja wciąż nie mogę złapać oddechu. Nagle poczułam wokół nadgarstka silne palce.

Noa stawia mnie na nogi i przez pół sekundy stoimy tak blisko siebie, że dzielimy swoje oddechy. Jego, zdyszany, pachnie miętową gumą do żucia.

Szybko cofam się o krok.

– Dzięki – bąkam.

Noa nie odpowiada. Patrzy ze zmarszczonymi brwiami na Adrianę, a potem rusza z powrotem do naszej bramki, z której jeden z pozostałych chłopców wyłowił piłkę.

Piskliwy dźwięk gwizdka przedziera się między zębami.

– Jeszcze dwie minuty! – woła Torben.

Noa odbiera piłkę jednemu z naszych przeciwników i drybluje, mijając w drodze do bramki dwóch innych.

– Do mnie! – woła Pi po jego lewej stronie i macha ramionami.

Noa rzuca okiem na piłkę i przez moment się waha. A potem kopie ją z taką siłą, jak gdyby chciał przestrzelić bramkę, rozwalić drabinki i ścianę.

Ale piłka skręca i zamiast do jego siostry, leci w kierunku Adriany, która znowu sobie odpuściła chałturę sędziny i dłubie przy paznokciu.

– Adriana! – ryczy Noa i Adriana gwałtownie podnosi głowę.

Piłka leci w jej kierunku. Adriana unosi przed sobą skrzyżowane ramiona z odwróconymi na zewnątrz dłońmi, żeby ochronić twarz.

Widzę to tylko dlatego, że stoję zupełnie na skraju linii gry.

Ale piłka nie trafia celu. Łuk jej lotu ostro wygina się w górę i wali w drabinki tuż nad skulonym ciałem Adriany, a potem odbija się z powrotem na salę.

– Co ty wyprawiasz? – woła piskliwie przerażona Adriana.

– Sorry – mówi Noa, podnosząc piłkę. Jego wzrok jest jeszcze bardziej świdrujący niż przedtem, a brwi tworzą pod wilgotną, czarną grzywką ciemną literę V.

Gwizdek Torbena kończy mecz i Noa rzuca piłkę do pojemnika.

Podążam oczami za jego lśniącym od potu karkiem, gdy znika za drzwiami do męskiej szatni.

Po oglądaniu go grającego przez prawie godzinę futbol, wiem, że ma więcej niż dobre oko do tej gry. W przeciwieństwie do mnie trafia w to, do czego celuje.

Świadomie kopnął piłkę w kierunku Adriany.

ROZDZIAŁ 23

Tak długo zajęło mi mycie się etapami w łazience przy szatni, z workami na śmieci wokół dłoni, że zdążyłam na lekcję angielskiego tuż przed jej rozpoczęciem.

Osuwam się na krzesło, a Janus już rozdaje kartki z roboczymi pytaniami.

Noa dłubie przy czarnych nitkach rękawiczki, która zaczęła się pruć przy kciuku. Przez dziurkę widać biały bandaż. Noa zdaje się całkowicie pochłonięty tym zajęciem, bo gdy usiadłam, nie podniósł wzroku.

Nim zdążyłam go spytać, co tak dokładnie wydarzyło się na wuefie, Janus podszedł do tablicy i odwraca się do klasy.

– *Allrighty*⁴⁷! – Zamachał jedną z kartek, które mu zostały. – *I want you to discuss these questions with the person next to you. You've got fifteen minutes, and then we sum it up together. Ready, set, go!*⁴⁸

Piętnaście minut dialogowania po angielsku z Noa! Jakby nie wystarczyło upokorzenie na poprzedniej lekcji! Wyjęłam z torby mój *Brave New World* i odwróciłam się do niego.

– Też to widziałaś? – pyta cicho.

– Co? – Włosy stają mi dęba na karku, ale próbuję udawać, że nie wiem, o co chodzi.

– To, co Adriana zrobiła z piłką. Zmieniła jej tor. – Noa bada moją twarz w poszukiwaniu reakcji, która szaleje w moim wnętrzu.

On też to zauważył. Nie tylko ja.

– Jak ona to zrobiła? – szepcze, a razem z nim głos w mojej głowie.

Spoglądamy oboje na Adrianę zajętą rozmową z Pi.

Wzruszam ramionami, próbuję zmusić do współpracy rozsądek.

– Na pewno tylko nam się zdawało.

– Za pierwszym razem też tak myślałem. – Noa nie zdejmuje wzroku z Adriany. – Ale za drugim, gdy kopnąłem piłkę w jej stronę, patrzyłem za nią. Jestem absolutnie pewien, że zmieniła bieg. Ona to spowodowała.

– Ale jak? – pytam.

– Nie mam pojęcia. – Noa jeszcze bardziej ścisza głos i pochyla się ku mnie, żeby coś dodać, gdy na ławkę pada cień.

– *Which question are you two discussing*⁴⁹? – pyta Janus.

Nie ruszył się z miejsca, dopóki nie wydukałam kilku zdań po angielsku. Przez resztę lekcji chodził w pobliżu naszej ławki, więc nie mogliśmy dalej rozmawiać, ale pytania nieprzerwanie wydobywały się na powierzchnię, jak bąbelki.

Czy ja nadal śnię, czy po prostu wszystko przestało racjonalnie funkcjonować?

Najpierw Noa, a teraz też Adriana?

Jeśli ja sama wymyśliłam Noa, to jest to niezłe surrealistyczne, że jak wszystko na to wskazuje, efekt mojej halucynacji sam zaczął mieć halucynacje.

Czy ona naprawdę spowodowała zmianę toru lotu piłki? A dyktanda?

Sny o osobach, przedmiotach i miejscach z przyszłości, to jedna rzecz. Ale sprawianie, że

przedmioty się ruszają, to co innego. I jedno, i drugie brzmi jak z komiksów, które czyta Noa. I ani z jednym, ani z drugim wolałabym nie mieć do czynienia.

– Musimy porozmawiać – mówi Noa, gdy skończył się angielski. Była to ostatnia lekcja, więc wszyscy spieszą się do domu.

Noa zarzuca na ramię swój czarny plecak i patrzy na mnie wyczekująco.

Zerkam na Pi, która wciąż rozmawia z Adrianą. Czy on nie ma zamiaru iść razem z siostrą?

– Możemy gdzieś być sami? – pyta, i zdanie to przeszywa mój kręgosłup lekkim prądem elektrycznym.

Kiwam głową.

– Większość klas ma już wolne. Możemy... możemy poszukać jakiejś sali.

Cieszę się, że po wufie nie oszczędzałam dezodorantu.

– Okey. – Noa robi krok w bok, żeby pozwolić mi przejść i wskazywać drogę.

Prowadzę go do korytarza młodszych klas, który teraz jest już na pewno pusty. Nasze kroki dudnią, gdy przechodzimy przez aulę, a ja nie mogę już dłużej powstrzymać ciekawości.

– O czym chcesz rozmawiać?

Noa rozgląda się, żeby się upewnić, że w pobliżu nikogo nie ma.

– Tylko nie myśl, że zwariowałam, ale...

– Aaa, tu jesteś! – Resztę zdania zastąpił zasapany głos i kroki nadbiegającego za nami Linusa.

– Nie skończyłaś lekcji godzinę temu? – pytam.

– Tak, ale czytałem książkę o mechanice kwantowej i zapomniałem o czasie. Odlotowa! – Linus uśmiecha się, wyraźnie nieświadomy tego, że nam przerwał.

Czy nie mógłby chociaż raz być zwyczajnym uczniem ósmej klasy wychodzącym do domu razem z innymi?

– Szukałem cię – mówi. – Nie odpowiedziałas na mojego esemesa, a kiedy dzwonię, od razu włącza się sekretarka. Twoja komórka wciąż nie działa?

Kręcę głową, choć w gruncie rzeczy nie próbowałam jej włączyć, odkąd mi siadła w kuchni.

– Nie. Jaki esemes?

– Dzwonił Alban i prosił, żebym sprawdził, czy Jonatan czegoś nie kombinuje. Od rana spadło więcej śniegu. Uważa, że powinniśmy iść do domu inną drogą.

Typowe dla Albana, pomyśleć o czymś takim! Ale teraz, w obecności Noa, odbieram to trochę jak opiekę ojcowską.

– Jonatan uciekł z angielskiego. Nie wiem, gdzie jest.

– Ale ja wiem – mówi Linus. – Schował się z Casprem i Mathiasem za żywopłotem przy głównym wejściu, z największym w świecie stosem śniegowych kul. Widać ich z okna na górze, z gabinetu fiz-chem. Powiedziałem reszcie waszej klasy, żeby wyszli tylnym wyjściem.

Noa rzuca mi szybkie spojrzenie.

– Powinienem powiedzieć o tym Pi i Adrianie. Możemy... pogadamy później, dobra? – Rusza biegiem z powrotem, zanim zdążyłam się odezwać.

Linus patrzy za nim zdeorientowany.

– O co chodzi?

– Eee... nie mam pojęcia.

W jednej chwili ma zamiar wtajemniczyć mnie w jakieś szaleństwo, a w następnej pędzi galopem ratować przed strasznym losem panienki. Najwyraźniej robi to regularnie.

– Okey, idziesz do nas pograć w *Tekken*? – pyta Linus.

– Chciałabym, ale muszę... jestem umówiona.

– Z Albanem?

– Nie. – Zazwyczaj jednosylabowe odpowiedzi dość szybko kończą niechciane rozmowy.

Nie byłam konkretnie umówiona z Noa, ale w każdym razie nie miałam zamiaru grać w grę komputerową i zmarnować swojej szansy.

– Ach tak? – Jest jasne, że Linus oczekuje wyjaśnienia. Gdy nie nadeszło, sam zaczyna się go doszukiwać. – Idziesz do domu?

– Tak. – Ruszam w kierunku wyjścia, bo nie wiem, co innego wymyślić.

A jeśli Noa nie wróci i będę po prostu sterczała w tej auli?

– Gdybym był tobą, wyszedłbym tylnym wyjściem – informuje mnie Linus.

Bez słowa zmieniam kierunek.

Przypomniaki mi się szybujące dyktanda i piłka, która ześliznęła się po niewidzialnej tarczy przed Adrianą.

Linus coś mówi za moimi plecami.

– Co? – Patrzę na niego zdezorientowana.

– Pytam, czy coś się stało. Jesteś jakaś... dziwna.

– Po prostu bolą mnie ręce – mówię, nie patrząc mu w oczy. – Nie wzięłam z domu pastylek.

Miałam ochotę o wszystkim mu opowiedzieć, żeby jego miazdząca logika mogła mnie uspokoić. Chciałabym, żeby przeanalizował wszystko krok po kroku i na koniec zaprezentował naturalne wytłumaczenie faktu, że mam uczucie, jakby moja rzeczywistość się rozpadała.

Linus nigdy by się ze mnie nie śmiał. Dla niego nie istnieją głupie pytania i nic nie jest zbyt dziwne, żeby się temu dziwić.

Ale nie mogę. Nie wiedziałabym, jak zacząć. Pewne rzeczy są zbyt absurdalne, żeby o nich opowiadać.

Trzeba je przeżyć. Zobaczyć.

Jesteśmy już blisko tylnych drzwi, gdy dogania nas Pi.

– Noa mówił, że chcecie ze mną pogadać – mówi zdyszana.

– Mmm... tak? – Wymieniam się spojrzeniem z Linusem.

– A nie? – Idąc, Pi wkłada swoją puchową kurtkę koloru neonowej zieleni.

Linus otwiera drzwi.

– Nie mówił ci, że Jonatan ze swoimi goryłami zaczął się na podwórzu z masą śnieżek? – pytam.

– Nie. – Pi zatrzymuje się, Linus i ja też.

– To gdzie oni są, Noa i Adriana? – W moim brzuchu nagle ląduje mała, twarda śnieżka.

– Idą do biblioteki. Noa chciał, żeby mu coś pokazała.

Żeby dostać się do biblioteki, trzeba przejść przez podwórze szkolne.

– Musimy ich zatrzymać! – woła Linus, puszcza drzwi i rusza biegiem do głównego wejścia.

– Ale naprawdę... to przecież tylko śnieżki! – próbuje go zatrzymać Pi.

– To nie tylko śnieżki, gdy chodzi o Jonatana – mówię i biegnę za Linusem.

Co znów wymyślił Noa?

Gdy skręciłam za ostatnim rogiem i widzę już duże przeszklenia wejścia, słyszę, że Pi biegnie za mną.

Noa i Adriana już byli na dworze, w drodze do biblioteki.

Nad przysypanym śniegiem żywoplotem spostrzegam czubek czapki Jonatana.

Noa śledzi ją uważnym spojrzeniem, ale Adriana coś mówi, zdaje się, że nie zauważa czającej się katastrofy.

Linus dotarł już do drzwi wejściowych. Gdy złapał za klamkę, w ramię Noa trafia pierwsza śnieżka.

Po chwili kule śmigają już na całego, Adriana zaczyna krzyczeć i chowa głowę w ramionach.

Nie ma wątpliwości, że Jonatan rzuca tylko w Noa, Casper i Mathias natomiast miotają, jak popadnie. Żaden nie jest szczególnie dobry w trafianiu do celu, ale Noa i Adriana znajdują się tak blisko żywopłotu, że większość śnieżek i tak ich dosięga.

Widzę, że Noa coś do niej mówi, ale tylko się skuliła i przykucnęła z uniesionymi barkami.

Linus waha się w otwartych drzwiach, ja stoję za nim.

Noa znów coś mówi i tym razem słyszę jego słowa.

– Odrzuć je, Adriana. Po prostu je odrzuć!

Dlaczego nie uciekają do środka?! Moglibyśmy zamknąć drzwi na zamek i nie wpuścić Jonatana!

Noa osłania się przed śnieżkami rękoma i przedramionami, nie spuszczać oka z Adriany.

– Odrzucaj je! – powtarza. Śnieżka rzucona przez Jonatana trafia go z głośnym plaśnięciem we wnętrze dłoni. Noa wykrzywia z bólu twarz i wydaje z siebie na wpół zduszony dźwięk, za sprawą którego Adriana podnosi na niego oczy zza swojego pancerza z ramion.

Nie widzę, kto rzucił następną śnieżkę, ale trafia Adrianę w głowę.

Adriana krzyczy i upada na kolana, przyciskając dłonie do twarzy.

Jonatana i jego dwóch kompanów najwyraźniej tak nakręca adrenalina, że tego nie zauważyli, bo bombardują dalej.

– Stop! Przestańcie, do diabła! – woła Noa w kierunku żywopłotu i staje przed Adrianą, żeby ją zasłonić.

Ale to tak rozpala Jonatana, że zaczyna rzucać obiema rękami.

Trzech na jednego z bliska... temu nie jest w stanie sprostać nawet błyskawiczny refleks Noa. Białe ręczne granaty spadają na niego jak grad i wkrótce włosy i ubranie ma całkowicie oblepione śniegiem.

Nagle coś w niego wstąpiło. Pochyliła się, przygarnia do siebie garść śniegu, robi z niego kulę i z impetem rzuca ją w kierunku Jonatana.

Kula huknęła Jonatana w okryte czapką czoło, a tymczasem inna, rzucona przez Caspra, omija Noa i leci w kierunku Adriany. Adriana zauważa ją i unosi ręce, żeby się bronić.

W mój mózg wpija się uczucie *déjà vu*: kula napotyka na niewidzialny mur przed Adrianą i szybuje z powrotem nad żywopłot.

Linus się wzdryga.

– *What the fuck*⁵⁰? – szepcze Pi.

Kula trafia Jonatana między oczy, a on podskakuje z wrzaskiem i rzuca się przez bezlistny, oprószony śniegiem żywopłot.

Noa wpatruje się w Adrianę szeroko otwartymi oczami. I reaguje o pół sekundy za późno, żeby zrobić unik przed ubraną w rękawicę pięścią Jonatana, która trafia go w usta. Cios odrzuca jego głowę do tyłu i na śnieg spada czerwony prysznic.

– To nie on rzucił! – wrzasnęłam, zanim zdążyłam pomyśleć. – To nie on!

Jonatan nie usłyszał, a może mnie ignoruje.

Wymierza pięścią jeszcze jeden cios w szczękę Noa, który z odchyłoną na bok głową waha się do tyłu, walcząc o odzyskanie równowagi.

On go zabije, zabije Noa!, przemknęło mi przez głowę.

– Stop! – krzyczę tak głośno, że załamuje mi się głos. Przeciskam się koło Linusa i wybiegam na podwórze. – Stop! – wołam znowu, tym razem bliżej nich.

Jonatan na ułamek sekundy opuszcza zaciśnięte pięści, co wystarczyło, żeby Noa mu oddał.

Nie to było moją intencją.

– Dosyć już! Ty też, Noa! – Zbieram się na odwagę, żeby stanąć między nimi, gdy na podwórzu rozlega się grzmiący, niski głos.

– Co tu się dzieje? – Janus kolejny raz materializuje się z nicości. Robi kilka długich kroków i twardą ręką chwyta Jonatana za ramię, żeby go zatrzymać. Jak na mężczyznę o tak cienkich kończynach, ta siła jest zdumiewająca.

Noa sprawia wrażenie, jak gdyby chciał przyłożyć Jonatanowi jeszcze raz, ale w ostatniej chwili się rozmyśla. Z nosa leje mu się krew, na przodzie skórzanej kurtki już zostawiła lepka plamę. Zdyszany, miota dzikim spojrzeniem na zmianę to na Adrianę, to na Jonatana i Janusa.

– Co wy wyprawiacie? – pyta Janus. – Bitwa na śnieżki nie oznacza, że trzeba się bić, chłopaki!

Unieruchomiony jego żelaznym chwytem, Jonatan patrzy na Noa morderczym wzrokiem.

– Słuchaj no, Jonatan – mówi Janus. – Teraz cię puszczę. I chciałbym, żebyście sobie podali ręce.

– Może pan o tym zapomnieć! – rzuca Jonatan.

– W przeciwnym razie będę musiał zaraportować dyrektorowi – mówi Janus z powagą. – Albo uścisk rąk, albo list do rodziców. Sami zdecydujcie.

Noa zawahał się, a potem z kamienną twarzą wyciąga rękę do Jonatana.

Jonatan wyrwał się Janusowi i przez kilka długich sekund wpatruje się złowrogo w Noa. Po chwili mocno ścisnął mu rękę, a ja poczułam ból niemal tak wyraźnie, jak gdyby to moją własną dłoń zmiażdżyła do niepoznania jego wielka łapa.

Powieki Noa zadrżały, ale nic nie powiedział.

Jonatan szarpnięciem cofa rękę i wraca do schowanych za żywoplotem Caspra i Mathiasa.

– Dobrze – mówi Janus. – I więcej nie chcę was widzieć bijących się. Następnym razem polecicie prosto do sekretariatu. Jasne?

Jonatan zamiast odpowiedzi kiwnął tylko z wściekłą miną swoim giermkom i teraz wybywają razem z podwórza.

– Jasne – mówi Noa. Krew na jego twarzy maluje makabryczny kontrast z oklejonymi śniegiem włosami i odzieżą.

– Krew ci leci z nosa – informuję podłamana.

Noa podniósł rękę do twarzy i wydaje się zaskoczony widokiem krwi na palcach. Patrzy na swoje ubranie. Śnieg oblepiający jego T-shirt jest czerwony już przy linii wycięcia na szyję.

Janus pomaga Adrianie wstać. Adriana szlocha, nie odejmując rąk od twarzy.

– Chodź, wejdziemy do środka i zobaczymy, co się stało – mówi Janus łagodnie i prowadzi ją do głównych drzwi.

Linus i Pi wymijają ich, opuszczając podwórze. Nie mogą oderwać oczu od Adriany.

Linus patrzy na pokrwawioną twarz Noa. Sprawia wrażenie, jakby sam ze sobą dyskutował.

– Nie macie przypadkiem w domu zwierząt? – pyta.

–*What*⁵¹? Nie, do cholery – rzuca Noa poirytowany. – Co to do diabła ma do rzeczy?

– Mama jest uczulona. Ale jeśli nie macie zwierząt, to możesz pójść do nas, umyć się i zmienić T-shirt.

– Nie trzeba. Mieszkamy niedaleko. – Noa ściera krew i stopiony śnieg z górnej wargi wierzchnią stroną dłoni, żeby nie przemoczyć rękawiczki i bandaża.

– Z tą twarzą na tyle daleko, żeby wystraszyć połowę miasta – wtrąca się Pi.

– My mieszkamy o, tu. – Linus wskazuje na drugą stronę ulicy. – Możesz pożyczyć T-shirt od Albana.

Noa nie wygląda na zachwyconego.

– Okey – mówi. – Ale tylko się umyję. Chyba dam radę bez przebierania się. Mogę to po prostu splukać.

Całą trójką ruszają przez szkolne podwórze.

Na śniegu została czarna czapka Noa. Podnoszę ją. Musiała mu wypaść z plecaka. Po kilku sekundach niezdecydowania idę za nimi.

– Nie miałś jechać do domu? – pyta Linus.

Bąkam coś, że się nie spieszy. Linus spojrzał nieufnie na czapkę Noa w mojej ręce, ale ja udaję jak gdyby nigdy nic.

Nie potrafię po tym wszystkim tak po prostu pojechać do domu. Muszę porozmawiać z Noa. To ważniejsze niż kiedykolwiek.

I muszę się dowiedzieć, czy Pi i Linus widzieli to samo, co ja.

ROZDZIAŁ 24

– Jestem! – woła Linus, otwierając drzwi. – Mamy gości.

W salonie dają się słyszeć kroki i w drzwiach do przedpokoju ukazuje się Alban w stroju treningowym: czarnych spodniach i szarym T-shircie ciemnym od potu pod pachami i w kształcie litery V na piersi.

– Goście? – pyta zdyszany, pocierając się po szczęce z wyrazem cierpienia na twarzy. Od czasu do czasu, gdy trenuje naprawdę ostro, tak bardzo się koncentruje, że zdarzają mu się napięcia mięśni szczęki.

– Emi, Noa i Pi – mówi Linus, wieszając kurtkę.

– Noa miał małą... mmm... kolizję z Jonatanem. Więc przed powrotem do domu skorzysta tylko z łazienki. Moje T-shirty chyba nie będą na niego pasowały. Może pożyczyć jakiś od ciebie?

Alban unosi brwi. Ten ruch sprawił, że po jego skroni spływa kropla potu.

– Eee... tak...

– Ale ja nie potrzebuję... – odzywa się Noa, lecz Linus już ruszył do pokoju Albana.

– Co się stało? – pyta Alban, wciąż trzymając rękę na szczęce.

– Miałeś rację z tymi śnieżkami – mówię. – Jonatan zrobił na podwórzu niezły sajgon.

– Linus nie zdążył cię złapać?

– Zdążył. – Spoglądam na Noa. Pi też na niego patrzy.

– No to co się stało? – pyta Alban.

Linus wrócił z T-shirtem, tym fioletowym, w którym najbardziej lubię Albana. Noa ma wyraz twarzy, jak gdyby zobaczył trykot ze złotymi cekinami, ale wręczając mu go, Linus ani mrugnął.

– Nie wyszliście tyłem, jak proponowałem? – naciska Alban.

– Nie – przyznaję.

Alban opuścił rękę. Gdy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, spostrzegłam, że ma z boku szczęki dużą, czerwonosiną plamę.

– Alban, co się stało? – pytam przestraszona. – Uderzyłeś się?

– Nic takiego. Dlaczego szliście przez podwórze?

W jego głosie pobrzmiwa ostry ton.

Noa wziął do ręki T-shirt i skrzywił się. Może z powodu koloru, może w reakcji na pytanie Albana.

– Musiałem coś sprawdzić.

– Więc ty wiedziałeś, że to się tam szykuje? – Linus patrzy na niego zdumiony. – To dlatego brnąłeś przez to podwórze z Adrianą?

– Wiedział, że c o się szykuje? – pyta Alban.

Noa waha się.

– Mmm... – zaczyna Linus – to było... Jonatan i jeszcze dwóch z dziewiętej zaatakowali kulkami Noa i Adrianę. I nagle Adriana zrobiła coś takiego, że kulka... eee... poleciała na nich z powrotem. I w ogóle jej nie dotknęła.

– Co?!

– Wy też to widzieliście, no nie? – Linus obrzuca spojrzeniem Noa, Pi i mnie. Wszyscy potakujemy.

– To wyglądało tak, jakby kula trafiła w tarczę, która ją odbiła – wyjaśniam.

– Jak w telekinezie – dodaje Linus. W jego ustach brzmi to jak jakaś super umiejętność. Coś nie z tego świata.

– Ale przecież to niemożliwe – mówi Alban. – Dobrze wiecie, że to niemożliwe. Gdyby ktoś inny mi o tym powiedział, też bym to od razu odrzucił. To jasne, że coś takiego nie może się stać w rzeczywistości.

– Ale się stało – upiera się Noa. – I to samo zrobiła na wuefie z piłką. Dwa razy. Tylko wtedy nie byłem pewien, czy dobrze widziałem. Więc musiałem to sprawdzić.

– Wystawiając ją na potężny ładunek śnieżek w rękach największego psychopaty w szkole – dodaje twardym tonem Alban.

– Spontaniczna decyzja. Po prostu nie miałem czasu, żeby to przemyśleć!

– No tak, najwyraźniej nie miałeś.

– Do diabła, to nie jest najważniejsze! – Noa wymachuje ramionami, aż na podłogę prószy na w pół stopiony, krwawy śnieg. – Najważniejsze jest to, że dziewczyna z waszej szkoły najwyraźniej potrafi wyczyniać jakieś pieprzone dziwadła i nie jest tego świadoma!

– A dlaczego tak bardzo cię to interesuje? – pyta Alban.

Zaciska usta, jak gdyby to jego Noa nazwał pieprzonym dziwadłem.

Noa opuszcza ramiona.

– Dlaczego mnie to interesuje? – Robi krok w kierunku Albana, który wyczuł ruch i zeszywniał, wciąż stojąc w drzwiach. – Hm, właściwie nie wiem. Może dlatego, że nie potrafisz tak po prostu zaakceptować, że coś jest dziwne, nie szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego?

– Noa – odzywa się Pi.

– Łazienka jest tam – mówię szybko i wskazuję na drzwi – jeśli chcesz splukać plamy. Pospiesz się, żeby nie zaschły.

Noa zatrzasnął z hukiem drzwi do łazienki, pozostawiając w przedpokoju niezręczną ciszę.

– Wejdz, Pi. – Alban zmusza się do uśmiechu. – Ty też, Emi. I tak już kończyłem. – Odwraca się i wchodzi do salonu.

– Kończyłeś co? – pyta Pi. Zatrzymuje się, widząc na podłodze bieżnię.

– Codzienny spacer w parku. – Alban odstawia bieżnię pod ścianę obok sofy.

– Biegasz? – Pi wydaje się zaskoczona. Podobnie jak większość ludzi, kiedy odkrywają, że niewidomi mogą robić więcej, niż tylko ostrożnie dreptać za swoim kijem.

– Tak, biegam – potwierdza Alban. – Codziennie, jeśli tylko znajdę czas. A jeśli nie, to po prostu trochę trenuję siłowo.

– Super! – Pi rozjaśnia się w szerokim uśmiechu. – Fajnie mieć taką dyscyplinę. Ja muszę mocno brać się w garść, żeby ruszyć tyłek. Jeśli udaje mi się pobiegać co drugi dzień, to mam dobry tydzień.

Pi nie mówi, że to niesamowite, że Alban biega, skoro jest niewidomy, tym tak dobrze mi znanym, pełnym podziwu, ale i trochę współczującym tonem, który pojawia się w reakcji na wszystko, co robi Alban. Pi nie traktuje go jak upośledzonego, tylko jak całkiem normalną osobę, z którą dzieli zainteresowania.

To jest nieoczekiwane, i całkiem *cool*. A mimo to odrobinę mnie wkurza.

– Najważniejsze, żeby w ogóle zacząć. Każdy ma swoje potrzeby i swój rytm – mówi Alban

dypłomatycznie i odwzajemnia uśmiech, który usłyszał w głosie Pi.

Pi szacuje go wzrokiem.

– Powinna być się domyślić. Masz ciało trochę za bardzo wytrenowane, żeby zawdzięczać to wyłącznie genom. Takich bicepsów nie dorabia się człowiek, śpiąc. – Śmieje się. – I poruszasz się jak biegacz. Zwłaszcza kiedy nie używasz laski.

Frostmourne stoi w przedpokoju. Nie jest konieczny w domu, gdzie Alban z dokładnością do centymetra zna odległości i położenie mebli.

Alban chrząka zażenowany, jak gdyby wyczuwał spojrzenie Pi.

– Jesteście głodni? – Nie czekając na odpowiedź, rusza do kuchni.

Linus, Pi i ja idziemy za nim.

– Zjemy po powrocie do domu – mówi Pi. – Nie musisz...

– I tak przygotowuję coś dla nas. Kilka bułek mniej czy więcej nie robi różnicy. – Alban już znajduje w zamrażarce torebkę razowych bułeczek, które piecze jego mama.

– Okey – uśmiecha się Pi. – Mogę w czymś pomóc?

– Mogłabyś obrać kilka marchewek, a ja rozmrozę bułki. – Alban wskazuje głową na lodówkę obok zmywaka. – Marchewki są w lewej szufladzie na warzywa, a obieraczkę znajdziesz w najwyższej na prawo od zmywaka.

Pi otwiera lodówkę i zaczyna szukać marchewek.

Nasze oczy spotykają się nad otwartą szufladą z warzywami, ale żadna z nas nie mówi nic na temat tego, co się zdarzyło na szkolnym podwórzu.

Linus stoi pochylony nad kuchennym stołem, z opuszczoną głową, zatopiony w myślach. Stuka palcami w blat stołu i mruży coś do siebie, ale nie słyszę, co. Jego kochający logikę mózg pewnie eksploduje od rozmyślenia o tym wydarzeniu.

Alban włączył piekarnik. Palcami rozpoznaje wypukłe oznaczenie 180 stopni na pokrętle i ustawia je na tę temperaturę. Potem pochyła się, żeby w szufladzie pod piekarnikiem znaleźć ruszt do pieczenia.

Pi śledzi go oczami, rozrywając torebkę marchewek, i zaczyna je obierać. Dużo długich, pomarańczowych pasków upada obok zmywaka, ale Pi jest zbyt pochłonięta obserwowaniem Albana, żeby to zauważyć.

Setki razy widziałam go poruszającego się po kuchni, ale teraz patrzę na niego oczami obcej osoby. Jej oczami. Widzę jego spokój i pewność siebie, podczas gdy inni dostrzegliby może tylko bezsilność i ograniczenia.

Alban rozkłada bułeczki szybkimi, dobrze wymierzonymi ruchami, cały czas śledząc czubkami palców brzeg rusztu, żeby się upewnić, że nie trafi obok. Z półki nad głową zdejmuje koszyczek na chleb i wyjmuje z szuflady nóż, który kładzie obok koszyczka. Wreszcie z haczyka obok pieca zdejmuje wielkie rękawice do grillowania i czeka, aż piec się nagrzej.

Długo jedynym odgłosem w kuchni są klikające spotkania obieraczki z marchewkami.

– Jesteście całkowicie pewni tego, co widzieliście? – odzywa się Alban.

– Tak – odpowiadamy chórem.

Alban powolnym ruchem, z wyrażającym koncentrację zmarszczeniem czoła, wkłada rękawice.

– Czy Adriana sprawiała wrażenie, że wie, co robi? – pyta.

– Nie, nie wyglądało na to – mówię. – To nie wyglądało na świadome działanie. Raczej odruch.

Znowu zapada cisza.

Powinam pomagać w nakrywaniu stołu czy znalezieniu w lodówce czegoś do bułek. Coś robić, a nie stać tylko i się gapić. Zdaje mi się, że głowa mi pęknie. Często drażnię się z Linusem, że nie potrafi robić dwóch rzeczy na raz. Że kiedy jedząc, ogląda telewizję, zatrzymuje widelec w połowie drogi do ust, a gdy miesza w garnku albo zmywa naczynia, to nie jest w stanie jednocześnie rozmawiać.

Gdy jego mózg tak się na czymś koncentruje, odcina wszystko inne i musi to działać tak jak u mnie teraz. Mam przed oczami tylko piłki futbolowe i śnieżki i mój mózg cały czas zapomina, jak ruszyć ręką czy nogą.

Piec osiągnął pożądaną temperaturę i z ledwie słyszalnym kliknięciem zgasła czerwona lampka obok pokręta.

Alban otwiera piekarnik i chwyta za środek rusztu, żeby móc unieść go jedną ręką. Drugą, ubraną w rękawicę, znajduje w piekarniku środkową pozycję i ostrożnie wkłada ruszt do środka. Nastawia minutnik, a potem zaczyna układać na tacy talerze jeden na drugim i szklanki. Przedmioty w całym domu mają swoje stałe miejsca, żeby zawsze mógł je znaleźć.

Nagle poczułam słaby zapach miętowej gumy do żucia. Odwracam się. T-shirt jest na Noa nieco luźniejszy niż na Albanie, a fiolet w zestawieniu z dominującą czernią wydaje się krzykliwy. Dziwnie jest oglądać go w ubraniu Albana. Trochę jakby nachodziły na siebie dwa równoległe wymiary.

Odczytanie wyrazu twarzy Noa zajęło mi kilka sekund.

Patrzy na Albana, jakby był pniem drzewa, który nagle zaczął mówić. Niektóre ruchy mojego przyjaciela wyraźnie fascynują oboje bliźniąt, ale w przypadku Noa fascynacji zdaje się towarzyszyć niechęć.

– Hej, Tinky Winky, nie mógłbyś pomóc, zamiast tak stać i się gapić? – Pi rzuca bratu obieraczkę odrobinę gwałtowniej, niż to było konieczne.

Noa chwyta ją w ostatniej chwili, jeszcze ułamek sekundy, a trafiłaby go w twarz. Rzuca na siostrę złe spojrzenie, przeciska się obok niej i zdecydowanymi ruchami zaczyna obierać marchewki.

Pi chichocze za jego plecami, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie, chwyta tacę z naczyniami i rusza do salonu.

– Gdzie jest miska do marchwi? – pyta Noa.

– W górnej szafce na prawo od ciebie – mówi Alban, wyjmując z lodówki okład do bułek.

Noa otwiera wskazaną przez Albana szafkę i wyjmuje czerwoną plastikową miskę. Stawia ją z hukiem na blacie, bierze ze statywu nóż i odcina końcówkę pierwszej marchewki.

Odruchowo podchodzę i zamykam drzwiczki szafki.

– Dzięki. – Noa wrzuca do miski jedną marchewkę po drugiej.

– Alban mógłby uderzyć głową w otwarte drzwiczki – próbuję powiedzieć to od niechcienia, nie tonem pouczającym.

– Nie pomyślałem o tym – mówi Noa sztywno. Zerknął na niego, ale ponieważ Alban odwrócił się w naszą stronę, szybko znów przenosi wzrok na marchewki. Zdaje się, jakby wciąż nie mógł wytrzymać patrzenia mu w twarz.

– Skoczę tylko pod prysznic – mówi Alban. – Wyjmiecie bułki, gdy zadzwoni zegar?

– Tak. – Miałam właśnie zabrać okład, który położyłam na blacie obok lodówki, gdy nagle do rzeczywistości wrócił Linus i chwyta przeźroczyste opakowania.

– Już ja zaniosę... – I wychodzi z kuchni, skoncentrowany, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Niemal słyszę zgrzytanie kół zębatych za jego wijącymi się brwiami.

W kuchni zostaliśmy tylko ja i Noa.

Nagle jest za mało powietrza i za mało miejsca.

Sięgam po miskę z marchewkami, ale on już ją chwycił. Nie poszedł jednak za innymi, tylko stoi w miejscu z nieobecny spojrzeniem, wpatrując się w punkt obok mnie.

– A ja myślałem, że to będzie najnudniejszy rok szkolny w najnudniejszej szkole świata – mówi jakby do siebie. Prawym kciukiem przesuwam po brzegu czerwonej plastikowej miski, powoli, hipnotyzująco.

Jestem zbyt zdenerwowana, żeby na serio poczuć się obrażona.

Czy Adriana zawsze była inna? Czy zawsze były jakieś znaki, których po prostu nie dostrzegałam, bo nie umiałam w porę ich dostrzec?

Ale nie to mnie denerwuje, że szkolny superdziobak okazał się bardziej super niż zwykle. Denerwuje mnie fakt, że odkryłam to dopiero, gdy do szkoły zaczęły chodzić bliźnięta. I gdy miałam sen o...

Spoglądam kątem oka na Noa. Stoi i żuje jeden ze swoich piercingów w wardze. Z szyi znikł rzemyk. Pryzmatowa zawieszka pewnie wciąż leży u Karla. O co chodzi z tym pryzmatem?

Moje rozważania przerywa świdrujące pikanie minutnika, aż się wzdrygam.

Noa otrząsnął się z transu i wyszedł z kuchni z marchewkami, a ja zaczynam wyjmować z piekarnika bułeczki. Skóra na twarzy nieprzyjemnie szczypie od gorąca.

Nagle uderza mnie myśl. A jeśli nie tylko Adriana coś... potrafi? A jeśli jest jakiś powód, dla którego śniły mi się te sny? Spoglądam przez ramię na drzwi do salonu. Nie dochodzą stamtąd żadne rozmowy ani odgłosy kroków, słychać tylko, że w łazience leci woda.

Delikatnie zamykam piekarnik i odstawiam koszyk z bułeczkami obok zmywaka. Zauważam nóż do krojenia chleba, który Alban przygotował na szafce.

Nie. To zbyt niebezpieczne.

Rozglądam się za czymś innym.

Moją uwagę przyciąga wisząca nad kurkiem różowa ścierka. Jest lekka i miękka, absolutnie nieszkodliwa.

Jeszcze jedno spojrzenie przez ramię, żeby się upewnić, że jestem sama.

Wreszcie wbijam wzrok w ścierkę i mobilizuję całą siłę woli.

Wyobrażam sobie pierwotną, pulsującą siłę płynącą z mojego ciała ponad stołem i wnioskującą w różowy syntetyczny materiał.

Leć, rozkazuję bezgłośnie.

Absolutnie nic się nie wydarza.

Leć! Tym razem próbuję włożyć w rozkaz więcej pasji. Język formuje słowo za zaciśniętymi zębami i powoli wyciągam rękę w kierunku kurka. Ramię mi drży z koncentracji, napinam całe ciało.

Leć! Bezgłośnie poruszam ustami, ale słowo odbija się echem w moim mózgu. Poruszam wyciągniętą ręką z dołu do góry, żeby zmusić ścierkę do współpracy.

Za moimi plecami zaskrzypiał próg w drzwiach. Gwałtownie się odwracam i „leć” zamienia się w mojej głowie w grzmiące, bezgłośnie *fuck*.

Noa patrzy na mnie, potem na całkowicie martwą ścierkę i znowu na mnie. Oczy ma najpierw szeroko otwarte i okrągłe, a potem je mruży.

Moje usta w panice zaczynają mówić.

– Ja... mmm... zastanawiam się, czy nie powinniśmy najpierw zetrzeć stołu – stękam. – To znaczy, zanim... ale nie, jest już przecież wytarty, więc... eee... wezmę tylko trochę wody.

Otwieram drzwiczki szafki nad zmywakiem, wydaję dzbanek i napęlam go tak szybko, że woda aż pryska mi na bluzkę. Całą twarz tak gwałtownie pali gorąco, że mam uczucie, jakbym wsadziła głowę do piekarnika.

Nie patrząc na Noa, w pośpiechu wymijam go i wchodzę do salonu.

Woda rozlewa się na podłogę, ale udaję, że tego nie widzę.

Jak kretyńsko, jak do imentu żalóśnie człowiek może się zachowywać?!

ROZDZIAŁ 25

Siedzimy wokół stołu przy sofie i nikt nic nie mówi. Pokój wypełniają tylko odgłosy pracujących szczęk i miażdżonych marchewek.

Siedam na podnóżku Sandry i żeby nie musieć patrzeć na Noa, koncentruję się na dziurce w obiciu sofy. Jego spojrzenie śledzi każdy mój ruch, w taki sam sposób jak na lekcji wuefu śledziło Adrianę. Pewnie myśli, że albo jestem wariatką, albo podobnie jak ona potrafię wyczyniać jakieś tajemnicze rzeczy.

Już nie mam ochoty pytać go, o czym chciał ze mną rozmawiać po angielskim. Nie potrafię teraz ogarnąć więcej dziwacznych zjawisk, więc dalej przeżuвам w milczeniu, wlepiam wzrok w podnóżek i mam nadzieję, że Noa się nie odezwie.

Alban wziął już prysznic i z wilgotnymi włosami siada na sofie obok Linusa, ubrany w dzinsy i ciemnoszarą bluzę.

Pi siedzi w fotelu Sandry, a Noa obok Albana na oparciu sofy. W tym saloniku rzadko siedzą więcej niż cztery osoby, więc brakuje jednego miejsca.

– Możesz mi podać masło, Noa? – odzywa się Pi.

Noa nie odpowiada, więc zbieram się na odwagę, żeby podnieść wzrok. Nie patrzy już na mnie, absorbuje go przyglądanie się Albanowi, który nalewa wodę do szklanki.

Opiera dzióbek dzbanka o krawędź szklanki i wewnątrz niej umieszcza czubek palca, żeby poczuć, kiedy będzie pełna. Po nalaniu wody najpierw bada, czy na stole jest miejsce na dzbanek i dopiero wtedy go odstawia.

– Noa? Halo! – Pi podnosi głos, na co Noa reaguje wzdygnięciem.

– Co? – rzuca poirytowany.

– Masło! – Pi wskazuje głową na talerzyk z masłem i wygrywa palcami na fotelu galopadę.

Noa wznosi oczy do góry, lekko unosi się z oparcia i podaje jej ponad stołem masło z wetkniętym w nie nożem.

W chwili gdy Pi dotknęła talerzyka, nóż wysliznął się i spadł na wykładzinę pomiędzy nią i bratem.

– Ej, Pi, do cholery! – Noa kręci głową.

– To tak samo twoja wina! – warczy Pi. – Gdzie trzymacie papier kuchenny, Linus?

– Jest rolka przy zmywaku. – Linus podnosi się, żeby wstać, ale Pi już jest w drodze.

– Nie, nie, ja przyniosę. – Znika w kuchni i wraca z rolką papieru i różową ścierką. Gdy się pochylała, żeby wytrzeć masło z wykładziny, jej ramię dotknęło stołu i w naszych szklankach poruszyły się lustra wody.

– Lepiej uważaj, dobrze? – odzywa się Noa. – Wszystkiego nie musisz rozwałać!

– Zamknij mordę. – Pi zawzięcie trze tłustą plamę papierem kuchennym, który zostawia na włochatej powierzchni białe kłaczki. Potem próbuje robić to samo ścierką, ale po kilku sekundach wydaje z siebie sfrustrowane westchnienie i wstaje. – Trzeba więcej wody. – Znów rusza do kuchni, a Noa mruczy coś, czego nie dosłyszałam. Pi odwraca się na pięcie i patrzy na niego z wściekłością.

– Sam jesteś zasranym nieudacznikiem! – syczy i ciska w niego ścierką.

To, co nastąpiło potem, było tak szokujące, że w ogóle nie zdążyłam zareagować.

Kulka wilgotnej, różowej ścierki zamienia się w powietrzu w żółtawą kreskę. Alban gwałtownie popycha Noa, który traci równowagę i spada z oparcia sofy bokiem na podłogę, a ścierka trafia w ścianę nad miejscem, w którym przed sekundą siedział, i ląduje gdzieś za Albanem.

Znad oparcia sofy wściekle błysnęły zwężone oczy Noa, ale nie zdążył otworzyć ust, gdy nagle Alban zerwał się w panice, szarpiąc swoją bluzę.

W jednej sekundzie podrywa się Linus, ledwie unikając łokcia brata. Alban odwraca się do mnie bokiem, gwałtownie szamocze się z bluzą, usiłuje ją ściągnąć, a na jego plecach widzę snujący się w górę wzdłuż szarej dzianiny żółty jęczyzek ognia.

Bluza się pali!

Nim się zorientowałam, skoczyłam na równe nogi, ale zupełnie nie potrafię myśleć. Wszystko następuje niezwykle szybko i zarazem bardzo powoli.

W kilka sekund płomienie obejmują całe plecy Albana.

Alban kuli się i chwytając bluzę nad łopatkami, żeby ją ściągnąć przez głowę, ale skokiem przez oparcie sofy dopada go Noa i pchnięciem przewraca do tyłu na sofę.

Linus robi unik w bok, Alban ląduje na plecach, a za nim pochylający się nad nim Noa.

– Puść mnie! – Alban próbuje wstać, chwytając Noa za nadgarstki, chce się uwolnić od jego rąk.

– Leż spokojnie! – charczy Noa i go nie puszcza.

Jakiś płomień zaczął się piąć w górę po żebrach Albana i Noa błyskawicznie przewraca go na bok, nadal wciskając go w siedzisko sofy. Płomień zostaje zduszony i zastępują go słupki dymu.

– Wykładzina się pali! – woła Linus.

Tumult sprawił, że ścierka wylądowała na podłodze obok sofy i wykładzina wokół niej staje w płomieniach.

– Pi! Zduś ogień pledem! – woła Noa.

Ale Pi się nie rusza. Jej usta i oczy są jak trzy nieme litery O. Ogień płonącej wykładziny tańczy złocistym odbiciem w jej źrenicach.

– Przyniosę wodę! – Linus rzuca się do kuchni.

– Nie, nie wodę! – ryczy za nim Noa. – Trzeba... Pi, do diabła!

Jego siostra, podobnie jak ja, nadal jest jak skamieniała.

Wykładzina obok sofy zamienia się w morze ognia, łakomie pożerając syntetyczne włókna.

Noa klnie przez zaciśnięte zęby, puszcza Albana, chwytając leżący na sofie kwaciasty waciany pled, strzepuje go jednym ruchem, żeby go rozpostrzeć, a potem rzuca na płonąca wykładzinę i zaczyna po nim deptać.

Płomienie znikają, a pokój wypełnia gęsty, czarny, cuchnący plastikiem dym, który szczypie w śluzówkę. Czuję szorstkość w gardle i ze łzami w oczach zaczynam kaszleć.

– Otwórzcie okna! – woła Noa, ale jego głos zdaje się brzmieć bardzo daleko.

Dławiąc się kaszlem, widzę, że z kuchni wybiega Linus. Szarpnięciem otwiera okno i biegnie do drugiego, a gdzieś w budynku alarm przeciwdymny już zaczął ostrzegać o pożarze.

Noa ostatni raz przytupuje podeszwą buta pled, odwraca się, chwytając Albana za nadgarstki i pociąga go do pozycji stojącej.

– Zdejmuj bluzę – rozkazuje, chwytając za brzeg mokrej od potu, szarej dzianiny. – Ręce do góry!

Gdy Alban posłusznie wykonuje polecenie, przez jego twarz przemyka skurcz, i jeszcze raz,

gdy Noa ściąga mu przez głowę resztki bluzy.

– Odwróć się. – Noa sam go obraca. – Cholera – mówi przez zaciśnięte zęby.

Dostrzegam duże ciemnoczerwone plamy na lewej stronie pleców Albana, nie mogę na nie patrzeć.

– Natychmiast pod wodę, do łazienki, już! – Noa chwyta Albana za łokieć i energicznie prowadzi go do drzwi. – Dzwon po karetkę! – woła do Linusa. – To wygląda miejscami na poparzenie drugiego stopnia.

Linus jest blady, ale kiwa głową i zaczyna szukać w kieszeni komórki.

Gdy Pi zobaczyła poparzone plecy Albana, zakryła ręką usta i wydała z siebie cichy, pełen bólu jęk.

Mam w głowie chaos i po zalewie adrenaliny, która wciąż jeszcze buzuje w moim ciele, do oczu zaczynają mi się cisnąć łzy.

Nie mam odwagi pójść za Albanem do łazienki. Zbyt duże jest prawdopodobieństwo, że padnę na widok jego ran.

Podchodzę do Pi i klękam przed nią, podczas gdy Linus dzwoni po karetkę.

– Co to się stało? – wyszeptuje, wpatrując się w czarne ślady, które na sofie zostawiło ciało Albana.

Nie mam zielonego pojęcia, co odpowiedzieć, kładę jej tylko rękę na ramieniu.

Pi zanurza twarz w dłoniach i spazmatycznie wdycha powietrze, jak gdyby walczyła z płaczem.

Z łazienki dobiega nas zduszony krzyk bólu.

Linus z niepokojem spogląda w tamtą stronę, przyciskając komórkę do ucha.

Nie, nie mogę tak po prostu sobie siedzieć, nieważne, że Alban ma rany.

– Muszę do niego zajrzeć, okey? – Niepewnie staję na nogi.

W łazience uderza mnie mdlący zapach spalenizny.

Alban stoi w kabinie prysznicowej, wciąż ubrany w dzinsy, z głową wciśniętą w ramiona, pięściami opiera się o płytki na ścianie.

Noa splukuje jego nagie plecy prysznicem. Kostki palców obejmujących prysznic są białe na tle lśniącej stalowej powierzchni. Termostat pokazuje 15 stopni.

Alban drży i szczęka zębami, mimo że zagryza je tak mocno, że wyraźnie widać mięśnie szczęki.

– I jak? – pytam ostrożnie.

– Bajecznie. – Nawet głos mu drży. – Miałem już gorsze oparzenia słoneczne. – Alban próbuje nieprzekonująco się zaśmiać, ale ani Noa, ani ja się nie śmiejemy.

Rzucam szybkie spojrzenie na czerwone pęcherze tworzące koszmarny wzór pod lewą łopatką i wokół niej. Mdłości dają mi kopniaka w języczek na podniebieniu i posyłają łaskotanie aż do kości ogonowej. Szybko koncentruję uwagę na huśtającym się między chłopakami węzu od prysznicza.

– Linus zadzwonił? – pyta Noa.

– Dzwoni. – Kulę się w sobie, żeby słowa nie wywołały wymiotów.

Noa nadal spryskuje spaloną skórę Albana, starając się, by strumienie wody nie trafiały wprost na rany.

Albana oddycha nierówno, coraz bardziej nierówno.

– Hej – mówię miękko. Wsuwam dłoń pod opartą o ścianę bliżej mnie, kurczowo zaciśniętą pięść i delikatnie rozluźniam jego palce. – Spróbuj się odprężyć – szepczę. – Kiedy się napinasz,

jeszcze bardziej boli. Gdy mama rodziła w domu Emmę, położyła cały czas coś w tym stylu jej powtarzała.

Alban ściska moją rękę i opiera czoło o płytki. A potem przez zaciśnięte zęby bierze głęboki oddech i drząc, powoli wydycha powietrze.

– Co się stało? – pyta. – Skąd się wziął ogień?

– Nie wiem. Pi rzuciła w Noa ścierką. I... i ścierka się zapaliła.

– Co?

– Ścierka się zapaliła, gdy Pi nią rzuciła. I zajęła się twoja bluza i wykładzina.

Alban długo milczy.

A potem wydobywa z siebie coś między prychnięciem a śmiechem.

– *Fuck.*

Nigdy przedtem nie słyszałam, żeby kłął. Ale w pełni się z nim zgadzam. *Fuck!*

ROZDZIAŁ 26

Wskazówka sekund na dużym zegarze w poczekalni pogotowia nie porusza się szarpnięciami, jak tyle innych.

Ta przemieszcza się nad cyframi bezdźwięcznym, płynnym ruchem.

Patrzę na tę ciekawą czerwoną wskazówkę przez szereg minut, nim sobie uzmysławiam, że w poczekalni w ogóle nie ma dźwięków. Żadnych pospiesznych kroków. Żadnych niecierpliwych westchnień. Nawet tego banalnego tykania zegara.

Pi i Noa siedzą naprzeciwko siebie na ustawionych w szeregi krzesłach. Pi podciągnęła nogi i objęła je ramionami wokół kolan. Piercing w dziurce na policzku od czasu do czasu zanurza się głębiej w skórę, jak gdyby przygryzała go od środka.

Noa jest jak kamienny posąg z wykutą w granicie zmarszczką na czole i skrzyżowanymi ramionami. Suwak kurtki podciągnął pod szyję, jakby chciał ukryć fioletowy T-shirt, który wygląda spod czarnej skóry na wysokości biodra.

Linus jest w gabinecie z Albanem, którego opatrują.

Usiłuję wziąć się w garść, żeby móc dać mu wsparcie, ale już sam widok pierwszej zakrwawionej gąbki do oczyszczania ran sprawił, że niewiele brakowało, a bym zemdląła.

– Spoko, Emi – mówi Alban. Jakby to on miał pocieszać mnie.

Więc teraz siedzę w poczekalni, zupełnie bezużyteczna. Jak mogłam tak po prostu przyglądać się, gdy mój najlepszy przyjaciel był w śmiertelnym niebezpieczeństwie? Dlaczego nic nie zrobiłam?

Znowu spoglądam na Pi. Coś na jej policzku odbiło światło, i nie był to piercing. Po policzku cicho spływa łza.

– Na pewno wyglądało to gorzej, niż jest w rzeczywistości – odzywam się w żalostnej próbie uspokojenia jej i samej siebie.

Noa odwraca do mnie twarz. Dzieli nas kilka krzesel.

– Nie powinnaś być tego taka pewna. – Jego spojrzenie wwierca się we mnie w dziwnie oskarżycielski sposób. – Cokolwiek spowodowało zapalenie się tej ścierki, było bardzo skuteczne.

Nagle wybucha we mnie złość.

– Dlaczego nie pozwoliłeś mu zdjąć bluzy, gdy próbował to zrobić? – mówię twardym tonem. Zarówno dlatego, że nienawidzę siebie za to, że byłam taka ślamazarna, i dlatego że Noa patrzy na mnie, jakbym to właśnie ja usiłowała zamordować Albana. – Nie miałyby na plecach tych ran!

Noa znów patrzy w inną stronę.

– Być może. Ale za to nie miałyby teraz włosów na głowie. I spalona byłaby cała skóra od szyi w górę.

Pi zaciska powieki. Płynąca po policzku łza zawisła na brzegu zuchwy i przez moment drży, po czym odrywa się i ląduje na ramieniu.

Nie mam pojęcia, co Noa sobie wyobraża! Że co ja zrobiłam z tą ścierką? Nie chcę jednak się bronić, żeby nie sprawiać wrażenia winnej.

Znów koncentruję uwagę na wędrownicy wskazówki i siłą tłumię złość.

Na szczęście to doktor Majken oczyszcza rany Albana. Wiem, że jest ostrożna.

Cieszę się też, że to właśnie ona nas przyjmuje.

Że nie traktuje nas jak kretyńskich, nieostrożnych nastolatków, którzy bawili się w fajerwerki, miotacze ognia czy inne niebezpieczne zabawy. Uwierzyła, że Alban przewrócił się do tyłu na stół, na którym był półmisek ze świecami.

Mimo że na jego skórze i spodniach nie było śladu wosku.

– Emilko! – Sandra biegnie do nas, jeszcze ubrana w swój biało-zielony kraciasty fartuch z domu starców. Ma bladą twarz. Minęła bliźnięta, w ogóle ich nie zauważając. – Gdzie on jest?

– Opatrują go. Linus z nim jest. Niedługo powinni skończyć – mówię – ale jestem pewna, że może pani tam wejść.

– Nie, poczekam. – Sandra spojrzała na drzwi z matowymi szybami oddzielające poczekalnię od korytarza prowadzącego do małych gabinetów. – Skoro Linus z nim jest, to wystarczy. Nie chcę im utrudniać.

Gdy kilka lat temu Linus miał rozcięte ramię, Alban siedział przy nim, gdy go szyli, a ich matka rozsypywała się na korytarzu.

Choć Sandra widziała w domu starców sporo chorób i cierpienia, nie radzi sobie, gdy dzieje się coś z jej synami. Mówiła mi, że jest jej jeszcze ciężiej, odkąd umarł jej mąż i Alban dostał zapalenia opon mózgowych. Być może istnieje granica, ile cierpienia tych, których kochamy, można zabsorbować, nie rozpadając się.

– Co się stało? – pyta. – Linus mówił przez telefon, że coś się w domu zapaliło.

– Tak, świece... Alban przez przypadek... – Głos uwiązł mi w gardle, unikam jej spojrzenia. Wymyślił to Noa, a ja w obecności Majken nie mogłam zaprzeczyć. Ale Noa nie wiedział, że Sandra nie używa świec, bo uważa, że są niezdrowe dla dróg oddechowych.

– Świece? – Sandra marszczy czoło. – Skąd je wzięliście? Od lat nie kupuję świec.

– Eee... – Zerkam na Noa.

– Ja je przyniosłem. – Noa wstał. – To moja wina.

Sandra patrzy na niego sceptycznie. To, że typ taki jak Noa tak po prostu nosi w torbie świece na wypadek, gdyby nagle trzeba było stworzyć przytulny nastrój, nie wydaje się prawdopodobne.

– Nikt ci nie mówił, że nie lubię świec? – Spojrzała na mnie spojrzeniem typu „mama nie jest zła, mama jest zawiedziona”, które boli bardziej niż solidny opieprz.

Noa szybko się orientuje, że stoi na kruchym lodzie. Ale gdyby zmienił nasze alibi, musielibyśmy tłumaczyć, dlaczego kłamaliśmy.

Zaraz potem usłyszałam tykanie zegara, który nie tykał.

– Oni nie zauważyli, że zapaliłem świece. Gdy nakrywałem stół, byli w kuchni. – Noa kłamie szybko i bez trudu, i patrzy Sandrze w oczy.

– To Noa i jego siostra Pi. Właśnie zaczęli chodzić do mojej klasy – mówię szybko. – I to zasługa Noa, że nie było gorzej. Zareagował szybciej niż ktokolwiek z nas.

Sandra patrzy na Noa zza przymrużonych powiek.

– I co się stało, tak dokładnie?

Z kieszeni jej fartucha na piersi sterczy pomarańczowy długopis. W kolorze marchewki. Przed oczami stanęły mi otwarte drzwiczki kuchennej szafki i przychodzi mi do głowy pomysł.

– Noa przez przypadek postawił swoją torbę przy stole koło sofy. Nie jest przyzwyczajony do przebywania z niewidomymi.

Noa szybko złapał, do czego zmierzam.

– Alban przewrócił się przez torbę i poleciał plecami na stół, na którym paliły się te świece. – Noa patrzy na Sandrę z powagą. – Prawdziwy pech. I bardzo mi z tego powodu przykro. – Ostatnie słowa brzmią inaczej, bo nie są kamstwem.

Gdy mieliśmy opowiedzieć Majken o tym, co się stało, Noa powtarzał, że „nie myślał wystarczająco szybko”, choć go zapewniała, że zrobił to, co absolutnie było najlepsze.

Sandra wzdycha i zamyka na chwilę oczy. Gdy znów je otworzyła, wygląda na zmęczoną.

– Tak, to rzeczywiście pech. Ale skoro nie wiedziałeś... – Znowu wzdycha i spogląda na Noa, jak gdyby nie całkiem mogła zdecydować, czy na niego nakrzyczeć, czy mu dziękować. Już ma coś powiedzieć, ale między brwiami pojawia się zmarszczka oznaczająca, że myśli. – Ty... przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałam. – Przenosi spojrzenie na Pi, która przygląda jej się oczami w czerwonych obwódkach. – Oboje mi kogoś przypominacie. Jak się nazywa wasza mama?

– Celia – odpowiada Noa. Usiadł już i wyciągnął rękę na oparciu sąsiedniego krzesła. – Dlaczego?

– Celia? – Sandra sprawia wrażenie przestraszonej. – Naprawdę?

– To znaczy, mama nie zawsze miała na imię Celia. – Pi zdaje się wracać powoli do życia, teraz gdy rozmowa nie dotyczy oparzeń Albana.

– Kiedyś znalazłam jeden z jej starych paszportów i było tam napisane Ruth Cecylia. Opowiadała, że zmieniła imię na Celia, bo brzmi bardziej międzynarodowo.

– Ruth Cecylia?! Ależ, wobec tego... to ona! – Sandra wydaje się zdenerwowana. – Nienawidziła swojego imienia, gdy byliśmy małe. Często powtarzała, że czeka, żeby dorosnąć, tylko dlatego, żeby móc je zmienić.

– Skąd zna pani mamę? – pyta Pi.

– Chodziłyśmy do jednej klasy w podstawówce. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. – Sandra patrzy na bliźnięta, jak gdyby przypominali jej o czymś, co najchętniej by zapomniała. Może rozstały się jako nieprzyjaciółki?

– Nigdy o pani nie opowiadała – mówi Pi. – Ale właściwie to w ogóle nie opowiada o dzieciństwie. Nie jestem nawet pewna, dlaczego chciała tu wrócić.

– Więc ona... wy tu teraz mieszkacie? – Sandra stara się sprawiać wrażenie wyluzowanej, ale jej się to nie udaje. – I jesteście w klasie z Emilką?

Pi potakuje i lekko się do mnie uśmiecha.

– Więc Cecylia... to znaczy... wasza mama jest teraz mężatką? – pyta Sandra.

Wędruje wzrokiem między Noa i Pi i nerwowo dłubie przy pomarańczowym długopisie sterczącym z kieszeni fartucha.

Musi mieć bardzo złe wspomnienia o przyjaciółce z dzieciństwa.

– Była. – Pi zerka na Noa, który siedzi ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Nasi rodzice niedawno się rozwiedli. To między innymi dlatego się przeprowadziliśmy.

– Ach, rozumiem. – Sandra jest jeszcze bardziej zakłopotana. Może dlatego, że wstąpiła na prywatny grunt. A może dlatego, że tu, na pogotowiu, wypadł jakiś trup z jej szafy.

Nagle otworzyły się szklane drzwi i Sandra szybko się odwraca. W drzwiach staje Majken.

– Przypuszczam, że jest pani mamą Albana? – Przyglądziła siwe włosy i podaje Sandrze rękę.

– Tak. Jak on się czuje?

– Dostał środki przeciwbólowe, więc teraz nie najgorzej. To głównie poparzenia pierwszego stopnia. – Majken uśmiecha się.

Sandra podjęła wysiłek odwzajemnienia uśmiechu.

– Możecie teraz wejść. – Majken otworzyła drzwi i patrzy na nas wyczekująco.

Mam wątpliwości, czy nie powinniśmy pozwolić Sandrze wejść pierwszej, ale wskazując głową w stronę korytarza, Majken dodaje:

– Pytał o was.

ROZDZIAŁ 27

Alban leży na brzuchu na tej samej kozetce, na której ja siedziałam wczoraj. W powietrzu wciąż wisi smród mydła z gąbeczek dezynfekujących.

Alban ma zamknięte oczy, czoło oparł na skrzyżowanych z przodu rękach. Większość górnej części ciała ma owiniętą w biel. Na wysokości lewej łopatki przesączyły się nierówne plamki czerwieni. Kilka razy gwałtownie przełykam ślinę, żeby zwalczyć mdłości.

Linus siedzi u wezłowania kozetki. Odgłos naszych kroków sprawia, że bracia odwracają ku nam twarze.

Ruch wywołuje na twarzy Albana skurcz bólu.

– Och, kochanie moje! – Sandra klęka przy kozetce i ujmuje w dłonie twarz Albana. Całuje go w czubek głowy, a na jego włosy spada łza.

– Mamo, ja jeszcze żyję – mówi Alban zawstydzony i Sandra szybko się wycofuje.

– Bandaże trzeba zmieniać raz dziennie tu, na pogotowiu – mówi Majken. – Chyba że... – Patrzy na kraciasty fartuch Sandry. – Pracuje pani w służbie zdrowia?

Sandra potakuje.

– Zna się pani na oparzeniach?

Tym razem Sandra kiwa głową z pewnym oporem, jak gdyby przeczuwała, do czego to prowadzi.

– Tak. Odpowiadam za opatrywanie ran w domu starców.

– Dobrze – mówi Majken. – Możemy zmieniać opatrunki tu, ale dla Albana najlepiej byłoby, gdyby mógł uniknąć jeżdżenia samochodem. Powinien w najbliższym czasie mieć tyle spokoju, ile to tylko możliwe. Możecie dostać opatrunki na kilka dni, ale gdy tylko uzna pani to za stosowne, trzeba ranom dać dostęp powietrza. – Majken uśmiecha się do Sandry. – Będzie pani miała na to siłę?

Sandra bierze głęboki wdech.

– Tak.

– To proszę pójść ze mną. Dam pani opatrunki i instrukcje. – Majken wyprowadza Sandrę z gabinetu.

Bandaże na plecach Albana przyciągają nasze spojrzenia niczym wielki biały magnez.

Noa odchrząknął.

– Dajesz radę, Alban?

– Można dać sobie radę, jeśli najlepszy przyjaciel człowieka ma na imię Morfina – mówi Alban. – Niech żyje współczesna wiedza medyczna.

Linus uśmiecha się słabo, ale zauważył zaczerwienione oczy Pi i na powrót poważnieje.

Mija minuta, nim mdłości i samokontrola zakończyły w moim wnętrzu dyskusję o tym, które z nich ma zwyciężyć.

– Noa? – odzywa się Alban.

– Tak? – Noa wygląda na przerażonego.

– Dzięki za... – Alban zamyka oczy, jak gdyby sprawiało mu ból to, że ma dług wdzięczności

wobec Noa. A potem bierze głęboki oddech i mówi dalej: – Dzięki, że byłeś taki szybki. Majken mówiła, że gdyby nie ty, byłoby dużo gorzej.

– Przepraszam – wyszeptła Pi, nim Noa zdążył coś powiedzieć. – Przepraszam, Alban! – I rozpłakała się.

Noa niezgrabnie położył jej rękę na ramieniu, a ona oparła się o niego, kryjąc twarz w dłoniach. Noa na moment zeszywniał, a potem objął ją ramionami. Jedną ręką mechanicznie gładził ją po plecach, unikając naszych spojrzeń. Ta próba okazania troski zdaje się nie pasować do niego co najmniej tak samo jak fioletowy T-shirt Albana.

– Ja też powinnam... ale nie mogłam... nie wiedziałam, że ta ścierka była... – Pi zaciska powieki i przyciska dłoń do ust, żeby zahamować szloch.

– Hej, już w porządku – bąka Noa.

– Nie, nic nie jest w porządku! – Pi wyrwała się z jego objęć i patrzy na niego z wściekłością. – W ogóle nic nie jest w porządku! W i e d z i a ł a m, co mam robić i nie potrafiłam. Stałam tylko i gapiłam się jak jakaś idiotka! A poza tym gdybym nie rzuciła tej ścierki... – Pi objęła się ramionami, jak gdyby marzła.

– Ale co się właściwie stało? Czy przez przypadek zmoczyłaś ją płynem do płukania zębów? – pyta Noa. Nie patrzy na Pi, tylko na mnie.

– Nie, jasne że nie, do cholery! – Pi dławił płacz.

– Musiała być nasączona czymś, co sprawiło, że zaczęła się palić. – Noa przytrzymuje moje spojrzenie. – Jakiś pomysł, co to mogło być?

– Nie – mówię głośno. W piersi znowu wzbiera mi gniew.

– Hmm... – Linus patrzy w podłogę, rozważa różne możliwości. – To znaczy, sama może się zapalić nafta. I chyba też terpentyna. – Rzuca okiem na Noa. – Ale nie wiem, jakim sposobem mogłaby się znaleźć na naszej ścierce. Wydaje mi się, że u nas w domu w ogóle nie ma takich chemikaliów. Mama używa tylko ekologicznie czystych środków czystości.

– No to tajemnica rozwiązana! – Noa rozkłada ramiona. – Ścierka zaczęła się palić po prostu całkiem bez powodu. Nikt jej w tym nie pomógł, prawda? – Noa patrzy na mnie z góry niebieskozielonym, lodowatym spojrzeniem. – Nikt nic nie zrobił z tą ścierką, zanim Pi nią rzuciła, prawda?

– Nie mam, kurczę, zielonego pojęcia, o co ci chodzi – mówię ze złością – ale ja nic nie zrobiłam!

– To co kombinowałaś w kuchni?

Linus i Pi spoglądają na Noa, a potem na mnie. Alban marszczy brwi.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to próbowałam zrobić to samo, co Adriana, ale kompletnie nic z tego nie wyszło! – Czuję, że mam gorące policzki, ale jest mi wszystko jedno. – Jak miałabym sprawić, żeby ta ścierka się zapaliła? W ogóle jej nie dotykałam!

– Aha. – Sarkazm łagodzi ton głosu Noa. – No to na pewno nic złego nie zrobiłaś. Bo trzeba przecież dotykać przedmiotów, żeby... – Zatrzymał się nagle i patrzy wnikliwie na siostrę, jak gdyby widział ją pierwszy raz.

– Co? – pyta Pi.

Noa gwałtownie odwraca głowę i zaczyna skanować wzrokiem gabinet.

Jego spojrzenie pada na torebkę wacianych kulek na stole obok Albana. Chwycił jedną z nich i podaje Pi.

– Potrzymaj – mówi.

– Co? Dlaczego?

– Weź to.
– Nie, nie chcę!
– To tylko głupia wata, okey? Nic złego się nie stanie. – Podchodzi bliżej, wciąż trzymając wate w wyciągniętej ręce.
– Co mam z tym zrobić? – Pi spogląda na niego nieufnie.
– Obiecuję, że wytłumaczę to potem. No!
Pi powoli wyciąga rękę po kulkę.
– No i co teraz? – pyta, zaciskając w ręce biały kłębek.
– Ty kretynko! – mówi Noa.
– Co?! – Pi patrzy na niego szeroko otwartymi oczami. – Jak ty o mnie powiedziałaś?
– Wstrętna, koszmarna klucha! – Noa bez zmrużenia oka opluwa siostrę wyzwiskami.
Jestem tak zszokowana, że zapominam o oddychaniu. Tak samo sparaliżowani są Linus i Alban.
Pi znów napłynęły do oczu łzy, policzki z wściekłości płoną czerwienią.
– Kurwa – mówi Noa z naciskiem.
– Ty gnojku! – Pi ciska w brata wacianą kulką.
– Uważaj! – krzyknął Alban, choć ruch Pi był zupełnie bezgłośny.
Wata jest za lekka na to, żeby dolecieć do celu. Płynie w kierunku Noa na tyle wolno, że wyraźnie widzę, jak zaczyna płonąć i staje się w powietrzu kulką ognia.
Noa odskakuje w bok, a płonąca wata ląduje na podłodze. Natychmiast ją przydeptał.
– *Shit*⁵²! Co ty do diabła robisz? – woła Pi.
Noa wpatruje się w nią.
– A więc to jednak ty – mówi.
Czarny zwęglony okrucz na podłodze sprawił, że w niewielkim gabinecie rozszedł się zapach ogniska.
– Co się dzieje? – pyta Alban niespokojnie.
Oczy wszystkich zwracają się na niego.
– Ty może powinieneś odpowiedzieć na to pytanie jako pierwszy – mówi Noa.
– Co chcesz przez to powiedzieć?
– Pi właśnie podpaliła strzęp waty. To ona musiała też zapalić ścierkę. – Noa nie zdejmuje oczu z twarzy Albana. – Ale ja chciałbym się dowiedzieć, dlaczego w obu przypadkach zareagowałeś, jak gdybyś to w i d z i a ł?
Alban nie odpowiada.
– Dlaczego mnie popchnąłeś, kiedy siedzieliśmy na sofie? – pyta Noa.
Alban wkleja twarz w kozetkę i długo, ciężko wzdycha.
– Nie wiem – wydaje się potwornie zmęczony. – To było tak, jak gdybym... jak gdybym przeczuwał, co się wydarzy. To było tak intensywne, że nie miałem wątpliwości. Czuję, że coś leci w powietrzu, a potem poczułem spalone włosy i usłyszałem twój krzyk. Ale jak... odwrotne echo. Jak coś, co ma się wydarzyć za moment. Byłem pewien, że gdybym nic nie zrobił, ścierka by w ciebie trafiła. Więc... cię popchnąłem.
– Przeczuwałeś? – pyta Noa ostro. – Więc to przewidziałeś?
– Przewidziałeś, to trochę przesadne określenie. – W głosie Albana jest sarkazm. Uniósł nieco głowę. – Nie miałem widzenia, jeśli to to masz na myśli. Ja tylko to... wyczułem. Wszystkie moje pozostałe zmysły zareagowały, jak gdyby to rzeczywiście się działo. Moje ciało samo zareagowało. To było jak odruch.

Gdy Alban mówi, czuję na karku ciarki rozprzestrzeniające się na ramiona i plecy.

– Więc zwałeś mnie z sofy, po prostu idąc za swoim... p r z e c z u c i e m? – podsumowuje Noa.

– Przecież mówię, że to był odruch. Nie zdążyłem tego przemyśleć.

– Nie, najwyraźniej nie.

Mimo że cała ta sytuacja ma cechy obłądu, w głosie Noa pobrzmiewa cień humoru.

Mój mózg zupełnie nie może tego objąć.

Telekineza, płonące dłonie i jasnowidzenie. Dziwne sny i tajemnicza zawieszka z pryzmatem.

Jednego po drugim ludzi w moim otoczeniu wsysa świat, w którym rozsądek i prawa przyrody nie mają zastosowania.

Nagle Pi stawia pytanie, które nabrzmiewało pośród wraków mojej dawnej rzeczywistości.

– Co się z nami dzieje? – szepcze.

– Pas. – Noa, zamyśloni, dłubie przy swojej rękawiczce bez palców, na której pozostał ślad po płonącej bluzie Albana w postaci dużej dziury o zwęglonych brzegach. Opatrunek pod rękawiczką jest brudny i pomięty, szara plama otoczona czarną włóczką.

Na ten widok nagle zaczynam coś z tego wszystkiego rozumieć.

Wpatruję się w Linusa, prawdopodobnie z paskudnie skrzywioną twarzą, bo aż się wzdrygnął.

– Co? – pyta przestraszony.

– Ty też potrafisz robić coś dziwnego, no nie? Coś, o czym nam nie powiedziałaś?

– Nie. – Jego spojrzenie wędruje między nami, jakby oczekiwał, że zostanie oskarżony o najróżniejsze przestępstwa. – O ile wiem, nie.

– Wszystkie te dziwne rzeczy... one mają związek z tym przyrządem w domu Karla! – mówię.

– Dlaczego tak myślisz? – pyta sceptycznie Alban.

– To nie może być przypadek! Jak dotąd, z pięciorgiem z nas coś... zrobił. Z pięciorgiem z sześciu osób, które poparzył.

– Coś zrobił? – Noa patrzy na mnie. – Co masz na myśli?

Wykręcam się pod jego świdrującym spojrzeniem.

– Wydaje mi się, że ja też coś... potrafię.

– Naprawdę? – Linus robi wielkie oczy. – Co?

Waham się. Teraz albo nigdy.

– Ja... ja... Noa śnił mi się, zanim zaczęli z Pi chodzić do naszej szkoły. – Brzmi to tak idiotycznie, że szybko mówię dalej, choć ciąg dalszy jest jeszcze bardziej idiotyczny. – Śniła mi się też ta szklana zawieszka i obserwatorium Karla, i burza meteorytów, i to pudło przeprowadzkowe.

– Więc wiedziałaś, co się wydarzy? – pyta Linus. – Gdy tam pojechaliśmy?

– Nie, nie śniła mi się ta sytuacja, tylko samo miejsce i przedmioty, które tam były. I... Noa.

Cieszę się, że nie ma z nami Adriany, bo powiedziałaaby o portrecie. Nie mogę udowodnić, że powstał, zanim się poznaliśmy.

– Wiedziałem! – Noa wskazuje mnie palcem. – Wiedziałem, że coś ukrywasz!

– Więc uważasz, że ten przyrząd dał nam... – Alban nie potrafi się zmusić do wypowiedzenia tych słów.

– Ponadnaturalne zdolności – kończy zdanie Noa.

– Ale Emi, jeśli ci się to wszystko śniło, zanim zaczęliśmy chodzić do szkoły, to przyczyną nie może być ten dynks.

– Ja nie mówię, że on to sprawił. Ale jestem pewna, że odgrywa w tym jakąś rolę. To nie

przypadek, że pięcioro z nas sześciorga coś takiego łączy.

Noa przygląda mi się uważnie.

– Pięcioro? – pyta.

Kiwam głową.

– Adriana może sprawić, że przedmioty się poruszają. – Noa wystawił kciuk. – Pi może sprawić, że przedmioty się zapalają. – Teraz wystawił palec wskazujący i oba stworzyły literę L.

– Ty i Alban najwyraźniej potraficie przewidywać bieg spraw. – Wystawił jeszcze dwa palce. – Cztery... zdolności. Cztery osoby.

– Nie jest pewne, że pięcioro z nas ma zdolności. Ale choć ty być może żadnej nie masz, to jednak masz z tym wszystkim coś wspólnego, Noa. Może nawet więcej niż my wszyscy. Bo to ty miałeś ze sobą tę szklaną zawieszkę, gdy pojechaliśmy do Karla.

– Ale... – zaczyna Noa.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do gabinetu weszły Majken i Sandra obładowane drobnymi pakunkami z wyposażeniem potrzebnym do opatrywania ran.

Gdy nas zobaczyły, zatrzymały się. Jestem pewna, że wyglądamy jak stadko dzikich zwierząt schwytych w snop światła lamp ciężarówki.

– Co tu tak śmierdzi? – pyta Sandra. Jej spojrzenie pada na zwęgloną watę na podłodze. – Co wy robicie?

– Chciałem im tylko pokazać, jak się gasi ogień, dusząc go butami – mówi Noa szybko. – Żeby wiedzieli na przyszłość.

– I dlatego coś podpaliłeś? – pyta Sandra z niedowierzaniem.

Pewnie po tym wszystkim doszła do wniosku, że Noa jest piromanem.

– Będę wdzięczna, jeśli w przyszłości będziesz organizował kursy ratunkowe na zewnątrz. – Majken spogląda na niego ostro, ale na szczęście nie wścieka się. – Zrozumiano?

Noa kiwa głową.

– A toalety są tam – Majken uśmiecha się do Sandry – na końcu korytarza. Proszę iść za strzałkami.

– Świetnie, dziękuję. – Sandra odkłada na krzesło paczki z opatrunkami i powoli idzie we wskazanym kierunku, wciąż patrząc na Noa.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Majken obrzuciła nas wszystkich spojrzeniem.

– Czy nie powinniśmy zmienić opatrunków, skoro już was tu mam?

ROZDZIAŁ 28

– Wygląda na to, że wykładzina jest do wyrzucenia. – Pi krzywi się, patrząc na osmaloną plamę obok stołu przy sofie.

Bliźnięta, Linus i ja przyszliśmy do mieszkania, żeby trochę posprzątać, zanim wrócą Sandra i Alban. Musieli jeszcze dostać recepty i ogarnąć sprawę techniki zmieniania opatrunków.

Chodzimy po domu w kurtkach. Okna są szeroko otwarte, próbujemy przepędzić woń spalenizny po okropnościach popołudnia.

Za każdym razem, gdy moje oko natrafia na plamę sadzy na ścianie w miejscu, gdzie trafiła ścierka, dostaję dreszczy.

Linus wpycha do worka na śmieci kwiciasty pled i resztki bluzy Albana.

– Mama zawsze tyle mówiła o tym, że wykładziny są przyczyną alergii. Jestem pewien, że będzie zadowolona, że się jej pozbędzie. – Linus spojrzał na sofę, której poduchy mają dziury o czarnych brzegach. – Zdaje się, że zawsze chciała też kupić nową sofę.

Pi próbuje się uśmiechać. Odkąd opuściliśmy pogotowie, jest coraz bardziej milcząca. Boi się czegokolwiek dotykać i przyciska zaciśnięte dłonie do piersi, jak gdyby mogły się same zapalić.

Ja pewnie reagowałabym tak samo, gdybym odkryła, że jestem niebezpieczna dla otoczenia, i nie wiedziałabym dokładnie, o co chodzi.

Noa z pełną krytycyzmu miną przygląda się stołowi przy sofie.

– Czy nie powinniśmy go trochę przypalić?

– Co? – pytam.

– Powinien chyba wyglądać tak, żeby wersja ze świecami była wiarygodna? Teoretycznie wosk mogliśmy usunąć... ale czy na stole nie powinno być trochę czarnych śladów po ogniu?

Linus zawiązuje plastikowy worek.

– Mnie się wydaje, że nie. Tyle kryminałów to mama nie ogląda.

Noa nadal stoi nieruchomo nad stołem.

– Musimy dowiedzieć się więcej na temat tego dynksa – mówi.

– Masz jakiś pomysł? – pytam. – Wybrać się do Karla i powiedzieć mu, że odkąd widzieliśmy się ostatni raz, nauczyliśmy się czarować... i że tak w ogóle to ma nam pomóc w zbadaniu, dlaczego?

– Coś w tym stylu.

– A niby dlaczego miałby nam uwierzyć?

– Bo mu pokażemy. – Noa spojrzał na siostrę, która gwałtownie kręci głową.

– Nie. Mnie na to nie namówisz. Ja nie mam odwagi. – Głos jej drży.

– Coś będziemy musieli mu pokazać. – Noa się niecierpliwi. – Alban nie może się ruszyć z domu, a zdolności Emi najwyraźniej aktywizują się tylko, kiedy śpi. A jeśli Linus i ja cokolwiek potrafimy, to jeszcze tego nie odkryliśmy.

– A Adriana? – pyta Pi.

– Możemy spróbować najpierw pojechać do niej – mówi Noa. – Jej zdolność byłaby najłatwiejsza i najpewniejsza do zademonstrowania. Oczywiście jeśli potrafi tym sterować.

– I jeśli uda nam się ją namówić, żeby z nami pojechała – dodają.
– Okaże się. – Noa wychodzi do przedpokoju i zaczyna wciągać na nogi swoje wojskowe buty. – Jedziecie ze mną? – woła.
– Ale... czy nie powinniśmy poczekać, aż Sandra i Alban wrócą do domu? – pytam.
– Dlaczego? – Noa zawiązał sznurówkę i wyprostowuje się. – Więcej tu nie zdziałamy, a ja chcę mieć odpowiedź. Teraz.

Adriana mieszka w dzielnicy willowej w odległości spaceru od Linusa i Albana. Pod numerem, do którego prowadzi nas przewodnik Kraka, stoi ogromna willa z wykuszami, w przedogródku rosną krzewy przycinane w formie figur. Już dawno zapadł zmrok, ale w świetle ulicznych lamp mury wyglądają tak biało, jak śnieżny pejzaż udrapowany ponad czarnymi, glazurowanymi dachówkami.

Przed domem nie ma samochodu, wszystkie okna są puste i czarne. Wąski pasek światła wysoko pod dachem zdradza jednak, że rolowana w dół zasłona nie jest szczelna. Gdy zadzwoniliśmy do drzwi, pasek światła natychmiast znikł. Dzwonimy jeszcze raz, ale nikt nie otwiera.

Noa znajduje w internecie numer komórki Adriany i wybiera go, ale łączy się tylko z automatyczną sekretarką.

– I co teraz? – szepcze Linus.

Noa odchyła głowę do tyłu i patrzy na okno, przez które przed chwilą widać było światło.

– Czy to jej pokój? – pyta.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. Nigdy nie byłam w domu Adriany. Gdy byliśmy młodsze, nawet na urodziny niby zapominała mnie zapraszać.

– Czy ona ma rodzeństwo?

– Nie, myślę, że nie.

– I nie widać żadnego auta, więc pewnie jest sama w domu – mówi cicho Noa. – To m u s i być jej pokój.

Zdecydowanym krokiem rusza w stronę rynny. Chwyta pokrytą lodem blaszaną rurę i kilka razy nią potrząsa, żeby sprawdzić stabilność.

A potem zaczyna się po niej wspinać.

– Co ty robisz? – Szept Linusa jest tym razem głośniejszy.

– Idę odwiedzić Adrianę. – Noa wspina się dalej.

Jest już metr nad ziemią.

Pi wznosi oczy do nieba, jakby wyczyny Noa grożące złamaniem karku były dla niej codziennym chlebem.

– *Show-off*⁵³ – mruczy.

Z zapartym tchem śledzę uważne, zwinne ruchy Noa. Zaciska kolana na rynnie i stabilizuje ciało, podciągając się na ramionach i za każdym razem wydając stłumiony jęk.

Dłonie muszą go kosmicznie boleć.

W mniej niż pół minuty jest już na górze przy oknie. Gdyby odchylił się w bok, mógłby dosięgnąć go prawą ręką.

Kręci mi się w głowie od samego patrzenia na niego. Jest pewnie co najmniej pięć metrów w górze.

– Adriana! – szepcze.

Cisza.

– Adriana! – Tym razem mówi trochę głośniej i ostrożnie stuka czubkami palców w szybę. W odpowiedzi podnosi się zasłona, mrok za szybą traci głębię i w słabym świetle ulicznej lampy pojawia się twarz Adriany.

Nie widzi Noa, a my jesteśmy ukryci w cieniu pod daszkiem osłaniającym drzwi wejściowe. I nagle gwałtownie otwiera okno na oścież.

Ciężka okienna rama uderza Noa w prawe ramię i odbija go w stronę rynny. Noa traci kontrolę, puszcza rynnę i leci w dół. Moje serce zapomina o pompowaniu krwi.

– Noa! – Pi podrywa się, ale nie ma szansy zdążyć dobiec.

Ramiona Noa wachlują w powietrzu, ręce szukają wsparcia. Jedna dotknęła rynny, palce się na niej zamknęły, ale to nie wystarczyło, żeby mógł się jej uchwycić.

Słyszę odgłosy rozdieranej tkaniny i szorującego o cegły metalu.

Noa ląduje na plecach w zaspie śnieżnej. Otacza go chmura śniegu.

Ledwo rejestruję krzyk Adriany ponad nami, ale nie odrywam wzroku od leżącej na ziemi nieruchomej postaci.

Pi już upadła na kolana przy Noa, a ja przebijam się przez zasy. Noa ma oczy szeroko otwarte, ale to mnie nie uspokaja.

– Noa! Powiedz coś, do diabła! – Pi szarpie go za kurtkę.

Z otwartych ust wydobywa się słaby dźwięk, a oczy otwierają się jeszcze szerzej.

– On nie może oddychać! – Linus gwałtownym ruchem rozpiną suwak kurtki Noa i poluzowuje czarny szal.

Noa chwytając powietrze gwałtownie i nierówno, jak gdyby dostał ciężki cios w przeponę. Usiłuje coś powiedzieć, ale z ust wydobywają się tylko ochryple, gardłowe dźwięki.

Drzwi wejściowe otwierają się z hukiem.

– Matko jedyna, co wy wyprawiacie?! – woła Adriana, która nadbiega jak burza w szlafroku i koszuli nocnej.

Noa kręci głową i próbuje usiąść, ale Pi kładzie mu rękę na piersi.

– Nie, nie podnoś się! – I dodaje przez ramię do Adriany: – Chcieliśmy tylko z tobą o czymś porozmawiać.

– Chcieliście tylko... co?! – woła Adriana piskliwym z przerażenia i wściekłości głosem.

– Wszystko w porządku... muszę tylko... usiąść – dyszy Noa i odpycha rękę siostry.

Siadając, jęczy. Opatrunek na prawej dłoni jest częściowo zerwany, a na śniegu widać czerwone plamy, Noa chyba jednak tego nie zauważa.

– Co ty robiłeś pod dachem? – pyta Adriana.

– Nie otworzyłaś drzwi i nie odebrałaś telefonu! – wtrącam, jak gdyby to były wystarczające powody, żeby się wspinać po jej domu.

– Ukradli mi w szkole komórkę – cedzi Adriana. – Na pewno jakiś gówniarz, który...

Noa w takim stopniu odzyskał władzę nad swoim oddechem, że może jej przerwać.

– Musimy porozmawiać o tym, co się dziś wydarzyło w szkole na podwórzu – mówią zdyszani.

– A to dlaczego? – Adriana patrzy na nas z wrogością.

– Widziałaś, co zrobiłaś tuż przed tym, jak Noa i Jonatan zaczęli się bić? – pytam.

– Bez przerwy dostawałam w głowę śnieżkami! Tak znów dużo nie widziałam!

– Ale my widzieliśmy – włącza się Linus. – Spowodowałaś, że kulka śnieżna zmieniła kierunek i uderzyła w Jonatana.

Adriana zaciska pięści.

- Ach tak? I co z tego?
- Nie rozumiesz... kulka nie tylko zmieniła kierunek, ona w ogóle w ciebie nie trafiła – dodaje. – Odepchnęłaś ją bez jednego dotknięcia.
- To jakiś żart? – Adriana patrzy na nas po kolei. – Bo jeśli tak, to naprawdę bardzo, bardzo kiepski!
- Nie, to nie żart – odzywa się Pi. – My też potrafimy robić... dziwne rzeczy. Tylko że odkryliśmy to dopiero dzisiaj.
- Niektórzy z nas – precyzuje Linus.
- Jasne! – Adriana prychna i odwraca się, żeby odejść.
- Adriana, to prawda! – Jestem sfrustrowana tym, że rozumiem jej reakcję. Gadamy jak jacyś uciekinierzy z psychiatryka.
- Okey – Adriana odwraca się do nas – więc co takiego potraficie?
- Ja najwyraźniej mogę sprawiać, że zapalają się przedmioty – mówi Pi. – Tylko nie wiem, jak to się dzieje.
- Emi i Alban potrafią przewidywać przyszłość – mówi dalej Linus. – A Noa ma ten dziwny pryzmat, który pasuje do tego przyrzędu u Karla.
- Podejrzewamy, że to on dał nam specjalne zdolności – tłumaczę dalej – więc wybieramy się do Karla, żeby z nim porozmawiać.
- Mieliśmy nadzieję, że pojedziesz z nami i przekonasz go, że mamy rację – mówi Pi. Sama nie wydaje się przekonana.
- Adriana tylko na nas patrzy. A potem odwraca się na pięcie i maszeruje do domu. Gdy zatrzasnęła za sobą z hukiem drzwi, z daszku nad wejściem poproszył śnieg.
- No, to fantastycznie, kurka jego mać – wyrzuca z siebie Noa i z powrotem opada na nieforemny śnieżny anioła, którego odcisnęło jego upadające ciało.

ROZDZIAŁ 29

Zanim wsiedliśmy do autobusu, żeby pojechać do Karla, pożyczyłam od Linusa komórkę, żeby zadzwonić do domu. Przez cały dzień wlokłam ze sobą w tylnej kieszeni spodni moją własną, ale nadal nie chciała się włączyć, równie dobrze mogłam ją zostawić na kuchennym stole w domu. Albo w koszu na śmieci.

Nawijam coś o odrabianiu lekcji u Linusa i Albana i dostaję zielone światło na zostanie u nich na noc. Daje nam to cały wieczór na przekonywanie Karla, żeby nam pomógł.

Gdy przekopawszy się przez śnieg, docieramy do jego domu, w oknie jednego pokoju pali się światło. Zaglądamy do niewielkiego salonu. Niebieskawe światło pochodzi od ogromnego grata, monitora stacjonarnego komputera. Ponad nim daje się dostrzec czubek głowy Karla.

Reszta domu jest pogrążona w mroku, ale odbite od śniegu światło księżycy w pełni odsłania więcej, niż gdy byliśmy tu pierwszy raz. Obserwatorium okazuje się drewnianą dobudówką do starego domu z czerwonej cegły. Obeszliśmy budynek i dotarliśmy do drzwi wejściowych. Noa jeszcze raz powtarza nasz plan.

– Okey, więc na początku nic nie powiemy o naszych zdolnościach. Tylko spytamy, czy możemy zadać mu kilku pytań na temat kosmosu.

Linus, Pi i ja kiwamy głowami.

Byłoby podejrzanе, gdybyśmy za bardzo interesowali się przyrządem, ale jeśli zagramy zapalonych maniaków kosmosu, nie powinno być trudno zbliżyć się do Karla.

Linus wchodzi na schodki i dzwoni do drzwi. Uzgodniliśmy, że to on będzie mówił, bo niewątpliwie najlepiej z nas wszystkich potrafi stawiać inteligentne pytania dotyczące tego tematu.

Jeśli będziemy mieli szczęście, Karl tak przejmie się rolą wszystkowiedzącej wyroczni, że pozostali z nas będą mogli zlokalizować przyrząd i „przypadkowo” sprowadzić rozmowę na jego temat.

Dzwonek brzmi głucho po drugiej stronie drzwi.

Patrzę na nienaturalnie okrągły granitowy kamień zatopiony w cemencie najniższego stopnia schodków i staram się uspokoić.

Będzie dobrze. Musimy się tylko zrelaksować i uwierzyć w siebie.

Wtedy wszystko się uda.

Jakiś głos w mojej głowie histerycznie chichocze: nie oszukuj się!

Z przedpokoju dobiega nas odgłos kroków, nad głowami ożywa jasnym światłem zewnętrzna lampa i drzwi się otwierają.

– Czego... czego chcecie? – pyta Karl. Wydaje się zdenerwowany.

Może boi się, że matka Adriany zaraziła nas swoim gadaniem o zgłoszeniu przestępstwa na policję.

– Zostawiłem u pana moją zawieszkę – mówi Noa.

– Ach, tak! – Karl wyraźnie czuje ulgę. – Chwileczkę, zaraz ją przyniosę. – Zdjął rękę z framugi drzwi i zamierza się odwrócić.

– Nie, proszę poczekać! – mówi szybko Linus.

Karl zawahał się.

– Zastanawialiśmy się... czy by nam pan w czymś nie pomógł.

Na twarzy Karla znów maluje się przestach.

– W czym?

– Mamy w szkole przygotować projekty o kosmosie – zaczyna Linus. – No i pomyśleliśmy, że pan na pewno bardzo dużo wie o... no właśnie, o kosmosie. I że może mógłby pan odpowiedzieć nam na kilka pytań w związku z tymi projektami?

Karl nie wygląda na zachwyconego perspektywą zostania pomocniczym nauczycielem.

– No nie wiem...

– Po prostu... wczoraj świetnie nam pan tłumaczył o Leonidach. A nauczyciele zawsze powtarzają, że jeśli się chce dobrze coś zrozumieć, to trzeba szukać jak najlepszych źródeł. A my po prostu nie znamy nikogo, kto by wiedział więcej niż pan.

Karl sprawia wrażenie, jakby trochę mu to pochlebilo.

Linus wyłożył asa.

– Nie zajmujemy panu dużo czasu, zaraz sobie pójdziemy. – Gdyby był dziewczyną, zawachlowałby teraz rękami, ale poprzestał na uśmiechu.

Karl przerzuca ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Eee... no dobrze. – Otwiera drzwi na oścież.

Gdy przekroczyła próg jego domu, poczułam w brzuchu skurcz, echo wczorajszej paranoi.

Zakładam, że pójdziemy po schodach do obserwatorium, ale zamiast tam, Karl prowadzi nas do zalanego niebieskawym światłem pokoju. Zapala lampę na suficie i niebieskawą poświatę z monitora pochłania przyćmione, żółte światło.

Salon Karla połączony jest z aneksem kuchennym, granicę wyraźnie wyznacza tapeta w kwiaty barwy zielonej pleśni i typowy dla lat sześćdziesiątych klinkier w kolorze curry. Trudno dostrzec, czy różni się też podłoga. Salon połączony z kuchnią przypomina naznaczone chaosem wnętrze obserwatorium.

Książki, papiery i wielkie mapy nieboskłonu pokrywają wszystkie poziome płaszczyzny: sofę, blat obok zmywaka, telewizor i podłogę, na której pną się rozmaitej wysokości stopy. Pośród nich wisi słodkawy, nieprzyjemny zapach. Część papierów wygląda na śmieci.

– Cóż, troszkę tu chyba bałaganu. Nieczęsto miewam gości – mówi Karl zażenowany i prowadzi nas do stołu na środku pokoju.

Idziemy za nim ostrożnie. Pod stopami coś trzeszczy i chrzęści, cieszę się, że nie zdjęłam butów.

Meblościanka przy ścianie niemal znikła pod pudłami, papierem i skłębioną warstwą szarego kurzu, który nasze ruchy wznoszą w powietrze. W kilku miejscach pokoju stoją kuliste plastikowe modele atomu, takie same jak te, które kiedyś robiliśmy na lekcjach fizyki i chemii.

Przeciskamy się do tego, co kiedyś być może było pomyślane jako stół jadalni, teraz zawalony kiwającymi się stertami.

Pośród tego wszystkiego króluje komputer. Gigantyczną, szarą skrzynię monitora pokrywają arkusze papieru. Pośród poplamionych kawałkami gazet i wydruków skomplikowanych obliczeń leżą nieotwarte urzędowe listy. Do tej nieforemnej papierowej instalacji lepią się niczym blade pijawki grudki gumy do żucia, a wszędzie dokoła walają się puste puszkę po konserwach, butelki po coli i torebki po chipsach. Na klawiaturze pełno jest okruchów chleba i plam nieokreślonego pochodzenia. Na stole pośród brudnych talerzy stoi mnóstwo kubków i szklanek z resztkami

wody i kawy. W jednej z nich pływa wysepka pleśni o średnicy pięciokoronówki, a z pustej puszkki po makrelach w tomacie sterczy samotny widelec; puszka przewróciła się i sączący się z niej czerwony olej zalał ponaglenie z urzędu podatkowego. Zrozumiałam, skąd pochodzi zapach zgnilizny.

Moją uwagę zwraca miganie czerwonej lampki pod sufitem.

Spoglądam w górę i widzę biały czujnik dymu. Kilka metrów dalej jest jeszcze jeden. Choć salon i kuchnia Karla mają razem nie więcej niż pięćdziesiąt metrów kwadratowych, na suficie umieszczono co najmniej dziesięć czujników. Mając w jednym pomieszczeniu tyle papieru, ja też byłabym bardziej niż przeciętnie niespokojna o pożar.

Kurz łaskocze w nosie, przełyk też mam jakby wymoszczony welurem. Kicham cztery razy pod rząd, wzbudzając jeszcze większe tumany kurzu. Zaczęłam przepychać zatkany nos, ale wywołało to tylko napad kaszlu.

– Chcecie się czegoś napić? – pyta Karl, zaskoczony całą sytuacją i nieco zagubiony w nieoczekiwanej roli gospodarza. – Mam... eee... wodę. I może trochę kawy. Jeśli nie zużyłam reszty.

Skinęłam głową, wciąż kaszłąc.

– Poproszę o wodę – charczę.

Karl zaczął przebijać się przez stopy papieru do kuchni i po chwili wrócił z kubkiem wody.

Wypijam łączywie wszystko jednym haustem, żeby splukać uczucie suchości. Naraz poczułam posmak pleśni i pożałowałam, że nie zajrzałam do kubka. Krzywię się, ale na szczęście Karl tego nie widzi.

Patrzy na pozostałych.

– A wy? Woda? Czy kawa? Okazuje się, że trochę mam.

Bliźnięta i Linus widzieli wyraz mojej twarzy i kręcą głowami.

– Nie, dziękuję – mówią chórem.

– A ja, zanim zaczniemy, chyba zrobię sobie kubek kawy. – Karl człapie z powrotem do kuchni. – Siadajcie. Powinno wystarczyć krzesel – woła, odwracając się do nas.

Spoglądam na stopy wokół stołu. Większość chwiejących się stert jak nic ma nogi albo kółka. Zaczęliśmy ostrożnie robić miejsce na krzesła.

Karl wraca, niosąc kubek gorącej wody i puszkę z kawą rozpuszczalną. Zrobił odrobinę miejsca na rogu stołu, który, jak się okazało, okrywa kraciasta cerata, i zaczyna wsypywać kawę do parującego kubka.

– O co tak bardzo chcecie zapytać?

Linus uśmiecha się jak pięciolatek wpuszczony do sklepu z cukierkami.

– Czy wie pan coś o bozonie Higgsa? – pyta skwapliwie.

– Troszeczkę – mówi Karl skromnie. Łyzeczka porusza się wahadłowym ruchem między kubkiem a puszką z kawą. Zaczyna mieszać dopiero, gdy kawa jest tak czarna, że niemal dałoby się ją kroić.

Linus zapuścił się w dłuższe przesłuchanie, w którym pojawiają się słowa typu „akcelerator cząstek”, więc wyłączam się i zaczynam dyskretnie rozglądać się po pokoju w poszukiwaniu dobrze mi znanego pudła.

Żadne z tych stojących na podłodze ani na wyglądającym jakby za chwilę miał się zawalić regale nie wygląda tak jak to, którego szukam. Są albo za małe, albo w rozsypce, albo mają z boku za dużo napisów.

Zastanawiam się, jak moglibyśmy wśliznąć się do obserwatorium, gdy nagle w oko wpada mi

poplamiona skórzana torebka.

Leży na pośliskiej mikrofalówce, na pół zakryta pustym pudełkiem po jakimś gotowym daniu.

– Należę sobie jeszcze wody. – Chwytam kubek i idę do kuchni. Jest zawałona brudnymi naczyniami, a w zmywaku stoi zalany wodą garnek po zupie. Na lustrze wody razem z okami tłuszczu pływają resztki jedzenia przypominające pozostałości po sosie mięsnym. W dolnej partii zabudowy tylko kuchenka wygląda na jako tako nową. Choć na stole piętrzą się stopy talerzy i opakowań, płyta ceramiczna jest czysta i niezabłaganiona. Dużo można o Karlu powiedzieć, ale określenie „entuzjasta gotowania” nie wpada człowiekowi do głowy jako pierwsze.

Pasek torebki zwisa wzdłuż bocznej ścianki mikrofal.

Ostrożnie unoszę puste pudełko, które kiedyś zawierało kulki mięsne w sosie curry. Brązowa torebka zdaje się niepokojąco płaska, i gdy trochę uniosłam pudełko, widzę, że jest pusta.

– Słuchaj no, czy zawsze grzebiesz w rzeczach innych ludzi? – Głos najwyraźniej dotkniętego Karla sprawia, że cofam rękę tak szybko, że torebka i pudełko spadają na podłogę.

– Nie, nie, ja chciałam tylko... po prostu zastanawiam się, od czego zrobiły nam się te rany. – Podnoszę rzeczy, kładę je z powrotem na mikrofalę i czuję, jak płoną mi policzki.

– A właściwie, czy przyglądał się pan tej sprawie? To znaczy kompasowi pańskiego ojca? – Noa dostrzegł szansę na zmianę tematu.

– Tak... – odpowiada Karl czujnie, jak gdyby oczekiwał, że jeśli powie za dużo, zostanie zatrzymany za nielegalne posiadanie broni.

– Doszedł pan do tego, jak to działa? – Linus pochyla się ku niemu z szeroko otwartymi oczami.

– Nie. Ale niewykluczone, że miałeś rację, cyfry mogą służyć do ustawiania czegoś w rodzaju kodu.

– Jakiego kodu? – Noa stara się brzmieć tak, jak gdyby nie był szczególnie zainteresowany, ale jego głos zdradza napięcie.

– Nie wiem. – Karl wstaje, obchodzi stół dokoła i zbliża się do komputera, a potem wyciąga krzesło biurowe i bierze do ręki coś, co leżało na siedzeniu.

Widok przyrządu wywołuje gwałtowny skurcz w moim żołądku i odruchowo zaciskam pięści, przygotowana na najgorsze.

Ale nie pojawiło się buczenie i nic nagle się nie zaświeciło. Urządzenie koloru matowego złota spokojnie leży w dłoni Karla. Karl sięga do kieszeni i wyjmuje pryzmat, który niechętnie podaje Noa.

– Proszę. Myślę, że to twoja ozdoba sprawiła, że urządzenie się włączyło, ale nie miałem odwagi tego sprawdzić. – Karl kładzie instrument na stole obok kubka z kawą.

Powoli podchodzę bliżej. Wszyscy pochylamy się nad urządzeniem.

– Nie potrafię wytłumaczyć, jak to działa – mówi dalej Karl. – Nie ma miejsca na baterie, a rozkręcanie jest zbyt ryzykowne, skoro tak was przetrzepało. – Karl wskazuje głową na moje zabandażowane dłonie.

– Jak pan myśli, dlaczego tu jest mapa? – pytam.

– Może tylko do ozdoby? W każdym razie nie można przy niej manipulować, podobnie jak przy tych tarczach z liczbami.

Linus przekręca metalowe rowkowane taśmy znajdujące się wzdłuż brzegu instrumentu i tarczki zgrzytnęły, ocierając się o siebie z piszczącym odgłosem zardzewiałego metalu.

– Jeśli trzeba nastawić kod, to jest to dość skomplikowane – mówi. – Jest miejsce na ustawienie w sumie dziesięciu liczb, dwucyfrowych na jednej połowie i jednocyfrowych na

drugiej.

W jasnym świetle dnia dostrzegam, że na każdej tarczy są cyfry od zera do dziewięciu. Na pięciu z nich jest druga tarczka, nieco mniejsza, tak żeby można było ustawić liczbę dwucyfrową.

– Kompas na kod? Ostro! – odzywa się Noa.

– Na pewno jest w tym jakaś logika. – Linus nadal bada instrument oczami i czubeczkami palców. – Może to szyfrownik? Wiecie, taki jak ta Enigma, której w czasie drugiej wojny światowej używali Niemcy do szyfrowania i łamania szyfrów.

– A może to jest jakiś totalnie high-tech-minisejf?! – podnieca się Pi. – Może w środku jest coś o gigantycznej wartości, co można wyjąć tylko, jeśli się nastawi właściwy kod?!

– I od wczoraj nie udało się panu zmusić go do jakiegokolwiek aktywności? – Noa spogląda na Karla, który kręci głową.

– Niestety. – Karl patrzy z mieszkanką respektu, lęku i tęsknoty na dłoń Noa ściskającą mały szklany pryzmat.

– Więc nie ma pan pojęcia, co takiego wydarzyło się wczoraj? – pytam.

– Nie. Gdybym wiedział, że to niebezpieczne, nigdy nie pozwoliłbym wam przy tym dłubać. Sądziłem, że to po prostu jakiś dziwoląg, który trzymał mój ojciec. Zbierał przedziwne rzeczy.

– Miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy to pożyczyci? – pyta Noa.

Karl patrzy na niego zaskoczony.

– A po co?

– Żeby się przyjrzeć.

Karl zaciska dłoń na urządzeniu i przyciska je do piersi, jakby się bał, że je ukradniemy.

– Nie – mówi.

– Nie? – Noa marszczy brwi.

– Nie – powtarza Karl, tym razem bardziej zdecydowanym tonem. – Po pierwsze, to zbyt ryzykowne. Nie chcę być odpowiedzialny za to, że znów coś wam się stanie. A po drugie, nie mam zwyczaju pożyczania moich rzeczy komuś, kogo nie znam. W gruncie rzeczy, w ogóle nikomu nic nie pożyczam.

Karl idzie do kuchni i bierze z mikrofali skórzaną torebkę. Gdy instrument w niej zniknął, Noa stęknął sfrustrowany. Karl położył torebkę na stole kuchennym i się odwrócił.

– Macie jeszcze jakieś pytania? – pyta opryskliwym tonem.

Spojrzeliliśmy na niego wszyscy czworo.

– Nie – mówi zaskoczony Linus.

– No to powodzenia w pisaniu projektów. – Karl krzyżuje ramiona na piersi. – Traficie sami do wyjścia?

ROZDZIAŁ 30

– Do diabła, Noa! – Pi eksploduje, doskakując do brata, gdy tylko kroki Karla ucichły za zamkniętymi drzwiami domu. – Czemu koniecznie musiałeś pytać, czy możemy go pożyczyć? Już przecież prowadziliśmy na ten temat rozmowę!

Noa zaciętrzewiony wymierza kopniaka warstwie śniegu leżącej na najwyższym stopniu schodów.

– Przecież nie mogłem wiedzieć, że totalnie się zatnie!

– Czemu tobie zawsze tak cholernie się spieszy?! – warczy Pi.

– A czemu ty zawsze jesteś taka cholernie mądra?! – Noa zeskakuje ze stopni i zaczyna brnąć przez śnieg w stronę drogi wzdłuż naszych śladów.

Po kilku metrach zatrzymał się. Gdy się do nas odwrócił, mimo dystansu dostrzegam w srebrnym świetle księżycy stalowy wyraz jego twarzy.

– Musisz pokazać mu sztuczkę z ogniem – mówi, patrząc na siostrę. – Musimy go przekonać, że ten dynks potrafi więcej niż tylko porażać prądem.

– Nie. – Pi energicznie potrząsa głową. – Przecież mówiłam, że nie chcę. Ja w ogóle nad tym nie panuję. To zbyt niebezpieczne!

– Przecież na pogotowiu nic się nie wydarzyło, prawda? Jak długo wiemy, co się może stać, możemy przedsięwziąć środki ostrożności.

Przed oczami stanął mi salon Karla od podłogi do sufitu zawałony kartonami, śmieciami, papierami i książkami.

– Ja uważam, że bawienie się ogniem w domu Karla byłoby niebezpieczne. Niezależnie od tego, jak byśmy byli przygotowani – mówię.

– No to wyjdziemy na zewnątrz! – Noa podchodzi do nas. – Najważniejsze, żeby to zobaczył!

– Nie chcę – mówi Pi. – Nie możesz mnie do tego zmusić.

Noa spojrzął na nią z politowaniem.

– Właśnie to najwyraźniej jestem w stanie zrobić. Muszę cię tylko porządnie wkurzyć.

Pi zastygła, zaciska pięści przy udach. Wygląda tak, jakby chciała mu nabluzgać, ale nagle rozluźnia pięści i powoli wypuszcza z płuc powietrze.

– Niezła próba – mówi z wymuszonym spokojem.

Noa prychnął i znów maszeruje w kierunku drogi. Słysząc tylko ciche skrzypienie śniegu pod jego podeszwami.

Pi zaczyna schodzić ze schodów, Linus i ja idziemy za nią, ale nagle zatrzymała się tak nieoczekiwanie, że na nią wpadam.

– Hej! Słyszałam to, ty skurczybyku jeden! – woła.

Noa odwraca się.

– Co słyszałaś? – pyta zdezorientowany.

– Że nazwałeś mnie pieprzonym leszczem!

– Co? – Złość znika z twarzy Noa i zastępuje ją wyraz niedowierzania. – Ale ja tego nie powiedziałem!

– Nie musisz odgrywać niewiniątka, okey? Przecież nie dlatego usłyszałam, że szeptałeś!
Noa patrzy na siostrę. I na Linusa, i na mnie stojących za plecami Pi, każdy na swoim schodku.

– Wy też słyszeliście? – pyta.

Kręcę głową.

– Nie – mówi Linus.

Pi odwraca do nas twarz i patrzy nieufnie.

– Jak mogliście nie słyszeć? Przecież prawie krzyczał!

Widzę nad jej ramionami, jak Noa mruga powiekami, totalnie zszokowany.

A potem poruszył ustami. Choć nie wydobył się z nich żaden dźwięk, formuje zdanie skierowane do siostry tak wyraźnie, że mogłam odczytać je z ruchu warg: „*Fuck!*”

Pi odwraca się do niego gwałtownie i z irytacją podnosi palec.

– Dosyć, ale już!

Noa przekrzywia głowę. Tym razem jego usta się nie poruszają, a mimo to Pi wścieka się, jak gdyby tylko co obrzucił ją bluzgami.

– Ty mały... – Zeskakuje na śnieg i rusza za nim galopem.

Noa nie rusza się z miejsca, tylko patrzy na nadbiegającą siostrę, która unosi rękę do uderzenia, ale najwyraźniej w ostatniej chwili zmienia zamiar z powodu oparzeń, więc zamiast tego bierze zamach, żeby go kopnąć. Ruch nogi jest szybki i kojarzy się z karate, ale Noa chwytą jej stopę i wykręca ją w górę, i Pi upada na plecy.

Przez krótką chwilę spodziewałam się, że Noa rzuci się na nią w zagorzałej bratersko-siostrzanej walce, ale on tylko patrzy, jak zdyszana wstaje i podejmuje jeszcze jeden atak.

– Pi, przestań! – Robi unik przed ciosem, jaki Pi wymierza mu ramieniem.

Gdy znowu ruszyła do natarcia, chwytą ją za nadgarstek. Pi usiłuje dosięgnąć go drugą ręką, ale i ona trafia w tę samą pułapkę.

– Puść mnie! – Pi ma zaczerwienioną twarz i tak wykrzywioną, że boję się, że zaraz podpali brata.

Ich ramiona są skrzyżowane.

– Pi – mówi Noa, próbując pochwycić jej spojrzenie.

– Puść mnie, ty kretynie!

– Pi, spójrz na mnie!

– Aa! – Pi wyteża siły, żeby się uwolnić, ale Noa jest silniejszy. Walczą, mocują się, to w przód, to w tył, otoczeni tumanami wzniesanego śniegu.

– Spójrz na mnie, do diabła! – Noa nagłym ruchem puszcza jej nadgarstki i bierze jej twarz w obie ręce.

Pi jest tak zaskoczona, że zapomina się bronić.

Przez kilka sekund wlepiają w siebie oczy.

A potem Pi wyrywa mu się.

– Co ty robisz? – pyta przerażona.

– Słyszałaś to?

Pi powoli unosi rękę, żeby położyć dwa palce na ustach brata.

– Zrób to jeszcze raz. – Jej głos drży, mówi tak cicho, że z ledwością ją słyszę.

Noa nic nie robi.

Pi wydaje z siebie okrzyk zdumienia i cofa się kilkoma chwiejnymi krokami.

– Jak ty to robisz?

Linus i ja z wahaniem podchodzimy bliżej.

– Co wy wyprawiacie? – pytam.

Pi wpatruje się w brata.

– Noa potrafi... ja słyszę jego głos...choć on nic nie mówi!

– Co? – Linusa zamurowało. – Jak to?

Noa patrzy na Pi skoncentrowanym wzrokiem, a jej twarz wykrzywia pełen cierpienia grymas.

– Nie, Noa... przestań, *please* – szepcze, nie patrząc na niego. Obiema rękami obejmuje głowę i mocno zaciska usta.

Noa zeszywniał.

– Ty też to potrafisz!

– Co?

– Słyszę cię! A nie poruszałaś ustami. Mówiłaś „przestań, przestań, przestań, przestań”. A w każdym razie pomyślałaś to!

Pi odjęła ręce od głowy i patrzy na niego zagubiona.

– Tak czy nie? – naciska Noa.

Pi kiwa głową.

– Ale jak my to...

– Spróbuj jeszcze raz – mówi Noa. – Pomyśl o czymkolwiek. Powiedz coś w myślach. A ja, jeśli to usłyszę, spróbuję ci odpowiedzieć. – Noa przysunął się o krok do siostry, ale ona odsuwa się i utrzymuje dystans.

– Okey! – zabrzmiało to ostro i twardo, jak broń, która ma przeszkodzić Noa w nadmiernym zbliżeniu się. Pi wstrzymuje oddech i wpatruje się w niego, nie zwracając uwagi na mnie i na Linusa.

Mięśnie wokół oczu Noa pulsują przez moment w drobnym tiku, jak gdyby wykręcił stopę na kamieniu albo dotknął płotu z siatki pod prądem.

Pi z jękiem wypuszcza całe zatrzymane w płucach powietrze i odwraca wzrok.

– Już – mówi cicho.

– Powiedziałaś „hej”, bardzo wyraźnie. – W głosie Noa jest zdziwienie. Tym razem Pi nie odsuwa się, gdy do niej podszedł. – A ty słyszałaś moją odpowiedź? – pyta.

– Tak. – Pi patrzy na śnieg. – Ty... ty też powiedziałaś tylko „hej”.

Gdy dotarło do mnie, że moja nowa koleżanka i mój nowy kolega potrafią czytać w swoich myślach, zagotowało mi się w mózgu. A jeśli potrafią też czytać w moich myślach? Przerazenie podpałiło rój motyli w moim brzuchu. Z ust wydostał się cichy okrzyk.

Noa spojrział na mnie ostro.

– Co?

Przez głowę galopują mi myśli. Jego uśmiech na lekcji fizyki i chemii, zapach jego dezodorantu, cienki rzemyk na karku. I podniszczony szkicownik z jego portretem. Czarne jak węgiel włosy i niebieskozielone oczy, których koloru nigdy dokładnie nie oddadzą kredki. Nie! Nie wolno mi o nim myśleć!

Jeśli Noa potrafi czytać w moich myślach, to jest w nich aż za dużo spraw, o których nie powinien wiedzieć. O wiele za dużo spraw, których nie potrafię ukryć, nawet za cenę życia! Noa wypływa z mojej podświadomości jak wielka pomarańczowa boja na morzu pełnym min. Linus mówił mi kiedyś, że jeśli się kogoś prosi, żeby nie myślał o różowym słońcu, to jedyne o czym ten ktoś może pomyśleć, jest różowy słoń. I teraz właśnie słoń przygląda mi się z uwagą... jak gdyby naprawdę słyszał wszystko, co dzieje się w mojej głowie.

Nadeszła moja kolej na cofanie się przed nim.

– Słyszysz też... mnie?

Noa unosi prawą rękę i przykładła do skroni dwa palce. Podobnie jak to robi profesor Xavier w serii *X-Men*, gdy stara się z kimś połączyć telepatycznie. Albo mój nowy kolega trochę za często oglądał te filmy, albo jest to po prostu coś, co ma się potrzebę robić, gdy się chce wniknąć w mózg innej osoby.

Zaciskam powieki, niepewna, co mnie czeka. Czy będę słyszeć w głowie jego głos? Czy potrafi wysysać też ze mnie myśli tak, że nie będę tego zauważać? Podejmuję desperacką próbę myślenia o czymś obojętnym, o czymś, co nie jest niebezpieczne.

Ołówek. Myślę o ołówku. Wyobrażam sobie smukłą, ośmiokątną, żółtą formę i grafitowy czubek. I czekam z łomoczącym sercem.

– Na razie niczego nie słyszę – mówi Noa.

Otwieram oczy, czujna z powodu słów „na razie”.

– Spróbuj wymyśleć jakąś odzywkę do mnie. Na przykład „Hej, Noa”. – Noa nadal, niczym antenę, trzyma w pogotowiu palce przy skroni.

Niemal słyszę, jak drży mi głos, gdy w głębi przetyku, bezdźwięcznie formuję te dwa słowa.

Skoncentrowany wyraz twarzy Noa nie zmienia się.

W mojej głowie jest tak cicho, że można by usłyszeć myśl o upadającej na ziemię szpilce.

– I co? – W głosie Linusa jest napięcie.

– Nie. – Noa odjął palce od skroni. – Próbowałem rozmawiać z Emi tak jak z Pi, ale najwyraźniej mnie nie słyszy, ani ja jej.

Uczucie ulgi pulsuje we mnie w rytmie gwałtownego bicia serca.

Wszystko wskazuje na to, że na szczęście wyczerpałam już dzisiejszy przydział udręk i wstydu.

Po testowaniu zjawiska przez pół godziny na zaśnieżonej drodze w niewielkim oddaleniu od domu Karla być może rozpoznaliśmy system.

Tylko Noa i Pi mogą rozmawiać ze sobą telepatycznie. I to wyłącznie zwracając się wzajemnie do siebie. Nie mogą tak po prostu grzebać jedno drugiemu w myślach. Zdawało się, że zwłaszcza Noa poczuł z tego powodu ulgę.

Powiedzieli, że dotyczy to zarówno słów, jak i obrazów. I że, żeby się komunikować, nie muszą stać obok siebie. Ich szczególne mentalne sygnały przechodziły bez zakłóceń, nawet gdy byli oddaleni od siebie w srebrzystym mroku o dwieście metrów.

W pewnej chwili bliźnięta podkraśliły się do okna salonu Karla i usiłują wyłowić jego myśli, ale bez powodzenia. I nie działa to też na Linusa.

Więc albo Karl, Linus i ja mamy bardzo grube kości czaszki, albo Noa i Pi mają zainstalowaną pod sufitem specjalną wersję Skype’a.

– To co, słuchajcie, jesteśmy zgodni co do tego, że nad tym panujemy? – pyta Noa. W miarę postępowania prób był coraz bardziej podekscytowany, a teraz ekscytacja powoduje, że jego ciało drży z niecierpliwości.

– Ja... ja nie wiem – mówi Pi. – Testowaliśmy tylko na pięciu osobach, i to przez nieszczególnie długi czas, więc...

– To nie jest niebezpieczne – przerywa jej Noa. – Nikomu nic się nie stało, prawda?

– No nie, ale...

– Spoko. Mam pomysł.

– Jaki? – W głosie Pi słyszę czujność.

– Wracamy do Karla i przekonamy go, żeby pozwolił nam jeszcze raz obejrzeć ten dynks. Gdy mu zademonstrujemy czytanie w myślach, będzie musiał nam uwierzyć!

– Ale... – zaczyna Pi.

– Nic złego się nie stanie, okey? Poza tym musimy dowiedzieć się więcej. A jeśli to tylko początek? – Noa stuka się palcami w skroń.

Na samą myśl o tym poczułam się chora.

– Pomyślcie, gdyby działa się z nami więcej dziwnych rzeczy! Musimy się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia – mówi dalej Noa.

– Masz rację – przyznaje niechętnie Linus. Jak dotąd tylko on spośród nas wszystkich nie wykazał oznak czegoś nienormalnego, ma tylko takie same rany. Może to po prostu kwestia czasu i będzie kichaniem wywoływał pęknięcia skorupy ziemskiej?

Za to Pi ma, jak się wydaje, dwie zdolności, wywoływanie ognia i telepatię, którą dzieli z bratem. A co, jeśli pozostali z nas też potrafią więcej niż tylko jedną rzecz? A co, jeśli ten obłąd nie ma granic?

Nie mamy wyboru. Musimy dowiedzieć się, o co tu chodzi.

A ja tak bardzo pragnę nie musieć już nigdy więcej oglądać Karla i jego dziwnego szyfrowego kompasu!

– Tak, mam rację. – Noa z pewnością siebie krzyżuje ramiona na piersi i czeka, aż Pi i ja, podobnie jak Linus, zrozumiemy sytuację.

– Masz jakiś pomysł? – pytam. – Przekonać go, tak? Przecież nie potraficie czytać w jego myślach. I niezależnie od tego, co ty i Pi telepatycznie sobie przekazujecie, może to być coś, co wcześniej sobie uzgodniliście. Karl już i tak podejrzewa, że maczaliśmy palce w zrobieniu jego strony internetowej. Jeśli nie wymyślimy czegoś naprawdę przekonującego, uzna, że robimy z niego głupka.

Noa patrzy na swoje skrzyżowane ramiona, zatopiony w myślach.

– A gdybyście się podzielili? – proponuje Linus. – Gdyby Pi rozmawiała z Karlem, a ty stałbyś odpowiednio daleko, tak żebyście nie mogli się usłyszeć... i Pi zadawałaby mu pytania, na które tylko on może odpowiedzieć, a potem ty byś przyszedł i powtórzył mu te odpowiedzi?

– Dobry pomysł – przyznaję. – Ale Karl musi chcieć współpracować. Mamy po prostu zadzwonić do drzwi i zacząć go wypytywać o to, co jadł wczoraj na kolację, i oczekiwać, że tak bez niczego będzie odpowiadał?

– Będzie współpracował – zapewnia Noa. Jest tak przejęty badaniem nowych zdolności swoich i Pi, że zapomniał, że są czymś bardzo surrealistycznym dla kogoś, kto nie może brać udziału w tej niemej komunikacji.

– A jeśli będzie twierdził, że po prostu podsłuchiwał przy drzwiach? – pytam.

– Mogę wyjść do ogrodu. Tak, żeby mnie widział z okna.

– Przecież mógłbyś mieć ze sobą komórkę. Albo jakieś urządzenie umożliwiające ci słyszenie jego rozmowy z Pi – zwracam uwagę.

– Wypróżnimy przedtem kieszenie. Pokażemy mu, że nie mamy żadnych ukrytych mikrofonów. Musi nam uwierzyć! – gorączkuje się Noa.

– Bo już jest naszym wielkim fanem, tak? – mówię z sarkazmem.

Noa spogląda na drogę prowadzącą do domu Karla. A potem kręci głową.

– To co byś chciała? Z góry się poddać?

Patrzę na swoje stopy, które znikły w śniegu i w świetle księżyca, i nie odpowiadam. Jest mi

zimno, mam ochotę wracać do domu.

– Tylko Karl może nam pomóc w dowiedzeniu się czegoś więcej – nalega Noa.

– Okey. Ale sam musisz go przekonać.

– *Deal*⁵⁴. – Noa wie, że Linusa już ma po swojej stronie, więc teraz patrzy pytającym wzrokiem na siostrę. Nie potrafię stwierdzić, czy prowadzą niemą dyskusję, bo długo patrzą sobie w oczy, nic nie mówiąc. Być może Pi próbuje tylko przeszukiwać swój mózg, by znaleźć dobre uzasadnienie dla rezygnacji z wracania do tego ciemnego domu.

– Dobrze, dobrze – wzdycha wreszcie i zaczyna maszerować szerokim już teraz śladem, które zostawiły w śniegu nasze buty. – Ale na pewno niczego nie podpalę, żebyście wiedzieli!

ROZDZIAŁ 31

– Czego wy znowu chcecie? Zapomnieliście czegoś? – Irytacja w głosie Karla, gdy otworzył nam drzwi, sprawia, że żałuję, że zgodziłam się na podjęcie ponownej próby.

Ale Noa udaje, że ten niegościnnie ton nie robi na nim wrażenia.

– Chcemy z panem porozmawiać o kompasie – mówi.

– Co? Przecież mówiłem, że wam go nie pożyczę!

– Tak, wiemy. Ale musimy jeszcze raz go obejrzyć.

Karl nabrał powietrza, żeby wyrzucić z siebie pełną złości odpowiedź, ale Noa go uprzedza.

– Proszę posłuchać, to nie żarty! Od wczoraj dzieją się z nami dziwne rzeczy. Po tym, jak doznaliśmy tych ran. I musi nam pan pomóc zrozumieć, dlaczego!

– Dziwne rzeczy? – Karl wygląda, jakby nie całkiem mógł się zdecydować, czy nas ochrzanić, czy szybko zamknąć drzwi.

– Tak. Potrafimy... robić... różne rzeczy. Mamy jakieś zdolności, których nie mieliśmy wcześniej.

– Zdolności? – Oczy Karla zwężają się w wąskie szparki, a jego palce zaciskają się na framudze drzwi.

– Możemy to udowodnić – mówi Noa.

– Aha? A jak?

– Moja siostra i ja potrafimy... komunikować się telepatycznie.

Jak idiotycznie to brzmi, wypowiedziane na głos! Mam nadzieję, że Noa nie wspomni o pozostałych zdolnościach. Zabrzmiałoby to jeszcze bardziej idiotycznie.

– Pomyśleliśmy, żeby to panu jakoś pokazać – mówi Noa. – Gdybym teraz wyszedł do ogrodu, a pan i Pi...

– Więc twierdzisz, że potraficie czytać w moich myślach? – Karl nie wygląda na przestraszonego, więc albo nie ma nic do ukrycia, albo nie wierzy. Niestety, najprawdopodobniej to ostatnie.

– Nie, tylko w naszych nawzajem.

– Ach tak. No i jakżeż chcecie to udowodnić?

– Jak już mówiłem, mogę wyjść do ogrodu, a pan będzie rozmawiał z Pi...

– Do ogrodu? Ach tak? Żebyście mogli się słyszeć. I wtedy to może być tylko telepatia, prawda? Bo mikrofonów i takich rzeczy jeszcze nie wynaleziono, prawda? A wam nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby ich użyć, co?

– Możemy pokazać, że nie mamy przy sobie żadnych urządzeń do rejestrowania. – Delikatne drżenie głosu Noa zdradza frustrację. – Jeśli pan chce, może pan sprawdzić nam kieszenie.

– Oj, to brzmi zachęcająco!

– Okey. Proszę tylko dać nam szansę. Obiecujemy, że jeśli nam pan nie uwierzy, nigdy już do pana nie przyjdziemy!

– To jest jakaś oferta – mówi Karl. – Ale czy mogę na to liczyć?

– Na sto procent. – Noa wyciąga ku niemu rękę. – Umowa?

Karl skinął głową i podał mu rękę, zainteresowany jak najszybszym pozbyciem się naszego towarzystwa.

– Wspomniałeś coś o ogrodzie – mówi wesoło.

Noa dostaje liniowany blok i długopis, żeby móc robić notatki z rozmowy Pi z Karlem. Zanim wyszedł do ogrodu, Karl symbolicznie pogmerał trochę w kieszeniach kurtek jego i Pi i patrzy, jak wyłączają smartfony i zostawiają je w przedpokoju.

Stoję w salonie przy oknie i obserwuję Noa. Usadził się w prostokącie padającego z okna światła, wygodnie oparty o pokrzywione, bezlistne drzewo. Położył sobie blok na kolanach, złożył dłonie w miseczkę i chucha w nią, żeby ogrzać palce. Potem pstryka długopisem i wyciąga w kierunku domu dłoń z uniesionym kciukiem.

Odwracam się do Karla i Pi siedzących naprzeciwko siebie z wyprostowanymi plecami i rękami złożonymi na stole. Usiłują sprawiać wrażenie zrelaksowanych, ale przypominają mi ludzi zasiadających do rozmowy o pracy, na którą żadne z nich nie ma ochoty. Linus stoi przy końcu stołu i próbuje stać się niewidoczny.

– Noa jest gotów – mówię.

– Tak – dodaje Pi, jak gdyby już to wiedziała. Ale pewnie rzeczywiście wiedziała. Spogląda na Karla.

– Eee... mam pana pytać o rzeczy, o których sami nie moglibyśmy się dowiedzieć.

– Aha – mówi Karl.

– Jakież propozycje?

– To wasz pomysł. – Karl zdaje się poirytowany.

– Eee, no tak. Więc... jaki był numer domu, w którym mieszkał pan jako dziecko?

– Trzy.

– Okey. – Pi robi przerwę i sztywno patrzy przed siebie, skoncentrowana na wysyłaniu do ogrodu myślowego faksu.

Potem znów zwraca się w stronę Karla. – Jak... mmm... jak wabił się wasz pies? Ten ze zdjęcia.

– Łajka. W połowie labrador, w połowie golden retriever.

Na myśl o Łajce Karl lekko się uśmiecha.

– Okey. – Pi robi jeszcze jedną telepatyczną przerwę, a potem stawia kolejne pytania.

Karl odpowiada na wszystkie i powoli zaczyna się rozluźniać, jak gdyby opowiadanie o sobie działało niemal jak terapia. W jego opowieściach pojawia się coraz więcej szczegółów, o które Pi nie musi się dopraszać.

Odpowiadając, Karl rysuje esy-floresy na skrawku wydruku swoich obliczeń. Nie wydaje się zwracać uwagi na to, co robi jego dłoń, bo to tylko przypadkowe wzory, zachodzące na siebie koła, kreski i prostokąty. Gdy ja rysuję esy-floresy, wzory dość szybko przybierają kształty oczu, ust, kwiatów, motyli.

Wszystko w gruncie rzeczy dobrze się układa do chwili, gdy Pi niechętny przekracza niewidzialną granicę.

– Mówi pan, że ten szyfrowy kompas należał do pana ojca, tak?

– Tak. – W głosie Karla zabrzmiał twardy ton i jego postawa się usztywniła.

Pi zdaje się nie zauważać zmiany, bo niezniechęcona pyta dalej.

– Odziedziczył go pan po jego śmierci?

– Nie będę rozmawiał o moim ojcu! – rzuca ze złością Karl.

Pi przestraszyła się.

– O-okey.

– Macie już chyba dosyć materiału, żeby mnie przekonać? – Nieszczęsny wążek naznaczył głos Karla wyraźnym śladem wrogości.

Szybko dają znak Noa, żeby wracał.

Gdy wchodzi do pokoju, policzki i ręce ma czerwone od zimna i z trudem odpina kurtkę, sztywne palce nie pozwalają mu dobrze pochwycić uchwyty suwaka. Po kilku próbach poddaje się i patrzy na siostrę.

– I co, chcecie zobaczyć, co mam? – Wyciąga w naszą stronę blok. Kartka jest wypełniona notatkami napisanymi dużymi, koślawymi literami. Najwyżej, na pierwszej stronie, widnieje cyfra trzy. Zaczynam mieć nadzieję, że może jednak się uda.

Linus pochyla się zaniepokojony nad blokiem, a Pi bierze go do ręki i zaczyna głośno odczytywać notatki.

Noa notował tylko słowa-klucze dotyczące poszczególnych tematów. „Pies. Łajka. Lab+golden R”, widnieje pod numerem domu.

– Było za zimno na pisanie całego referatu – mówi, mocno pocierając dłońmi o uda, żeby wspomóc krążenie krwi.

– W porządku – mówi Pi i skoncentrowana czyta dalej.

W miarę jak za pośrednictwem tych hasłowych notatek ponownie poznajemy dzieciństwo Karla – kolor jego pierwszego roweru (niebieski), imię szkolnej dentystki (Susanne) i jego ulubione danie (klopsiki w sosie curry) – jego twarz przybiera coraz bardziej zacięty wyraz.

Gdy Pi przeczytała ostatnią odpowiedź, wszyscy czworo spojrzeliśmy na niego wyczekująco.

A on zaczyna gwałtownie kręcić głową.

– To niemożliwe – mówi. – Nie wierzę wam.

– Co? Noa dobrze podał wszystkie odpowiedzi! – wołam.

– To po prostu śmieszne. – Karl odchyła się w krzesło do tyłu i patrzy na nas, jak gdybyśmy popełnili przestępstwo. – Nikt nie potrafi komunikować się telepatycznie. Miałeś po prostu szczęście, poprawnie zgadując. Posiadanie mieszańca labradora z retrieverem nie jest czymś nienormalnym i...

– A ile z nich wabi się Łajka? – pyta Linus.

– Ja jestem astrofizykiem. Zajmuję się badaniem kosmosu. Czy naprawdę tak trudno domyślić się, że nazwałem swojego psa imieniem pierwszej żywej istoty, którą wysłano w podróż dookoła Ziemi? – zżyma się Karl. – A jeśli chodzi o inne rzeczy: rowery chłopców są niebieskie, w latach sześćdziesiątych tysiące kobiet miało na imię Susanne, a klopsiki w sosie curry? Łatwe do zgadnięcia. – Karl patrzy wymownie na leżące na mikrofalówce pudełko po klopsikach w sosie curry.

Mam ochotę krzyknąć na tę jego ciasną naukową logikę.

Noa ma zaskakująco spokojny wyraz twarzy. Zabiera Pi blok i rzuca go na stół przed Karlem szarą kartonową okładką do góry.

– No to jak pan wytłumaczy to?

Na okładce jest jakiś rysunek. Karl patrzy niechętnie na chaotyczne kreski. Niczego nie przedstawiają, są tylko plątaniną esów-floresów.

– Widział pan wcześniej coś takiego? – pyta Noa.

Karl otwiera usta, żeby wyrzucić z siebie pełne złości zaprzeczenie, ale wtedy spostrzega kartkę z własnymi rysunkami.

Wzory na szarym kartonie i te na białej kartce papieru są identyczne. Choć kreski Noa są

bardziej nierówne od tych rysowanych przez Karla, nie ma wątpliwości, że są identyczne. Noa i Pi wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, jak gdyby dawali sobie niemą „piątkę”.

Karl kilka razy mruga powiekami.

– Powiniennem był dokładniej sprawdzić wam kieszenie. To przecież oczywiste, że oszukiwaliście. Musieliście gdzieś mieć kamerę!

– Co pan gada? – podrywa się Pi. – Gdzie miałabym ukryć kamerę? – Odchyła bluzkę, tak że widać koronkowy stanik. – Tu?

– Eee... – Speszony Karl wbija oczy w blat stołu.

– Czy tu? – Pi ściąga gumkę z dredów, nachyla się nad stołem i gwałtownie przetrząsa włosy. – A może, hej... może mam jakieś tajemnicze szkła kontaktowe, które potrafią robić mikrofilmy i wysycić dźwięki? – Wychyla się bliżej do Karla, tak że jej teraz dość głęboki dekolt jest tuż przed jego twarzą. – Nie ma pan ochoty dla pewności sprawdzić? – Jedno oko nieprzyjemnie wychodzi z orbit, gdy Pi gwałtownym ruchem odciąga w dół dolną powiekę.

Karl nie ma odwagi spojrzeć na nią, wpatruje się tylko intensywnie w leżące przed nim na stole dwa identyczne rysunki.

– Pi – odzywa się Noa, ale siostra go ignoruje.

– A Noa może siedział na trawniku z małym monitorkiem i zabawiał się odrysowywaniem? – Pi płaska dłonią w zarysowaną kartkę papieru i Karl na moment zwraca spojrzenie na jej twarz, na której pod piegami pojawiły się czerwone plamy.

– Bo tacy właśnie jesteśmy, tak?! Szurnięte małolaty spędzające mnóstwo czasu na wymyślaniu, jak by tu wmówić ludziom, że porozumiewamy się telepatycznie! – Jej głos zaczyna brzmieć piskliwie, co wywołuje we mnie niepokój.

Na czole Linusa pojawia się zmarszczka, jest zmartwiony.

– Pi – powtarza Noa i kładzie dłoń na ramieniu siostry.

Ale ona strząsnęła ją i dalej wpatruje się z góry w Karla.

A Karl siedzi w krześle skulony, z oczami wbitymi w wykładzinę podłogową na prawo od siebie, jak gdyby się bał, że jeśli znów spotka jej oczy, to Pi zacznie robić strip-tease.

– Jak ja mam tego dosyć! – Pi zaciska w pięść dłoń opartą o stół, a leżący pod nią papier marszczy się z szeleszczącym odgłosem.

W tej samej chwili w jej pięści zapala się ogień.

Pi krzyczy i zaczyna zdzierać płonący opatrunek. Opatrunek ląduje na stole i podpala stos notatek i dużą mapę nieba. Płomienie z szybkością światła zaczynają pożerać porzucane kartki.

Karl skacze na równe nogi tak gwałtownie, że jego krzesło przewraca się z hukiem na podłogę. Mężczyzna traci równowagę, leci do tyłu i upada na nie z łoskotem.

Noa rozgląda się za czymś, czym mógłby zdusić ogień, ale niczego takiego nie ma. Jest tylko więcej papieru.

– Woda! – Linus odwraca się i biegnie do kuchni.

Noa zaczyna szarpać uchwyt suwaka swojej kurtki, ale jego palce jeszcze się nie rozgrzały.

– Fuck! – woła, a ja słyszę w jego głosie zapowiedź paniki i ogarnia mnie strach.

Być może z tego powodu choć raz zaczynam trzeźwo myśleć.

Moja kurtka wisi w przedpokoju, a bluza nie jest dość gruba i tak skuteczna jak waciany pled u Linusa i Albana.

Ale kurtka Noa taka jest.

Rzucam się do niego i chwytam uchwyt suwaka. Szarpnęłam tak mocno, że niewiele

brakowało, a bym go urwała, ale poły kurtki się rozdzielają.

Noa zaczyna ją z siebie ściągać, ale robi to powoli, więc chwytam go za ramiona i obracam do siebie plecami, a potem jednym ruchem zdzieram z niego kurtkę.

Gdy szarpnięciem wyrwał mi ją z rąk i rzucił na ogień, który w jednej chwili rozrósł się do rozmiarów sporego świętojańskiego ogniska, za kurtką poleciała czarna rękawiczka. Noa wali w ogień, żeby zdusić płomień. Nieprzerwanie unosi kurtkę i uderza nią w coraz to nowe miejsca i pomarańczowa łuna na blacie stołu powoli zamienia się w dym, a wokół nas zaczynają wirować małe, żarzące się strzępy papieru.

Tymczasem z kuchni nadbiega Linus z dużym garnkiem po zupie, który stał w zmywaku. Z garnka rozpryskuje się na podłogę woda.

Linus wylewa zawartość na ostatni stos płonących kartek i dym zastępuje gęsta, wilgotna, cuchnąca para.

Nad stołem zaczyna piszczeć czujnik dymu. I jeszcze jeden. Wkrótce razem z dymem salon wypełnia świdrujące uszy chóralne wycie wszystkich alarmów. Brzmi to tak, jak gdyby w całym domu były ich setki.

– Co do diabła...?

Karl już się podniósł, stoi okrakiem nad przewróconym krzesłem. Sądząc po dziwnym zgięciu oparcia, jest złamane.

– Co wy, do jasnej cholery, wyprawiacie?!

Większość papierów na stole to teraz zwęglone, pokurczone strzępy. Zawartość garnka zamieniła wszystko w lepka, tłustą masę, na której widać resztki jedzenia. Na tonącej w kałuży, pokrytej warstwą popiołu klawiaturze komputera leży ziarnko kukurydzy.

– To... przepraszam! Ja nie chciałam! – mówi przerażona Pi. Przyciska pięści do piersi i wycofuje się tyłem do przedpokoju.

– Możemy to wytłumaczyć... – zaczyna Noa.

– Wynocha!!! Wynocha z mojego domu! – Karl krzyczy tak głośno, że głos mu się załamuje. Gwałtownie wymachuje ramionami, jak gdyby tracił równowagę.

– My... – próbuje Noa, ale Karl zawył z wściekłości jak zwierz i rusza w naszą stronę sztywnymi, niepewnymi, a może chwiejnymi krokami.

– Ale już! – ryczy.

Odwróciliśmy się całą czwórką i biegiem ruszyliśmy w listopadowy wieczór.

ROZDZIAŁ 32

Zatrzymaliśmy się dopiero przy drodze.

Po sprincie w śniegu sięgającym kolan nasze czoła lśnią w świetle księżyca, ale bliźnięta nie są tak zdyszane jak ja i Linus.

– Przepraszam... za ten... garnek – sapie Linus oparty rękoma o kolana. – Nie powinienem... był...

Noa cisnął osmaloną kurtkę w wielką zaspę śniegu w rowie.

– Psiakrew! – wyrzuca z siebie sfrustrowany i kopie kurtkę, aż dokoła zawirował śnieg. – Do diabła!

Pi ciężko osuwa się w inną zaspę. Oparła czoło o kolana i zaczyna szlochać.

Na ten odgłos jej brat odwraca się do niej.

– To była nasza jedyna szansa, Pi! I totalnie to spieprzyłaś!

– To przecież już było spieprzone! – odpala Pi z wściekłością. – Był tak dziko uparty, że nie miało żadnego znaczenia, co mówimy! – Wstała ze śniegu, żeby mieć oczy na wysokości oczu brata i robi kilka kroków w jego stronę. – Poza tym to ty zaproponowałaś, żebym mu pokazała, co potrafię. Rzeczywiście skutecznie, muszę powiedzieć!

– Ja nie proponowałem, żebyś puściła z dymem pół salonu! O czym ty, u diabła, myślałaś? – Noa wygląda na tak wściekłego, że zdaje się, że znów rzuci się do bójki.

Pi nabrała w płuca powietrza, żeby odpowiedzieć atakiem, ale wtedy ja staję między nimi.

– Przestańcie już! – mówię głośno.

Bliźnięta znieruchomiały.

Spoglądam na nich i na wciąż jeszcze zdyszanego Linusa.

– Nie ma powodu, żeby się o to kłócić!

Mój głos i moje ciało drżą, wciąż jest we mnie przerażenie. Biorę głęboki oddech i usiłuję myśleć spokojnie i racjonalnie jak Alban.

– Za dużo się dzisiaj wydarzyło. Nikt z nas nie myśli jasno. Poza tym teraz nic nie możemy zrobić, żeby zmienić nastawienie Karla. Więc proponuję, żebyśmy wrócili do domu, wyspali się i spotkali jutro.

– A co z Albanem i Adrianą? – pyta Linus. – Czy nie powinniśmy im powiedzieć...

– My dwoje porozmawiamy z Albanem w domu.

– A co z Adrianą? – Noa już nie wydaje się wściekły, choć w jego głosie wciąż pobrzmięwa wrogi ton.

– Nie wydawała się specjalnie gotowa do rozmawiania na ten temat, prawda? Pogadamy o tym jutro i zdecydujemy, co robić. – Mam nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco autorytatywnie, żeby zamknąć dyskusję.

Noa demonstracyjnie prychna i idzie podnieść swoją kurtkę.

Gdy się nachylił, na śnieg spadła mała, ciemna kropla. Noa spojrział na swoją prawą dłoń, tę pozbawioną rękawiczki, po tym jak zdarłam z niego kurtkę. Opatrunek jest naddarty przez rynnę na domu Adrianę, krew z rany wydaje się w świetle księżyca czarna.

– Do diabła! – Noa wyciera rękę w spodnie i próbuje poprawić zniszczony bandaż, tak by znowu przykrył wewnętrzną powierzchnię dłoni. Gdy się to nie udało, jednym porywczym ruchem zdiera cały opatrunek. – Auuu, do... – syczy i zaciska naga dłoń.

– Co ty robisz?! – wołam.

– Niechcący zdarłem strup – odpowiada przez zaciśnięte zęby. – Dłoń zalśniła, ciemna i wilgotna od świeżej krwi.

W brzuchu natychmiast wzbierają mi mdłości, pod opatrunkami czuję mrowienie.

Nagle wyraz cierpienia na twarzy Noa zastępuje zdumienie.

Wyciąga rękę w kierunku księżyca, ale światło najwyraźniej jest za słabe, żeby mógł coś dojrzeć. Wyjął więc smartfona i uruchamia wyświetlacz, chce przyjrzeć się świeżej ranie.

– To niemożliwe! – szepcze.

– Co? – pyta Pi. Ona i Linus podchodzą bliżej, ale ja nie mogę zmusić moich nóg do posłuszeństwa.

– Przytrzymaj. – Noa podaje smartfona siostrze, a potem ściąga osamotnioną czarną rękawiczkę i odsłania bandaż na lewej dłoni. Obluzowuje go przy nadgarstku i szybkimi ruchami zaczyna go odwijać.

– Co robisz? – pytam nerwowo.

Noa nie odpowiada, a ja, gdy końcówka bandaża odpadła z jego dłoni, szybko odwracam wzrok. Chroniący ranę płatek opatrunku ląduje przed czubkiem mojego buta odwrócony lśniąco, krwawą stroną do góry, więc zmuszam się, by znów spojrzeć na Noa.

On tymczasem czubkami palców lewej dłoni bada wewnętrzną powierzchnię prawej ręki. Przesuwa palec wskazujący wzdłuż zewnętrznej granicy dłoni, jakby śledził kontury rany. A potem mocno zaciska wargi i nagle szarpie do siebie prawą dłoń.

Gdy dotarło do mnie, że właśnie zerwał strup z drugiej rany, poczułam w przełyku kwasy żołądkowe. Żeby nie zwymiotować, muszę skoncentrować uwagę na zmarszczce na czole Noa.

Tym razem wyraz bólu tylko przemknął mu przez twarz, i Noa nie zaklął.

– Zaświeć mi na rękę. – Coś w jego głosie sprawia, że zupełnie zapominam o krwi, ale zarazem czuję jeszcze silniejsze mdłości.

Moje stopy zaczynają się poruszać. Gdy stanęłam między Pi i Linusem, potrzebowałam kilku sekund, żeby dostrzec coś więcej poza oślepiającą bielą wewnętrznych powierzchni dłoni Noa.

Pi zmieniła kierunek padania światła, żebym mogła zobaczyć jego rany.

A raczej to, co powinno być ranami, a co teraz stanowiło wielką, lśniąco powierzchnię świeżo zabliźnionej skóry.

Noa najwyraźniej sam się uzdrowił, w nienaturalnie szybki sposób.

Ale to nie to jest przyczyną gwałtownego ssania w moim żołądku.

Przyczyną jest kształt blizn.

Wnętrza dłoni Noa pokrywają dwa idealne trójkąty o wijących się wzdłuż brzegów fałdkach. To ten sam kształt, dokładnie. Kształt leżącego w jego kieszeni szklanego pryzmatu.

ROZDZIAŁ 33

– Myślisz, że Noa zrobi coś głupiego? – pyta Linus. Stoimy przed drzwiami do klatki jego domu, Linus nerwowo zмага się z pękiem kluczy.

Trójkątne blizny wprawiły Noa w totalne zakręcenie.

Z trudem udało nam się odwieść go od pomysłu, żeby wrócić do domu Karla i po raz trzeci zapukać do jego drzwi.

– Mam nadzieję, że zapanuje nad sobą – mówię. Ale w gruncie rzeczy nie jestem pewna, czy w przypadku Noa wystarczy nadzieja. Z łatwością może mu przyjść do głowy jakaś głupota.

Nigdy wcześniej nie znałam nikogo tak kompletnie obojętnego na konsekwencje swoich nieprzemyślanych pomysłów.

Ciekawa jestem, czy w ogóle przyszło mu do głowy, że to, co się zdarzyło z Adrianą na lekcji wuefu, mogło być przywidzeniem? I że kompletnie by się wygłupił, gdyby okazało się to pomyłką?

Ale... Noa się nie pomylił. Teraz, gdy o tym myślę, zdaję sobie sprawę z tego, że to on odkrył wszystkie nasze zdolności. Sprawił, że Pi podpaliła kłak waty i skonfrontował Albana z jego nieprzyjemnie precyzyjną intuicją. I odkrył, że potrafi porozumiewać się telepatycznie z siostrą, i od razu to sprawdził.

Linus znalazł wreszcie klucz do drzwi na klatkę, okręca go w okrytych rękawicą palcach.

– A co, gdyby nie mówiąc nam o tym, znowu pojechał do Karla, żeby z nim pogadać?

– Nie robi tego – odpowiadam zdecydowanie. – Nie wierzę, żeby był aż tak głupi.

Linus nie wygląda na przekonanego.

Wyjmuję mu z ręki klucz i wsadzam go do dziurki, żeby zasygnalizować, że nie mam już ochoty więcej o tym gadać.

Muszą być granice tego, ile kretyńskich, nieprzemyślanych działań Noa może podjąć w ciągu jednej doby.

Gdy weszliśmy do mieszkania, Sandra nalewała właśnie przy zmywaku wodę do szklanki.

– No, jesteście. – Spojrzała na nas przelotnie, wyciskając garść pastylek z trzech różnych listków.

– Mamo! Co ty, robisz tu saunę? – jęczy Linus, zmagając się ze ściąganiem wierzchnich ubrań.

– Podkreśliłam ogrzewanie, żeby Alban nie musiał spać w T-shircie. – Sandra chwytając szklankę z wodą i wymija nas, kierując się do pokoju Albana.

– Mam nadzieję, że wykład był ciekawy – mówi ze słabym uśmiechem, ale nie zatrzymuje się, żeby usłyszeć naszą odpowiedź.

Kartka, którą Linus położył na kuchennym stole, zanim ruszyliśmy w drogę z bliźniętami, informuje, że przez cały wieczór będziemy na wykładzie.

– Jak on się czuje? – pyta Linus, gdy ruszyliśmy za jego mamą.

– Po powrocie do domu zaczęło go bardziej boleć. Zastanawiam się, czy nie powinien zostać w szpitalu – odpowiada Sandra z wyrazem cierpienia na twarzy.

– Ale doktor Majken przecież mówiła, że nie jest tak źle, jak wygląda – wtrącam.

– Wiem, to na pewno tylko lek przestał działać. Mam nadzieję, że zablokują ból na całą noc. – Sandra grzechocze pastylkami w dłoni. – Jeśli jutro się pogorszy, będziemy musieli jechać na pogotowie.

Dotarliśmy do drzwi pokoju Albana. Ostrożnie je popycham.

W pokoju, który zawsze kojarzy mi się z absolutnym poczuciem bezpieczeństwa, dominuje sterylny zapach pogotowia. Gdy zobaczyłam Albana leżącego na łóżku z zamkniętymi oczami i grzywką mokrą od potu, ścisnęło mi się gardło. Brodę ma opartą o nadgarstek, linia szczęki porusza się, jak gdyby zgrzytał zębami.

– Pastylki, kochanie – mówi Sandra łagodnie, kładąc je obok szklanki na stoliku przy łóżku – przeciwbólowe i jedna na sen, żebyś mógł trochę odpocząć.

– Dziękuję – odpowiada Alban matowym głosem. Gdy Sandra pomaga mu usiąść, jęczy, a ten pełen cierpienia ton sprawia, że Sandra wygląda na niemal tak samo cierpiącą, jak on.

Alban jest teraz bledszy niż na pogotowiu, a jego ciało pokrywa delikatna warstewka potu. Pożałowałam, że pojechaliśmy do Karla. Że zmarnowałam wieczór na awantury, podczas gdy powinnam była zostać tu.

– Emilka i Linus wrócili z wykładu – mówi Sandra i podaje Albanowi szklankę z wodą.

– Z wykładu? – Alban marszczy brwi.

– No wiesz... tego, na którym ty też miałeś być. U tego Karla – wtrąca szybko Linus.

– Aa... no tak – mówi Alban. Potwierdza nasze alibi bez dodatkowych pytań.

Z czasem wplątaliśmy się w tyle drobnych, niewinnych kłamstw, że zaczęły się zlewać w coś wielkiego, czarnego i lepkiego, z czego nie całkiem wiem, jak wybrniemy.

Alban wkłada wszystkie pastylki do ust za jednym razem. Wygląda na to, że odchylenie głowy do tyłu sprawia mu ból.

– Pamiętaj, żeby wszystko wypić – mówi Sandra, gdy przyłożył szklankę do ust. – Przy oparzeniach trzeba pić dużo płynów.

Alban posłusznie wypija wodę i Sandra pomaga mu się położyć.

– Potrzeba ci jeszcze czegoś?

– Nie, mam, dziękuję. Dam sobie radę. – Alban dzielnie próbuje się uśmiechnąć.

Sandra całuje go w czoło.

– To pójde się położyć – mówi przeprasającym tonem. – Miałam nocki przez trzy dni z rzędu i nie spałam od...

– Mamo, w porządku. Idź do siebie i koniecznie odpocznij. Dam sobie radę – powtarza, tym razem wkładając więcej wysiłku w uśmiech.

– Ja będę się nim opiekować – odzywam się.

Sandra patrzy na mnie.

– Nie powinniście chyba dzisiaj spać razem, Emilko. Ale w szafie w przedpokoju jest materac dmuchany.

– Jasne. Zaraz go wyciągnę – mówię.

– Zawołaj mnie, gdyby coś się działo, dobrze? Cokolwiek. – Sandra niechętnie rusza w kierunku przedpokoju. – No to dobranoc wam. – Zamyka za sobą drzwi.

Alban z powrotem opiera głowę na rękach i przymyka powieki. Nie pyta o fikcyjny wykład, a ja nie wiem, jak zacząć.

– Pójde po materac. – Linus znika za drzwiami.

Nie mam odwagi usiąść na łóżku w obawie, że niechący popchnę Albana, więc klękam

u wezłowania. Spod kołdry wystaje skrawek jego spodni od piżamy. Są ściągnięte na lędźwiach do miejsca, w którym zaczyna się bandaż.

Ostrożnie sunę palcem wzdłuż jego przedramienia, co w kąciku jego ust wywołuje lekki skurcz uśmiechu. W odpowiedzi przesuwam po prześcieradle w moją stronę rękę. Ściskam ją niemal niewyczuwalnie, żeby nie zabolą go rana. Alban odpowiada uściskiem, odrobinę mocniejszym od mojego.

– Jest bardzo źle? – pytam cicho.

– Po wczorajszym myślałem, że ogarniam te sprawy – mówi. – Że dam radę z panowaniem nad bólem i tak dalej. Tak naprawdę zdawało mi się, że na drugi dzień już nie bolało. Ale to jest coś innego niż poparzone ręce. – Alban usiłuje się uśmiechnąć, mimo że wygląda na to, że go boli. – Mam tylko nadzieję, że plecy wygoją się tak samo szybko.

Wpatruję się w nasze splecione dłonie.

Uświadamiam sobie, że mnie też dzisiaj nie bardzo bolało. Pysznic rano sprawiał ból, i wuef też nie był zabawą, ale jeśli pomyśleć, jakie duże były rany, to ból nie był wielki. Faktycznie tylko trochę swędziało, jak gdyby rany powstały przed wielu dniami. Tylko że wcześniej o tym nie myślałam.

Okazuje się, że nie tylko rany Noa zagoiły się nienaturalnie szybko.

– Nie byliśmy na wykładzie – mówię – tylko u Adriany. I u Karla. Pi przez przypadek podpaliła jego stół.

– Co? – Alban jest zszokowany.

Opowiadam mu wszystko po kolei. O nowych zdolnościach, o sceptycyzmie Adriany, wybuchu wściekłości Karla. I o dziwnych bliznach na dłoniach Noa.

Wraca Linus ze sflaczałym pasiastym materacem i uzupełnia mój skrócony referat o wydarzeniach wieczoru. Nie jest tak dobry jak ja w pomniejszaniu frustracji Noa.

Alban nic nie mówi. Leży tylko z otwartymi oczami i zmarszczonym czołem, i słucha. Gdy powiedzieliśmy o trójkątnych bliznach, dotyka jednego ze swoich opatrunków w miejscu, gdzie jest rana.

– Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? – pytam. Nie ma już nic do opowiadania, ale na usta ciśnie się tysiąc pytań.

– Spać – mówi Alban bez entuzjazmu. – Teraz możemy zrobić tylko to. Może jutro coś nam się rozjaśni.

Ja też tylko co użyłam tego samego argumentu koło domu Karla, ale na serio w niego nie wierzę.

Od dziwnych zdarzeń nie da się uciec w sen.

ROZDZIAŁ 34

Znów śni mi się dom Karla. Stoję przed zamkniętymi drzwiami, cienka przesłona drewna i farby dzieli mnie od wszystkiego, co chciałabym wiedzieć.

W domu jest ciemno, księżyc wisi nisko nad horyzontem.

Spoglądam w dół i widzę dłonie, które nie są moje. Rozpoznaję obłazący czarny lakier do paznokci, a gdy poruszam ramionami skrzypi skórzana kurtka.

Noa tak bardzo w ostatnich dniach zajmował mój mózg, że najwyraźniej mój mózg zaczął myśleć tak jak on. Zaczął... być nim.

Moje nogi, które nie są moje, zaczynają iść. Wojskowe buty są zaskakująco ciche na pokrytych śniegiem kamiennych stopniach.

Nie mam poczucia, że decyduję o tym obcym ciele. Czuję, że ręce i nogi się poruszają, ale nie pamiętam, żebym je o to prosiła.

W każdym razie nie prosiłam rąk, żeby chwyciły za klamkę i ostrożnie ją nacisnęły.

A już absolutnie nie prosiłam ciała, żeby wśliznęło się do ciemnego przedpokoju w domu Karla, gdy drzwi się otworzyły.

Choć moja podświadomość dobrze wie, że to tylko sen, wszystkie instynkty krzyczą w proteście. Próbuję zagłuszyć wolę, która każe ciału iść dalej w mrok, do salonu. Ale mam uczucie, jak gdybym została schwytana i uwięziona w małej, wąskiej przestrzeni otoczonej dźwiękoszczelnym szkłem.

Ciało Noa zmusza mnie do podejścia do stołu, na którym leżą zwęglone, mokre pozostałości po naszej ostatniej wizycie. Ciało stara się omijać wszystko, co może hałasować.

Która jest godzina? Czy Karl poszedł spać, skoro światła są pogaszone?

Hiperwentyluję mentalnie, powietrze jest pod kontrolą, przemieszcza się spokojnie do płuc Noa i z powrotem.

Nasze spojrzenie pada na leżącą na stole kuchennym brązową torebkę. Przytłacza mnie potężna potrzeba zabrania jej, ale wiem, że nie należy do mnie. Gdybym w tym wszystkim miała cokolwiek do powiedzenia, obróciłabym się na pięcie Noa i szybko bym się stąd oddaliła.

Ale ręce Noa chwytają torebkę, a jego napięcie niemal zagłusza mój strach przed wpadką.

Przez ułamek sekundy, nie więcej.

Nagły odgłos skrzywienia desek podłogi i pstryknięcie włącznika światła w przedpokoju sprawia, że ogarniająca mnie panika formuje w głowie Noa bezgłośny krzyk przerażenia.

Na szczęście najwyższym dowódcą jest jego mózg, więc nasze wspólne ciało szybko nurkuje pod stół.

Do pokoju wchodzi Karl. Ma na sobie to samo ubranie co w czasie naszej wizyty, sprawia wrażenie, jakby właśnie się obudził. Włosy rozczochrane, oczy mrugają zaskoczone światłem w przedpokoju.

Ledwie zdążyłam się ucieszyć, że nie zapalił światła w pokoju, a on kieruje się prosto do komputera i siada w swoim krześle.

Adrenalina wzmagą oddech Noa, który on z całych sił próbuje spowolnić i uczynić na ile tylko

się da bezgłośnym. Klęczy na czworakach napięty jak sprężyna, niewiele centymetrów od kolan Karla.

Jeśli Karl wyprostuje nogi, dotknie nas.

Noa zaciska dłoń na pasku torebki, a palce Karla stukają w klawiaturę.

Po chwili przesuwa się na krześle do przodu, więc Noa musi gwałtownie się cofnąć. Pod jego stopą cicho zaszeleścił jakiś papier, oboje wstrzymaliśmy oddech, ale wydaje się, że skrzypienie krzesła zagłuszyło ten dźwięk.

Karl nadal stuka w klawiaturę, a krótko potem zaczyna też klikać myszką. Wydaje się, jakby wolno reagowała, bo Karl w kółko porusza nią w przód i w tył na podkładce, równocześnie coraz mocniej klikając.

A potem dusi w ustach przekleństwo i wali myszką w stół.

Ruch sprawia, że na podłogę zsuwa się stos kartek.

Leżały na rogu stołu niezalanym przez Linusa zawartością garnka po zupie, więc są suche i nieuszkodzone, i bez problemu szybują w dół. Jedna ląduje na ręce Noa.

Karl wydaje z siebie pełne irytacji westchnienie i wstaje z krzesła.

Niczym w slowmotion⁵⁵ widzę, jak się pochyla, a potem podpira rękoma i klęka, żeby pozbierać rozrzucone notatki.

Jeszcze nie spostrzegł Noa, ale to tylko kwestia czasu.

Gdy wyciąga rękę, żeby dosięgnąć kartki leżącej pod krzesłem, ciało Noa napina mięśnie.

W tej samej chwili oświetlony światłem księżycy pokój przecina głośny, przenikliwy dźwięk dzwonka.

Karl wzdrygnął się i zdezorientowany spogląda w stronę przedpokoju.

Dźwięk się powtarza, tym razem nieprzerwanie przez kilka sekund.

Ktoś dzwoni do drzwi wejściowych.

Karl z wahaniem wstaje.

Dzwonek wyje po raz trzeci i Karl wybiega z pokoju z wściekłym wyrazem twarzy.

Przenikliwy dźwięk nie przestaje świdrować powietrza, jak gdyby osoba za drzwiami postanowiła wykończyć dzwonek.

Noa rozgląda się szybko dokoła i spostrzega duże okno wychodzące na ogród. Czołga się pod stołem i rzuca się do niego, nie marnując czasu na unikanie hałasu.

Dzwonek zagłusza wszystko. Skórzana torebka uderza w goleń Noa, a ja czuję ostry ból, jakby chodziło o moją.

Karl szarpnięciem otwiera drzwi i mówi coś ze złością.

Już prawie dotarliśmy do okna. Jeszcze tylko krok...

I wtedy Noa pośliznął się na mapie nieba i w oszalałym tempie zbliża się do mnie podłoga.

Otworzyłam oczy i nadal słyszę dźwięk dzwonka. Z łóżka na półtorej osoby zwisa tuż nad moją twarzą ręka Albana. Jego oddech świadczy o tym, że twardo śpi.

Sen wywołał we mnie niepokój. Nie tylko dlatego, że wciąż czuję ssanie w żołądku, które mnie dopadło, gdy Noa stracił równowagę. Również dlatego, że niektóre z moich snów okazały się mieć trochę za dużo wspólnego z rzeczywistością.

Czyżby naprawdę był tak głupi, żeby pojechać do Karla i ukraść to urządzenie?

Wciążgam do ust górną wargę i żuję ją, patrząc na uliczną latarnię. Nigdzie nie widzę księżycy, choć światło w pokoju wskazuje, że powinien być na niebie.

A jeśli j e s t na tyle głupi, to czy już tam dotarł?

I czy mogę zdążyć go zatrzymać?

Po omacku szukam dzinsów, które złożyłam na podłodze obok materaca. Komórka wciąż leży w tylnej kieszeni, chociaż nie działa.

No włącz się!, błagam w duszy, wciskając klawisz C.

Ale komórka w mojej spoconej dłoni pozostaje czarna i martwa.

Wstaję ostrożnie, żeby nie obudzić Albana. Nie poruszył się, gdy powoli sięgnęłam nad stolikiem przy łóżku po jego komórkę.

Wchodzę do łazienki i zdaję sobie sprawę, że nie mam numeru Noa.

W miarę jak energooszczędna żarówka nad małym kwadratowym lustrem rozświecła się coraz mocniej, coraz bardziej beznadziejne wydaje mi się dzwonicie do niego w środku nocy dlatego, że śniło mi się, że jest idiotą.

Chyba nie wszystkie moje sny, do cholery, o czymś ostrzegają? A nawet jeśli to było ostrzeżenie, dlaczego miałyby to być mój problem?

Chwytam klamkę drzwi i włączam komórkę, chcę zobaczyć, która godzina. Przytrzymuję palec na głośniku, żeby syntezytor mowy nikogo nie obudził.

Wyświetlacz pokazuje wielkimi czarnymi cyframi czwartą pięćdziesiąt sześć.

Ale nagle pokazuje się więcej liczb. Numer telefonu.

Komórka zaczyna wibrować w mojej ręce, aż z przerażenia niemal ją upuściłam.

Kobięcy głos syntezytora mowy zaczyna odczytywać numer. Zwykle mówi po prostu: „Dzwoni mama” i tym podobne, jeśli numer jest zapisany w pamięci.

Ale ten nie jest zapisany.

Wpatruję się w komórkę z łomoczącym sercem. Nim zdążyłam rozstrzygnąć, czy odebrać, czy rozłączyć, czy może udać, że nikt nie widzi połączenia, telefon przestał dzwonić i tajemniczy nieznajomy numer ląduje w kategorii „nieodebrane”.

Gdy po kilku sekundach znów zaczyna dzwonić, wciąż jestem jak skamieniała. Ten sam numer.

Przeciągam palcem po ikonce z zieloną słuchawką. Komórka krótko zabuczała, żeby mnie poinformować, że jest połączenie.

– Halo? – charczę.

– Emi? – Noa wydaje się zdyszany. – Jesteś u Albana i Linusa?

– Co? Tak, ale... co... czemu dzwonisz t e r a z ? Jeszcze nie ma piątej! Mieliśmy gadać dopiero...

– Emi, musisz mi w czymś pomóc, to bardzo, bardzo ważne.

– W czym?

– Musisz pojechać do Karla i zadzwonić do drzwi.

Czuję pod T-shirtem nieprzyjemne, zimne ciarki.

– Dlaczego? – pytam, choć znam odpowiedź.

– Mam... mały problem. Później ci wyjaśnię. Gdybyś tylko...

– Pojechałeś do Karla, żeby ukraść instrument? – usiłuję mówić cicho, żeby nie zbudzić całego domu, ale mam ochotę krzyknąć.

– Chciałem go pożyczyć, ale...

– Do cholery, Noa! Co ty wyprawiasz?! – Trudno jest krzyknąć, gdy się szepcze. Mój głos zabrzmiał jak głos Golluma.

– Emi, potem ci wszystko wytłumaczę – naciska Noa. – Posłuchaj, Linus na pewno ma rower.

To bardzo ważne, żebyś szybko tam pojechała, okey?

– I co sobie wyobrażasz, że powiem Karlowi?

– Na pewno coś wymyślisz. W najśmielszym śnie by ci się nie przyśniło, ile to znaczy dla uratowania mojego tyłka!

O tak, właśnie to mi się przyśniło! I właśnie dlatego nie mam wyboru. Boję się ignorować kolejne ostrzeżenie.

– Okey – mówię przez zaciśnięte zęby. – Obyś miał solidne wytłumaczenie!

ROZDZIAŁ 35

Pedałuję na rowerze Linusa i jestem tak zła, że nie czuję zimna, choć mam na sobie tylko spodnie od piżamy i cienki T-shirt pod kurtką.

Dlaczego u diabła Noa po prostu nie zadzwonił do Pi?

Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak Pi podpala własne łóżko, zła na niego, że ją budzi, bo mu grozi schwytywanie na gorącym uczynku podczas włamania.

Może mądrze zrobił, nie dzwoniąc do niej...

Ale wobec tego dlaczego do Albana? On nie może się nigdzie ruszyć ze swoimi spalonymi plecami, co mógłby zrobić?

A może to mnie Noa chciał złapać? Wiedział, że mam spać u Albana i Linusa. I może zorientował się, z jaką łatwością może na mnie wpływać?

A w ogóle, to kiedy to przestałam być nieudacznicą i stałam się dziewczyną, która pędzi mu na odsiecz rowerem w środku nocy?

Jedno z kół najechało na skrawek zbitego, śliskiego śniegu i niewiele brakowało, a bym się przewróciła. Wysyłając pod adresem Noa stek przekleństw, w ostatniej chwili złapałam równowagę.

Dla osoby takiej jak ja, urodzonej w kasku i pasach bezpieczeństwa, ta eskapada to niemal parodia działań nierozważnych, bez głowy.

I co ja w ogóle mam powiedzieć Karlowi?

Dotarłam do dróżki prowadzącej do jego domu. Choć płóg śnieżny starał się ją oczyścić, na ostatnim odcinku nadal jest śniegu po kolana. W zaspie przy drodze leży góral zostawiony tu przez Noa.

Rzucam rower Linusa na tą samą zaspę i puszczam się mało eleganckim biegiem, usiłując po drodze wymyśleć przekonujący powód wizyty o tej porze.

Już zbliżam się do budynku, a jeszcze nie pojawił się żaden pomysł.

Widzę niebieskawe światło monitora w pokoju i sylwetkę Karla siedzącego plecami do mnie.

Stojąc przy oknie obserwuję, jak gwałtownymi ruchami jeździ myszką po podkładce, co najwyraźniej nie pomaga, bo nagle wyrzucił ją w podkładkę i na podłogę zaczął się osuwać leżący w rogu stołu stos papierów.

Część z nich znika pod blatem stołu i gdy spostrzegam poruszający się za frunącymi kartkami cień, mój puls dziesięciokrotnie zwiększa tempo.

To się naprawdę dzieje!

Karl zaczyna na czworakach zbierać papiery, ja ruszam galopem do drzwi.

Wbiegam po schodkach i rzucam się do małego czarnego przycisku przy drzwiach. Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach.

Co ja tu robię?

Na kilka sekund zdjęłam palec wskazujący z guzika, a potem znów z impetem zaczynam go wciskać.

Choć dochodzące zza drzwi nieprzerwane dzwonienie jest zduszone, wydaje się jeszcze

bardziej przenikliwe niż we śnie.

Trzeci raz przyciskam czarny guzik, aż głowa zaczyna mi pękać.

Nagle słyszę kroki biegnącego przez przedpokój Karla i drzwi gwałtownie się otwierają.

– Co?! – rzuca rozwścieczony Karl.

Mój zasób słów zwiądł. Gapię się tylko na niego, a palec nadal utrzymuje przy życiu nieznośne wycie dzwonka.

– Przestań wreszcie dzwonić! – wrzasnął Karl, a ja odrywam dłoń od przycisku.

Nagła cisza dzwoni mi w uszach.

Mój sen nie zdradził niestety, co działo się po tej stronie drzwi. A właśnie teraz przydałaby mi się jakaś podpowiedź.

Ile czasu potrzebuje Noa na poderwanie się i ucieczkę przez okno?

– Co ty tu robisz? – pyta Karl. Za chwilę naprawdę się wściekniesz.

Otwieram usta, ale nie mam pojęcia, co odpowiedzieć.

– Eee... – zaczynam i odruchowo cofam się na niższy stopień.

– Czy nie mówiłem, że macie zniknąć?

O dziwo, nie wścieka się, że zjawiam się tak absurdalnie wcześnie. Ale jeśli dopiero co się obudził, to nie jest pewne, czy wie, która jest godzina. Nie mam ochoty stać przed nim na tyle długo, żeby zdał sobie z tego sprawę.

– Chciałam... chyba zostawiłam u pana kurtkę – mówię. I w tej samej chwili zdaję sobie sprawę z tego, że mam na sobie tę samą kurtkę, w której byłam u niego kilka godzin temu.

Mam nadzieję, że światło księżyca i pamięć Karla są za słabe, żeby mnie zdemaskować.

– Kurtkę? – dziwi się Karl. – Nie mam żadnej kurtki! Wyrzuciłem tę paskudną rękawicę tego chłopaka, ale żadnej kurtki nie widziałem!

Cofam się jeszcze niżej, a Karl sprawia wrażenie, jakby chciał iść za mną.

Jakiś ruch na obrzeżach mojego pola widzenia zmusza mnie do odwrócenia głowy w kierunku najdalszego rogu domu.

Zdawało mi się, że usłyszałam kroki na śniegu i jakiś cień przy bezlistnym żywopłocie przez moment zdawał się głębszy. Mrużę oczy, ale zalane światłem księżyca i zasypane śniegiem podwórze znów jest statyczne, jak srebrzysty dywan.

Karl wyciąga szyję, żeby zobaczyć to, czego ja szukam wzrokiem.

– Okey! – mówię szybko. – To widocznie... mmm... zostawiłam ją w autobusie. Przepraszam, że pana niepokoiłam.

Karl patrzy na mnie nieufnie i jeszcze raz rzuca okiem na podwórze.

Odwracam się i szybko idę w kierunku drogi. Mam uczucie, jakby przy każdym kroku kłuło mnie w kark jego spojrzenie. Cicho zaklął, a potem zatrzasnął drzwi.

Rozglądam się, w jednej chwili świadoma tego, że jestem sama w środku nocy na pustej drodze. Koszmarny sen o pożerających wszystko cieniach nie zmniejszył bynajmniej mojego lęku przed ciemnością.

Czy to na pewno Noa widziałam przy żywopłocie?

Za plecami słyszę ciche skrzypienie śniegu, odgłos szybkich kroków. Pod spodniami od piżamy pełza mi gęsia skórka, przyspieszam kroku, choć to trudne w głębokim śniegu.

– Emi? – Rozpoznaję ochrypły szept, a mimo to niewiele brakuje, a krzyknęłabym głośno z przerażenia.

– Noa? – Mój mózg szaleje.

Noa dogania mnie.

– Co ty tu robisz? – pyta zdyszany.
– Co j a tu robie? – Zatrzymuję się raptownie. – Kpisz sobie ze mnie?
– Eee... nie. – Noa poprawia czarny plecak, który zarzucił na ramię.
– Co t y tu robisz? – pytam ostrym tonem.
Noa cały czas nerwowo zerka na dom, dłubiąc przy pasku plecaka.
– Zabrałeś go? – pytam.
– Co?
– Nie zgrywaj głupka! Zabrałeś instrument Karla?
Jego milczenie jest wystarczającą odpowiedzią.
– Czyś ty oszalał?!
– Skąd wiesz, że...
– Bo widziałam, jak go brałeś, Noa!
– Widziałaś to? Stałaś i gapiłaś się przez okno, czy co?
– Nie! To znaczy... tak! Ale tylko dlatego, że wiedziałam, że tu będziesz!
– Skąd u diabła to wiedziałaś?
– ... śniło mi się to – bąkam. Nie ma powodu, żebym opowiadała o kojarzącym się z egzorcyzmami dziwadle, czyli o tym, że byłam w tym czasie w jego ciele.
– Więc przyjechałaś tu, bo... śniło ci się, że ja tu jestem? – pyta.
– Nie. Przyjechałam tu, bo t y mnie o to poprosiłeś.
– Ja? Kiedy?
Jeśli żartuje, to jest bliski pobicia rekordu świata w beznadziejnym poczuciu humoru.
– Dopiero co do mnie zadzwoniłeś!
– Ja do ciebie nie dzwoniłem!
– Tak, wiem – mówię przez zaciśnięte zęby. – Dzwoniłeś na komórkę Albana. Ale to ja...
– Ja do nikogo z was nie dzwoniłem!
– Dzwoniłeś! – odparowuję.
Noa gapi się na mnie zdumiony.
– Nieprawda. W mojej komórce siadła bateria. Zobacz sama. – Noa wyjmuję z kieszeni spodni smartfona i przyciska włącznik, ale smartfon nie reaguje. – Ja do nikogo nie dzwoniłem. Ani do ciebie, ani do Albana.
– Dzwoniłeś! – powtarzam, ale nagle ogarniają mnie wątpliwości.
Noa wygląda na zdezorientowanego.
– Nie wiedziałaś, że przyjadę? – pytam.
Noa kręci głową.
– Zdziwiłem się, że ktoś odwiedza Karla tak późno. A raczej, chyba tak wcześnie. Zobaczyłem, że to ty, dopiero gdy już byłem poza domem.
– Więc ty... nie dzwoniłeś?
– Nie!
– Ktoś, kto brzmiał zupełnie jak ty, prosił, żebym tu przyjechała i zadzwoniła do drzwi. A może... zaczekaj... – Staram się wyłowić z pamięci rozmowę telefoniczną. – Mówił, że to ważne, żebym szybko pojechała „tam”, nie przyjechała „tu”. Gdybyś to ty dzwonił, powiedziałabyś „tu”, no nie?
– Może?
– Nie mówi się „tam” o miejscu, w którym się jest. – Jestem coraz bardziej pewna swego. – Ale jeśli to nie ty dzwoniłeś, to kto?

– Dlaczego ktoś miałby dzwonić i udawać mnie? – zastanawia się Noa. – Kiedy, mówisz, to było?

– Krótko przed piątą.

– Ja wyjechałem z domu za piętnaście piąta i komórka już wtedy mi padła. Odkryłem to dopiero w drodze.

– To skąd ten ktoś mógł wiedzieć, że potrzebujesz pomocy?

– Mówiłaś, że widziałaś we śnie, że tu jestem? – Noa patrzy na mnie z namysłem.

– Tak.

– Co ci się dokładnie śniło?

– To znaczy?

– Co śniło ci się na końcu, zanim się obudziłaś?

– Upadłeś, gdy zaczął dzwonić dzwonek u drzwi. Karl wyszedł do przedpokoju, a ty pobiegłeś do okna, ale pośliznęłaś się na mapie.

Noa kiwa głową. Nie wiem, czy mu to zaimponowało, czy przeraziło, czy jedno i drugie.

– Upadłem. Zgadza się. Ale co się wydarzyło potem? Gdy się obudziłaś?

– Zastanawiałam się, czy to był tylko zwyczajny sen. Ale wtedy ty zadzwoniłeś na komórkę Albana i błagałeś o pomoc. I wszystko, co mówiłeś... sposób, w jaki to mówiłeś... byłem po prostu pewna, że to, co mi się śniło, jest kolejnym ostrzeżeniem. Że to się dzieje, i że muszę tu przyjechać, bo ten sen już mi powiedział, że...

– A czy to wszystko nie mogło ci się śnić?

– Co masz na myśli?

– Że może przyśnił ci się też ten telefon. Ja mam czasem tak, że mi się wydaje, że się budzę i idę do szkoły, ale potem znowu się budzę. Bo tylko mi się śniło, że się obudziłem.

Wiedziałaś, o czym mówi. Ja też miewam takie sny. To wydaje się oczywistym, logicznym wyjaśnieniem. Ale... wobec tego, kiedy ja się obudziłam? Ubierając się? Czy jadąc na rowerze?

A może nadal śnię?

Uszczypnięcie się w ramię, żeby sprawdzić, czy nie śpię, nigdy nie uratowało mnie od nocnych koszmarów. I nie pomaga też teraz, choć czuję ból w zimnych jak lód palcach chwytających skórę na przedramieniu pod kurtką.

Tylko że ta rozmowa telefoniczna zdawała się taka... realna.

Ale pozostałe sny też zdawały się realne i nie można powiedzieć, że w ostatnim czasie jestem ekspertką w ocenianiu, co jest fantazją, a co prawdą. Może to wszystko to po prostu jeden wielki sen?

Spoglądałam na Noa i znowu próbuję myśleć o nim jako o fatamorganie. Oczy badające moją twarz wydają się prawdziwe, choć mają w świetle księżyca nienaturalnie srebrny kolor.

To chyba najdłuższe w świecie delirium.

Jeszcze raz uszczypnęłam się w ramię, ale stojący przede mną chłopak jest tak samo realny, jak ból.

– Ja... już nic nie wiem – mówię cicho. – Może mi się to tylko śniło? – Chyba da się to sprawdzić w komórce Albana, gdy wrócę do domu? Ale właściwie wcale mi się nie chce. Bo myślę, że nie ma w niej zapisanego żadnego połączenia.

Noa pociąga pasek czarnego plecaka, a ja uświadamiam sobie, w czym mu pomagałam.

– Zdajesz sobie sprawę, że jestem współwinna kradzieży? – Znowu wzbiera we mnie złość.

– Po pierwsze, to nie jest kradzież – mówi Noa szybko. – Mam zamiar tylko się temu przyjrzeć. Ale gdy nagle Karl się zjawił, tak się zdarzyło, że chowając się, wziąłem torebkę ze

sobą. I chyba nie mogłem zostawić jej pod stołem, prawda?

Już mam zaprotestować, gdy Noa mnie uprzedza.

– A po drugie, nie jesteś współwinną. Jeśli on zdąży coś zauważyć, zanim przyniosę torebkę z powrotem, na pewno powiem, że nie miałaś z tym nic wspólnego.

– Przecież on tego nie kupił! – zżymam się. – Ciebie nie widział, za to widział mnie. Jeśli odkryje, że instrument znikł, natychmiast pomyśli, że moje dzwonicie do drzwi było częścią planu, żeby odwrócić jego uwagę.

Noa otworzył usta, a potem znów je zamknął.

– A poza tym, co masz na myśli, mówiąc „zanim przyniosę torebkę”? Masz zamiar znowu się włamywać?

– Ja się nie włamałem, drzwi nie były zamknięte na klucz! Ale nie mogę tak po prostu mu tego zwrócić *face to face*⁵⁶, no nie? Wtedy będzie wiedział, że instrument został zabrany z domu. Jeśli dopisze mi szczęście, będzie tak zajęty innymi sprawami, że do jutra wieczór się nie zorientuje.

– Jeśli n a m dopisze szczęście – precyzuję. – Czy ty naprawdę absolutnie nie potrafisz pomyśleć, zanim coś zrobisz albo powiesz?

Cudownie jest złościć się na niego. Dzięki temu niemal zapominam, że gdy na mnie patrzy, nie mogę swobodnie oddychać.

– Ja nie planowałem zabierania instrumentu! – mówi Noa. – I nie miałem też zamiaru cię w to wciągać, w każdym razie nie prosiłem cię, żebyś tu przyjeżdżała!

Odwracam się na pięcie i ruszam w kierunku drogi. Niewiele brakowało, a bym wybuchła. Jedną rzecz to to, że Noa jest raptusem, ale jakim sposobem j a tu do licha wylądowałam?

Noa dogonił mnie i idzie obok. Przez cały czas ogląda się za siebie, jakby oczekiwał, że Karl w każdej chwili dopadnie nas z zaszłymi krwią oczami i francuskim nożem do chleba w dłoni.

– Emi, ja...

– Skoro nie planowałaś zabrać instrumentu, to dlaczego masz ze sobą plecak? – przerywam mu.

Nie zatrzymując się, Noa ściąga plecak i otwiera suwak.

– Bo chciałem go sfotografować. – Wyjmuje czarną torebkę, wystarczająco dużą na zmieszczenie lustrzanki. – Ma opcję na zdjęcia nocne, której nie mam w komórce. Chciałem być pewny, że będzie dobra rozdzielczość.

W plecaku jest jeszcze jedna torebka, mniej więcej tych samych rozmiarów co ta od lustrzanki. Gdy pada na nią światło księżyca, słabo połyskuje metalowa klamra. Jej widok przywołuje w mojej pamięci twarz Karla wrzeszczącego na nas, gdy wybuchł pożar. Przełykam ślinę i odwracam oczy w stronę drogi. Ogarnia mnie taka sama paranoja jak Noa.

Ma rację. Nie możemy tak po prostu oddać instrumentu. Poza tym nie ma mnie w domu już na tyle długo, że istnieje ryzyko, że Alban, Linus albo Sandra wkrótce się obudzą i będą się zastanawiać, gdzie jestem.

Dotarłam do drogi, wygrzebuję ze śniegu rower Linusa i zaczynam pedałowac.

Noa wsiada na swojego górala i rusza za mną. Zbliżamy się do miasta, nie rozmawiamy. Na pewno potrafi jechać dużo szybciej niż ja, ale trzyma się za mną.

Wieje lodowaty wiatr i moje nieco zbyt oszczędne ubranie zaczyna się mścić. Dzwonię zębami i po kilku minutach tak się trzęsę, że rower zaczyna niebezpiecznie się chwiać.

– Emi, zatrzymaj się na chwilę – woła Noa.

Stałam, a on podjeżdża z boku. Zeskakuje z roweru i podchodzi do mnie, ściągając skórzaną

kurtkę, a potem mi ją podaje.

– Zmarzzz-nnnn-iiiiiesz – szcękając zębami, odmawiam przyjęcia kurtki.

– Nie – mówi Noa zdecydowanie, choć ma na sobie tylko bluzę i szal.

Ociągając się, wyciągam rękę, a on pomaga mi włożyć kurtkę na wierzch na moją. Pod czarną skórą utrzymało się ciepło jego ciała, niewiele brakowało, a westchnęłabym głośno z uczucia błogości. Rękawy są trochę za długie, ale przyjemnie okrywają dłonie. Noa podciąga mi suwak aż po szyję.

– Lepiej? – pyta.

Kiwam głową.

Kurtka cuchnie dymem po odegraniu roli koca gaśniczego, mimo to czuję zapach dezodorantu, którego używa Noa. Motyle w brzuchu na szczęście są zbyt zmarznięte, żeby mu ulec.

ROZDZIAŁ 36

Gdy zatrzymaliśmy się przy mieszkaniu Albana i Linusa, w żadnym z okien nie paliło się światło. Choć bliźnięta mieszkają w dzielnicy willowej na drugim końcu miasta, Noa nalegał, że mnie odprowadzi, żebym nie musiała jechać bez jego kurtki.

Wepchnęłam rower Linusa do komórki i zamknęłam drzwi na klucz.

Gdy odwróciłam się do Noa, widzę, że szybkimi ruchami pociera ramiona.

– Nniiiie-chcccesz-z-powrrrotem-kurrrrtki? – pytam po cichu, żeby nasze głosy nikogo nie obudziły.

Usiłuję rozpiąć suwak, ale palce mam jak martwe. Rękawice zostawiłam w mieszkaniu na kaloryferze.

– Jasne. Gdyby Alban i Linus ją zauważyli, zaczęliby zadawać pytania. – Noa podchodzi kilka kroków bliżej, żeby mi pomóc.

Jego palce też nie chcą być posłuszne, po kilku minutach szamotania udaje nam się odpiąć suwak tylko do połowy.

– Kurczę, ale jazda. – Noa śmieje się bezgłośnie. Śmiech jest rwany, bo Noa marznie. Potrząsa rękoma, a potem trze jedną o drugą.

Nie widzę w tym niczego zabawnego. Składam dłonie w miseczkę i ogrzewam je oddechem, ale w zetknięciu z zimną jak lód skórą wydechy zdają się zaledwie letnie.

– Hej, zaczekaj, mam pomysł. – Noa ugina kolana.

Obejmuje mnie za biodra i pochyla się do przodu tak, że jego twarz jest tuż przy mojej klatce piersiowej, i pod moimi znieczulonymi policzkami nagle rozlewa się ciepło.

– Stój spokojnie – mówi Noa ściszym głosem i ujmuję zębami uchwyt od suwaka.

Cieszę się, że i tak trzęsę się jak obłąkana, a mój oddech tak czy owak jest poza kontrolą.

Noa przenosi ręce z moich bioder na brzuch i ciągnąc haczyk w dół, opiera je po obu stronach suwaka, żeby stabilizować skórę.

Dostosowuję opór ciała do nacisku jego rąk, nie chcę przewrócić się do tyłu, i modłę się, żeby nikt nas nie zobaczył. Nie wiem, co zrobić z rękami, więc przyciskam je do piersi i stoję sztywna jak deska.

Wreszcie obie części suwaka się rozdzieliły i Noa się wyprostował. Odetchnęłam z ulgą.

– Po co się męczyć rękami, skoro można zębami? – śmieje się Noa. Pomógł mi ściągnąć kurtkę i z trudem ją sam założył.

Zalewa mnie zimno, obezwładnia jak rzeka mokrego śniegu, przenika piżamę i znów zaczynają mi dzwonić zęby.

– Wchodź do środka – szepcze Noa i wskazuje na swój rower. – Ale nie mów im nic, dobra?

Kiwam głową, gotowa przyrzec mu cokolwiek, byle już tylko przestać marznąć.

Noa znika, a ja ruszam do wejścia do klatki. Jedynym, o czym mogę myśleć, są czekające na mnie po drugiej stronie drzwi rozgrzane do czerwoności kaloryfery.

Klucz wyślizguje mi się ze sztywnych z zimna palców i miesza z pozostałymi kluczami w pęku. Jestem bliska płaczu. Chcę już tylko poczuć ciepło, spać i czuć ciepło, i spróbować

zapomnieć o tym, jaka byłam głupia, że pojechałam do Karla.

Nagle z drugiej strony drzwi ktoś naciska na klamkę. Gdy raptem się otwierają, wymyka mi się cichy okrzyk.

Na klatce stoi Linus. Patrzy na mnie spod przymkniętych powiek.

– Co ty robisz? – Nie mówi głośno, ale zaskoczył mnie twardy ton.

– Mmm... nic takiego.

– Nic takiego, poza tym, że znikłaś. Wstałem, żeby się wysikać i zobaczyłem w łazience komórkę Albana. Zaniósłem ją do jego pokoju i widzę, że cię nie ma! Ani twojej kurtki i butów. I nie zostawiłaś żadnej wiadomości!

Jak mogłam być tak głupia, żeby zapomnieć o komórce?

– Przepraszam, Linus, nie chciałam...

– I tak sobie, bez pytania, wzięłaś mój rower.

– Przecież zwykle... – Nagle uderza mnie myśl, że Linus musiał widzieć mnie i Noa, gdy wróciliśmy. Na myśl o tym, co jeszcze widział, rumienię się pod gęsią skórą. – ... Nie chciałam cię budzić – bąkam.

– Co robiłaś z Noa?

– Niczego nie robiłam z Noa! Nie wyobrażaj sobie, że coś wiesz, tylko dlatego, że podglądałaś! – Wymijam go i zaczynam wchodzić na schody. Linus idzie za mną.

W przedpokoju zdejmuję buty i zostawiam je w kącie, a potem szybko wchodzę do pokoju Albana.

Nie zdjęłam kurtki, bo nie dałam rady rozpiąć suwaka, a poza tym nie jestem w stanie zrezygnować z dodatkowego źródła ciepła.

Alban leży prawie dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiłam, tylko twarz odwrócił do ściany. Mama musiała mu dać jakieś bardzo skuteczne środki nasenne.

Kładę się na dmuchanym materacu i skulona w kłębek wtulam się w kołdrę. Powietrze w pokoju jest gęste i ciężkie, jak w saunie, i choć odczuwam ciepło jak rozżarzoną błonę w moich drogach oddechowych, to skórę wciąż mam przemarzną.

Po kilku minutach słyszę kroki Linusa.

Minął pokój Albana niemal bezszelestnie, ale drzwi swojego zamknął głośniejsze niż zwykle.

Okey, może jest zły. Niech sobie będzie. Jest mi doskonale obojętne, co sobie wyobraża na temat tego, co robiłam z Noa czy bez niego. Nie mam siły o tym rozmawiać ani myśleć, ani robić cokolwiek innego, zanim się nie wyśpię.

Radioalarm Albana pokazuje niespełna szóstą. Jeszcze dwie godziny i zaczną się lekcje. Pomysł, żeby pójść na wagary, jest kuszący, ale będę musiała pilnować Noa, żeby przeszkodzić jego kolejnym szalonym pomysłom.

Usiłuję zebrać siły i wstać, muszę nastawić budzik w komórce Albana.

Oczy mi się zamykają. Jeszcze tylko pięć minut pod kołdrą i go nastawię.

Tylko... pięć minut...

ROZDZIAŁ 37

Budzę się przerażona.

Wprawdzie nie śnił mi się kolejny nieprzyjemny sen, ale w tej samej chwili wiem, że zasnęłam, bo jest jasno. Spoglądam na radioalarm, brakuje kilku minut do dziesiątej.

– Kurczę! – Zrywam się tak szybko, że zaplątana w kołdrę przewracam się na bok z hukiem, który obudziłby umarłego.

– Cześć – dobiega mnie z łóżka głos Albana; przestraszyła go moja nagła aktywność. Nadal leży na brzuchu, ale już może się opierać na łokciach.

Wdusił przycisk pauzy na swoim iPodzie i wyjmuję z ucha słuchawkę.

– Nic ci się nie stało? – pyta.

– Nie, nie – jęknęłam. Leżę na podłodze i usiłuję zignorować ostry ból spowodowany spotkaniem ramienia z krzesłem przy biurku. Podnoszę się skołowana i chcę ściągać piżamę, ale nagle zdaję sobie sprawę, że wciąż jestem w kurtce. Na szczęście nie muszę tłumaczyć się z tego nocnego stroju Albanowi.

Jestem spocona jak prosię z powodu kurtki i duszącego gorąca w pokoju, ale nie mam czasu na prysznic. Chwytam mój dezodorant stojący na swoim zwykłym miejscu na półce nad biurkiem i solidnie nawilżam pachy, zarazem klnąc na siebie za to, że nie pamiętałam o zabraniu T-shirtu na zmianę.

Wiem, że jeśli się pospieszę, to zdążę wśliznąć się do klasy, zanim dziesięć po dziesiątej zacznie się matematyka.

– Co ty robisz? – pyta Alban, gdy miotam się po pokoju jak skacowany słoń, gorączkowo zgarniając podręczniki i piórniki.

– Jestem spóźniona! – Wciskam wszystko do torby i mocuję się nerwowo z suwakiem.

– Nie, nie jesteś. Linus dzwonił, że zaczynasz dopiero o jedenastej, pierwsze lekcje odwołali.

Na moment rozbłyska szalona nadzieja i przestaję szarpać suwak.

Czyżbym naprawdę miała tyle szczęścia?

Ha! Nie całkiem.

Linus wie, jak bardzo nienawidzę się spóźniać. Wymyślił doskonały sposób na ukaranie mnie. Wyobrażam sobie jego uśmiezek zadowolenia z siebie, gdy rano zadzwonił dzwonek szkolny, bo pewnie wiedział, że nadal leżę na materacu i chrapię.

– To na pewno błąd! – Szarpiąc suwak na ostatnim odcinku, niemal przycięłam sobie palec.

– Dlaczego tak myślisz? – Alban marszczy brwi. Wyjął teraz słuchawkę z drugiego ucha.

– Pokłóciłam się z Linusem, więc na pewno skłamał, żeby mnie upokorzyć – rzucam krótko.

Czuję swój zapach nawet w kurtce. W tym tygodniu pociłam się więcej niż przez ostatnie trzy miesiące.

Pieprzony początek pieprzonego dnia.

– Pokłóciliście się? Kiedy? Przecież normalnie rozmawialiście, gdy kładliśmy się spać, a kiedy wychodził do szkoły, ty spałaś! – Alban wygląda na jeszcze bardziej zdezorientowanego.

– Wy tłumaczę ci później, okey? Naprawdę nie mam ochoty spóźnić się na lekcję z Janusem.

I bez tego za bardzo lubi wywoływać mnie do tablicy. – Biegnę do drzwi z torbą objającą mi się o plecy.

Już mam chwycić za klamkę, ale drzwi się otwierają i staje w nich Sandra.

– Wszystko u was w porządku? – Jest owinięta w ręcznik, a z włosów cieknie woda, jakby wyskoczyła prosto spod prysznica.

– To tylko ja upadłam – mówię, zerkając na zegarek. Jest minuta po. – Nic się nie stało.

Sandra spogląda na Albana i od razu jej twarz przybiera łagodny wyraz.

– Dobrze spałeś, kochanie?

Alban kiwa głową.

– Zaskakująco dobrze, prawdę mówiąc. Już nie boli tak jak wczoraj. – Alban porusza zabandażowanymi ramionami. Wieczorem jęczałby przy tym z bólu, a teraz tylko lekko mruży oczy.

– Cieszę się. – Sandra uśmiecha się. – A ty, Emilko? Ty też...

– W porządku. Dobrze spałam. Naprawdę bardzo się śpieszę. – Bez wielkiego przekonania odwzajemniam uśmiech i szybko ją wymijam. Chwytam w łazience szczoteczkę i zaczynam myć zęby, drugą ręką wciągając buty.

– Przyjdę później, Alban! – wołam z ustami pełnymi pasty i pędzę w dół po schodach.

Gdy wbiegam przez podwórze szkolne, w wiacie na rowery stoi Jonatan i pali papierosa. Jest odwrócony do mnie plecami, więc spostrzega mnie dopiero, gdy pośliznąwszy się na śniegu, nie zdążyłam powstrzymać okrzyku. Tym razem mam lepszy refleks niż on i jestem już bezpieczna za ciężkimi drzwiami wejściowymi, gdy w szybę za moimi plecami uderza śnieżka. Nie oglądając się za siebie, idę szybko dalej. Mam nadzieję, że Jonatan będzie wolał wydusić, ile się da z papierosa, niż lecieć za mną.

W różnych zakamarkach siedzą koledzy Linusa z klasy z nosami w kolorowej książce, którą pamiętam z lekcji niemieckiego w ósmej klasie.

Mijając w drodze do klasy stołówkę, spostrzegam jego samego. Siedzi przy naszym stole pochłonięty studiowaniem podręcznika do niemieckiego, więc mnie nie zauważa, choć podchodzę, dość demonstracyjnie waląc butami w podłogę.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolony – cedzę w kierunku jego pochylonego karku.

Linus odwraca się gwałtownie i patrzy na mnie przestraszony.

– Co?

– Gdybym wiedziała, że obrazisz się jak dziecko o to, że wzięłam twój rower, pożyczylabym rower twojej mamy! – Odwracam się i maszeruję przed siebie, nie dając mu szansy na odpowiedź. Wolę nie spóźnić się na matematykę, choć korci mnie, żeby jeszcze mu nawymyślać.

Wieszaki na kurtki przed naszą klasą są prawie puste. O tej porze dnia zwykle pełno jest tu kurtek puchowych, ogromnych szali i kołnierzy ze sztucznego futra, za to teraz wisi tylko jedna samotna czerwona bluza z kapturem i żółtym nadrukiem.

Poczułam zimno w środku. Czyżby dziś była jakaś wycieczka? Zwykle wpisuję takie rzeczy do kalendarza w komórce, ale ponieważ przez większość tygodnia była martwa, a w moim mózgu gotują się różne inne rzeczy, faktycznie mogłam zapomnieć. Przeszukuję zasoby mojej pamięci, ale nie pojawia się żadne „aha!”

W klasie światło jest zgaszone, a krzesła wciąż podwieszane pod blatami po wczorajszym sprzątaniu.

Czyżby Linus rzeczywiście mówił prawdę?

Spoglądam na tablicę, gdzie napisano coś nierównymi literami. Podchodzę bliżej, żeby to przeczytać.

Matematyka odwołana z powodu pilnej narady ciała pedagogicznego.

Lekcja zacznie się o godz. 11.

Pozdrawiam, Janus.

– Co do diabła? – Głos Jonatana za moimi plecami cuchnie dymem papierosowym. – Gdzie są wszyscy?

– Eee... odwołali pierwsze lekcje – wyjąkuję. – Zaczynamy dopiero o jedenastej. Janus jest na radzie pedagogicznej.

– Zaczynamy o jedenastej? – Jonatan wysuwa do przodu dolną szczękę i z groźną miną robi krok w moją stronę.

– To czemu, psiakrew, do mnie nie zadzwoniłaś, Debilio?

Jestem najwyżej na klasowej liście łańcuszka telefonicznego, bo mam zastrzeżony numer i jeśli poranne lekcje są odwołane, muszę niestety dzwonić do Jonatana. Na szczęście nieczęsto jest to konieczne.

Ściskam w dłoni pasek torby i cofam się, przeklinając moją nie działającą komórkę.

– Dopiero teraz się o tym dowiedziałam. Nie miałam pojęcia, że lekcje są odwołane. Moja komórka jest...

– Ty zakuta pało! Mogłem spać godzinę dłużej, głupia babo! – Jonatan wlepia we mnie wściekle oczy, jakby ta sytuacja była sprzysiężeniem przeciwko niemu, a ja stała na jego czele.

– Ale ja nie wiedziałam...

– Zamknij mordę! – Jonatan wybywa przez szatnię i niemal wpada na wracającego ze stołówki Linusa. – Patrz, jak idziesz, gnoju!

Przez moment Linus wydaje się tak rozwścieczony, że boję się, że mu odpyskuje, ale Jonatan już poszedł dalej, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

Linus odwraca się do mnie.

– Co się z tobą dzieje?

– Ty nie wymyśliłaś tego, że odwołali pierwsze lekcje... – wyduszam z siebie.

– Jasne że nie! Wszedłem rano i nie obudziłem cię, a potem miałem wyrzuty sumienia. Spotkałem na korytarzu Janusa, a on mówi, że próbuje dzwonić do różnych z twojej klasy, żeby zawiadomić o radzie pedagogicznej. Ale do ciebie nie mógł się dodzwonić, więc obiecałem, że ci powiem.

– Spoko.

– Czemu zrobiłaś się taka dziwna? – pyta Linus. – Nie chciałaś grać, nic nikomu nie mówiąc, wykradasz się w nocy...

– Linus, przecież mówiłam, że nie chciałam...

– Że nie chciałaś mnie budzić? No jasne, super miło z twojej strony! Masz pojęcie, jak ja się martwiłem, gdy znikłaś? Po wszystkim, co się wydarzyło, zaczęłam sobie wyobrażać dość nieprzyjemne rzeczy!

– Przepraszam – mówię, nie patrząc na niego. – Nie pomyślałam. – Irytuje mnie, że brzmię jak Noa, mistrz nieprzemyślanych działań.

Linus krzyżuje ramiona na piersi.

– Co ty właściwie robiłaś? Czy to miało coś wspólnego z instrumentem?

– Dlaczego tak myślisz?

– To, co się wydarzyło z tym instrumentem u Karla... to jedyne, co łączy nas z bliźniętami. – Linus świdruje mnie wzrokiem. – Chyba że jest coś, o czym nie mówisz.

Czerwienię się tak szybko, że szczypią mnie uszy.

– A co by to miało być? – pytam, żeby zyskać trochę na czasie, choć jestem pewna, że na moich płonących policzkach wielkimi literami wypisane jest w kolorze soku z czarnej porzeczki imię Noa.

– Nie wiem! – Linus rozkłada ramiona. Trzyma w ręce podręcznik do niemieckiego, bandaż na dłoniach są szarawe, poplamione roztopionym śniegiem. – Oczekujesz od nas, żebyśmy o wszystkim ci mówili, ale ty sama o niczym nie mówisz!

– Ja przecież nie oczekuję...

– Na pogotowiu, gdy zapaliła się wata, pytałaś, czy potrafię zrobić coś dziwnego, o czym wam nie powiedziałem. Tak jakbyś uważała, że zataiłbym to przed tobą. A tymczasem ty sama zataiłaś różne rzeczy! Miałaś widzenie o obserwatorium, a nie wspomniałaś o tym słowem. Nawet po fakcie. A gdy wczoraj pytałem, czy dzieje się coś złego...

– Ale szczerze, Linus! Uwierzyłybyś w to? – pytam. – Uwierzyłybyś, że potrafię przewidywać przyszłość, gdybyś nie widział tego, co potrafią robić inni? Tego odbijania śnieżek, zapalania ognia, ratowania ludzi przez Albana, telepatycznego porozumiewania się Noa i Pi?

Linus patrzy na mnie zranionym spojrzeniem.

– Nie, nie uwierzyłybym. Ale znam cię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że tak po prostu sobie różnych rzeczy nie wymyślasz. Pomógłbym ci w znalezieniu logicznego wyjaśnienia. Gdybyś mnie zapytała.

– To nie dlatego, że nie chciałam z tobą rozmawiać, Linus. Ja tylko bałam się, że... że wariuję.

– Tak czy siak, pomógłbym ci. Czy nie tak zachowują się przyjaciele?

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć.

Linus patrzy w podłogę.

– Posłuchaj... ja wiem, że zawsze byłaś bliżej z Albanem. Wiem, że wy... gadacie o różnych innych rzeczach niż ty i ja. Ale... – Linus skubie okładkę podręcznika do niemieckiego. – No... zawsze możesz... – Zamilkł, chrząknął, a potem dalej mówił do podłogi: – Chciałem tylko, żebyś wiedziała...

– Wracasz z nami, Einstein? – Zbliżało się do nas kilku chłopaków z klasy Linusa, z podręcznikami do niemieckiego, blokami i piórnkami w rękach.

Linus spogląda na swój binarny zegarek. Ma małe czerwone diody, które zapalają się w różne wzory w zależności od tego, która jest godzina.

– Mmm... tak. – Odwraca się, żeby pójść za nimi.

– Przyjdę do was do domu później – wołam za nim.

Linus robi półobrót i posyła mi cień uśmiechu.

– No to się widzimy.

Jeden z chłopaków z jego klasy gwizdnął, inny się roześmiał.

Linus coś bąka i odwraca się ode mnie. Gdy skręca w boczny korytarz, ma czerwone uszy.

Śmiech kolegów z klasy potężnieje, a ja wznoszę oczy do nieba.

Niech sobie myślą, co chcą. Znam Linusa, odkąd miał pięć lat. Myśli o całowaniu się z nim towarzyszy takie samo uczucie jak to, które pojawia się, gdy człowiek zakłada but nie na tę nogę, co trzeba.

Linus i ja jesteśmy przyjaciółmi. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Chyba że narobię więcej głupstw.

ROZDZIAŁ 38

Nie miałam ochoty siedzieć w klasie sama i czekać, aż wszyscy się zejdą, więc poszłam do biblioteki.

Nasza bibliotekarka, pani Holm, jest niższa ode mnie o głowę i co najmniej siedemdziesiąt lat starsza. Nie potrafiłaby odstraszyć ani istot z cienia, ani prawdziwych widm, a mimo to w czasie gdy siedzę na sofie i rysuję, odgłosy jej stukania w klawiaturę komputera dają jakiś rodzaj poczucia bezpieczeństwa.

Zdjęłam buty i podciągam pod siebie nogi, gotowa zagłębić się w rysowaniu nie niepokojona przez nikogo przez niemal godzinę, nim znów będę musiała skonfrontować się z Noa.

Ołówek waha się nad białym papierem. Tym razem nie będę rysować elfek i amazonek. Mam na razie dosyć wszystkiego, co ponadnaturalne.

Czarny czubek zaczął się poruszać miękkimi łukami i wkrótce pojawił się zarys leśnej myszy. Ma duże oczy, okrągłe sterczące uszy, w łapkach trzyma orzech laskowy. Rysuję jak nakręcona, lekko i szybko. Futerko cieniuję kolorem jasnoszarym, oczy narysowałam ogniście czarne, z punktami światła. Ogon, układający się w półokrąg wokół tylnych nóg, jest o wiele za długi na to, żeby mógł być realistyczny, ale nie chce mi się go wymazywać. Z przyjemnością pozwalam ołówkowi wyprzedzać na papierze moje myśli i stwarzać żywą istotę.

Kończąc rysunek, jestem zadowolona. To mimo wszystko tylko szybki szkic, ale w ciemnych oczach myszy jest życie, i dzięki cieniowaniu skulonego ciała, udane wrażenie głębi. Sygnuję wzdłuż ogona, tak jak zwykle, czarną ozdobną literą „E” z wijącym się zakrętasem i dwiema kropkami powyżej.

Przewijam kartkę bloku. Jeśli się pospieszę, zdążę przed lekcją duńskiego narysować jeszcze coś. Przykładam czubek ołówka do lśniącej kartki i szukam w zakamarkach mózgu nowej inspiracji.

Nagły krzyk przerażenia wstrząsa mną tak, że rysuję na papierze długą, nierówną kreskę. Z głośno bijącym sercem rozglądam się dokoła, pewna, że urzeczywistnią się wszystkie moje koszmary.

Pani Holm poderwała się ze swojego miejsca przy biurku i przycupnęła za krzesłem.

– Uciekaj! No już! – Jedną rękę zaciska na oparciu fotela, drugą wymachuje w panice w kierunku podłogi przed biurkiem. Wyraz jej twarzy wzbudza we mnie strach przed najgorszym.

Wyciągam szyję, żeby zobaczyć, co pani Holm pokazuje.

Czarnymi oczkami jak paciorki patrzy na mnie spod biurka mała szara myszka.

Kontury okrągłych uszu coś mi przypominają.

Leśna mysz.

Mysz węszy, unosząc nosek do góry, a potem odwraca głowę w stronę pani Holm.

– Zabierz ją stąd! – dyszy pani Holm, wciskając się plecami w regał.

Nie boję się myszy, a jednak nie mogę ruszyć się z miejsca.

Wlepiam tylko oczy w orzech laskowy, który myszka trzyma w łapkach. I w ogon, o wiele za

długi w stosunku do jej małego ciała.

Mysz wydaje z siebie piszczący dźwięk i wypuszcza orzech na podłogę. A potem szybko znika pod sofą, na której siedzę.

Pani Holm z głośnym krzykiem okrąża biurko i pędzi do drzwi.

– Zawołam woźnego! – woła, znikając na korytarzu.

Wpatruję się w leżący na moich kolanach szkicownik. Rysunek myszy widać jako słabe wybrzuszenie na kartce, którą właśnie przewróciłam na drugą stronę.

Mam nieprzepartą potrzebę odwrócenia jej z powrotem i przyjrzenia się rysunkowi jeszcze raz, ale boję się, że papier narobi za dużo hałasu i przegoni mysz spod sofy.

Nie. To n i e m o ż l i w e.

Choć wstrzymuję oddech i natężam słuch do maksimum, w bibliotece nie ma innych dźwięków, tylko słaby szum komputera pani Holm. Pode mną żadnego szurania ani piszczenia.

Odkładam szkicownik na bok i wyciągam nogi, bardzo, bardzo wolno. Pilnie obserwuję podłogę i panele wokół mnie, żeby mieć pewność, gdzie mysz się znajduje. Moje stopy w skarpetach dotykają podłogi. Bezgłośnie zsuwam się z sofy i klękam.

Mysz jest jak cień pod listwami sofy, ale wyczuwam drżenie jej ciała i szybki oddech.

Odrobinę podnoszę głowę, żeby zobaczyć leżący na sofie szkicownik. Żywy sobowtór narysowanej myszy zaczyna drapać w panel.

Nie. To n i e m o ż l i w e!

Szybkim ruchem chwytam szkicownik i wyrrywam z niego rysunek. Zgniatam papier, chcę go wyrzucić, ale w tej samej chwili mysz pod sofą wydaje z siebie odgłos, za sprawą którego ramiona pokrywa mi gęsia skórka.

Gniotę w dłoni papier i w gardle zamiera mi oddech.

Osuwam się na podłogę. Raz, jeszcze raz.

Kładę kulkę papieru na bloku i znów zaglądam pod sofę. Ręce mi drżą.

Mysz jest martwa. Leży na grzbiecie z otwartymi, pustymi oczami, mała klatka piersiowa, która przed chwilą trzęsła się w panice, jest nieruchoma. Ciało skręcone, nogi pod nienaturalnymi kątami, jak połamane. Z ucha wypływa kropelka krwi.

Podniosłam się tak gwałtownie, że uderzyłam ramieniem w stół. Zgarniam torbę, blok i piórniki, chwytam buty i uciekam z biblioteki.

ROZDZIAŁ 39

Skręcając w prostopadły korytarz, wpadam w biegu prosto na Noa. Zderzenie sprawiło, że przechyliłam się do tyłu i upuszczam rzeczy, które trzymałam w ramionach. Szkicownik poleciał ślizgiem po podłodze i wylądował przed Pi. Ołówki i kredki z otwartego piórnika turlają się we wszystkich kierunkach.

Noa chwycił mnie, zanim zdążyłam całkiem stracić równowagę.

– Co się znowu dzieje? – pyta, natychmiast wykazując czujność.

Pi wbija wielkie, przerażone oczy w przestrzeń za moimi plecami, jak gdyby w każdej chwili z drugiego korytarza mógł wyskoczyć mój prześladowca.

– Emi, co się stało? – Noa mocniej zaciska dłoń na moich ramionach.

– Ja chyba... – Mój głos jest słaby, a zarazem o wiele za wysoki.

– Przed chwilą narysowałam w bibliotece mysz. I ją zabiłam.

– Co? – Noa puszcza mnie, ale nadal jest napięty.

– Ja chyba... ja chyba mogę... ja nie chciałam... chciałam tylko...

– Spokojnie, Emi – mówi Noa. – Zaczynaj od początku.

Opuszczam ramiona i zamykam oczy.

– Siedziałam w bibliotece i rysowałam mysz – mówię cicho. – A potem ona ożyła. Ale gdy zgmiotłam kartkę, to ją zabiłam. Leży pod sofą.

– Gdzie? – pyta Noa.

– W bibliotece. – Otwieram oczy.

Noa już zmierza tam, skąd przybiegłam.

Pi i ja spoglądamy na siebie i na moje rozrzucone na podłodze przyrządy do rysowania. Pi zgarnia wszystko razem i wrzuca do torby, ja podnoszę buty i ruszamy za Noa.

Gdy weszliśmy do biblioteki, zobaczyliśmy go klęczącego przed wytartą sofą. Pani Holm ani woźnego jeszcze nie ma.

Noa wyprostowuje się. W ręce ma martwą mysz.

Trzyma ją kciukiem i palcem wskazującym za ogon, połamane kończyny bezwładnie zwisają. Teraz widzę, że małe ciało krwawiło z uszu, nosa i pyszczka. Odwracam się, bo buntuje mi się żołądek.

– Co się wydarzyło? – pyta Noa.

Patrzę na niego, nie na wiszącą między nami mysz.

– Narysowałam mysz trzymającą w łapkach orzech i nagle zobaczyłam przed sobą identyczną mysz. Tak się przeraziłam, że zgmiotłam papier. I wtedy ona... zdechła.

Pi bierze z sofy zgnieciony rysunek i wygładza go na niskim stoliku.

Choć mysz, którą trzyma Noa, jest mocno pokiereszowana, a jej narysowane wydanie zniekształcone przez zagniecenia papieru, wyglądają tak samo i robi to nieprzyjemne wrażenie.

– Tam leży orzech – mówię słabym głosem, wskazując na podłogę.

Noa podniósł orzech i położył go na stole obok rysunku. Brązową łupinę przecina głęboka bruzda w tym samym miejscu, w którym na rysunku widać zagniecenie. Noa patrzy na mysz,

z której kapie na podłogę krew.

– Wyrzuć ją na zewnątrz – mówi Pi.

Noa skinął głową i uchylił okno. Na szczęście nie widziałam, gdzie mysz wylądowała.

Noa zamyka okno, chwilę stoi i nasłuchuje.

– Jest tu jeszcze ktoś? – pyta, rozglądając się dokoła.

– Nie – mówię. – Bibliotekarka pobiegła po woźnego, a poza mną była tu tylko ona.

Noa wraca do nas i patrzy na szkicownik, którego róg sterczy z mojej otwartej torby.

– Narysuj coś jeszcze.

Przyciskam do siebie torbę i buty.

– Nie – szepczę.

Noa wznosi oczy do nieba, a Pi posyła mu ostre spojrzenie.

– Dlaczego nie? – pyta. – Przecież musimy to sprawdzić, jeśli to jest jakaś nowa zdolność!

– Ja ją zabiłam, Noa! Zabiłam żywą istotę, po prostu zgniatając kartkę papieru! – Dopiero gdy głośno wymówiłam te słowa, dociera to do mnie naprawdę i ręce znów zaczynają mi się trząść. Przyciskam swoje rzeczy mocniej do piersi, żeby odzyskać panowanie nad sobą.

– Jesteś pewna, że żyła? – pyta Noa.

– Oczywiście! Widziałam, jak się poruszała i jak oddychała, słyszałam, jak... słyszałam, jak piszczała.

Śmiertelny krzyk myszki wciąż tkwi w błonach moich bębenków.

– Mówisz, że ją narysowałaś. I że zdechła, gdy pogmiotłaś kartkę. Tak?

Kiwam tylko głową.

– A co by się stało, gdybyś wymazała rysunek? – pyta.

Patrzę na niego i nie rozumiem.

– Gdybym go wymazała?

– Tak. Myślisz, że wtedy zniknie? To znaczy, ta żywa mysz?

– Która nie jest już szczególnie żywa – dodaje Pi.

– Tego... tego... tego nie wiem – bąkam. – Nie myślałam o tym.

– Spróbuj – mówi Noa. – Ona jest już martwa. Nic się nie może stać. – Wyciąga rękę po szkicownik, ale ja nadal mocno przyciskam do piersi torbę, więc musi użyć siły, żeby ją wyjąć z mojego uścisku. – Masz gumkę? – pyta.

Niechętnie sięgam do torby i wyciągam moją ulubioną gumkę, biały klocek gruby na kilka centymetrów i długi na długość mojego najdłuższego palca.

– A może któreś z was by to zrobiło? – proszę, obojętna na to, jak żałośnie to brzmi, i wyciągam do nich gumkę.

– Nie – mówi Noa zdecydowanie. – Ważne jest, żebyś ty to sprawdziła.

Odstawiam torbę i buty i kucam przed stołem. Kulę ramiona, żeby wcisnąć serce z powrotem do klatki piersiowej. A potem przykładam do czoła myszy czubek gumki niczym miękki pistolet do uboju zwierząt i zaczynam mazać.

Długie, solidne tarcia zamieniają mysz w rozprzestrzeniające się po stole szarobiałe kłaczki gumy zmieszane z pyłem grafitu. Choć mysz jest już martwa, kurczowo rozpościeram kartkę palcami lewej ręki, by uniknąć dodatkowo jej gniecienia.

Pi i Noa śledzą moje ruchy skoncentrowani, ze zmarszczonymi czołami.

Wkrótce po rysunku zostają tylko ledwo widoczne, bezbarwne zagłębienia w papierze, ślady nacisku czubka ołówka, których gumka nie może usunąć. Zdmuchuję kłaczki gumy na podłogę, żeby papier był całkiem czysty.

Wszyscy troje spojrzeliśmy na okno. Noa podchodzi do niego szybkimi krokami i wychyla się, żeby sprawdzić zaspę śniegu.

– Nie ma jej!

Stanęłam obok niego i spoglądałam w dół. Kilka małych, czerwonych plam i niemal niewidoczne zagłębienie w śniegu są jedynymi śladami po istnieniu myszy.

Noa wyprostuje się i spogląda na mnie.

– Super – mówi.

Trudno mi dzielić jego zachwyt, mimo że odkąd mama czytała mi w dzieciństwie *Otto jest jednorożcem*, marzę o tym, by moje rysunki mogły ożyć.

Bo historia o Otto kończy się dobrze, nosorożec płynie w stronę horyzontu w drodze na wyspy Fittihuli. Nie zostaje pokiereszowany, zabity i wyrzucony w śnieg, żeby tylko znikł.

– Narysuj coś jeszcze – mówi Noa. – Skoro wystarczy, żebyś wymazała...

– Nie. – Podchodzę do sofy i wkładam szkiecownik i gumkę z powrotem do torby. Nie patrząc na bliźnięta, zaciągam suwak i nachylam się, żeby włożyć buty.

– Dlaczego nie? – pyta Noa gdzieś nade mną.

Zaciągam sznurowadło tak mocno, że aż zaboląły palce.

– Bo nie mam ochoty.

– Czego się boisz?

– Dlaczego zawsze chodzi o to, czy się człowiek boi czy nie? – Gwałtownie się wyprostowuję, chwytam torbę i zarzucam ją sobie na plecy z taką siłą, że zabolęło mnie ramię. – Ja się nie boję!

– Więc w czym problem? – naciska Noa.

– W tym, że ty zawsze musisz nas zmuszać do robienia rzeczy, na które nie mamy ochoty! Dosyć mam tego, że wszystkim chcesz sterować!

Noa mruga powiekami, Pi szeroko otwiera usta.

Bez słowa wychodzę z biblioteki, potykając się o własne nogi.

On myśli, że się boję, ale to dlatego, że niczego nie rozumiem.

Boję się ciemności, os, wysokości, ośmieszenia się i tysiąca innych rzeczy, ale rysowania czegoś, co może ożyć, ja się nie boję!

Ja jestem tym śmiertelnie przerażona! Panicznie, totalnie przerażona przepaścią, która otwiera się pod moimi stopami, teraz, gdy nagle mogą zaistnieć w rzeczywistym świecie wszystkie myśli, którym nadaję życie za pomocą ołówka. Wszystkie moje marzenia i wszystkie koszmary. Wszystko, co jest zbyt trudne albo zbyt bolesne, żeby to opisać słowami, i co może ze mnie wyjść tylko w formie rysunków. Ale takich, których nigdy nikomu nie mam zamiaru pokazać.

Stopy poruszają się bezwiednie i prowadzą mnie przez szkolne korytarze, bez mojej świadomej decyzji o celu tej wędrówki. Muszę być w ruchu, żeby nie dopadł mnie strach.

Nie będę już miała odwagi rysować. Nigdy przenigdy.

Ciekawe, czy mogą ożyć tylko fikcyjne postaci? Wymyślone przeze mnie zwierzęta i ludzie, i dziwne istoty? Czy mogą też ożyć portrety rzeczywistych osób? Czy, nie wiedząc o tym, stworzę armię sobowtórów niczym zombi?

Ciarki przechodzą mi po plecach na myśl, że w jednej chwili wszystkie rysunki z mojego szkiecownika staną się rzeczywistością. Portrety mojej rodziny, Noa, Albana i Linusa. Portrety obcych ludzi, rysunki nagich osób z kursu rysowania, na który chodzą latem. Postaci starszych pań z autobusu czy dzieci w parku albo zwierząt w zoo.

Moje portrety. Czy mogę wymazać swój autoportret i spowodować, że moje własne życie zniknie? Unicestwić rzeczywistą osobę, rysując ją, a potem wymazując? Czy mogę być pewna,

że jeśli wymażę rysunek, to narysowana wersja rzeczywistości zniknie na zawsze?

W moich szkicownikach są setki... t y s i ą c e rysunków. Czy ożyją w rzeczywistych wymiarach czy w takich, w jakich je narysowałam? Choć wyobrażenie miniatur nagich ludzi tańczących po moim biurku mogłoby być zabawne, z przerażenia robi mi się na tę myśl zimno.

Ale... szkice, które powstały przedprzedwczoraj wieczorem w moim pokoju nie ożyły, choć są w tym samym szkicowniku, w którym, był rysunek myszy.

Stanęłam, zrywam z pleców torbę i wyciągam blok. Kartki z tego rysunkowego szafu są pełne fruujących motyli, pięknych kobiet i egzotycznych ptaków z piórami w ogonach w formie skomplikowanych secesyjnych zawijasów, ale nic z tego nie pojawiło się w bibliotece razem z myszą!

Jeśli tę moją zdolność stworzyły tajemnicze oparzenia, to może dotyczy ona tylko rysunków powstających od pojawienia się ran?

Kartkując szkicownik i sprawdzając daty obok sygnatur, czuję kielkującą w piersi nadzieję.

Wszystkie daty są sprzed naszej pierwszej, przedwczorajszej wizyty u Karla. Po namyśle dochodzę do wniosku, że od tego czasu nie rysowałam też w zeszytach na lekcjach, bo albo zbyt zajmował mnie Noa, albo moja własna głowa, która była bliska eksplozji.

A może narysowane przeze mnie rzeczy ożyły gdzie indziej?

Ale gdzie miałabym wobec tego ich szukać, jeśli nie pojawią się blisko mnie, tak jak mysz?

A może ożywają tam, gdzie powstają? Co w przypadku większości z nich oznaczałoby mój pokój w domu, okolice łóżka albo biurka.

Wyobrażam sobie, jak mama otwiera drzwi, żeby mi oddać wyprane ubrania... i staje twarzą w twarz z wszystkim, z czym kryłam się przez ostatnie lata.

Na tę myśl ruszam galopem do wyjścia.

ROZDZIAŁ 40

Autobus do domu jedzie o wiele za wolno. Ostrożność kierowcy hamującego przed każdym śliskim jak lustro zakrętem jest torturą, ale zagryzam zęby i zaciskam ręce na oparciu przede mną, wbijając wzrok w przestrzeń za przednią szybą.

To już drugi raz w tym tygodniu uciekam z lekcji, ale w mrowiu kotłujących się myśli nie ma miejsca na wyrzuty sumienia.

A co by było, gdybym narysowała tygrysa pożerającego człowieka? Albo bombę atomową. Albo coś jeszcze okropniejszego.

A jeśli zmieniałabym moimi rysunkami świat? I to na lepsze? A co by było, gdybym narysowała motyla jednym poruszeniem skrzydła wywołującego orkan po drugiej stronie globu? Boże, a gdyby stało się coś przerażającego, coś, czemu byłabym winna?!

Kto wie, może będę musiała pisać, zamiast rysować. A jeśli ożyją litery? Jeśli ożywać będzie wszystko, co zrobię z użyciem ołówka, i to, co napiszę, też się urzeczywistni? Albo jeśli litery uciekną z papieru i zrobią coś strasznego? Uduszą niemymi spółgłoskami i długimi samogłoskami tych, których kocham?

Autobus ślimaczy się pośród śnieżnego pejzażu, a moja fantazja szaleje na całego.

Noa nazwał to na pogotowiu „nadprzyrodzonymi zdolnościami”. Jestem pewna, że zafascynowany rysunkowymi superbohaterami, jest szczęśliwy, że potrafi robić coś nadzwyczajnego.

Ale ja nie jestem nim. Mnie nigdy nie przeszkadzało niewyróżnianie się.

A teraz posiadam jakieś supermoce. I nawet nie mam pojęcia, na ile rzeczywiście są super.

Czy mogę narysować, cokolwiek bym chciała? Nowy księżyc? Równoległy kosmos? Czy mogę narysować moje własne dzieci i uniknąć porodów?

Przyciskam mocno czoło do zimnej szyby i zamykam oczy, żeby uciec od siebie samej, ale wpadam w sieć własnych myśli.

Czy mam wpływ na to, co robią narysowane postaci, czy tylko mogę dać im życie? Choć rysuję z najlepszymi intencjami, może się zdarzyć, że zaczną szaleć, gdy tylko na papierze znajdzie się ostatni zawijas.

A może moje rysunki zawierają esencję wszystkich negatywnych uczuć, które przelewam na papier?

Jakie okropności może wytworzyć moja podświadomość, jeśli nie zdążę wymazać rysunku?

Nagle dobiega mnie ochryply głos kierowcy:

– Nie powinnaś tu wysiąść?

Otwieram oczy i stwierdzam, że stoimy przy Skovvej.

– Tak... dziękuję! – Szybko wyskakuję z autobusu i biegiem ruszam do domu.

W oknach jest ciemno. Mama pojechała pewnie na zakupy.

Na szczęście.

Gdy wparowałam do domu, na spotkanie wybiega mi z głośnym szczekaniem euforycznie machający ogonem Filur. Próbuje polizać mnie po twarzy, ale ja zrzucam z nóg buty,

przepycham się obok niego i galopuję przez kuchnię do schodów prowadzących na piętro. Pokonawszy pierwsze stopnie dwoma długimi, niezgrabnymi skokami, zatrzymuję się, nagle sparaliżowana strachem przed tym, co mnie czeka.

Filur popiskuje za mną na schodach, sfrustrowany tym, że go zignorowałam i wyraźnie czujący, że coś jest nie tak.

– Ciii, Filur, idź sobie, leżeć – szepczę. Nie zareagował, więc podnoszę głos: – Idź, leżeć!

Filur posyła mi zranione spojrzenie i schodzi ze schodów z podwiniętym ogonem.

Próbuję odzyskać kontrolę nad moim świszczącym oddechem, by móc usłyszeć ewentualne obce odgłosy.

Jest całkiem cicho.

Mysz w bibliotece wydawała dźwięki. Moje rysunki nie są bezdźwięczne. Ergo, nie powinnam się dziwić, gdyby w moim pokoju imprezowało tysiące narysowanych postaci.

Choć w tym rozumowaniu jest logika, nie mogę złapać tchu, gdy stoję przed drzwiami z własnoręcznej roboty tabliczką z moim imieniem. Motyle wokół ozdobnego napisu „EMI” są nieruchome, przesuając po nich palcami, czuję tylko papier. A jednak nie uspokaja mnie to. Rysunek myszy nie zmienił się, gdy na podłodze ukazała się żywa mysz.

Wpatruję się w klamkę i zastanawiam, czy nie przywołać jednak Filura.

Ale co mógłby poradzić na moje demony?

Naciskam klamkę i mocno popycham drzwi.

Drzwi z hukiem uderzają w ścianę, a ja stoję w progu, skulona, gotowa walczyć o życie.

Elrond i Galadriel, przerażone, podnoszą krzyk i trzepoczą w klatce, ale poza tym w pokoju nie ma innych ruchów.

Prostuję plecy i ostrożnie przekraczam próg. Nic się nie dzieje, więc robię jeszcze jeden krok.

A potem rzucam się do biurka i szarpnięciem otwieram najniższą szufladę.

Z ostatniej kartki szkicownika uśmiecha się do mnie Noa, tym swoim droczącym się uśmiechem, który sprawia, że żałuję, że cała ta paranoja ma miejsce.

Rozglądam się po pokoju. Stare szkicowniki stoją w barwnych szeregach na półkach nad drzwiami i nad biurkiem, leżą w stosach obok łóżka.

Zeszyty o sztywnych okładkach, z czarnymi i czerwonymi grzbietami i narożnikami, kolorowe bloki na spirali, niektóre ozdobione na okładkach moimi kolażami.

Nie wiem, ile dokładnie ich mam, ale pewnie co najmniej pięćdziesiąt.

Drzwi były zamknięte, a okna nie otwierałam od sierpnia, bo na parapecie leżą muchy hibernujące na zimę. Gdyby postaci z rysunków ożyły nawet w skali jeden do jednego w stosunku do rozmiarów na papierze, pewnie nie mogłyby się tu wszystkie ukryć.

A poza tym, czy Filur nie zachowywałby się dziwnie, gdyby w całym domu przed moim powrotem działały się cuda?

Znowu spoglądam na Noa. Narysowałam tylko jego głowę, ramiona i górną część klatki piersiowej. Chciałabym wiedzieć, co by się stało, gdyby ten rysunek ożył. Czy Noa automatycznie miałby całe ciało, ręce i nogi, czy też byłby jedynie gadającą głową? Dostaję gęsiej skórki na samą myśl o tym i szybko zamykam szkicownik.

Krzesło przy biurku zaskrzypiało, gdy ciężko na nie opadłam. Na rogu stołu obok drukarki leży otwarta paczka papieru. Papier wabi mnie bezdźwięcznym śpiewem przypominającym śpiew syreni i moja prawa ręka sięga do kubka z ołówkami.

Chwytam ołówek węglowy i zaczynam obracać go kciukiem i palcem wskazującym. Czuję ośmiokątny kawałek drewna w palcach inaczej niż zwykle. Jest twardszy, niebezpieczny, niemal

jak broń. Jak życie i śmierć i nazbyt wiele różnorodnych możliwości.

To jeden z ołówków do cieniowania, o zaokrąglonym czubku, odrobinę spłaszczonym z jednej strony od wypełniania dużych, ciemnych pól. Choć czubek nie jest ostry, przypomina duży siekacz gotów przegryźć się przez biel i wszystko porozrywać.

Znów spoglądam na papier.

Czy rzeczywiście ożyć mogą tylko nowe rysunki? Te powstałe, odkąd mam rany na rękach?

A może to wcale nie ja spowodowałam pojawienie się myszy w bibliotece?

Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać, choć ogarnia mnie złość na myśl, że to pomysł Noa.

Biorę głęboki wdech i powoli wydycham powietrze. A potem wyjmuję z otwartej paczki kartkę papieru i kładę ją przed sobą.

Jestem przyzwyczajona do lęku przed porażką, gdy zabieram się do rysowania szczególnie trudnych rysunków albo jeśli korzystam z bardzo drogiego papieru. W tych sytuacjach każdy ruch ołówka jest jak balansowanie na ostrzu noża. Granicę między sukcesem a katastrofą wyznacza milimetrowa dokładność.

Wielka dziewicza pustka papieru może czasem być tak przerażająca, że żeby zacząć, trzeba narysować choćby jakąś kreskę.

Właśnie tak czuję się teraz. Tylko tysiąc razy gorzej.

W każdej sekundzie, która mija bez wprawienia ołówka w ruch, kartka papieru staje się coraz większa i coraz bielsza. Nieskończoność zamknięta czterema rogami.

Zamykam oczy i przykładam czubek ołówka do papieru. Ręka lekko mi drży, otwieram oczy.

Biel kartki zakłóciła czarna kreseczka długości kilku centymetrów.

No. Nareszcie zaczęłam.

Towarzyszące temu uczucie jest mi zarówno dobrze znane, jak i obce. Jak wtedy gdy Alban uczył mnie słuchania dźwięków, jakie wydają moje przyrządy do rysowania... a zarazem jednak zupełnie nie. Bo te dźwięki były zawsze, tylko ich nie zauważałam.

Przede mną otwiera się zupełnie nowe, nieznanie terytorium. Z tej małej kreski może powstać wszystko. Mysz, słoń, czarna dziura, inny świat. Początek wszystkiego. Albo koniec.

Nie mam ochoty znowu rysować myszy. To powinno być coś mniejszego, prostszego.

Coś, co nie potrafi krzyczeć.

Przed moim wewnętrznym okiem pojawia się obraz mrówki i zaczynam szkicować długie ciało i cienkie nóżki. Dopiero gdy narysowałam ósmą, przychodzi mi do głowy, że tyle nóg mają tylko pająki. Nie mogę też sobie przypomnieć, czy mrówki mają długie czy krótkie czułki, więc na wszelki wypadek rysuję dwie długie. Wypełniając odwłok czernią, wychodzę trochę poza kontury, bo drżą mi ręce.

Rysunek jest gotowy. Przyglądam się mrówce. Oczekiwałam, że w każdej chwili zacznie pełzać po papierze, ale pozostaje nieruchoma.

Wstaję z krzesła i zaczynam przeszukiwać pokój. Unoszę kołdrę, przeglądam przegródki torby szkolnej, wywracam do góry nogami zawartość szuflad biurka, przyglądam się wytartej wykładzinie podłogowej, przeczesuję wzrokiem framugę okna, regał z książkami i półki. Przetrzęsając fałdy nogawki po przeczołganiu się ze zmrużonymi oczami wzdłuż ściennych paneli, czuję, że jestem beznadziejna, bardziej niż zwykle.

Siadam z powrotem na krześle przy biurku i spoglądam na wciąż nieruchomą mrówkę.

Oczywiście, nie rusza się!

Gdy teraz o tym myślę, to ogon tej myszy wcale nie był znów taki długi. I to, że pojawiła się

w bibliotece, też chyba nie jest niczym dziwnym? Stojące na strychu pudła ze starymi *paperbackami*⁵⁷ mamy cieszą się wielką popularnością wśród naszych domowych myszy. A poza tym, czy wyrzuconej na śnieg myszy po prostu nie chwycił kot?

Nieforemna mrówka nadal jest tak samo statyczna i dwuwymiarowa, jak w czasie, gdy ją rysowałam, mimo to wciąż drzę z niepokoju. Moja racjonalność bardzo mnie zawodzi w ostatnim czasie. Czy powinnam pogadać o tym z Linusem? Nie mam ochoty się wygłupić, ale przecież dopiero co mnie zapewniał, że będzie mi wierzył, choćby nie wiem co.

Co miałabym mu powiedzieć? Że rysunki być może ożywają, ale tylko czasami?

Prawa ręka znów chwyta ołówek, całkiem automatycznie. Najlepiej mi się myśli, kiedy rysuję.

Po raz ostatni spoglądam na mrówkę. A potem potrząsam głową, żeby myśli ułożyły się tak jak trzeba, i szybko podpisuję rysunek. Sygnowanie wszystkiego, nawet szkiców, jest trochę jak natręctwo. Przez kilka lat doskonaliłam moją sygnaturę, żeby wyglądała jak należy, machnięta jakby od niechcenia i z artystycznym zacięciem.

Gapię się w wygięte czułki, nie widząc ich. Będę musiała wrócić do szkoły i złapać Linusa. Musi mi pomóc w...

Nagle jakiś ruch na biurku zmusza mnie do podniesienia wzroku.

O, matko! Rzucam się z powrotem na krzesło – po biurku chodzi mrówka! Powoli maszeruje w kierunku kartki. Teraz wyraźnie widać, że czułki są za długie, mrówka z trudem unosi głowę, za to dodatkowa para nóg chyba jej nie przeszkadza. Dotarła do kartki i wdrapuje się na swoją narysowaną bliźniaczkę. Lśniący, czarny pancerz na odwłoku jest chyba częściowo oderwany, bo sterczy w górę. Widzę, że sterczące fragmenty są dokładnie w tych samych miejscach, gdzie cieniowania wybiegły mi poza kontury, i tworzą na odwłoku małe, czarne zygzaki.

Wstrzymuję oddech i patrzę, jak mrówka kręci się po papierze z pochyloną głową i olbrzymimi czułkami, najwidoczniej nie zdając sobie sprawy z tego, że porusza się po kluczu do swojego istnienia.

Dotarła do brzegu stołu, a ja chwytam gumkę z kursu rysowania i zaczynam wycierać.

Najpierw w kłaczki gumy zamieniają się przednie nogi. Mrówka potknęła się i leci ze stołu głową w dół. Spadając na podłogę, nie ma już pozostałych sześciu nóg i czulek, a po chwili powoli znika także głowa i tułów.

Ręce mi drżą. Właśnie wyrwałam nogi niepełnosprawnej mrówce! Jestem potworem zabijającym stworzone przez siebie zdeformowane istoty. Doktor Frankenstein z ołówkiem!

Insekty czują pewnie ból, choć nie potrafią krzyknąć?

Mdłości pojawiają się tak szybko, że zdążyłam tylko szarpnąć spod stołu kosz i zwymiotowałam.

ROZDZIAŁ 41

Gdy wpadłam do kuchni, okazało się, że Sandry nie ma w domu.

Kopnięciami zrzucam buty i biegnę do pokoju Albana. Otwieram drzwi tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a bym go nimi uderzyła.

– Auuu! – krzyknął Alban, starając się odzyskać równowagę po uskoku, który uratował mu życie.

– A ty czemu nie w łóżku? – pytam przestraszona.

– Lepiej się czuję. Poza tym usłyszałem, że coś się przewraca w przedpokoju. Myślałem, że mama wróciła z Brugsena z zakupami i że może coś jej upadło. A co ty tu teraz robisz? Następne lekcje też odwołali?

– Nie. – Zamykam za sobą drzwi. – Nie zdążyłam.

– Dlaczego? – W głosie Albana nie słychać wyrzutu, tylko zatroskanie.

Z szybkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę dopada mnie uczucie litości dla samej siebie. Chaotycznymi kaskadami słów, smarków i łez zaczynam wylewać mu na głowę wszystkie problemy przedpołudnia.

Wreszcie skończyłam i siedzę na łóżku, jeszcze zachłystując się łzami, a Alban głaszcze kciukiem moją dłoń.

Niczego nie komentuje, zadaje tylko pytania, żeby lepiej wszystko zrozumieć.

– Wyrzucę wszystkie ołówki. – Siąkam nosem. – I farby, i sztyfty węglowe, markery i tusze. I w ogóle wszystko do rysowania! – Myśl o targaniu na śmietnik przyborów do rysowania wartych kilka tysięcy koron znów wywołuje mrowienie w kanalikach łzowych.

Kciuk Albana wędruje po żyłach mojej prawej ręki.

– Myślisz, że wyrzucenie tych rzeczy cokolwiek by pomogło?

– Tak! Jeśli nie będę rysować, nie będzie rysunków, które mogłyby ożyć. Jeśli nie będę rysować, nikomu i niczemu nie wyrządę krzywdy!

– Jesteś tego pewna?

Zamykam oczy i próbuję się skoncentrować na suchym szczypaniu pod powiekami. Ból przynajmniej ma sens.

– Mam nadzieję – szepczę.

– Mogłabyś z dnia na dzień przestać rysować?

Otwieram oczy i spoglądam na niego. Wyobrażam sobie, że coś mu się może stać, bo nieostroźnie machnęłam ołówkiem.

– Tak. – Liczę, że zabrzmiało to zdecydowanie, choć głos mam zdarty od płaczu.

– Emi... – Alban ściska moją rękę. – Nigdy nie umiałeś kłamać. Ani innym, ani samej sobie.

Spoglądam na nasze ręce. Moją, z pyłem węglowym pod paznokciami i falistą, czarną kreską wzdłuż palca wskazującego od ostatniego rysowania tuszem spirytusowym, i jego, o krótko obciętych paznokciach i twardej skórze na czubkach palców od gry na gitarze.

On też jest przyzwyczajony do wyrażania uczuć bez słów. Ale przynajmniej nie wystawia na szwank życia innych.

– Ja muszę przestać rysować!

– Dlaczego?

– Bo... bo nad tym nie panuję, Alban! Bo nie mam pojęcia, jak to działa! Bo nie mam pojęcia, czy w ogóle istnieje granica tego, co mogę narysować! Bo jestem niebezpieczna!

– Ale czy nie mówiłaś, że mysz i mrówka znikły, gdy je wymazałaś?

– Mówiłam, no i co?

– I czy nie mówiłaś, że mrówka pojawiła się dopiero, gdy podpisałaś rysunek?

– No... tak...

– Więc możesz nad tym panować. W każdym razie częściowo. Obojętnie, co narysujesz, możesz to wymazać. Obojętnie, co zrobisz, możesz to cofnąć. Czy to cię nie uspokaja? – Alban uśmiecha się do mnie leciutko.

– A jeśli nie będę mogła zapanować? Jeśli to, co narysuję, zdąży zrobić coś złego, zanim wymażę rysunek?

– Przecież nie musisz od razu rysować mięsożernych dinozaurów. Możesz zacząć od małych bezpiecznych rysunków, aż się nauczysz nad tym panować.

– Ale ja nie mam ochoty eksperymentować!

Cofnęłam rękę. Dlaczego Albanowi i Noa tak się śpieszy, żeby testować te nasze zdolności?

– No, jeśli chcesz znowu czuć się bezpieczna, trzymając w ręce ołówek, to musisz poznać ograniczenia.

– A co się takiego stanie, jeśli już nigdy nie wezmę do ręki ołówka? – upieram się. Wstaję z krzesła i podchodzę do okna.

Nietknięty śnieg na dachu zaparkowanego przy chodniku auta przywołuje mi na myśl kartkę czystego papieru.

– Nie możesz wciąż od tego uciekać – słyszę za plecami. – Musisz pogodzić się z tym, że w ostatnich dniach bardzo dużo się zmieniło.

Odwracam się do niego. Mam ochotę przeciwstawić mu się albo krzyknąć, albo rzucić się na podłogę i beczeć, tylko nie wiem, od czego zacząć.

– Nikt z nas nie może od tego uciec – mówi Alban cicho.

– Ale ty przynajmniej potrafisz zapobiegać nieszczęściom! A ja coś dokładnie przeciwnego!

Jeszcze przed południem tego dnia mogłabym przysiąc, że telekineza i zdolność do rozpalania ognia to najdziwniejsze i najniebezpieczniejsze rzeczy, jakie wywołała nasza wizyta u Karla. Ale to było, zanim odkryłam, że potrafie stwarzać i unicestwiać za pomocą grafitu i gumki. Zaciskam powieki.

– A właściwie dlaczego tylko my trzy, dziewczyny, potrafimy... takie rzeczy? – pytam.

– Jak to?

– Twoja zdolność nikomu nie może przynieść szkody, telepatyczna komunikacja bliźniąt też nie. A Linus, chociaż może coś potrafi, to w każdym razie jeszcze nikogo nie zabił. Ale to, co potrafimy robić my, Pi, Adriana i ja, jest... inne. Niebezpieczne. Zwłaszcza jeśli nie będziemy umiały tych rzeczy kontrolować.

– Ale jak chcesz się tego nauczyć, jeśli nie spróbujesz? – Alban siedzi na łóżku, wyprostowany, poważny. Choć letnia opalenizna już znikła, wciąż jest złocisty w zestawieniu z białymi bandażami. Ciemnobrązowe pasmo włosów zakrywa jedno oko, którego kolor jest taki sam jak kolor ciężkiego od śniegu nieba. Mimo że ma na sobie spodnie od piżamy i mnóstwo bandaży, wygląda jak facet z reklamy. To wkurzające, że jest taki doskonały. I że zawsze ma tak cholernie dużo racji.

– Dobrze, wobec tego powiedzmy, że wszystko dzieje się za sprawą mojego podpisu – wzdycham i znowu siadam na łóżku. – A jeśli obudzę się w środku nocy i zacznę podpisywać rysunki?

– Ale czy kiedykolwiek to robiłaś?

– Nie, ale to chyba teoretycznie możliwe?

– Jeszcze raz... Nikt nie mówi, że masz narysować cały Park Jurajski i klatkę z lwami w ogrodzie zoologicznym. Na początku musisz się zadowolić nieszkodliwymi rysunkami. Wątpię, żeby mrówka mogła narobić jakichś szkód. Nawet jeśli ma osiem nóg.

– Hej! – Kopię go na niby w kolano, a na jego twarzy pojawia się skurcz. – Zabolalo? – pytam.

– Nie bardzo. – Alban pociera kolano. – Muszę się tylko przyzwyczaić do tego, że wyczuwam, co się ma wydarzyć. Odczułem to tak, jakbyś mnie dwa razy pstryknęła. Ten pierwszy raz był tylko zapowiedzią, nie bolało tak samo. Zaczynam dostrzegać regułę. Rozróżniać, co tylko zapowiada, a co jest rzeczywiste.

– Przepraszam – bąkam.

– Nie szkodzi, nie bolało.

– Ale ja... przepraszam, że myślę tylko o sobie. Całkiem zapominam, że ty też musisz sobie radzić z tą nową sprawą. Chociaż twoja zdolność jest trochę fajniejsza niż moja.

– To się okaże. Na razie dorobiłem się potężnego oparzenia i kopniaka w kolano. Nie uważam, żeby to było szczególnie fajne.

– A gdy zepchnąłeś Noa z sofy, nie miałeś ostrzeżenia, że tobie też coś się stanie?

– Miałem, ale to, które dotyczyło Noa, było pierwsze. I nie zdążyłem zareagować odpowiednio szybko na oba. Gdy się podniosłem, bluza już się paliła. Muszę widocznie wyćwiczyć megalomanię, jeśli mam uratować świat. – W głosie Albana jest smutek.

– Gdy przed chwilą odskoczyłeś od drzwi... czułeś, że cię uderzą?

– Tak, ale niewiele brakowało, a bym upadł, bo straciłem równowagę. To, że udaje mi się uniknąć jednego niebezpieczeństwa, najwyraźniej nie gwarantuje, że uniknę następnego.

– A tę twoją zdolność odkryłeś dopiero wtedy na sofie?

– Nie. Pierwszy raz był wieczorem na pogotowiu, gdy odciągnąłem Linusa od automatycznych drzwi. Usłyszałem je chwilę przedtem, gdy krzyknęłaś... a potem znowu je usłyszałem. Ale szybko uznałem, że po prostu jestem zmęczony i że słyszę różne rzeczy z powodu bólu w rękach. – Alban kręci głową. – A jednak cały czas nazajutrz po naszej wizycie u Karla miałem dziwne wrażenia. Najgorzej było przed południem na lekcji duńskiego. Słyszałem głosy i cały czas czułem się tak, jakbym zaraz miał upaść albo jakby mnie miała w głowę trafić piłka. To było takie rzeczywiste, że kilka razy zdarzyło mi się cicho krzyknąć albo odruchowo się podrywać. Ludzie w klasie musieli na mnie patrzeć jak na wariata.

– Przed południem? My mieliśmy wtedy wuef i piłka uderzyła mnie w głowę, aż wpadłam na Noa. A on próbował trafić w Adrianę, celowo. Może to tego dotyczyły ostrzeżenia, które czułeś?

– Może. Nie pamiętam szczegółów. To było okropne. Musiałem wyjść z duńskiego i wrócić do domu, takiego ataku migreny dostałem. Ale w domu minęła. Pamiętam ją jako ciąg różnych wrażeń, głosów. Wiele z nich kojarzyło się z tobą.

– Ale w czasie gdy ja byłam w szkole, ty już wróciłeś do domu? Więc nie musisz być blisko jakiejś osoby, żeby dostawać ostrzeżenia?

– Najwyraźniej nie. Faktycznie jestem prawie pewien, że przecucie zasadzki, którą przygotował Jonatan, tej ze śnieżkami, też było ostrzeżeniem.

– Naprawdę?

– Gdy po południu trenowałem bieg, nagle wyraźnie poczułem, że on czeka na was przed szkołą. Żeby nie wyjść na wariata, zadzwoniłem do Linusa i powiedziałem, że usłyszałem, jak Jonatan na przerwie mówił o zasadzce. Ale gdy się rozłączyłem, ostrzeżenia nie minęły. Próbowałem od nich uciec, biegając, próbowałem słuchać na iPodzie głośnej muzyki, myśleć o innych sprawach. Ale to było tak, jak gdybym te śnieżki słyszał! Jakbym czuł, że we mnie uderzają!

Alban krzywi się, a ja dostaję gęsiej skórki na myśl, jakie to musiało być okropne.

– Więc postanowiłem znowu zadzwonić do Linusa i nagle zobaczyłem w wyobraźni pięść, która we mnie mierzyła. Tak mnie to zaskoczyło, że potknąłem się na taśmie i walnąłem głową w wyświetlacz. – Alban dotyka ręką zuchwy, jakby nadal czuł uderzenie.

– O kurczę, Alban! Więc jednak się uderzyłeś! Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Nie mogłem. To było po prostu zbyt dziwne – mówi Alban cicho.

– Skąd one się wzięły, te wszystkie zdolności?

– Może z tego instrumentu. Sama mówiłaś na pogotowiu.

– Ale... dlaczego? Dlaczego właśnie my? Dlaczego właśnie te zdolności? Dlaczego ja potrafię narysować żywe postaci, a ty potrafisz przeczuć, że Noa dostanie łomot... – Nagle uderza mnie pewna myśl. – A poczułeś coś, gdy Noa zleciał z rynny przy domu Adriany?

Alban zamyka oczy, próbuje sobie przypomnieć. Ten odruch to dalekie echo czasów, gdy jeszcze widział.

– Może? – Otwiera oczy. – Budziłem się w nocy kilka razy, śniły mi się jakieś niesamowite rzeczy. Miałem nadzieję, że to były halucynacje spowodowane środkiem nasennym i bólem ran. Ale część z tego to mogły być ostrzeżenia. – Alban pociera zabandażowaną ręką twarz. – Czuję się jak największy freakshow świata – wzdycha, a potem kładzie się powoli na brzuchu, opiera czoło na skrzyżowanych ramionach i wyciąga za mną nogi.

– To jest nas dwoje. – Głaszczę go po ramieniu. – Jak Noa nazwał to wczoraj?

Alban unosi głowę.

– Co?

– Gdy gadaliśmy o telekinezie Adriany. Aha... pieprzone dziwadła. To chyba nas też dotyczy?

– Nie mogę powstrzymać uśmiechu i kąciki ust Albana też się unoszą.

– Ha, nagle się okaże, że Noa może mieć w czymś rację!

Przez chwilę milczymy. Wpatruję się, nieobecna, w stojący na stoliku przy łóżku talerz z kawałkiem chleba chrupkiego i do połowy zjedzonego jabłka.

– Czy ty właściwie możesz rysować wyłącznie rzeczy, które ożywają? – pyta Alban.

– Nie wiem. Jak dotąd, narysowałam tylko mysz i mrówkę.

– A gdybyś spróbowała coś innego? Na przykład coś do jedzenia?

Znowu spoglądam na pieczywo chrupkie i połowę jabłka. Widok jedzenia nagle wywołuje mdłości. W ogóle nie mam odwagi myśleć o tym, co by się mogło wydarzyć, gdyby się zjadło coś narysowanego przeze mnie.

Alban odwraca twarz w kierunku talerza.

– Mogłabyś narysować kromkę pieczywa chrupkiego. Ono przecież normalnie nie jest żywą istotą. Więc nie może się stać niebezpieczne.

– Właśnie. Normalnie nie jest żywą istotą. Ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby mi się udało wyczarować armię pieczywa chrupkiego w postaci zombi!

– Narysuj.

– Co?

– Kawałek pieczywa chrupkiego. Nie w postaci zombi, tylko całkiem normalny kawałek, jak ten tutaj. – Adrian wskazuje głową na stolik. – Nic złego się przecież nie stanie.

– No nie wiem... – Moje dłonie zaciskają się na udach. – Nie sądzę, żeby bezpiecznie było jeść moje rysunki.

– Spoko, nie będę go jadł. I jeśli od razu go wymażesz, nic złego się nie wydarzy, za to może lepiej poznasz swoją zdolność. W każdym razie wymazanie kawałka pieczywa chrupkiego nie odbierzesz jako morderstwa z premedytacją.

– Tak, coś takiego chyba jest... nieszkodliwe – przyznaję. Mimo to nie mam już ochoty rysować czegokolwiek w rzeczywistym kształcie, nawet jeśli jest nieszkodliwe.

– Możesz spokojnie rysować. Jestem tego pewien. – Alban z powrotem siada na łóżku.

– Obiecujesz, że go nie zjesz?

– Spoko. Linus mówi, że fantastycznie rysujesz, ale nie śmiałybym ryzykować. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Okey. – Wstaję, podchodzę do jego biurka i biorę ołówek z mojego kubka z przyborami do rysowania, który trzymam u niego, i leżący obok mały blok w kratkę.

– Tylko jedną kromkę? – Znowu siadam na łóżku.

Alban kiwa głową.

Wstrzymuję oddech i długo patrzę na pieczywo chrupkie, żeby zapamiętać szczegóły. A potem rysuję podłużny, prostokątny kontur. W czasie gdy ołówek porusza się po papierze, wyobrażam sobie twardą powierzchnię z małymi dziurkami, pokrytą mąką, przyprawami i ziarnkami sezamu. Niemal czuję słonawy smak i chrzęszczące w zębach okruchy ocierające się o język.

W czasie gdy rysunek nabiera kształtów, Alban cichutko siedzi. Gdy stawiam dwie kropki nad ozdobnym podpisem „Emi”, serce bije mi mocno i szybko. Nie spostrzegłam, kiedy się pojawiła, ale gdy wreszcie zbieram się na odwagę, żeby oderwać wzrok od bloku, widzę na kołdrze obok mojego lewego uda kromkę pieczywa chrupkiego. Cicho krzyknęłam, a Alban obok mnie znieruchomiał.

– Jest? – pyta.

– Tak – szepczę. Ostrożnie biorę kromkę w dwa palce i patrzę na nią przez zmrużone powieki i czuję porowatą chrupkość w trzech wymiarach. Gdy chwytam ją mocniej, na spodnie spada mi kilka ziarenek sezamu.

Alban wyciąga do mnie odwróconą do góry lewą dłoń, a ja kładę mu na bandażu nowonarodzoną kromkę.

Maca ją palcami prawej ręki i pochyla się, żeby powąchać.

– Wydaje się prawdziwa – mówi. – Czuję mąkę czy coś takiego, dokładnie tak, jak powinno być. Ale nie pachnie.

Pochylam się nad kromką i wciągam przez nos powietrze, głęboko, głęboko. I czuję tylko ślad zapachu mydła z gąbki, którą doktor Majken czyściła mi ranę na pogotowiu, i potu, którym przesiąknięte są moje ubrania. Biorę jedno z ziarenek sezamu, które spadły mi na uda i rozgnitam je między dwoma paznokciami. Ale choć niemal wepchnęłam je do nosa, nie czuję zapachu sezamu. Ani odrobiny.

– Dziwne... – Biorę z talerza kromkę prawdziwego pieczywa i wącham. Papryka, sezam, zapach mąki. Podaję ją Albanowi, żeby mógł porównać.

– Tak, to zupełnie coś innego, nie ma dwóch zdań. – Mąka dostała mu się do nosa i kichnął. –

A o czym myślałaś, rysując? Zastanawiałaś się nad tym, jak pachnie pieczywo chrupkie?

– No... nie, a co? – Nagle zdaję sobie sprawę, że tak dużo myślałam o formie pieczywa i o tym, jakie jest w dotyku, że zupełnie nie zastanawiałam się nad zapachem.

– Może żeby rezultat był pełen, powinnaś, rysując, pamiętać o wszystkich zmysłach?

– Może... – Wyjmuję mu z ręki kromkę. Robi wrażenie nieprzyjemnie... prawdziwej. Już mam ochotę wymazać rysunek, choć kromka ani nie krzyczy, ani nie gryzie. ani niczym nie pachnie. Wstaję, żeby poszukać gumki.

– Tak naprawdę, to miałaś szczęście – mówi Alban.

– Co masz na myśli? – Odwracam się do niego w chwili, gdy ugryzł kromkę prawdziwego pieczywa.

– Zważywszy, że kiedyś tak skutecznie spaliłaś blachę ciasteczek, że cała klatka schodowa przez kilka dni cuchnęła dymem... to jeśli jedynym problemem z tym pieczywem jest to, że nie ma zapachu, to naprawdę miałaś szczęście.

– Okropny jesteś! – Tym razem Alban zdążył uniknąć mojego niby-kopniaka, gwałtownie odsuwając kolano, ale szybki ruch zemścił się napadem kaszlu, bo do tchawicy dostały mu się okruchy pieczywa. Zaczął wydawać jakieś dziwne dźwięki i całkiem poczerwieniał na twarzy.

W jednej chwili ogarnia mnie przerażenie. Czy pomyliłam kromki? Czy on dławi się moim rysunkiem?

– O nie, Alban! Wypluj to! – wołam w panice. Już mam zacząć walić go pięściami po plecach, ale w ostatniej chwili przypominam sobie jego rany. Co robić?! Alban się udusi i to z mojej winy, i nawet nie mogę...

Ale nagle dociera do mnie, że kaszłąc, Alban momentami się śmieje. Do rozpuku, że aż niemal się dławi.

– Spokojnie, Emi – wydusza z siebie, a po policzkach spływają mu łzy wywołane przez śmiech. – To tylko jakiś okrucuch wpadł mi do tchawicy. Nie umieram! – Próbuje się uśmiechać, ale znów wraca atak kaszlu.

Wyciągam rękę po szklankę z wodą w tej samej chwili co on, szklanka przewraca się i woda wylewa mu się na uda. Alban krzyknął odruchowo i zerwał się na nogi, wciąż skulony w ataku śmiecho-płaczu i gruźliczego kaszlu.

Wygląda, jakby nasiusiał w spodnie. Z jakiegoś powodu ten widok wywołuje u mnie histeryczny śmiech. Głównie z powodu uczucia ulgi.

Zaśmiewamy się, Alban kaszle, i nagle gwałtownie otwierają się drzwi do jego pokoju.

W progu stają Noa, Pi i Linus i patrzą na nas jak na wariatów.

– Co wy robicie? – pyta Linus.

– Właśnie narysowałam bezwonną kromkę pieczywa chrupkiego – wyduszam z siebie, nadal się zaśmiewając.

Alban też się śmieje, ale milczenie pozostałej trójki szybko wygasza nasze rozbawienie. Noa zamyka za sobą drzwi i patrzy na Albana.

– Okey – mówi powoli – gdy ostatni raz cię oglądałem, miałeś na całych plecach potężne rany od oparzeń. Ile morfiny zjadłeś na śniadanie?

Alban chrząka.

– Jest lepiej. – Z powrotem siada na łóżku i kładzie sobie na udach poduszkę, żeby zakryć mokrą plamę.

– Aha. – Noa nie wydaje się przekonany. Spogląda na mnie.

– A gdy ciebie ostatni raz widziałem, prawie robiłaś w majtki z przerażenia z powodu

rysunku. A teraz umierasz ze śmiechu?

– Co się wydarzyło od naszej rozmowy w bibliotece? – pyta Pi.

Wycieram łzy, nagle zawstydzona.

– Nic, tylko trochę to... no... testujemy.

– Testujecie? – Noa unosi brwi. – Zdawało mi się, że mówiłaś...

– Ale potem zmieniałam zdanie. – Patrzę na niego z przekorą, próbując uniknąć świdrującego spojrzenia Linusa, co stało się trudne, gdy stanął naprzeciwko mnie.

– Noa i Pi znaleźli mnie w czasie długiej przerwy i opowiedzieli, co się stało w bibliotece. Powiedzieli, że po tej historii nie zjawiałaś się na lekcji, a ja nie mogłem cię znaleźć. Więc przyszedliśmy do domu, żeby sprawdzić, czy tu jesteś. – Linus rzuca niechętnie spojrzenie na bliźnięta. Najwyraźniej nie pasuje mu, że moi nowi koledzy z klasy w rekordowym czasie włączyli się we wszystko, co nas zajmuje.

– Więc jednak nie boisz się rysowania? – podsumowuje Noa.

Ma na ramionach swój czarny plecak, ale nie jestem w stanie dostrzec, czy trzyma w nim instrument.

Moje spojrzenie pada na kromkę sztucznego chleba chrupkiego, którą wciąż ściskam w dłoni. A jeśli Noa będzie nalegał, że chce go zjeść, tylko po to, żeby zobaczyć, co się będzie działo? Jakie szkody wyrządzi to jego wewnętrznym organom, jeśli wymażę rysunek albo zgniotę papier? Chowam kromkę za plecami i kulę ramiona z westchnieniem, które wybrzmiało nieoczekiwanie głośno w zatłoczonym pokoju.

Ciekawe, ile w ogóle dni potrzebuje narysowany produkt żywnościowy na przejście przez system trawienny?

– Nie mam ochoty o tym gadać. – Odwracam wzrok od całej trójki i moje spojrzenie pada na leżącą na biurku komórkę Albana.

Przypomniał mi się sen ostatniej nocy i tajemniczy telefon.

– Mogę zadzwonić z twojej komórki, Alban? – pytam. – Dziś moja kolej na gotowanie obiadu, muszę tylko... no... spytać mamę, czy jest w domu przecier pomidorowy, czy mam go kupić.

To totalnie idiotyczne kłamstwo, ale muszę coś sprawdzić.

– Spoko – mówi Alban.

Odkładam kromkę i przesuwam palcem wskazującym po wyświetlaczu komórki, żeby ją uruchomić. Potem klikam trzy razy, żeby wyłączyć syntezytor mowy.

Jest jedno nieodebrane połączenie. Mała czerwona słuchawka wywołuje przyspieszone bicie mojego serca.

Ale nie musi to nic znaczyć. W przeciwieństwie do mnie, Alban ma sporo kolegów, którym może przyjść do głowy, żeby do niego zadzwonić: ludzie z rady uczniów, z klasy, znajomi z młodzieżowej sekcji Duńskiego Stowarzyszenia Niewidomych.

Wchodzę w spis połączeń.

Moje serce zmienia bieg i teraz nieprzyjemne pika. Widzę godzinę nieodebranego połączenia. Czwarta pięćdziesiąt sześć.

Przełączam na spis połączeń i znajduję ten sam numer. Ktoś dzwonił z niego o czwartej pięćdziesiąt siedem.

Nie rozpoznaję numeru, ale mimo to naciskam na zieloną słuchawkę, żeby zadzwonić. Od razu włącza się automatyczna sekretarka. Najpierw słychać zwyczajne trzaski i szumy, a potem jakiś głos zaczyna mówić: „Hej, zadzwoniłeś do Adriany. Nie mogę teraz odebrać telefonu...”

Zamurowało mnie. Rzucam komórkę na kołdrę Albana.

ROZDZIAŁ 42

– Coś się stało? – pyta Noa.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że do mnie dzwoniłeś? – pytam ze wzrokiem wciąż przyklejonym do komórki. Rozlega się przyciszony sygnał informujący, że można zacząć nagrywać wiadomość. Szybko biorę telefon do ręki i spoconymi, trzęsącymi się palcami przerywam połączenie.

Adriana mówiła, że jej komórka została skradziona. To oznaczało, że mógł ją wziąć ktokolwiek. A może właśnie nie ktokolwiek. Musiał to być ktoś, kto wiedział, że Noa pojechał do Karla i że potrzebuje pomocy.

Ktokolwiek wtedy dzwonił, nie była to Adriana.

A ja nie mam ochoty zostawiać wiadomości naszemu tajemniczemu prześladowcy.

– Pamiętasz to, Noa? – powtarzam.

Noa mocniej ściska pasek plecaka i kątem oka spogląda na resztę.

– A czy nie doszliśmy do wniosku, że tylko ci się to śniło?

– Tak myślałam. Ale w komórce Albana jest nieodebrane połączenie. I drugie odebrane. Dokładnie w tym czasie, gdy rozmawiałam z tobą. Albo z osobą, która ciebie udawała.

– Mmm... tak? – Noa stara się nie patrzeć na siostrę, która przygląda mu się przez zwężone powieki. Wątpię, czy jej powiedział o swojej niewinnej wycieczce.

Noa nie rozumie, co oznaczają te telefony.

Ktoś nas obserwuje.

– To nie był po prostu sen, Noa! – mówię. – Ktoś zadzwonił na komórkę Albana i miał głos zupełnie jak ty!

– Ale to nie byłem ja! Już ci mówiłem!

– Ale ktoś dzwonił! Ktoś kto chciał, żeby mi się zdawało, że to ty dzwonisz!

– Kto u diabła miałby to robić? – Noa wznosi oczy do nieba.

– Nie wiem! Ktokolwiek to był, dorwał się do komórki Adriany!

– Tej skradzionej?

– Tak – niecierpliwie się. – I dzwonił z niej dziś w nocy.

– To przecież mógł być każdy, do cholery. Albo Adriana odzyskała komórkę i sama zadzwoniła. Nie rozumiem, po co robisz z tego takie halo!

– Przecież mówię, że ten głos brzmiał zupełnie jak twój – mówię w napięciu. – I to nie była jakaś przypadkowa osoba i nie dzwoniła na przypadkowy numer! Ja przez ten telefon pojechałam w nocy rowerem do Karla!

Alban wstaje z łóżka.

– Spokojnie – mówi. – O jakim telefonie ty mówisz, Emi? I gdzie byłaś w nocy?

Noa przypala mnie spojrzeniem, ale ja tylko patrzę na niego ze złością.

Gdyby nie ja, Karl by go nakrył. Powinien mi być za to wdzięczny, do licha, zamiast robić ze mnie idiotkę.

– Okey, o co tu chodzi? – pyta Alban. Nie odpowiedziałam na jego poprzednie pytanie.

- Muszę wam coś pokazać – mówi Noa.
- Co? – Linus ma sceptyczną minę.
- To jest w mojej szafce w szkole. Dasz radę włożyć na plecy kurtkę, Alban?
- Chyba tak, ale dlaczego mamy...
- W twojej szafce? – wołam. – Dlaczego, do choinki, wzięłeś to ze sobą do szkoły?
- Bo rano odkryłem coś, co musicie zobaczyć. Teraz nie mogę już tego tak po prostu oddać!
- Oddać czego, Noa? – pyta Pi.
- Czegoś, co... no... pożyczylem.

Prychnęłam, a Noa rzuca mi wściekłe spojrzenie.

– I nie mogłeś tego przynieść po prostu tu, do domu? – pyta Alban.

– Nie. – Noa patrzy przez ramię na zamknięte drzwi. – Tu nie możemy spokojnie gadać. Musimy poczekać, aż nikogo nie będzie w szkole i tam iść.

– Nie wierzę ci – mówi Linus cicho.

Noa patrzy na niego zdumiony.

– Odkąd tylko zacząłeś chodzić do naszej szkoły, wszystko kręci się wokół ciebie – mówi dalej Linus. – Twoja zawieszka, twoje chore pomysły, twoje telefony. Nie wierzę, że to przypadki. I nie ufam ci. – Linus jest niższy od Noa, wydaje się dziwnie drobny ze swoimi szpiczastymi ramionami, w spranym, szarym T-shirtcie. Ale stoi z wyprostowanymi plecami i nie drgnęła mu powieka, gdy Noa podszedł do niego o krok bliżej.

– Więc uważasz, że wszystko kręci się wokół mnie? – Noa wygląda, jakby zaraz miał się roześmiać. – Wobec tego tym bardziej uważam, że musisz pójść ze mną do szkoły. Jestem pewien, że będziesz zachwycony.

– Co takiego mamy zobaczyć? – pyta Linus. – Dlaczego nie możesz tego po prostu teraz powiedzieć?

Dobrze wiem, dlaczego: Linus, Alban i Pi nie poszliby do szkoły, gdyby wiedzieli, że mają oglądać coś, co zostało skradzione.

Co mogłoby być na tyle ważne, żeby było warte przyznania się do tej kradzieży?

Noa spogląda na radioalarm Albana.

– Teraz jest w poł do drugiej. Niedługo w korytarzu maluchów znajdzie się jakaś pusta klasa. Bądźcie o drugiej koło szafek. – Noa otwiera drzwi i znika za nimi.

– O co tu, do diabła, chodzi? – Pi patrzy na mnie z taką intensywnością, jakby chciała wwiercić mi się w głowę i wydobyć z niej informacje.

– No... chyba najlepiej, żeby Noa o tym opowiedział – wymiguję się – gdy będziemy wszyscy razem.

– Aha – syknęła i ruszyła za bratem. Jestem pewna, że wykorzysta teraz każdą sekundę do drugiej na wypytywanie go.

Po jej wyjściu nie mogę spojrzeć Linusowi w oczy. Po całej wieczności ciszę przerywa Alban.

– No, jeśli mamy iść do szkoły, to muszę chyba spróbować wciągnąć jakiś T-shirt i suche spodnie. – Rusza w kierunku swojej szafy.

– Jeśli w y macie iść do szkoły – zastrzega Linus.

– Co ty mówisz? – pytam.

– Jeśli w y macie ochotę latać za Noa jak małe szczeniaki, proszę bardzo, latajcie. Ja zostaję w domu. – Linus wychodzi z pokoju Albana i kieruje się do swojego.

– Linus, musisz iść z nami! – wołam za nim.

– Nie muszę! – odrzyknął, zatrzasnął drzwi do swojego pokoju.

Alban odwraca się do mnie, między brwiami ma zmarszczkę w kształcie znaku zapytania.

– Co się z wami dzisiaj dzieje?

– Muszę z nim porozmawiać. – Idę za Linusem i szarpnięciem otwieram drzwi do jego pokoju.

Linus siedzi na krześle przy biurku. Demonstracyjnie wlepia wzrok w grubą księgę pełną wzorów chemicznych.

– Najpierw bez pytania bierzesz mój rower, a teraz przestałaś nawet pukać do drzwi? – pyta, nie podnosząc wzroku. Jego kciuk stuka w nerwowym rytmie o grzbiet książki.

– Dlaczego jesteś na mnie taki zły? – Z hukiem zatraskuję za sobą drzwi. – Co ja ci, do cholery, zrobiłam? I co ci zrobił Noa? W jednej chwili gadacie o postaciach z *Tekken*, a w drugiej jesteście śmiertelnymi wrogami? Poza tym wczoraj wieczorem przyznałeś mi rację, wtedy gdy chciał, żebyśmy zademonstrowali Karlowi telepatię! Ja już ciebie, kurczę, w ogóle nie rozumiem!

Linus podnosi się tak gwałtownie, że krzesło leci do tyłu i uderza w jego łóżko.

– A ja nie rozumiem ciebie! W jednej chwili Noa jest głupkiem, a w drugiej jego słowa są prawem!

– Nigdy, kurczę, nie mówiłam, że jest głupkiem! – Nagle przypomina mi się rozmowa telefoniczna z Albanem po tym, jak Noa obgadywał mnie w bibliotece. Zerkam na zamknięte drzwi i zniżam głos: – Co ci mówił Alban?

– Nic mi nie mówił! Ale nie musiał, bo ty nie nadajesz się specjalnie do odgrywania komedii!

– Co to ma znaczyć?

– Czemu po prostu się nie przyznasz, że zwariowałaś na punkcie Noa?

– Co?! – wołam. – Wcale nie ogłupiałam na jego punkcie! – Czuję, że na twarzy rozlewa mi się dobrze znane gorące pulsowanie i mam ochotę udusić samą siebie.

Linus zatraskuje ciężką księgę z wzorami i podchodzi do półki nad łóżkiem z podręcznikami i książkami wypożyczonymi z biblioteki.

– Znam cię od tyłu lat, ale myślałem, że masz lepszy gust.

– Ja nie zwariowałam na punkcie Noa! Czaisz?!

– Okey, twoja sprawa... – Linus odstawia książkę na przeciążoną półkę. Popchnął, aż głośno uderzyła o ścianę. – Ale wobec tego to dziwne, że cały czas bronisz jego bezmózgowych pomysłów. – Szyderczy uśmiech wkurza mnie jeszcze bardziej.

– A wiesz, co ja myślę? Myślę, że jesteś obrażony, bo masz konkurenta!

Oczy Linusa rzucają błyskawice.

– Co?!

– Jesteś dziko obrażony, bo robię inne rzeczy, zamiast grać z tobą w gry komputerowe! Ale wiesz co, Linus? Może to nie z powodu Noa nie mam ochoty z tobą grać. Może po prostu mam cię dosyć!

Już zanim skończyłam to zdanie, wiedziałam, że posuwam się za daleko.

Linus patrzy na mnie z wyrazem twarzy, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałam.

– Wynoś się – szepcze.

– Linus, ja nie chciałam...

– Wynoś się. Natychmiast. – Głos ma opanowany, ale u kącika ust drga mięsień.

– Ale...

Wyminął mnie i otwiera drzwi.

– Natychmiast – powtarza.

Wychodząc z pokoju, mam głowę pełną kotłujących się przeprosin i przekleństw. Odwracam się, ale Linus zamyka mi drzwi przed nosem. Ruchem tak spokojnym, że dotykają framugi niemal bezgłośnie.

– Linus...

Klik.

Przekręcił klucz w zamku, choć nigdy tego nie robi.

Rany, co za dziecinada!

Walić w drzwi i zrobić scenę czy wrócić do pokoju Albana i próbować się tłumaczyć?

Nie mam sił. Ani na jedno, ani na drugie. Nagle czuję się tak zmęczona, że mam ochotę beczeć.

Szybko mijam pokój Albana.

– Idę do szkoły – rzucam i nim zdążył odpowiedzieć, ruszam do przedpokoju.

Gdy truchtem biegnę przez szkolne podwórze, chmury są ciemnoszare i spiętrzone od śniegu, a zimny wiatr i odgłosy bawiących się dzieci hamują cisnące mi się do oczu łzy.

W kolano trafia mnie śnieżka, ale tak puszysta, że nie zaboląło.

Podnoszę wzrok i napotykam oczy chłopca z drugiej klasy.

Uśmiecha się przepraszająco, ale gdy zobaczył wyraz mojej twarzy, uśmiech zgasł i chłopiec szybko ucieka.

Zbliżam się do wejścia, z wściekłością żując górną wargę. Posmak tego, co powiedziałam, wciąż pali mnie w język.

„Może po prostu mam cię dosyć”.

Czemu, do cholery, jestem taką megakretynką? I czemu Linus jest taki cholernie wkurzający? I dokąd ja w ogóle idę?

Nie mam ochoty wpaść teraz na bliźnięta, ale jest za zimno, żeby po prostu łązić po dworze.

Otwieram ciężkie drzwi prowadzące do szkolnego holu.

– O, jest! – dobiega mnie grzmiący męski głos. Rozpoznaję go mimo pogłosu w korytarzu.

Szybkimi krokami zbliża się do mnie Karl z naszą dyrektorką, Gitte.

Rozglądam się, panika niczym korek zatyka mi tchawicę.

Nie ma dokąd uciekać.

– To ona, o ta! – Karl wskazuje na mnie.

Gitte nerwowo gmera przy łańcuszku od okularów.

– Ale mówiłam, że nie mogę panu pomóc w...

Karl podchodzi do mnie całkiem blisko.

– Ukradłaś to? – warczy, czerwony na twarzy.

– U–u–ukradłam co?

– Mój kompas szyfrowy! Zniknął! Ktoś go zabrał! – Karl mruży oczy i znów na mnie wskazuje. – I chyba wiem, kto!

– Ja... ja nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odparowuję. – Niczego nie zabrałam!

Gitte unosi rękę, żeby położyć ją na ramieniu Karla, ale on spogląda na nią morderczym wzrokiem, więc Gitte czym prędzej się wycofuje.

– Panie Christensen, przecież mówiłam, że musi pan iść na policję, jeśli podejrzewa pan, że któryś z moich uczniów...

– Ja nie podejrzewam! Ja jestem pewien, że to ona!

Kilkoro uczniów z mija nas z szeroko otwartymi oczami.

– Mimo to nic nie mogę zrobić – mówi Gitte, usiłując opanować nerwowe ruchy rąk. – I jestem zmuszona prosić pana o opuszczenie terenu szkoły. W przeciwnym razie zawołam woźnego.

Karl prycha.

– Woźnego? A co on mógłby mi zrobić? Wywieźć mnie na taczce?

Rozlega się dzwonek na lekcję i jego przenikliwy dźwięk zasysa z podwórza zmarzniętych uczniów, którzy zmierzają w naszą stronę.

Karl nadal wymachuje mi przed twarzą wyciągniętym palcem.

– Tylko poczekaj! Nie myśl sobie, że ci się uda! – Nim zdążyłam otworzyć usta, pomaszerował w strumieniu uczniów do wyjścia.

Gitte posyła mi pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Mam nadzieję, Emilko, że nie masz z tą sprawą nic wspólnego – mówi ostrym tonem i rusza do swojego gabinetu.

ROZDZIAŁ 43

Pędzę przez szkołę. Korytarze już pustoszeją. Modlę się, żeby nie spotkać kogoś z klasy albo nauczycieli idących na lekcje.

Przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce, gdzie mogłabym szukać bliźniąt: na dole przy szafkach. Ściana z szafek oddziela korytarz zerówek od korytarza młodszych klas.

Ale nim zdążyłam tam dotrzeć, zza rogu wybiega mi na spotkanie Noa.

– Karl zorientował się, że to zniknęło! – rzucam zdyszana.

– Co?!

Słyszę kroki drugiej nadbiegającej osoby i dołącza do nas Pi.

– Karl? – pyta.

– Właśnie tu był... w szkole! I jest pewien, że ja to zabrałam!

– *Fuck!* – Noa tak mocno uderza pięścią w ścianę, że na linoleum okrywające podłogę sypie się pył z tynku. – *Fuck!*

– Na pewno jest w drodze na policję, żeby oskarżyć mnie o kradzież! Musisz to odwieźć!

Noa powoli wdycha powietrze przez nos i wydycha przez usta.

– *Fuck* – powtarza.

– Serio, Noa! Nieważne, co odkryłeś, musisz odwieźć to z powrotem! Natychmiast!

– Nie mogę.

– Oczywiście że możesz! Musisz, do cholery!

Noa zamknął oczy.

– Nie mogę – powtarza – bo ktoś to zabrał.

– Co? – Czuję, że krew odpływa mi z twarzy.

– Ktoś się włamał do mojej szafki. Nie ma ani torby... ani tego... nie ma. – Noa unika spojrzenia siostry.

– To po prostu niemożliwe! – szepczę.

– Zabrał co? – Pi patrzy to na mnie, to na Noa. – Dlaczego Karl miałby... – Nagle szeroko otwiera oczy. – Ty chyba nie zwinąłeś tej jego zabawki z kodami, co?

– Po pierwsze... – zaczyna Noa.

– Po pierwsze gówno! Co ty, do cholery, znowu wymyślasz? – woła piskliwie Pi.

– Przecież, kurczę, nie wiedziałem, że zniknie, no nie?!

– Co, pedałku, coś ci zginęło?

Odwracam się i widzę Jonatana opartego o ścianę kilka metrów dalej. Ręce trzyma w kieszeniach, a do brzydkiej twarzy przykleił się szeroki uśmiech. Och, jaki jest z siebie dumny!

Gdy oderwał ramię od ściany i leniwie rusza ku nam, Noa zaciska pięści.

– Właśnie zauważyłem, że ktoś rozwalił ci szafkę. Naprawdę wkurzające, co? – Stanął tak blisko, że Noa może chyba policzyć wągry na jego nosie.

– Czego chcesz? – pyta Noa. Mięśnie jego przedramion drżą.

Pi i ja wymieniamy nerwowe spojrzenia.

– Niczego – mówi Jonatan niewinnie. – Ale gdybym to ja łąził z taką kretyńską homotorebką, tobym się nie dziwił, że ktoś ją zwinął. Ktoś musiał wyświadczyć ci przysługę i wypieprzył ją do najbliższego kubła na śmieci. – Noa wydał z siebie zduszony dźwięk przypominający warknięcie, a Jonatan zachwycony chichocze.

– Gdzie ona jest?

– Nie mam pojęcia, lordzie geju. Mam nadzieję, że w drodze na wysypisko śmieci. Ale skąd miałbym to wiedzieć? Nie dotykałem ani tej torebki Barbie, ani tego gównianego zegara, który w niej był.

Noa wykonuje tak szybki ruch, że Jonatan zdążył tylko wyjąć ręce z kieszeni i już ma twarz przyciśniętą do czerwonych cegieł ściany i unieruchomione na plecach ramiona.

– Gdzie ona jest? – Noa cedzi przez zęby w jego pryszczaty byczy kark.

– Puszczaj!

– Puszczę, jak mi powiesz, gdzie ją schowałeś!

W powietrzu wokół nas rozlega się słabe buczenie. Włoski na ramionach stają mi dęba.

– Myślisz, że się ciebie boję, gnoju? – prycha Jonatan, czerwony na twarzy.

Noa zwiększa uścisk na jego przedramionach i podciąga je do góry.

Jonatan jęczy z bólu, ale potem zaczyna się śmiać, głośno rechocze, jakby był stuknięty.

– Taki z ciebie pierdolony twardziel, co?! – Jeden z jego zębów, trójka, szoruje o cegłę. – Ale dopadnę cię, ty świni!

Buczenie przybiera na sile, a ja rozglądam się nerwowo.

Ani Noa, ani Jonatan najwyraźniej nie zauważają tego dźwięku.

Noa wygląda, jakby z wściekłości miał złamać Jonatana wpół, ale spojrzenie siostry, któremu prawdopodobnie towarzyszą telepatyczne groźby, sprawia, że zmienia zdanie. Odwraca masywne ciało Jonatana i pochyla się nad jego twarzą z wymierzonym w nią, groźącym palcem.

– Posłuchaj, ty pieprzony... – cedzi przez zęby. I wtedy rozlega się głośny trzask i Noa odskakuje od Jonatana, potrząsając ręką, jakby się oparzył, a Jonatan upada do przodu i uderza o podłogę u jego stóp.

– Auu, kurna! Co ty, do cholery, robisz, gnoju jeden?! – Podrywa się tak szybko, że niewiele brakuje, a znów by upadł, potykając się o własne nogi, i patrzy na Noa z mieszaniną wściekłości i, wbrew swojej woli, strachu.

Przez kilka sekund Noa jest tak samo zaskoczony jak my, ale po chwili mruży oczy i znów wymierza palec w Jonatana.

– Następnym razem dostaniesz po ryju!

Jonatan jest tak rozwścieczony, że niemal widzę dym wydobywający się spod tlenionych włosów, nie ma jednak odwagi po raz drugi zbliżyć się do Noa. Zamiast tego zmienia taktykę i usiłuje sprawiać wrażenie, że sterczenie tu i gadanie z nami to strata jego drogiego czasu. Prycha ze wzgardą i strzepuje z rękawa wyimaginowany pyłek.

– Jeszcze raz mnie dotkniesz, a tak cię załatwię, że już nigdy nie będziesz chodził. – Obrzuca Noa spojrzeniem od góry do dołu. – A gdyby ci przyszło do łba zgrywać cwaniaka, to pamiętaj, że mam w tym mieście więcej kumpli, niż ty będziesz miał w całym życiu, i to potężnych! I żaden z nich nie ma ochoty oglądać takiego gejowskiego dupka jak ty. Mogę cię rozwalić o, tak! Więc zamknij ryj!

Przebiega mnie dreszcz na myśl o tym, że starsi bracia Jonatana i ich kompani mogliby patrzeć na Noa krzywym okiem. Słyszałam, że jego najstarszy brat siedzi w więzieniu za morderstwo, a wielu ich kumpli odsiaduje wyroki za ciężkie pobicia.

Ktoś powinien nauczyć Noa, że *survival of the fittest* nie zawsze oznacza popisywanie się siłą. Czasem oznacza rozumienie, kiedy trzymać język za zębami.

– Kumasz? – Jonatan robi ruch w kierunku Noa, jak gdyby miał go uderzyć, ale Noa nawet nie mrugnął. Jonatan wzrusza ramionami i usiłuje zachować wyniosły wyraz twarzy. Z powrotem wsadza ręce do kieszeni i prowokująco spokojnym krokiem rusza długim korytarzem.

Noa patrzy za nim i zgrzyta zębami.

– Nie zrobisz tego – ostrzega go Pi przyciszonym głosem.

Spoglądam na nią, ale okazuje się, że nie patrzy na brata. Ze zmarszczonym czołem wpatruje się skoncentrowana w swoje otwarte dłonie.

– Nie zrobisz tego – szepcze i zaciska powieki.

Mówi do siebie.

– Powodzenia w szukaniu homotorby! – woła Jonatan i rechocząc, skręca za róg na końcu korytarza.

Pi z cichym okrzykiem otwiera oczy, po powierzchni jej dłoni prześliznęła się złota poświata. Szybko zaciska ręce i poświata znika.

– Co ty mu zrobiłaś, Noa? – pytam. – Co to był za dźwięk?

– Nie mam pojęcia. – Noa wciąż wygląda, jak gdyby już miał ruszać na Jonatana i wytapetować nim ceglana ścianę.

– Może to jakaś twoja zdolność...

– Nie mam pojęcia, psiakrew, okey?! Znajdźmy teraz, do diabła, to gówno!

– Co chciałaś nam pokazać? – pytam. – Coś w związku z instrumentem, tak?

– Tak, coś w związku z instrumentem! Jak mogłem być tak kretyńsko głupi, żeby zostawić go w szafce?! – Noa chodzi nerwowym krokiem tam i z powrotem po korytarzu. – Masz jakiś pomysł, gdzie mógł ją schować, Emi?

Potrząsam głową.

– Chodźcie, pójdziemy za nim. – Noa rusza korytarzem w kierunku, gdzie znikł Jonatan.

Pi i ja doganiamy go przy drzwiach wejściowych. Jonatana nigdzie nie widać, ale znam jego adres. Dotarcie do bloku, w którym mieszka z ojcem i braćmi, nie zajęłoby nam więcej niż kwadrans.

Już mam zaproponować, żebyśmy od razu tam poszli, gdy na podwórzu szkolnym spostrzegam Janusa.

Idzie od budynku biblioteki, golf swetra w kolorze rdzy podciągnął niemal po zaczerwieniony od zimna nos.

Na ramię zarzucił zmęczony życiem plecak marki Fjällräven, a na klatce piersiowej wisi brązowa skórzana torebka na długim pasku. Na jej widok aż mną szarpnęło.

Noa i Pi też ją spostrzegli, ich okrzyki brzmiały stereo po mojej prawej i lewej stronie.

Janus pokonuje ostatnie metry długimi, pewnymi krokami i otwiera drzwi wejściowe. Przytrzymuje je nam, ale my gapimy się tylko na torebkę. Pasek wrzyna się w jego okryte swetrem ramię. W środku nadal na pewno jest instrument.

– Hej, dzieciaki! – Wąsy i brodę Janusa nad brzegiem golfa rozdziela wymuszony uśmiech.

– Gdzie znalazł pan tę torebkę? – Noa nie odrywa oczu od brązowej skóry.

– W bibliotece – mówi Janus. – Była wciśnięta za kaloryfer na dole koło książek obrazkowych.

Uczucie ulgi sprawia, że mam ochotę głośno się roześmiać. Choć IQ Jonatana jest niepokojąco blisko stadium rozwoju ameby, to jednak chyba oczekiwałam po nim czegoś więcej.

– Dlaczego pytasz? – Janus przekracza próg i zatrząskuje dostęp zimnu.

– Bo jest moja – odpala Noa bez wahania.

– Twoja? – Janus ściąga usta w szpic. Ten ruch sprawia, że na jego pokrytej bliznami skórze pojawiają się długie, wąskie zmarszczki.

– Tak, moja. Należała do mojego dziadka. Jest w niej stary kompas. Wziąłem go do szkoły, żeby pokazać kolegom, ale ktoś włamał się do mojej szafki i go zabrał.

– Naprawdę? – mówi Janus powoli. – A dlaczego... ktoś miałby to robić?

Noa wzrusza ramionami.

– Właśnie. Dziwne, prawda? Kto miałby kraść taki stary bezużyteczny dynks?

Przebieram palcami z niecierpliwości, żeby zabezpieczyć ten „stary bezużyteczny dynks”, żeby nie powodował już więcej strat.

Janus zdjął torebkę z ramienia, ale nadal stoi i trzyma ją w ręce.

– I nie masz pojęcia, kto to zrobił?

– *Nope.*

– Masz talent do skłócania się z ludźmi – mówi Janus. – To się źle skończy, jeśli nie będziesz uważał.

– Mój problem, nie pana.

– Bardzo szybko może się stać moim. – Janus wyciąga do niego rękę z torebką. – Tylko przemyśl to, dobrze?

Noa spojrzął na niego z ukosa i chwyta torebkę, żeby ją otworzyć.

Na szczęście na instrumencie nie widać żadnych rys i wszystkie tarczki wydają się nieuszkodzone, podobnie jak szkło na mapie świata.

– Nie przynoś go więcej do szkoły – mówi Janus. – Szkoda byłoby, gdyby się zepsuł.

Noa zamyka kłamrę torebki i wznosi oczy do nieba.

– Skończył pan wykład, *wiseguy*⁵⁸?

Janus wyprostowuje plecy i mruży oko, zostawiając tylko wąską szparkę. Rozszerzają się pokryte bliznami skrzydełka nosa. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle jego spojrzenie napotyka spojrzenie Pi i na twarzy pojawia się grymas irytacji. Janus poprawia plecak.

– Do zobaczenia – skinął głową i szybkim krokiem rusza do auli.

ROZDZIAŁ 44

Dopiero gdy Janus znikł za rogiem i usłyszeliśmy, jak otwierają się i zamykają drzwi, Pi bierze głęboki oddech. Już ma eksplodować, ale Noa podnosi rękę, żeby ją powstrzymać. Wygląda na zmęczonego.

– Nie tutaj – mówi i rusza tą samą drogą, którą tu przyszliliśmy.

Nie rozmawiając, idziemy za nim do ściany z szafkami. W najwyższym szeregu zieje ku nam pusta, czworokątna, czarna dziura. Gdy podeszliśmy bliżej, dostrzegam świeże, połyskujące srebrem zadrapania na zielonej farbie, w miejscu gdzie jakieś metalowe narzędzie wyrwało zamykający szafkę mechanizm i zawiasy.

Noa prowadzi nas na korytarz najmłodszych klas, już ciemny i pusty w zanikającym świetle popołudnia. Czujniki ruchu witają nas, ożywiając świetlówki, które kilka razy sennie mrugają. Noa szybko rozgląda się na boki i popycha ramieniem drzwi do drugiej klasy.

– Kiedy przyjdą Alban i Linus? – pyta, zamykając za nami drzwi.

Krzywię się i wbijam wzrok w czubki butów.

– Nie wiem – bąkam. – To znaczy, może przyjdzie Alban, ale Linus wydawał się... niezainteresowany.

– Niezainteresowany? – Noa wchodzi między niskie stoły i rzuca na jeden z nich torebkę.

– Przyjdzie czy nie?

– No... nie przyjdzie.

– Dlaczego? – pyta twardym głosem.

– Nie wiem – kłamię.

Noa prychnie i odpina klamerkę torebki.

– Ale z was łamagi!

– Co? – Wściekłość zaczyna się we mnie wsysać, czuję ją jak swędzenie pod żebrami.

– Jesteście łamagi. I ty, i Linus. Żalodne, egocentryczne łamagi.

– Noa! – nie wytrzymuje Pi.

Noa odwraca się do mnie, nie zaszczycając siostry spojrzeniem. Ramiona skrzyżował na piersi i gdy mówi dalej, palce wwiercają się w czarną dzianinę okrywającą bicepsy.

– Tak bardzo martwi was to, że wszystko kręci się wokół mnie, a w rzeczywistości wszystko kręci się wokół was! – Obniża głos do chrapliwego, pełnego złości szeptu i wwierca mi się spojrzeniem aż do środka mózdzku.

– To tobie śnią się różne bzdety. To ty fantazjujesz o dziwnych telefonach. To ty pojawiaasz się w miejscach, gdzie nie powinno cię być. Ty, ty, ty! A teraz na dodatek ten twój *loverboy*⁵⁹! Odbija mu, bo jego też dopadła paranoja. Nie pojmuję, dlaczego wciąż wam pomagam, skoro sami ze wszystkim tak cholernie dobrze sobie radzicie!

– *Loverboy*? – Czerwień, która na pewno zdobi moje policzki, zaczyna zalewać mi pole widzenia. – Masz na myśli Linusa? Jeśli tak, to coś ci się pomyliło! I twierdzisz, że nam pomagasz? Nazywasz to pomaganiem n a m?

– Tak, pomagam wam! Jak dotąd, tylko mnie jednemu udało się posunąć coś do przodu! Wam

to zwisa albo taki macie w głowie syfon, że nic nie kumacie!

– Ależ, serdecznie dziękuję za pomoc, Noa! Faktycznie sama nawet myślałam, żeby tak któregoś dnia ktoś chciał mnie zgłosić na policję za kradzież, ale na szczęście tobie udało się to za mnie załatwić!

Nienawidzę siebie za to, że muszę mruganiem powstrzymać łzy wściekłości. Zawsze byłam w tym beznadziejna, zawsze trudno mi było nie rozbeczeć się podczas kłótni, ale teraz szczególnie zależy mi na tym, żeby wziąć się w garść. Zachować się tak samo ohydnie wobec Noa, jak właśnie zachowałam się wobec Linusa. Nie, jeszcze bardziej! Tysiąc razy bardziej! Ale trudno być lodowato zimną, gdy załamuje się człowiekowi głos.

– Sama przyjechałaś do Karła! – warczy Noa. – Nie prosiłem cię, żebyś mi pomagała! Nigdy nikogo nie prosiłem o pomoc!

– Bo z wszystkim sam sobie dasz radę, tak? – Ignoruję to, że drży mi dolna warga. – Bo ty jesteś megafantastyczny, a wszyscy inni to idioci, potrafią tylko przeszkadzać!

– I ty to mówisz? – Noa opuszcza ręce, a ja odruchowo robię krok w tył. – Panna „jestem-taka-mądra-że-nie-muszę-tego-pokazywać” poucza mnie, że jestem zarozumiała? – Noa odchyła głowę do tyłu i zaczyna się śmiać, chrapliwie i bez radości. – Zabawna jesteś. – Wraca do stołu, na którym leży torebka i zarzuca sobie pasek przez głowę, tak że torebka zawisła mu w poprzek klatki piersiowej. Nie zamknął jej na klamerkę. Patrzy tylko na mnie zimnym spojrzeniem. – Ale oczywiście łatwo jest wierzyć, że jest się ósmym cudem świata, jeśli się chce przyjaźnić tylko z ludźmi, którzy człowieka w tym utwierdzają.

Czy on oskarża mnie o posiadanie tak samo nadmuchanego ego, jak jego własne? Kompletnie do niego nie dotarło, że nigdy nie będę potrafiła dorosnąć do poziomu Albana... ani, chociażby, Linusa?

– Ja przynajmniej m a m przyjaciół – cedzę. – Nie próbuję wmawiać całemu światu, że jestem niewyciężona, fundując sobie idiotyczne tatuaże i mnóstwo piercingów, i z wszystkich robiąc sobie wrogów. Ja nie próbuję niczego udowadniać, odgrywając kogoś tajemniczego, kogoś *cool*, kogoś na wszystko totalnie obojętnego!

Noa uśmiecha się z pogardą.

– Może problemem jest właśnie to, że niczego nie próbujesz. Że zadowolasz się chowaniem za swoimi nudziarskimi lekcjami i za swoim nudziarskim życiem, i wszystkich obwiniasz za to, co ci się nie udaje. Ty m n i e nazywasz obojętnym, ale to t y jesteś obojętna! Cholernie obojętna na wszystko i cholernie obojętna wszystkim!

Swędząca wściekłość pod żebrami zamienia się w pulsowanie. Jak ja pragnę go zmiażdżyć! Powiedzieć coś, co by spowodowało, że popęka ten jego twardy jak stal pancerz samouwielbienia!

Twarz Noa jest bez wyrazu, ani śladu zadowolenia z przykrości, jaką mi sprawił, złości czy czegokolwiek, co mogłoby dać jakiś sygnał o jego uczuciach. Zawsze wygląda, jakby był zupełnie obojętny, ale czy tak jest naprawdę?

Przypomniało mi się jego martwe spojrzenie znad książki o SETI, gdy spytałam, dlaczego wyjechali z Australii. I demonstracyjny brak reakcji na pogotowiu, gdy Pi powiedziała Sandrze, że przyjechali z mamą do Danii, bo rodzice się rozwiedli.

I czy nie było też jakiejś historii w Australii? Że pobił się z kimś, kto mówił coś o ich ojcu?

Nagle dostrzegam pęknięcie w pancerzu. Wielkie, zięjące i śmiesznie oczywiste.

– To z powodu twojego ojca, tak? – pytam. – To przez niego jesteś taki zły na cały świat, że trudno z tobą wytrzymać?

– Nie mieszaj do tego mojego ojca. – Mięśnie wzdłuż zuchwy i na przedramionach Noa zaczęły tańczyć pod skórą ten sam złowróżbny taniec.

– Dlaczego nie? Czy jest takim samym idiotą jak ty? Czy to dlatego was zostawił?

Nagła zmiana w twarzy Noa jest przerażająca. Maską obojętności spadła w ułamku sekundy, a to, co się pod nią kryło, jest tak dzikie i wstrętne, że natychmiast pożałowałam swoich słów.

Ale dopiero gdy wskoczyła między nas Pi, dociera do mnie, że naprawdę zachowałam się głupio.

Noa chwyta krzesło najbliższego stołu. Kostki jego rąk świecą bielą na tle grubych metalowych nóg krzesła. Wycofuję się w kierunku drzwi, jak błyskawica przeszywa mnie strach.

– Noa! – Pi chwyta krzesło, ale brat wyszarpnął jej je i nie odrywa ode mnie oczu.

– Gównu wiesz!!! – ryczy i ciska krzesłem przez całą salę.

– Noa! Przestań! – krzyczy Pi.

Krzesło trafia w drzwi i ląduje na podłodze z hukiem, który sprawia, że przykucnęłam i chronię rękoma głowę. Nie wiem, czy Noa świadomie celuje obok, czy jest po prostu zbyt wściekły, żeby trafić, ale nie mam zamiaru stać w miejscu, żeby tę zagadkę rozwiązać.

Niezdarnie przeskakuję przez leżące krzesło i szarpnięciem otwieram drzwi. Na ich powierzchni jest głęboki ślad po uderzeniu.

Za plecami słyszę odgłos uderzenia kolejnego krzesła o powierzchnię stołu, zmieszany z głośnymi krzykami. Trzaśnięciem drzwi zamykam te dźwięki w sali drugiej klasy i zastanawiam się, czy mam te drzwi zablokować. Gdyby Noa chciał mnie ścigać, szybko by mnie dogonił.

Rozglądam się po korytarzu z dudniącą w piersi paniką, ale nie potrafię jasno myśleć. Mój mózg koncentruje się tylko na myśli, żeby uciekać, daleko, daleko od Noa.

Odgłosy za drzwiami stają się głośniejsze i gwałtowniejsze, Pi coś wykrzykuje. Albo zaczęli się bić, albo też Noa, idąc do drzwi, poprzewracał połowę stołów.

Nie oglądając się za siebie, biegnę w kierunku ściany z szafkami.

Powinna się była schować, zamiast wystawiać się na widok, uciekając w kierunku podwórza, ale nogi nie przestają biec.

Drzwi za moimi plecami gwałtownie się otworzyły i w korytarzu grzmi wściekły ryk Noa:

– Emi!!!

Przyspieszam i dobiegam do ściany z szafkami, z których jedna jest szeroko otwarta. Przez szklane drzwi prowadzące do korytarza starszych klas widzę, że jest tam ciemno i pusto.

Ostro skręcam w prawo w kierunku auli, w nadziei, że natknę się na kogoś, kto mi pomoże. Jeśli będę miała szczęście, dotrę do pokoju nauczycielskiego albo zamknę się w toalecie.

– Emi! – Tym razem wołanie nie dochodzi z tyłu, tylko skądś przede mną. Oddech utknął mi w gardle, zatrzymuję się z piskiem gumowych podeszew. – Emi, gdzie jesteś? – Tym razem ten ktoś jest bliżej. Ale to nie Noa. W głosie jest strach, nie oszalała wściekłość jak ta, która równocześnie dudni za mną.

– Chodź tu!!! – ryczy Noa.

Odwracam się. Noa już biegnie, a tuż za nim siostra.

– Noa! Przestań, *for fucks sake*⁶⁰! – woła.

– Emi! – Drugi głos sprawia, że bliźnięta się zatrzymują.

Na końcu korytarza z hukiem walą w ścianę drzwi. Linus omiata nas zdezorientowanym spojrzeniem, próbuje wyrobić sobie pogląd na temat całej sytuacji. Jest bez kurtki, zasapany, jakby całą drogę z domu biegł.

Pewnie Alban odebrał ostrzeżenie o tym, że Noa będzie szalał i posłał mi go na odsiecz.

– Co się dzieje? – dyszy Linus. Przebiegając ostatnie dzielące nas metry, skanuje mnie od stóp do głów. Sznurówka trampki ma niezawiązane i przemoczone od śniegu. Obiema rękami chwyta mnie za ramiona. – Nic ci nie jest?

Potrząsam głową, rzucając spojrzenie na Noa.

Linus zauważył to i patrzy nieufnie na bliźnięta.

– Co się dzieje? – pyta znowu. – Dlaczego dzwoniłaś, Emi?

– Ja dzwoniłam?! – Żołądek mi się kurczy. – Ja nie dzwoniłam!

Linus puszcza moje ramiona.

– Co?...

– Moja komórka nie działa od kilku dni, przecież wiesz! Myślałam, że przyszedłeś, bo Alban...

– Dzwoniłaś do mnie przed chwilą! – mówi Linus. – Byłaś przerażona i płakałaś, mówiłaś, żebym szybko przyszedł do szkoły razem z Albanem, i połączenie się zerwało. Nigdy nie słyszałem cię tak przestraszonej!

– Jesteś pewien, że to byłam ja? – Skurcze żołądka się nasilają.

– Przecież nie mogłem się zastanawiać, czy to może dzwoni ktoś inny, gdy byłaś taka przerażona!

– Ale... ja do nikogo nie dzwoniłam! – brzmię jak echo Noa i wkurza mnie to.

Kto do diabła ciągle robi z nas idiotów tymi telefonami?

Linus przeczesuje palcami zwichrzone wiatrem włosy i patrzy na nas.

– Więc co ja tu robię?

– Myślałem, że w ogóle nie przyjdiesz – syczy Noa.

Linus spojrział na niego z ukosa i już miał coś powiedzieć, ale nagle gwałtownie odwraca głowę do mnie.

– Ty chyba nie... – Patrzy na mnie z ustami ściągniętymi w szpic.

– Co? – Usiłuję wyciszyć mój dudniący puls, żeby słyszeć własne myśli.

– ...dzwoniłaś tylko po to, żeby mnie tu zwabić?

– Co?! Nie! Linus, coś takiego nie przysłoby mi do głowy!

Widzę, że mi nie wierzy.

– Nikomu nic się nie stało? – Na końcu korytarza koło auli pojawia się Alban. On też nie ma na sobie kurtki, niczym broń ściska w ręce Frostmourne'a.

Telefon, którego nie wykonałam, musiał być przekonujący.

– Fałszywy alarm – mówi Linus ponuro i podchodzi do brata.

– Linus! – wołam. Nie wolno mu znowu odwrócić się do mnie plecami!

Ale on idzie dalej, nawet nie zwolnił tempa.

Mam ochotę rzucić za nim krzesłem. Albo stołem, albo ciężarówką. Palą mnie policzki. Pod skórą w takt bicia serca pulsują fale gorąca, łup, łup, łup, jak szum w uszach. Ręce mam spocone, nerwowo pocieram nimi po udach, żeby pozbyć się nadmiaru wilgoci. Szybki bieg wywołał mrowienie we wnętrzu dłoni i krótkotrwałe uczucie gorąca, które przenika przez dzinsy.

Wciskam palce w mięśnie ud i próbuję przywołać w pamięci jakieś koszmarnie upiorne przekleństwo, które mogłabym rzucić za Linusem.

Ale nagle dziwne uczucie sprawia, że sztywnieję.

Choć się nie ruszam, ciepło w dłoniach jest coraz mocniejsze. Jak gdybym stała przy

rozpalonym grzejniku.

Spoglądam z dół.

Moje ręce świecą.

Prostuję się z okrzykiem przerażenia i wyciągam je przed siebie. Przez grube bandażę przedziera się silne fioletowe światło, ze środka, jak gdyby moja skóra się żarzyła.

Fiolet! Jak w tamtym śnie!

Odwracam się i nie mogę powstrzymać okrzyku przerażenia. Ręce Noa!

– *Shit!* – Potrząsa nimi gwałtownie, jakby chciał się pozbyć zielonego koloru.

Pi patrzy to na nas, to na swoje własne ręce, które w mrocznym, pozbawionym okien korytarzu świecą błękitem. Pociera mocno jedną o drugą, ale kolor tylko jeszcze mocniej świeci spod bandaży. Cicho jęknęła. Błękitne światło przeciska się przez szpary między palcami jej pięści, jak gdyby ścisnęła dwa niebieskie płomienie.

W tej samej chwili spostrzegam świecące pomarańczowoczerwonym światłem dłoń Linusa i równocześnie odkrywa je on sam.

– Aaa! – krzyczy i zaczyna potrząsać nimi tak samo jak Noa.

Alban nadal trzyma Frostmourne'a. Spomiędzy jego palców przeświecają zielone promienie. Przerażony zwraca twarz w ich kierunku, na pewno czuje ciepło.

Światło wydobywające się z naszych dłoni w kilka sekund staje się tak silne, że odbija się na naszych twarzach we wszystkich kolorach tęczy.

Nim zdążyłam się odezwać, rdzeń kręgowy niczym pokryty szronem klin przebija piskliwy krzyk.

Dochodzi z auli.

I brzmi zupełnie jak głos Adriany.

ROZDZIAŁ 45

Przeciskam się między Albanem i Linusem i pchnięciem obu rąk otwieram drzwi do auli. Fiolet świecący z moich palców odbija się w szybie, oślepia mnie.

Krzyk się powtarza, tym razem jest głośniejszy.

Adriana stoi na środku auli i histerycznie tupie, nieprzerwanie otwierając i zamykając dłoń.

Jasny, żółty kolor przypomina ogień przeżerający się przez plastry koloru skóry na wnętrzach jej dłoni. Nie zarejestrowała naszej obecności i tylko wciąż mechanicznie stepuje wokół swojej leżącej na podłodze torebki. Coś z niej wypadło.

Komórka. Łatwo rozpoznawalny iPhone Adriany w różowym pokrowcu. Ta, którą, jak twierdziła, jej skradziono.

Adriana krzyczy po raz trzeci, całkiem pochłonięta swoim nieszczęściem.

Bliźnięta stają w otwartych drzwiach po obu moich bokach.

– Czego tak wyjesz? – woła Noa i Adriana przestaje desperacko tupać i odwraca się do nas. Ale zobaczyła nasze ręce i krzyczy jeszcze głośniejszym głosem.

– Wy też! Wy też! – lamentuje ogarnięta paniką i zaczyna szlochać.

– Alban, co się dzieje? – Niepokój w głosie Linusa sprawia, że oglądam się do tyłu.

Alban stoi oparty o framugę drzwi i zasłania ręką oczy. Ma pobladłą, zszarzałą twarz, nawet w kolorowym świetle emanującym z naszych dłoni. Nagle kuli się i zaczyna jęczeć, jak gdyby coś bardzo go bolało. Frostmourne upadł na podłogę i turla się do tyłu.

Linus i ja jednocześnie rzucamy się do Albana i chwytamy go pod ręce, nim zdążył osunąć się na podłogę. Alban opiera się o mnie ciężko i znowu jęczy. Czuję bandaż na jego ciele, pogrubiały pejzaż ukryty pod T-shirtem, tym w gołęzim kolorze, który wybrałam dla niego kilka dni temu.

– Źle się czujesz? Bolą cię rany? – pytam, chwając się pod jego ciężarem.

Alban kręci głową i próbuje się wyprostować.

– Musimy stąd uciekać – rzezi.

Obrzucam spojrzeniem pustą aulę.

Bliźnięta i Adriana skupili na nas uwagę.

– Dlaczego musimy uciekać? – pytam. – Czy to znów ostrzeżenie?

– Coś... się... zbliża. Idą po nas. Musimy... uciekać. Aa...! – Alban obejmuje rękami głowę i jak gdyby chwycił go jakiś skurcz, zgina się w pół, pociągając za sobą mnie i Linusa. Tracimy równowagę i Alban upada na podłogę, na ręce i na kolana, nie utrzymaliśmy go.

– Alban? – Linus usiłuje pomóc mu wstać. W jego głosie słychać strach.

– O co tu chodzi, do cholery? – słyszę głos Noa.

Czy zdolności Albana świrują, czy też wpływa na niego coś z zewnątrz?

Znów uważnie rozglądam się po auli.

I wtedy to zobaczyłam.

Cienie wokół nas są żywe. Wiją się w świetle wydobywającym się z naszych rąk, choć stoimy spokojnie.

Stają się coraz większe i coraz ciemniejsze, są jak czarne plamy, zlewają się na podłodze, suficie i ścianach. I zaczynają wsysać proste linie auli, jak do bezgłośnej wyżymaczki.

Z mojej podświadomości wylewa się strach, ten z koszmaru, który śniłam w łóżku Albana. Lepki, pełzający, paraliżujący strach.

– Biegnijcie! – rzuca przez zaciśnięte zęby Alban. – Wszyscy! Już!!!

– Dokąd? – Przed nami staje Noa.

– Do sali gimnastycznej. – Alban mówi z wysiłkiem, a potem kuli się tak, że czołem dotyka linoleum na podłodze.

Noa pochyla się, chwyta go pod pachy, a potem podrywa do góry i zarzuca sobie na szyję jego prawe ramię.

– Weź go pod drugie ramię, Linus! – rozkazuje.

Alban nie potrafi stanąć na nogach. Noa pochyla się w bok, żeby zrównoważyć jego wagę, a Linus wsuwa się pod lewe ramię Albana i układa je sobie na ramionach.

Powietrze, które wdycham i wydycham, zlepia się w klatce piersiowej w skłębioną masę.

Żarłoczne cienie pożerają w zawrotnym tempie aulę i duszą światło, a Noa, Linus i Alban suną, ślaniając się, ku schodom prowadzącym w dół do sali gimnastycznej.

Jak mamy stąd uciec? I dokąd?

– Chodź, Emi! – Pi chwyta mnie za rękę i pociąga za sobą. Już trzyma mocno Adriane, która jest zbyt sparaliżowana strachem, żeby protestować.

Ledwie rejestruję stopnie pod stopami, jestem w stanie skoncentrować się tylko na falującej poręczu pod wolną ręką i na strachu, który z każdą sekundą przybiera na sile.

Docieramy wreszcie do końca schodów. Lampa nie zapala się automatycznie, tylko kolorowe światła z naszych rąk pulsują z niezmienną siłą.

Przed nami Noa otwiera kopniakiem drzwi do sali gimnastycznej. Tymczasem Alban próbuje wyrwać się jemu i Linusowi.

– Nieee! Zostawcie mnie! – Wygina się i rzuca głową w panice, jak gdyby robił uniki przed niewidzialnym niebezpieczeństwem. – Nie wolno wam... nieee! – Udało mu się wyrwać Linusowi, ale Noa mocno go trzyma.

– Alban, do cholery, to tylko ja! Przestań! – Noa sam walczy o utrzymanie go w pionie.

Wbiegamy do sali gimnastycznej.

Wszystkie dźwięki wsysa nieprzenikniony mrok.

Nasze kroki, które w normalnych warunkach odbiłyby się w tej wysokiej sali echem, są ciche jak odgłos kapci na dywanie.

– Po lewej jest wyjście ewakuacyjne! – Noa skręca w stronę małej zielono-białej wskazówki. Mocno trzyma Albana jedną ręką w pasie, drugą za zaciśniętą w pięść rękę.

Alban cicho jęczy, z przerażenia albo z bólu od ran oparzeniowych na plecach, ale brakuje mu siły, żeby się wyrwać. Głowę ma spuszczoną, jakby był bliski zemdlenia.

Docieramy do drzwi z tabliczką, która nas informuje, że jesteśmy przy wyjściu ewakuacyjnym.

Pi puszcza moją rękę i chwyta za klamkę. Naciska ją, napiera ramieniem na drzwi, ale drzwi ani drgną. Próbuje jeszcze raz, mocniej, wciąż bez powodzenia.

– Zamknięte!

– Kto, do diabła, zamyka wyjście ewakuacyjne? – wścieka się Noa. – Odsuńcie się! Ja otworzę! – Mocno kopie drzwi tuż pod klamką, ale odgłos uderzenia buta w drewno brzmi zaledwie miękko.

Adriana chlipie histerycznie gdzieś z drugiej strony Pi. Jej głos brzmi słabo, jak gdyby pochodził z drugiego końca sali gimnastycznej.

Wpatruję się w zielono-białą tabliczkę i nagle tabliczka zaczyna się wybrzuszać. Punkty zbiegu wykręcają się i cała sala gimnastyczna na moich oczach się spłaszcza. Otacza nas coraz głębszy mrok i wszystkie proste linie coś ściąga w stronę podwójnych drzwi, przez które przed chwilą weszliśmy.

Gdy je spostrzegam, strach zmienia się w uciskający w klatce piersiowej ból.

Czarne postaci, ciemniejsze od cieni w bezgwiezdną noc, wślizgują się przez drzwi. Ciągną za sobą nicość.

Dopał mnie koszmar ze snu, najgorszy z wszystkich.

Otwieram usta, chcę krzyczeć, wołać o pomoc, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Zostało tylko światło naszych rąk. Światło w sześciu kolorach naprzeciw nieskończoności odcieni czarnego jak smoła niebytu.

Ktoś chwyta mnie za ramię.

Odwracam twarz w *slowmotion* i ledwo dostrzegam poruszające się przede mną usta Noa. Chyba krzyczy, ale nic nie słyszę.

Popycha mnie do przodu i nagle owiewa nas lodowaty wiatr. Podłoga zdaje się rozpuszczać pod stopami! Stopy zapadają się pod kruchą powierzchnię. Żeby odzyskać równowagę, muszę balansować ramionami.

W następnej chwili moja ręka dotyka czegoś, co wibruje. Spoglądam w dół i wyczuwam kontury skórzanej torebki wiszącej przy biodrze Noa. To stamtąd pochodzą wibracje. Są tak silne, że czuję je przez skórę torebki, tylko buczenia nie słyszę, przestrzeń pochłania dźwięk, zanim zdąży dotrzeć do moich uszu.

Naraz pod czarną bluzą Noa zaczyna świecić pryzmat. Tak samo mocno jak nasze ręce, ale czystym białym światłem.

Mrok wokół nas pogłębia się, zimno jest coraz dotkliwsze.

Alban osuwa się na ziemię.

Wyciągam ręce, żeby go chwycić i w tej samej chwili ten nieoczekiwany ruch jego ciała przygina w przód ciało Noa. Przez wycięcie pod szyją wysuwa się pryzmat i błyskawicznie wsysa go otwarta torebka.

Moja głowa zderza się z głową Noa, a z wnętrza torebki dobiega odgłos kliknięcia.

Tym razem ból jest silniejszy niż przedtem.

Paraliżuje ciało w bezgłosnym, przyprawiającym o drzenie mięśni krzyku, który rozrywa mnie na pół i rozszczepia światło i mrok na wielobarwne odłamki szkła.

A potem znikam.

ROZDZIAŁ 46

Zimno przenika przez skroń i szczękę. Kanały słuchowe wypełnia mi dziwny, wyjący ton. Na wewnętrznej stronie powiek tańczą świecące figury, w ustach czuję metaliczny smak.

Wydaje mi się, że leżę, ale wrażenie, że wszystko wibruje, sprawia, że nie mam co do tego pewności. Poruszam lewą ręką, czubki palców skrobią o coś chropowatego i zimnego. Zaskrzybiało, ale to nie śnieg. Jedną po drugiej zbieram swoje rozbite na strzępy myśli i znowu poruszam ręką. To, na czym leżę, jest jak wełniany dywan, a jednak nie jak dywan.

Jest zimniejsze. Bardziej jakby...

Aaa, już wiem.

Szron. To trawa pokryta szronem.

Gdzie ja jestem? Co się stało?

Serce wali mi, jakbym tylko co biegła, ale nie pamiętam, dlaczego.

Gdy zmuszam powieki, żeby się otworzyły, milimetr po milimetrze, i usiłuję ustawić ostrość widzenia, w mózg wwierca się ostre światło. Przed oczami wciąż tańczą mi świecące figury.

Leżę twarzą do ziemi, na boku, dziwnie skrzyżowana, jakbym w połowie drogi zaniechała ułożenia się w pozycji bocznej ustalonej. Stawy mam sztywne, mięśnie kurczą się na zimnie.

Gdzieś blisko coś drgnęło, coś porusza się w trawie. Słyszę przy twarzy cichy jęk i przez pomrokę wywołaną zawrotami głowy i uczuciem zagubienia znowu zaczyna przeziierać strach.

Z trudem odwracam głowę. Opieram ręce o podłoże, chcę się podnieść.

– Auu! – Ramieniem szarpnął ból. Unoszę dłoń blisko twarzy i spoglądam na nią przez łyce. Jest owinięta czymś białym. Jakimś rodzajem tkaniny. Ale w bieli widzę dużą dziurę, trójkąt na powierzchni dłoni, otoczony postrzępionymi, zwęglonymi konturami. Skóra w środku jest jaskrawoczerwona i lśniąca. Rana?

Zwijam dłoń i dotykam tego miejsca opuszkami palców, ale choć czerwona skóra jest bolesna jak świeży bąbel od oparzenia, palce nie są czerwone. Nie krwawię.

Ktoś znowu jęknął. Gdy odwróciłam w tę stronę głowę, boleśnie chrupnęło mi w kręgosłupie szyjnych.

Zaczynam mrugać, żeby pozbyć się uczucia zamroczenia w oczach i myślach. Próbuję się skoncentrować, chcę sobie wszystko przypomnieć.

Przede mną majaczy coś niebieskiego.

Powoli wyciągam rękę, żeby tego dotknąć. Czubki palców rozpoznają tkaninę i w jednej chwili wiem, co to jest. T-shirt Albana.

I nagle wszystko wraca.

Świecące ręce, mroczne postaci, wszechogarniający strach.

Gdy przypominam sobie naszych prześladowców z sali gimnastycznej, przez mgłę przedziera się panika. Unoszę głowę i rozglądam się dokoła z galopującym sercem, ale nie potrafię wystarczająco dobrze skoordynować widzenia. Czuję tylko, że jest jasno i że źródło światła znajduje się gdzieś nad moją głową. Sądząc po zimnej trawie pode mną, to słońce.

Trochę dalej widzę jakieś grube, pionowe linie.

Słupy latarni? Drzewa? Wyglądają solidnie. Ich linie nie są pofalowane, jakby świat rozpadał się na kawałki. I nie jest ciemno i głucho jak w sali gimnastycznej i jak we śnie, który śnił mi się w domu Albana.

Żadnych oczywistych oznak niebezpieczeństwa. Serce odrobinę zmniejsza tempo bicia.

Ze skóry nie świeci już fioletowe światło. Naciskam palcami na niebieski T-shirt, pod tkaniną czuję mięśnie i kości. Ramię.

– Alban? – pytam. – Nic ci się nie stało?

Upadł pomiędzy nas. To ostatnie, co pamiętam.

– Co to, do cholery, było? – Głos Noa jest bardziej ochrypły niż zwykle. Nie widzę go z miejsca, w którym leżę.

Przysuwam się bliżej Albana, nadal się nie porusza. Z trudem klękam na czworakach i żeby nie stracić równowagi, na moment muszę zamknąć oczy. Gdy znów je otwieram, widzę, że Alban leży częściowo na brzuchu. Chwytam go za ramię i biodro i odwracam. Jego ciało jest wiotkie, a skóra ma prawie ten sam kolor, co szron pod nami.

– Alban? – Kładę mu rękę na klatce piersiowej i naciskam, mimo ostrego bólu w dłoni. Pod niebieską tkaniną mocno, w szybkim rytmie bije serce. Żyje.

Drugą rękę przykładam mu do policzka. Krótki zarost drapie mnie w opuszki palców.

– Alban! – wołam jeszcze raz.

– Co my tu robimy? – Głos Adrianego drży od zimna i szoku. Mocno przyciska do ciała ramiona.

Obok siedzi Pi, głowę trzyma między kolanami.

Noa próbuje wstać, ale zachwiał się i z powrotem siada z głośnym plaśnięciem.

– *Shit*, w głowie mi się kręci. – Zamyka oczy i ścisza palcami grzbiet nosa.

Skórzana torebka wciąż wisi mu na piersi, ale instrument już nie buczy.

Obok mnie jakieś dziwne dźwięki wydaje Linus. Klęczy, wygina grzbiet z palcami wbitymi w pokrytą szronem trawę.

Zdjęłam dłoń z policzka Albana i wyciągam rękę do ramienia Linusa, ale on odsuwa się, nie patrząc na mnie. Dźwięki zmieniają się w głośny jęk, Linus próbuje wstać, ale zawroty głowy plączą mu nogi. Wreszcie idzie, zaledwie kilka metrów, a potem osuwa się na kolana i wymiotuje.

Nagle klatka piersiowa Albana unosi się pod moją ręką, jakby miała eksplodować. Patrzę na niego przestraszona. Oddech przyspiesza i staje się coraz głośniejszy. Alban zaczyna wymachiwać rękami, jakby zadawał ciosy i z wciąż zamkniętymi oczami rzuca głową z boku na bok.

– Neeee! – jęczy, kopie nogą, niewiele brakowało, a trafiłby Adrianę. – Nie, nie, nie, nie! – Ruchy stają się coraz gwałtowniejsze, wykrzywia twarz w grymasie bólu, a może przerażenia. Nagle wygina ciało do góry w łuk i wydaje z siebie głęboki, gardłowy, rżący dźwięk, który ścina mój żołądek iskierkami lodu.

– Co się z nim dzieje? – Pi jest przestraszona. – Atak epilepsji?

– Nie, chyba nie – odpowiadam nieprzytomnie. – Chyba tylko... chyba coś mu się śni! – Chwytam go za ramiona i potrząsam. – Alban! Alban, obudź się!

Alban odpycha moją rękę i dalej walczy z czymś, czego my nie widzimy.

– Hej! Alban! – woła Noa i wymierza mu policzek.

Alban cicho krzyknął, otwiera oczy i siada.

– Już dobrze. – Obejmuję go ramieniem. – Jestem przy tobie. Nic złego się nie dzieje. –

Głaszczę go po głowie, żeby go uspokoić.

Alban napina mięśnie, chce się bronić, ale mój głos wreszcie do niego dotarł i przepędził ostatnie resztki sennego koszmaru. Z ust wydobywa się konwulsyjny jęk, niemal szloch, odwraca twarz w stronę mojego ramienia. Skórę ma lodowato zimną. I on, i Linus są bez kurtek.

– Masz, weź moją kurtkę. – Przechyliłam się do tyłu, żeby ją zdjąć.

– Nie, w porządku – mówi Alban. Jak na komendę zaczynają mu szczekać zęby, ale zaciska je, żeby powstrzymać szczekanie.

– Przestań, Alban. Jesteś zmarznięty! – Rozsuwam suwak kurtki. – Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, ale na pewno jest mróz. Zimno nie szczypie tak jak na podwórzu szkolnym, ale dla kogoś, kto nie ma na sobie kurtki, temperatura wciąż jest po niekorzystnej stronie punktu zamarzania.

– Ale to nie jest konieczne, Emi. – Alban wyciąga rękę w kierunku odgłosu rozpinanego suwaka, żeby mnie powstrzymać.

Noa zachnął się.

– Dość tego gładzenia, przestańcie już, oboje! Bez kurtki w pięć minut wykorkujesz z zimna, Emi. Nie mam, kurczę, ochoty targać cię na plecach, dlatego że ty masz kaprys zgrywać bohaterkę. – Noa wstaje i ciska brązową torebkę na kępę zmrożonej trawy. A potem ściga z siebie skórzaną kurtkę i rzuca ją Albanowi na kolana.

Alban chce zaprotestować, ale szybko zarzucam mu kurtkę na ramiona.

Spoglądam na Linusa, który ma zdrętwiałe z zimna policzki.

– A co z tobą? – pytam.

– Dam sobie radę. – Linus wyciera usta wierzchem dłoni i odwraca wzrok.

– Możemy na zmianę nosić moją.

– Nie trzeba. Dam sobie radę!

Wznoszę oczy do nieba i podciągam suwak.

– Gdzie my jesteśmy? – Alban obraca twarz w różne strony, żeby wyłowić coś, co podpowiedziałyby mu odpowiedź. Ale słyhać tylko szczekające zęby i nasze oddechy, nierówne, drżące od zimna. Żadnego śpiewu ptaków, żadnego szumu przejeżdżających aut, żadnych głosów.

– *No fucking idea*⁶¹. – Noa podnosi z ziemi torebkę.

Rozgląda się dokoła, a ja wędruję wzrokiem za jego spojrzeniem.

Pionowe linie to drzewa. Dęby i buki o nagich gałęziach, gdzieniegdzie drzewa iglaste.

– Jesteśmy w lesie – mówię. Dla innych to oczywiste, ale wiatr jest za słaby na to, żeby Alban mógł usłyszeć drzewa.

– Nie ma śniegu – zauważa. Przesunął ręką po sztywnych źdźbłach trawy.

– Nie, tylko szron – potwierdzam. – Ani śladu śniegu.

Odchylam głowę do tyłu. Niebo jest czyste i niebieskie, słońce stoi wysoko. Szron migocze w jego promieniach. Czy przed chwilą nie było półmroku i całkowitego zachmurzenia?

Alban marszczy brwi.

– Gdy bieглиśmy do szkoły, było dużo śniegu. Coś tu jest nie tak.

– Brawo, Sherlock – odzywa się sucho Noa.

– Zamknij paszczę, Noa – mówi Pi, niemal automatycznie. Zdaje się zbyt wstrząśnięta, by na serio się na niego złościć.

– Jakim pieprzonym cudem się tu znaleźliśmy? – Oddech Noa tworzy białe obłoki wznoszące się nad jego sylwetką w czerni.

Stoi odwrócony do mnie plecami, zwracam uwagę na cienką czerwoną linię na karku pod skórzanym rzemkiem. Musiało potężnie szarpnąć pryzmatem.

– Jestem pewna, że to znowu sprawka tego instrumentu. Spowodował, że zemdleliśmy – mówię.

Noa odwraca się i chwytą za klapę torebki, chce ją otworzyć. Ale powstrzymał się i zdjął z szyi rzemyk z zawieszka.

– Nie. Potrzyjmy na wszelki wypadek – rzuca pryzmat siostrze. – Najwyraźniej przyciągają się, jeśli są za blisko siebie. Schowaj w jakiejś kieszeni z suwakiem i trzymaj się daleko ode mnie.

Pi posłuchała i Noa otwiera klapę torebki. Instrument nadal milczy, kolory z naszych rąk znikły. Całość sprawia wrażenie dalekiego, absurdałnego snu.

– Co się stało? – pyta Alban. – Zanim... tu wylądowaliśmy?

– Nasze ręce świeciły – mówi Noa. – A ty zacząłeś wieszczyć.

– Zdawało się, jakby wszystko się rozplętało i ciemniało, i znikły wszystkie dźwięki – mówię. – I było jeszcze... coś. Coś ciemnego. Jakieś postaci, szły do nas w sali gimnastycznej.

– Mnie się zdawało, jakby to były zjawy – mówi cicho Pi.

– Więc nie tylko ja? Wy też je widzieliście?

– Ja nie widziałam żadnych postaci – przyznaje Pi – ale miałam uczucie, jakby świat się rozpuszczał i jednocześnie kręcił w kółko.

– Tak – szepcze Adriana, a Noa kiwa głową, żeby potwierdzić słowa siostry.

– Ja też nie widziałem postaci – odzywa się Linus. – Ale wyraźnie czułem, że ktoś nas prześladowuje.

– Co to dokładnie było, Alban, to, przed czym dostałeś ostrzeżenie? – pytam.

Alban obejmuje się ramionami.

– Nie... nie wiem. Ale nie było tak jak poprzednio, kiedy z góry słyszałem albo czułem, nawet powonieniem, niebezpieczną sytuację. Tym razem było inaczej. – Albanem wstrząsa dreszcz. – Tym razem... nie było nic. Żadnych dźwięków, żadnych zapachów, żadnego bólu. Po prostu wszystko zniknęło. I byłem pewien, że my też znikniemy.

Widzę po gwałtownym pulsowaniu tętnicy na szyi, z boku, że jego ciałem wciąż wstrząsa przerażenie.

– Może ten dynks nas wyrzucił, ale to niemożliwe, żeby sprawił, że mieliśmy zwydy. – Noa z powrotem zamyka klamerkę torebki. – To musiało być coś innego... gaz, na przykład. To miałyby sens. Jak inaczej można dostać manii prześladowczej albo sądzić, że świat się rozpada?

– Gaz? – powtarzam.

– Tak – potwierdza Noa ponuro. – Istnieje mnóstwo trucizn działających na nerwy, które mogą robić takie rzeczy z człowiekiem. Totalnie rozpieprzyć mózg.

Opuszczam ramiona. Kto miałby robić coś takiego stadku nieszkodliwych nastolatków?

A właściwie... właściwie wręcz przeciwnie, jesteście bardzo szkodliwi!

Ktoś musi wiedzieć o nas więcej niż my sami!

Pi podnosi się i pomaga wstać Adrianie. Przez chwilę wzajemnie się wspierają, żeby utrzymać równowagę.

Adriana ma twarz mokrą od łez, policzki parują w mroźnym powietrzu, dolna warga mocno drży od zimna i powstrzymywanego płaczu.

Noa powiesił sobie skórzaną torebkę na piersi i wyciąga z tylnej kieszeni portfel.

– Ktokolwiek nas tu zostawił, niczego nie zabrał. Legitymacja, pieniądze... wszystko jest.

Dziwne.

– Dlaczego ktoś miałby zostawiać nas nieprzytomnych na mrozie w lesie? – zastanawiam się.

– To na pewno ci sami psychopaci, którzy przede wszystkim postarali się, żebyśmy dotarli tam, gdzie było, o, to. – Klepnął w skórzaną torebkę. – A raczej zdecydowanie ten sam psychopata. Jestem coraz bardziej pewien, że ten Karl nie jest taki niewinny, za jakiego chce uchodzić! – Noa wyciąga z drugiej tylnej kieszeni smartfona. – Sprawdzę na Google Earth, gdzie jesteśmy. – Przesuwa palcem wskazującym po czarnym wyświetlaczu, ale nic się nie dzieje. – Co, u diabła, przecież dopiero co go naładowałem! – Naciska na przycisk włączania i dalej nic. – *Crap*⁶²! Ktoś inny może spróbować?

Adriana rozgląda się.

– Mojej torebki... nie ma. I komórki też.

– A nie skradziono ci jej? – pytam.

– Tak, być może. Ale może po prostu ją zgubiłam. Ktoś przyniósł ją do sekretariatu. – Adriana pociąga nosem i wyciera twarz rękawem. – Poszłam do szkoły, żeby wziąć kilka książek i sprawdzić, czy ktoś ją znalazł.

– Więc cały czas leżała w sekretariacie? – Czuję, jak włoski na karku stają mi do pionu intensywniej niż wtedy, gdy z zimna robi to z nimi gęsia skórka.

– Tak, ktoś przyniósł ją wczoraj po południu.

– Kto? – pytam.

– Skąd mam wiedzieć! Czy to nie wszystko jedno? I tak jej nie ma!

– Dlaczego zabierali twoje rzeczy, a moich nie? – zastanawia się Noa.

Adriana znowu siada na trawie.

– Nie wiem, okey?! – Wybuchła płaczem i kryje twarz w dłoniach.

– Zostawiłaś torebkę i komórkę w auli – mówię. – Dogonili nas dopiero w sali gimnastycznej, więc może ona wciąż jest w szkole. Ktokolwiek się nad nami pastwił, raczej nie chodziło o nasze rzeczy.

– Moja komórka też nie działa – odzywa się Linus. Podniósł się z ziemi i stoi ze swoją starą Nokią w dłoni. – Jest martwa. I zegarek się wyłączył. – Stuka palcem w swój binarny zegarek, ale czerwonych diod nie widać. – Ty swojej nie zabrałeś, co, Alban?

– Nie, niestety.

– A twoja? – Noa patrzy na siostrę, która już wyjęła swojego smartfona.

– Nic – mówi Pi.

– Ja pieprzę, ale to dziwne. – Noa zaczyna rozglądać się po polanie.

Pi wyciąga do mnie rękę. Chwytam ją i niepewnie staję na nogach. Gdy linia horyzontu jako tako mi się ustabilizowała, pomagam wstać Albanowi. Wciąż jest blady, ale trzyma się prosto.

– Co robimy? – pyta Pi. Znowu podciąga Adrianę.

– Idziemy – mówi Noa. – To wygląda na zwyczajny las, nie na syberyjską tundrę. Prędzej czy później musimy dojść do jakiegoś domu, gdzie jest telefon. – Noa rusza niepewnym krokiem w kierunku skraj polany.

– Gdybym był tobą, poszedłbym w drugą stronę – mówi Alban. – Przeciwnie do kierunku wiatru.

– Niby dlaczego? – Noa idzie dalej.

– Bo pachnie dymem. Wiatr niesie dym. – Alban odwraca twarz pod wiatr. – Nie ma dymu bez ognia. A ogień to ludzie.

Noa zatrzymał się i wacha powietrze.

Mnie też w nosie łaskocze słaby korzenny zapach dymu. Nie trującego, nasyconego plastikiem, jak ostatnio w domu Albana i Linusa, tylko dymu z ogniska albo z pieca. Zapach kojarzący się z poczuciem bezpieczeństwa.

Noa spojrzał zły na Albana, ale zmienia kierunek.

– *Smart-ass*⁶³ – mruczy, wymijając nas.

ROZDZIAŁ 47

Biorę Albana pod ramię i mocno trzymam jego rękę, żeby go wesprzeć, gdyby się potknął. W leśnym poszyciu nie było nigdzie widać Frostmourne'a, pewnie nadal leży w szkole. Idąc, cały czas ostrzegam Albana przed gałęziami i zagłębieniami w ziemi.

Zza pleców dobiega nas coraz głośniejsze szczekanie zębów Linusa, po kilku minutach jest tak głośne, że się odwracam.

– Wkładasz moją kurtkę, Linus, i będziemy ją nosić na zmianę, aż dojdziemy do tego domu! – mówię zdecydowanie i odpinam suwak.

– Przestań! Przecież mówiłem, że nie potrzebuję twojej kurtki! – Linus przepycha się obok nas, nie patrząc mi w oczy.

– Linus! – Chwytam go za ramię palcami bez czucia. – Załóż ją, zamiast tak się wydurniać! Przecież marzniesz!

Na dźwięk mojego podniesionego głosu bliźnięta i Adriana przystają i oglądają się na nas.

Czuję, jakie twarde są mięśnie na ramieniu Linusa i widzę, że drgają mu mięśnie szczęki, bo usiłuje powstrzymać dygotanie zziębniętego ciała.

– Musi cię to obchodzić? Nie miałaś mnie kompletnie dosyć? – Wrywa ramię i idzie dalej.

– Zaczekaj tu. Zaraz wrócę. – Puszczam Albana, biegnę za Linusem.

Wyskakuję przed niego i podnoszę ręce w geście poddania. Zatrzymał się.

– Okey, zachowałam się jak idiotka – mówię.

Linus patrzy na mnie nieufnie.

– Nie chciałam tego powiedzieć, tych wszystkich rzeczy, które mówiłam w twoim pokoju. Po prostu byłam... – opuszczam ręce – byłam naprawdę zła. Ale nie przez ciebie, tylko jakby... przez to wszystko.

Linus chwilę stoi z zaciętym wyrazem twarzy, szczękając zębami. A potem ciężko wzdycha i wbija wzrok w buty.

– Ja też nie powinienem był... – bąka. – Nie chciałem...

– Halo, co wy, do diabła, wyprawiacie? – woła Noa. – Konferencję ONZ sobie urządzać, czy co? Pogaduszek wam się zachciało na tym pieprzonym mrozie! No już, dalej!

Połykam złośliwą odpowiedź i szybko ściągam kurtkę. Nim Linus zdążył się sprzeciwić, wpycham mu rękę do rękawa.

– Ja już się rozgrzałam – kłamię. – Za chwilę się zamienimy. – Zaciągam za niego suwak i wracam do Albana, żeby mógł chwycić mnie za ramię.

– Tylko pamiętaj! Nie będę cię nosił! – woła Noa przez ramię.

Alban ściska mi rękę i wędrujemy dalej w milczeniu.

Mam ochotę ruszyć biegiem, żeby wymusić trochę ciepła w sztywnych członkach, ale nie mogę, mając go u boku. Jednak zaskakująco dobrze radzi sobie bez Frostmourne'a, kilka razy zmienił kierunek, omijając chaszczę albo dziurę, zanim zdążyłam go ostrzec.

Po przejściu dystansu, który odczuliśmy jako kilka kilometrów, wychodzimy na ścieżkę. Po jednej stronie drzewa są coraz rzadsze, i to stamtąd coraz intensywniej napływa dym, spieszymy

więc w tym kierunku.

Kurtka wróciła do mnie właśnie w chwili, gdy weszliśmy na szczyt wzniesienia i zobaczyliśmy przed sobą niebo i kraj lasu. Koniec naszych cierpień. Tam gdzieś musi być jakiś dom.

Przyspieszamy. Wreszcie wychodzimy z lasu i ruszamy przez pagórkowaty teren porośnięty wysoką, sztywną trawą.

Nagle dostrzegam w oddali wstęgę dymu wijącą się z za domu z czerwonej cegły i wzdycham z ulgą.

– Nareszcie! – Noa prowadzi nas przez ostatni pagórek, a w mojej głowie kotłują się wyobrażenia o największym kominku świata i wiadrach gorącej herbaty. Wkrótce stajemy przed przekrzywionym płotem i furtką z zawieszoną na środku zardzewiałą skrzynką na listy.

Z frontu skrzynki zdarto numer domu.

Fantazje o kominku niestety zgasiło odkrycie, że dym pochodzi ze stosu palącego się chrustu. Z drugiej strony domu dochodzi odgłos rąbania drewna.

Wszędzie na podwórku i w ogródku leżą materiały budowlane. Dachówki, deski i duże paki materiałów izolacyjnych schowane pod plandekami. Marzną już tak bardzo, że żeby się ogrzać, z radością wtuliłabym się w belę waty mineralnej Rockwoolu.

Nagle wzdrygam się na głośne szczekanie. Z za domu pędzi w naszą stronę wielkie psisko jasnej maści, szczeka na całe gardło.

Gdy wybiegł za furtkę, przerażona Adriana głośno krzyknęła i odskoczyła w bok, ale pies nie zwraca na nią uwagi. W radosnych podskokach wiruje wokół Linusa i piszczy tak samo jak Filur, gdy był sam przez cały dzień i wreszcie ktoś wraca do domu.

W normalnych warunkach Linus szalałby z radości, że może pobawić się z psem, ale teraz wydaje się, że coś jest nie tak.

Pies podskakuje, usiłuje polizać go w policzek, a to tak bardzo zaskoczyło Linusa, że upadł do tyłu na żwirową drogę. Pies nie ma zamiaru zrezygnować, a Linus próbuje się bronić przed gwałtownym atakiem miłości. Psu jednak wciąż mało, więc zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam się włączyć, jeśli posunie się za daleko. Ale nagle się uspokaja, przekrzywia łeb i tylko cicho popiskuje.

A potem spogląda na Linusa i powoli się przy nim kładzie.

– Poważnie? – mówi Linus szeptem, siadając.

Pies liże go w rękę. Linus patrzy na lśniąca plamę na dłoni, a potem znowu na psa.

– Ja chyba... chyba ją słyszę. – Oczy Linusa robią się wielkie i okrągłe.

– Słyszysz kogo? – pytam. – Psa?

Linus potakuje.

– Słyszę... co ona myśli. To znaczy... w każdym razie... rozumiem. – Linus wyciąga rękę i gładzi złocistą sierść na szyi suki. – Nie umiem... tego... wytłumaczyć, ale wydaje mi się, że ona też rozumie mnie.

– Więc możesz... rozmawiać ze zwierzętami? – Noa gapi się na Linusa, jak gdyby tylko co na naszych oczach przemienił się w disneyowską księżniczkę.

– Tak myślę. – Twarz Linusa powoli rozjaśnia się w szerokim uśmiechu. – Mogę rozmawiać ze zwierzętami! – Linus głośno się śmieje i ściska psa. Pies znów szczeka, piszczy, szaleje z radości.

Noa kręci głową.

– Zwierzęca telepatia! *Fuck*, ale nudziarstwo – kwituje i kopniakiem otwiera furtkę.

Adriana nadal stoi przyklejona do płotu. Usta wyduła w grymasie niedowierzania i śledzi wzrokiem Linusa z psem. Czy nadal uważa, że robimy ją w konia?

Pies wreszcie odrywa się od Linusa. Tańcząc, wbiega przez furtkę na podwórze, popiskuje, odwraca się za swoim nowym ulubieńcem.

– Chyba chce, żebyśmy za nią poszli. – Linus wstał i strzepuje z ubrania żwir.

– Dlaczego? – pyta Pi. – Dokąd?

– Nie mam pojęcia. Nie jestem jeszcze dyplomowanym tłumaczem mowy zwierząt. – Uśmiech jakby na stałe przykleił mu się do twarzy.

– A jeśli to niebezpieczne? – pytam.

Nagle po drugiej stronie domu rozległo się monotonne gwizdanie i pies głośno zaszczekał, żeby zwrócić uwagę swojego właściciela na nieoczekiwanych gości.

Zza najdalszego rogu domu wychodzi mężczyzna.

Na ramieniu trzyma siekierę, ubrany jest w luźny, brązowy sweter, czarną czapkę i szal okrywający dolną część twarzy dla ochrony przed zimnem.

– Przestań już się wygłupiać, ty szalona bestio – karcę psa dobrotliwie. – Co, do licha? – Spozrzegł nas i śmieje się. – Cześć, dzieciaki!

Wymieniamy niespokojne spojrzenia, a on zygzakiem przedostaje się między materiałami budowlanymi w naszym kierunku.

– Dawno się nie widzieliśmy! – Opalona skóra marszczy się wokół ciemnych oczu, jak gdyby się uśmiechał pod szalikiem. – Zapomnieliście czegoś?

Żadne z nas nie odpowiada, ale mężczyzna nie zauważa naszego wahania. Cmoknął tylko do psa, który położył się na plecach i czeka, że Linus podrapie go po brzuchu.

– Łajka najwyraźniej się za wami stęskniła. – Mężczyzna ściąga szal, żeby odsłonić usta.

Gdy zobaczyłam całą jego twarz, mój żołądek zwinął się w małą twardą kulkę. – Karl! – wołam.

ROZDZIAŁ 48

Karl uśmiecha się do mnie niepewnie, jak gdybym opowiedziała jakiś skomplikowany dowcip, który nie całkiem zrozumiał. Nie jest, jak sądziłam, opalony, jest jasnym mulatem. W ostrym świetle dnia jego twarz wygląda na szczuplejszą niż poprzednio.

– Nie, Karl jest w... – Nagle, gdy spostrzegł moje zabandażowane dłonie, robi wielkie oczy. Gwałtownie się odwraca, żeby spojrzeć na dom. – No... – Znow odwraca się do nas, wędruje spojrzeniem po naszych opatrunkach. – Wy mnie nigdy wcześniej nie spotkaliście, prawda?

– Dobra, dobra, panie gwiazdny psychopato! – unosi się Noa. – Choć robił pan wszystko, żeby wyglądać na totalnie *clueless*⁶⁴, to jednak domyśliliśmy się, że to pan za tym wszystkim stoi! Co pan, do diabła, kombinuje?

– Nie, Noa... bierzesz mnie za kogoś innego! – Karl opuszcza siekierę na kamyki, którymi wysypane jest podwórze. – Posłuchajcie...

– Skoro nigdy przedtem się nie spotkaliśmy, to skąd zna pan moje imię? – pyta Noa.

Karl ugryzł się w wargę i patrzy na nas bezradnie.

– Bo j a was spotykałem – mówi wreszcie. – Wiele razy. Ale wy widzicie mnie po raz pierwszy. – Znow rzuca spojrzenie na dom, na dach. Mam z tego powodu nieprzyjemne uczucie, że jesteśmy obserwowani.

Noa parska.

– Możliwe, że odurzył nas pan jakimś *nasty shit*⁶⁵, ale musi pan, kurczę, użyć tego więcej, jeśli chce pan zdelejtować nam pamięć!

– Odurzyłem? – Karl wygląda na zaskoczonego. – Ktoś was odurzył?

– Niech pan nie zgrywa głupka! – denerwuje się Noa.

Łajka w jednej chwili podrywa się na nogi i odsłania zęby, z gardła wydobywa się cichy pomruk.

Linus szybko wstaje, a Pi kładzie rękę na ramieniu Noa.

Karl nerwowo głaszcząc płasko leżące uszy psa.

– Ja nie mam na imię Karl. Mój syn ma na imię Karl. I już mówiłem, że jest w...

– Ile lat ma pana syn? – przerywam. Stojący przed nami mężczyzna ma najwyżej pięćdziesiąt kilka lat. Tyle samo, ile bym dała Karlowi. Nie mogą być ojcem i synem.

Piwnie oczy wwiercają się w moje.

– Właśnie skończy siedem.

– Siedem? – powtarzam. Karl nie wygląda na mężczyznę, który ma dzieci. Ale wydaje się na tyle ekscentryczny, żeby dać synowi własne imię.

– Więc pański syn ma na imię Karl? – pyta zdezorientowana Pi.

– Mój syn ma na imię Karl – mówi Karl powoli i wyraźnie. – Ale ja nie mam na imię Karl.

– Nie, no, niezła kombinacja! – Noa rozkłada ramiona. W reakcji Łajka groźnie warczy.

– Spokojnie, psinko. – Człowiek, który najwyraźniej nie ma na imię Karl, mocno chwytając obrozę psa. – Ona nie zrobi nic złego.

– Nie powinien pan być tego taki pewny – syczy Noa.

– Ale jestem – mówi nie-Karl z lekkim uśmiechem. – Znam cię, Noa. Masz krewki temperament, ale nie zbijesz człowieka na kwaśne jabłko za nic. – Uśmiech znikł i zastąpił go wyraz niepewności. – Mmm... to znaczy, o ile wiem.

– Nie zbiję człowieka na...*what*⁶⁶? O czym pan, do cholery, mówi?

– Jeśli nie ma pan na imię Karl, to jak? – pyta Alban.

– Nie graj z nim w te jego schizofreniczne gierki! – Noa jest już naprawdę zły.

– Jego głos nie brzmi tak, jak głos Karla, zupełnie nie – mówi Alban. – Coś się zmieniło.

– Oczywiście że coś się zmieniło! – pieni się Noa. – Psychol zamulił nam mózgi i zostawił w lesie, i nawet nie może się zdecydować, jak ma na imię!

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? – Alban stara się mówić spokojnie. – Jego głos nie brzmi tak, jak głos Karla. Jesteście pewni, że to Karl?

Przyglądam się śniadej twarzy i nagle już niczego nie jestem pewna.

Czy Karl naprawdę ma takie wydatne wargi? I chyba miał nad brwią myszkę?

– Skoro nie ma pan na imię Karl, to jak? – powtarza Alban. Jego twarz wygląda na zrelaksowaną, a jednak czuję, że mięśnie ramienia są twarde. Nie jest agresywny jak Noa, tylko nadal czujny.

Mężczyzna... to musi do licha być Karl... podniósł siekiere, ale odgłos tej czynności nie wywołuje zmiany napięcia mięśni Albana. Nie zagraża nam niebezpieczeństwo. Może. Miejmy nadzieję.

Mężczyzna przez moment waży siekiere w ręce i przygląda się nam.

– Nie przyszło wam w ogóle do głowy, że zdolność Albana ostrzegłaby was, gdybym był tak nieobliczalny, jak sądzicie? – pyta łagodnie. – Gdybym miał plan poćwiartowania was tym tutaj i zakopania w ogrodzie?

Adriana wznosi oczy do nieba. Nie wierzyła nam, gdy wczoraj w jej ogrodzie opowiadaliśmy o zdolności Albana, i na pewno nie wierzy w nią teraz.

– Skąd pan może wiedzieć, co ja potrafię? – Biceps Albana pod moją ręką napiął się jeszcze bardziej.

Mężczyzna jeszcze raz próbuje ostrożnie się do nas uśmiechnąć.

– Już sporo zdążyłem się o was dowiedzieć. O tym, co potraficie. I o tym, co jeszcze będziecie potrafili. – Spojrzał na Albana. – A żeby odpowiedzieć na twoje pierwsze pytanie, mam na imię Józef.

Z moich ust wrywa się chichot.

– Józef? Więc jest pan ojcem Karla, tym, który już nie żyje? Jasne!

– Nie żyje? – Mężczyźnie znów siekiera wypadła z ręki. – Jak... jak to?

– O, nie! – wykrzyknął Noa. – Nie chce mi się dłużej tego słuchać! – Zaciska pięści, ale kolejne warknięcie Łajki sprawia, że mocno zagryza zęby.

– Posłuchaj. Mnie. Teraz. Ty. Czubku. – Wściekłość sieka zdanie na małe, ostre fragmenty. – Nie wiem, co kombinujesz, ale p r z y s i ę g a m, że się dowiem! I pożałujesz, że wybrałaś nas sobie na króliki doświadczalne! – Głęboko wciąga powietrze, żeby zapanować nad pięściami. – Musimy zadzwonić, więc teraz pozwolisz nam skorzystać z telefonu. A jeśli będziesz coś kombinował, to zmiażdżę cię i twojego kretyńskiego kundla!

Linus uspokajająco kładzie rękę na głowie Łajki, ja zwalczam dreszcz. Po tym, jak widziałam Noa rzucającego krzesłami i wykręcającego rękę Jonatanowi, jestem pewna, że to nie puste groźby.

Noa mruży oczy.

– Zrozumiano?

Na twarzy mężczyzny malują się coraz to inne uczucia. Dezorientację na krótko zastępuje strach, ale potem wygląda już tylko na głęboko nieszczęśliwego.

– Nie wiem, co powiedzieć. Zdawałem sobie sprawę, że to będzie trudne. Ale nie wiedziałem, że to... już. – Zamyka oczy i palcem wskazującym pociera skroń. – No dobrze – kończy zdecydowanie i otwiera oczy. – Możecie skorzystać z telefonu.

– Świetnie – mówi Noa. – Gdzie?

– Musicie wejść ze mną do domu. Nie mam... komórki. – Ostatnie słowo wymówił tak, jak gdyby brzmiało mu obco. – Doskonale rozumiem, że mi jeszcze nie ufacie. Ale może Albanowi ufacie na tyle, żeby wejść?

– Nie wiem... – Noa odwraca się do Albana. – Skąd mamy wiedzieć, że twoja zdolność wciąż działa? Czujesz cokolwiek, odkąd ocknęliśmy się w lesie?

– Działa – mówi Alban. – Cały czas dostawałem ostrzeżenia, bo podłóże było nierówne.

Noa nadal nie wygląda na przekonanego. Studiuje twarz Albana, ściągając usta w szpic. Nagle rzuca się w jego stronę, jakby chciał zadać mu cios, ale Alban tak szybko robi unik, że pięść świsnęła obok jego ramienia.

– No, nie, naprawdę! – Pi jest oburzona.

Adriana spojrzała na Noa zszokowana i odsuwa się od niego kilka kroków w bok.

Noa ma kamienną twarz.

– W porządku. – Zwraca spojrzenie na mężczyznę. – Wchodzimy. Ale pamiętaj, żadnych numerów!

– Ja nie wchodzę! – Adriana krzyżuje ramiona na piersi.

– Tak? – mówi Noa. – No to stój sobie tu i marznij.

Adriana wyniosłe uniosła głowę i zaczyna dreptać w miejscu, żeby rozgrzać stopy, z pewnością przemarznięte na wskroś w drogich butach z cienkiej skórki.

Mężczyzna podniósł siekiere i prowadzi nas do domu z czerwonej cegły. Łajka trzyma się blisko jego nogi, cały czas posyłając Linusowi tęskne spojrzenia.

Alban i ja docieramy do schodów przed drzwiami wejściowymi.

– Cztery stopnie – mówię, stawiając stopę na najniższym. Spoglądam w dół, żeby się upewnić, że Alban idzie ze mną... i zatrzymuję się tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a bym go przewróciła.

– Co się dzieje? – pyta przestraszony.

Czuję przesuwający się wzdłuż kręgosłupa w górę zimny palec strachu, który wywołuje na karku gęsią skórę.

W stopniu, tuż przy moim sznurowadle zatopiony jest czerwony granitowy kamień. Mam silne poczucie, że już go widziałam. Przed drzwiami domu Karla. Jest tak doskonale okrągły, że wygląda na sztuczny.

Podnoszę oczy i spoglądam na drzwi. Drzwi domu Karla były masywne, ozdobione tylko szparą na listy, podczas gdy te mają z boku panel z kolorowego szkła.

Rozglądam się szybko.

Wokół domu Karla jest żywopłot, nie płot, jak tutaj. Poza tym w ogrodzie Józefa nie ma dużej pokracznej budy ze szklanym dachem.

Nic tu nie wywołuje uczucia jednego wielkiego *déjà vu*, jak tamtego wieczoru w obserwatorium.

– Coś nie tak? – pyta Alban.

– Nie, spoko. – Zmuszam się do pójścia dalej po schodach.

Wyluzuj, Emi! To tylko kamień!

Alban ma sceptyczną minę, ale nic nie mówi.

Zaszurały kamyczki, gdy Adriana ruszyła przez podwórze, żeby do nas dołączyć. Widocznie jest za zimno na odgrywanie księżniczki.

– Ja zadzwonię pierwsza – mówi. – Moja mama oszaleje, gdy się o tym wszystkim dowie!

Zignorowałam ją i sięgam ręką do drzwi, które przytrzymuje dla nas Pi.

– Jesteś pewien, Alban, że to nie psychopata?

– Nie, ale jestem prawie pewien, że w tej chwili nic nam nie zagraża.

– Bardzo mnie to uspokaja – mruczę i wchodzę do przedpokoju.

ROZDZIAŁ 49

Ciepło, które wyszło nam na spotkanie, i wywołane nim uczucie ulgi sprawiają, że chce mi się beczeć. Tak samo działa widok tapety w paski w przedpokoju. Jest inna od tej w domu Karla. Spostrzegam siekiereę pozostawioną pod ścianą i jeszcze bardziej się odprężam.

Do chwili, gdy wchodzimy do salonu Józefa.

Rozpoznanie pokoju detonuje mi tuż pod żebrami supernową adrenalinę. Na stole jadalnym nie ma komputera, nie ma też bałaganu na podłodze i na meblach, a mimo to jestem pewna, że nie pierwszy raz stoję w tym prostokątnym pokoju o dwubarwnych ścianach.

Są pokryte zieloną tapetą w wielkie brzydkie kwiaty, którą w kuchni zastępują płytki w kolorze curry.

Szeroko otwartymi oczami skanuję pokój. Nie ma mikrofali, zamiast supernowoczesnej kuchenki jest stary grat na gaz. Ale poza tym większość mebli stoi w tych samych miejscach, co w salonie Karla. Nawet zasłony są identyczne, choć nie wydają się tu tak samo nasyczone kurzem.

– Zdaje mi się, że mówił pan, że nie ma pan komórki? – Linus stoi przy stole jadalnym plecami do nas. Wziął coś ze stołu i odwraca się w naszą stronę. – A to co? – W ręku trzyma starą Nokię.

Stojący przed nami śniady mężczyzna o zaburzonej tożsamości... Karl, Józef, Jekyll, Hyde... zamknął na chwilę oczy i wydaje z siebie pełne frustracji westchnienie.

– To tak naprawdę twoja komórka, Linus – mówi. – Dostałem ją od ciebie, bo już nie działała. Ale nie powinienem trzymać jej tu na widoku.

– O czym pan mówi? – Linus kręci głową to w jedną stronę, to w drugą. – Mam swoją tutaj! – Wyjmuje z kieszeni komórkę i pokazuje obie w wyciągniętych rękach. – Proszę zobaczyć! Na mojej jest naklejka, której nie ma na tej t... – Głos mu zamarł, gdy spojrział na obie komórki.

Są w tym samym kolorze i obie mają z tyłu w połowie zdrapaną naklejkę z napisem „I < science”. Oba wyświetlacze są zadrapane dokładnie w tym samym miejscu w prawym rogu i w obu brakuje przycisku z cyfrą 2.

Żadna nie reaguje, gdy Linus próbuje je włączyć.

– Kim pan właściwie jest? – pytam ze złością. – I co pan kombinuje?

Mężczyzna zamknął drzwi do przedpokoju i patrzy na mnie dziwnie współczującym wzrokiem.

– Obiecałem użyczyć wam telefonu – podchodzi do czegoś, co stoi na wysokim stosie skrzynek i przypomina starodawny projektor filmowy – ale to bez znaczenia, bo i tak nie możecie zadzwonić do domu.

– Co? – Twardy głos Noa sprawia, że Łajka znów kładzie uszy po sobie. – Niby dlaczego?

Mężczyzna zawałał się. Patrzy na swoje lekko drżące ręce.

– Bo... bo jeszcze się nie urodziliście.

Z wszystkich idiotyzmów, jakie mógł wypowiedzieć, ten jest najbardziej absurdalny. Ten człowiek naprawdę jest chory psychicznie!

– Spójrzcie na kalendarz. – Wskazuje na duży kalendarz z odrywanymi kartkami wiszący na granicy kwiecistej tapety pokoju i kuchennych płytek.

Mrużę oczy, żeby odczytać datę: 16 listopad.

– Dziś jest siedemnasty – mówię. – Czy jest jakaś fantastyczna puenta tego, że zapomniał pan oderwać kartkę kalendarza?

– Spójrz na rok.

Liczby są takie małe, że muszę podejść o krok bliżej.

– 1969? – Śmieję się. – Myśli pan, że jesteśmy idiotami?

– Nie – odpowiada z powagą. – Wiem, że nie jesteście idiotami.

Nim któreś z nas zdążyło zareagować, wyciągnął rękę i włącza stojący obok projektor. Maszyna zaczyna głośno terkotać i na zieloną ścianę za naszymi plecami pada promień światła.

Na ścianie ukazuje się biało-czarny, migający obraz. Przedstawia trawnik. Przed kamerą od czasu do czasu pojawiają się palce u nóg pomalowane ciemnym lakierem.

Osoba trzymająca kamerę filmuje ziemię i swoje stopy.

„Nagrywa! Nagrywa!”, piszczy dziewczęcy głos.

Kamera pochwyciła stopę i sunie w górę nogi, zbyt owłosionej, żeby mogła należeć do osoby, która kręci film.

Goleń, kolano, udo, ciemne szorty, goły brzuch, naga klatka piersiowa, szyja, twarz. Drzemiące motyle w moim brzuchu natychmiast reagują na widok jasnych oczu i krzywego uśmiechu.

„Hej, Noa”, chichocze z entuzjazmem dziewczyna.

Noa macha do kamery.

„Hej... wszyscy”, śmieje się do rozpuku. Śmiech sprawia, że jego będący w trakcie mutacji głos zabawnie, piskliwie się łamie, ale nic nie wskazuje na to, żeby Noa się tym przejmował.

Dziewczyna, której głos niepokojąco przypomina głos Pi, śmieje się razem z nim, jak gdyby to wszystko było szalenie zabawne.

Alban kładzie dłoń na moich trzęsących się palcach.

Stoi wyprostowany i błady i słucha tych dwóch dobrze sobie znanych głosów zniekształconych śmiechem i kiepską jakością nagrania.

Czy to jakiś tajny prywatny film z udziałem bliźniąt po wypaleniu trawki?

Wpatruję się w Noa i Pi, którzy stoją obok siebie z identycznym wyrazem zdumienia na twarzach.

„Okey, okey”, śmieje się Noa wyświetlany na ścianie. „Teraz musimy być poważni. To bardzo ważne!” Próbuje wyglądać poważnie, ale wywołuje to tylko śmiech jeszcze innych głosów wokół niego. „Nie, stop, *guys*”, Noa chrząka teatralnie i obiema rękami chwytając kamerę. Rozmytym spojrzeniem wpatruje się w obiektyw. „Posłuchajcie. Możliwe, że jestem troszeczkę pijany...”

„Bardzo!”, woła dziewczęcy głos.

„...troszeczkę pijany”, powtarza Noa, nie zwracając na nią uwagi, „ale wiercie mi...”, przerywa, by powstrzymać spontaniczny chichot, „...ten Józef to fajny gość. I Karl w gruncie rzeczy też. Choć bywa cholernie wkurzający. Ale o tym chyba wiecie, nie?”, uśmiecha się szeroko i pokazuje kamerze uniesiony kciuk. „*No. Over and out. Chce mi się sikać*”.

Obraz obraca się, jakby ktoś rzucił kamerę w powietrze, a potem nagle się zatrzymuje.

„Noa, ty głupku! Nie możesz sobie nią rzucać!”, woła Pi.

„Przestań, przecież ją złapałaś, *champ*67!”, wołał Noa gdzieś z daleka.

Kamera jeszcze raz wiruje w powietrzu, a potem obiektyw zatrzymuje się na twarzy okolonej krótkimi włosami, które na tym migającym nagraniu wyglądają na niemal czarne. Po obu stronach szeroko uśmiechniętych ust głębokie dołki żłobią piercingi.

„Heja!”, śmieje się Pi. „Tego się nie spodziewaliście, co?” Otwiera szeroko oczy i przyciska twarz do samego obiektywu, aż jej nos zostawia na szkle tłustą plamę. „Tylko poczekajcie”, mówi sztucznie głębokim głosem. „Będzie duuuużo gorzej!”

Jej słowa sprawiają, że wśród motyli trzepoczących skrzydełkami w moim brzuchu jak czarna smoła zaczyna bąbelkować strach. W ciągu kilku sekund wszystkie wielobarwne skrzydła splątały się w ciężką bryłę, która niemal zmusza mnie do przykłęknięcia.

Czy Noa i Pi od początku byli w to zamieszani? Czy od początku chodziło o to, żeby nas niepostrzeżenie zwabić w zasadzkę... z ich pomocą?

Ale wobec tego dlaczego Alban nas nie ostrzegł? I dlaczego nie robi nic teraz?

Bliźnięta patrzą na siebie, a potem na nas. Pi ma z przerażenia łzy w oczach.

– My nie... naprawdę nie mam pojęcia, skąd to się wzięło! – mówi Noa, podczas gdy Pi na ścianie dostaje kolejnego ataku śmiechu.

„Oookey, już nie nalewajcie mi whisky”, pijana Pi puszcza oko. „A może jednak. Przecież nie wolno jej zmarnować!” Odwraca głowę do kogoś po swojej prawej stronie. „Heeej! Chodźcie tu!”, wrzeszczy.

Odgłosy biegnących ludzi, więcej śmiechu i kamera znów się zatrzęsła.

„Ej! To ja ją trzymam!”, woła Pi. „To ja filmuję!”

W kadrze pojawia się jeszcze jedna twarz. Potargane włosy i zezujące oczy, które na białoczarnym filmie są szare.

Linus!

„Ale ja, ja tezzz chcem! Nic jej nie... nie zrobiem!”, bełkocze. Próbuje się uśmiechać, ale mięśnie twarzy nie całkiem chcą współpracować i wychodzi z tego tylko beknięcie.

Spoglądam na Linusa wciąż stojącego przy stole z dwiema Nokiami w dłoniach. Wygląda na tak samo sparaliżowanego jak ja.

„Heeeeeej!”, mówi przeciągle pijany Linus. „To tylko jaaaa”. Przekręca głowę na bok i na kilka sekund nieruchomieje, wpatrując się w obiektyw. „Nie wiem... kurczę... co ja mam powiedzieć...”, ociężałe mruga powiekami.

„Ale ja wiem!”, słychać jakiś piskliwy głos. Adriana! Przepycha głowę przed Linusa i w kadrze zaczynają dominować jej jasne loki. „Musisz tylko powiedzieć... beeeeee!”

Adriana stoi obok mnie przygwożdżona do podłogi, szaroczerwona na twarzy, z otwartymi ustami.

„Beeee! Uuuuuuh! Aaaaa!” mówi dalej jej sztywny od alkoholu sobowtór. „I co? Boicie się teraz?”, chichocze.

Pijany Linus popycha ją ramieniem i Adriana znika ze ściany.

„Chwila, chwila! Trzeba pokazać resztę...”. Linus wykęca kamerę, żeby sfilmować następną osobę.

W gardle gęstnieje mi płacz, gdy rozpoznaję Albana.

Siedzi na trawie ze skrzyżowanymi nogami, plecy wyprostowane, w ręce kubek od kawy.

„Alban, jesteś w filmie!”, woła pijana Adriana.

Alban usłyszał swoje imię i jego palce mocniej zaciskają się na moich.

Powinam mu opowiadać, co się dzieje, ale opowiadanie tego hippisowskiego filmu to ostatnia rzecz, na którą akurat w tej chwili jestem w stanie się zdobyć.

Alban na filmie z lekkim uśmiechem podnosi kubek w geście toastu.

„Zdrowie”, bierze łyk. Sądząc po jego kontrolowanych ruchach, w kubku jest coś w miarę nieszkodliwego.

„Zdrrrrowie, brasziszku!”, śmieje się Linus z drugiej strony kamery. „No, nie bądź zły!”

„Nie jestem zły”, mówi Alban. „Jestem tylko...”, nagle skrzywił się. Po sekundzie słyszemy odgłos ciężkiego „bum”, jakby ktoś upadł na trawnik.

„Auu, do ciężkiej cholery!”, woła Noa. „Kto do diabła postawił tu krzesło?”

„Uważajcie, żeby czegoś nie złamać”, zaniepokoił się Alban. Odwraca głowę w stronę miejsca, gdzie stoi Linus z kamerą. „Okey”, mówi dalej z powagą. „Wiem, że to jest ekstremalnie dziwne, ale on ma na imię Józef. I jest ojcem Karła. I musicie mu zaufać, bo może wam pomóc. Takie są... sprawy... o których nic nie wiecie. Niebezpieczne sprawy. Rozumiecie? Jest ważne, żeby...”, na Albana pada cień. „Nie, Emi!”, woła i rzuca się w bok w chwili, gdy ktoś w sutej letniej sukience w kwiaty wbiega w podskokach w kadr i przewraca się w miejscu, w którym przed chwilą siedział.

„Przytulantuuuus! Grupowy przytulantuuuus!”, woła, wymachując rękoma i nogami. Nikt nie reaguje, więc dziewczyna siada wyprostowana i nadąsana, krzyżując ramiona na piersi. „Czemu nie chcecie przytulantusa?”

Rozpoznaję w niej siebie i sklejoną bryłą smoły w moim brzuchu leci w dół przez przeponę.

– Co to jest? – szepcze tuż obok Alban. Ściska mi rękę tak mocno, że aż boli.

Przełykam ślinę. Jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. W ustach i w mózgu mam saharę.

– Na tym filmie – charczę – jesteśmy... my.

ROZDZIAŁ 50

Wpatruję się we własną skwaszoną twarz. Wypełnia większą część ściany, bo Linus zrobił zbliżenie.

„Chcesz powiedzieć coś do siebie szamej?”, słychać jego głos zza kamery.

Pijana Emi zezuje w obiektyw.

„Nie”, odburknęła. „Uważam, że wszyscy jesteście głupi. I uważam...”

Przerywa jej głośne wołanie gdzieś z daleka.

„Ktoś idzie!”, mówi Alban, który właśnie wstał z trawnika. „Linus, wyłącz to!”

Linus szamocze się z kamerą i po kilku sekundach z zamazanym trawnikiem na wizji znów oglądamy zieloną ścianę w kwiaty.

Po głośnym bełkocie pijaków i szumie projektora zapada ciężka cisza.

Wszystkie dudniące mi w głowie słowa kruszą się w ustach i przyklejają do języka.

– Posłuchajcie... wiem, że to jest... wiem, jak trudno wam to zrozumieć – odzywa się mężczyzna, który najwyraźniej ma na imię Józef i nie jest ani trochę martwy. – Ale podejźmy do tego ze spokojem. Na pewno chcielibyście zapytać o mnóstwo spraw. I ja na pewno...

Adriana wybucha histerycznym śmiechem.

– Więc pan twierdzi, że my... co? Odbywamy podróż w czasie?

Józef kiwa głową.

– Tak.

– Do 1969 roku? – Z Adrainy wylewa się jeszcze jedna fala śmiechu zmieszanego ze szlochem.

– Tak. Ale wróćcie do waszego czasu – uspokaja Józef. – Muszę wam tylko wytłumaczyć, jak.

– Okey, super! W takim razie wszystko w najlepszym porządku! – W jej chichocie pobrzmiewa piskliwy ton.

– Pan nam tylko musi wytłumaczyć, jak? Bo pan jest przecież ekspertem od podróży w czasie, ot tak, całkiem przypadkowo? – odzywa się Noa.

– Ja... to znaczy... nie, ja nie jestem ekspertem! – Józef wygląda na przestraszonego. – Ale zrobiłem doktorat z fizyki teoretycznej, więc trochę wiem na przykład o mechanice kwantowej i o teorii tuneli czasoprzestrzennych.

– Podróże w czasie? – wyjąkuje Linus. Trzęsącymi się rękami odkłada komórki na stół. – Tunele czasoprzestrzenne?

– Tak – mówi Józef. – Ale nie sądzicie, że znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Sami faktycznie sporo z tego rozwikłaliście. Razem z Karlem. Tak mi w każdym razie mówiliście.

– Mówiliście? Kiedy? – pytam.

– Jak wspomniałem na podwórzu... spotykaliśmy się już wcześniej. Tylko nie zdradziliście zbyt wiele na temat naszego pierwszego spotkania. To znaczy... dzisiejszego.

– Dlaczego nie? – Pi odrywa oczy od ściany, na której chwilę wcześniej szaleliśmy pijani. Oczy ma wciąż wilgotne i wielkie od szoku.

– Im więcej się wie o przyszłości, tym może być trudniej dawać z nią sobie radę. Nie mówiąc o tym, jak bardzo byśmy ryzykowali popełnieniem błędu, jeśli chodzi o kontinuum czasoprzestrzeni, gdybym wam teraz powiedział o czymś, o czym powinniście się dowiedzieć dopiero za jakiś czas, nieprędko.

Kontinuum czasoprzestrzeni! Czy nie tak powiedział?

Mniej więcej w tym momencie powinnam się obudzić spocona i odkryć, że to wszystko było tylko snem. Długim, dziwnym, przerażającym snem.

Ale moje ciało nie wierzy, że śnię. Rzeczywistość jest w tej chwili tak dobitnie wyrazista, że moje zmysły rejestrują wszystko silniej niż zazwyczaj.

Gęste powietrze w pokoju z posmakiem kurzu. Ból w stawach palców wciąż sztywnych z zimna. Promień słońca odbity w metalowej klamrze torebki, który sprawia, że muszę zmrużyć oczy. Kiełkujący ból głowy, który promieniuje z punktu tuż nad prawą brwią.

– Co dokładnie wydarzyło się na początku? – pyta Józef. – Mówiliście, że zostaliście... odurzeni?

– Byliśmy w szkole – mówi Noa. – Osaczały nas jakieś postaci i uciekliśmy do sali gimnastycznej. Ale nie widzieliśmy ich wyraźnie. Nie wiemy, kto nas odurzył. Tak czy owak, pan najwyraźniej nie jest jedyną osobą, która coś wie o tym dynksie. – Noa patrzy na torebkę wiszącą przy jego biodrze, jak gdyby była wysysającą krew pijawką.

– Nie. Są też inni.

– Kto? – pyta Noa.

Józef unika jego spojrzenia.

– Tego... nie mogę wam teraz zdradzić.

– Co, do cholery, chce pan przez to powiedzieć?

– Sami musicie do tego dojść. We właściwym momencie.

– A kto wobec tego decyduje o tym, kiedy jest właściwy moment? – Noa zaciska palce na pasku torebki.

– To już zostało postanowione. Przez was.

Adriana znów chichocze, piskliwie, maniakałnie.

– Niech nam pan przestanie wciskać ten pieprzony hippisowski kit! – jeży się Noa. – I proszę mówić tak, żeby można było coś z tego zrozumieć!

Łajka warczy i Józef chwyta za jej obrożę.

– Zamknę ją tylko w sypialni, żeby cię nie pożarła następnym razem, gdy podniesiesz głos. – Spojrzał wymownie na Noa i wyprowadza Łajkę do przedpokoju. Słyszę otwieranie i zamykanie drzwi. – Spokojnie, Łajka. Tata musi tylko trochę porozmawiać. Niedługo cię wypuszczę.

Łajka cicho popiskuje za zamkniętymi drzwiami, ale po chwili się uspokaja.

– Muszę tylko najpierw sprawdzić, ile mamy czasu – mówi Józef po powrocie. – Zwykle jest tak, że jeśli spędzacie tu godzinę, to nie ma was przez godzinę tam, skąd przybywacie. Ile czasu minęło, odkąd tu dotarliście?

– Do pańskiego domu czy do 1969 roku? – pyta Linus. Mówiąc to, kręci głową. – Ja wciąż nie mogę... To jest po prostu zbyt dziwne.

– Do 1969 roku. Gdzie się pojawiliście?

– Ocknęliśmy się w lesie – mówię. – I po prostu zaczęliśmy iść.

– To było może pół godziny albo godzinę temu – dodaje Pi. – Ale trudno mieć pewność.

– Czy ktoś widział, że zniknęliście ze szkoły? – pyta Józef. – Ktoś, kto może wszcząć alarm i zmartwić wasze rodziny, jeśli nie będzie was zbyt długo?

Potrząsam głową.

– Chyba nie. My w każdym razie nikogo nie widzieliśmy.

– Gdy spotkaliśmy się na podwórzu, zdawało mi się, że nie macie świadomości, że... no... podróżowaliście w czasie – mówi Józef. – Jak to możliwe? Co się wydarzyło, zanim tu wylądowaliście?

– To pan musi nam to wyjaśnić. – Noa otwiera klamerkę torebki i wyjmuje instrument. – Karl mówił, że ten dynks należał do pana. Co to jest do diabła? I dlaczego, do cholery, pasuje do tego moja zawieszka z Australii?

Józef kuli się.

– Ta historia z Australią to raczej... mmm... dłuższa opowieść. Pryzmat jest czymś w rodzaju klucza. Do tego. – Wskazuje głową na instrument. – I to urządzenie decyduje o tym, gdzie lądujecie, podróżując w czasie.

– Więc to jest coś w rodzaju... GPS-u? – pyta Linus.

– Czego? – Józef przekrzywia głowę.

– Coś jak... eee... jak kompas?

– Tak, można to tak nazwać – mówi Józef. – Kompas do nawigowania w czterech wymiarach.

Adriana reaguje mieszanką chichotu i parsknięcia.

– Dobra, ja wysiadam! Naprawdę gadacie, jakbyście wypalili największego dżointa świata. Dzwonię do domu! – Podchodzi do okna, przy którym stoi mały stolik, a na nim telefon z brązowego tworzywa, ze starodawną słuchawką podłączoną do długiego wijącego się kabla. Kładzie rękę na słuchawce, ale spostrzegając tarczę, cofa rękę.

– Czy to starocie w ogóle działa? – jeży się.

– Tak, działa świetnie – mówi Józef. Wygląda na zasmuconego. – Zresztą możesz spróbować.

Adriana podnosi słuchawkę, odwraca się do nas plecami i cyfra po cyfrze zaczyna wykręcać palcem numer.

Józef wzdycha i kręci głową.

– Jak możemy nawigować w czterech wymiarach? – pytam. – Czy nie istnieją tylko trzy? Wysokość, szerokość i długość?

– To są wymiary przestrzenne – odpowiada Józef. – Ale czas też jest wymiarem. Faktycznie niektórzy uważają, że istnieje aż jedenaście wymiarów.

– Kompas do podróży w czasie! – Linus patrzy na kompas i błyszczy mu oczy. – Super sprawa!

– Jest więcej wymiarów czasu niż jeden? – dziwi się Noa.

– Nie mogę wykluczyć, że istnieją inne sposoby podróżowania w czasie, o których nic nie wiemy – mówi Józef. – Ale o ile wiem, jest tylko jedna wersja właśnie tego sposobu. Choć gdyby przenieść się do czasu, w którym taki kompas już istnieje, to teoretycznie w tym samym miejscu mogą istnieć dwie wersje: młodsze i starsze wydanie.

Ciekawe, czy to samo dotyczy ludzi? Nie mam odwagi spytać. Myśl o tym, że mogłabym spotkać samą siebie, jest zwyczajnie zbyt szalona.

– Skąd wziął pan kompas do podróży w czasie? – pyta Alban. Ściska moją rękę, a między brwiami wyźłobiła mu się permanentna zmarszczka.

– Tę historię już wam wyjaśniłem – mówi Józef. – To znaczy wersja mnie z przeszłości wyjaśniła ją jakimś przyszłym wersjom was. I było jasne, że wcześniej jej nie słyszeliście, więc nie mogę teraz niestety więcej powiedzieć.

– A kiedy będzie pan mógł? – pyta Pi.

– Eee... wkrótce – odpowiada wymijająco Józef.

Opuszczam ramiona i spoglądam na Adrianę przyciskającą do ucha słuchawkę. Ponownie wykręca numer, nie patrząc na nas.

– Dlaczego trzyma pan komórkę Linusa? – pyta Noa.

Patrzy na Linusa, nie na Józefa.

– Bo zapytałem, czy mogę ją dostać – mówi Józef. – Zawsze interesowały mnie technologie przyszłości. Zdaniem Linusa jego komórka jest w waszym czasie reliktem przeszłości, ale dla mnie jest po prostu... fascynująca. Dostałem pozwolenie na pobawienie się nią pod warunkiem, że nikomu jej nie pokażę.

– Zabawne, że właśnie ty zostawiłeś coś w przeszłości. – Noa nadal patrzy na Linusa. Chłodny ton świadczy o tym, że cała ta sprawa w żadnym razie nie jest zabawna.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Linus.

Noa nie odpowiada. Zamiast tego skrobie pomalowanym na czarno paznokciem po metalowym rogu zagłębienia, w które wpasowuje się pryzmat. Po kilku próbach poluzował się jakiś mały dekielek.

– Proszę – mówi bezbarwnie, podając kompas Linusowi – przeczytaj, co tu jest napisane.

Linus spogląda na niego zaniepokojony i bierze kompas.

– Są jakieś litery. Ale bardzo małe... – Podnosi kompas do światła, żeby lepiej widzieć zagłębienie. – Co? – szepcze. – No nie! – Patrzy przerażony na Noa. – Jak to?!

– Co się dzieje? – pyta Alban.

– Nie wiem. Chodź. – Pociągam go do Noa i Linusa.

Pi i Józef zaglądną Linusowi przez ramię.

– Co tam jest napisane? – Skupiam uwagę na kompasie w jego ręce.

– Moje imię – szepcze.

– Linus? – pytam. – Chyba nie tylko ty masz tak na imię...

– Jest też moje nazwisko.

– Co? – Pochyłam się, żeby odczytać delikatny jak pajęczna nić napis, wygrawerowany w zagłębieniu.

Linus Jakobsen

– Dlaczego twoje nazwisko miałyby być wygrawerowane na takim kompasie? – pytam.

Linus powoli kręci głową.

– Pas – szepcze.

– Wie pan coś na ten temat? – pyta Noa.

– Wciąż nad tym pracujemy – odpowiada Józef.

– My? To znaczy my i pan? – Pi drapie się w pomarańczowoczerwone dredy.

– Między innymi. – Józef unika jej spojrzenia i poprawia leżące na stole dwie szydełkowe serwetki pod talerze.

– Czy to o tym chciałeś z nami rozmawiać w szkole, Noa? Że na instrumencie jest nazwisko Linusa?

– Tak. Odkryłem to dziś rano po powrocie do domu. – Noa patrzy na Linusa, który nie odrywa oczu od tajemniczego napisu.

– Coś jest nie tak z pana telefonem – odzywa się Adriana spod okna. – Nie mogę się połączyć z żadnym z numerów, na które dzwonię! – Trzasnęła słuchawką w widełki. – Chciałabym wreszcie wrócić do domu! Dostyc mam tych waszych bredni!

– Wiem. – Józef patrzy na nią ze współczuciem. – Jeśli odwiozę cię do domu samochodem,

uwierzysz mi, że to nie brednie?

– Z panem na pewno nigdzie nie pojedę!

– To jaki masz pomysł, skoro padły wszystkie telefony? – pyta Noa. – Chcesz się telepać pieszo całą drogę z powrotem do miasta?

Adriana spogląda na niego nienawistnie, ale nic nie mówi.

Józef patrzy na resztę naszej grupki.

– Ile mamy czasu, zanim zasną was szukać? W waszym czasie.

– Ja, żeby zrobić obiad, muszę być w domu najpóźniej o czwartej – mówię głupio. Jakbyśmy wciąż znajdowali się w świecie, w którym ktoś zajmuje się robieniem sosów i planowaniem obiadów.

Bliźnięta z nikim się nie umawiały, a ich mama jest w Australii.

Alban mówi, że gdy wybiegli z Linusen z domu, Sandra jeszcze nie wróciła ze sklepu.

– Ale pewnie nie minie dużo czasu i zaczniesz się głowić – dodaje.

– Jedziemy – mówi Józef zdecydowanie i bierze klucz z wiszącej przy drzwiach ręcznie malowanej tablicy na klucze.

– Coś wam pokażę.

Tłuczemy się zwirową drogą prowadzącą od domu Karla i Józefa. Są na niej dwie szerokie koleiny, a pośrodku wysoki pas ziemi, który drapie w zawieszenie kremowego, nękanego rdzą, przasnego volkswagena Józefa. Adriana głośno marudziła, że nie ma pasów bezpieczeństwa, ale potem wreszcie upchnęliśmy się w tym minibusie o obłych kształtach.

Łajka leży przy siedzeniu Linusa i macha ogonem, uszczęśliwiona, że znowu są razem.

– Dokąd jedziemy? – pyta Alban. Pożyczył starą kurtkę zimową Józefa, granatową, na łokciach przetartą niemal na wylot.

– Do miasta – mówi Józef i z metalicznym zgrzytem zmienia bieg. – Najpierw pojedziemy do domu Adriany.

– Mieszkam na Aurikelvænget cztery. – Adriana usiłuje przywiązać się do siedzenia za pomocą swojej kurtki. – I proszę pojechać prosto pod ten adres!

– Tak jest – odpowiada Józef i na końcu polnej drogi włącza migacz w prawo.

Gdy spostrzegam, że nie ma przystanku autobusowego, wpijam się paznokciami w siedzenie. W głębi duszy wciąż mam nadzieję, że Józef gra komedię. Że to wszystko jest tylko ekstremalnym wydaniem „Ukrytej kamery” czy czegoś podobnego.

Nadzieja niestety znika w miarę, jak zbliżamy się do miasta. Wzdłuż drogi jest więcej drzew, ale pejzaż nadal wydaje się niepokojąco znany. Gdy mijamy granice miasta, palce bolą mnie od kurczowego trzymania się siedzenia.

Brakuje bardzo wielu domów. W miejscu nowo wybudowanej dzielnicy domków jednorodzinnych koło przedszkola widać tylko porośłą zwiędłą trawą łąkę. Ale jest kościół i pokryty strzechą dom obok starej mleczarni. Tyle że mleczarnia nie jest jeszcze stara, jest pomalowana na jasny, niebieski kolor, a nad drzwiami wisi szyld z ozdobnie namalowanym napisem „Produkty mleczne Madsena”.

Brugsen to jak w naszym czasie sklep, a nieliczne samochody, które widzimy, mają takie same miękkie linie, jak nasz przasnny volkswagen. Przechodnie kulący się na mrozie kojarzą mi się ze zdjęciami ze starego albumu fotograficznego babci. Dzwony, buty z cholewami, fryzury na pazia.

Nadzieja znika. Świadomość sytuacji zaciska się na płucach jak żelazny pierścień.

To moje miasto, ale nie mój czas.

Adriana zupełnie zapomniała o pasach bezpieczeństwa i gapi się przez okno na budynek, który za wiele lat będzie naszą szkołą.

Zbudowano go w 1949 roku, więc na czerwonych dachówkach jeszcze nie ma mchu, a bukowy żywopłot przed parkingiem to zaledwie małe krzewki. Na pełnym uczniów szkolnym podwórzu nie widać puchowych kurtek ani workowatych spodni, jest za to mnóstwo anoraków, ogrodniczek i islandzkich swetrów. Przed szkołą jeszcze nie ma pasów dla przechodniów.

Odwracam się, żeby znaleźć budynek, w którym mieszkają Linus i Alban. Drewniany szkielet otoczony rusztowaniami i kilka wysokich stosów żółtych cegieł mówią mi, że jest w trakcie budowy.

– Nie do wiary! – szepcze Linus. – Wszystko jest inne! A mimo to da się rozpoznać. – Wyciąga rękę za okno i ostrożnie przykłada dłoń do bocznej szyby. Gdy się poruszył, rękaw brązowej kurtki Karla, którą z trudem dopiął, jeszcze bardziej się na nim opina.

Adriana tak mocno zagryzła dolną wargę, że między zębami pokazują się czerwone kropelki.

Mijamy centrum miasta i dojeżdżamy do Aurikelvænget. Józef zatrzymuje się pod numerem czwartym. Wykusze są takie, jak je zapamiętałam i ta sama kuta furtka, ale czarne dachówki pokrywające tę bogatą willę są matowe i szerokie, nie wąskie i lśniące, jak te na domu Adriany. Zamiast bukszpanów, przedogródek wypełniają kunsztownie urządzone rabaty z wysokimi skalniakami.

Adriana nie mówi ani słowa. Ani razu nie mrugnęła, tylko patrzy i patrzy na biały dom.

Nagle otworzyły się drzwi i pojawiła się mała dziewczynka w lakierkach i wełnianym płaszczyku w kształcie litery A razem z wysokim mężczyzną w kapeluszu.

– Chodź już, tato! – woła, biegnąc ścieżką.

Spod zrobionej na drutach czapeczki uwolniło się kilka długich, jasnych loków.

– Nie biegaj, Amando! – Mężczyzna zamyka drzwi na klucz. – Wiesz, jaka rozczarowana będzie mama, jeśli podrapiesz nowe buciki!

Dziewczynka zachnęła się na słowa ojca, ale zmniejsza tempo.

Gdy dobiegła do furtki, przyciska twarz do polakierowanego na czarno metalu i wybałusza na nas oczy. Wpatrująca się w nas buzia jest podobna do twarzy, którą pamiętam z naszych szkolnych fotografii z młodszymi klasami.

Jej ojciec uprzejmie się uśmiecha. Uchylił kapelusza, żeby pozdrowić siedzącego za kierownicą Józefa, a potem bierze córkę za rękę i odchodzą chodnikiem.

Amada. Słyszę to imię niedawno, tego wieczoru gdy mama westchnęła, opowiadając, jak dominująca była mama Adriany na ostatniej wywiadówce.

Po kilku krokach dziewczynka odwraca się do nas i pokazuje Adrianie język. Adriana wciąż siedzi obok mnie sztywna i milcząca, ale różowy języczek budzi ją z odrętwienia.

– Chcę już do domu – mówi słabym głosem.

Józef bez słowa zawraca auto i ruszamy tą samą drogą, którą przyjechaliśmy.

ROZDZIAŁ 51

– Okey, więc tych pięć tarcz po lewej stronie pryzmatu nastawia sekundy, minuty, godziny, dni i miesiące? – pyta Linus.

Jesteśmy znowu w dwukolorowym salonie. Józef stoi z kompasem w rękach i tłumaczy, jak mamy się nim posługiwać.

Adriana wyszła do ogrodu, biała na twarzy jak kreda. Nastawianie kompasu przed podróżą w czasie wyraźnie przekracza granicę tego, co może w tej chwili zrozumieć.

– Tak, tych pięć tarcz służy do ustawiania czasu od sekund po miesiące – potwierdza Józef. – To dlatego można na nich nastawiać dwucyfrowe liczby. Tych pięć na prawo od pryzmatu służy do nastawiania roku.

– A rok można najwyraźniej ustawić tylko z pięciu cyfr – konstatuje Linus.

Gdy słyszę, w jakim kontekście używa słowa „tylko”, występuje na mnie zimny pot. Uważam, że samo to, że w ogóle można przeskakiwać w czasie, już jest wystarczająco niepojęte.

– Możemy podróżować w czasie do przodu i do tyłu? – pyta Pi. – To znaczy, czy możemy pojechać w przyszłość dalej niż do naszego czasu?

– Tak, możecie. Ale... nie powinniście tego robić, chyba że byłoby to absolutnie konieczne.

– Kto twierdzi, że nie powinniśmy? – stroszy się Noa.

– Eee... nikt, jak sądzę. Ale ja sam bałbym się poznać swoje przeznaczenie.

– Tak, pan może by się bał. – Noa odwraca od niego demonstracyjnie oczy. – Ale ja, jeśli będę miał możliwość wyczajenia jakichś liczb w lotto, nie będę się bał szurnąć na wycieczkę w przyszłość!

– To nie jest aż takie proste, Noa. – Józef opuścił niżej ręce trzymające kompas. – Z podróży w czasie nie można korzystać dla prywatnych celów.

– A gdybyśmy się do tego nie zastosowali, to zatrzyma nas policja od podróży w czasie, tak? – pyta zaczepnie Noa.

– Nie, ale musicie być zgodni co do tego, dokąd się wybieracie. Podróżowanie w czasie na własną rękę nie jest możliwe.

– Co? Dlaczego nie?

– Żeby aktywować kompas, musicie się zebrać całą szóstką.

– Serio? Po diabła taka kretyńska zasada? – oburza się Noa.

– Być może po to, żeby nie dopuścić do tego, żeby tacy ego-idioci jak ty szlajali się w czasie, jak popadnie. – Pi kręci głową, patrząc na brata, a potem zwraca się do Józefa: – A gdy już nastawimy minuty i to wszystko, to co robimy dalej?

– Gdy już będzie nastawiony czas, musicie nastawić miejsce. – Józef wskazuje na białą-czarną mapę świata pod wypukłym szkiełkiem. – Mapą można manipulować, wkładając pryzmat odwrotnie.

Odruchowo robię krok w tył i zaciskam palce na zabliznionych dłoniach.

– A czy to jest bezpieczne?

– Tak, jak długo tylna strona pryzmatu jest odwrócona do góry, aktywuje się tylko mapa. Kto

z was go ma?

– Ja. – Pi odpina suwak kieszeni kurtki i z wahaniem podaje Józefowi trójkątną bryłkę szkła.

– Dobrze. – Józef trzyma pryzmat pomiędzy nami w uniesionej dłoni. – Ta metalowa ramka nie obejmuje całego szkiełka na tylnej stronie. Łatwo ją odróżnić od przedniej. Spójrzcie. – Józef odkłada kompas na stół, żeby mieć obie ręce wolne do manipulowania pryzmatem. – Ramka nie przylega sztywno. Szkło może w niej rotować.

– Dlaczego? – pyta Linus, gdy Józef obraca szkiełko i metal w przeciwnych kierunkach.

– Żeby ustawić kierunek waszej podróży. Do przodu albo do tyłu. – Józef wskazuje na jeden z narożników szklanego trójkąta, teraz uwolnionego od ramki. – Zwróćcie uwagę na te oznaczenia.

Pochylam się do przodu. W lśniącym szkłe są trzy maleńkie wypukłości.

– To przypomina pismo punktowe – zauważam.

– Masz rację. – Józef się uśmiecha. – Każdy narożnik ma takie kropki. Jedna oznacza „z powrotem”, czyli do przeszłości. Trzy oznaczają „do przodu”, czyli w przyszłość. Gdy na koniec włożycie pryzmat do kompasu, ustawienie, które wybieriecie, musi wskazywać na mapę.

– A co oznaczają dwie kropki? – pytam.

– Dojdziemy do tego. Najpierw musicie się nauczyć, jak nastawiać kierunek. – Józef bierze ze stołu kompas i wciska w niego pryzmat dolną stroną do góry.

Napinam brzuch, ale nic się nie dzieje.

– Ta mapa jest przecież o wiele za mała, żeby można było... O! – Pi przerywa, gdy Józef postukał po szkiełku. Kontynenty rozpływają się na boki, tak jak wtedy, gdy się zoomuje na Google Earth.

Józef zoomuje tak długo, aż czarno-białą wersję Danii zastąpił szczegółowy, bezbarwny fragment naszej okolicy.

– Teraz jesteście tu. To mój dom. – Józef wskazuje na mały czworobok na mapie i dalej zoomuje. Czworobok zmienia się w plan domu, w którym się znajdujemy: przedpokój, salon, kuchnia i trzy inne pokoje. Nawet meble są pokazane z aptekarską dokładnością. Kontury różnych form leciutko falują, jak gdyby czarna zawartość szklanej kuli była w ciągłym ruchu.

– Nie rejestruje ludzi i zwierząt? – pytam. Na mikroskopijnej podłodze salonu w kompasie widać tylko krzesła, stoły i regały. Nic nie zdradza faktu, że znajduje się tam sześć osób i pies.

– Nie, niestety – mówi Józef. – Kompas nie rejestruje żywych organizmów. Możecie więc wybierać się tylko w miejsca, o których na sto procent wiecie, że nikogo w nich nie ma.

– Dlaczego? Czy powstaje przy tym hałas? – pytam. – A może to jest niebezpieczne dla innych, gdyby znaleźli się zbyt blisko? Jaki dystans powinniśmy zachować, żeby było bezpiecznie? – Mój mózg jest nieprzyjemnie blisko temperatury wrzenia. Może dalej funkcjonować tylko pod warunkiem, że będę go zajmować sprawami praktycznymi.

– Wiele razy widziałem, jak podróżowaliście, i jeśli nie liczyć świateł, to nie wiązały się z tym jakieś szczególne perturbacje – mówi Józef. – Powstaje jakby ssanie w powietrzu, na krótką chwilę zanika dźwięk, ale jeśli się nie wie, że to z powodu podróży w czasie, to się człowiek specjalnie nad tym nie zastanawia. Ale hałas może powstać, jeśli wracając, upadniecie. Zazwyczaj unikacie tego, siedząc albo leżąc i biorąc się za ręce przed aktywowaniem kompasu.

– Biorąc się za ręce? – Noa ma sceptyczny wyraz twarzy. – Czy to konieczne?

– W przeciwnym razie kompas nie zadziała – mówi Józef. – Kiedy chcecie wyruszyć, musicie wziąć się za ręce w takiej kolejności, w jakiej załamuje się światło.

– A co to znowu za cholerstwo? – pyta Noa.

– Musicie się ustawić w odpowiedniej kolejności kolorów – tłumaczy Józef. – Jak w tęczy. Fiolet, indygo, niebieski, zielony...

– ... żółty, pomarańczowy, czerwony – kończę. Mam zakodowaną w korze mózgowej podstawową wiedzę o kolorach.

Ale gdzie logiczne połączenie między tęczami a podróżami w czasie?

– Indygo? Co to jest? – dziwi się Pi.

– To ty – mówi Józef. – Kolor, jakim świecą twoje ręce. Indygo jest nie całkiem tak fioletowe jak fiolet i nie całkiem tak granatowe, jak... mmm... granat.

– Myślałam, że granat to po prostu granat. – Pi patrzy na swoje palce.

– Spektrum jest nieskończone – dodaje Józef. – Istnieje więcej kolorów niż słów na ich opisanie i granice między nimi są płynne. Ale powiedzmy, że ty jesteś indygo, bo musisz stać między Emi, która jest fioletem i Na... eee... Noa! Noa... który jest... eee... zielonym. – Józef nagle wydaje się zmieszany, jak gdyby powiedział coś nie tak.

– Więc nie ma zwyczajnego błękitu? – pytam. – Indygo przechodzi bezpośrednio w zielen? Przecież to nie ma sensu.

– Ależ tak, to ma głęboki sen. Pamiętaj, płynne granice. Nie da się stwierdzić, gdzie kończy się jeden kolor, a zaczyna drugi.

– Skąd ma pan pewność, że Pi jest indygo, a nie granatem? – pytam.

– No... prawdę mówiąc, nie mam pewności – mówi Józef szybko, unikając mojego wzroku. – Ale tak naprawdę nie musicie się tym dzisiaj martwić. Na wszystkie odpowiedzi przyjdzie czas... a czasu właśnie teraz nie mamy za dużo. Na początek najważniejsze rzeczy, dobrze?

– Dlaczego mamy się brać za ręce? – pyta Noa. – Czy to ma coś wspólnego z naszymi bliźniami?

– Tak! – Zdaje się, że zmiana tematu przynosi Józefowi ulgę. – Kompas tworzy bardzo silną energię, ale nie da się go aktywować bez pryzmatu. Jeśli odpowiednio go umieścicie w kompasie, energia będzie miała wolny obieg, a wy zostaniecie przyciągnięci do siebie. Ta energia jest tak silna, że przepala skórę, gdy ma się z nią kontakt po raz pierwszy. – Józef wskazuje głową na bandaż na naszych dłoniach.

– Jaka to energia? – Na czoło Albana wróciła zmarszczka. – Czy to jakiś rodzaj prądu, skoro powoduje oparzenia?

Józef pociera brodę.

– Nie jestem pewien. Ale pracuję nad różnymi teoriami. To jeszcze jedna rzecz, o której więcej pomówimy później. To znaczy później dla was – dodaje zakłopotany.

– Jest niebezpieczna? – pytam.

– Sam kompas, poza tym, że zostaliście zranieni przy pierwszej aktywacji, nie jest niebezpieczny. Przynajmniej, o ile ja wiem.

– Sam kompas nie jest niebezpieczny... ale podróże w czasie tak? – Zmarszczka między brwiami Albana pogłębia się.

Józef patrzy na instrument, który trzyma w rękach i długo nic nie mówi.

– To znaczy... – chrząka – same podróże nie są niebezpieczne. Mogą być troszkę nieprzyjemne... – jego spojrzenie wędruje między Linusem i Albanem, którzy stoją obok siebie – ... ale jak dotąd, same w sobie nie były niebezpieczne. – Józef stuka kciukami w złocisty metal. – Ale jak mówi Alban na filmie, są inne sprawy, którymi można się martwić. Siły, które mogą was... unicestwić.

– Jakie siły? – pytam słabym głosem.

– Pozwólcie, że zacznę od pytania. Dlaczego jesteście tacy pewni, że zanim tu dotarliście, zostaliście odurzeni?

– Alban nas ostrzegł, że ktoś nas ściga – odpowiada Noa. – Zaczęliśmy mieć halucynacje i straciliśmy kontakt z rzeczywistością. To musiał być jakiś gaz.

– Czy wasze dłonie przedtem świeciły? – pyta Józef. – To znaczy zanim pryzmat został włożony do kompasu.

– Tak – odpowiadam. – W sześciu różnych kolorach.

– I dźwięki wokół was znikły. – Józef przytrzymuje moje spojrzenie. – I wszystkie proste linie zaczęły się rozpląwać? I zapadła wokół was ciemność na długo, zanim zemdleliście?

– Tak – wyszeptałam. – Co... co to znaczy?

– To znaczy, że waszemu życiu zagraża niebezpieczeństwo.

– Naszemu życiu zagraża niebezpieczeństwo? Dlaczego? – pyta Alban.

– To nie były halucynacje. To była rzeczywistość – mówi Józef. – A dokładniej, rzeczywistość powykręcana. Czas i przestrzeń pozbawiane formy. To, co was ścigało, nie pochodziło od ludzi.

– To co to było? – Głos niemal nie chce mi się przecisnąć przez zęby.

– Nazywamy to *horror vacui*.

– Lęk przed pustą przestrzenią? – pytam.

– Tak, dokładnie – mówi Józef. – Bo *horror vacui* to właśnie to. Pustka i strach.

Nigdy jeszcze wyrażenie z dziedziny sztuk plastycznych nie miało tyle sensu.

Nagle przed oczami staje mi stara kobieta z deptaku.

„Nadchodzi! Nadchodzi teraz! I to wasza wina!”

Linus szeroko otwiera oczy. Jestem pewna, że wewnętrznym wzrokiem ogląda to samo wideo z deptaku.

„Znajdzie was. Nic nie możecie zrobić. Znajdzie was!”

Zaczynam drzeć, spoglądam na swoje dłonie, wciąż częściowo zakryte bandażem. Poza wyraźną żyłą biegnącą wzdłuż kciuka nie ma na nich śladu fioletu.

Bliźnięta też wystraszonym wzrokiem obserwują swoje dłonie, a Alban pociera je o siebie, chyba po to, by się upewnić, że nie są cieplejsze niż zazwyczaj.

– Gdy to się stanie – mówi dalej Józef – gdy wasze ręce zaczną świecić bez aktywacji kompasu, musicie uciekać. Tak szybko, jak to tylko możliwe. I nie pomoże bieg. Jedynym sposobem na ucieczkę od *horror vacui* jest podróż w czasie.

– Co to jest, do diabła, ten *horror vacui*? – Noa rozgląda się po małym salonie, jak gdyby wypełniały go czające się cienie. – Z czego to jest zbudowane?

– Nie wiem – przyznaje Józef. – Nazwaliśmy to tak z braku lepszej nazwy. Ze względu na nieopisany strach, który wywołuje. Ale nie udało mi się dojść do tego, co się składa na te siły ani co je wywołuje. Mam nadzieję, że Karl będzie mógł wam w tym pomóc. W waszym czasie nauka jest bardziej rozwinięta.

– Ale dlaczego *horror vacui* jest niebezpieczny? Co może zrobić? – pyta Pi. – Co jeszcze poza tym, że zmienia wszystko w... mrok i ciszę?

– Właśnie to – mówi Józef z powagą. – Ale to wystarczy. Wydaje się, że *horror vacui* ma jakąś formę pola grawitacji, która wsysa w siebie masę. Światło i dźwięk, i przestrzeń, i czas. Innymi słowy, życie. – Józef patrzy na każde z nas po kolei. – Rozumiecie, co mówię?

– Ani słowa. Ale zakonotowaliśmy, że jeśli zaczną nam świecić ręce, musimy zbierać dupy w troki. *Got it!*⁶⁸ – Noa usiłuje przybrać typową dla siebie pozę hardcorowej obojętności, choć

nie całkiem mu się to udaje.

– Dobrze byłoby mieć kompas nastawiony na bezpieczne miejsce ucieczki, zawsze gdy przybędziecie do nowego czasu – mówi Józef. – Także gdy jesteście w waszym własnym czasie. Musicie przez cały czas mieć możliwość szybkiej ucieczki. Oznacza to, że nigdy nie możecie być daleko od siebie. Na pewno pamiętacie, co mówiłem. Żeby aktywować kompas, musicie być razem, całą szóstką.

– To mamy założyć komunę, czy jak? – Z Noa emanuje wstręt.

– Nie, bynajmniej. Ale żadnych długich samotnych podróży. Może was dzielić najwyżej kilka kilometrów. *Horror vacui* może powstać nagle. Nie będąc razem, jesteście skazani na śmierć.

Słowa Józefa zatrząskują mi na kostkach ciężkie, niewidzialne łańcuchy. Jestem wprowadzicie zawsze razem z Albanem i Linusem... ale być fizycznie związaną z Adrianą i bliźniętami? Trzymać się blisko Noa dwadzieścia cztery godziny na dobę przez resztę życia? To ostatnie wydaje się dużo mniej pociągające, niż mogłoby brzmieć kilka dni temu.

– Ale... co robią inni, którzy nie mają takiego kompasu jak my? – pyta Alban. – Jak się ucieka, jeśli nie można podróżować w czasie?

– Wtedy... nie można uciec – mówi Józef cicho. – Ale *horror vacui* bardzo rzadko atakuje zwykłych ludzi. Najwyraźniej wy jesteście szczególnie atrakcyjni. Jestem prawie pewien, że to ma coś wspólnego z kompasem. Energia, którą wytwarza, i którą jakoś wam przekazał, być może działa na *horror vacui* jak magnes.

– *Shit*, ale *freaky*⁶⁹ – szepcze Pi.

Okey. Więc moje przeszukiwanie pudła u Karla nie tylko sprawiło, że nasze życie totalnie eksplodowało i że możemy podróżować w czasie i robić dziwne rzeczy... zważyło nam też na kark mrowie wysysających życie istot mroku. Po prostu super, Emi!

– Wszystko to prowadzi mnie z powrotem do pryzmatu i do kropek na jego narożnikach. Jedna to przeszłość, trzy przyszłość. – Józef wyjmując pryzmat z kompasu i znów go przekręca, by go uwolnić z metalowej ramki. – Te dwie kropki to jakby ustawienie drogi powrotnej. Możecie z niego korzystać, jeśli z jakiegoś powodu nie zdążycie ustawić kompasu, a pojawi się *horror vacui*.

– I co się będzie działo, jeśli wybierzemy drogę powrotną? – Linus wpatruje się w dwie małe wypukłości na szkiełku.

– O tym... o tym nic nie mówiliście. Więc korzystałbym z tego tylko w sytuacji wyższej konieczności.

– A więc korzystaliśmy już z tej opcji? – Na myśl, dlaczego to było konieczne, dostaję gęsiej skórki.

– Tak zakładam. Ale nie znam szczegółów. Może Karl będzie wam mógł pomóc to odtworzyć, gdy wrócicie?

– Karl jest astrofizykiem. Co on wie o kompasach do podróży w czasie? – pytam.

– Astrofizykiem?! – Józef gwizdnął, wiadomość zrobiła na nim wrażenie. – To ci dopiero!

– Eee... to pan o tym nie wiedział? – Pod moimi zimnymi policzkami rozlewa się ciepło.

– Nie, zazwyczaj nie zdradzacie niczego o... naszej przyszłości. Ale wy przecież nic nie wiecie o „zazwyczaj”. – Józef patrzy na mnie smutnymi oczami.

Spoliczkowałam się w duszy za zdradzenie temu biednemu człowiekowi, że w naszym czasie już nie żyje.

Józef chrząka.

– Skoro Karl jest astrofizykiem, wasza sytuacja wyjściowa jest lepsza, niż mogłem mieć

nadzieję. Wiele zależy oczywiście od tego, jaka jest jego specjalność, ale wszyscy astrofizycy wiedzą coś o mechanice kwantowej. A mechanika kwantowa to ważna część większości teorii o podróżach w czasie.

– Tylko po jaką cholerę Karl miałby nam pomagać? – pyta Noa. – Już próbowaliśmy go przekonać o tym, że kompas coś z nami zrobił, ale jemu tylko totalnie odpaliło, bo Pi ...

– O tym nie musimy teraz rozmawiać – przerywa mu Pi.

Józef dziwnie spojrział na bliźnięta, ale nie dopytuje się o szczegóły.

– Tak naprawdę to mam plan, jak możecie go przekonać – mówi. – A raczej, jak my go przekonamy. Niektóre rzeczy już dla was przygotowałem, muszę je jeszcze tylko zapakować. Wszystko jest w moim obserwatorium.

– W obserwatorium? Przecież jeszcze go pan nie zbudował! – mówię.

– Nie, duże obserwatorium nie jest jeszcze gotowe. Ale mam nadzieję, że uda mi się zbudować je latem.

Dziwne. Zdawało mi się, że Karl mówił, że sam je zbudował. Może Józef jest typem, który rozpoczyna mnóstwo projektów, ale nigdy niczego nie kończy?

– Moje obecne obserwatorium jest w ogrodzie – mówi. – Chodźcie ze mną, to je zobaczycie.

ROZDZIAŁ 52

Józef wyprowadza nas przez przedpokój, drzwi wejściowe i w dół po schodkach. Po tym jak stałam w salonie, pocąc się w kurtce, powietrze zdaje się nieprzyjemnie zimne.

Gdy minęliśmy róg domu, spostrzegam szopkę zbudowaną z grubych, oślizłych od wodorostów desek. Stoi w kącie ogrodu, a nad nią chyli się ogromny, bezlistny kasztanowiec.

Adriana stoi tuż przy sękatym pniu, ale go nie dotyka. Gdyby nie białe obłoki wydychanego powietrza, mogłaby się zdawać odlana z wosku. Twarz ma zupełnie pozbawioną wyrazu, jak gdyby trwała w letargu, a gdy się zbliżamy, nie reaguje.

– Dajesz sobie radę, Adriana? – Ostrożnie kładę jej rękę na ramieniu.

Patrzy na mnie martwymi oczami. Nie otworzyła ust, odkąd wyjechaliśmy z Aurikelvænget.

Józef chrząknął i wskazuje na szopkę.

– To jest właśnie moje obserwatorium. Wstawiłem szybę w dachu naszej starej szopki na narzędzia, ale z tym drzewem widok jest kiepski. Jak tylko minie mróz, będę dalej budował nowe obserwatorium. – Wskazał głową na rozrzucone po ogrodzie materiały budowlane. – Nie będzie oczywiście bardzo duże. Poza tym prawdziwe obserwatorium powinno mieć tylko małą szparę w dachu, żeby nie wpuszczać zbyt dużo światła, które przeszkadza. Ale ja zaprojektowałem moje ze szklanym dachem, jak cieplarnię. Zawsze marzyłem o tym, żeby leżeć przez całą noc, patrzeć na gwiazdy i nie musieć się martwić pogodą.

– Czemu po prostu nie zetnie pan tego drzewa? – Noa patrzy w górę na nagie gałęzie.

Józef otwiera zardzewiałą kłódkę na drzwiach szopki–obserwatorium.

– Rozważałem to, ale za każdym razem, gdy zbliżam się do niego z siekierą, jednak nie mam serca. Jest w nim jakiś majestat. Poza tym Karl jest przekonany, że ono czuwa nad nami, gdy śpimy. Od śmierci mamy trzy lata temu dużo mówi o takich rzeczach.

Józef pchnął drzwi zawieszane na skrzypiących zawiasach. Linus, Alban i bliźnięta wchodzą za nim.

– Wejdiesz z nami? – ściskam ramię Adriany.

Nie odpowiada.

– Chodź. – Próbuję się uśmiechnąć i biorę ją za rękę. Jak gdybym po prostu pytała, czy pójdzie ze mną do Brugsena kupić coś słodkiego. Jak gdyby to w ogóle nie było coś, czego się trzeba bać.

Gdy nasze zimne palce się spotkały, wzdrygnęła się i na moment znieruchomiała, jakby jej ciało szykowało się do ucieczki. Ale nie protestuje, gdy powoli wprowadzam ją do szopki.

Dziwne uczucie, tak ją ciągnąć.

Normalnie to ona wszystkimi zamiata. Próbuję nie zastanawiać się za dużo nad przyczyną tego, że role się pozamieniały. Kto wie, może sama uniknę szoku, jeśli będę wystarczająco mocno się koncentrować na pomaganiu jej.

Gdy stanęliśmy w drzwiach szopki, nadal trzymam ją za rękę.

Józef stoi między dwiema lunetami na statywach o cienkich nogach i wkłada coś do puszek po ciastkach.

Wspinam się na palce, żeby zajrzeć mu przez ramię.

Na dnie puszkki leży niewielka książka zapakowana w wiele warstw folii. Jest tam też czerwona metalowa zabawka-samochodzik.

Puszka stoi na wąskim stole przykrytym mapą nieba i starymi gazetami, które szeleszczą, gdy Józef wykonuje jakiś ruch. Czcionki i layout były wtedy, w latach sześćdziesiątych, bardziej stonowane niż w gazetach naszego czasu, a zdjęcia czarno-białe, nieostre. Jedno z nich zapełnia niemal całą tytułową stronę. Przedstawia kobietę o jasnych, wysoko upiętych włosach. Poniżej jej twarzy widać jakieś napisane długopisem notatki, ale z tej odległości nie mogę ich odczytać. Część z nich przypomina liczby. Być może to jakieś zaszyfrowane wzory fizyczne.

– Ulubiony samochód Karla. – Józef stuka palcem wskazującym w czerwony samochodzik. – Będzie mu go brakowało, ale mam nadzieję, że przyczyni się do tego, że go przekonacie. Książka zawiera notatki, które powinien przeczytać. – Józef zdejmuje z półki okrągłe płaskie metalowe pudełko i kładzie je na książce i samochodziku.

– Co to? – pyta Pi.

– Rolka ośmiomilimetrowej taśmy filmowej z pozdrowieniem ode mnie. I od was. Przedziwne, pomyśleć, że wysyłam pozdrowienia do mojego dorosłego syna. On przecież wciąż jest... moim małym dzieckiem. – Józef zawahał się, nadal trzyma w ręku pokrywkę puszkki. – A gdybyście mi powiedzieli, że ja już... – Józef głośno przełyka ślinę i ma powiedzieć coś jeszcze, ale kręci głową. – Nie, lepiej tego nie wiedzieć.

– Ale my i tak tego nie wiemy – wypalam. – Nie wiemy, kiedy pan umrze. Ani jak. Karl nic o tym nie mówił.

– Niewiedza może być... błogosławieństwem – mówi Józef bez wielkiego przekonania. Mechanicznymi ruchami zgniata część starych gazet i wkłada je na wierzch do pudełka, żeby przedmioty w środku nie grzechotały. A potem nakrywa puszkę pokrywką i wkłada ją do dużego plastikowego worka, który zapieczętowuje taśmą i sznurkiem. – Posiadanie wiedzy o wszystkim, chociaż ma się taką możliwość, nie przynosi szczęścia. Do tej myśli też chyba będziecie musieli się przyzwyczaić. – Owija puszkę jeszcze kilkoma plastikowymi workami.

Obserwuję jego pracowite dłonie. Pomyśleć, że mogłabym przemieścić się w czasie do dnia swojej śmierci. Czy chciałabym wiedzieć, ile życia mi zostało? Czy zrobiłabym cokolwiek inaczej, gdybym wiedziała, że dożyję stu lat? Albo że wkrótce umrę? Po plecach przechodzi mi dreszcz, strząsam z siebie mroczne myśli.

– O, proszę. – Józef zawiązuje ostatni worek na ścisły węzełek. Wykorzystał większość sznurka z rolki. – Po prostu dajcie to Karlowi, gdy go spotkacie. Postarajcie się, żeby przede wszystkim obejrzał film. – Józef odwraca się i podaje Noa owiniętą plastikiem puszkę po ciastkach. – Im szybciej, tym lepiej.

Noa patrzy na pofałdowaną powierzchnię, zatopiony w myślach.

– Jeśli wracanie do szkoły jest zbyt ryzykowne, to może powinniśmy polecieć od razu do Karla i mu to dostarczyć? – Spogląda na nas. – No nie?

– Ale... nie możemy przecież zjawić się u Karla, zanim nie zaplanujemy, co mu powiedzieć – protestuje Alban.

– Coś wymyślimy. – Noa nie ma wątpliwości.

– No, nie wiem... – Alban kręci głową.

– Wyluzuj. Mamy to! – Noa stuka w puszkę. – Możemy zacząć od tego, że mu ją wręczymy.

– Gdzie mieszka Karl? – pyta Józef.

– Tu – mówi Linus.

– Naprawdę? Tu mieszka?

Linus kiwa głową.

– Ale nie powiedział nam, że to dom jego dzieciństwa.

– Generalnie nie był zbyt gadatliwy – stwierdza Noa. – Chyba że z niego coś wyciągaliśmy.

– To na pewno się zmieni, uwierzcie mi. – Józef uśmiecha się tajemniczo, zerkając na plastikowy pakunek w rękach Noa. – Skoro Karl jeszcze tu mieszka i jedziecie prosto do niego, to wszystko będzie prostsze. Możemy zakopać dowody w ogrodzie i po prostu je odkopiecie, gdy dotrzecie do waszego czasu.

– Nie możemy zabrać ich z sobą? – pytam.

– Nie, film nie zniesie podróży w czasie. Zupełnie tak samo jak wasze zegarki i telefony. Chodźcie na zewnątrz, do światła, spróbujemy nastawić kompas na adres Karla. I możemy od razu zakopać puszkę.

Wyszliśmy z szopki z powrotem na zamarznąłą trawę.

Uśmiecham się zachęcająco do Adriany, ale ona patrzy tylko na mnie, jak gdyby mnie nie poznawała.

– Czy Karl zmienił coś w ogrodzie? – pyta Józef.

– Trudno powiedzieć – przyznaję. – Gdy go odwiedzaliśmy, było ciemno.

– A to drzewo? – Noa wskazuje na jakieś powykręcane drzewo. – Czy to nie pod nim siedziałem, gdy testowaliśmy telepatię?

Kiwam głową. Teraz, w 1969 roku, jest mniejsze, ale łatwo je rozpoznać.

– Tak, jeszcze tam rośnie – mówię.

– Nie dziwi mnie to. – Józef uśmiecha się. – Karl uwielbia jabłka Ingrid Marie. W sierpniu i wrześniu niemal pod tym drzewem mieszka. – Józef idzie z powrotem do szopki i wraca z łopatą.

– Proszę mi ją dać. – Noa chwyta łopatę, wycina w trawniku czworobok darni i odkłada go na bok. Solidnymi uderzeniami łopaty wykopuje w ciemnej ziemi coraz głębszy dołek. Gdy jest wystarczająco głęboki na to, by Józef mógł do niego włożyć puszkę, z koniuszków czarnych włosów kapie pot.

Noa zasypuje puszkę ziemią i układa na wierzchu kwadrat darni.

A potem rozsypujemy pod drzewem garść chrustu i zwiędłych liści i nikt nie zgadłby, że kryje się pod nim zatrzymany czas.

– Teraz trzeba tylko poczekać około pół wieku. – Józef śmieje się krótkim, nerwowym śmiechem.

– Super, załatwione. – Noa rzuca łopatę na trawę i wyciera ręką pot z karku.

– A co robimy z kompasem?

Adriana nagle szarpnięciem puszcza moją rękę, jak gdyby zdała sobie sprawę z tego, gdzie jesteśmy... i w jaki sposób będziemy wracać do domu.

Spoglądam na nią zmartwiona, ale zacisnęła tylko powieki i tak stoi.

Józef bierze od Linusa kompas.

– Bardzo dobrze. – Rozgląda się dokoła i wskazuje na odległy kąt ogrodu. – Nie widać go z żadnego z okien. To byłoby bezpieczne miejsce na powrót. Chyba że... Karl ma sąsiadów po drugiej stronie domu?

– Nie wydaje mi się. – Przypominam sobie piesze wędrówki do domu Karla i z powrotem w pełnych ciemnościach. – Tam jest tylko pole, tak jak tu.

– Dobrze. Ustawię go tak, żebyście wrócili kilka metrów dalej, na pole. – Józef znów

wskazuje na mapę. – A teraz posłuchajcie. Gdy już znacie cel i postaracie się, żeby się znalazł dokładnie na środku mapy, musicie tylko nacisnąć dwa razy, szybko raz za razem, żeby zapisać lokalizację. – Wykonuje ruch, jakby klikał dwa razy w smartfon i wokół opuszka jego palca pojawia się czarny okrąg.

Linus kiwa głową skoncentrowany, w kąciку ust widać czubeczek języka.

Pewnie tylko on spośród nas wszystkich cokolwiek łapie z wywodu Józefa o wszystkich tych wymiarach i kretyńskich polach ciężkości.

– Gdy już ustawicie moment powrotu i cel, musicie umieścić pryzmat na dobre w zagłębieniu, tylną stroną do dołu. Jak mówiłem w pokoju, gdy aktywujecie kompas, zostaniecie przyssani do siebie. Jeśli przedtem weźmiecie się za ręce i usiądziecie, nie będzie tak źle. Energia będzie mogła łatwiej przez was przeniknąć, i docierając do celu, nie będziecie tak daleko upadać.

– Mówił pan, że w podróży w czasie też coś świeci... – wtrącam. Słowa „podróż w czasie” wywołują mi na karku ciarki pod skórą, teraz, gdy są jedynym biletem do domu.

– Tak. Ale w momencie powrotu to będzie tylko krótki błysk. Dużo silniejsze światło pojawi się, gdy będziecie ruszać – mówi Józef. – Połączenie kolorów z waszych rąk da silne białe światło. Tak jakbyście wspólnie stwarzali pełne spektrum. – Józef wyjmuje pryzmat i podaje go Pi, a potem wręcza kompas Linusowi. – Uważajcie, żeby nie zmienić ustawień, uderzając nim o coś. Zanim go aktywujecie, zawsze dobrze jest dwa razy sprawdzić liczby i mapę.

Linus kiwa głową i ostrożnie wkłada kompas z powrotem do skórzanej torebki. Pi szybko zaciąga suwak w kieszeni kurtki, do której wsunęła pryzmat.

– Ta energia, która spowodowała nasze rany... czy to za jej sprawą mamy... te zdolności? – pyta Alban.

Spoglądam na wewnętrzne powierzchnie moich dłoni. Strupy znikły, a trójkątne blizny pod zwęglonymi brzegami opatrunku są lśniące i różowe. Energia podróży w czasie musiała przepalić materiał.

– Jestem prawie pewny, że zdolności wiążą się z tą energią – mówi Józef.

– Ale dlaczego właśnie te zdolności? – pytam. – Dlaczego właśnie nasza szóstka? Karla ta energia nie tknęła. Nie spowodowała u niego ran.

– No... nie. – Józef drapie się w głowę. – I... z całą pewnością istnieje logiczne wyjaśnienie...

– Ale...?

– Ale ja go nie znam – przyznaje. – Jeszcze nie.

Rozglądam się po ogrodzie połyskującym w słońcu srebrzyście, niewinnie. Nie odczuwam tej chwili jako przeszłości, tylko jako teraźniejszość. Jako rzeczywistość.

Moja głowa za tym wszystkim nie nadąża.

Co my tu robimy? Dlaczego właśnie my? Co to oznacza?

Strona internetowa z datami wykładów była fałszywa. Wskazuje to na fakt, że nie trafiliśmy do Karla przez przypadek.

K t o ś próbował nas tam zwabić.

Ale czy fakt, że padło to właśnie na nas, był przypadkiem? Czy mogłyby to równie dobrze być inne osoby? Czy wszystko byłoby inaczej, gdybym nie otworzyła w obserwatorium tego pudła?

– I jest pan pewien, że Karl o niczym nie ma pojęcia? – pytam. – Bo on był jedną z ostatnich osób, które miały kontakt z kompasem, zanim sam się aktywował. Może to on go nastawił?

– Ale Jonatan też miał z nim kontakt – wtrąca Pi. – I Janus. Może to któryś z nich? Albo ktoś całkiem inny? Nie wiemy, gdzie kompas się znajdował, odkąd znikł z szafki Noa.

– A ja nadal uważam, że to Karl – odzywa się Noa. – Jasne, mówił, że nie wie, jak kompas

działa... ale to jednak dość osobliwe, że przypadkiem był nastawiony tak, że wylądowaliśmy wprost w domu jego dzieciństwa?

– Nie mogę powiedzieć, jak dużo wiedział Karl, gdy was pierwszy raz spotkał w waszej teraźniejszości – mówi Józef. – Może opowiem mu o was, gdy będzie starszy. Na razie jest za mały, żeby to zrozumieć. Ale jest też możliwość, że kompas był ustawiony z góry. Podróżowaliście tu tak wiele razy, że kierunek mógł być nastawiony, gdy Karl go przejął. – Na twarzy Józefa pojawia się lekki uśmiech. – Choć w gruncie rzeczy nie byłoby to takie dziwne, gdyby Karl nieświadomie ustawił kombinację liczb 16–11–1969.

– Dlaczego? – pytam.

– Dziś są jego urodziny. – Józef uśmiecha się szeroko. – I mam też przeczucie, dlaczego szesnasty listopada tak bardzo wbił mu się w pamięć. On jeszcze tego nie wie, ale oszczędzałem, żeby mu kupić używaną lunetę. Już się cieszę na widok jego twarzy, gdy wróci ze szkoły i rozpakuje prezent. Inauguracja będzie wieczorem, w każdym razie wyjdziemy na dwór popatrzeć na Leonidy. W swoje urodziny Karl zawsze pozdrawia Gwiazdnego Gryfa. – Józef mruga do nas porozumiewawczo.

Gdy Linus usłyszał nazwę, którą sam wymyślił, aż nim szarpnęło.

– Ile razy nas pan właściwie... spotkał? – pytam. – I kiedy pierwszy raz? To znaczy, kiedy to był pierwszy raz dla pana?

Józef patrzy na mnie z zaciśniętymi ustami.

– Niech zgadnę – dodaję sucho. – Tego też nie może nam pan powiedzieć?

Józef kiwa głową.

– Jak już mówiłem, wyjaśniliśmy sobie już większość spraw. Dowiedzie się jeszcze dużo więcej. Ale nie dziś.

Noa otwiera usta, żeby zaprotestować, ale Józef podnosi palec wskazujący.

– A teraz musicie wracać, zanim ktoś zacznie się zastanawiać, gdzie jesteście. Teraz, w 1969 roku, Leonidy będą na niebie o jeden dzień dłużej, ale gdy wrócicie do siebie, już ich pewnie nie zobaczycie. Następna burza meteorytów to Geminidy w połowie grudnia. Być może wtedy znów się spotkamy. – Uśmiecha się do nas.

– Ale jaki związek mają z tym wszystkim burze meteorytów? – dziwi się Linus.

– Ach... oczywiście! – Józef kręci głową na znak, że jest niezadowolony z siebie. – O tym przecież też jeszcze nie mówiliśmy! Otóż wiele wskazuje na to, że możecie podróżować tylko podczas burz meteorytów.

– Dlaczego? – Linus spogląda na niebo, choć jest tak jasne, że dostrzeżenie jakiegokolwiek spadającej gwiazdy jest niemożliwe.

– Nie wiem. Być może to jeszcze jedno pytanie do Karla. Karl to już nawet dziś bystry smyk, wiąże wielkie nadzieje z jego działalnością jako astrofizyka. – Józef uśmiecha się do nas lekko i podnosi łopatę.

– A jeśli *horror vacui* pojawi się między dwiema burzami meteorytów? Co mamy wtedy robić? – pyta Alban.

– To się jeszcze nie wydarzyło. Z nieznanых powodów jeszcze się nie wydarzyło. Możliwe że w okresach pomiędzy burzami jesteście bezpieczni.

– Możliwe...? Ach, to naprawdę bardzo uspokajające – odzywa się Noa.

– Okey... – Linus w zamyśleniu ściąga usta w szpic. – Więc jeśli *horror vacui* może się pojawić tylko, gdy jest dużo spadających gwiazd... to w każdym razie zawsze podczas burz meteorytów musimy starać się być blisko siebie?

– Na wszelki wypadek, tak – potwierdza Józef.

– Jak częste są burze meteorytów? – pyta Noa. Spojrzał ukosem na Albana i marszczy nos, jak gdyby poczuł jakiś nieprzyjemny zapach.

– To zależy trochę od tego, jak się definiuje burzę meteorytów – mówi Józef. – Pracujemy nad tym, żeby znaleźć dolną granicę dla ilości energii, jaka jest potrzebna do aktywowania kompasu. Może was zabrać w podróż nawet mała burza, jak burza Ursydów w grudniu, obserwujemy wtedy maksymalnie około dwudziestu spadających gwiazd na godzinę. Być może w odpowiednim momencie potrzeba tylko jednej.

– Ale... – Noa wygląda na przerażonego. – W takim razie musimy być razem prawie... c a ł y c z a s!

– Jest nieuniknione, że przez najbliższy, długi okres będziecie musieli spędzać ze sobą sporo czasu – mówi Józef dyplomatycznie. – Powinniście się do tego przyzwyczaić.

Noa jęknął, a jego siostra posłała mu karcące spojrzenie.

Linus i Alban też nie wyglądają na nazbyt zachwyconych.

Adriana wciąż ma zamknięte oczy, przyciska do skroni dwa palce. Być może przekonuje samą siebie, że za chwilę obudzi się z tego absurdalnego, koszmarowego snu.

Józef kładzie dłoń na ramieniu Linusa.

– Wiem, że macie tysiąc pytań. Ale jeśli chcecie zdążyć porozmawiać jeszcze z Karlem i wrócić do waszych rodzin, zanim zameldują wasze zniknięcie na policji, musicie się pośpieszyć.

– Ale... – zaczynam.

– Żadnego „ale”, Emilko! – Nie zachwyca mnie to, że zna moje imię, choć jeszcze mu się nie przedstawiłam. Ciekawe, co o mnie wie? O nas?

– Ważne jest, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Żebyście nie zwracali na siebie uwagi – mówi z naciskiem. – Nikomu nie wolno wam o tym opowiadać. Ani o podróżach w czasie, ani o waszych zdolnościach. Pod żadnym pozorem. Macie do czynienia z potężnymi siłami, a jeśli zostaniecie nakryci, będzie trzeba martwić się nie tylko o *horror vacui*. Nie wiecie, komu możecie zaufać. Pamiętajcie o tym!

Musimy wyglądać na dość przerażonych, bo twarz Józefa przybiera łagodniejszy wyraz.

– Obiecuję wam, że będziemy się spotykać wiele razy. Będzie mnóstwo okazji do pogadania. Być może nawet wkrótce, jeśli będziecie mieli ochotę spróbować sił z Geminidami.

– Ma pan rację. Musimy wracać. – Alban drecze niespokojnie obok mnie. – Ale najpierw muszę skorzystać z toalety. Nie jestem pewien, czy mój pęcherz sprosta ponownemu spotkaniu z czwartym wymiarem.

Józef śmieje się. Miły dla ucha dźwięk na tle tego ponurego nastroju.

– Pierwsze drzwi po prawej w przedpokoju – mówi.

– Zaprowadzę cię. – Dotykam grzbietem dłoni ręki Albana, żeby wiedział, że może mnie chwycić.

– Mógłbym zobaczyć lunetę Karla, zanim ruszymy? – pyta Linus.

– Jasne! Jest w obserwatorium, chodźmy.

Noa wywraca oczami, ale idzie za Józefem i Linusem w kierunku drewnianej szopki.

Pi wzięła Adrianę pod rękę i coś do niej mówi łagodnym głosem, a Alban i ja ruszamy przez zaszroniony trawnik w stronę domu.

Wchodzę z nim do toalety i szybko instruję, gdzie jest sedes, umywalka i ręcznik. W dziurce nie ma klucza, więc obiecuję, że popilnuję drzwi. Wychodzę do przedpokoju i oddalam się kilka

metrów od drzwi, aby mu dać trochę prywatności.

Łajka zaszczekała kilka razy za drzwiami sypialni, ale chyba wyczuła, że nie stanowią zagrożenia, bo szybko ucichła.

Wlepiam oczy w tapetę w pasy, a myśli odpływają.

Gdyby w ubiegłym tygodniu ktoś mi powiedział, że draństwa Jonatana wkrótce będą moim najmniejszym problemem, nie uwierzyłabym. A teraz Jonatan zdaje się zarówno nieszkodliwy, jak i nieistotny w porównaniu z mrokiem, który może wyssać ze mnie życie.

Wyobrażenie skradających się w sali gimnastycznej cieni znów sprowadziło strach i przez moment wydaje mi się, że znikły wszystkie dźwięki.

W panice potrząsam głową, żeby odzyskać słuch, i oddycham z ulgą, gdy kielkujący strach zdecydowanie przecina głośnie szczeknięcie w sypialni.

Łajka skrobie w drzwi. Szczekanie przybiera na sile i wreszcie zamienia się w piskliwe ujadanie. Wraca strach. Co się z nią dzieje?

Zastanawiam się, czy ją wypuścić, czy pójść po Józefa, gdy moją uwagę odwrócił hałas dobiegający z toalety.

Przez oszalałe ujadanie Łajki słyszę, że Alban kaszle. Podchodzę do drzwi toalety i przykładam ucho do jasnobrązowego drewna.

– Alban?

Kaszle nasila się, jak gdyby Alban nie mógł złapać powietrza.

Szarpnięciem otwieram drzwi i widzę go pochylonego nad umywalką. Z kurka leci woda, Alban stoi oparty o mokrą umywalkę.

– Alban, co się dzieje? – Podbiegam przestraszona.

– Nie... Emi... ty nie... – Alban dostaje kolejnego napadu kaszlu, aż przykląkł na podłozie. – Wyjdź! Nie możesz... drzwi!

Nagle za plecami słyszę klik.

Odwracam się na tyle szybko, żeby zobaczyć ruch klamki w górę, jak gdyby ktoś puścił ją z drugiej strony.

Cichy, metaliczny odgłos krystalizuje moją krew w maleńkie płatki lodu.

Doskakuję do drzwi, wiedząc, jeszcze zanim nacisnęłam na klamkę, że są zamknięte na klucz.

– Nie! – krzyknęłam cicho i zaczynam walić ramieniem w drewno z całą siłą, na jaką mnie stać. – Alban, ktoś nas tu zamknął!

Alban ciężko dyszy, kurczowo trzyma się umywalki.

Wciąż kaszle, ale podciąga się i wstaje.

– Musimy... uciekać – rzezi. – Musimy... pomóc... reszcie.

– Co?! Dlaczego?! – Kopnęłam w drzwi tak mocno, że przeszył mnie ból aż po kość ogonową.

W odpowiedzi na moje pytanie słyszymy odgłos tłukącego się w ogrodzie szkła.

– Nie! – Alban podchodzi do mnie chwiejnym krokiem i chwyta za klamkę. Szarpie desperacko, a potem zaczyna walić pięścią w drzwi. – Nie! – powtarza w panice.

I wtedy słyszymy krzyk.

ROZDZIAŁ 53

Krzyk jest coraz głośniejszy, wmieszały się w niego wołania kilku osób.

Choć drzwi wejściowe są zamknięte, i mimo że oszalałe szczekanie i piszczenie Łajki wypełnia cały dom, słyszę, że wołają o pomoc. Wołają mnie i Albana.

Płacz i panika sznurują mi gardło, ale nieprzerwanie walę na oślep w drzwi.

Alban po omacku poszukał klamki, a potem robi krok w tył.

– Odejdź... od drzwi. Spróbuję... otworzyć... kopnę. – Z potężną siłą kopie w drzwi, ale chybia o kilka centymetrów i jego stopa z łoskotem uderza we framugę. Twarz kurczy mu się z bólu, mimo to znów chwyta klamkę, żeby przymierzyć się do następnego kopnięcia. Tym razem trafia dokładnie w dziurkę od klucza.

Drzwi otwierają się z hukiem, a my wypadamy do przedpokoju.

Rozglądam się dokoła skołowana, ale nikogo nie widać. Drzwi wejściowe są uchylone, choć na pewno je za sobą zamknęliśmy.

W przedpokoju wyraźniej słyszeć przerażone głosy, towarzyszą im głuchoe odgłosy, jakby ktoś kopał w...

– Są zamknięci w szopce! – Mocno chwytam Albana za ramię i pociągam go za sobą. Twarz ma purpurową od kaszlu.

Szeroko otwieram drzwi wejściowe i dostrzegam znikającego za drzewem przy wjeździe na posesję człowieka w czerwonej bluzie z kapturem. Kaptur ma zarzucony na głowę, twarz ukrytą, ale mignął mi żółty napis i jakieś żółte plamki na plecach czerwonej bluzy.

Krzyki są coraz głośniejsze.

Nie ma czasu, żeby biec za tym tajemniczym kimś, kto już ruszył biegiem zwirową drogą.

Serce wali mi w piersi, gdy zbiegam z kamiennych schodków i pędzę do ogrodu. Alban, potykając się, biegnie za mną.

Skrećamy za rogiem domu, pod naszymi podszewkami śpiewają kamyki, którymi wysypane jest podwórze... i nagle zrozumiałam, dlaczego Alban kaszle.

Z szopki bucha duszący, czarny dym, wielkie pomarańczowe płomienie ognia liżą dach, inne wydobywają się z małego otworu okiennego obok drzwi. Ktoś wybił okno i dym pulsuje ze szpary grubą wstęgą.

– Pali się! Szopa się pali! – wołam, choć jestem pewna, że Albana już ostrzegł i ostry zapach dymu, i jego zdolności.

– Pomocy! Wypuście nas! Pomocy!

Przeszywające krzyki są nabrzmiałe strachem, głosy już ochryple od dymu.

Dobiegamy do szopki, puszczam ramię Albana, chcę odsunąć zasuwę.

Kto ich do diabła zamknął i podpalił szopkę?!

Przecież nie było nas tylko kilka minut!

– Idę! Już zaraz! – wołam, ale krzyki za drzwiami nie ustają.

Zasuwa ani drgnie, ciągnę ją z całych sił i zaczynam płakać.

– No już! – wołam. – Otwieraj się! – Nagle zasuwa się poddała i szarpnięciem otwieram

drzwi.

Wypadli na zamrożony trawnik osmaleni, duszący się od kaszlu.

Pali się jedna nogawka spodni Noa. Żeby ugasić ogień, błyskawicznie przeturlał się kilka razy po trawie, a potem zrywa się z ziemi i przewraca Adrianę. Ogień dopadł jej włosów i Noa wali w nie, jak popadnie, żeby zdusić płomień.

Pi klęczy podparta rękami, kaszle. Z jej pokrytych sadzą ust zwisają długie nici śliny.

Alban pochyła się nad Linusem, który klęczy, wymiotuje, kaszle i znów wymiotuje. Kaszel Albana chyba ucichł w tej samej chwili, gdy otworzyłam drzwi szopki.

Józef pada na trawę tuż przed drzwiami szopki, kaszle i pluje.

Podbiegam, żeby pomóc mu wstać.

Patrzy na szopkę szeroko otwartymi oczami. Płomień dosięgają już najniższych gałęzi kasztanowca.

– Moje lunety! Prezent dla Karla! – woła nagle i rusza biegiem z powrotem do płonącej szopki. Dym bucha z drzwi, ale on zaciągnął golf na usta i wbiega przez czarny mur dymu. Ogień huczy teraz wściekle.

– Panie Józefie, co pan robi?! – wołam, gdy pochłonął go dym.

– Musimy mu pomóc! – Linus z wysiłkiem wstaje z ziemi i wykręca się spod ramienia Albana.

– Linus, nie, to zbyt niebezpieczne! – Alban chce go chwycić, ale jego młodszy brat już rwie do drzwi, za którymi zniknął Józef. – Zatrzymajcie go! Niech go ktoś zatrzyma! – Głos Albana jest ochrypliwy od kaszlu i niemal całkowicie zagłusza go huczenie ognia.

Linus już dobiega do szopki, ale w tej chwili Noa rzuca się na niego od tyłu i Linus z głuchym odgłosem ląduje na ziemi. Z trudem chwytając powietrze, próbuje wstać, ale Noa trzyma jego wciąż walczące nogi i ręce jak w kleszczach.

– Panie Józefie, niech pan ucieka! – Pi podnosi się z ziemi tuż obok mnie. W czarnej, okopconej twarzy oczy wydają się czerwone.

Z szopki dobiega odgłos kaszlu i po trawie poturlała się wyrzucona przez drzwi luneta.

– Józef! – wrzasnął Noa, nie puszczając Linusa. – Zostaw te zasrane lunety! Wychodź, już!!!

Nagle jakiś dziwny odgłos, jakby jęk, sprawia, że spoglądam w górę.

Dach opuścił się o około pół metra, ale ruch ustaje, jak gdyby belki napotkały na niewidzialną barierę. Wywołuje to w mojej głowie *flashback* z wczorajszego dnia, gdy odkryliśmy zdolność Adriany.

W tej samej chwili ktoś za mną zaczyna krzyczeć. Krzyk zdaje się tak samo odległy, jak histeryczne szczekanie Łajki w domu.

I wszystko zagłusza huk ognia.

Czy to Adriana robi coś z dachem? Odwracam się, ale nie, leży skulona tam, gdzie Noa dusił płomień na jej włosach. Przyciska ręce do uszu i na nic nie zwraca uwagi.

Odwracam się z powrotem w stronę szopy i wpatruję się w ogień.

– Wyjdź, już, wyjdź już! – szepczę.

Wreszcie w dymie pojawia się sylwetka Józefa.

Ale w tej samej chwili rozlega się jakby głęboki pomruk.

I nagle, bez ostrzeżenia, cała konstrukcja dachu zamienia się w deszcz iskier i uderza we mnie fala gorąca, która zmusza do gwałtownego chwytania powietrza.

– Neeee! – woła leżący na trawie Linus. – Józeeeeef!

Zamknięta w domu Łajka zaczyna wyć.

Zdaje mi się, że słyszę w oddali syreny, ale to niemożliwe. O wiele za szybko.

Noa puszcza Linusa i skacze na równe nogi. Patrzy na morze ognia, drżący z niezdeterminowania. Przebiega kilka kroków w kierunku zawalonej szopki, ale przerażony krzyk Albana sprawia, że nieruchomieje.

– Uciekajcie! – Alban kręci w panice głową i osłania się rękami, jak gdyby żar od płomieni nagle był nie do wytrzymania. – To wybuchnie!

– Przecież musimy mu pomóc! – krzyczy Pi. – Józeeef!

– Nie, Pi! – Noa chwyta ją obiema rękami w pasie i ciągnie w przeciwną stronę.

– Na ziemię! – ryczy Alban i rzuca się obok Linusa.

Kątem oka widzę, że Noa powala siostrę.

Gdy moje ciało runęło na zamarznąłą ziemię, przygryzłam sobie język. Sekundę później nad moimi plecami rozlega się wycie gorącego wiatru i rozrywający uszy huk.

Ciśnienie powietrza wywołane przez eksplozję jest tak potężne, że aż podniosło włoski na moich ramionach. Poczulałam, że coś we mnie uderza, może fragmenty płonącego drewna. Coś ciężkiego łąduje na moim karku.

Dzwoni mi w uszach, gdy z trudem się podnoszę i w panice potrząsam włosami, by nie dopuścić do nich ognia.

Przede mną leży Alban połową ciała nakrywający Linusa. Osłania ramionami jego głowę.

Noa podciąga Pi za rękę, Adriana leży skurczona na trawie, zwinięta w kłębek i szlocha. Odwracam się w stronę szopki.

Prawie już jej nie ma. Przez mur dymu dostrzegam tylko resztki czterech narożnych słupów.

Niemożliwe, żeby Józef przeżył.

Uświadomienie sobie tego jest takim szokiem, że myśl przemyka tylko przez mój mózg, nie zagnieżdża się.

Przez dzwoniący w uszach szum i kompletnie oszalałe wycie Łajki słyszę coraz głośniejszy odgłos syren. To nie pomyłka. W dodatku wozów strażackich jest więcej.

– Musimy zniknąć! – woła Noa. – Nie mogą nas zobaczyć! – Puszcza Pi, żeby poderwać z trawy Adrianę. – No już! – Ciągnie za sobą obie dziewczyny w stronę niskiego płotu najdalej w głębi ogrodu. Tam kopniakiem przewraca kilka spróchniałych desek i przedziera się przez nie, nie puszczając dziewczyn z rąk. – Pi, pomagasz Adrianie! – rozkazuje i popycha je obie na ciągnące się za domem Józefa pole. – Spotkamy się przy drzewach, o tam, na polu. Już, galopem!!!

Pi głośno wciąga nosem powietrze i chwyta Adrianę za rękę.

Po drugiej stronie domu nagle przestaje wycie jedna z syren.

– Hej, kto tam jest? – Słyszę dobiegający z podwórza męski głos.

– Chodźcie! – Noa przeskakuje przez przewrócony fragment płotu z powrotem do ogrodu i mocno chwyta za ramię Albana.

Pi i Adriana znikają za rozsnutą nad polem dymną zasłoną.

– Nie! – Linus wstaje z wysiłkiem i nie zdejmując wzroku z płonących resztek szopki. – Nie, nie nie!

Jeszcze jedna syrena zamilkła na zwirowej drodze.

– Stop, policja! – woła ten sam męski głos.

Słysząc kroki kogoś biegnącego po kamykach przez podwórze.

– Emi, do diabła! – woła Noa przez ramię.

Przeprowadził się już z Albanem przez płot.

Na dźwięk mojego imienia ruchy same zaczynają ze mnie wypływać. Ręka wystrzeliwuje w bok i chwyta Linusa za rękaw pożyczonej kurtki. Ściskam gruby materiał, a moje nogi zaczynają mnie nieść. Obok płomieni, przez płot, na pole za domem.

Pod drżącymi nogami pułapki bruzd. Upadam, walę kolanem w zamrzniętą grudę ziemi, ale twardy głos Noa podrywa mnie i zmusza do biegu.

Linus biegnie obok mnie, potyka się, zachłystuje płaczem. O lędźwie obija mu się torebka z kompasem.

W gęstym dymie przed nami widać zaledwie zarysy postaci Noa i Albana. Wiatr popycha dym w tę samą stronę, co nas. Mam nadzieję, że to wystarczy, żebyśmy nie byli widoczni.

Ogród za naszymi plecami wypełniają wołania i ujadanie psa. Ktoś musiał wypuścić Łajkę.

Przypieszam, ciągnę Linusa za rękaw, przedzieram się z kaszlem przez dym. Dym szczypie w oczy, po policzkach płyną łzy.

Od zadyszki ciemnieje mi w oczach, a odgłosy z ogrodu na chwilę zanikają, jak gdybym zaraz miała zemdleć.

Na siłę wciągam do płuc więcej nasyconego dymem powietrza, choć wzmagą to kaszel, ale nic nie czuję, biegnę dalej.

Docieramy do skupiska drzew na środku pola.

Pociągamy Linusa do kryjóWKi wśród nagich pni i odwracam się.

Wyrastający z ogrodu słup dymu jest jak wielka, gruba rana na niebieskim niebie. Choć wieje zimny wiatr, nadal odczuwam ciepło od ognia jak szczypiącą w twarz błonę.

Na widok wozu strażackiego i samochodu policyjnego szybko cofam się za gruby pień, żeby nie było mnie widać ze zwirowej drogi. Nagły ruch sprowadza zawroty głowy i wrażenie głuchej ciszy, jak podczas biegu.

– Linus, wyciągaj kompas! – ponagliła Noa. – Szybko!

Linus kaszle i płacze obok mnie. Skórzana torebka drży przy jego biodrze w takt potrzęsającego nim szlochu.

– Czuję Łajkę! Czuję ją, gdy dotarło do niej, że Józef nie żyje! – Łzy wyrzeźbiły blade, nierówne ślady na jego pokrytej sadzą twarzy. Oparł się ręką o najbliższy pień, żeby nie stracić równowagi.

Noa przepycha się między nas i szarpnięciem otwiera klapę torebki. Wyjmuje kompas i wbija wzrok w tarczki.

– Data jest dobrze ustawiona, Linus? – pyta. – Józef zdążył nastawić właściwy czas?

Linus przyciska czoło do pnia, usiłuje odzyskać panowanie nad oddechem.

– Tak... – Kiwa głową. – Tak, chyba tak.

– „Chyba”, do cholery, nie wystarczy! – Noa pochyła się nad kompasem.

Adriana i Pi siedzą na ziemi obok nas. Adriana kołysze się w przód i w tył z twarzą zanurzoną w dłoniach. Alban stoi za Noa, zdyszany.

– Ja pitole, Linus! – warczy Noa. – Musiałeś się na niego przewrócić! Jest całkiem spieprzony! Rok ma dziewięć cyfr! Jak to, do jasnej cholery, było... – Ręce mu drżą, gdy próbuje poprawnie ustawić tarczki. – Masz pryzmat, Pi? – pyta, nie podnosząc wzroku.

– Tak – pociąga nosem Pi. Podnosi się i rozpina suwak przy kieszeni kurtki.

– Czeka! Jeszcze nie! – Noa, skoncentrowany, marszczy brwi, a metalowe tarczki obracają się ze zgrzytem.

– *Fuck it!* Palce są do dupy na tym pieprzonym zimnie!

Ujadanie psa w ogrodzie jest coraz głośniejsze.

– Szukaj, Rufus! – woła w oddali mężczyzna.

Patrzę spomiędzy drzew. Serce podskoczyło mi do gardła, gdy spostrzegłam gnającego przez pole w naszym kierunku wielkiego owczarka. Gdzieś daleko za nim biegnie mężczyzna w policyjnym mundurze.

– Pies policyjny! – wołam.

– Masakra! – Sztywne palce Noa intensywniej przekraczają metalowe tarczki, mimo to poruszają się o wiele za wolno. – Zrób coś, Linus!

– Co? – wyrzuca z siebie Linus.

– Nie wiem, do cholery! Powiedz psu, żeby stąd spadał!

– Nie... nie mogę! – Oczy Linusa robią się okrągłe. – Nie wiem, jak...

– Cholera! – Noa jest bliski rzucenia opornym kompasem w najbliższe drzewo. – Pieprzone gównu!

W gotowym do użycia pryzmacie, który trzyma w dłoni Pi, odbija się pasek słonecznego światła. Coś przyszło mi do głowy.

– Możemy ustawić pryzmat na drogę powrotną, tak mówił Józef – rzucam bez tchu. – Z tymi dwiema kropkami, o których nie wiedział, jaką pełnią rolę.

Noa nagle podnosi wzrok, a jego palce przestają się poruszać.

Wściekłe szczekanie psa coraz bardziej się zbliża, choć policjant wciąż jeszcze jest daleko.

– Ale... przecież nie wiemy, jak one działają! – protestuje Alban.

– Możliwe – mówi Noa. – Ale na pewno nie będą mnie ciągli na przesłuchanie w dziesięciolecie, w którym nawet się jeszcze nie urodziłem! – Błyskawicznie wyjął pryzmat z ręki siostry i sztywnymi palcami wykręca szkło z trójkątnej metalowej ramki, żeby znaleźć narożnik z dwiema kropkami. A potem zdejmuje pasek torebki z szyi Linusa i zawiesza ją sobie. – Nie ma czasu na papranie się z kolorami. Stańcie blisko siebie i wyciągnijcie ręce do środka. To nie będzie przyjemne.

Przyskoczył do Adriany, a ja wyciągam rękę, żeby chwycić Albana.

– Liczę do trzech i wkładam pryzmat – zapowiada Noa, gdy już stanęliśmy ściśnięci wśród drzew. Chowa kompas z powrotem do torebki frontem do góry, żeby mieć wolne ręce. – Niech spróbuje nie zadziałać, psiakrew – mruczy.

Nasze dłonie tworzą miseczkę z posplatanych palców. Panika sprawia, że pole widzenia mi faluje i się rozplywa.

– Raz.

Zaciskam zęby tak mocno, że mięśnie dolnej szczęki łapie skurcz.

– Dwa.

Owczarek pędzi przez gąszcz, jest kilka metrów od nas.

– Trzy.

Noa wciska trójkątne szkiełko w zagłębienie.

Natychmiast rozlega się wszystko wypełniający szum. Jest wszędzie. Głębokie vibracje w powietrzu wokół nas, ziemi pod mną, w korzeniach zębów i szpiku kostnym, i w mięśniach, i w każdym pojedynczym włosie na głowie.

Nasze ręce zaczynają świecić tak jak w szkole, ale tylko przez krótką chwilę. Nagle ciepło rozlewa się z dłoni po całym ciele, a w misce stworzonej z naszych rąk powstaje ostre, białe światło.

Alban jęknął i poczułam ciężar na ramieniu, jakby na mnie upadał.

Powierzchnie moich dłoni plasnęły o dwoje innych rąk i coś szarpnęło mną do przodu. Białe

światło nie pozwala dostrzec, kto to zrobił.

Zaciskam powieki. Szumiąca energia zbiera się w masywną kulę w piersi. Tego już za wiele, po prostu za wiele. Moje ciało staje się jednym wielkim odsłoniętym nerwem, a każda rozedrgana sekunda podzielona jest na wieczności.

Kula w mojej piersi wzbiera i wszystko znika w piekle bieli.

ROZDZIAŁ 54

Mrugam powiekami. Moje pole widzenia jest granatowe, zdobią je białe tańczące sylwetki. Leżę na plecach. Wnętrza dłoni bolą, coś skrzypi pod moimi powykręcanyimi członkami. Głęboki śnieg.

– Wszyscy okey? – stęka Noa.

Unoszę głowę i w żołądku zaczynają ssać mdłości.

W świetle księżycy widzę, że nasze stopy skierowane są ku sobie wokół nierównego okręgu, jakbyśmy całą szóstką spadli na plecy w śnieg.

Linus siedzi obok mnie z głową między kolanami, wciąga powietrze głęboko i powoli, bliski wymiotowania.

Adrenalina jest szumem w uszach i drzeniem mięśni.

Zupełnie nie nadążam.

On zginął. Józef zginął.

Adriana znowu płacze. Pi przyczołgała się do niej i próbuje ją uspokoić. Jej dredy są pełne wielkich płatków popiołu.

Noa podchodzi na niepewnych nogach do Albana, wciąż nieprzytomnego.

– Hej! – Potrząsa nim brutalnie za ramię.

Powieki Albana zadrżały i nagle gwałtownie się budzi.

– Gdzie jesteśmy? – pyta ochrypłym głosem.

Noa rozgląda się. Sadza pokrywa mu twarz, która jest teraz niemal tak czarna jak włosy.

– Leży śnieg, jak wtedy gdy ruszyliśmy ze szkoły. Ale ta chata nie wygląda, kurczę, całkiem jak dom Karla. – Noa odchylił się do tyłu i patrzy na stojący niedaleko nas duży budynek w kształcie skrzyni. Okna ma kilka metrów nad ziemią, pod samym dachem.

Mój wzrok pada na otwarte drzwi kilka metrów od nas. W środku pali się światło, dostrzegam drewnianą podłogę i ścianę z drabinkami.

– To wygląda na salę gimnastyczną – mówię, wskazując na drzwi. – Może wróciliśmy do szkoły?

– Ale nadal nie wiemy, którego dnia. – Noa pomaga wstać Albanowi i Linusowi i podchodzi do mnie, żeby mi podać rękę. Pod butami skrzypi mu leżący grubą warstwą śnieg.

Pi próbuje pomóc się podnieść Adrianie, ale udało jej się podźwignąć ją tylko do pozycji siedzącej.

Adriana znowu zaczyna się kiwać i szlochać, tak jak w ogrodzie, kurczowo obejmuje kolana.

Linus stoi z pochyloną głową i zamkniętymi oczami. Walczy z mdłościami.

Ostrożnie dotykam jego pleców między łopatkami, a on spogląda na mnie z bladym uśmiechem. A potem zasłania ręką usta i odwraca się, żeby zwymiotować w najbliższą zaspę. Ale żołądek ma pusty, więc wydał z siebie tylko kilka nieprzyjemnych odgłosów i spluwa na śnieg.

– Podróże w czasie najwyraźniej nie są moją najmocniejszą stroną – bąka i wyciera twarz w rękaw kurtki Karla.

– Co wy tu robicie? – pyta ktoś ze złością. I dlaczego wyjście ewakuacyjne jest otwarte?

W drzwiach staje jakaś przysadzista kobieta. W ręce trzyma szeroką szczotkę, a u paska wisi jej pęk kluczy.

– To sprzątaczką szkolną! – wołam. – Udało się! Wróciliśmy!

– Co się udało? – Kobieta wydaje się jeszcze bardziej gburowata.

– Eee... nic takiego – bąkam.

– Te drzwi mają być zamknięte. Cały czas! – Sprzątaczką zatrząskuje je z hukiem.

– Wypadliśmy z nich tuż przed podróżą do 1969 – mówi Noa. – Otworzyłem je kopniakiem i jak tylko wypadliśmy na śnieg, kompas wessał pryzmat do torebki.

Śnieg. To wyjaśnia rozłóżące się podłoże i nagle zimno. W ogóle nie dotarło do mnie, że jesteśmy na zewnątrz.

– Tylko że wtedy nie było ciemno – mówi dalej Noa. – To musi być ten sam dzień, tylko trochę później. Mieliśmy, kurczę, szczęście, że Józef zdążył powiedzieć nam, jak się wraca!

– I tylko... tylko pozwoliliśmy mu umrzeć... – Pi zaczyna szlochać. Usłyszawszy to, Adriana lamentuje jeszcze głośniej.

– Nic nie mogliśmy zrobić – mówi Noa zapalczywie. – Wbieganie tam za nim byłoby samobójstwem!

– Ale nawet nie spróbowaliśmy! – żali się Pi.

– Nie, bo gdybyśmy spróbowali, to nas też by wysadziło w powietrze, do cholery! – Noa zrywa z siebie torebkę z kompasem i ciska ją w kopę śniegu. – To była jego własna pierdolona wina! – Noa kopie w zaspę i zaczyna chodzić tam i z powrotem, wściekle potrząsając głową. – *Fuck!* – woła. – Cholera!

Adriana zakrywa rękoma uszy i dalej kołysze się i płacze.

Pi kłeka przy niej, połyka ostatnie łyzy, a potem zaczyna gładzić Adrianę po włosach.

– Noa – odzywa się cicho Alban.

– C?! – Noa odwraca się do niego.

– Nic nie mogłeś zrobić.

– Właśnie to mówiłem, do diabła!

– Ale musisz też sam w to uwierzyć.

Noa przez chwilę głośno chwyta powietrze. A potem siada ciężko na śniegu i przyciska do oczu nasady nadgarstków.

– Powinienem był go zatrzymać, zanim tam wszedł. Nie byłem wystarczająco szybki. – Opuszcza ręce na uda i znowu kręci głową. – *Fuck* – mamrocze do swoich pięści.

– Noa, katowanie się nic nie da – ciągnie Alban. – Nikt z nas nie był przygotowany na... takie rzeczy. Jediną osobą, która mogła coś zrobić, byłem ja. Gdybym tylko wyczuł pożar trochę wcześniej, w toalecie, albo gdybym wyczuł wybuch kilka sekund wcześniej... to może byśmy...

– Okey, i kto tu się katuje? – Noa jest zmęczony. Na kilka sekund zamyka oczy. A potem bierze głęboki oddech, który rzezi mu w piersi, i wstaje. – Masz rację. Mazgajenie się z tego powodu gównu da. Józef nie żyje – dodaje ponuro.

Józef nie żyje.

Wiem, co te słowa znaczą, ale jeszcze ich nie pojęłam.

Linus podniósł ze śniegu torebkę z kompasem i wiesza ją sobie na ramieniu. A potem wyjmując z niej pryzmat, wkłada go do tylnej kieszeni spodni i starannie zamyka klamerkę torebki.

– Co się stało? – pytam. Gdy oddycham, posmak w ustach wciąż kojarzy mi się z czernią. –

Po tym jak poszłam z Albanem do domu.

– Linus i ja byliśmy z Józefem w szopce, żeby obejrzeć te gówniane lunety – mówi Noa. – A Pi i Adriana stały w drzwiach. I nagle ktoś je wepchnął do środka i zatrzasnął drzwi. I wrzucił przez okno bombę zapalającą.

– Bombę zapalającą? – szepcze.

– Tak. Pewnie butelkę z jakimś płynem zapalnym i zapalonym lontem. Gdy taka butelka się rozbija, płyn się rozlewa i lont go podpala. To prawdziwe szczęście, że nie trafiła nikogo z nas. Wszystko potoczyło się megaszybko!

– Czy ona spowodowała też wybuch? – pytam.

– Nie, to musiały wybuchnąć butle z gazem. – Linusowi drży głos. – Pod stołem stał ich cały rząd. Pewnie zapasowe butle do kuchenki gazowej.

– To, że ktoś postanawia podpalić szopę pełną butli gazowych, to coś więcej niż tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności. – Alban marszczy czoło czarne od sadzy.

– Właśnie. – Noa potakuje.

– Widziałeś, kto was zamknął i wrzucił bombę zapalającą? – pytam. – Ilu ich było?

– Nie wiem. Stałem plecami do drzwi. – Noa mówi do swoich zaśnieżonych butów.

– Myślę... to znaczy, chyba ja widziałam... kogoś.

– Co? Gdzie? – Noa wyprostuje się.

– Na podwórzu. Ale nie mogłam zobaczyć twarzy. Wiem tylko, że miał na sobie czerwoną bluzę. Taką z kapturem.

– To mógł być pieprzony ktokolwiek – jęczy Noa.

– Miejmy nadzieję, że nie ktokolwiek. – Zmarszczki na czole Albana pogłębiają się. – To była próba morderstwa z premedytacją. I wygląda na to, że Józef nie był jedynym celem.

– Ale... dlaczego tylko ich pięcioro? Józef i oni? – pytam. – Dlaczego czekali tak długo, aż my dwoje pójdziemy do toalety?

– Może ktoś wie o mojej zdolności – mówi Alban. – Może zamknęli nas w toalecie, żebyśmy nie mogli ostrzec ich na czas.

Wciążam powietrze nosem, długie, nerwowe oddechy.

Mróz szczypie mnie w krawędzie skrzydełek nosa i głęboko w kanałach łzowych.

Józef powiedział, że nie wolno nam nikomu mówić o tym, co potrafimy. Ani o podróżach w czasie, ani o naszych zdolnościach. „Nie wiecie, komu możecie zaufać. Pamiętajcie o tym!” Była to jedna z ostatnich rzeczy, które nam powiedział.

Ale wtedy tak świrowaliśmy na punkcie *horror vacui*, że nie zastanawiałam się nad tym, że są jeszcze inne rzeczy, których należy się bać.

– A jeśli mordercy Józefa też potrafią podróżować w czasie? – pytam. – A jeśli chcą też... – Głos uwiązł mi w gardle.

– O tym nic nie wiemy – mówi Alban z wymuszonym spokojem. – Jedyne, co możemy teraz zrobić, to zachować zimną krew i pomagać sobie nawzajem w rozwiązaniu tych zagadek. No i przekonać Karla, że on też musi nam pomóc.

– Musimy do niego pojechać jak najszybciej – mówi Noa. – Nie moglibyśmy po prostu użyć kompasu?

– Nie! – protestuję zdumiona. – Jeszcze za mało o nim wiemy!

– A nie możemy po prostu... no... pojechać autobusem? – proponuje Linus.

– Autobusem? – Noa wlepia w niego oczy. – Potrafimy, kurczę blade, podróżować w czasie, a ty chcesz jechać autobusem?

– To lepsze niż iść pieszo – mówi Alban. – A kompas to nie zabawka, Noa.
– Okey, okey, chłopaczku... przegłosowaliście mnie! *Got it!* No to znajźmy, do cholery, ten pieprzony przystanek! – Noa odwrócił się do nas plecami i idzie wzdłuż czarnego muru szkoły. Skrzypieniu jego butów towarzyszy tylko szloch Adriany.
– Adriana, damy sobie jakoś radę – pociesza ją Pi.
– Ja chcę do domu... – Adriana szlocha z głową opartą o kolana. – Ja nie chcę w tym uczestniczyć.
– Nikt z nas nie chce, ale... – zaczyna Pi.
– Ja nie chcę! – Teraz, gdy Adriana podniosła głowę i spogląda na nas wszystkich po kolei z obłędem w oczach, jej nabrzmiały od płaczu głos rozlega się mocniej. – Ja n i e chcę! – Wstaje i niewiele brakuje, a znów by upadła.
– Adriana... – Pi próbuje ją objąć.
– Zostaw mnie!!! – Adriana wyrwa jej się, ale nie rusza się z miejsca. Nie ma dokąd uciekać. Zanurza twarz w dłoniach i płacze jeszcze głośniejsze niż przedtem.
– Oddychaj, Adriana. – Alban powoli wyciąga do niej rękę. Opuszki palców dotknęły jej rękawa i dłoń wędruje w górę, po ramieniu.
Adriana gwałtownie potrząsa głową i dalej szlocha, ale pozwala ręce Albana zostać tam, gdzie jest.
– Tylko oddychaj – mówi. – Wciągaj powietrze głęboko, aż do brzucha.
Szloch Adriany powoli cichnie. Na koniec bierze długi, drżący wdech.
– Zajmiemy się sprawami po kolei. Na pewno uda nam się przez to przejść, jeśli będziemy sobie pomagać, okey? – Leciutko ściska jej ramię.
Adriana wpatruje się w swoje stopy. Jasne skórzane buciki pokrywa sadza i śnieg.
– Okey – szepcze.

Bardzo dziwnie jest znów zobaczyć dom Karla w teraźniejszości po tym, jak tylko co go widzieliśmy w 1969 roku. Przez obsypane śniegiem gałązki żywopłotu dostrzegam nowe obserwatorium.

Szopki na narzędzia i kasztanowca w głębi ogrodu nie ma, ale jabłoni jeszcze stoi.
– Co mu powiemy? – pytam.
– Józef mówił, że na pewno się uda. Wydawał się tego pewny – mówi Alban, ale nie wygląda na tak samo pewnego skuteczności puszek po ciastkach, jak Józef.
– W każdym razie nie damy rady go przekonać o czymkolwiek, dopóki nie znajdziemy tej kretyńskiej puski. – Noa zagląda przez żywopłot do ogrodu. – W oknach nie ma światła. Chyba gdzieś pojechał. Jeśli wykopujemy puszkę, zanim wróci, to może z pomocą jej zawartości uda się go przekonać. Może rozpozna samochodzik albo coś innego. Sprawdzę tylko, czy droga wolna. – Rusza biegiem poprzez śnieg.
Kilka minut później słyszymy kroki po drugiej stronie żywopłotu.
– Nie ma samochodu! – woła Noa. – Znalazłem łopatę. Pospieszcie się!
Pi i ja wspieramy Adrianę, Linus pomaga Albanowi.
Wchodzimy do ogrodu, Noa już kopie pod jabłonią.
– Po jaką cholere musieliśmy koniecznie to zakopywać? – zżyma się, czerwony na twarzy.
Stoimy po kolana w śniegu, powietrze kłuje igiełkami w płuca i twarz. Ziemia na pewno jest zamarznęta.
Zanosi się na to, że dotarcie do dowodów zajmie dużo czasu.

Zerkam nerwowo na ciemne okna, wciąż obejmując Adrianę ramieniem.

– A skąd mamy pewność, że data jest właściwa? – Obserwuję, jak łopata z trudem przebija się przez białą pierzynę. – Może powinniśmy sprawdzić, czy...

– W skrzynce na listy leży gazeta. – Noa wyrzuca za ramię jedną porcję śniegu za drugą. – Jest z siedemnastego listopada, rok też się zgadza. Wciąż nie mogę włączyć komórki, więc ta gazeta musi pozostać najlepszym dowodem – stęka z wysiłku.

– Ciekawe, jakim cudem znaleźliśmy się przed szkołą? – mamrocze Linus.

– To było miejsce, z którego wyruszyliśmy w podróż. Może to jakaś pozycja zerowa? – zastanawiam się.

Linus gmera przy klamerce torebki.

– Może. Tylko kompletnie nie potrafię wykoncypować, jak to działa.

– Do diabła, chyba najważniejsze, że działa! – obrusza się Noa. – Jak długo czwarty wymiar nie podrze nas na pasy, jest mi dokładnie wszystko jedno, jak to działa.

Uderzenia łopaty brzmią teraz inaczej, wyraźniej. Trafiają w darń pod warstwą śniegu. W miarę jak Noa przebija się przez zmarzniętą warstwę, twarz coraz bardziej mu czerwienieje. Jego ruchy wywołują we mnie wrażenie *déjà vu*. Nawet nie godzinę wcześniej widziałam go kopiącego dokładnie w tym samym miejscu. A jednocześnie to dziesiątki lat temu.

Dopiero teraz w pełni dociera do mnie, że podróżowaliśmy w czasie. I to dwa razy.

Roześmiałabym się, gdyby nie to, że chce mi się płakać.

Ciekawe, czy ktoś się zorientował, że zniknęliśmy?

To znaczy, że... naprawdę zniknęliśmy.

– Chyba jest! – Odgłosy towarzyszące kopaniu znów się zmieniają i Noa pracuje teraz łopatą z nowym zapalem.

– Jedzie samochód! – woła Alban.

Adriana szarpnęła się pod moim ramieniem.

Teraz ja też go słyszę. Dźwięk silnika samochodowego powoli zbliża się do domu.

– Pospiesz się! – Linus rzuca się na kolana obok Noa i zaczyna gorączkowo rozdrapywać palcami ziemię wokół puszki.

Z łomoczącym sercem idę za jego przykładem. Palce mam sztywne z zimna, mimo to drapię jak popadnie w skamieniałej ziemi.

Gdyby Karl nas zobaczył, nie dałby nam czasu na wyjaśnienia, dlaczego wykopaliśmy w jego trawniku wielki dół.

Nateżając wszystkie siły, Noa wydobywa z zaskorupiałej ziemi owiniętą w plastik puszkę.

Dostrzegam przez żywoplot lampy samochodu.

– Co teraz zrobimy? – syczącym szeptem pyta Pi. – Co my teraz, do diabła, zrobimy?

– Jest ciemno – mówi Noa. – Gdy zapali w domu światło, nie zobaczy nas tu. Musimy tylko siedzieć cicho!

Odgłos silnika zbliża się, a ja wstrzymuję oddech.

Ale samochód minął żywoplot i jedzie dalej drogą.

Wydycham z płuc powietrze. Całkiem zapomniałam, że oprócz Karla muszą w tej okolicy oczywiście mieszkać też inni ludzie.

– Potrzebujemy światła, żeby sprawdzić, czy te rzeczy są w porządku – mówi Noa. – Chodźmy do środka.

– Nie możemy przecież tak po prostu wejść do domu! – obruszam się.

– Karla nie ma, a nam potrzebne jest światło. – Noa rusza w kierunku domu z puszką

w dłoniach. – Będziemy trzymać straż! – woła przez ramię.

– M y będziemy trzymać straż? – Pi biegnie za nim. – Co masz na myśli?

– T y będziesz trzymać straż – precyzuje Noa.

– Co? A czemu, do cholery, tak ci się wydaje?

– Bo możemy być w kontakcie telepatycznym – odpowiada Noa. – Tak będzie najłatwiej.

– Ja nie mam, kurczę, ochoty trzymać straży! Zimno mi!

Noa jęknął.

– Dobra! – Niemal rzucił puszkę w ramiona siostry i maszeruje dalej, do wjazdu na posesję Karla. – Tylko się trochę pospieszcie! Masakra!

ROZDZIAŁ 55

Nie mogę skoncentrować się na przeszukiwaniu kartonu przewodzkowego ze starymi książkami, który otworzyłam. Moje oczy cały czas uciekają w stronę drzwi prowadzących do przedpokoju.

Choć drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz, nie oznacza to, że Karl ma ochotę na nieoczekiwanych gości.

– Jesteś pewna, że słyszysz Noa? – pytam.

– Tak, jestem pewna – mówi Pi poirytowana. Rozerwała kolejny plastikowy worek, w który owinięta jest puszka. – Mniej więcej co trzy sekundy wysyła mi wiadomość: „nic nie jedzie, wszystko w porządku”.

Pi stoi razem z Albanem przy zawalonym papierami stole.

Adriana usiadła na sofie z głową zanurzoną w dłoniach. Wciąż pociąga nosem po ostatnim ataku płaczu.

Linus i ja przeglądamy w pokoju półki i kartony w poszukiwaniu projektora filmów amatorskich. Gdy Linus to zaproponował, byłam zdania, że to kompletny nonsens... bo jaka jest szansa na to, że Karl jakimś cudem trzyma w domu takie starocie? Ale w miarę jak przedzieraliśmy się przez wypchane po brzegi kartony i regały, mój sceptycyzm słabł.

Mam wrażenie, że Karl zachował po rodzicach wszystko. Kartkuję pismo dla kobiet „Co, kto, gdzie?” z 1957 roku i książki kucharskie pokryte tak grubą warstwą kurzu, że wyglądają, jakby leżały tak przez pół wieku.

– Co my tu, do licha, powiemy? – mruczę z głową pochyloną nad kartonem. Mam wielką nadzieję, że Józef dał nam coś lepszego niż tylko zabawkę-samochodzik. Coś, co przekona go na tyle szybko, że nie będzie...

– Coś znalazłem! – Słowa Linusa sprawiają, że podnoszę głowę. – Popatrz! Czy to nie tego używał Józef? – Wyjmuje z zakurzonego pudła duży czarny aparat.

– Może? – Podchodzę bliżej. Ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. W domu Józefa projektor interesował mnie najmniej.

– Myślę, że tak. Zaraz spróbuję go włączyć.

Linus przeciska się między stosami śmieci i kartonów.

Podchodzę do Pi i Albana, wciąż rzucając nerwowe spojrzenia na drzwi.

Pi odsuwa na bok ostatnią warstwę plastiku. Na puszcze nie ma na szczęście plam rdzy ani innych śladów, że zawartość mogła zostać uszkodzona przez tyle lat pozostawania w ziemi.

– Jeśli ten aparat działa, będziemy musieli najpierw pokazać mu film – mówi Pi, zdejmując z puszki pokrywę. Następnie wyjmuje z niej pudełko z rolką filmu i zaczyna zdzierać z niego plastik.

Modłę się, żeby to nie był jeszcze jeden film o bandzie pijusów.

– Aparat podłączony – odzywa się za moimi plecami Linus. – Macie film?

Pi podaje mu pudełko. – Połapiesz się, jak to działa?

Projektor jest ustawiony na stosie książek leżących na stole.

Gdy zobaczyłam wszystkie te kółeczka i przyciski, zwątpiłam.

– Zobaczymy. – Linus otwiera pudełko. Umieszcza rolkę z boku aparatu i ostrożnie wyławia końcówkę długiej taśmy, by ją przeciągnąć przez kilka małych szpulek. Wygląda na to, że wie, jak ma być włożona taśma. Potem zaczeplia końcówkę w pustej rolce obok tej, którą właśnie zamocował.

– Skąd wiesz... – zaczyna Pi.

– Nawet ci się nie śniło, ile dziwnych instruktarzy jest na youtube – przerywa jej Linus. – Umiem też podkuć konia, rozebrać karabin i przeprowadzić sekcję wieloryba, gdyby to było nam potrzebne. – Linus naciska na czerwony guzik. Obie rolki zaczynają się kręcić i aparat zaczyna głośno terkotać, tak jak u Józefa.

Na ścianie naprzeciwko zamigotał czworokąt białego światła. Na tej samej ścianie, na której tylko co oglądaliśmy filmy w 1969 roku.

Po chwili pojawia się twarz Józefa.

„Już nagrywa?”, pyta. Siedzi pewnie w tym samym pokoju, w którym znajdujemy się my, bo kwiaty tapety za jego plecami są takie same, jak te na ścianie. Gdy niektóre z nich nakładają się na siebie, powstaje ciekawy i zabawny efekt trójwymiarowości.

„Tak, proszę mówić”, słychać głos Linusa.

Linus obok mnie nieruchomieje. Zawsze dziwnie jest oglądać siebie na filmie, ale jeszcze dziwniej, jeśli film nie został jeszcze nakręcony.

Józef przeczesuje palcami kędzierzawe włosy i chrząka.

„Hej, Karl”, mówi i znowu chrząka. Długo słychać tylko oddechy Linusa. „No dobrze”, Józef prostuje plecy i spogląda w obiektyw.

– Działa – odzywa się Linus obok mnie. – Spróbuję cofnąć. – Wciska czerwony guzik i pochyla się nad aparatem, żeby znaleźć włącznik przewijania.

– Ktoś jedzie! – woła nagle Pi.

Kilka sekund później otwierają się drzwi. Do pokoju wpada Noa i zatrząskuje za sobą drzwi do przedpokoju.

– Jedzie samochód! Projektor gotowy? – Patrzy na Linusa. Pi pewnie go informowała o naszym znalezisku.

Linus kiwa głową.

– Gaszę światło. – Noa uderza dłonią w przycisk obok drzwi i pokój ogarnia ciemność. – Schowajcie się najlepiej jak się da, ale uważajcie, żeby czegoś nie przewrócić. Linus, ty zostajesz przy aparacie. Gdy Karl wejdzie, włączysz go. Okey?

– No... okey. – Głos Linusa drży. Jest zdenerwowany.

Ruszam po omacku do Albana i kucamy razem za stołem. Dokoła słychać szuranie i przyśpieszone oddechy.

Na drodze pojawia się narastający odgłos jadącego samochodu. Wkrótce po oknach pokoju przemknął poziomy pas światła lamp samochodowych.

Odgłos silnika ucichł i trzasnęły drzwi samochodu. Krótco potem słyszę kroki na kamiennych schodkach.

Żeby uspokoić nerwy, chwytam rękę Albana.

Co zrobimy, gdy Karl wejdzie do pokoju? Czy mamy się kryć aż do końca nagrania? Czy też powinniśmy od razu wyskoczyć i zawołać *surprise*²⁰?

Co w ogóle jest na tej taśmie?

Pokazywanie Karlowi filmu tak z nagłą, zanim sami go obejrzelśmy, wydaje mi się

kompletnie głupie. W dniu, w którym Józef dał nam puszkę, nie wiedział przecież, że umrze.

Zaskrzypiały otwierane drzwi i ktoś wchodzi z głośnym tupaniem do ciemnego przedpokoju.

– Co, do diaska? – Poirytowany głos brzmi za zamkniętymi drzwiami tak wyraźnie, że wydaje się, jakby Karl stał tuż obok mnie. – Czemu, do licha, podłoga jest mokra?

O, nie... Śnieg z naszych butów! Żeby tylko nie pomyślał, że było włamanie i nie poszedł wszcząć alarmu.

Karl zapala w przedpokoju światło.

– Zastrane nieszczelne drzwi – pomrukuje, otwierając drzwi do salonu.

Obok mnie rozlega się ciche kliknięcie. To Linus nacisnął czerwony guzik.

W świetle projektora widzę, że Karl znieruchomiał z szeroko otwartymi oczami i ustami. Jego ręka wędruje w stronę włącznika światła.

– Co się tu dzieje? – Karl jest przestraszony.

Na ścianie pojawia się twarz Józefa.

„Hej, Karl. To ja... tata”. Kwiaty na obu warstwach tapety tańczą i nakładają się na siebie. Dwie różne teraźniejszości na tej samej ścianie. „Wiele lat minęło, odkąd widziałeś mnie takim młodym, prawda?”, Józef uśmiechnął się, ale nie jest to prawdziwie serdeczny uśmiech.

Karl upuścił torbę z zakupami, którą trzymał w drugiej ręce. Po podłodze turla się konserwa i zatrzymuje się przed stosem kartonów, za którym ukrywa się Noa. Karl tego nie zauważa. Cofa się chwiejnie do tyłu i żeby nie stracić równowagi, chwytą się obiema rękami framugi drzwi.

– Co się tu dzieje? – Karl wygląda jak ktoś, kto zobaczył ducha. Ale tak się pewnie czuł. Spodziewam się, że każdej chwili może odwrócić się na pięcie i wybiec z pokoju. Albo zapalić światło i z pianą na ustach zacząć go przeszukiwać.

Ale on stoi tylko z nieruchomym wzrokiem, drżącymi rękoma oparty o framugę drzwi.

„Karl, nie wiem, od czego zacząć”, mówi Józef.

Ściskam rękę Albana, a jego ciepłe palce zamykają się na moich. Trudno mi oddychać bezgłośnie, gdy w całym ciele buzuje adrenalina.

„Wiem, że niedawno odwiedzili cię pewni młodzi ludzie”, mówi dalej Józef. „A dokładniej, sześcioro młodych ludzi. Być może masz niewyraźne poczucie, że już ich kiedyś spotkałeś”. Józef rzuca okiem na lewo od obiektywu, prawdopodobnie na Linusa, lekko się uśmiecha, a potem ponownie zwraca się do swojego dorosłego syna: „Może myślisz, że to niemożliwe. Bo byliby teraz starsi od ciebie. Tak działa czas, prawda? W każdym razie czas, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni”. Józef spogląda w dół i mówi dalej: „Ale czas to dużo więcej niż to, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Dużo, dużo więcej. Jest dużo bardziej złożony”. Józef znowu podnosi oczy, jest w nich powaga. „I dużo bardziej niebezpieczny, niż sobie to byłem w stanie wyobrazić”.

Z krtani Karla wydobywa się odgłos, jak gdyby się dławił.

„Dlatego ci młodzi ludzie przyszli do ciebie, Karl. Bo ty możesz im pomóc. Są w większym niebezpieczeństwie, niż którekolwiek z nich przeczuwa, i potrzebują twojej pomocy. Nagrywam tę wiadomość, żeby cię przekonać, że mówią prawdę”. Linus robi zbliżenie na twarz Józefa, która na moment się rozplywa, a potem rysy znów stają się wyraźne. „Karl, ja wiem, że to... trudne do zrozumienia. I mam nadzieję, że gdy będziesz oglądał to nagranie, będę żył i będę mógł potwierdzić, że to nie brednie”.

Karl znów wydaje ten sam zduszony dźwięk. Żeby tylko nie doznał teraz szoku. Co byśmy wtedy zrobili?

„Ale nikt nie żyje wiecznie”, Józef przeczesuje dłonią włosy, tak samo przyprószone siwizną

na skroniach jak włosy Karla. „Jeśli z jakiegoś powodu już... mnie... nie ma... to mimo to mam nadzieję, że im uwierzysz. Oni nie mają do kogo pójść, Karl. Nie znaleźli się w tej sytuacji z własnego wyboru. Ale ty możesz wybrać, możesz im pomóc, tak jak to zrobiłem ja”.

W nogach czuję mrowienie, bo dopływ krwi został zablokowany niewygodną pozycją, ale nie mam odwagi się poruszyć.

Józef pochyła się i znika z obrazu. Kamera przez moment się zatrzęsła, a potem Linus nakierował ją na kompas, który w śniadych palcach trzyma Józef.

„Zakładam, że to rozpoznajesz”, mówi. „To instrument, który pomaga im... podróżować w czasie. Coś w rodzaju kompasu do podróży w czasie. Absolutnie najważniejsze jest, żeby się nie zepsuł. Mam nadzieję, że rozumiesz teraz, dlaczego nie wolno ci było... dlaczego potrafiłem tak się wściec, gdy się do niego dobieżałem”.

Linus znów ustawia ostrość na twarz Józefa.

„Przepraszam, że nie wyjaśniłem ci tego trochę wcześniej. Nie wiem, kiedy to oglądasz, ale wiem, że w tym czasie jesteś dorosły”. Józef kręci głową. „Trudno mi myśleć o tobie jako o dorosłym mężczyźnie. Tu, w mojej terażniejszości, właśnie wypadły ci jedynki i nie sięgasz do wiszących szafek w kuchni”. Józef uśmiecha się do siebie i na moment zamyśla.

W głowie mi huczy na myśl, jak absurdalna jest ta sytuacja. Tylko co byłam świadkiem jego śmierci, a nie żyje już od wielu lat, przez większą część życia Karla.

Uniesione kąciuki ust Józefa powoli się opuszczają i uśmiech zamienia się w pełen melancholii grymas. Gdy znowu zaczyna mówić, głos ma wzruszony, a oczy błyszczące.

„Nie wiem, co się wydarzy. Nie chciałem tego wiedzieć. Ale niezależnie od tego, jak będzie, to... mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy, Karl”. Józefowi głos się załamał, wykonuje ręką gest jak po okręgu, by zasygnalizować Linusowi, żeby odwrócił kamerę.

Zamiast kwiecistej tapety na ścianie, pojawia się klinkier, a potem niebo i trawa; Linus kręci dalej z otwartego okna.

Kamera zatrzymuje się na postaci stojącej pośrodku trawnika na lekko rozstawionych nogach, ze skoncentrowanym wyrazem twarzy. W słońcu połyskują długie, jasne włosy. Pół metra od twarzy szybuje skórzana piłka do nogi.

„Strzelaj, Adriana!”, woła Noa.

Linus robi zbliżenie i widać większy fragment trawnika.

Alban i Pi stoją w przeciwległych końcach ogrodu, każde między parą wbitych w ziemię palików, a Noa, Adriana i ja jesteśmy rozstawieni na mniej więcej dwudziestu metrach pomiędzy nimi. Obok Adriany z wyczekiwaniem poszczekuje Łajka.

Kiedy ja zaczęłam dobrowolnie kopać piłkę nożną?

I żeby jeszcze do tego mieć przy tym tak głupio zadowolony wyraz twarzy? Gdybym nie wiedziała, jak jest, uwierzyłabym, że w przyszłości będę uważała futbol za fajne zajęcie.

Kamera kieruje się na Pi opartą o jeden ze słupków bramki. Gra pewnie rozgrzewa jej temperament do punktu wrzenia, ze skupionym wyrazem twarzy patrzy na zwiniętą w pięść rękę.

Coś świeci między jej palcami.

O nie! *Horror vacui!*

Czuję ukłucie paniki, ale świecące dłonie najwyraźniej nie przestraszyły Pi.

Bierze głęboki oddech i rozluźnia palce. Z wnętrza jej dłoni wyrasta wysoki płomień i przez moment liże jej palce. Pi uśmiecha się i zamyka dłoń. Ogień znika tak samo szybko, jak się pojawił, bez śladu dymu.

Pi za stosem kartonów głośno wypuszcza z płuc zatrzymane na chwilę powietrze, ale Karl

tego nie zauważył. Usta ma otwarte tak szeroko, że gdyby się trochę obrócił, widziałabym jego języczek podniebienny.

Linus znowu oddała obraz.

Piłka wciąż szybuje przed twarzą Adriany, która w końcu bez ostrzeżenia posyła ją idealnym łukiem do bramki Albana. Piłka leci wprost na jego twarz, ale nikt go nie ostrzega.

Napinam brzuch na myśl, jak bardzo by go bolało, gdyby został trafiony.

Ale on nie rusza się z miejsca, podnosi rękę i przedramieniem odbija piłkę, która ląduje na trawniku między bramkami. Natychmiast rusza za nią galopem Łajka.

Linus znów odwraca kamerę i teraz sam pojawia się na ścianie. Ma dłuższe włosy. Zdmuchuje z oczu kosmyk i zagłąda w obiektyw.

„Hej, Karl. Hm, co mam powiedzieć? Przepraszam, że tak nagle wpadamy jak bomba w twoje życie. Chciałbym móc powiedzieć, że nie chcieliśmy tego, ale...”, Linus wykrzywia twarz, „będziemy sporo dyskutować na temat wolnej woli. Tak czy owak... przepraszam. Również za projektor”.

Co on chce przez to powiedzieć?

Odwraca kamerę i znowu filmuje sytuację na trawniku. A my nadal gonimy za sobą wzajemnie i za piłką.

„Musimy coś zobaczyć”. Linus pokazuje panoramę za płotem, w odległym zakątku ogrodu. W pierwszej chwili widzę tylko deski płotu i gęste zarośla, ale potem dostrzegam jakiś ruch za liśćmi.

„A tak naprawdę, to musicie zobaczyć... kogoś”, precyzuje Linus. „I zgadnąć, kto to jest. Zakładamy, że to ważne”. Długo oddała obraz, aż na ścianie przed nami widać większą część ogrodu. A potem woła tak głośno, że z przestachu niemal przewracam się na podłogę. „Hej! Ktoś tam chowa się w krzakach!”

Pięć postaci na trawniku nieruchomieje i wszyscy odwracają się w kierunku zarośli w tylnej części ogrodu.

„Kto tam?”, woła Noa z niechęcią w głosie.

Przez kilka sekund panuje kompletna cisza. A potem zza splątanych gałęzi po drugiej stronie płotu ktoś rusza biegiem przez pole. Gdy my uciekaliśmy przez nie tak dawno temu, było ornym polem, ale na filmie porasta je wysokie zboże.

„Hej! Stop!”, ryczy Noa.

Ale człowiek biegnie dalej, nie oglądając się za siebie.

Jak na sygnał bliźnięta, Adriana i Łajka ruszają w kierunku zarośli. Włącza się nawet mój sobowtór. Noa płynnym ruchem przeskakuje płot. Biegąc wzdłuż desek po przeciwnej stronie płotu, nie odrywa wzroku od uciekającej postaci.

Nasze przyszłe wersje na trawniku musiały przez cały czas wiedzieć, że ktoś stoi w chaszczach. Bo przecież widzieliśmy już to nagranie. Gra w piłkę była najwyraźniej zasłona dymną, żeby zaskoczyć... no właśnie, kogo?

Linus robi zbliżenie na człowieka pokonującego pole i coraz bardziej oddalającego się od kamery. Ma długie, szybkie nogi. Nie widzę twarzy, bo zarzucił na głowę kaptur ciemnej bluzy. Na plecach widać trzy jasne poziome plamy i jakiś napis z jasnych liter.

Nagle czuję w brzuchu paraliżujący ból. Napis na plecach to logo ruchu Obrońmy Christianię.

Christianię założono w 1971 roku. Niedawno, gdy graliśmy w „Bezzerrwizzera”, źle podałam datę.

Ale wtedy Józef już nie żył, więc nagranie nie może pochodzić z tego roku!

Może oznaczać to tylko jedno. Ktokolwiek biegnie przez pole, ścigany przez cztery osoby i psa, to nie ten z 1969 roku. A w każdym razie nie jego bluza.

Ale nie tylko myśl o innych podróżujących w czasie wywołuje pod żebrami samobójcze salto mortale mojego serca.

Człowiek uciekający po pożarze wywołanym w celu dokonania zabójstwa miał na sobie czerwoną bluzę z kapturem. Biało-czarne nagranie nie pozwala rozstrzygnąć, jaki kolor ma bluza podglądacza z zarośli.

Ale z tyłu są plamy i napis, dokładnie tak jak na czerwonej bluzie, którą widziałam, gdy byliśmy u Józefa.

Kamera pokazuje panoramę, po czym Linus wraca do pokoju. A ja wydaję z siebie ciche, pełne frustracji westchnienie.

Dlaczego? Dlaczego nie możemy zobaczyć, jak skończy się pogoń?

Na twarzy Józefa na ścianie maluje się zdziwienie.

„Słuchaj, co się tam dzieje?”, pyta.

„Na pewno to wyjaśnimy”, mówi szybko Linus. „Już oni sobie dadzą radę. A my...”, chrząka, „dokończmy nagranie”.

„Stój!”, słycać wołanie Noa gdzieś daleko.

„Czy chciałby pan jeszcze coś powiedzieć, Józefie?” głośne pytanie Linusa brzmi neutralnie, ale w moich uszach jest jak głos kata.

Być może to ostatnia szansa Józefa, żeby powiedzieć coś swojemu dorosłemu synowi.

W gardle kurczą mi się mięśnie, tchawica wydaje się za wąska.

Józef potrząsa głową.

„Nie nadaję się do tego. Resztę napiszę w książce, którą weźmiecie ze sobą”. Niezdarnie pokazuje do kamery skierowany w górę kciuk i uśmiecha się. „Do zobaczenia, syneczku”.

ROZDZIAŁ 56

Nagranie się skończyło, czworokąt na ścianie migocze bielą.

Patrzę na Karla, wstrzymując oddech. Nadal ściska framugę drzwi, jak gdyby była deską ratunku w morzu pełnym rekinów.

Drga mu powieka. Cicho jęknął, przyciska rękę do lewej strony klatki piersiowej i osuwa się w progu na kolana.

– O, nie! – Linus rzuca się do niego, pociągając za sobą projektor, który spada ze stosu książek i z loskotem uderza w podłogę.

Alban obok mnie wzdrygnął się.

– Co się dzieje? – pyta przestraszony.

– Karl chyba dostał udaru czy czegoś takiego. – Podrywam się. Nie czuję nóg, potykam się, ale biegnę za Linusem.

Gdy zapalam światło, okazuje się, że bliźnięta już pomagają Karlowi się położyć.

– Karl? – Noa podtrzymuje jego głowę. Daje nam znak, żebyśmy się nieco cofnęli. – Zostawcie nam trochę powietrza. Słyszysz mnie pan?

– Lekarstwo na serce – wyjąkuje Karl, patrząc na Noa szeroko otwartymi oczami. – Półka nad umywalką. Czerwony pojemnik.

– Emi, ty wiesz, gdzie jest łazienka! – woła Noa, ale ja już przedzieram się w stronę przedpokoju.

Szarpię drzwi do łazienki. Gdy chwytam z półki mały czerwony pojemnik, do umywalki spada, rozbijając się, kilka słoiczków z pastylkami. Sprawdzam naklejkę.

„Nitrogliceryna przeciw *angina pectoris*, Karl Christensen. Rozpylić 2 razy pod językiem zgodnie ze wskazaniem”.

Nie mam pojęcia, co znaczy *pectoris*, ale wiem ze starego łacińskiego słownika mamy, że *angina* to coś związanego z sercem. Wpadam do pokoju i podaję lekarstwo Noa.

Noa rzuca szybkie spojrzenie na naklejkę, zrywa nakrętkę i potrząsa pojemnikiem.

Twarz Karla jest bladoszara i lśniąca od potu. Patrzy na nas z przerażeniem, ściskając lewą pierś pod koszulą, jaką noszą leśnicy.

– Proszę otworzyć usta – rozkazuje Noa i Karl się go słucha. – Unieść język. – Noa dwukrotnie rozpyła mu lek pod językiem.

Wracam do Albana. Podniósł się już i stoi przy stole, ale nadal wygląda na przestraszonego.

– Znalazłam lekarstwo na coś, co nazywa się *angina pectoris*. – Biorę go za rękę. – Mam nadzieję, że to nic poważnego. – Głos drży mi niemal tak samo mocno jak nogi nakłuwane przez tysiące małych igiełek po tym, jak do naczyń krwionośnych pod kolanami zaczęła wracać krew.

– Będzie dobrze – mówi Alban. – *Angina pectoris* to bolesne skurcze serca. Mama mówiła, że wielu staruszków w domu starców regularnie ma takie ataki. Po prostu się przestraszył.

Spoglądam w kierunku otwartych drzwi. Noa i Pi pomagają Karlowi przejść do niewielkiej sofy, na której chwilę przedtem siedziała Adriana.

– Co ten Noa do diabła wymyślił? – mówię cicho. – Trzeba było najpierw sprawdzić ten film,

nie powinniśmy tak po prostu mu go pokazywać! A już w ogóle nie w taki sposób!

– Ja myślę, że i tak doznałby szoku – stwierdza Alban.

Bliźnięta pomagają Karłowi położyć się na sofie.

Adriana przywarła do ściany przy jednym z oparcz sofy.

Wpatruje się w Karla, ciasno obejmując się ramionami.

– Chodź. – Podprowadzam Albana do sofy.

Linus usiadł w kucki przy Karlu, którego policzki już odzyskały trochę koloru.

– Przepraszamy, że pana przestraszyliśmy – wydusza z siebie.

Karl kaszle i odwraca od niego głowę.

– Fúj, do licha, jak wy cuchniecie dymem – mówi słabym głosem.

Linus szybko wstaje i cofa się kilka kroków do tyłu.

Karl znów na niego spogląda i mruży powieki.

– Skąd masz tę kurtkę? – pyta.

Linus patrzy w dół na kurtkę siedmioletniego Karla. Pokrywa ją sadza, szew z jednego boku rozszedł się, bo kurtka jest na niego o wiele za ciasna.

– Eee... pożyczyłem ją.

– Kiedyś miałem podobną – mówi Karl.

Linus milczy.

Karl spogląda na Albana, wciąż ubranego w starą zimową kurtkę Józefa. Jego palce zaciskają się na materiale kraciastej koszuli okrywającej klatkę piersiową.

– A ta... ta przypomina... starą kurtkę mojego ojca – stęka. – Miał ją na sobie tego dnia, gdy...

Nagle jego oczy się rozszerzają i z wysiłkiem próbuje usiąść.

Noa kładzie mu rękę na ramieniu, żeby go uspokoić, ale Karl strząsa ją z siebie.

– Wy... wy cuchniecie dymem... – Z trudem chwyta powietrze. – Wszyscy cuchniecie dymem!

– Proszę się nie denerwować – mówi Noa.

– Skąd macie te kurtki? – Karl błędzi spojrzeniem po naszych twarzach. – Gdzie wy byliście?

– Niech się pan uspokoi. – Noa próbuje popchnąć go z powrotem na poduszkę sofy. – Później możemy porozmawiać o...

– Mówcie, skąd macie te kurtki! – Karl odpycha jego ręce i siada, kładąc stopy na podłodze.

Noa spuszcza wzrok. A potem bierze głęboki wdech i spogląda Karłowi w oczy.

– Pożyczyliśmy je – mówi powoli – od pańskiego ojca.

Karl nie krzyczy, nie woła, że Noa kłamie albo że sobie z niego kpi, ani że zwariował. Tylko patrzy. Na Noa, na obie kurtki, potem znów na Noa.

– Kiedy... go... spotkaliście? – szepcze.

– Odbyliśmy podróż w czasie z tym starym szyfrowym kompasem pańskiego ojca. Zdarzyło nam się uruchomić go przez przypadek. – Noa mówi bardzo wolno, patrząc Karłowi w oczy. – Obudziliśmy się w 1969 roku i spotkaliśmy pana ojca. Powiedział, że już nas zna, choć żadne z nas wcześniej go nie spotkało. Dał nam ten film, żeby pana przekonać.

– Jaki to był dzień, data? – Karl sprawia wrażenie, jakby nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

Noa przełyka ślinę, ale nadal patrzy Karłowi w oczy.

– 16 listopada 1969 – mówi.

Karl zrozumiał. Szeroko otwiera oczy. Jabłko Adama porusza się w kółko w górę i w dół, w górę i w dół.

– Co... się wydarzyło? – pyta ochryple.

– To była bomba zapalająca – odpowiada Noa. – Ktoś podpalił szopkę na narzędzia.

– Ale nie widzieliśmy, kto – włączam się. – Wszystko działo się tak szybko. Nie mogliśmy... nie zdążyliśmy nic zrobić, i szopka wyleciała w powietrze...

Żadne z nas nie powiedziało nic więcej.

Co się mówi człowiekowi, który właśnie dostał wiadomość od zmarłego ojca, wiadomość zmieniającą rozumienie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości?

Karl pochyla się do przodu i obiema rękami mocno chwyta się brzegu sofy. Zaciska powieki i usta.

W pierwszej chwili pomyślałam, że zaraz znowu będzie miał atak duszniczy, ale po chwili zaczynają mu drżeć ramiona.

Jego ciałem wstrząsa głęboki, spazmatyczny szloch i przez zaciśnięte szczeliny skrywających oczy powiek przeciskają się pierwsze łzy. Wkrótce zaczyna mu kapać z nosa. Siedzi wyprostowany i trzymając się sofy, bezgłośnie płacze. Spodnie na kolanach pokrywają mokre plamy od łez, ale nie zwraca na nie uwagi. Nie zwraca uwagi nawet na nas.

Pierwszy raz widzę dorosłego mężczyznę, który płacze.

I pierwszy raz naprawdę dociera do mnie, co przeżył Karl tamtego dnia.

Zamiast świętowania urodzin i oglądania z ojcem spadających gwiazd po powrocie ze szkoły czekało na niego dymiąc pogorzeliśko i sieroce życie.

Mam ochotę powiedzieć „przepraszam”. Za to, że nie mogliśmy nic zrobić, żeby uratować Józefa, i że musieliśmy przypominać Karlowi o największej traumie jego życia po to, żeby ratować samych siebie. Ale słowo „przepraszam” nie przewinie czasu wstecz.

Pi siada ostrożnie na najdalszym brzegu sofy.

Wyciąga rękę i kładzie ją Karlowi na ramieniu.

Ciężar tego dotknięcia jeszcze bardziej pochyla go do przodu. Łzy i śluz z nosa kapią bezpośrednio na podłogę, a Karl wydaje dźwięki niczym zranione zwierzę. Głębokie, pełne żalu jęki, za sprawą których po moich brudnych policzkach znowu płyną łzy.

Nie opuszcza mnie uczucie, że Józef zginął z naszego powodu.

Dlaczego ktoś miałby go zabijać, gdyby nie miał związku z tajemniczym kompasem i grupą nastolatków o ponadnaturalnych zdolnościach?

Józef musiał wiedzieć, że kontaktowanie się z nami jest niebezpieczne. „Jeśli zostaniecie nakryci, trzeba się będzie martwić nie tylko o *horror vacui*”, powiedział.

Czy zdawał sobie sprawę z tego, że pomagając nam, ryzykuje życiem?

I czy możemy oczekiwać od Karla, że podejmie to samo ryzyko tylko dlatego, że prosił go o to ojciec?

Józef nie wiedział, że zostanie zamordowany po przekazaniu nam nagrania. Może gdyby wiedział, zawartość puszek po ciastkach byłaby inna?

Pi głaszcze Karla po ramieniu, patrząc przed siebie, i bezgłośnie płacze.

Linus też ma w oczach łzy, Adrianie drży dolna warga za każdym razem, gdy Karl szlocha.

Noa nie płacze, ale widać, że nieswojo się czuje z powodu niepohamowanego szlochania Karla. Po kilku minutach wychodzi z pokoju.

Alban odwraca twarz w kierunku odgłosu kroków, ale nie puszcza mojej ręki. Jego stalowoszare oczy błyszczą.

Wpatruję się w skuloną sylwetkę na sofie.

Z przerażeniem wyobrażam sobie, że mogłabym utracić któreś z rodziców.

Albo braci i siostry, choć potrafią być irytujący.

Albo Albana i Linusa.

Ciepłe palce Albana oplatające moje palce są silne i rzeczywiste.

Pomyśleć, że któregoś dnia znikają. Że ktoś go skrzywdzi z powodu tego, co potrafimy i utracę go na zawsze.

Strach zaciska mi na tchawicy ciasną pętlę.

– Au! – Cichy jęk Albana wyprzedza o sekundę mój zbyt mocny uścisk.

Szybko puszczam jego rękę. Strach rośnie we mnie, duszący i pochłaniający wszystko, *horror vacui* mający źródło we mnie samej.

Alban obejmuje mnie ramieniem.

– Jestem tu – szepcze mi we włosy.

Nagle tego wszystkiego jest za wiele. Łkanie Karła, mokre od łez twarze pozostałych osób, zagrożony pokój.

Wyślizguję się spod ramienia Albana i potykając się, biegnę w kierunku przedpokoju.

– Dokąd idziesz? – Słyszę jego pytanie, ale nie odpowiadam, idę dalej.

Drzwi toalety zamykają się za mną kliknięciem. Nie są na tyle grube, żeby mogły zagłuszyć szloch Karła. Mam ochotę zakryć dłońmi uszy i głośno krzyknąć, żeby go nie słyszeć.

Zamiast tego podchodzę do umywalki i wpatruję się w potłuczone słoiczki z lekarstwami. Światło żarówki nad umywalką odbija się w brązowych odłamkach szkła i w małych, lśniących pastylkach.

Świadomie unikam przeglądania się w lustrze. Nie zniosłabym teraz konfrontacji z kolejną wersją samej siebie. Zaciskam powieki i mocno trzymam się zimnej porcelanowej umywalki, żeby nie zniknąć.

Oddech przyspiesza i rwie się, aż wreszcie zaczynam spazmatycznie szlochać.

Ktoś za mną chrząka.

Odwracam się na pięcie. Na zamkniętej klapie sedesu siedzi Noa z łokciami opartymi na kolanach.

– Co ty tu robisz? – rzucam ze złością i rękawem ścieram z twarzy smarki i łzy.

– Próbuję znaleźć spokój, żeby myśleć. – Noa kręci głową i wstaje. Spodziewam się, że ma zamiar wyjść, ale on stoi i patrzy na mnie.

Wycieram twarz drugim rękawem. Nie żeby to robiło jakąś różnicę, jestem pewna, że wyglądam jak zmora.

– Dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi! – mówi Noa dobitnie, jakby do samego siebie.

– W jaki sposób? – Moje pytanie brzmi jak szloch.

– Krok po kroku. – Alban powiedział to samo do Adriany przed salą gimnastyczną, ale w ustach Noa brzmi to raczej jak rozkaz niż jak próba pocieszenia.

Zamykam oczy.

– Boję się – szepczę.

Słyszę kroki na wyłożonej klinkierem posadzce.

– Nie możesz pozwolić, żeby to tobą sterowało. – Noa jest teraz bliżej. Mówi twardym, oskarżycielskim tonem, nie po to, żeby mi dodać otuchy.

Otwieram oczy. Znów cisną się do nich łzy.

– Co, do diabła, chcesz, żebym robiła? Ja nie jestem maszyną, Noa! Trzęsę się ze strachu, i nie mogę tego, do cholery, wyłączyć dlatego, że ty mi mówisz, że muszę!

Noa patrzy na mnie z powagą.

– A właśnie że możesz. Pomagałaś Linusowi, gdy uciekaliśmy po wybuchu. Mogłaś położyć się na ziemi i beczeć jak Adriana, ale działałaś. Coś robiłaś. Mimo strachu.

– To... nie to samo – mówię cicho. – Przecież musiałam pomóc Linusowi.

– Dokładnie tak samo jak teraz musisz wziąć się w garść. – Noa robi krok w moją stronę, a ja nie mogę się cofnąć, bo za plecami mam umywalkę. – To ty zaproponowałaś, żebyśmy skorzystali z awaryjnego ustawienia kompasu. To ty trzeźwo myślałaś. Większość ludzi pod presją ogarnia paraliż, ale nie ciebie.

Nadal słyszę w tle szloch Karla. I jakiś głos mówiący do niego, być może Pi. Ale Noa jest tak blisko, że oprócz swędu czuję też zapach jego dezodorantu, i mój mózg przestaje rejestrować to, co dzieje się w pokoju.

Noa trzyma ręce uniesione tak, że widzę blizny na obu dłoniach.

– To się nie skończy dlatego, że będziemy się nad sobą użalać. To jest rzeczywistość, ten kompas i wszystko, co potrafi działać. To nie sen, z którego za chwilę się obudzimy. – Noa wyciąga rękę, żeby chwycić moją.

Duszę w sobie gwałtownie westchnienie, gdy bierze ją w obie ręce i odwraca do góry, tuż przy swojej twarzy.

Jego palce są chłodne, nie ciepłe, jak palce Albana, a mimo to wywołują gorące mrowienie, które rozlewa się po moim ciele.

– Rzeczywistość potrafi piekielnie boleć. Ale można się nauczyć zagryzać w sobie ból. – Noa przykładą kciuk do środka mojej trójkątnej blizny i mocno naciska cienką, różową skórę.

– Au! – syczę, cofając rękę do siebie.

– Tak samo, jak można się nauczyć zagryzać w sobie strach. Jeśli się uwierzy, że można. – Noa nie zareagował na moje syknięcie. Pochyliła się tylko jeszcze bardziej i nie dotykając mnie, zmusza do wychylenia pleców nad umywalkę. – I ty możesz to zrobić. Bo m u s i s z. – W jego głosie nie ma współczucia, śladu łagodnego zrozumienia typowego dla Albana. Ale coś w turkusowozielonym spojrzeniu podpowiada mi, że Noa nie mówi tego tylko po to, żeby wywierać na mnie presję.

On we mnie wierzy. Chłopak, który nienawidzi słabości, wierzy w moją siłę.

Zaczyna we mnie rosnać determinacja, jak mlecz, który przebija się przez asfalt.

M o g ę.

W żyłach szumi mi krew. Mlecz rozpościera ząbkowane liście.

M o g ę. Bo m u s z ę.

Czuję w sobie zarazem siłę, strach i wściekłość. I odczuwam ulgę. Czuję się równocześnie krucha i niezwyciężona.

Mlecz strzela w górę, owija się wokół mojego kręgosłupa jak usztywniający gorset. Prostuję się, co zmusza Noa do odchylenia się do tyłu, żeby zrobić mi miejsce.

Ale stóp nie odsuwa, dalej stoi tuż przy mnie. Milczące wyzwanie. Test.

A na mnie powietrze między nami zaczyna nagle działać jak magnes. Opanowuje mnie nowy rodzaj *horror vacui*: potrzeba usunięcia dzielącej nas pustki. Czuję, że jeśli wezmę głęboki oddech, tych kilka centymetrów zniknie.

– Emi, jesteś tam? – Z transu wyrywa mnie dobiegający z holu głos Albana.

Noa drgnął i błyskawicznie się cofnął, jak gdyby Alban mógł nas zobaczyć przez drzwi toalety.

– Tak! – odpowiadam głośno, trochę zbyt piskliwie.

– Wszystko w porządku? – Alban martwi się o mnie.

Wciążam powietrze aż do brzucha i zamykam dłonie na zniszczonych opatrunkach. Palcami dotykam trójkątnych blizn. Ornamenty zrostów wzdłuż ich brzegów mają małe, bolesne wzgórki.

Noa patrzy na mnie wyczekująco.

Głośno wypuszczam z płuc powietrze.

– Tak – mówię. – Dam radę.

Noa unosi kącik ust. Stoi tak z lekko przekrzywioną na bok głową i plątaniną wchodzących do oczu czarnych włosów i wygląda dokładnie tak jak chłopiec z mojego snu. Chłopiec o krzywym uśmiechu i dłoniach świecących w takim samym odcieniu turkusu, jaki mają oczy Noa.

Przywołuję w pamięci ciepło, jakim emanował fioletowy żar moich własnych dłoni. Nasze blizny niczym się nie różnią, ale światło z naszych rąk jest inne.

Nie wiem, co to znaczy, w tej chwili cieszę się tylko, że fiolet nie jest jedyną barwą w spektrum.

Cieszę się, że nie jestem sama.

KONIEC

DZIĘKUJĘ moim fantastycznym konsultantom za bystre oko i słowa zachęty, mojej rodzinie za wsparcie i cierpliwość, stowarzyszeniu Młodzi Obiecujący Pisarze za przekonanie mnie, że autor nie musi pisać w samotności.

-
- 1 *field study* (ang.) – badania terenowe
 - 2 *power-shopping* (ang.) – tu: wielkie zakupy
 - 3 *brainfreeze* (ang.) – mrożenie mózgu
 - 4 *Brugsen* – sieć supermarketów w Danii
 - 5 *pas* (ang.) – odzywka karciana informująca o braku możliwości ruchu
 - 6 „Bezzewizzer” – gra planszowa
 - 7 *bad boy* (ang.) – łobuz
 - 8 *stalker-woman* (ang.) – prześladowczyni
 - 9 *freak* (ang.) – dziwaczka
 - 10 *Brave New World* (Nowy wspaniały świat, przeł. Bogdan Baran), powieść science-fiction Aldousa Huxleya z 1931 r.
 - 11 *What do you think the main themes of this book are?* (ang.) – Jak myślicie, jakie są główne tematy tej książki?
 - 12 *Yes, love. What's your name?* (ang.) – Tak, kochanie. Jak masz na imię?
 - 13 *the beastiality of mankind* (ang.) – bestialstwo ludzkości
 - 14 *Well. Other interpretations?...* (ang.) – No dobrze. Inne interpretacje?...
 - 15 *Come on, peeps.* (ang.) – No dalej, ludzie
 - 16 *No? No other themes?* (ang.) – Nie? Żadnych innych tematów?
 - 17 *How about you in the green sweater?* (ang.) – A ty, w zielonym swetrze?
 - 18 *What's your name?* (ang.) – Jak masz na imię?
 - 19 *What do you think the themes are, Emilia?* (ang.) – Jak myślisz, jakie są tematy?
 - 20 *Loneliness* (ang.) – samotność.
 - 21 *A bit louder* (ang.) – trochę głośniej.
 - 22 *I think one theme could be loneliness in the modern society... and the pain of not fitting in* (ang.) – Myślę, że jeden z tematów to samotność we współczesnym społeczeństwie... i ból niedopasowania do niego.
 - 23 *excellent* (ang.) – doskonale
 - 24 *whatever* (ang.) – wszystko jedno
 - 25 *casa del caos* (hiszp.) – dom chaosu
 - 26 *down under* (ang.) – na antypodach
 - 27 *Hablo muy bien español.* (hiszp.) – Bardzo dobrze mówię po hiszpańsku.
 - 28 *Win-win* (ang.) – wszyscy wygrywają
 - 29 *No idea* (ang.) – Nie mam pojęcia.
 - 30 *nope* (ang.) – nie
 - 31 *team* (ang.) – zespół

- [32](#) *hell-yeah* (ang.) – slangowe: jasna sprawa!
- [33](#) *Search for Extra-Terrestrial Intelligence* (ang.) – Projekt naukowy, którego celem jest znalezienie kontaktu z pozaziemskimi cywilizacjami.
- [34](#) *timeout* (ang.) – czas minął
- [35](#) *goth–engel* (ang.) – gotycki, tu: mroczny anioł
- [36](#) *high score* (ang.) – wysoki wynik
- [37](#) W Danii istnieje tradycja śpiewania rano, przed rozpoczęciem lekcji, ze znanego wszystkim kanonu pieśni duńskich (przyp. tłum.).
- [38](#) *déjà vu* (fr.) – wrażenie, że już się coś widziało
- [39](#) *whiteboard* (ang.) – biała tablica do pisania
- [40](#) *riiiiiight* (ang.) – *no taaaaak*
- [41](#) *smalltalk* (ang.) – gadka-szmatka
- [42](#) Odwaga to odporność na strach, panowanie nad nim - a nie jego brak.
- [43](#) *survival of the fittest* (ang.) – przetrwanie najlepiej przystosowanych
- [44](#) *cutters* (ang.) – samookaleczający się młodzi ludzie
- [45](#) *stalker* (ang.) – osoba uporczywie kogoś śledząca
- [46](#) *upgrading* (ang.) – ulepszenie, modernizacja
- [47](#) *Allrighty* (ang.) – w porządku
- [48](#) *I want you to discuss these questions with the person next to you. You've got fifteen minutes, and then we sum it up together. Ready, set, go!* (ang.) – Chcę, żebyście przedyskutowali te pytania w parach. Macie piętnaście minut, a potem to podsumujemy. Do startu, gotowi, start!
- [49](#) *Which question are you two discussing* (ang.) – O którym z pytań rozmawiacie?
- [50](#) *What the fuck?* (ang.) – Co do cholery?
- [51](#) *What* (ang.) – co?
- [52](#) *Shit* (ang.) – gówno
- [53](#) *Show-off* (ang.) – popisy
- [54](#) *Deal* (ang.) – Umowa stoi.
- [55](#) *slowmotion* (ang.) – zwolnione tempo
- [56](#) *face to face* (ang.) – twarzą w twarz
- [57](#) *paperback* (ang.) - książka w broszurowej oprawie
- [58](#) *wiseguy* (ang.) – tu ironicznie: panie mentorze
- [59](#) *loverboy* (ang.) – kochaś
- [60](#) *for fucks sake* (ang.) – tu: do jasnej cholery
- [61](#) *No fucking idea* (ang.) – tu: Za cholere nie mam pojęcia (wulg.).
- [62](#) *Crap* (ang.) – gówno

- [63](#) *Smart-ass* (ang.) – tu: mądrala
- [64](#) *clueless* (ang.) – nie mający o niczym pojęcia.
- [65](#) *nasty shit* (ang.) – paskudne gówno
- [66](#) *what* (ang.) – co?
- [67](#) *champ* (ang.) – mistrz (skrót od *champion*)
- [68](#) *Got it* (ang.) – Zakumalem.
- [69](#) *freaky* (ang.) – pokręcone
- [70](#) *surprise* (ang.) – niespodzianka

*Kiedy to się właściwie zaczęło?
Gdy ta staruszka oskarżyła nas o spowodowanie
końca świata?
Gdy miałam sen o świecących dłoniach?
Gdy kompas wypalił na naszych dłoniach rany?
Czy na długo przedtem?*


Piętnastoletnia Emi rysuje chłopaka o turkusowych oczach, który nosi na szyi tajemniczy pryzmat. Nazajutrz doznaje szoku, widząc go wchodzącego do klasy. Nim się zorientuje, na dłoniach ma trójkątne rany, a jej koleżanki i koledzy potrafią robić dziwne, niewytłumaczalne rzeczy.

A może to wszystko tylko sobie wmawia? Granice między snem a rzeczywistością zacierają się, a Emi desperacko próbuje myśleć racjonalnie w tym wszystko ogarniającym chaosie.

Wkrótce jednak musi spojrzeć prawdzie w oczy.
To tylko kwestia czasu...

LEONIDY to pierwsza część serii SPEKTRUM, w której przyjaźń, miłość i ważące na całym życiu wybory splatają się w teraźniejszości, przeszłości i przyszłości.

bookgeek.

 lubimyczytac.pl

Driada

